



JOSEPH

RE
FE
LE
WE
SE



Gold jak
złoto

JOSEPH

BE

WE

TE

LE

WE

HE

Gold jak złoto

Przełożył
JACEK MANICKI



Warszawa 1995

*Dedykuję tę książkę
kilku wspaniałym rodzinom
oraz
licznym nieświadomym niczego przyjaciołom,
których
pomoc, rozmowy i doświadczenia
odgrywają tu
tak wielką rolę*

Trzymam go w garści
LYNDON B. JOHNSON
jako przywódca większości
demokratycznej w Senacie U.S.

*Jeśli zdarzy ci się kiedykolwiek
zapomnieć, żeś Żydem,
jakiś goj z pewnością ci to przypomni*
z opowiadania BERNARDA MALAMUDA

I

Żydowskie doświadczenia

Golda wielokrotnie proszono, by napisał coś o żydowskich doświadczeniach w Ameryce. Nie była to tak do końca prawda. Został o to poproszony jedynie dwa razy, ten drugi raz przez pewną kobietę z Wilmington w stanie Delaware, dokąd pojechał na wieczór autorski czytać, za stosowne honorarium, fragmenty swoich esejów i książek – oraz, gdyby ktoś sobie tego zażyczył, wierszy i krótkich opowiadań.

„Jak ja mam pisać o żydowskich doświadczeniach – zadał sobie pytanie w Metrolinerze, wracając do Nowego Jorku – skoro nawet nie wiem, co to takiego? Nie mam zielonego pojęcia, co pisać. Jakie, u licha, były, dajmy na to, moje żydowskie doświadczenia? Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek nadział się na prawdziwego antysemitę. Tam, gdzie dorastałem, wszyscy z mojego otoczenia byli Żydami. Że jestem Żydem, uświadomiłem sobie właściwie dopiero wtedy, kiedy byłem już praktycznie dorosły. Czy może raczej odkryłem wtedy, że nie wszyscy na świecie są Żydami, co na jedno wychodziło. Na Coney Island jedyny wyjątek stanowiły chyba tylko te włoskie rodziny mieszkające w drugim końcu i dwie albo trzy inne, które mieszkaly na tyle blisko nas, by posyłać swoje dzieci do tej samej szkoły. W naszym kwartale mieliśmy rodzinę irlandzką o niemieckim nazwisku, a w mojej klasie było zawsze paru Włochów albo Skandynawów, którzy przychodzili do szkoły w żydowskie święta i wyglądało wtedy, że są szykanowani. Było mi ich szkoda, bo to właśnie oni stanowili mniejszość. Ta irlandzka rodzina miała psa – żadni Żydzi nie trzymali wówczas psów – i hodowała na swoim podwórku kurczaki. Nawet w szkole średniej wszystkie chłopaki i dziewczyny, z którymi trzymałem, byli Żydami, wszyscy nauczyciele praktycznie też. Tak samo było w college'u. Dopiero kiedy wyjechałem na letnią sesję do Wisconsin, znalazłem się po raz pierwszy wśród gojów. Ale to była tylko odmiana, a nie coś przykrego. A potem wróciłem na Columbię, by zrobić dyplom i doktorat, i znowu poczułem się jak w domu. Moi najbliżsi przyjaciele również byli Żydami: Lieberman, Pomoroy, Rosenblatt. Jedyny wyjątek stanowił Ralph Newsome, ale czułem się z nim zupełnie tak samo, jak ze wszystkimi innymi, a on ze mną też był na pełnym luzie. Nie wiedziałbym więc, od czego zacząć”.

Zaczął od złożenia wizyty Liebermanowi.

– Czyje żydowskie doświadczenia? – spytał z jawną nieufnością Lieberman, ociężały, łysiejący rudzielec, kiedy Gold przedstawił mu swój pomysł.

– Moje.

– A dlaczego nie moje? – Zmrużone oczka Liebermana płonęły. Jego biurko zavalone było stertami maszynopisów i ołówkami korektorskimi, grubymi i brudnymi jak jego paluchy. Przez cały college najgorętszym pragnieniem Liebermana było kierowanie w przyszłości małym intelektualnym czasopismem. Teraz miał swoje czasopismo i czuł się niedowartościowany. Zazdrość, ambicja i zniechęcenie siały spustoszenie wśród tych nielicznych ukrytych dobrych cech, z jakimi być może Lieberman się urodził. Nigdy nie był wielkoduszny.

– Chciałbyś zamieścić w swoim czasopiśmie artykuł o sobie, który ja bym napisał? – podsumował z rozbawieniem Gold.

Lieberman zrozumiał i spochmurniał.

– To by nie przeszło – przyznał.

– Sam musiałbyś go napisać.

– Nie umiem pisać. Dowiedliście mi tego z Pomoroyem.

– Za bardzo polegasz na retorycznych pytaniach.

– Jakoś nie mogę się tego wyzbyć. Jaką masz koncepcję?

– Nie wypracowałem jej jeszcze – zaczął Gold. Unikał wzroku Liebermana. – Ale wysmażę ci wyważony, odpowiedzialny, inteligentny artykuł o tym, co dla takich ludzi jak ty i ja znaczyło urodzić się tutaj i wychować. Na pewno zahaczę chociaż troszeczkę o kulturowe

konflikty pomiędzy tradycjami naszych urodzonych w Europie rodziców a obyczajowością dominującą w środowisku amerykańskim.

– Coś ci powiem – odparł Lieberman. Złamał w palcach jeden ze swoich grubych ołówków i ciągnął: – Redagujemy bardzo wyważone, bardzo odpowiedzialne czasopismo dla wybitnie inteligentnych czytelników. Chcę dostać od ciebie na ten temat coś bardziej soczystego, pikantniejszego. Nie da się ukryć, że jesteśmy zazwyczaj bardzo nudni. Czasami tak nudni, że zaczynam wątpić, czy przetrwamy na rynku. Jakie były twoje wrażenia na widok pierwszego nie obrzezanego kutasa? Jak ci się dupczy gojowskie dziewczyny?

– Skąd ci przyszło do głowy, że dupczę gojowskie dziewczyny? – spytał Gold.

– Zmyśl coś na ten temat, jak już musisz – odparł Lieberman. – Chodzi nam o zapatrywania, nie o fakty.

– Ile to ma mieć słów i ile mi zapłacisz?

Lieberman zastanowił się.

– Co byś powiedział na jakieś piętnaście, dwadzieścia tysięcy słów? Może uda mi się złożyć z tego cały numer i obniżyć w ten sposób koszty wydawnicze.

– Za taki kawałek policzę sobie sześć tysięcy dolarów.

– Dam ci trzysta.

– Nie siadam do roboty za mniej niż dwa i pół.

– Nie zapłacę ci więcej jak siedemset. Zareklamuję cię wołami na okładce.

– Niech będzie półtora.

– Tysiąc i przyklepujemy. To dużo, jak na nas.

– Sześćset dzisiaj. Plus te trzysta za „Nic”, które mi jeszcze wisisz.

– Jeszcze tego nie opublikowałem.

– W umowie było, że po przyjęciu tekstu – przypomniał Gold trochę się unosząc. Przed kilkoma miesiącami Lieberman kupił artykuł zamówiony u Golda przez pewne popularne czasopismo erotyczne, które odrzuciło go jako nie dostosowany do minimalnych norm inteligencji swoich czytelników – oczywiście Gold, odsprzedając artykuł Liebermanowi, dyskretnie to przemilczał. Pełny tytuł artykułu brzmiał: „Nic nie wychodzi tak, jak to zaplanowano”, i Gold wciąż czekał na należące się mu pieniądze. – A dlaczego jeszcze go nie opublikowałeś? Mógłby sprowokować jakieś komentarze.

– Wstrzymuję się z tym do czasu, kiedy będę miał ci z czego zapłacić. – Lieberman zarechotał staccato i poprawił się w fotelu. Zawsze był z siebie bardzo rad, ilekroć udał mu się jakiś dowcip. – Czytałem twoją recenzję – dodał wolniej z dezaprobatą – książki Prezydenta.

Gold zrobił się nagle czujny.

– A ja twoją.

– Wydała mi się interesująca.

– A mnie twoja nie.

– Moim zdaniem niepotrzebnie owijałeś w bawełnę – ciągnął Lieberman. – Odniosłem wrażenie, że zabrakło ci odwagi, by otwarcie opowiedzieć się po stronie Administracji.

– Za to ty się nawet nie zawahałeś. – Gold zaczekał, aż Lieberman łaskawym skinieniem głowy skwituje ten wątpliwy komplement. – Ale do mnie dzwoniли z Białego Domu – podjął. – Wygląda na to, że moja recenzja podobała się tam wszystkim. Przypuszczam, że z Prezydentem włącznie.

Gold litościwie nie wspominał, że zasugerowano mu również objęcie jakiejś bliżej nie określonej rządowej posady. Torturowanie Liebermana sprawiało mu przyjemność, ale miażdżąc go z kretesem przeciagnąłby chyba strunę.

Lieberman przyglądał mu się przez chwilę z niechęcią.

– Zalewasz – zawyrokował w końcu.

– Pamiętasz Ralpa Newsome'a?

– Załapał się w Departamencie Handlu.
– Teraz pracuje w Białym Domu. To on telefonował.
– Dlaczego nie zadzwonili do mnie, żeby skomplementować moją recenzję?
– Może jej nie czytali.
– Popieram Prezydenta.
– Może im to nie w smak.
– Newsome nigdy mnie nie lubił – przypomniał sobie Lieberman. – A ty zawsze trzymałeś z nim sztamę. Dostaliście nawet wspólnie tę subwencję z fundacji.
– Wcale nie wspólnie. Jednocześnie. Zresztą ty też go nie lubieś.
– Jest antysemitą.
– Wątpię.
– To go spytaj – zaperzył się Lieberman. – Jest za głupi, żeby skłamać. – Wzruszył ramionami, jakby chciał otrząsnąć wątrobę z kurzu wszystkich żalów, jakie tam zalegały. – Mam inny pomysł na twój artykuł – zakomunikował z wyrachowanym entuzjazmem. – Opłaczalny. Napisz mi trzydzieści do czterdziestu tysięcy słów za te same pieniądze, a ja rozbiję to na dwa numery. Wysmaż coś lekkiego, naszpikuj seksem i będziesz miał prawie gotowy materiał na jakąś popularną książkę, która może się okazać wielkim bestsellerem. Dorzuć do tego czarnych, narkotyki, aborcję i dużo międzyrasowego rżnięcia. Idę o zakład, że Pomoroy kupi to od ciebie na pniu.

Pomoroy, wbrew zapewnieniom Liebermana, przyjął pomysł z ponurą miną, a ponury Pomoroy w pogniecionej koszuli, zielonych sztruksowych spodniach i wielkich okularach wyglądał złowieszczo i przygnębiająco, jak postawiony pionowo trup. Był przygaszonym, nieszczęśliwym mężczyzną i miał czterdzieści osiem lat, tyle samo co Gold. Ciężką pracą dochrapał się stanowiska redaktora naczelnego w dobrze prosperującej, komercyjnej oficynie wydawniczej o troszeczkę zaszarganej opinii. Im większe sukcesy osiągał w pracy zawodowej, tym posepniejszy się stawał. Nie o taki rodzaj kariery mu chodziło. I bardzo się tym gryzł.

– Cały kłopot z takimi jak my ludźmi, którzy za szybko wystartowali – zauważył kiedyś najbardziej pogrzebowym ze swoich tonów – polega na tym, że wkrótce kończą im się możliwości dalszego awansu.

Ale Lieberman naturalnie się z nim nie zgodził. Pomoroy rzadko się śmiał albo podnosił głos; kiedy już się roześmiał, to zazwyczaj w bezskutecznej próbie zasugerowania jakiemuś zafrasowanemu autorowi, że sytuacja nie jest wcale taka zła, na jaką wygląda. Nie tolerował kłamstwa i nigdy nie znajdował usprawiedliwienia, by je praktykować.

– O czym ty właściwie mówisz? – spytał, kiedy Gold zrobił sobie przerwę na zaczerpnięcie oddechu.

Gold speszył się pod beznamiętnym spojrzeniem Pomoroya.

– O książce. Takiej w sam raz dla ciebie. Zostałem poproszony o napisanie wnikliwego studium na ten temat.

– Przez kogo?

– Przez kilka czasopism. Jeśli nie znajdziemy kogoś lepszego, Lieberman na pewno je opublikuje. Studium współczesnych żydowskich doświadczeń w Ameryce – brnął dalej z coraz cięższym sercem Gold. – Jak się tutaj dorastało takim ludziom jak ty i ja, nasi rodzice, żony i dzieci i jak się im tu teraz żyje. Nie sądzę, żeby robiono już coś takiego.

– Robiono, i to tysiące razy – poinformował go Pomoroy. – Ale nie mam pewności, czy zajmował się tym ktoś taki jak ty.

– No właśnie. Spod mojego pióra wyjdzie tekst na tyle świeży i lekki, żeby przyciągnął masowego czytelnika. Z silnym naciskiem na seksualizm.

– Dostarczysz mi udokumentowaną naukowo, rzetelną pracę, która zainteresuje wyższe uczelnie i biblioteki. Z silnym naciskiem na aspekty psychologiczne i socjologiczne.

Goldowi zrzęła mina.

– Z tego nie będzie pieniędzy.

– Dam ci gwarancję na dwadzieścia tysięcy dolarów. Z tego pięć odpiszemy na badania i podciagniemy pod koszty wydawnicze, zamiast doliczać ci je do honorarium autorskiego, i otrzymasz je w tym tygodniu.

– Powiedzmy sześć tysięcy. Kiedy następna wypłata?

– Pięć. Jak pokażesz mi pierwsze dwieście stron.

– Dwieście stron? – powtórzył z rozpaczą Gold. – To może potrwać wieczność.

– Wieczność szybko zlatuje – zauważył Pomoroy.

Gold opuszczał gabinet Pomoroya tryskając optymizmem.

Na początku każdej jesieni kalkulował, ile pieniędzy będzie mu potrzeba na przetrwanie do następnego lata oraz pokrycie wydatków związanych z nauką jednego syna w Yale, a drugiego w Choate, obu na częściowych stypendiach, jak również utrzymanie dysydenckiej, dwunastoletniej córki, która uczęszczała do prywatnej szkoły dziennej i była permanentnie zagrożona skreśleniem z listy uczniów. Oprócz swojej pensji profesora college'u Gold potrzebował dodatkowo dwudziestu ośmiu tysięcy dolarów. Mógł liczyć na osiem z honorariów autorskich i wynagrodzeń za odczyty, czyli do zdobycia pozostawało mu jeszcze dwadzieścia. Wydębził właśnie tysiąc od Liebermana i dwadzieścia od Pomoroya. Ale był winien Pomoroyowi książkę. Machnie ją migiem, jak tylko zgromadzi materiały. Żydzi potrafią się sprężyć. To pewne jak złoto.

II

Mój rok w Białym Domu

Przyszło zaproszenie na kolację wydawaną w piątkowy wieczór dla ojca i macochy Golda w mieszkaniu jego siostry Idy w Brooklynie, i jego żona, Belle, pod jego nieobecność je przyjęła. On sam jakoś by się wymówił.

– Wszyscy będą? – spytał tknięty złym przeczuciem. – Muriel z Idą się pogodziły?

– Na to wygląda.

Zrodziło się w nim nedorzeczne pragnienie, by przed weekendem nadleciał z poświstem silny podmuch arktycznego powietrza i wymusił nagły wyjazd ojca z macochą na Florydę, do umeblowanego apartamentu, który wynajmowali tam każdego roku przy cichym finansowym wsparciu, jak podejrzewał Gold, ze strony Sida, jego starszego brata. Od pewnego czasu trwały zakamuflowane podchody mające na celu nakłonienie ich do nabycia kondominium, co stwarzałoby nadzieję, że dłużej posiedzą na południu wiosną, a jesienią będą tam wcześniej wracali. Tego roku szczególnie ociągali się z wyjazdem. Coroczna jesienna fala ciepłego powietrza, nazywana przez Żydów Wielkimi Świątami, a przez gojów indiańskim lub babim latem, zdążyła już napłynąć i przeminać. Ojciec wynalazł jednak inne żydowskie święta. Gold miał cichą nadzieję, że może na przyjęciu nie będzie Sida, ale podejrzewał, że w tym przypadku również czeka go rozczarowanie. Stając w szranki z ojcem i starszym bratem, miał jak w banku okropne chwile dotkliwego upokorzenia. Ojciec będzie oskarżał, a Sid prowokował subtelnie, ze zręcznością, wobec której Goldowi opadały ręce. Z upływem lat z tej bezsilności zrodził się w Goldzie ponury podziw dla przebiegłości i chytrości brata. Sid był czternaście lat starszy od niego i miał teraz sześćdziesiąt dwa lata. Ojciec skończył osiemdziesiąt dwa. Z dzieciństwa Gold szczególnie wyraźnie pamiętał, jak pewnego letniego dnia Sid zgubił go celowo na Coney Island przy Surf Avenue, niedaleko Toru Przeszkód, żeby pójść na dziewczyny, i jak potem jedna ze starszych sióstr, Rose, a może Esther albo Ida, przysłała po niego na posterunek policji. Na wspomnienie tego incydentu do tej pory robiło mu się przykro.

Ostatnia w tygodniu godzina zajęć prowadzonych przez Golda kończyła się w piątek po lunchu. Edukacja stanowiła jedną z kilku dziedzin wiedzy, w której ludzie nie zorientowani uznawali go za eksperta. Doświadczenie nauczyło Golda, że – w odróżnieniu od niego – wielu studentów znajduje przyjemność w wyjeżdżaniu na weekendy, więc zawsze tak układał plan zajęć, aby przynajmniej jedna godzina wypadła w piątkowe popołudnie, co ograniczało do minimum liczbę osób chętnych do zapisania się na prowadzony przez niego kurs. Zazwyczaj dopiero w drugiej połowie semestru Gold tracił zainteresowanie wykładanym przez siebie materiałem i zaczynał nie lubić swoich studentów. Ale w tym semestrze działo się tak od samego początku.

Z kampusu uniwersyteckiego w Brooklynie pojechał metrem do małego apartamentu w samym sercu Manhattanu, który nazywał swoim studio, żeby sprawdzić, czy nie przysłała jakaś korespondencja od starych lub nowych przyjaciółek. I rzeczywiście, czekał tam na niego list od starej przyjaciółki, w którym zawiadamiła go, że w przyszłym miesiącu wpadnie może znowu na jeden dzień do miasta, i wyrażała nadzieję, że zjedzą razem lunch, przeciwko czemu Gold nic nie miał – zamówi kanapki i kawę z dostawą na miejsce. Whisky miał w apartamencie. Od portiera odebrał szarą kopertę zaadresowaną do doktora Bruce'a Golda i od razu wiedział, że to spóźniona pisemna praca przesłana pocztą przez jakiegoś tchórzliwego studenta. Zasmucił go ciężar przesyłki; rękopis był dość gruby, a on będzie go musiał przeczytać. Zatelefonował do Belli, żeby zapytać, o której wychodzą na kolację.

Potem wlekli się taksówką w ogonie wieczornych godzin szczytu, Belle milcząca, Gold znudzony, ze wspólnego mieszkania na manhattańskiej West Side do Brooklynu. Nad rzeką

zapadał mglisty zmierzch. Belle trzymała na kolanach papierową torbę na zakupy z gęstym ziemniaczanym kulem, który przyrządziła rano.

– Postaraj się nie dać po sobie poznać, że wolałbyś być gdzie indziej – poradziła nie spoglądając na niego. – Postaraj się nie wdawać w żadne spory z Sidem. Postaraj się jak najmniej rozmawiać z Victorem, Irvem, Miltem i Maxem. Nie zapomnij pocałować Harriet.

– Zawsze mówię jej „cześć”. To Sid wszczynają spory ze mną.

– On tylko mówi. Nawet nie do ciebie.

– Mówi, żeby mnie sprowokować.

– Spróbuję się wtedy wtrącić.

Gold wypchnął czubkiem języka przednią część policzka i usiłował skoncentrować wszystkie swoje złe uczucia na książce o Henrym Kissingerze, której napisanie planował od niemal roku. Temat nie był wystarczająco wciągający i kiedy taksówka wynurzała się z tunelu w Brooklynie, wybiegł znowu myślami do czekającej go przygnębiającej imprezy.

Czuł się paskudnie.

Cała reszta będzie się doskonale bawić, ale dla niego od jakiegoś czasu przyjęcia rodzinne stały się wyczerpującymi i monotonnymi testami wierności tradycji, którym poddawał się z rezygnacją i treścią, ilekroć nie pozostawiono mu żadnego innego cywilizowanego wyboru. Nie będzie tam nikogo, za kim by się stęsknił. Nie lubił już ojca ani brata, o ile w ogóle kiedyś ich lubił. Od czasu do czasu odczuwał coś w rodzaju wdzięczności albo współczucia wobec swoich czterech starszych siostr, ale obiekt i głębia tych uczuć zmieniały się w zależności od tego, którą z nich w danym momencie wspominał najmilej z okresu po śmierci matki i wcześniejszego. Cała rodzina wiedziała, że cieszy się dużą sławą jako pisarz, lecz nie potrafiła zrozumieć dlaczego.

Gold poczuł awersję do wszelkich form rodzinnych sentymentów, kiedy ukończył szkołę średnią i przeniósł się na Manhattan, by rozpocząć studia w Columbia College. Był bardzo dumny, że wstępuje na tak prestiżowy uniwersytet, i z ogromną ulgą uciekał od swojej wielkiej rodziny składającej się z pięciu siostr i jednego brata, w której przez całe życie czuł się tłamszony i nie doceniany.

– Zamierzałem rzucić studia i walczyć w Izraelu – chełpił się przed Belle, kiedy się w sobie zakochiwali – ale trzymało mnie to stypendium Columbii.

Ani razu nie pomyślał o rzuceniu studiów i walczeniu w Izraelu. Nie studiował też wcale na Columbii jako stypendysta, tylko założone przez ojca pieniądze, z czego większość, teraz to do niego dopiero docierało, przekazywali przez nieodpowiedzialne ręce starego Sida i jego trzy starsze siostry. Co do czwartej, Muriel, to nie słyszano jeszcze, by rozstała się dobrowolnie choćby z jednym dolarem dla kogokolwiek, z wyjątkiem siebie i swoich dwóch córek.

Piąta siostra, Joannie, mieszkała w Kalifornii. Bogu dzięki, była młodszą siostrą. Uciekła z domu z nadziejami na zrobienie kariery w zawodzie modelki albo aktorki filmowej i była teraz żoną bufonowatego biznesmena z Los Angeles, który nie lubił przyjeżdżać na Wschód i pogardzał wszystkimi członkami rodziny z wyjątkiem Golda. Kilka razy do roku Joannie przylatywała do Nowego Jorku, żeby zobaczyć się tylko z tymi, z którymi chciała się zobaczyć.

Gold znalazł się w centrum rodzinnego zainteresowania od czasu, kiedy przyniósł ze szkoły pierwszą wzorową cenzurkę, czyli komplet ocen A plus. Muriel, która była mu najbliższa wiekiem i swoje złe humory wyładowywała wówczas przeważnie na Idzie, od tej pory zaczęła dokuczać także jemu. Siostrą, która obudziła w Goldzie potrzebę walki o lepsze stopnie, choć nauka i tak szła mu doskonale, była nadgorliwa Ida. Co do Rose i Esther, dwóch najstarszych siostr, to zdarzały się chwile, kiedy Gold myślał, że chyba oszaleje od łzawych wyrazów czci i uwielbienia, jakimi wciąż go zasypywały. Najwyraźniej spełnił wszystkie

nadzieje, jakie w nim pokładały. Każde ich spojrzenie ociekało miłością i Gold miał już tego serdecznie dosyć.

Pamiętał, że kiedy uczył się w college'u, zarówno Rose, jak i Esther przysyłały mu często pocztą albo wręczały osobiście dwudziestodolarowe banknoty. Podobnie jak Sid, obie po ukończeniu szkoły średniej poszły do pracy, skoro tylko ją znalazły. Ida skończyła college i została nauczycielką. Dawała mu piątki, zawsze ze ścisłymi instrukcjami, na co ma te pieniądze wydać. Rose i Ida nadal pracowały, Rose jako dyplomowana sekretarka w firmie, która zatrudniła ją jeszcze podczas Wielkiego Kryzysu, Ida w oświacie publicznej. Ida była teraz zastępczynią dyrektorki szkoły podstawowej i walczyła o pozostanie przy zdrowych zmysłach, użerając się z agresywnymi czarnymi i Latynosami, którzy chcieli wykurzyć wszystkich Żydów i mówili to wprost. Esther przed dwoma laty owdowiała. W ciągu jednej nocy wypadło jej mnóstwo włosów, a reszta posiwiiała. Czasami przebąkiwała mgliście o zamiarze znalezienia sobie znowu pracy bibliotekarki, ale miała już pięćdziesiąt siedem lat i była zbyt nieśmiała, żeby próbować ją znaleźć. Muriel, której mąż Victor nieźle wychodził na hurtowym obrocie wołowiną i cielęciną, stanowiła na tle reszty sióstr wyraźny kontrast. Farbowała sobie włosy na czarno, żeby zamaskować siwiznę, i grała w pokera z przyjaciółmi, którzy nie stronili również od wypadów na tor wyścigów konnych. Będąc nałogową palaczką o ochrypłym głose i szorstkim obejściu, rozsiewała na prawo i lewo popiół z papierosów, który Ida, ze swoją wrodzoną gorliwością i zamiłowaniem do porządku, na bieżąco zmiatała nie szczędząc siostrze zrzedliwych, pouczających komentarzy – nawet we własnym domu Muriel.

Tak więc pomiędzy pierworodnym Sidem a Goldem, drugim i ostatnim dzieckiem płci męskiej, stały te cztery starsze siostry, które czasami, nękając Golda pytaniami, wymówkami, troską i radami, robiły zamieszania za czterysta pięćdziesiąt. Ida upominała go, żeby powoli przeżuwał jedzenie. Rose telefonowała z ostrzeżeniem, że na dworze jest lodowaty ziąb. Gold uważał całe swoje rodzeństwo za staroświeckie, naiwne i niepomne bardzo realnej bliskości grzechu i zła. Wyjątkiem był Sid i jego żona Harriet. Sida, w jego młodzieńczych latach, przydybano raz w San Francisco, kiedy miał przebywać w interesach w San Diego, raz w Acapulco, kiedy miał być w San Francisco, oraz kiedyś na łodzi mieszkalnej w Miami, kiedy był zameldowany w hotelu w Puerto Rico. Ale osiągnąwszy wiek średni, Sid ustatkował się i nauczył odnajdywać bez trudu drogę do właściwych hoteli.

Teraz, jeśli wyjeżdżał z miasta, to jedynie z żoną na krótki urlop albo w zimie, by odwiedzić ojca na Florydzie. Był jowialnym, zwalistym, potężnie zbudowanym mężczyzną o rozlazłym ciele i czesanych z przedziałkiem siwych włosach; podkreślał bez przerwy swoje zewnętrzne podobieństwo do ojca, chociaż ich stary był niski, przysadzisty i miał gęstą, siwą czuprynę, która sterczała mu na głowie niemal dęba, jak włosy postaci z komiksu rażonej potężnym ładunkiem elektrycznym. Gold dla odmiany był szczupły i ciemnowłosy, z cieniami pod oczami w ściągniętej, nerwowej twarzy, którą kobiety uznawały za dynamiczną i seksowną. Ubiorem Sid utożsamiał się ustępliwie z pokoleniem starej daty, nosząc proste szare i granatowe garnitury, białe koszule i szerokie niebieskie albo kasztanowe szelki, podczas gdy ich wymagający, autokratyczny ojciec, emerytowany krawiec Julius Gold, z roku na rok stylem ubierania się coraz to bardziej przypominał dobrodusznego hollywoodzkiego nababa, preferując kaszmirowe koszulki polo i lekkie blezery. Z jakichś niezrozumiałych przyczyn Sid zdawał się darzyć ojca coraz większym sentymentem, ale Gold pamiętał, jak dawno temu brat uciekł na całe lato z domu, żeby odetchnąć od despotycznych dziwactw i swarliwej chełpliwości starego.

Gold i Belle stawili się w mieszkaniu Idy przy Ocean Parkway jako przedostatni; chwilę po nich weszli Muriel z Victorem. Irv, mąż Idy, pełnił ochoczo obowiązki gospodarza. Był dentystą i prowadził gabinet nad sklepem z farbami przy Kings Highway. Gold miał trudności z rozróżnieniem ich wszystkich. Była to prawdziwa droga przez meke. Wymienił

okolicznościowe uściski dłoni z Irvem, Victorem, Sidem, Miltem, Maxem i swoim ojcem, odpajkując każdy następny z coraz mniejszym zaangażowaniem.

Max, mąż Rose, który był trochę diabetykiem, siorbał wodę sodową ze szklanki. Pozostali mężczyźni, oraz Muriel, pili whisky, reszta kobiet sęczyła słabe drinki. Belle zniknęła w kuchni, żeby nadzorować rozpakowywanie swojego ziemniaczanego kugelu i zaoferować pomoc Idzie, ale ona prawdopodobnie wypędziła ją stamtąd, przydzielając jej rozmaite zadania do wykonania i strofując za opieszałość. Wszyscy obecni, włączając w to ojca, mieli co najmniej jedno dziecko nie spełniające ich oczekiwań.

Gold wziął od Irva bourbona i przystąpił do cmokania kobiet w policzki. Harriet przyjęła jego powitanie bez entuzjazmu. Macocha upoważniła go do pocałunku podrywając znad robótki głowę i przekrzywiając ją na bok. Gold pochylił się nad nią z ramionami gotowymi do odparowania ciosu, na wypadek gdyby ubzdurało się jej, żeby dźgnąć go w szyję jednym z drutów.

Macocha Golda pochodziła ze starej żydowskiej rodziny z Południa z odgałęzieniami w Richmond i Charleston i nałogowo, na rozmaite wyszukane sposoby, utrudniała mu życie. Kiedy się do niej zwracał, często wcale nie odpowiadała. Przy innych okazjach burczała: „Nie odzywaj się do mnie”. Kiedy w ogóle się do niej nie odzywał, podchodził ojciec, dawał mu kuksańca i nakazywał: „Powiedz coś do niej. Masz ją za głupszą od siebie?” Zawsze robiła na drutach coś z grubej, białej wełny. Kiedy raz pochwalił jej zręczność w posługiwaniu się drutami, poinformowała go z oburzeniem, że to szydełko. Kiedy następnym razem zapytał, jak jej idzie szydełkowanie, zachnęła się: „Ja nie szydełkuję. Ja robię na drutach”. Często przywoływała go do siebie tylko po to, żeby zaraz kazać mu odejść. Czasami podchodziła i mówiła: „Gdak, gdak”.

Nie miał pojęcia, co na to odpowiedzieć.

Macocha robiła na drutach nieskończoną wstęgę czegoś grubego, co było za wąskie na szal, a za szerokie i za proste na cokolwiek innego. Miało to około sześciu cali szerokości i pewnie z tysiąc mil długości, bo pracowała nad tą samą robótką jeszcze przed wyjściem za jego ojca, czyli od wielu lat. Golda nawiedziła kiedyś falująca wizja, w której ten pas materiału o luźnym splocie wypływał z dna wiklinowego koszyka macochy na rezydencję w Brooklynie w Manhattan Beach, którą Sid wyszukiwał ojcu i jej każdego lata, a potem wędrował linią brzegową aż do Florydy i w niezbadane tereny poza nią. Macocha nigdy nie narzekała na brak wełny ani nie domagała się większego wiklinowego koszyka, w który mógłby opadać urobek. Nic wysuwała się regularnymi skokami w górę z jednej strony, a przetworzony produkt, czymkolwiek był, spływał, być może na wieczność, po przeciwległej stronie.

– Co robisz? spytał ją pewnego razu z ciekawości, której nie potrafił już pokryć milczeniem.

– Zobaczysz – odparła tajemniczo.

Gold skonsultował się z ojcem.

– Co ona robi, tato?

– Pilnuj swego nosa.

– Ja tylko pytałem.

– Nie zadawaj osobistych pytań.

– Rose, co ona robi na tych drutach? – spytał siostrę.

– Coś z wełny – pośpieszyła z wyjaśnieniem Belle.

– Tyle sam wiem, Belle. Ale co ona z niej robi?

– Coś na drutach – powiedziała Esther.

Macocha Golda robiła na drutach i robiła, i robiła to bez końca. Kiedyś spytała:

– Podoba ci się moja robótką?

– Słucham?

– Czy podoba ci się moja robótka?
– Oczywiście – odparł skwapliwie.
– Nigdy tego nie mówisz – nadała się.
– Podoba mi się twoja robótka – powiedział Gold wycofując się zmieszany na obity skórą fotel przy drzwiach.

– Powiedział, że podoba mu się moja robótka – usłyszał głos macochy zwracającej się do jego szwagrów, Irva i Maxa. Ale mnie się wydaje, że próbuje mydlić mi oczy.

– Jaką miałeś podróż? – spytała go troskliwie Esther.

– Dobrą.

– A gdzie byłeś? – spytała Rose.

– W Wilinington.

– Gdzie był? – spytała mijająca ich z tacą Ida.

– Waszyngton – powiedziała Rose.

– Wilmington?

– Wilmington.

– Waszyngton.

– Waszyngton?

– Byłem w Wilmington – poprawił je wszystkie. – W stanie Delaware.

– Och – westchnęła zbita z tropu Rose.

– Jaką miałeś podróż? – spytała w przelocie przechodząca obok Ida.

Gold czuł, że zaraz oszaleje.

– Powiedział, że dobrą – odpowiedziała za niego Esther, uprzedzając w tym Rose, i podryfowała w kierunku stoliczka kawowego, na którym stały półmiski z płatami wątróbki, mocno ściętą jajecznicą i siekaną cebulką, atakowane małymi nożami i przenoszone wybiórczo lub razem na okrągłe krakersy albo małe kromki ryżowego chleba i czarnego pumpernika.

– Poznałeś tam jakieś ładne dziewczyny? – spytała Muriel. Była najmłodsza z obecnych na przyjęciu sióstr i czuła się zobligowana, by zawsze być nowoczesną.

– Tym razem nie – mruknął Gold ze stosownym uśmiechem.

Muriel zaczerwieniła się. Irv zachichotał, a Victor, mąż Muriel, zrobił zmieszaną minę. Rose przesuwiała po twarzach badawczym wzrokiem. Gold od jakiegoś czasu podejrzewał, że Rose popsuł się słuch i że może sama o tym nie wie. Natomiast jej mąż, Max, pracownik poczty, zaczął ostatnio seplenić, i Gold był ciekaw, czy ktoś oprócz niego też to zauważył.

Wróciła Esther z przygotowanym dla niego talerzykiem i z solniczką w uniesionej wysoko ręce.

– Przyniosłam to wszystko dla ciebie – oznajmiła drżącym głosem. – I twoją solniczkę też. Gold zmieszał się.

– Nie rozpieszczaj go – zażartowała ponuro Muriel, obsypując sobie biust popiołem ze zwisającego jej z ust papierosa.

Wszystkie kobiety w rodzinie Golda sądziły, że Gold lubi przesolone potrawy.

– Nie sól, dopóki nie spróbujesz – krzyknęła Ida z drugiego końca pokoju. – Już to przyprawiłam.

Gold puścił tę radę mimo uszu i dalej solił trzymanego w rękę krakersa. Palce innych gości rozszarpały w mig resztę krakersów z jego talerza. Esther i Rose przyniosły mu zaraz dokładkę. Sid patrzył na to z rozbawieniem. Tyle pieprzonych twarzy, pomyślał Gold. Tylu ludzi. I wszyscy obcy. Ostatnio nawet Belle. A zwłaszcza macocha.

Nigdy nie zapomni swojego pierwszego spotkania z macochą. Sid poleciał na Florydę na ślub i wrócił wraz z nią i z ojcem na przyjęcie powitalne, które urządził w swoim domu w Great Neck. Po ceremonii prezentacji zapadło niezręczne milczenie, bo chyba nikt nie

wiedział, co powiedzieć. Gold wystąpił przed innymi ze szlachetnym zamiarem rozładowania napiętej atmosfery.

– Jak byś sobie życzyła – spytał z najbardziej wyszukaną kurtuazją – żebyśmy się do ciebie zwracali?

– Chciałabym, żebyście mnie traktowali tak, jak robiłyby to moje własne dzieci – odparła Gussie Gold z równą gracją. – Chciałabym uważać was wszystkich za swoje dzieci. Nazywajcie mnie, proszę, mamą.

– Świetnie, mamó – podchwycił Gold. – Witaj w rodzinie.

– Nie jestem twoją matką – warknęła.

Gold był jedynym, który się wtedy roześmiał. Być może pozostali od razu pojęli to, co umknęło jego uwagi. Ich macocha była niespełna rozumu.

Macosze Golda wpojono w dzieciństwie, że nigdy nie może dopuścić, by widziano ją posilającą się publicznie, tak więc weszła do jadalni jak zawsze ze swoimi drutami i nieodłącznym wiklinowym koszykiem. Przy stole przewidzianym na dziesięć osób stłoczyło się łokieć w łokieć osób czternaście. Gold wiedział, że nie tylko jemu wsporniki pod rozsuniętym blatem uciskają nogę. Uczestniczyłem w tylu podobnych posiłkach, że wolę nie pamiętać, lamentował w duchu. Córka Idy wypuściła się gdzieś na wieczór, a jej syn był w college'u.

– Widzę na stole – oznajmił Sid z tak uogólnioną przyjacielskością, że mięśnie Golda napięły się odruchowo w oczekiwaniu jakiegoś czyhającego w pobliżu, kolczastego niebezpieczeństwa – ziemniaczany kugel Belle, pudding z kluseczkami Esther, sałatkę ziemniaczaną Muriel i przyrządzone przez Rose... – urwał.

– Zrobiłam macowe kulki – odpowiedziała Rose rumieniąc się.

– ...i przyrządzone przez Rose macowe kulki – dokończył Sid.

– I moją robótkę – uzupełniła macocha Golda.

– I twoją robótkę.

– Podoba ci się moja robótką? – spytała kokieteryjnie macocha, jakby bardzo jej zależało na dobrej opinii Sida.

– Założę się, że to najsmakowitsza robótką na całym świecie.

– Jemu się nie podoba – mruknęła macocha, zerkając na Golda.

– Podoba mi się – bąknął Gold.

– Nigdy mi nie mówi, czy mu się podoba.

– Podoba mi się twoja robótką.

– Nie mówiłam do ciebie – ucięła.

Victor roześmiał się głośniej od innych i zaraz zamilkł przekonany, że Gold z Irvem obrzucili go karcącymi spojrzeniami. Nie mylił się, ale Gold nie żywił do niego żadnej urazy. Victor, czerwony na twarzy i silny jak byk, był dobry dla Muriel i lubił Belle, i zawsze było wiadomo, że przyśle jedną ze swoich ciężarówek do przewozu mięsa i paru robotników, kiedy ktoś będzie miał do przetransportowania coś ciężkiego. Postawę, zarówno siedząc jak i stojąc, miał tak idealną, że zdawał się trzymać prosto kosztem jakiegoś olbrzymiego wysiłku. Gold nie miał wątpliwości, że spośród nich wszystkich jego pierwszego powalił zawał serca.

– A ja upiekłam miodowy placek – wtrąciła nadąsana Harriet. – Na pewno mi nie wyszedł. Chciałam zrobić galaretkę, ale wiem, że wszyscy macie jej już dosyć.

– I miodowy placek Harriet – dokończył Sid.

– Mnóstwo skrobi – zauważył Max, którego poza tym, że był diabetikiem, podejrzewano również o pewne zaburzenia krążenia. Z zatroskanym marszem na czole odmówił sobie wszystkiego, prócz skrzydełka kurczęcia, plasterka pieczeni, od którego skrupulatnie oddzielił tłuszcz, i fasolki szparagowej.

Esther usługiwał Milt, konkurent umizgujący się do niej z niemal niemą cierpliwością. Czekala sztywno, aż skończy, nawet na niego nie spoglądając. Milt, starszy brat wspólnika w interesach jej zmarłego męża, był troskliwym, pełnym szacunku mężczyzną, który w gronie rodzinnym niewiele się odzywał. Skończył już sześćdziesiąt pięć lat, był więc starszy od Sida, i nigdy nie był żonaty. Ruchem, który od biedy można było nazwać rażnym, nałożył drugą łyżkę makaronowego puddingu na talerz Esther, a potem jeszcze jedną łyżkę na własny. Esther podziękowała mu nerwowym uśmiechem.

Na stole stał półmisek z klopsikami i obok drugi z nadziewanymi kiszkami oraz głęboka miska polanych tłuszczem z kurczaka i okraszonych podsmażaną cebulką ziemniaków, które Gold najchętniej sam by wszystkie spałaszował.

– Co słychać? – zagadnęła go Ida.

– Nic.

- Pisze książkę – wyrwała się Belle.
- Naprawdę? – ucieszyła się Rose.
- Znowu jakaś książka? – prychnął ironicznie ojciec.
- O, jak wspaniale – wtrąciła Esther.
- Owszem – przyznała Belle.
- O czym? – spytała Golda Muriel.
- O żydowskich doświadczeniach – poinformował ją Sid, a potem zawołał do Golda przez stół: – Czyich?
- Co czyich? – spytał czujnie Gold.
- Czyich żydowskich doświadczeniach?
- Jeszcze się nie zdecydowałem.
- Pisze też kilka artykułów – pochwaliła się Belle.
- Będzie to w zasadzie bardzo ogólny tekst – dorzucił Gold z wyraźnym ociąganiem.
- Co to znaczy? – domagał się natychmiastowego sprecyzowania ojciec Golda.
- To książka o byciu Żydem – powiedziała Belle.
- Ojciec Golda parsknął pogardliwie.
- A co on wie o byciu Żydem? – ryknął. – Nawet nie urodził się w Europie.
- To będzie o byciu Żydem w Ameryce – wyjaśniła Belle.
- Zbiło to trochę ojca Golda z pantafelku, ale tylko na chwilę.
- O tym też wie tyle co nic – stwierdził. – Żydem w Ameryce również byłem dłużej od niego.
- Dobrze mu za to płacą – argumentowała Belle. Gold modlił się, żeby już przestała.
- Ile ci dają? – zapytał ojciec Golda.
- Dużo – powiedziała Belle.
- Ile? Może dużo dla niego, ale nie dla innych – stwierdził ojciec. – Prawda, Sid?
- Ty to powiedziałaś, tato.
- No, ile ci dają?
- Dwadzieścia tysięcy dolarów – powiedziała Belle.
- Gold zauważył, że suma ta wywarła oszałamiające wrażenie, zwłaszcza na ojcu. Sam osobiście wykręciłby się od jej wymieniania. Maxowi, Rosie i Esther, a może nawet Victorowi i Irvowi musiało się to wydawać fortuną. Dostrzegali tylko owoce, a zapominali o pracy.
- O, jak wspaniale – bąknęła Rose.
- To nie tak znowu dużo – burknął zdeprymowany ojciec Golda. – W swoim czasie więcej wyciągałem.
- I więcej przetrąciłeś, pomyślał Gold.
- Niektórzy piszą scenariusze do filmów i zarabiają dużo więcej – zauważyła bez przekonania Harriet, a Sid zachichotał cicho.
- Gold otwierał już usta, żeby odpowiedzieć, lecz ubiegła go Belle.
- Tak, ale to tylko na początek. I z tego pięć tysięcy dolarów jest przeznaczone na badania. Nie obciąża się nawet nimi gwarantowanego honorarium.
- O, jak wspaniale – powiedziała szybko Esther, żeby wesprzeć jakoś Golda. – Założę się, że wspaniale.
- A co to znaczy? – spytał poważnie Sid.
- To trudno wyjaśnić – powiedziała Belle.
- Nie, wcale nietrudno.
- Tak mi powiedziałaś.
- Nie słuchałaś, kiedy tłumaczyłem.
- Nie sprzecząjcie się – wtrąciła ze złośliwą satysfakcją Harriet.

– To znaczy – zaczął Gold, zwracając się głównie do Sida i Irva – że od mojego honorarium pięć tysięcy dolarów odliczone zostaje na koszty wydawnicze, nawet jeśli nie wydam całej tej sumy na badania. O tyle więcej mogę zarobić w prowizjach od sprzedaży książek.

Czy nie tak właśnie powiedziałam? – zachnęła się Belle.

To mi wygląda na bardzo korzystne warunki – zauważył jak zawsze nieśmiało podstarzały absztyfikant Esther, Milt, a Goldowi przypomniało się, że Milt jest księgowym i zna się na tych sprawach.

– Słuchaj, Bruce – odezwał się Irv, przykładając kciuk i palec wskazujący do policzka. Jego praktyka dentystyczna przestała się rozwijać, przez co nabawił się nerwowego tik w prawym policzku, który często nadawał jego twarzy głupkowato uśmiechnięty wyraz. – Chyba nie zamierzasz pisać o kimś z nas, co?

– Nie, oczywiście, że nie – zaprzeczył żywo Gold. – Czemu miałbym robić coś takiego?

Fala odprężenia okrążyła stół, po chwili jednak wszyscy spoważnieli.

– A czemu nie? – spytał wyzywająco ojciec. – Coś nam brakuje?

– To nie ten rodzaj książki. – W dyskusjach z ojcem Gold wciąż miał tendencję do spuszczenia z tonu.

– Nie?! – ryknął ojciec, unosząc się z krzesła i wymierzając w Golda zagięty jak szpon palec wskazujący. – No to mam dla ciebie nowinę, cwaniaczku. Beze mnie wszystko spaprasz. Powiedziałem ci tak już kiedyś i teraz ci to mówię. Tak ci mówiłem od początku. Nie jesteś odpowiedni do tej roboty. – W jednej sekundzie przeszedł od cholerycznej wojowniczości do pogodnej pewności siebie i usiadł z powrotem, przekrzywiając na bok głowę. – Dobrze, Sid? – spytał, odwracając się i spoglądając na drugiego syna.

– Ty to powiedziałeś, tato.

Julius Gold opuścił powieki w wyrazie narcystycznego samozadowolenia.

A to dwa sukinsyny, pomyślał Gold, sięgając ze źle ukierunkowaną wrogością po miskę tłuczonych ziemniaków z cebulką, żeby naładować sobie na talerz kolejną ogromną dokładkę. Gdyby się chociaż kiedyś lubili.

– Odezwali się znowu do ciebie z Białego Domu? – spytała z promiennym uśmiechem jego siostra Rose.

– Nie – pośpieszyła z odpowiedzią Belle, ubiegając w tym Golda, i na twarzy Harriet rozlało się zadowolenie.

– Ale przedtem odzywali się do niego dwa razy – powiedziała Esther. – Miał dwa telefony.

– To nie był właściwie Biały Dom – skorygował Gold. – Dzwonił do mnie przyjaciel, z którym chodziłem do szkoły i który pracuje teraz w Białym Domu.

– Na jedno wychodzi – powiedziała Ida. – Przecież dzwonił z Białego Domu, prawda?

– Nie wiem, gdzie był, kiedy do mnie dzwonił – odparł Gold lekko sarkastycznym tonem.

– W Białym Domu – zawyrokowała Belle z niewzruszonym wyrazem twarzy. – Nazywa się Ralph Newsome.

– Dzięki – mruknął Gold. – O mało nie zapomniałem jego nazwiska.

– Nigdy o nim nie słyszałam – stwierdziła Harriet.

– Jest członkiem personelu Prezydenta – poinformowała ją Muriel i zwracając się do Golda dodała: – Prawda?

Gold siedział ze spuszczoną głową i milcząc wpatrywał się w swój talerz.

– Kiedy byłam słodką i bardzo ładną dziewczynką z Richmond, przejeżdżałam raz koło Białego Domu – przypomniała sobie macocha Golda. – Był jakiś taki brudny.

– Ale powiedział, że podobała mu się twoja książka, tak? – dopytywała się Esther.

– Nie moja książka – mruknął zdeprymowany Gold.

– Jego recenzja książki Prezydenta – wyjaśniła Belle.

- Założę się, że Prezydentowi też się podobała – powiedziała Rose.
- Podobała się – przytaknęła Belle. – Zaproponowali mu posadę.
- Prezydent? – spytała Ida.
- Nic mi nie proponowali – warknął z irytacją Gold. – Nie żaden Prezydent. Zapytano mnie tylko, czy myślałem kiedyś o pracy w Waszyngtonie. To wszystko.
- Mnie to wygląda na propozycję pracy – uznał Irv.
- A widzisz? – powiedziała Belle.
- I co na to odpowiedziałeś? – spytał z zaciekawieniem Max.
- Powiedział, że się zastanowi – odparła Belle.
- Prosiłem cię, żebyś im nie mówiła.
- Też coś! – obruszyła się Belle. – Przecież to twoja rodzina. Powiedziałeś, że prawdopodobnie przyjmiesz tę propozycję, jeśli okaże się, że to jakaś dobra posada.
- A ty powiedziałaś, że się tam nie przeniesiesz – przypomniał jej Gold.
- Bo się nie przeniosę – odparła Belle.
- Dwadzieścia tysięcy? – wykrzyknął nagle ojciec Golda i parsknął rubasznym śmiechem.
- Mnie by dali milion!

Popiół, pomyślał z wściekłością Gold, przeżuając tłuczone ziemniaki i chleb z zapamiętaniem, z którego nie zdawał sobie nawet sprawy. Strawa, która obraca się w popiół! Tak miałem z ojcem przez niemal całe swoje życie, stwierdził ponuro.

Od samego początku, rozpamiętywał Gold. Kiedy powiedziałem, że chcę się wziąć za interesy, kazał mi zostać w szkole. Kiedy postanowiłem zostać w szkole, kazał mi się wziąć za jakiś interes. „Ty głupku – powiedział. – To marnowanie czasu. Nieważne, ile wiesz. Ważne, kogo znasz”. Kiedy mówiłem, że mokro, on twierdził, że sucho. Kiedy mówiłem, że biały, on mówił... Te czarnuchy zapaskudzają dzielnicę, wszyscy razem i każdy z osobna, i o to chodzi. *Fartig*. To było w okresie, kiedy działał w handlu nieruchomościami. Dawno temu ten apodyktyczny okrzyk *Fartig* zasiewał natychmiast pokorną ciszę, którą każdy członek rodziny, włącznie z matką Golda, panicznie bał się przerwać.

Dla nikogo nie było tajemnicą, że ojciec uważał Golda za *szmoka*. I byłoby niesprawiedliwością twierdzić, że się na nim zawiódł, bo przecież zawsze uważał go za *szmoka*.

– Od samego początku – perorował ojciec z perwersyjną rodzinną dumą, jakby Golda tu nie było – wiedziałem, że nic z niego nie będzie. I miałem rację? Dobrze, że jego matka nie dożyła dnia jego narodzin.

– Tato – poprawił go taktownie Sid – kiedy mama umarła, Bruce chodził już do szkoły średniej.

– Lepsza od niej kobieta nigdy nie przyszła na świat – odparł ojciec Golda, kiwając przez chwilę głową w głębokiej zadumie, a potem spojrzał oskarżycielsko na Golda, jak gdyby matka umarła w wieku czterdziestu dziewięciu lat z jego winy. – Ani z niego nie zeszła – dodał załamującym się głosem.

Pewnego razu, kiedy Gold bawił na Florydzie w odwiedzinach u ojca, ten przeciągnął go na drugą stronę ulicy, gdzie zobaczył jakichś swoich znajomych i przedstawił im Golda, mówiąc: „To syn mojego brata. Ten, który nigdy nie był wiele wart”.

Ojciec miał o Goldzie – jak i o prawie wszystkich innych ludziach na świecie, włączając w to Sida – ugruntowaną opinię, że brakuje mu głowy do interesów. Pomimo nieprzerwanego pasma porażek w wielu rodzajach działalności i przedsięwzięć, z których Goldowi wiadomo było tylko o części, uważał siebie za wzór wspaniałych osiągnięć i rzadkiej bystrości umysłu, i nigdy nie wzdragał się przedstawiać siebie jako wnikliwego obserwatora poczynąń wszystkich innych, łącznie z Sidem i General Motors. Jedną z jego przenikliwszych ocen gospodarczych w tym roku dotyczyła firmy American Telephone and Telegraph i brzmiała: „Nie mają żadnego talentu w zarządzie”.

– To wielka firma, fakt – mówił Julius Gold – ale nie potrafią się rządzić. Gdyby to do mnie należały te wszystkie telefony, o kurczę, żaden interes by się beze mnie nie obszedł.

Tego roku jego wizytą w Nowym Jorku, oficjalnie dla odwiedzenia stomatologa, wypadła w maju. Chociaż był od zawsze zdeklarowanym niedowiarkiem, teraz zaparł się, że zostanie z rodziną przez wszystkie żydowskie święta, i wciąż odkrywał nowe, o których nikt nigdy nie słyszał.

– Pewnie zaczął czytać ten cholerny Talmud – burknął Gold do Helle, kiedy ojciec powołał się na Szemini Aceret. Belle udąła, że nie słyszy. – Albo sam je wymyśla – dodał.

Podobną, a nawet silniejszą od swojej niechęć Gold zaobserwował u Harriet.

– Jak to? – mruknęła pod nosem na parę dni przed przyjazdem teścia. – Czy w Miami nie ma już dentyków?

Gold zdawał sobie sprawę, że to kruchy i tymczasowy sojusz, bowiem Harriet od jakiegoś czasu metodycznie dystansowała się od rodziny, zupełnie jakby zapobiegliwie przygotowywała się na jakąś nieuchronną i przewidywaną dalekowzrocznie ewentualność. Miała na utrzymaniu owdowiałą matkę i starszą niezamężną siostrę.

Ojciec Golda miał niecałe metr sześćdziesiąt wzrostu i miewał niespodziewane napady geniuszu. „Róbcie pieniądze!”, potrafił zakrzyknąć nagle ni z gruszki, ni z pietruszki, a macocha dodawała wtedy liturgicznie: „Powinniście wszyscy słuchać swojego ojca”.

– Róbcie pieniądze! – zakrzyknął nagle, jakby wyrwało go z transu jakieś płomienne objawienie. – To jedyna dobra rzecz, jakiej nauczyłem się od chrześcijan – ciągnął z tym samym wesołym ferworem. – Wołowina z rożna jest lepsza od gotowanej, to jeszcze jedna dobra rzecz. A stek z krzyżówki jest lepszy od steku z łopatki. Kraby są obrzydliwe. Nie mają łusek, a pełzają. Nie potrafią nawet pływać. I o to chodzi. *Fartig*.

– Powinniście uważniej słuchać swojego ojca – powiedziała macocha i zmierzyła Golda surowym, karcącym spojrzeniem.

– A co on ode mnie chce?

– Czego się nie tknie – odparł ojciec – zawsze to spapra. Uczyłem zawsze swoje dzieci – ciągnął, jakby zwracał się do jakiegoś wyimaginowanego słuchacza – żeby nie ceniły dolara, lecz tysiąc, dziesięć tysięcy dolarów. I wszystkie one, z wyjątkiem jednego... – tu, z absolutną pogardą dla faktów i ku wyraźnemu zakłopotaniu reszty biesiadników, zawiesił głos, by spojrzeć z morderczym obrzydzeniem na Golda – ...zrozumiały i teraz opływają w dostatki, a zwłaszcza obecny tu Sid i mała Joannie. – Na wspomnienie najmłodszej córki, która tak szybko wyfrunęła z gniazda, oczy zaszły mu mgiełką wzruszenia. – Zawsze umiałem doradzić. Wiem dobrze, że kiedy się zestarzeję... – Gold, słuchając deklamacji tego zdziwaczałego bufona, nie wierzył własnym uszom – ...że kiedy się zestarzeję, tylko wy mnie wesprzecie, moje dzieci.

Gold, coraz bardziej zdenerwowany, nie miał już żadnych skrupułów.

– No cóż, nie lubię się chwalić – wypalił bezceremonialnie – ale kiedy przed siedmioma laty pracowałem w Fundacji...

– I już tam nie pracujesz! – wpadł mu w słowo ojciec.

Gold skapitulował i zaczął udawać, że szuka swojego talerzyka, natomiast Rose, Muriel i wszyscy szwagrowie zaklaskali zachwyceni w dłonie, a Esther z Idą zaniósł się śmiechem. Golda tknęło straszne przecucie, że niektórzy z nich wskoczą za chwilę na krzesła i zaczną podrzucać w górę kapelusze. Ojciec znowu usiadł niespiesznie z tym swoim uśmieszkiem samozachwyty i przymknął powoli powieki. Gold nie miał innego wyjścia, jak również się uśmiechnąć. Nie chciał, by ktokolwiek poznał po nim, jak zdruzgotany się czuje. I wtedy zabrał głos Sid.

– Spójrzycie na dziecię... – zaintonował rabinicznie, jakby medytował na głos nad plasterkiem nadziewanej kiszki Esther, który trzymał na widelcu w połowie drogi między

swoim talerzem a ustami, i Gold poczuł, że ogarnia go jeszcze większa rozpacz – ...co natury dobrym prawem zachwyci się grzechotką, zaśmieje ze żdźbła trawy.

Gold zdał sobie sprawę, że został całkowicie zmiążdżony. To był szach, mat i klęska od samego ruchu otwierającego. Został przygwożdżony, bez względu na to, czy chwyci przynętę, czy ją zignoruje, i mógł się tylko przyglądać z przygnębieniem, jak podstęp Sida rozwija się wokół niego symetrycznie i harmonijnie, niczym kręgi na wodzie.

Współbiesiadnicy oniemieli na chwilę, zachwyceni elokwencją i panteistyczną mądrością Sida.

– Nieźle to zabrzmiało – mruknął w końcu Victor.

– Fakt – poparł go Max.

– Jakie ładne – powiedziała Esther. – Prawda?

– Tak zgodziła się Rose. – Piękne.

– Widzicie, jaki mądry jest mój pierwszy syn? – odezwał się ojciec Golda.

– Powinniście więcej słuchać swojego starszego brata – powiedziała macocha Golda i wycelowała czubek druta między jego oczy.

– To naprawdę piękne – przyznała z czcią Ida. Była jędzowatą nauczycielką, uważaną w tym gronie za inteligentkę. Gold, profesor college'u, był z kolei uważany za oryginała. Ida spojrzała na Golda. – Prawda, Bruce?

Nie było drogi odwrotu.

– Tak – powiedziała Belle.

Gold został osaczony z dwóch, trzech, czterech, a może pięciu albo sześciu stron naraz. Jeśli wspomni o Alexandre Pope'em, zostanie posądzony o popisywanie się swoją wiedzą. Jeśli tego nie uczyni, zrobi to Sid, demaskując go jako ignoranta. Jeśli wytknie mu pewne rozbieżności z oryginalnym tekstem, wyjdzie na pedanta, piniacza i zazdrośnika. Jeśli w ogóle się nie odezwie, obrazi Idę, która wraz z innymi czekała na jakąś odpowiedź. To nie w porządku, uzalał się w duchu, traktować tak czterdziestokilkuletniego byłego członka uniwersyteckiego bractwa Phi Beta Kappa, absolwenta Columbii z doktoratem, który ostatnio uhonorowany został pochwałą z Białego Domu oraz obietnicą wzięcia pod uwagę przy obsadzaniu jakiegoś prominentnego stanowiska. Och, Sid, ty cholerny palancie, zżymał się doktor i przyszły pracownik rządowy. Znowu mnie przygwożdżyłeś.

– Pope¹ – zdecydował się w końcu wymamrotać z bólem serca, nie unosząc głowy znad talerza i nie odrywając nieruchomego wzroku od kłopsika Idy.

– Co? – warknął ojciec.

– Powiedział „Pope” – poinformował go usłużnie Sid.

– Co to znaczy?

– Autorem jest Alexander Pope – oznajmił głośno Gold. – Nie Sid.

– Widzicie, jaki mądry jest nasz młodszy braciszek? – powiedział Sid, przeżuując ze smakiem.

– Sid wcale nie twierdził, że jest autorem – zauważyła łagodnie Harriet, broniąc męża. – Prawda?

– Ale czy to i tak nie jest piękne? – uspokajała Golda pedagogicznie Ida.

– Owszem – powiedziała Belle.

– Czy to jest choć trochę mniej piękne tylko dlatego, że zostało ułożone przez Alexandra Pope'a, a nie Sida? – spytał Irv.

Belle pokręciła zdecydowanie głową, to samo uczynili Victor, Milt i Max.

Gold nienawidził ich wszystkich.

– Dodał trochę od siebie – oświadczył ze złością. – I pozmieniał przyimki.

1 Alexander Pope (1688-1744) – ang. poeta; pope (ang.) – papież.

– Brucie, Brucie, Brucie – powiedział wielkodusznie Sid, uosobienie tolerancji i rozsądku.
– Będiesz się na mnie boczył z powodu paru głupich przyimków? – Rozległy się pomruki aprobaty i rozkiwały się potakująco głowy. – Zaraz je poprawimy, jeśli chcesz być taki cholernie drobiazgowy.

– Odpierdol się ode mnie, Sid! – krzyknął Gold.

Następne kilka chwil upłynęło w napięciu. Kobiety odwróciły oczy, a Victor, który nie uznawał używania brzydkich słów w obecności kobiet, jeszcze bardziej poczerwieniał, jakby wysiłkiem woli powstrzymywał się od wybuchu, i wyprostował się złowrogo. Potem ojciec Golda zerwał się na równe nogi z niedowierzającym krzykiem:

– Powiedział „odpierdol się”? – jego głos przypominał teraz pisk kurczaka w napadzie szału. – Odpierdol się, powiedział? Zabiję! Połamię kości! Niech mnie ktoś do niego doprowadzi!

– Zostawcie Bruce'a w spokoju – zakomenderowała stanowczo Ida, przywracając porządek. – To mój dom i nie dopuszczę tu do żadnych bijatyk.

– Masz rację – poparła ją Rose, życzliwa światu kobieta z archipelagiem piegów na nosie.
– Bruce jest prawdopodobnie bardzo zmęczony po podróży.

– Po podróży do Waszyngtonu – dodała Esther.

– Do Wilmington – poprawiła ją Belle.

Sid oblizwał usta i z wyrazem tryumfu na twarzy sięgnął palcami po następny kawałek miodowego placka Harriet.

*

W taksówce wiozącej ich do domu Golda nękała zgaga i ból głowy. Wspominał rodzinne posiłki sprzed lat, kiedy ojciec rządził niczym absolutny tyran, którym zresztą był, i wskazywał złowrogim berłem swego palca, co mu podać, a cała reszta podsuwała mu w pośpiechu wszystko, co stało we wskazywanym rejonie stołu. „Nie to! Tamto!”, ryczał. Nie zniżył się nigdy do sprecyzowania, o co mu chodzi, a całe zadanie komplikował jeszcze bardziej fakt, że miał lekkiego zeza. Zmiał ze stołu na podłogę kubki, spodki, talerze i miseczki, próżne i pełne, jeśli wypatrzył na jakimkolwiek porcelanowym naczyniu wyszczerbienie albo cieniutkie jak włos pęknięcie. „Nie będę jadł z potłuczonej porcelany”, oznajmiał jak urażony monarcha. Gold pamiętał, jak matka i siostry zawczasu sprawdzały dokładnie wszystkie naczynia, by wyselekcjonować te uszkodzone, które nie mogły za nic wpaść ojcu w oko.

– Szkopuł w tym – powiedział markotnie Gold – że oni się nawzajem nienawidzili. Raz Sid uciekł z domu, bo nie mógł już go znieść. Chodził wtedy jeszcze do szkoły średniej i nie było go przez całe lato.

– Nie chce mi się wierzyć, że Sid go nienawidził – odparła Belle.

– Muszę spytać Rose. Teraz Sid przypochebia mu się, jakby zawsze byli najlepszymi kumplami. Dlaczego mi co chwila przerywałaś? – zapytał Gold żonę, kuląc się w kącie taksówki z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Wcale ci nie przerywałam. – W głosie Belle dawał się wyczuć upór; nie był to jeszcze bunt, ale bierne postanowienie nieustępowania bez względu na konsekwencje. – Powiedziałeś mi, że nie lubisz, kiedy ci się przerywa, więc nigdy ci nie przerywam.

– Ale jesteś odmiennego zdania niż ja.

– Jak mogę być odmiennego zdania niż ty – zdziwiła się Belle – skoro ja pierwsza zawsze się odzywam?

– Odpowiadasz na pytania skierowane do mnie.

– A co to za różnica, kto odpowiada?

– Czasami twoje odpowiedzi są sprzeczne z moimi.

– To nie mogę już mieć własnego zdania? – spytała Belle.

- Nie.
- Nigdy?
- Nigdy – odparł surowo Gold, głosem nie pozostawiającym cienia wątpliwości.

Belle zareagowała wzruszeniem ramion.

- Nie spotkam się już z nimi na kolacji, być może już nigdy – dodał Gold.

– Spotkasz się za trzy tygodnie – powiedziała Belle. – Przychodzą do nas. Zaprosiłam wszystkich. Mówiłeś, że będziesz w domu.

- Odwołaj to spotkanie – warknął.

– Nie ma mowy – odparła. – Są urodziny Rose. I robię jej z tego przyjęcia niespodziankę.

- Sześćdziesięciolatce? – Zaskoczenie Golda graniczyło z rozbawieniem.

Jeśli Belle coś na to odpowiedziała, to on tego nie usłyszał. Istniał teraz między nimi dystans i żadne nawet nie próbowało temu zaprzeczać. Był jej wdzięczny, że nie zmusza go do dalszej rozmowy. Belle była przysadzistą kobietą prawie w jego wieku i wydawała się jeszcze mniejsza i okrąglejsza, kiedy siedziała trzymając na kolanach papierową torbę z pustą pyreksową miską po kugelu i zadzierała rezolutnie głowę, jakby mówiła: „Zdaję sobie sprawę, że się starzeję i że nigdy nie byłam piękna, i że nie wiem już, jak dać ci szczęście. Mnie też się to nie podoba. Rób, co chcesz”.

Gold patrzył w zadumie na światła w oknach domów New Jersey po drugiej stronie rzeki i był rad, że nigdy nie musiał tam mieszkać. Wkrótce, myślał leniwie, uwolni się być może od Belle, bo dowiedział się od Ralpha, że nie ma obowiązku, by mąż musiał czekać z odejściem od żony do czasu, kiedy najmłodsze dziecko ukończy college.

Podniesiony na duchu pokrzepiającą perspektywą rychłego rozstania z Belle, popuścił wodze wyobraźni, która poniosła go radośnie podnieconego ku tajemnemu projektowi, o którym w tym wczesnym stadium nie zamierzał wspominać ani Pomoroyowi, ani Liebermanowi. Ku jeszcze jednej książce. Teraz, kiedy ostatecznie zrezygnował z pisania powieści, będzie mógł ją wcześniej zacząć.

Kissinger.

Pomijając nawet zżerającą go zazdrość, a była ona straszliwa, Gold nienawidził Henry'ego Kissingera od chwili, kiedy ten wypłynął na scenę jako osoba publiczna, i nadal go nienawidził, ale nie była to bynajmniej emocja na tyle oryginalna, by sama w sobie zagwarantowała mu pokojową Nagrodę Nobla czy Nagrodę Pulitzera za dociekliwość w tropieniu faktów. Jednak miał pomysł na książkę o Kissingerze, pomysł, który jego zdaniem mógł mu przynieść oba te trofea. Prowadził archiwum wypełnione wszystkimi publikacjami i publicznymi wystąpieniami Kissingera oraz wycinkami z gazet i czasopism ze wszystkim, co o nim powiedziano. Zbierał również wycinki z gazet i publicznych wystąpień Davida Eisenhowera.

Czasami myślał o połączeniu tych dwóch kolekcji w jedną. Uważał, że trudno je od siebie oddzielić.

Fakt, że prawie nikt ze znajomych nie czytał żadnych publikacji, w których mogły się pojawiać teksty Golda, od dawna był przyczyną jego frustracji. Ale wystarczyło, by nazwisko Golda zostało choćby tylko raz wspomniane w *Playboyu* albo w *Ladies' Home Journal*, a natychmiast wiedział o tym cały świat. Nawet Lieberman. Nawet Pomoroy. Nawet jego ojciec i macocha, którzy bawiąc w Nowym Jorku czytali tylko *Timesa* i *Daily News*, a na Florydzie w ogóle nic. Woleli oglądać wiadomości i stare filmy w telewizji, czerpiąc osobliwą przyjemność z rozpoznawania nieżyjących już aktorów i aktorek i z omawiania okoliczności ich zejść.

– Ej, gruba rybo – ryczał przez telefon ojciec i Gold od razu kładł uszy po sobie. – Znowu widzę twoje nazwisko w *Playboyu*. Facet nie ma o tobie najlepszego zdania, co?

– Jak to? – obruszał się Gold. – Przecież bardzo dobrze się o mnie wyraża.

– Jasne, tak pisze – odpowiadał ojciec. – Ale ja umiem czytać między wierszami.

Po kolacji w domu, do którego kazał się zawieźć danego wieczoru, przeniósł się za aprobatą i w towarzystwie Gussie przed telewizor, i z energiczną czujnością strażnika dusz zmarłych zaczynał oglądać stare filmy. Same filmy były mu obojętne. Liczyło się tylko, żeby nie stracić rachuby.

– Ten nie żyje! – wykrzykiwał podniecony jak sam ponury żniwiarz, który dołącza kolejne trofeum do swojej kolekcji. – Sto lat. Umarł ze starości. Pamiętasz tego adwokata? *Gesztorben*. Atak serca. Ciach, i po nim. A popatrz na tamtego dużego faceta, co się tak rozpycha. Wiesz, gdzie dzisiaj jest?

– Nie żyje? – pytała ostrożnie macocha Golda, unosząc głowę znad robótki. W takich momentach przywodziła Goldowi na myśl Madame Defarge robiącą na drutach u stóp gilotyny.

– Jakbyś zgadła, mała – odpowiadał ojciec Golda. – *Drejd*. Już się nie rozpycha. Wącha kwiatki od dołu. Samobójstwo. Próbowali to wyciszyć, ale mnie nie oszukają.

– Wydaje mi się – wtrącała macocha Golda – że ta stara gubernatorowa też zmarła.

– Pewnie, że zmarła – przytakiwał ojciec Golda. – Rak. Zeżarł ją. Widzisz tego taksówkarza, tego śmiesznego? *Tojt*. Zimny trup. Zawał. Jakies dwadzieścia lat temu. Zipał jeszcze parę tygodni, a potem żegnaj, Charlie. A tego nieuczciwego gliniarza widzisz? *Bagruben*. Też *drejd*. Zdaje się, że w pożarze. Miała w tym swój udział i whisky. O, a ten był *fajgele!*

To była również ich ulubiona rozrywka, kiedy gościli u Golda. Gold, zgrzytając zębami, siedział z nimi ile mógł, a potem wymykał się z pokoju pod pretekstem, że musi jeszcze popracować. Belle zostawała z własnej woli i trwała przy teściach z takim samym gościnnym poświęceniem, jakie okazywała swojej owdowiałej matce.

– Jaki tam z niego Żyd! – zaperzył się ojciec oglądając pewnego wieczoru w living-roomie Golda kolejny reportaż o sekretarzu stanu Henrym Kissingerze, który jeszcze raz uśmiechał się do telewizyjnych kamer, wysiadając z jeszcze jednego samolotu. Ojciec odwrócił się do Golda, gotów stawić czoło wszelkiej próbie sprzeciwu z jego strony. – Nie, proszę państwa. Powiedział, że był kowbojem, tak? Samotnym kowbojem przyjeżdżającym do miasta wykurzyć złych facetów, tak? W pojedynkę. No a żaden Żyd nigdy nie był kowbojem.

– Nie był zawtórowała mu macocha Golda.

– Pokażcie mi chociaż jednego – pienił się ojciec. – Pastuchem może być. Ale nie kowbojem.

A Gold zastanawiał się, czy Stwórca, wręczając Swoje prawa Mojżeszowi na tamtej zasnutej chmurami górze, w Swej mądrości i miłosierdziu nie przekazał wraz z nimi jakiegoś limitu czasowego na obowiązywanie chociaż jednego ze Swoich przykazań, limitu, który zagubiono potem w tłumaczeniu, kiedy stary, zmęczony Patriarcha zszedł wreszcie na dół.

Jak można bowiem szanować ojca, który jest tak upierdliwy i ma za żonę taką pieprzoną wariatkę? Jednak to właśnie po tej wizycie ojca założył dossier Henry'ego Kissingera i w najgłębszej tajemnicy zaczął obmyślać swoją strategię. Jego teczka szybko pęczniała. Zaczął też zbierać wycinki na temat Davida Eisenhowera, bo nie mógł się temu oprzeć. W pewnym wywiadzie z nim przeczytał:

Jedyną korzyścią, jaką administracja Nixona wyniosła z afery Watergate, jest to, że pana Nixona nie uważa się już za nieudolnego świętoszka. Nigdy nie traktowałem tej opinii poważnie. Administracja Nixona jest również częścią mojego dziedzictwa, a ja bynajmniej nie uważam się za świętoszka. Jestem pod wieloma względami osobą grzeszną. Cieszę się, że mogę uwolnić się od tej ministranckiej komży.

Chyba po raz pierwszy w życiu Goldowi mózg się zlasował. Mimo wszystko David Eisenhower był prawdopodobnie najwybitniejszym wychowankiem Amherst swojego pokolenia. Gold gratulował sobie, że zachował ten wywiad. Pewnego dnia, aby odetchnąć od pracy, która w przeważającej mierze pozostawała nie zauważona oraz była, w każdym niuansie tego słowa, obrzydliwie intelektualna, napisze może komedię.

Od tamtego czasu często zdumiewały go teksty, na jakie natrafiał w gazetach i czasopismach.

Wiele grup rozwydrzonych młodych chuliganów buszowało w 125-tysięcznym tłumie zebranych pod Monumentem Waszyngtona w Dniu Ludzkiej Życzliwości, ograbiając i turbując 600 osób.

Wycinał je wszystkie i mózg mu się od nich lasował.

Był autorem sześciu książek publicystycznych, z których jedna, pierwsza, była naprawdę dobra i stanowiła rozwinięcie jego rozprawy doktorskiej. Wydano też cztery zbiory jego krótszych prac. Dwa zawierały po cztery albo pięć tekstów, w których udało mu się wyrazić efektownie coś oryginalnego. Trzeci zawierał długi esej o symbiotycznym związku pomiędzy rozwojem kulturalnym a rozkładem społecznym; doczekał się on wielu przedruków i powoływali się na niego komentatorzy z obu stron barykady – zwolennicy rozpadu społecznego i ich oponenti. Czwarty i ostatni zbiór był do niczego. Gold oceniał swoje prace znacznie surowiej niż jego nawet najzagorzalsi krytycy, wiedział bowiem lepiej od nich o problematycznej wartości swoich źródeł informacji. Miał już pomysł na nowy zbiór, na który będą składać się wybrane teksty z poprzednich zbiorów.

Jego krótkie opowiadania były zmanieryzowane i szablonowe i był rad, że ukazują się w ambitnych kwartalnikach o bardzo małym kręgu odbiorców. Jego wiersze, sam to wyczuwał, były okropne i zamieszczał je w mało znanych czasopismach literackich ukazujących się w Pretorii i na Isle of Wight oraz w anglojęzycznych publikacjach uniwersyteckich w Bejrucie, Hiszpanii i w Teheranie. Czuł się bezpieczniejszy dyskutując o swojej poezji z ludźmi, którzy jej nigdy nie czytali. Zdawał sobie sprawę, że cały problem z jego opowiadaniem i wierszami tkwi w tym, że stanowią pochodną i niestety tylko pochodną jego własnych prac. Pisanie powieści, do której przymierzał się przez trzy lata, zarzucił w końcu po wymęczeniu jednej strony. Powieść ta była pochodną wiersza, który Gold napisał przed siedmioma laty, ten zaś był pochodną prac Samuela Becketta we wspaniałym przekładzie jakiegoś młodego Anglika, a Gold nie mógł przeboleć, że to nie on jest ich autorem.

Chociaż teraz przyjmowano już jako rzecz naturalną, że nikt z rodziny Golda nie jest zobowiązany do czytania czegokolwiek, co Gold napisał, to jednak szczylicili się nim po cichu

wszyscy jej członkowie z wyjątkiem macochy, która bardzo lubiła napomykać, że jej zdaniem brak mu piątej klepki.

W każdym domu poczesne miejsce zajmowała kolekcja jego książek oraz periodyków, w których ukazywały się recenzje i wywiady jego autorstwa. Esther i Rose prowadziły albumy z wycinkami. Ida, praktyczna nauczycielka, łączyła literaturę z malarstwem, wieszając w foyer i w living-roomie kopie okładek jego książek oprawione w artystyczne ramki. Matka Belle przylepiała tytuły jego prac na każdej sztuce swojego bagażu. Nawet Harriet z Sidem wystawiali jego prace w wypolerowanej na wysoki połysk gablocie w widocznym miejscu, to znaczy w holu, niemal dokładnie na wprost wejścia do swojego wielkiego domu w Great Neck. Ale na tym się kończyło. Po tytule i kilku pierwszych zdaniach mógł co chwila wstawiać w oświadczenie „pierdołę was wszystkich”, i z pewnością uszłoby to ich uwagi. Nikogo z nich, nawet Belle ani jego dwóch starszych synów, ani pozbawionej ambicji dwunastoletniej córki, nie wciągnęły jego rozważania nad ułudą prawdy, jego koncepcja idealnego uniwersytetu czy jego teorie na temat filogenezy kulturalnej i podstawowej, uniwersalnej mądrości. To właśnie po opublikowaniu jakiegoś nowego tekstu Golda jego macocha zwykle napomykała, że w jej opinii Gold ma nierówno pod sufitem, czyli że brak mu piątej klepki.

Gold ze swej strony uważał, że to ona, na równi z ojcem, nie ma wszystkich w domu i że oboje nie będą tam wkrótce mieli nikogo.

Tylko mieszkająca w Kalifornii Joannie i jej mąż Jerry zdawali się rozumieć, kim naprawdę jest, i doceniać wielki szacunek, jakim darzyli go ludzie, którzy nigdy go nawet nie spotkali. Jerry wydawał przyjęcia na cześć Golda, ilekroć ten zawitał do Kalifornii, organizował mu również zaproszenia na odczyty w synagogach, kościołach oraz na spotkania rozmaitych grup obywatelskich i zawodowych z Los Angeles i z Beverly Hills, zaproszenia, które Gold niezmiennie odrzucał. Jerry, prostacki dorobkiewicz, był w swoim środowisku osobą zbyt zamożną, by komuś przyszło do głowy, że za taki odczyt Goldowi należy zapłacić honorarium, Gold zaś był zbyt uznanym naukowcem, by dawać do zrozumienia, że nigdy nie występuje publicznie bez takowego.

Jego krewni już dawno przestali wysilać umysły i starać się zrozumieć, o czym pisze i dlaczego. Ich wyobrażenia były proste: tak już jest z nauką – im jej więcej, tym lepsze daje efekty. Gold, gdyby tylko zechciał, mógł zetrzeć tę ich wiarę w proch druzgocącym piorunem. Wszyscy, nawet Julius, jego ojciec, przykładnie brali udział w każdym wyborach, jak gdyby ich głosy robiły jakąś różnicę, ale polityką się nie interesowali. Gold też się nią nie interesował, udawał jednak, że się interesuje, bo polityka i działalność rządu zaliczały się do przynoszących mu największe korzyści tematów wypowiedzi. Nawet już nie głosował; szczerze mówiąc, nie wydawało mu się, by powszechne wybory odgrywały jakąś zbawienną rolę w procesie demokratyzacji życia, ale był to jeszcze jeden pogląd, którego nie mógł ujawnić publicznie nie psując przy tym wizerunku człowieka radykalnego w swych umiarkowanych przekonaniach, jaki dla siebie skonstruował.

Miał teraz umiarkowane poglądy właściwie na wszystko, hołdując, jak to określał Pomoroy, zagorzałej ostrożności i wojującej inercji. Ale od środka często rozsadzała go zazdrość, frustracja, oburzenie i rozterka. Był przeciwny segregacji rasowej i w równym stopniu przeciwny integracji społecznej. Z całą pewnością nie był za szykanowaniem bądź dyskryminacją kobiet czy homoseksualistów. Z drugiej strony, prywatnie, był przeciwnikiem wszelkich prób zrównywania praw, bo bynajmniej nie życzył sobie, żeby członkowie którejs z tych grup obcowali z nim na zasadach równości albo, co gorsza, byli z nim za pan brat. Do zajmowania takiej postawy skłaniało go jak najbardziej uzasadnione rozumowanie: jego postawa była emocjonalna, a emocje, jak doszedł do wniosku, zwłaszcza jego emocje, stanowiły chyba najwyższą formę racjonalności. We wszystkich obszarach, w których nie potrafił już wynajdywać nieskomplikowanych rozwiązań, narastały problemy, ale

zachowywał te kłopotliwe dylematy dla siebie i dalej manifestował publicznie kordialną postawę i wyważony osąd, dzięki czemu był akceptowany praktycznie przez wszystkich.

Potrafił teraz wypowiadać się ze swadą na temat polityki, dyplomacji, ekonomii, edukacji, wojny, socjologii, ekologii, psychologii społecznej, kultury masowej, literatury pięknej i dramatopisarstwa – oraz na tematy stanowiące dowolną kombinację powyższych dziedzin w ich nieskończonych permutacjach, posiadał bowiem wrodzoną zdolność dostrzegania związków wszystkiego ze wszystkim.

Był teraz elastyczny i spolegliwy, i potrafił – z zaledwie kilkoma drobnymi zmianami w rozkładzie akcentów – porwać grupę bardzo religijnych, podstarzałych reakcjonistów zasadniczo tym samym przemówieniem, które dzień wcześniej, z równym sukcesem, wygłosił na zjeździe smarkatych maoistów. Udało mu się na podstawie doniesień prasowych spreparować dowód, że byłemu gubernatorowi Teksasu nie został wytoczony proces pod żadnym z zarzutów, jakie mu stawiano, i pewnego wieczoru wykorzystał tę informację, by potwierdzić podejrzenia audytorium milionerów, że rząd federalny wziął się na wszystkich zamożnych Teksaszczyków, oraz by po południu następnego dnia, zaledwie trzydzieści mil dalej, insynuować przekonująco na zjeździe studentów college'ów, że sprawiedliwość w odniesieniu do bogatych polityków nie jest ślepa, a tylko odwraca wzrok. Studenci college'ów zapłacili mu za to przemówienie siedemset dolarów. Od milionerów nic nie dostał.

Ale wolał milionerów.

Podczas ostatnich wyborów prezydenckich zgodził się na umieszczenie swojego nazwiska na liście sponsorów zamieszczanych w prasie całostronicowych ogłoszeń popierających kandydatów obu partii politycznych. Za ogłoszenie popierające kandydatów Partii Demokratycznej musiał zapłacić dwadzieścia pięć dolarów. Partia Republikańska natomiast sama dyskretnie pokryła koszt zamieszczenia ogłoszenia. Gold wywnioskował z tego, że Partia Republikańska ma bardziej ludzkie i filantropijne oblicze, przesunął się więc ze swoimi politycznymi sympatiami trochę bardziej na prawo i nazwał tę nową pozycję „centrum”. Nie poszedł jednak tak daleko jak Lieberman, który był całym sercem za totalitarną plutokracją, wspieraną, jeśli zajdzie taka potrzeba, represyjnymi akcjami policyjnymi – oczywiście dopóki ludzie na świeczniku będą przychylni takim jak on Żydom i dadzą mu się trochę nachapać – i nazywał to neokonserwatyzmem. Lieberman, którego nazwisko pojawiło się na liście malowanych sponsorów tylko w ogłoszeniu, za które zapłaciła po cichu Partia Republikańska, nie mógł przeboleć, że Gold, za zaledwie dwadzieścia pięć dolarów więcej, miał swoje nazwisko w gazecie dwa razy.

Gold, podobnie jak Lieberman, bardzo lubił oglądać swoje nazwisko w prasie, a całe jego zainteresowanie polityką sprowadzało się do nadziei na dobrą posadę w rządzie, o możliwości załatwienia której wspominał Ralph. Nie miał ani złudzeń, ani obaw co do obciążeń związanych ze sprawowaniem urzędu publicznego: jedynym wielkim obciążeniem na takim stanowisku, jakie dostrzegał, była walka o utrzymanie się na stołku, i wahał się tylko przez chwilę, kiedy nadarzyła się okazja zrecenzowania książki Prezydenta.

Nie było żadnych wcześniejszych zapowiedzi, że taki rękopis w ogóle powstaje. Gold był naturalnie zaskoczony osobliwym podejściem Prezydenta, który zabrał się do pisania o swoich doświadczeniach, mimo iż tak krótko piastował swój urząd. Ale w swojej dogłębnej analizie „Mojego roku w Białym Domu” Goldowi udało się przedstawić w korzystnym świetle nawet i tę niezwykłą okoliczność, a to poprzez wyrażenie pełnego szacunku uznania dla głowy państwa starającej się od samego początku nawiązać otwarty dialog z gremium, które Gold szczęśliwie nazwał „współczesnym uniwersalnym elektoratem”. Określenie to okazało się trafniejsze, niż mógł się spodziewać. Sam Prezydent powtarzał je po dwa razy na dzień podczas kurtuazyjnych wizyt w różnych częściach świata, w których go nie lubiano. Dziennikarze, ilekroć cytowali to określenie, czuli się w obowiązku przypominać, kto jest jego autorem. A sam Gold nie miał pojęcia, jakie kryje się pod nim znaczenie.

Jeszcze bardziej zaskakujący był telefon od Ralpa Newsome'a, który zadzwonił, żeby mu podziękować w imieniu Białego Domu.

– To gdzie się teraz udzielasz? – zapytał Gold. Ralph nadal miał u niego opinię człowieka godnego zaufania. Stracili ze sobą kontakt przed siedmioma laty, kiedy zakończyli wspólną działalność w Fundacji senatora Russella B. Longa.

– Pracuję teraz w Białym Domu – odparł Ralph. – Wchodzę w skład personelu Prezydenta.

Gold był pod wrażeniem.

– Jak to się stało, że nigdzie o tobie nie czytałem?

– Prawdopodobnie czytałeś, tylko nie zdawałeś sobie z tego sprawy – odparł Ralph. – Robię często za źródło. Anonimowe źródło.

– Poważnie?

– Jak najpoważniej. Widzisz, Bruce, obracam się teraz w kręgu wewnętrznym i bardzo mało z tego, co tam robię, przecieka na zewnątrz. Moje akcje sporo tu podskoczyły, kiedy wyszło na jaw, że ciebie znam – ciągnął Ralph. – Prezydentowi bardzo się podobały twoje uwagi.

– Przekaż mu – mruknął Gold – że się cieszę. Powiedz, że starałem się zachować obiektywizm.

– Zachowałeś go – powiedział Ralph. – I on to dostrzega. Byłeś bardzo obiektywny. Dostaliśmy całe sterty entuzjastycznych recenzji, między innymi tę Liebermana, ale większość pisali ludzie, którzy chcieli się przypocholebić. Nie wydaje mi się, by była wśród nich bardziej rzeczowa i wyważona od twojej.

– Mam nadzieję, że nie byłem zbyt surowy – mruknął Gold.

– Pod tym względem byłeś w sam raz – uspokoił go Ralph. – Prezydent jest otwarty na krytykę, Bruce, i uznał twoje sugestie za bardzo pomocne. Zwłaszcza te dotyczące budowania zdań i konstrukcji tekstu. Rozumiesz go chyba lepiej od innych.

– Jeśli już o tym mowa, Ralph, to przyznam ci się, że co do paru kwestii miałem pewne wątpliwości.

– Co do jakich, Bruce?

– No, szczerze mówiąc, Ralph...

– Wał, Bruce, nie krępuj się.

– Większość prezydentów siada do pisania swoich wspomnień po upływie kadencji. Ten zaczął już chyba w dniu objęcia urzędu.

Ralph skwitował to przypuszczenie skromnym chichotem.

– To był mój pomysł – przyznał. – Dzięki temu otwiera się przed nim szansa napisania więcej niż jednego bestselleru. Może je produkować rok w rok. To również podbiło u niego moje akcje.

– Zastanowiło mnie coś jeszcze. Ale uznałem, że lepiej tego nie zgłębiać.

– Co takiego, Bruce?

– Widzisz, Ralph, w pierwszym roku urzędowania musiał poświęcać strasznie dużo czasu na pisanie o swoim pierwszym roku urzędowania. A mimo to nigdzie w tekście nie wspomina ani słowem, że jest zajęty pisaniem książki.

Ralph odchrząknął cicho.

– Chyba to przeoczyliśmy. Dobrze, że się tego nie czepiałeś.

– Kiedy on znalazł na to czas?

– Wszyscy tutaj zakasywali rękawy i pomagali jak mogli – oświadczył Ralph. – Nie w pisaniu oczywiście, tylko w odbębnianiu większości tych innych dupereli, którymi musi się zajmować każdy prezydent. W książce wszystkie słowa pochodzą od niego.

Gold odparł, że rozumie.

– Ten Prezydent naprawdę ma zmysł organizacyjny, Bruce, i potrafi rozdzielać obowiązki. Inaczej nigdy by nie skończył dodał Ralph. – Znalazłby się w sytuacji Tristrama Shandy'ego² próbującego spisać historię swojego życia. Pamiętasz, Bruce, „Tristrama Shandy'ego” i to wypracowanie, które od ciebie zerznąłem?

– Pewnie, że pamiętam – odparł Gold z nutką rozgoryczenia w głosie. – Dostałeś wtedy lepszą ode mnie ocenę, a do tego wydrukowali ci to w szkolnej gazecie.

– Dostawałem lepsze oceny za wszystkie wypracowania, które od ciebie zrzucałem, nie pamiętasz? – przypomniał mu Ralph. – Bruce, Prezydent jest bardzo zapracowanym człowiekiem. Tyle rzeczy musi wciąż robić szybciej, niż jest w stanie o nich napisać, nawet kiedy nie robi nic innego, tylko pisze o tym, co powinien zrobić. I dlatego potrzebna mu wszelka pomoc. Bruce, czy myślałeś kiedyś o pracy w rządzie?

W tym momencie Gold poznał smak sensacji zwanej arytmia serca.

– Nie – odparł siłąc się na spokój. – A powinienem?

– To fajna robota, Bruce. Przenosisz się z przyjęcia na przyjęcie, a dziewczyn masz na pęczki. Nawet aktorek.

– A czym bym się zajmował?

– Trudno mi w tej chwili powiedzieć. Musiałbym popytać. Ale masz za sobą odpowiedni staż w szkolnictwie wyższym, a do tego dar formułowania celnych powiedzeń, które chyba by się nam przydały. Na razie nic nie mogę obiecywać. Jestem jednak przekonany, że będzie to coś bardzo, bardzo poważnego. Powiedz tylko, że się nad tym zastanowisz.

– Zastanowię się – wykrztusił Gold, odzyskawszy oddech.

– A więc wysonduję dyplomatycznie sytuację. Jestem pewien, że okaże się sprzyjająca. Spotykam tu ciągle Andree Biddle Conover. Pamiętasz ją?

– Oczywiście – odparł Gold.

– Tak myślałem. Leciąca na ciebie, kiedy pracowaliśmy razem w Fundacji.

– Zdawało ci się.

– Nic mi się nie zdawało. Do tej pory jej nie przeszło. Zawsze mi się wydawało, że między wami coś jest.

– Nie było niczego – zaprzeczył z żalem Gold. – Przynajmniej nic mi nigdy nie powiedziało.

– Krępowwała się.

– Zawsze mi się podobała.

– Wciąż o ciebie pyta.

– Co u niej?

– Jak zawsze atrakcyjna. Wysoka, ładna, czarująca, inteligentna. I bardzo, ale to bardzo pełna z tymi swoimi zdrowymi, silnymi, pięknymi ząbkami.

Gold zacisnął usta i zagwizdał cicho.

– Pozdrów ją ode mnie – poprosił. – Powiedz, że o nią pytałem.

– Załatwione – obiecał Ralph. – Nadal jesteś z Belle?

– Oczywiście.

– W takim razie ucałuj ją w moim imieniu.

– Dobrze. A ty pozdrów ode mnie Sally.

– Którą Sally? – spytał Ralph.

– Swoją żonę – powiedział Gold. – Nie jesteś żonaty z Sally?

– Ależ skąd – odparł Ralph. – Po rozwodzie z Kelly ożeniłem się z Elle. Wynikł ten problem prawny z anulowaniem małżeństwa z Norah, ale Nellie, dzięki Bogu...

² *Tristram Shandy* (w polskim tłumaczeniu „Życie i myśli JWPana Tristrama Shandy'ego”, 1959 – obszerna powieść wielkiego humorysty Lawrence'a Sterne'a, prekursora eksperymentów powieściowych. Wbrew tytułowi niewiele mówi o życiu i zgoła nic o myślach tytułowego bohatera, który w połowie dzieła przychodzi dopiero na świat, a na jego końcu znajduje się u progu dzieciństwa.

– Ralph, na miłość boską, zaczekaj! – zaprotestował Gold. – Mózg mi się lasuje, gdy cię słucham.

– Co powiedziałeś? – spytał ze zdumieniem Ralph.

– Że mózg mi się lasuje.

– Bruce, co za wspaniała odżywka – wykrzyknął z euforią Ralph. – Cholernie udana. Chyba jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś używał słowa „lasuje” w odniesieniu do żywego organizmu. Założę się, że zrobi u nas zawrotną karierę. To znaczy, ma się rozumieć, jeśli nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy go używali.

– Ralph...

– Przepraszam, Bruce, jedną chwileczkę. Chcę to puścić w obieg, póki mam jeszcze świeżo w uszach ton, jakim to powiedziałeś. Jak to szło?

– Mózg mi się lasuje.

– Lepiej brzmiało wypowiedziane tym pierwszym tonem.

– Powiedziałem to tak samo jak za pierwszym razem.

– Tak chyba też może być. – W głosie Ralpha pojawił się cień rozczarowania. – No więc, co chciałeś powiedzieć, kiedy ci przerwałem?

– Ralph, mózg mi się lasuje, jak cię słucham.

– O, o, o, o ten ton mi właśnie chodziło! – wykrzyknął Ralph.

– Poprzednio też mówiłem tym tonem! – zachnął się Gold.

– Tak, masz rację, Bruce. Cieszę się, że go nie zgubiliśmy. Czemu, Bruce? Czemu mózg ci się lasuje, jak mnie słuchasz?

– Nie nadażam za tymi twoimi Nellie'ami, Kellymi, Norah i Ellie'ami. Wydawało mi się, że stanowicie z Sally idealnie dobraną parę.

– Bo stanowiliśmy – odparł Ralph z nutką zaintrygowania.

– I co, nie układało się wam w małżeństwie?

– Wręcz przeciwnie – zapewnił go z emfazą Ralph. – Idealnie nam się układało.

– To dlaczego się rozwiedliście?

– No cóż, Bruce, będę z tobą szczery, nie widziałem większego sensu w wiązaniu się z nie pierwszej już młodości kobietą obciążoną czwórką dzieci, chociaż ta kobieta była moją żoną, a wszystkie dzieci miała ze mną. A ty widzisz w tym jakiś sens?

Gold rzadko kiedy podejmował decyzje w takim tempie.

– Powiedz koniecznie Andrei Conover, że strasznie mnie wzięło, kiedy o niej usłyszałem – oświadczył. – I że mam nadzieję, że rychło się spotkamy.

– Niedługo znowu się do ciebie odezwę.

– Czekam na twój telefon.

Goldowi z podniecenia podskoczyło tętno. Miał wizję. Wiedział, że jest dziesięć razy inteligentniejszy od Ralpha i zaszedłby w rządzie tysiąc razy dalej, byleby tylko się załapał. I jeśli Ralph mógł się ożenić z Ellie po rozwodzie z Kelly i tym kłopotem z anulowaniem małżeństwa z jakąś tam Norah czy Nellie, to u licha, dlaczego on miałby pozostawać dalej w związku małżeńskim z Belle?

Kiedy doszedł w swych rozważaniach do tego właśnie punktu, telefon znowu zadzwonił.

– Obiecująco to wygląda, Bruce – oznajmił wesoło Ralph, i Gold wyobraził sobie, jak wystawiwszy głowę na korytarz sonduje dyplomatycznie sytuację, wydzierając się na całe gardło. Ale Ralph był zbyt dobrze wychowany, żeby się wydierać. – Rzeczywiście mózg mi się lasuje, tak samo zresztą jak wszystkim, od tych twoich powiedzonek – stwierdził Ralph. – Najpierw ten „współczesny uniwersalny elektorat”, a teraz „mózg mi się lasuje”. Wypróbowałem to na paru osobach i mózgi im się zlasowały. Wszyscy tutaj uważamy, że jeśli w ogóle dojdziemy do wniosku, że chcemy ciebie do nas ściągnąć, to dobrze by było ściągnąć cię jak najszybciej.

- A jakie stanowisko miałbym ewentualnie objąć?
- Jakiego chcesz – odparł Ralph – zależnie od tego, gdzie akurat będzie wakat, kiedy do nas dołączysz. Mamy mnóstwo wykruszeń.
- Och, przestań, Ralph – zgnił go żartobliwie Gold. – Nie mówisz chyba poważnie.
- Dlaczego nie? – Ralph sprawiał wrażenie lekko obruszonego.
- Senator?
- To funkcja obieralna.
- Ambasador?
- Nie od razu. Na początek będziesz nam potrzebny w Waszyngtonie. Widzisz, Bruce, mamy wielkie zapotrzebowanie na profesorów college'u, a na Harvardzie nie możemy już bazować po tym, jak narozrabiali. Ludzie krzywo by na to patrzyli.
- A jak się ma sprawa z Columbią?
- Jeszcze czysta. Chyba nikt tutaj nie łączy Columbii z żadnymi intelektualnymi wyskokami. A już Brooklyn jest pod tym względem idealny.
- Co musiałbym robić?
- Co tylko byś chciał, byle to nie odbiegało od tego, co każemy ci mówić i robić dla wspierania naszej polityki, obojętne czy się z nią zgadzasz, czy nie. Będziesz miał pełną swobodę.
- Golda ogarnęły mieszane uczucia.
- Mnie nie można kupić, Ralph – powiedział ostrożnie.
- Gdyby było można, nie bralibyśmy cię pod uwagę, Bruce – odparł Ralph. – Prezydent nie chce się otaczać potakiwaczami. Szukamy prawych, niezależnych ludzi, którzy poprą wszystkie decyzje, jakie podejmiemy. Będziesz miał całkowicie wolną rękę.
- Chybabym się nadał – uznał Gold.
- Cieszę się. O rany, fajnie, że znowu będziemy razem, co, Bruce? Pamiętasz, jak dobrze się bawiliśmy? – Gold nie przypominał sobie żadnej dobrej zabawy z Ralphem. – Postaramy się załatwić sprawę najszybciej, jak to możliwe, chociaż będziemy musieli działać powoli. W tej chwili nic nie da się zrobić.
- I tak potrzeba mi trochę czasu – przystał zgodnie Gold. – Muszę załatwić sobie urlop.
- Naturalnie. Ale nic jeszcze nikomu nie mów. Chcemy z tego zrobić ważne wydarzenie publiczne, chociaż będziemy musieli działać w ścisłej tajemnicy. – Gold próbował dosłuchać się w głosie Ralpha nutek krotocwilności, nie dosłuchał się jednak. – Jeśli twoja kandydatura okaże się niepopularna – ciągnął Ralph tym samym informacyjnym tonem – to jeszcze przed jej ogłoszeniem odezwą się głosy krytyki. Jeśli okaże się popularna, ta druga partia, której nazwy nie wymienię, przypuści na nas zmasowany atak z lewa, z prawa i od frontu. I dlatego dobrze, że jesteś Żydem.
- Słowo „Żyd” podziałało na Golda jak cios obuchem.
- Dlaczego, Ralph? – udało mu się wykrztusić. – Dlaczego dobrze mieć kogoś... żydowskiego pochodzenia?
- Ułatwi to sprawę z punktu widzenia obu tych skrajności, Bruce – wyjaśnił Ralph nie zmieniając tonu. – Żydzi cieszą się teraz popularnością i ludzie nie są skłonni wychylać się ze swoją niechęcią do nich. I zawsze można zyskać sobie poklask pozbywając się Żyda, kiedy tylko zażąda tego od nas prawe skrzydło.
- Nie owijasz w bawełnę, co, Ralph? – zauważył nonszalancko Gold.
- No cóż, Bruce, chyba to lepsze, niż ulegać ich politycznym naciskom, prawda? – tokował niewinnie Ralph, opacznie tłumacząc sobie sarkazm Golda. – I to jest stosowny moment, żeby zrobić cię ambasadorem, jeśli jest akurat wolny jakiś dobry europejski kraj, który go potrzebuje. Albo szefem NATO, jeśli wolisz.
- Ralph, ty mówisz poważnie? Naprawdę mógłbym zostać szefem NATO?
- Nie widzę przeszkód.

– Nie mam żadnego wojskowego doświadczenia.
– Nie sądzę, żeby to miało jakieś znaczenie, Bruce. Nie zapominaj, że do NATO należą również inne kraje. Jestem przekonany, że mają tam ludzi, którzy się znają na takich rzeczach.

Gold uznał, że nie warto wyrażać wprost swojego powątpiewania.

– Chyba wolę już być ambasadorem – zdecydował.

– Czym tylko chcesz. Ale to na razie pieśń dalszej przyszłości. Odezwę się do ciebie natychmiast, Bruce, chociaż może to trochę potrwać. Postaraj się o tym nie myśleć. Nie dzwoń do mnie. Nie lubią tu prywatnych telefonów.

Minęło pięć dni, w trakcie których Gold stwierdził, że nie potrafi myśleć o niczym innym. Na początku drugiego tygodnia w jego sercu wylęgło się złe przecucie i nie chciało go opuścić, a zakiełkowało z perwersyjnego kleksa żrącej mądrości, jaką usłyszał w formie przygnębiającej obelgi od czarnego studenta, któremu w poprzednim semestrze wystawił ocenę niedostateczną: „Nie ufaj białasowi”.

Im dłużej Gold roztrząsał swoją rozmowę z Ralphem, tym bardziej skłaniał się w swych preferencjach ku ambasadorstwu, nie zaś objęciu dowództwa NATO. Nie odpowiadało mu wojskowe życie: źle się czuł w pobliżu materiałów wybuchowych. A wojskowy prestiż tracił znacznie na wadze poza terenem koszar. Przypominał sobie wciąż zresztą, że oba te stanowiska to jeszcze gruszki na wierzbie. Ralph niczego nie gwarantował. Belle oznajmiła mu stanowczo, że jeśli przyjmie pracę w Waszyngtonie, ona się tam z nim nie przeniesie, i Gold wiedział, że słowa dotrzyma.

Ambasadorstwo byłoby jednak czymś wspaniałym, fantazjował w chwilach błogiej zadumy, w jaką popadał w przerwach między dłuższymi okresami przygaszonego rozczarowania. Bez trudu wyobrażał sobie siebie w ekstrawaganckich rezydencjach w Kensington, Mayfair albo w Belgravi, ożenionego już nie z Belle, lecz z jakąś szlachetnie urodzoną, zmysłową śliczną młodą blond Angielką o nieprzemijającej urodzie, która podawała mu na tacy herbatę z kostkami cukru. Była wysoka, nosiła się z gracją, miała długie, szczupłe nogi, bladą perłową skórę i fioletowoniebieskie oczy o migdałowym wykroju, fascynująco głębokie i błyszczące, i wyraźnie go adorowała. A on mógł ją brać, kiedy chciał. Nigdy się nie odzywała. Nie była Żydówką. Mieli osobne sypialnie oddzielone od siebie salonikami i łazienkami. On całe dni paradował po domu w eleganckich, jedwabnych szlafrokach. Śniadanie podawano mu do łóżka.

Kiedy minął drugi tydzień, a Ralph się nie odzywał, Gold zasiadł do pracy nad książką, którą był winien Pomoroyowi, oraz nad skondensowaną wersją tej książki, którą był winien Liebermanowi. Nie mógł się zdecydować, do czego zabrać się najpierw.

Jego matka nie żyła i mógłby napisać o niej: „Młoda kobieta, właściwie jeszcze dziewczyna, emigrująca z synem, który był jeszcze dzieckiem, i córką, która była jeszcze młodsza, oraz z młodym kurduplowatym bufonem, swoim mężem – dobry Boże, czy on już wtedy taki był? – z niegościnniej rosyjskiej wsi, by zamieszkać w tym obcym kraju i umrzeć nie dożywszy nawet pięćdziesięciu lat. Zapomniał, że jego siostra Rose również urodziła się w Europie. Matka nigdy nie opanowała angielskiego na tyle, by czytać w tym języku i rozumieć, o czym rozmawiają między sobą dzieci. Pamiętał ten długi okres, kiedy szyję wciąż miała owiniętą cuchnącymi bandażami – czy to było wole? Nie wiedział. I wstydził się pokazywać z nią na ulicy. Teraz na Północ emigrowali ludzie z Puerto Rico, Haiti i Jamajki. Czarni przeprowadzali się z Harlemu do śródmieścia i napływali całymi chmarami z Południa i Zachodu, i Gold czuł się obłożony i zagrożony, tracił poczucie bezpieczeństwa, a swoją pozycję postrzegał jako słabą i niepewną.

Jego małżeństwo z Belle umierało właśnie śmiercią naturalną i mógł od niego abstrahować – jeśli kiedykolwiek wiedział, co oznacza to słowo. Nie rozumiał, o co chodzi

ludziom, którzy skarżyli się, że ich małżeństwo umiera albo nie jest już prawdziwym małżeństwem. Czy z małżeństwami było kiedykolwiek inaczej? A może znaczyło to, że zmienili się ludzie i ich otoczenie, i że każda zmiana jest na gorsze? Miał już pomysł na nowy artykuł. Zapisał drukowanymi literami na karteczce:

BRUCE GOLD

KAŻDA ZMIANA JEST NA GORSZE

Przypiął tę karteczkę pinezką do tablicy wiszącej nad biurkiem w swoim studio i czekając na telefon od Ralpha zaczął robić notatki.

III

Każda zmiana jest na gorsze

Zeszli się przed trzydziestu laty w nowojorskim Columbia University. Ralph doszłusował do nich jako ostatni, przenosząc się tam z Princetown. Pomoroy odszedł najwcześniej, bez doktoratu, zaraz po złożeniu pracy dyplomowej i zdaniu egzaminów ustnych. Oceniając realistycznie swoje talenty i plany, roztropnie porzucił wszelkie myśli o pisaniu dysertacji na nie obchodzący nikogo temat i przystąpił do szukania sobie jak najodpowiedniejszej posady. Zaczynał jako młodszy redaktor w małym wydawnictwie specjalizującym się w podręcznikach. Teraz był redaktorem naczelnym w większej oficynie wydawniczej o profilu ogólnym, gdzie prawdopodobnie będzie się dalej rozwijał i już pozostanie.

To Pomoroy był pierwszym wydawcą, do którego gnał w te pędy Lieberman z każdym kolejnym plikiem jak psu z gardła wyciągniętych, pośpiesznie nabazgranych kartek papieru, stanowiących w jego przekonaniu materiał na jakąś wybitną książkę, i to Pomoroy był wydawcą, który mu to zawsze pierwszy odrzucał. Lieberman miał już na swoim koncie rozpoczętą powieść, trzy autobiografie i kilka dogłębnych studiów aktualnych problemów, które jego zdaniem stanowiły nieocenione źródło natchnienia dla ludzi wyznaczonych do ich rozwiązywania. Gold zaglądał do Pomoroya tylko wtedy, kiedy nie pozostał mu już nikt inny. Pomoroy nie był frajerem.

Harris Rosenblatt, jeszcze jeden znajomy Żyd z okresu studiów, był pracowitym bałwanem bez wyobraźni i przyszedł do college'u z prywatnej szkoły na Manhattanie, która wymagała od studentów noszenia blezerów, krótko ostrzyżonych i starannie uczesanych włosów oraz mycia szyi i uszu. Harując w pocie czoła, Harris Rosenblatt ukończył Columbia College z wyróżnieniem, po czym zrezygnował z pisania pracy dyplomowej na niecały rok przed egzaminem końcowym, umykając w ten sposób przed wiszącą nad nim od dawna groźbą nieuchronnej porażki. Wkrótce potem ożenił się i podjął pracę w jakimś bliżej nieokreślonym wydziale firmy inwestorskiej kontrolowanej przez rodzinę żony – sam nie potrafił wytłumaczyć, czym zajmował się ten wydział. Piął się tam po szczeblach kariery, wykonując pracę, na której się nie znał i której natury nie potrafił ogarnąć, i był obecnie szanowanym doradcą do spraw krajowej polityki podatkowej przy kolejnych prezydentach, którym niezmiennie przedstawiał to samo zwięzłe zalecenie: „Równoważyć budżet”. Te dwa słowa zapewniały mu bliski uwielbienia szacunek w elitach biznesmenów oraz w kręgach towarzyskich.

Według Pomoroya Harris Rosenblatt znalazł sobie idealne środowisko, jedyne odpowiednie z punktu widzenia darwinizmu, w którym mógł przetrwać: trzy funty masy ludzkiego mózgu zaklinowane na mur w finansowej specjalizacji zbyt wąskiej, by dało się ją zdefiniować, w szufladce zbyt ciasnej, by przedarł się tam jakikolwiek drażniący promień światła. Gold podejrzewał, że to właśnie Harris Rosenblatt załatwił Liebermanowi zaproszenie do Białego Domu, kiedy trwała jeszcze wojna w Wietnamie. Poza Prezydentem niewiele osób wpuszczało Liebermana do domu na kolację, a on nie był osobą, która przepuściłaby taką okazję, skoro Biały Dom postanowił być niewybredny.

– Słuchajcie – chełpił się kiedyś przed Pomoroyem i Goldem, zanosząc się swoim prostackim, tryumfalnym rechotem – zaproszono mnie raz na kolację do Białego Domu tylko po to, żebym poparł wojnę. Popierałbym wojnę każdego dnia tygodnia, gdybym wiedział, że za to znowu zaproszą mnie na wyzerkę do Białego Domu. – Zaraz jednak stracił pewność siebie, bo Pomoroy i Gold odwrócili się od niego z nie skrywaną odrazą. Gold znał Liebermana od dziecka i nigdy go nie lubił. Niewyczerpanym źródłem przyjemności była teraz dla niego możliwość mówienia: „Wiesz, Maxwell, ja cię nigdy tak naprawdę nie lubiłem”. W szkole średniej Lieberman kazał wszystkim nazywać się Maxwelllem. Teraz, kiedy nie

mógł już słuchać tego imienia, Gold z upodobaniem zwracał się do niego właśnie w ten sposób, zwłaszcza w towarzystwie ludzi, którzy znali go tylko jako M. G. Liebermana i których imię Maxwell bardzo bawiło. W college'u Lieberman przyswoił sobie upodobanie do używania tylko inicjałów swoich imion we wszystkim, co podpisywał, nawet w pracach domowych. W rozmowach oraz w radiowych talk-show, do udziału w których od czasu do czasu go zapraszano, prosił, żeby zwracając się do niego używano jego drugiego imienia Gordon, ewentualnie niefrasobliwego przydomku Skoczek, który nadał sam sobie już po ukończeniu czterdziestego piątego roku życia.

– Skoczek – powtórzył Pomoroy, krzywiąc się, jakby odkrył właśnie między zębami włókienka cytryny. – A dlaczego nie „Kędzior”?

– Nie mam kręconych włosów.

– I nie masz na imię Skoczek – odparł Pomoroy.

– To mój pseudonim.

– Nie, to nie jest twój pseudonim. Ludzie nie nadają sobie sami pseudonimów, Lieberman. To inni im je nadają. Czymkolwiek teraz jesteś, Lieberman, albo masz nadzieję być... nie przerywaj mi, proszę, ty łysy, tępy bufonie, natrafiałem często na twoje nazwisko w relacjach z okolicznościowych bankietów, gdzie wśród wymienianych mówców znajdowali się faszyci i antysemita... nie jesteś i nigdy nie będziesz Skoczkiem.

– Przyjaciele tak mnie nazywają – obruszył się Lieberman.

– Wcale nie. – Gold nie podnosił wzroku znad kanapki z indykiem, którą właśnie jadł. – Nigdy nie miałeś żadnego pseudonimu. Ja miałem, ale ty nie. Przez jakiś czas wołali na mnie „Czterooki”. Na ciebie wołali co prawda „Gruby”, ale było to tylko stwierdzenie faktu. I nie miałeś żadnych przyjaciół. Ja też ich nie miałem. Ale i tak miałem ich więcej od ciebie.

– Ja byłem twoim przyjacielem.

– Nie chciałem cię. Wykorzystywałem cię tylko, kiedy nikt lepszy nie chciał się ze mną bawić.

Lieberman i Gold mieszkali okno w okno po przeciwnych stronach tej samej ulicy na Coney Island, w szeregowych kamienicach czynszowych niedaleko Surf Avenue, i Lieberman nigdy nie obchodził Golda bardziej, niż Gold obchodził innych.

Gold spędził większą część swego dzieciństwa na granicy odręczenia. Podczas wybierania drużyn do jakiegokolwiek gry, Gold do ostatniej chwili, nawet kiedy kapitanom pozostał już sam wybrakowany element, nie miał pewności, czy w ogóle się załapie; jeśli go wybrano, był tak wdzięczny, że chciało mu się płakać. W sobotnie popołudnia, kiedy wszyscy szli do kina, nigdy nie był pewien, czy go przygarną. Przez pierwsze piętnaście lat swego życia nie zawahałby się ani sekundy, gdyby dano mu kiedyś szansę zamiany swej przedwcześnie rozwiniętej inteligencji na przyjaźń z takimi miejscowymi urwisami albo prowodyrami jak Plamka Weinrock albo Rybka Siegel. Starszy brat Rybki, Paralityk, latem handlujący nielegalnie lodami na plaży, a w zimie sztuczną biżuterią na ulicach, miał teraz miliony dolarów w akcjach firm komputerowych i reasekuracyjnych i obracał jeszcze większą sumą ulokowaną w syndykacie pośrednictwa w handlu nieruchomościami oraz w funduszach powierniczych.

I pomyśleć, że to właśnie Paralityk.

To głównie dzięki bezgranicznej troskliwości Rose, czy może Esther, wcześniej wykryto u Golda krótkowzroczność połączoną z astygmatyzmem, i Gold chyba pierwszy spośród swoich rówieśników z sąsiedztwa zaczął nosić okulary. Nawet Sid i Muriel wołali na niego Czterooki. Kto wie, czy Gold nie dostawał najlepszych stopni w szkole podstawowej tylko dlatego, że był jedynym w klasie, który dobrze widział.

Lieberman był od samego początku ambitniejszy. Już w wieku ośmiu lat miał skłonności do zarozumiałych przechwałek.

– Jak dorosnę – oznajmił Goldowi w trzeciej czy czwartej klasie – będę gruby. Będę najgrubszym facetem na całym świecie.

To był jeden z najwcześniejszych życiowych celów Liebermana: utyć. W każdej kolejnej klasie zgłaszał się do pełnienia wszystkich możliwych funkcji, od dyżurnego ścierającego tablicę i opróżniającego kosz na śmieci po klasowego gońca, a na koniec, co było uwieńczeniem tej fazy jego kariery, na szefa patrolu porządkowego. Paradował rozkołysanym junacko krokiem, wypinając dumnie pierś z przypiętą do niej metalową odznaką, i ustanawiał rekord za rekordem w spisywaniu uczniów przechodzących przez jezdnię w niedozwolonych miejscach, dopóki Rybka Siegel nie zagroził mu rozwaleniem łba, jeśli nie zbastuje. Plamka Weinrock powiedział, że zrobi to samo. Lieberman rozplakał się i tego popołudnia zrezygnował z uczestnictwa w patrolach porządkowych.

Ale nadal jadł i gadał bez ustanku. W wieku dziewięciu lat dyskutował już swobodnie o socjalizmie, faszystach i ruchu robotniczym ze starymi europejskimi Żydami na trotuarach Coney Island. Jego charakterystycznym argumentem w tych dysputach było utrzymywanie, że rozmówcy nie wiedzą, o czym mówią.

Pomoroy, który twierdził, że Lieberman tak bardzo chce wysforować się przed innymi, że gdyby tylko miał na to wpływ, przyszedłby na świat jako wcześniak, prawdopodobnie przesadzał. Ale trochę prawdy chyba w tym było. Liebermanowi, chociaż nie chciał już być gruby, ręce same wyciągały się po jedzenie, czy to własne, czy cudze. Nigdy nie sprawował żadnej wybieralnej funkcji w szkole, ponieważ nie mógł znaleźć nikogo, kto by go do niej nominował, poparł albo na niego głosował.

– Mnie tam nie zależy – oświadczył Goldowi w piątej czy szóstej klasie, z trudem hamując łzy. – Jak dorosnę, zostanę grubym członkiem Gabinetu. Będę pierwszym żydowskim Sekretarzem Stanu. Założę się, że będę na ty nawet z Prezydentem.

Potem przeprowadził się z Coney Island do graniczącej z nią, trochę lepszej dzielnicy Brighton Bridge. Kiedy Gold rozpoczynał naukę w Abraham Lincoln High School, Lieberman był już tam na drugim roku, przeskoczywszy nie wiadomo jak jeden rok szkolny, i wyrabiał sobie z powodzeniem markę wybitnego studenta i jednocześnie *poca*. Działal w redakcji magazynu literackiego oraz szkolnej gazetki. Po pierwszym roku nauki grał już tam pierwsze skrzypce. Wykazywał ogromną aktywność w sprawach polityki i był współprzewodniczącym kółka dyskusyjnego, które zawsze przegrywało debaty.

Gold go unikał. Pomijając szkolny magazyn literacki, wysłał kiedyś pocztą dziesięć swoich krótkich wierszy do *The Saturday Review of Literature*. Sześć mu odesłano z adnotacjami o odrzuceniu, cztery przyjęto do druku, płacąc po dziesięć dolarów za każdy. Lieberman zsiniał. Przysiągł, że nigdy nie wybaczy Goldowi, że działał w pojedynkę, zamiast podzielić się z kimś swoją inicjatywą. I żeby mu pokazać, gdzie jego miejsce, wysłał do *The Saturday Review of Literature* dwadzieścia pięć swoich wierszy. Odesłano mu trzydzieści dziewięć.

– Czym ja się przejmuję? – prychnął lekceważąco Lieberman. – Jak dorosnę, będę bogaty. Będę sławniejszy od wszystkich. Ożenię się z bogatą i sławną dziedziczką jakiejś fortuny. Nigdy nie wypadną mi włosy. Na każdym palcu będę nosił pierścień. Zajmę się polityką i osiągnę sukces. Zostanę burmistrzem, senatorem i gubernatorem całego Nowego Jorku. Będę wielkim milionerem. A kiedy dorosnę – zapowiedział na koniec – będę rznął dziewczyny.

Póki co, poszedł do college'u.

Wciąż był gruby. Włosów nie miał już gęstych. Jadł nadal tak samo zachłannie, dopychając się tym, co zostawiali na talerzach inni.

Do tego samego college'u uczęszczał Pomoroy, pochodzący z wykształconej rodziny z Massachusetts, oraz Harris Rosenblatt, który przeniósł się tam z prywatnej szkoły na Manhattanie, i pochodził z surowej, wyniosłej, niemiecko-żydowskiej rodziny mieszkającej

przy Riverside Drive. Na roku dyplomowym do ich paczki doszłusował z Princetown University Ralph Newsome, pochodzący z zamożnej rodziny w Michigan.

Wiadomo było, że Lieberman rozłoży każde zajęcia. Przeszkadzał w ich prowadzeniu wyrrywając się z odmiennymi poglądami i dętymi obiekcjami oraz nieproszony wywrzaskiwał odpowiedzi na każde postawione pytanie. Studenci i wykładowcy przekonali się z czasem, że nie ma sensu się z nim handryczyć i unikali go jak ognia. Starzy profesorowie bledli, kiedy zapisywał się na ich wykłady, a starsi wiekiem studenci, włączając w to zaprawionych w bojach marines z Iwo Jima³ oraz weteranów armii z wojny koreańskiej, widząc go pierwszego dnia semestru w swojej grupie, natychmiast zmieniali sobie program zajęć. Przerzucali się nawet na inny kierunek studiów. Dla wielu pracowników naukowych i pedagogów tej uczelni Lieberman był ostatnią przysłowiową kropką brakującą do długo czasami odwlekanych decyzji: rozwód, morderstwo, załamanie nerwowe, wcześniejsze przejście na emeryturę, ewentualnie zmiana zawodu, bądź przeniesienie się na inny uniwersytet. W końcu, spełniwszy wraz z Goldem i Ralphem Newsome'em wszystkie warunki wymagane dla uzyskania doktoratu, Lieberman rozejrzał się z niesmakiem po kampusie uniwersyteckim ze stopni Małej Biblioteki i z pogardą w głosie stwierdził: „Wiecie, to chyba nie jest już taki renomowany uniwersytet. Trzeba nam było pójść do Yale”.

Wolał nie pamiętać, że żaden z nich nie miał szans dostać się na Yale. Żaden, prócz Ralpa, którego przyjęto by wszędzie. Ralph wybrał Columbię, ponieważ chciał pomieszkać przez jakiś czas w Nowym Jorku i ponieważ domyślał się, że znajdzie tutaj kogoś takiego jak Gold, z kim nauka będzie mu łatwiej szła.

– Prawda jest taka – zauważył Pomoroy z właściwą sobie melancholią, kiedy ostatnio jedli we trójkę lunch – że żaden z nas niczego wielkiego właściwie nie osiągnął.

A Lieberman, oznajmiwszy, że nigdy mu nie daruje, że to powiedział, zaczął pisać kolejną autobiografię.

Sęk w tym, doszedł do wniosku Gold na krytej bieżni klubu YMCA, kończąc pierwsze dziewięć okrążeń i nie padając trupem, że pragnęliśmy osiągnąć jakiś wspaniały sukces niemal od chwili urodzenia. Co do celów, mruczał pod nosem, truchając ciężko dalej po krótkim owalnym torze i czując, jak pulsujący ból spływa mu z piersi i usadawia się w podrygujących nerkach, to właściwie ich nie mieliśmy. Ale i tak lepiej już dążyć do byle gówna niż do niczego. Gold trzymał się zabobonnej wiary, że jeśli przetrwa osiem pierwszych okrążeń i płuca mu nie pękną, pokona cały dystans jeszcze raz, wygrywając z depczącym mu po piętach Aniołem Śmierci. Bieżnia była niemal pusta, co mu odpowiadało. To właśnie tutaj, na tej bieżni, podczas przemierzania po kilka razy na tydzień tych morderczych trzech mil, Goldowi przychodziła do głowy większość jego najlepszych myśli, i również tutaj pozbywał się na jakiś czas duszącej zawiści i nowoczesnej maniery litowania się nad samym sobą, które niemal codziennie naszym trucizną zalewały mu duszę. Kiedy weźmie prysznic, ubierze się i wyjdzie stąd słaniając się na nogach, zawiść zdąży przerodzić się w euforię. Nic tak nie zniechęca człowieka, medytował rozpoczynając ostatnie okrążenie swojej pierwszej mili i czując, że łapie go kurcz w łydce, jak świadomość, że ktoś wcale od niego nie lepszy osiąga więcej. Jeszcze czterdzieści osiem okrążeń. Dzisiaj nie będzie zgagi. Nerki już przestały boleć i tylko patrzeć, jak rozluźnią się mięśnie łydek, a ścięgna obu kostek z każdym krokiem zaczną się stawać coraz bardziej elastyczne. Wtedy będzie się mógł skupić na dokuczliwym kluciu w lewej pachwinie, potem zaś na ostrym, żgającym bólu w prawym boku, osadzonym w ślepej kiszce i pnącym się poprzez wątrobę, klatkę piersiową i łopatkę ku obojczykowi i szyi. Każdy z tych ośrodków cierpienia można było rozpatrywać tylko pojedynczo. Podczas uprawiania joggingu nawiedzała go często jeszcze jedna myśl, a mianowicie, że to cholernie nudny sposób na wypełnianie wolnego czasu. Zaczął dbać poważnie o swoją kondycję

³ Iwo Jima – wyspa japońska na Pacyfiku, na którą Amerykanie dokonali desantu w lutym 1945 (przyp. tłum.).

fizyczną przed kilku laty i stwierdzał teraz, że jest w stanie uprawiać miłość z większą niż dotąd werwą, wigorem i samokontrolą, ale za to z o wiele mniejszą przyjemnością. Stwierdzał również, że przez te ćwiczenia ma teraz na nią mniej czasu, w dodatku jest po nich często zbyt skatowany fizycznie i oklapnięty, żeby mu się jeszcze chciało. Silniejsze emocje wzniecała w nim myśl o drzemce. Poranny ból w krzyżach już go nie nawiedzał – towarzyszył mu teraz przez cały dzień.

Gold, Lieberman i Pomoroy mieli solidne podstawy, by oczekiwać spełnienia swoich nadziei na sukces. Ale zanim zdążyli się obejrzeć, naokoło powstąpiły prawdziwe gwiazdy, a oni zostali z tyłu. Wszyscy trzej osiągnęli, co sobie zamierzali, lecz wcale nie czuli się usatysfakcjonowani. Lieberman chciał redagować małe intelektualne czasopismo i redagował je. Gold nosił się z myślą o skromnej posadzie nauczyciela akademickiego w Nowym Jorku i wyrobieniu sobie pewnej pozycji jako uznany pisarz, i zrealizował swoje plany. Pomoroy chciał zostać wydawcą książek i został nim. Wszystkim się udało, lecz mimo to czuli się przegrani.

Gold już nie twierdził, że rozumie naturę sukcesu. Teraz twierdził, że jej nie rozumie. Wydawało mu się, że zna niezbędne składniki, ale nie było takich.

A raczej był jeden: ślepy los.

Taki Harris Rosenblatt, ze swoją uśpioną zdolnością koncentracji i kompletną bezmyślnością, należał teraz do liczących się osób; był członkiem protestanckich klubów, które nie przyjmowały Żydów, oraz członkiem zarządów klubów żydowskich, które przyjmowały tylko Niemców. Slogan „równoważyć budżet” był chyba najdłuższym i jedynym zaleceniem, jakie potrafił samodzielnie sformułować. Albo taki Paralityk z Neptune Avenue, leser, wagarowicz wyrzucony ze szkoły średniej, drobny cwaniaczek trudniący się w lecie handlem lodami; obracał teraz milionami i potykał się z Nelsonem Rockefellerem podczas formalnej kolacji dla nadzianych gości, ewentualnych sponsorów kampanii wyborczej, kiedy Nelson ubiegał się o fotel gubernatora Nowego Jorku.

– Tak, dobry człowieku – powiedział Nelson Rockefeller do Paralityka z Neptune Avenue – będę ci wdzięczny za wsparcie.

– A co ja będę z tego miał? – spytał Paralityk. Trzymał ręce w kieszeniach spodni. Nigdy w życiu nie pozdrowiłby nieopatrznie kogoś ani nie podał ręki komuś, kto mógłby coś od niego chcieć. Zaskoczony Rockefeller zapomniał języka w gębie.

– Dobry rząd – wtrącił szybko gorliwy asystent o rumianej twarzy.

– A komu on potrzebny? – burknął Paralityk uśmiechając się przyjaźnie. – Mnie tam dobrze z tym, co jest.

Sid, który często wspominał ten incydent, stanowił jeszcze jedną anomalię w tym kapryśnym katalogu sukcesu. Za młodu cichy i zakompleksiony w domu, mało ambitny i zaledwie średniak w szkole, po powrocie z wojska w 1945 roku zdołał zdobyć jakoś i ulepszyć kilka patentów na sprzęt pralniczy. Potem posypały się pomysły na inne maszyny, po nich przyszła kolej na zakład obróbki tkanin. Teraz miał pieniądze jak lodu i wydawał je tak lekką ręką, że nawet Harriet się to nie podobało.

Dawniej, kiedy jeszcze konie ciągnęły czerwone furgony, pracował ciężko – pół dniówki po szkole i całą w letnie wakacje – jako robotnik w pralni Brighton Laundry. Po ukończeniu szkoły średniej został zastępcą jakiegoś kierownika, bo wolał to niż pracę w zakładzie krawieckim, który ojciec w tamtych ryzykownych latach, jakie nastąpiły po 1929, to tracił, to odzyskiwał. Miał też w swoim życiorysie ucieczkę na całe lato z domu. W niedziele, kiedy mógł, a nawet w sobotnie wieczory, pracował w dziale zaopatrzeniowym sali bankietowej. Nie lubił tych weekendów ani wypożyczanych fraków, które musiał wtedy nosić, ale był to czas Wielkiego Kryzysu. Dochody ojca, który raz miał robotę, raz nie, były niepewne. Rose i Esther zaraz po skończeniu szkoły i osiągnięciu odpowiedniego wieku znalazły sobie pracę; jedna w domu towarowym Woolwortha, druga na straganach z hot dogami rozstawianych w

lecie na chodnikach. Na całej trójce ciążył ponadto obowiązek dostarczania klientom ojca gotowych garniturów i sukien oraz inkasowania od nich należności w gotówce. Kredytu nie udzielało się wtedy nikomu.

Julius Gold wciąż sprzedawał i odkupywał ten sam zakład krawiecki usytuowany na parterze czynszowej kamienicy, w której mieszkali. W living-roomie stało radio firmy Atwater-Kent i byli jedną z pierwszych rodzin w budynku, która założyła sobie telefon – w warsztacie. Stanowili też jedyną rodzinę z aż siedmiorgiem dzieci. Julius Gold z nieomylnym wyczuciem sprzedawał zawsze zakład nieudacznikom albo inwalidom, dzięki czemu odzyskiwał go później pokrywając jedynie zaległy czynsz, kiedy tylko spaliła na panewce jego kolejna eskapada w elegancki świat handlu i drobnej wytwórczości. Matka Golda była dobrą krawcową i szwaczką, i codziennie, kiedy robiła już zakupy i uwinęła się z pracami domowymi, schodziła pracować na dół, do zakładu. Zakład krawiecki był tętniącą życiem filią mieszkania na piętrze; podczas szkolnej przerwy na lunch Rose, Esther, Ida i Muriel wcinały tu kanapki, popijając je mlekiem albo wodą sodową ze sklepu z cukierkami po drugiej stronie ulicy. Gold pamiętał całe poranki i popołudnia przebomblowane na wykładanej łazienkowymi kafelkami posadzce i swoją siostrę Joannie w dziecinnym wózku stojącym pod oknem z szybami z walcowanego szkła, dopóki padało tam słońce, matkę terkoczącą na maszynie do szycia firmy Singer, albo szyjącą ręcznie z napastrkiem na palcu, oraz ojca, który kręcił się po warsztacie, nucąc pod nosem albo wyśpiewując na głos skoczne melodie taneczne, bądź też wywrzaskiwał straszne przekleństwa przy stole do prasowania. Gold pamiętał też jak przez mgłę pewien katastrofalny okres na długo przed wybuchem drugiej wojny światowej, kiedy ojciec, uznawszy się za nadzwyczaj utalentowanego śpiewaka, zaczął brać udział we wszystkich konkursach piosenkarskich oraz występować w radiowej audycji dla amatorów. Starsi członkowie rodziny byli tym chyba wstrząśnięci i spanikowani. Po wojnie oszołomiła ich znowu i śmiertelnie wzburzyła, tym razem również i Golda, inna rodzinna hańba, kiedy odkryli, że Joannie z przyjaciółką pracuje na jednym ze stoisk wesołego miasteczka przy stacji kolejowej, leżąc tam beczynnym na łóżku w tandetnej purpurowej koszuli nocnej i czekając, aż któryś z klientów wceluje piłką baseballową w środek tarczy i w nagrodę nacieszy oczy widokiem Joannie zlatującej ze stającego gwałtownie na sztorc łóżka. Przez parę tygodni w domu panowało napięte milczenie. Joannie miała wtedy zaledwie osiemnaście lat. Potem wyjeżdżała z tą samą przyjaciółką, by startować w konkursach piękności, pracować jako artystka estradowa w eleganckich hotelach, a jeszcze później na Florydę, do Kalifornii, czy nawet na Kubę z zamiarem zrobienia kariery hollywoodzkiej aktorki, ewentualnie tancerki bądź modelki. Wtedy też odeszła matka. Kiedy w 1942 wybuchła wojna, chorowała już od kilku lat i zakład krawiecki był zamknięty. Ojciec ze współnikami pracował na zlecenie przemysłu obronnego na małym stryszku przy Canal Street, wierząc przez szablony otwory na drobne elementy samolotowych wieżyczek strzeleckich bendixa, które Sid wcielony do Sił Powietrznych Armii pomagał konserwować w Afryce Północnej. Ojciec chciał szybko rozwinąć ten interes i montować całe wieżyczki. „Po co oni nam potrzebni?” – mówił i wyklócał się zawzięcie ze współnikami. Rose wyszła za Maxa i znalazły sobie z Esther posady z prawdziwego zdarzenia. Rose swojej do tej pory nie zmieniła i już pewnie nie zmieni. Ida uczyła się w college'u, a Muriel i Gold w szkole średniej. Gold doszedł później do gorzkiego wniosku, że ojciec był chyba jedyną osobą w kraju, która pracowała na rzecz przemysłu obronnego i mało że się nie dorobiła, to jeszcze na tym straciła.

Sid, podwieszając do samolotów bomby, ładując amunicję w taśmach i konserwując broń pokładową, dosłużył się jako zbrojmistrz stopnia sierżanta. Był zafascynowany tym pierwszym kontaktem z krzywkami, sprężynami, zaczepami, przełącznikami elektromagnetycznymi i hydrauliką. Zainspirowała go konstrukcja karabinu maszynowego

kaliber .50. To z tego właśnie karabinu pochodziły rozwiązania techniczne, jakie zastosował w swoich cichych maszynach pralniczych.

– To dopiero głowy! – zachwycał się na patio swojego domu w Great Neck. – Wymyślić taką maszynę! Kawałek metalu wykonuje czynność, która może pobudzić do działania jakiś inny kawałek metalu. Przysięgam na Boga, że gdyby nie te karabiny maszynowe, nigdy bym nawet nie pomyślał o maszynach pralniczych.

– A kto ci pomógł, Sid? – przypomniał mu ojciec, żądny uznania swoich zasług.

– Ty, tato. Ale Paralityk z Neptune Avenue wyłożył pieniądze. A Kopotkin od łyżew odwalił większość roboty. Miał po wojnie własny warsztat ślusarski.

– I ty im zaufałeś, dupku jeden? – spytał z naganą w głosie Julius Gold. – Skąd mogłeś wiedzieć, że cię nie wystrychną na dudka?

Sid potraktował to pytanie z wyrozumiałością.

– Jakoś o tym nie pomyślałem. Może wtedy przyjaciele postępowali wobec siebie uczciwie, tato. – I teraz Sid znalazł wreszcie w sobie odwagę, by zasugerować głosem delikatnym i miłym: – Uważam, że powinieneś kupić kondominium.

Stary zeszywniał.

– Nie siedzę tyle czasu na Florydzie.

– Mógłbyś je wynajmować, kiedy przebywasz tutaj, i prawdopodobnie zwróciłyby ci się wszystkie koszty.

Stary zaciągnął się głęboko cygarem.

– Wyjaśnisz mi to w przyszłym tygodniu, kiedy przyjdiesz do nas na lunch. Ty też przyjdź – rzucił do Golda.

– Wszystko dobrze pójdzie – mruknął Sid, uśmiechając się, krzyżując z głębokim westchnieniem ręce na brzuchu i odchylając się jeszcze bardziej do tyłu w swoim fotelu na biegunach.

Ale Gold nie dał się zwieść aurze ukontentowania, jaką roztaczał wokół siebie Sid, i był przekonany, że tkwi w nim nadal jak zadra retrospektywny żal, że nie dane mu było ukończyć college'u. Jednak dla absolwentów szkoły średniej z czasów i otoczenia Sida wszelkie mrzonki o ukończeniu college'u były marzeniem ściętej głowy. Najwyższy laur, po jaki można było sięgnąć, co też uczynił Max, mąż Rose, stanowiło uzyskanie jak najlepszego wyniku na egzaminie kwalifikującym do pracy w służbie państwowej. Max był drugi na całym stan z testu Departamentu Poczty. W dziale brooklyńskim *Sunday News* zamieszczono nawet jego fotografię. Od tamtego czasu pracował w urzędzie pocztowym.

Jedynym w sąsiedztwie wyjątkiem był zwariowany Murshie Weinrock, który brnął z móżdżkiem przez college w systemie wieczorowym przez cztery, pięć, sześć lat, aż do wybuchu drugiej wojny światowej. Wtedy armia przeniosła go na końcówkę ostatniego roku do Swarthmore College, na jeden z tych hojnie subsydiowanych programów nauczania dla studentów college'ów, a następnie posłała do Harvard Medical School. I znowu ślepy los. Gdyby nie Adolf Hitler, Murshie Weinrock pewnie do tej pory zamiatałby ścinki w fabryczce kapeluszy swojego wuja. Dzisiaj był wziętym internistą na Manhattanie, a jego praktyka rozrastała się chyba szybciej od jego umiejętności zarządzania nią. Ale doktor Murray Weinrock starych przyjaciół przyjmował zawsze poza kolejnością.

Gold był u niego w połowie tygodnia. Chudy niegdyś Murshie Weinrock miał teraz nadwagę i był nałogowym palaczem o wyniszczonej twarzy i zafrasowanym spojrzeniu człowieka wiecznie przepracowanego. Przy Goldzie przejawiał kapryśne poczucie humoru, które zdaniem Golda można było określić tylko jako nieco osobliwe i może trochę zdeprawowane.

– Ale wszawo wyglądasz.

– Dzięki, Mursh – mruknął Gold, jak zawsze przygaszony przed coroczną kontrolą stanu swojego zdrowia. – Ty też.

– Jak się czujesz? – spytał dociekliwie Mursh Weinrock w trakcie badania. – W tym momencie?

– Okropnie. Wsadziłeś mi to coś w dupę.

– Od dawna masz ten kaszel?

– Od kiedy przyduśiłeś mi język szpatułką.

W sali z elektrokardiografem Lucille, postawna, przystojna, wyniosła, poważna czarna pielęgniarka, którą Gold znał od lat, nachyliła się nad nim i ze złowieszczym błyskiem w oku powiedziała:

– Wiem, że rznieś żonę doktora. Leż spokojnie, z łaski swojej. Jak według ciebie ta pieprzona maszyna ma zrobić, co do niej należy? – Gold poczuł, że wycieka z niego cała siła. Lucille była dyplomowanym technikiem i jeśli chodzi o wygadanie, biła go na głowę. – Kiedy będę ci następnym razem robiła prześwietlenie klatki piersiowej – ostrzegła – skieruję tę maszynę prosto na twoje jaja. Chyba prosiłam, żebyś leżał spokojnie? Kiedy następnym razem przyniesiesz swoje szczyny do analizy, dosypię po kryjomu trucizny do buteleczki i doktor wytnie ci obie nerki.

– Ho, ho, to może być coś poważnego – powiedział Mursh Weinrock w swoim gabinecie, oglądając faliste wykresy na wstędze elektrokardiogramu, i wzdrygnął się złowieszczo. – Wygląda mi to tak, jakbyś rznął moją żonę.

– Jak tam Mildred? – spytał kwaśno Gold. – Badałeś w zeszłym tygodniu mojego ojca.

– Zarzucił mi, że wszystko źle robię.

– Co z jego płucami?

– Czyściutkie jak gwizdek i pewne jak złoto. Jelita grubego mógłby mu pozazdrościć zdrowy młodzieniaszek. Można by z niego jeść.

– Za takie uwagi chętnie wyrzuciłbym cię przez okno – powiedział Gold. – Nie powinien czasem zmienić klimatu na cieplejszy?

– Tylko kiedy mu zimno. Stary jest w świetnej formie. Biodro i stopę ma zaatakowane artretyzmem, nie da się też ukryć, że twardnieją mu arterie i z tego powodu będzie się często paskudnie czuł.

– Dlaczego, palanty, nie wynaleźliście do tej pory na to kuracji? – burknął Gold.

– Biologia sobie tego nie życzy. Natura brzydzi się podeszłego wieku.

– Nadal zaczyna dzień od śledzia i pieczonego kartofla. I paru greckich oliwek.

– I co z tego?

– Czy to mu nie zaszkodzi?

– Jeśli zaszkodzi, pierwszy się o tym dowie. Słuchaj, Bruce, twój ojciec jest już po osiemdziesiątce. Co by to zmieniło, gdybyśmy zaczęli go teraz karmić pokarmem dla niemowląt? Ale wróćmy do ciebie. Choroba weneryczna... złapałeś już?

– Tobie ostatniemu bym powiedział.

– Pacjent twierdzi, że nie ma choroby wenerycznej.

– Zmówiliście się przeciwko mnie, prawda? – wybuchnął Gold.

– Kto się zmówił?

– Dobrze wiesz, o kim mówię. Ty z Lucille. Na pewno nie traktujecie w ten sposób innych ludzi, którzy tu przychodzą, prawda?

– W jaki sposób?

– Potrafisz idealnie rozładowywać napięcie u zdenerwowanego pacjenta.

– Napięcie?

– Może wkrótce zmienię pracę na bardzo prestiżową w rządzie. Tylko nikomu nie mów.

– A kogo to obchodzi?

– Nie wygłupiaj się.

– Widujesz mojego gnuśnego braciszka? – Mursh pytał o Plamkę Weinrocka. Gold pokręcił przecząco głową. – Nie wydaje mi się, żeby Plamka splamił się chociaż raz w życiu minutą ciężkiej pracy – dodał Mursh.

– No nie – zaoponował Gold. – Przypomnij sobie, w jakich okolicznościach zyskał swój przydomek. Pracował u mojego zbzikowanego ojca przez dobre półtora dnia, usuwając plamy z ubrań.

– W domu wołaliśmy na niego Strzała, a przezwąła go tak przekornie matka. To było pierwsze angielskie słowo, jakiego się nauczyła. Wymawiała je „Szcząła”. Niech go cholera. Nawet mając szesnaście lat dalej udawał, że nie potrafi wkładać skarpetek. Któreś z nas musiało mu zawsze pomagać, żeby zdążył do szkoły, bo sam nigdy nie skończyłby się ubierać. Wtedy... – doktor Murray Weinrock z apokaliptycznym zapamiętaniem biblijnego proroka pogroził w powietrzu palcem wskazującym – ...wtedy zrozumiałem, co musiał czuć Kain do Abla, i moje sympatie uległy przeorientowaniu. Gdybym miał pod ręką kość udową wołu, sto razy zatłukłbym go nią na śmierć. Nienawidzę lenistwa. No ale teraz poważnie. Wagę ciała masz prawidłową, serce i ciśnienie krwi w idealnym porządku. Za to Sid mógłby zrzucić parę funtów i wziąć się do jakichś ćwiczeń, ale to samo odnosi się do mnie.

– A co z moim zmęczeniem?

– Za dużo seksu. Zakazuję ci rznąć moją żonę.

– Zdarzają się takie noce, kiedy nie mogę się oprzeć.

– Zmień ją na jakąś ładną młodą dziewczynę.

Gold miał na ten temat odmienne zdanie i uważał, że większości kobiet uprawianie seksu zaczyna sprawiać przyjemność dopiero pod trzydziestkę, ale było to jedno z tych jego cennych odkryć, których nie mógł ogłosić drukiem, dopóki jeszcze uczył, dopóki był jeszcze żonaty i dopóki jego dwunastoletnia córka nie była jeszcze kobietą pod trzydziestkę.

Sid, chociaż nie miał wykształcenia ekonomicznego, lepiej od Golda rozumiał znaczenie słowa „fuzja”. Prawie z marszu przejął ostatnie przedsięwzięcie gospodarcze starego: kulejącą fabryczkę wyrobów ze skóry balansującą na krawędzi bankructwa – po czym wtopił ją na trwałe w skomplikowaną sieć innych swoich przedsiębiorstw i w magiczny sposób podniósł kondycję nabytku do poziomu wystarczającego, by ojciec mógł przejść spokojnie na rentę ze stałym rocznym przychodem i rozdętym do absurdalnych granic, nie mającym sobie równego samouwielbieniem. Stary obnosił się z wielkopańską dumą człowieka, który przez całe swoje życie był za pan brat z sukcesem. Sid zasiliał go dodatkowymi sumami, tak samo zresztą jak większość pozostałych członków rodziny. Julius Gold uskładał sobie z tych datków na dobry używany samochód, którym woziła ich Gussie, kiedy przebywali na Florydzie. Do Sida ojciec miał pełne zaufanie.

– Sid załatwił to tak, że najpierw dostanę odszkodowanie z ubezpieczenia na wypadek utraty pracy, a potem moją rentę z ubezpieczenia społecznego.

– Gdyby trochę bardziej się postarał – zażartował zgryźliwie Gold – załatwiłby ci jeszcze stałą zapomogę z opieki społecznej.

Kiedy Gold był dzieckiem, Sid pracował już w letnie wakacje, w weekendy i w popołudnia dni roboczych. Kiedy Gold chodził do szkoły średniej, Sid służył w wojsku gdzieś za oceanem. A w tym samym roku, w którym Gold rozpoczynał naukę w college'u, Sida zwolniono do cywila i na mocy Karty Praw Żołnierza mógł dalej zdobywać wykształcenie, ale miał już trzydzieści jeden lat. Teoretycznie mogli równocześnie rozpocząć naukę i wtedy Gold zakasowałby go w zaciętej rywalizacji wynikającej ze szkolnego ekshibicjonizmu. Gold był świadom pewnego paradoksu: Sid, który się poświęcił, nie miał żadnych pretensji do losu, podczas gdy on, będąc beneficjentem, wprost nimi kipiał. Czego jak czego, ale jednego był pewien: na każdą osobę, której się powiodło, potrafiłby wskazać co najmniej dwie inne zdolniejsze, uczciwsze i inteligentniejsze, którym się nie udało.

I Gold wiedział jeszcze jedno: znalazł się w kłopotliwym położeniu, przeżywał tak zwany kryzys świadomości, którego nie dawało się już dłużej ukrywać. Owszem, wszystkie jego wypowiedzi miały wciąż silnie humanitarny wydźwięk, ale tracił coraz bardziej sympatię dla rodzaju ludzkiego. Zresztą coraz mniej było tego, co lubił. Lubił rzeczy, pieniądze i zaszczyty. Był za utrzymaniem kary śmierci, ale nie starczało mu jakoś odwagi, by to otwarcie przyznać. Miał długą listę zasad, postaw, metod oraz ideałów, w które już nie wierzył, a niemal na samym jej początku plasowała się puchnąca podklasa swobód, do której zaliczały się takie święte pozycje, jak swoboda akademicka, swoboda seksualna i nawet swoboda polityczna. Alternatywy były straszne. Nie wysilając wcale wyobraźni wyczuwał, że to właśnie mieli na myśli Praojcowie. Albo on sam stawał się bardziej konserwatywny, albo cywilizacja schodziła na psy.

Albo i jedno, i drugie.

Z pewnością nic nie szło zgodnie z oczekiwaniami. Na dłuższą metę dawało się przewidzieć tylko porażkę. Wszystkim innym rządził przypadek. Zamiany Golda spełzały na niczym, a źli wcale się nie poprawiali.

Amerykański system ekonomiczny był barbarzyński, co naturalną kolejną rzeczy prowadziło do barbarzyństwa i obwarowanego imbecylizmu na wszystkich poziomach kultury. Postęp techniczny i polityka finansowa produkowały masowo i coraz wydajniej ubóstwo, jedyny wysoko przetworzony produkt w statystykach gospodarczych, który przez ostatnie pięćdziesiąt pięć lat ani razu nie wykazał spowolnienia tempa wzrostu – czy to w odniesieniu do powierzchni kraju, czy do liczby ludności. Komunizm był ponurym, szarym, zimnym więzieniem na końcu ślepej uliczki, z której nie widać było drogi odwrotu. A wprowadziła go przecież rewolucja, która się udała. Cóż więc pozostawało? Ten wierny żarłok, imperializm? Wycofywanie się z kolonialnego imperializmu nie przyniosło bynajmniej usamodzielniającym się narodom pokoju, dostatku ani wolności, lecz represje, korupcję i wojny oraz agresywną większość w Organizacji Narodów Zjednoczonych, która była teraz nastawiona wrogo nie tylko wobec samej Ameryki, ale również wobec takich Amerykanów jak Gold. *Wus noch?*

System Ubezpieczeń Zdrowotnych Medicaid?

Gold miał jeszcze jedną listę: symbiotyczny system nowych rodzajów przestępczości. A medycyna przynosiła coś nieskończenie gorszego – plagę długowieczności, coraz większą rzeszę ludzi w podeszłym wieku, którzy byli kulą u nogi społeczeństw, nie mieli nic do roboty i nie cieszyli się szacunkiem. Jak długo jeszcze dorosłe dzieci będą życzyły swoim rodzicom idącym na operację, by ją przeżyli? Co będzie naprawdę odczuwał on, Gold, kiedy ojciec podda się następnej operacji? Co do Sida, Rose i Esther odpowiedź była jednoznaczna, ale Gold nie stawiałby na siebie ani nie ręczył za Muriel, a nawet za Idę. Ani za Joannie, owianą teraz dla niego mgiełką tajemnicy, odległą niewiadomą, którą najlepiej rozumiał i najmniej znał.

Ruch robotniczy skończył się na bezsensownych strajkach i gigantycznych funduszach emerytalnych inwestowanych dla osiągnięcia zysku przez banki. Nie widać tu było żadnego wyraźnego związku ani pomiędzy przyczyną a skutkiem, ani pomiędzy celami a środkami. Historia była jak rozpruty worek na śmieci pełen przypadkowych zbiegów okoliczności, które roznosi wiatr. Z pewnością Watt budując maszynę parową, Faraday konstruując silnik elektryczny czy Edison wynajdując żarówkę nie czynili tego z zamiarem doprowadzenia w przyszłości do kryzysu paliwowego, który uzależni ich kraje od arabskiej ropy.

Uzyskane rezultaty nie miały nic wspólnego z zakładanymi celami.

Swego czasu, a miało to miejsce przed kilkunastu laty, Gold wydał oświadczenie w obronie powieści Henry'ego Millera i Williama Burroughsa, którym zarzucano obsceniczność; teraz wszędzie roilo się od salonów masażu i pornograficznych kin, a wystawy pełne były naprawdę obscenicznych gazet i czasopism. Klubik kondycyjny w

podziemiach budynku mieszkalnego, w którym Gold miał swoje studio, przekształcił się stopniowo w elegancki salon masażu, jemu zaś z dnia na dzień wymówiono członkostwo, chociaż opłacił składkę za rok z góry.

A kiedy w Selmie, w stanie Alabama, maszerował w jednym pochodzie z Martinem Lutherem Kingiem i z takim przekonaniem protestował przeciwko wszelkim formom segregacji rasowej, przez myśl mu nawet nie przeszło, że pewnego dnia dzielnica, w której mieszka, jeszcze bardziej podupadnie, i że będzie musiał posyłać swoje dzieci do drogich szkół prywatnych, by uniknąć wszystkich zagrożeń związanych z busingiem⁴, integracją i coraz gorszym poziomem nauczania, jakie oferowały szkoły publiczne. Jego dzieci nie przywykły do roli białej mniejszości.

Nigdy nie miał wątpliwości, że dyskryminacja rasowa jest czymś ohydny, niesprawiedliwym oraz niewybaczalnie okrutnym i upadlającym. Ale przyznawał w duchu, że preferuje stary porządek, bo czuje się w nim bezpieczniejszy. Kiedy oni mieli dużo gorzej, jemu żyło się o wiele lepiej. Było faktem – faktem, który nie dotyczył moralnego aspektu sytuacji, ale mimo wszystko faktem – że spośród podobnych mu ludzi, którzy pracowali nad unicestwieniem Jima Crow⁵ i z takim przekonaniem za tym argumentowali, wielu ogarnęło, skromnie mówiąc, zakłopotanie, kiedy wreszcie dopięli swego. Sam Gold mieszkał w budynku z portierem i jeździł na urlop w okolice, gdzie nie spodziewał się zastać wielu czarnych. Gdyby się tam pojawili, poszukałby sobie nowych miejsc letniego wypoczynku. Kiedy zaczął to sobie uświadamiać, uświadomił sobie również, że jest nie tylko kłamcą, ale i hipokrytą. O tym, że jest kłamcą, wiedział od dawna.

Szesnastoletniej córce Idy groziło skierowanie do szkoły średniej w niebezpiecznej okolicy, w której będzie nienawidzona, nie nawiąże żadnych przyjaźni i w której nie będzie sobie mogła znaleźć miejsca; jedynie pewne dojeżdża Idy we władzach oświatowych mogły ją ocalić – ale tylko kosztem dziecka kogoś innego. Gold nie potrafił jej nic doradzić, był jednak zdania, że żadne prawo nie powinno stosować tego rodzaju przymusu wobec kogokolwiek. Do przez nikogo nie kwestionowanej zasady równości wprowadzono w ten sposób elementy gwałtu, przestępstwa, wrogości i negacji. Tyle było w tej kwestii wątpliwości, że Gold nie mógł przeboleć, że w ogóle zaistniała. Rozwiązania nie przychodziły mu już tak na zawołanie, jak dawniej, a sytuacja nie wydawała się tak klarowna, jak kiedyś. Po prostu to wszystko nie układało się tak, jak miało. Nic nie przebiegało bez zakłóceń. Nic nie wychodziło tak, jak to zaplanowano.

„Nic nie wychodzi tak, jak to zaplanowano” – taki tytuł nosił artykuł Golda i jego autor nie był wcale zaskoczony, że Lieberman opublikował go natychmiast po tym, jak Gold wydebił od niego resztę honorarium za tekst.

Gold wysłał cztery kopie Ralphowi Newsome'owi i już następnego dnia Ralph zadzwonił do niego do domu.

– Co powiedział? – spytał pożądliwie Gold.

– Dina odbierała – mruknęła Belle, która wróciła właśnie z publicznej szkoły podstawowej, gdzie pracowała popołudniami jako doradca do spraw psychologii.

– Dzwonił z Białego Domu – poinformowała go Dina.

– Co powiedział?

– Miał taki miły głos. Chciałam z nim trochę dłużej porozmawiać, ale powiedział, że ma coś do zrobienia.

– Czy mam ci rozwalić łeb? Co powiedział Ralph Newsome?

⁴ *Busing* – przymusowe przewożenie dzieci do szkół mieszanych pod względem rasowym w ramach walki z segregacją rasową.

⁵ W dosłownym tłumaczeniu Kuba Kruk, czyli Murzyn; alegoryczna postać symbolizująca segregację rasową i dyskryminację Murzynów w USA.

– Zadzwoń jeszcze raz wieczorem. Jak chcesz, to możesz odebrać w moim pokoju.

Gold odebrał telefon za zamkniętymi drzwiami swojego gabinetu.

– Boże, Bruce – zagał Ralph. – Nie potrafię nawet wyrazić, jak nam tu wszystkim zlasowałeś mózgi. Jeśli nic nie wychodzi tak, jak to zaplanowano – a na poparcie tego twierdzenia przedstawiasz rzeczywiście silne argumenty – to Prezydent ma dokładnie ten pretekst, jakiego potrzebuje, żeby nic nie robić.

Gold, chociaż trochę zaskoczony, poczuł się mimo wszystko mile połączony.

– Ten punkt widzenia jakoś mi umknął – przyznał.

– Kazaliśmy porobić fotokopie. Chcemy, żeby każdy w rządzie przeczytał ten tekst, chociaż ostemplowaliśmy go jako tajny, żeby nikt nie mógł tego zrobić. Chyba lepiej by było – głos Ralpa przybrał ton łagodnej nagany – gdybyś najpierw pokazał go nam, żeby Prezydent mógł przedstawić tytułową tezę jako własną. Niewykluczone jednak, że teraz, kiedy będzie cytował taki uznany autorytet jak ty, okaże się ona bardziej przekonująca. Nie zdziw się więc, Bruce, jeśli się jutro na nią powoła. To powinno poleświć ludziom mózgi.

– To Prezydent to czytał? – Gold, któremu mózg też się lasował, nie mógł się powstrzymać przed zadaniem tego pytania.

– Och, jestem przekonany, że czytał – odparł Ralph ze swoją zrównoważoną flegmatycznością – chociaż pewności nie mam.

– Pokazałbym wam tekst przed złożeniem go w redakcji, ale nie przyszło mi do głowy, że zainteresuje kogoś poza tobą, Ralph.

– Bruce, nawet sobie nie wyobrażasz, jak wysoką masz u nas markę. Zwłaszcza po tym artykule. Nic nie wychodzi tak, jak to zaplanowano... mój Boże, co za koncept. Wszyscy tutaj chcemy, żebyś z nami pracował, jak tylko ludzie nad nami zadecydują, czy w ogóle chcą, żebyś tu pracował. Dołączysz do nas?

– Jako kto? – spytał Gold, który wiedział już, że odpowiedzią musi być żarliwe „tak”.

– No, tego to nie wiem – powiedział Ralph. – Prawdopodobnie na początek moglibyśmy cię od razu obsadzić na stanowisku rzecznika.

– Rzecznika? – W Goldzie zrodziły się nagle wątpliwości. To słowo kojarzyło mu się nie wiedzieć czemu z rzeźnikiem. – Rzecznika czego?

– Och, Bruce, na pewno wiesz. Tym właśnie sam jestem, kiedy nie mam nic lepszego do roboty. Rzecznikiem rządu, rzecznikiem anonimowym, rzecznikiem administracyjnym... to coś w rodzaju źródła. Nigdy o mnie nie czytałeś?

– Aha – odparł szybko i bez przekonania Gold. – Teraz wiem.

– Często jest o mnie w gazetach. To jedna z przyjemnych stron sprawowania funkcji rzecznika anonimowego. Za jakiś miesiąc, dwa możemy pchnąć cię wyżej.

– Na kogo?

– No, jeśli nie znajdzie się coś lepszego, to na szefa biura prasowego. Jako szef biura prasowego będziesz mógł zwoływać okolicznościowe konferencje prasowe, kiedy tylko będziesz chciał oraz zawsze wtedy, kiedy my je zaplanujemy. Możesz wysoko zajść. Twoje możliwości awansu są nieograniczone. Ta administracja składa się prawie wyłącznie z ludzi prących przebojem do przodu.

Gold potraktował to jako insynuację i uznał, że należy chyba przejść do ofensywy.

– Nie jestem specjalnie przebojowy, Ralph – powiedział cicho.

– To policzy ci się na duży plus, Bruce, że nie jesteś przebojowy. Jak wielu innym.

– Jak jakim wielu innym, Ralph?

– Jak wielu innym, którzy są przebojowi – ciągnął Ralph z tak niezmaconą uprzejmością, że Gold doszedł do wniosku, iż jego przewrażliwienie było niestosowne. – Mógłbyś zacząć od razu?

– Ile bym zarabiał?

– Ile tylko chcesz, Bruce. Nikt nie przyjeżdża do Waszyngtonu, żeby na tym tracić.

Następne pytanie Golda niosło w sobie nutkę patosu:

– Czy musiałbym zachowywać anonimowość?

– Tylko na początku. W końcu jaki byłby z ciebie rzecznik anonimowy, gdyby każdy wiedział, kim jesteś, prawda?

– Chyba prawda.

– A może wpadłbyś na jeden dzień tu do nas, w górne rejony mapy, w przyszłym tygodniu, to obgadamy sprawę?

– W górne? – spytał Gold troszeczkę zdezorientowany.

– Och, przepraszam – Ralph zachichotał cicho. – Chciałem powiedzieć: w dolne. Rozmawiam teraz z tyloma kongresmanami z południowych stanów, że nie mogę się pozbyć wrażenia, że oni są na spodzie świata, a my na jego wierzchołku.

– O rany, Ralph, kapitalnie powiedziane – zachwycił się Gold. – Zacytuję to w jakimś artykule, jeśli nie masz nic przeciwko.

Ralphowi to pochlebiło.

– Oczywiście, że nie, Bruce. Tylko nie wymieniaj mojego nazwiska. Wyobrażasz sobie, w jakich tarapatach bym się znalazł, gdyby wyszło na jaw, że to ja powiedziałem?

– Nie obawiaj się – uspokoił go Gold. – Przedstawię to powiedzonko jako swoje własne.

– Z drugiej strony – powiedział Ralph trochę urażonym tonem – nie chciałbym, żeby mój skromny wkład przeszedł nie zauważony. Mimo wszystko ja je wymyśliłem.

– Ale jak to możliwe? – zmieszał się Gold. – Jak mam przypisać ci autorstwo, skoro nie chcesz, żebym wymieniał twoje nazwisko?

Odpowiedź uzyskał po sekundzie:

– Nie mógłbyś napomknąć, że tak wyraził się rzecznik?

– Jasne. Mógłbym.

– Świetnie, Bruce. Wszystkie moje rodziny będą ze mnie bardzo dumne. Andrea Conover spiekła raczkę jak pensjonarka, kiedy przekazałem jej twoje pozdrowienia. Bardzo by cię chciała znowu zobaczyć.

– Kiedy mam przyjechać? – spytał Gold.

– Zadzwońię do ciebie w poniedziałek albo we wtorek, albo w środę, albo we czwartek, albo w piątek. Wiesz co, Bruce – zakończył z naciskiem Ralph – jedyna córka Pugha Biddle'a Conovera nie jest osobą, na którą można sobie kichać.

Gold nie miał najmniejszego zamiaru kichać na Andree.

– No i co? – Belle przyglądała mu się badawczo, kiedy wrócił do kuchni, żeby dokończyć kolację. Dina też go obserwowała.

– Może będę musiał pojechać w przyszłym tygodniu do Waszyngtonu. Chcą zasięgnąć mojej opinii w pewnej sprawie. Belle nie była w ciemni bita.

– W sprawie pracy?

– To miała być tajemnica – upomniał ją po raz kolejny. Belle wzruszyła ramionami.

– A komu ja powiem? Twojej rodzinie? Buzia Diny promieniała.

– A ja bym powiedziała Leo Liebermanowi. Założę się, że jego ojciec zzieleniałby z zazdrości.

– A jak nic z tego nie wyjdzie – spytał Gold – i wrócę na tarczy?

– Wtedy powiedziałyby im się – odparła Belle – że odrzuciłeś propozycję.

– Bo przyjęcie jej wymagałoby ode mnie rezygnacji z wyznawanych zasad?

– No pewnie – powiedziała Belle.

– Ja też bym tak powiedziała – oświadczyła Dina.

– No więc tak – przyznał. – Jadę tam w sprawie pracy.

Kiedy wieczorem znaleźli się z Belle sami w swoim pokoju, powiedział:

– Myślałem, że nie chcesz, żebym przyjmował pracę w Waszyngtonie. Powiedziałaś, że byś tam ze mną nie pojechała.

– Bo nie pojadę – odparła Belle.

– I nie zmienisz zdania?

– Ani myślę.

Spali w osobnych łóżkach, przedzieleni nocnym stolikiem. Przeniósł się do niej.

IV

Nic nie wychodzi tak, jak to zaplanowano

Gold dopił swoje martini; czuł się tak spięty, że niemal gorszyło go, że kobieta, z którą je lunch, jest jego siostrą.

– Esther napomknęła mi, że piszesz książkę o Żydach – powiedziała Joannie. Przyniesiono gotowanego łososia na zimno dla Golda, a do tego sałatkę z ogórka w zielonym majonezie. Jedli w St Regis, a płacić miała ona. Była wysoką, ubraną na jasno, opaloną na brąz kobietą o wysportowanej sylwetce i włosach przetykanych fachowo naniesionymi pasemkami.

– Esther?

– Dzwoni do nas mniej więcej co dwa tygodnie – wyjaśniła Joannie. – I przeważnie nie ma nic do powiedzenia. Jerry nie jest zachwycony twoją książką.

– I dlatego przyjechałaś do Nowego Jorku?

Pokręciła głową.

– Prosił, żebym cię zapytała, dlaczego nie możesz napisać książki o czymś innym.

– Nie mam wielkiego wyboru, Joannie.

– Toni – skorygowała.

– Co go tak niepokoi?

– Wszyscy staraliśmy się zapomnieć w Kalifornii o naszym żydowskim pochodzeniu. To był jeden z powodów, dla których jego rodzina zdecydowała się zmienić nazwisko.

– Na Fink?

– Przedtem nazywali się Finkleman. Jerry wspiera okazałymi datkami obie partie polityczne. Uważa, że ma teraz duże szanse zostać sędzią.

– Jerry chyba nie jest prawnikiem?

– Tam nie trzeba być prawnikiem, żeby zostać sędzią – wyjaśniła Joannie. – Przynajmniej tak mu mówią, kiedy przychodzą po pieniądze.

– Znaczą się, obstawiając wszystkie parafie w południowej Kalifornii – zakpił Gold.

– To z pobudek obywatelskich, nie religijnych – skontrowała. – Przestrzegamy zasady, żeby się nigdy nie modlić. – Skubała bez apetytu swoją małą sałatkę. – Widziałam się wczoraj z tatą – dodała.

– Jaki był? – spytał niechętnie Gold.

– Spokojny. – Uśmiechnęła się ponuro. – Wciąż uważa, że to przez niego odeszłam z domu. Mówi, że próbujecie go wszyscy namówić do nabycia kondominium na Florydzie, żeby siedział tam przez cały rok. Powiedziałam mu, żeby słuchał Sida.

– Mamy się z nim jutro spotkać – mruknął bez entuzjazmu Gold. Odłożył sztućce i poczuł, jak fala gorąca uderza mu do twarzy. – Jezu Chryste, Joannie...

– Toni.

– ...ty nie wiesz, co to znaczy mieć go pod nosem. Myśli, że nadal stanowimy rodzinę, a on wciąż jest jej głową. Musztruje mnie jak jakiegoś cholernego smarkacza. Nie mam czasu uczestniczyć w rodzinnych kolacjach po trzy albo cztery razy w tygodniu, i cała reszta też nie. Aż tak bardzo za sobą nie przepadamy. Mamy teraz własne rodziny i innych ludzi, z którymi chcemy się spotykać. Mogłabyś go zabrać na jakiś czas do Kalifornii.

– Jerry nie może go znieść.

– On to wie – powiedział Gold tym samym tonem protestu. – Dzieciom Gussie też działa na nerwy, więc i w Richmond nie są mile widziani. Nie może nam bez przerwy dyktować, do czyjego domu zawita, kiedy przyjdzie mu na to ochota, ani kto go zawiezie i odwiezie, ani kto jeszcze ma zostać zaproszony. Jezu, mam wrażenie, że przez te ostatnie kilka miesięcy napatrzyliśmy się na siebie więcej niż w czasach, kiedy gnieździliśmy się na kupie w tamtych pięciu pokoikach nad zakładem krawieckim. Każdego roku wcześniej tu ściągają i dłużej

zostaje – w tym roku zamierza tu spędzić wszystkie żydowskie święta. Szemini Aceret. Słyszałaś o czymś takim? Bo ja nie. Przysięgam, że sam sobie wymyśla te przekłete żydowskie święta. Joannie roześmiała się.

– Nie sądzisz, że to zabawne?

– Nie. I tobie też nie byłoby do śmiechu, gdybyś musiała znosić tyle czasu jego i tę jego stukniętą panią.

– Gussie jest miła.

– Jest głupia jak but.

– Mnie się wydaje słodka. I inteligentna.

– Przecież ona nie ma wszystkich w domu – nadała się Gold. – Oboje nie mają. Ilekroć się z nimi spotykam, ubywa im kolejnego lokatora.

– Dała mi pewną dobrą południową radę – zwierzyła się Joannie. – Poradziła mi, żebym sobie sprawiła psa. Małżeństwu, które nie ma dzieci, powiedziała, zaczyna po jakimś czasie brakować tematów do rozmowy, jeśli w domu nie ma psa. Ostrzegła mnie również, żebyśmy nie siadali naprzeciwko siebie, kiedy jemy sami w domu, i żebyśmy unikali hałasujących produktów żywnościowych, zwłaszcza zbożowych płatków śniadaniowych, które trzaskają, chrupią i chrzęszczą, oraz mięs, które wymagają starannego przeżuwania. – Joannie zademonstrowała to obrazowo. – Cóż – podjęła pochmurniejac – dzieci nie mamy, psa również, i rzeczywiście, jeśli w ogóle się do siebie odzywamy, to tylko po to, żeby porozmawiać o jego interesach w handlu nieruchomościami i w ubezpieczeniach albo obgadywać po kolei wszystkie osoby, których on nie lubi. Podczas posiłków siedzimy naprzeciw siebie i mdli już nas od patrzenia na swoje gęby. Do tego on strasznie głośno przeżuwa, ja zresztą też. Jeśli jesteśmy sami w domu i jemy kolację albo śniadanie, a radio albo telewizor nie ryczą na cały regulator, to chyba oboje mamy ochotę się powiesić. Kolacje trwają u nas sześć minut, a wydaje się, że to cała wieczność.

Gold poczuł się skrepowany, wzięty nagle w dwa ognie przez współczucie i zakłopotanie. Joannie była przecież jego młodszą siostrą. Nachylił się nad stolikiem i dotknął grzbietu jej dłoni palcem wskazującym.

– Posłuchaj, Joannie...

– Toni.

– Masz na imię Joannie.

– Zmieniłam je sądownie, kiedy zostałam aktorką.

– Grałaś kiedyś?

– Nie miałam okazji. Dostawałam czasami role w musicalach, ale tam trzeba było tańczyć, a ja nie potrafię.

– Zostań do niedzieli i przyjdź na urodzinowe przyjęcie Rose.

Nie odmówiła wprost.

– Przed powrotem do domu chcę się jeszcze zobaczyć z kimś z Palm Beach. Nie lubię ich w kupie. Wczoraj jadłam kolację z Rose, Maxem i Esther, a na dzisiaj jestem umówiona z Idą. Rozmawiałam z Sidem. Muriel mogę sobie darować, zresztą telefonowałam do niej. Chyba przeszkodziłam jej w partyjce pokera. Jest trochę lepsza dla Victora? – Gold wykonał gest oznaczający, że nie. – Wydaje mi się, że Rose gruchnie.

Gold przyjął z ulgą potwierdzenie wrażenia, jakie sam odniósł.

– A Max zaczął jakoś niewyraźnie mówić. Zwróciłaś uwagę?

– Dużo pije w ciągu dnia. Rose mi powiedziała.

– On w ogóle nie powinien pić – mruknął zdumiony Gold. – Mnie tego nie mówiła.

– Prawdopodobnie nie spytałaś. Rose twierdzi, że to go uspokaja.

– Zawsze był wobec nas w porządku – przypomniał sobie Gold. – Był naszym pierwszym szwagrem.

– A jak ty byś się czuł – spytała Joannie – gdybyś przepracował czterdzieści lat na poczcie, a potem obleciałby cię strach, że wkrótce trzeba będzie odejść na emeryturę?

– Nie za dobrze – przyznał Gold. – I zacząłbym pić o wiele więcej, niż piję.

– Wszawo. Boże, żadne z nich nigdy nie zmieniałoby pracy. Między innymi dlatego tak szybko się wyniosłam z Coney Island. Nie mogłam znieść myśli o życiu w ubóstwie.

Moja przyjaciółka Charlotte – ta, z którą uciekłam z domu, żeby startować w konkursach piękności – miała ojca szewca. Wyobraź sobie, że masz dzisiaj ojca, który jest szewcem albo krawcem!

– Zwyciężyłaś kiedyś w jakimś konkursie piękności?

– Kończyłam zawsze na trzecim albo czwartym miejscu. Byłam za drobnej kości.

– Wspominali coś o dzieciach?

– Nigdy ich nie pytałaś?

– Unikamy tego tematu.

– Norma jest teraz w San Francisco, żyje z jakimś psychoanalitykiem, pracuje w opiece społecznej i twierdzi, że kończy szkołę, w co ja osobiście nie wierzę. Allen pracuje podobno jako muzyk gdzieś w Hiszpanii czy w Afryce Północnej, ale oboje wiemy przecież, że z niego niezły numer i prawdopodobnie ciota, chociaż oni chyba nie zdają sobie z tego sprawy. Niedługo przyjdzie pewnie list, z którego dowiemy się wszyscy, że nie żyje. Rose gryzie się, że to może przez to, że poszła do pracy. Popłakała sobie trochę. Max też.

– Dlatego właśnie o nic nie pytam – mruknął Gold. – Powtórz jej, że ja powiedziałem, że to nie jej wina. Tak samo bywa z dziećmi, których matki nie pracują.

– Powinieneś częściej się z nimi widywać – powiedziała Joannie.

– Nie mam im wiele do powiedzenia. A Esther działa mi na nerwy, od kiedy umarł Mendy. Uparta jak osioł.

– Jak to?

– A tak to. Mogłaby zamieszkać z którymś ze swoich dzieci. Oboje chętnie by ją przyjęli.

– Nie to, co my – zauważyła Joannie.

– Nie to, co my. Mogłaby wyjść za tego Milta.

– Nie poprosił jej o rękę. Wiem też od niej – ciągnęła Joannie – że kroi ci się przeprowadzka do Waszyngtonu, bo proponują ci pracę w rządzie.

– To chyba jeszcze palcem na wodzie pisane. Jak Jerry na to zareaguje?

– To zależy. – Joannie jakby nie zauważyła jego sarkazmu. – Jeśli będzie o tobie dużo w gazetach, chyba pozytywnie. W przeciwnym wypadku pozostanie raczej przy chełpieniu się, że ma szwagra profesora college'u.

– Postaram się nie sprawić mu zawodu – zażartował Gold. – Powiedz Jerry'emu, żeby nie brał tak sobie do serca tej książki. Mało kto czyta książki, a moich prawie nikt. Z pewnością nie wspomnę w niej o nim i postaram się nie posłużyć żadną postacią, która by go przypomniała.

– A co ze mną?

– Jezu, sam nie wiem, Joannie...

– Toni.

– Mam pięć siostr, jednego brata, trójkę dzieci, żonę, ojca, macochę i tylu siostrzeńców i bratanków, że tracę rachubę. Trudno mi pisać na jakikolwiek temat, nie zahaczając, choćby mimowolnie, o kogoś z nich. Jeśli mi się to zdarzy, są zakłopotani, jeśli tego nie zrobię, czują się urażeni. Mój problem polega na tym, że muszę pisać o żydowskich doświadczeniach w Ameryce, a nie mam pojęcia, czym są te żydowskie doświadczenia. Czy mama rozmawiała z tobą kiedykolwiek o seksie?

– Miałam zaledwie dziewięć lat, kiedy umarła.

– Na co umarła?

– Wiem tylko, że po jakiejś operacji.

– Czy to był rak?

– Nie sędzę. Spytaj lepiej kogoś innego.

– A może miała coś z szyją? Chodziła wciąż z zabandażowaną, prawda?

Joannie nie była pewna.

– Nie pamiętam tego. Będziesz musiał popytać. Byliśmy oboje dziećmi. Jeśli chcesz usłyszeć, czym są żydowskie doświadczenia dla mnie, to mogę ci powiedzieć. – Gold poczuł, jak przenika go dreszczyk podniecenia. – To nieustanne dążenie do wtopienia się w otoczenie. Gramy teraz w golfa, pijemy, bierzemy lekcje tenisa i rozwodzimy się jak normalni chrześcijańscy Amerykanie. Klniemy, dmuchamy się z kim popadnie, cudzołożymy i rozprawiamy dużo i głośno o pieprzeniu.

Golda zatkało z przerażenia.

– Wolałbym, żebyś tak do mnie nie mówiła – skarcił ją łagodnie, niemal błagalnie, doszedłszy wreszcie do siebie. – To mnie krępuje.

– Z tego się składają te twoje żydowskie doświadczenia – powiedziała.

– A ty się dmuchasz z kim popadnie? – spytał ostrożnie.

– Od kiedy wyszłam za Jerry'ego, już nie – odparła i dorzuciła złośliwie: – Robię coś o wiele gorszego. Jem wieprzowinę.

Julius Gold od samego początku odnosił się z wyraźną rezerwą do pomysłu nabycia kondominium. Gold był w jesionce, na szyi miał szalik, a kiedy samochód Sida zatrzymywał się przy krawężniku w Manhattan Beach, naciągnął jeszcze rękawiczki na dłonie. Harriet kuliła się w zimowym palcie zapiętym po samą brodę. Na głowie miała wełnianą czapkę naciągniętą na uszy. Sid ubrany był w lekki płaszcz.

– Brrr, ale zimno – zaszczekał zębami Gold.

– Przerażliwie – zawtórowała mu Harriet. – Chyba mróz łapie.

– Ja tam tego nie czuję – powiedział ojciec Golda z apatycznością, która miała wyrażać lekceważenie. Julius Gold paradował w niebieskiej wełnianej kamizelce i cienkiej, letniej sportowej koszulce. Na nogach miał granatowe, aksamitne laczki z monogramem w formie dwóch przeplatających się liter na każdym. – Może na tyłach domu jest cieplej – dorzucił tym samym bezbarwnym tonem.

Nie odzywając się już, przeprowadził trójkę gości przez parter domu na otwartą, załaną słońcem werandę. Roztaczał się z niej wspaniały widok na morze z jednej strony, a z drugiej na zatokę Sheepshead, przy brzegu której kołysały się zacumowane łodzie rybackie. Podmuchy zrywającej się od czasu do czasu bryzy były aż nadto orzeźwiające.

– Może dać wam parę koców? – zaproponowała z rozkoszną uprzejmością macocha Golda, sadwiąc się na ławeczce. Miała na głowie płaski słomkowy kapelusz z szerokim rondem, z którego zwisały rozdyndane kolorowe kuleczki z bawełny, i wyglądała w nim jak słodka idiotka. Sid rozwalił się na leżaku i z błogością wystawił twarz do słońca. Czas było zaczynać.

– Miasto gwałtownie podupada – zagaiła uroczyście Harriet. – Toczy je gangrena.

– Nie zauważyłem – powiedział ojciec Golda.

– Zdarza się coraz więcej przestępstw.

– Tu u nas nie – zaprzeczył ten nonszalancki staruch. – Ani razu jeszcze mnie nie ograbiono.

– W metrze – włączył się sennie Sid. – Na ulicach.

– My tam nie chodzimy.

A jak przedstawia się sprawa wywożenia śmieci? – spytał Gold.

– Doskonale – odparła macocha, która uwzięła się chyba tylko na niego. – Pewnie się głowisz, co ja takiego robię na tych drutach. Kto wie, czy nie będzie to wełniany szal dla ciebie. Żebyś nie marzył w takie zimne dni jak dzisiaj.

Gold zdjął jesionkę. Harriet rozpięła swoje palto i ściągnęła z głowy czapkę.

– Nie zwracamy uwagi na takie głupstwa jak śmieci – oświadczył ojciec Golda. – Nie ma ich u nas dużo.

– Tak mało jemy – wtrąciła Gussie.

– Mam synów, którzy zabierają mnie na lunch – powiedział ojciec Golda. – I córki, które co wieczór zapraszają mnie do siebie na kolację.

– Czasami jesteśmy za bardzo zmęczeni, żeby iść – dodała macocha.

– Przynieś im coś do picia – zwrócił się ojciec Golda do Gussie. – Ale w wyszczerbionych szklankach im, nie mnie.

Sid poprosił o piwo, Gold o wodę sodową. Harriet powiedziała, że zaczeka na herbatę.

– Popatrzcie na moich dwóch synów. – Z tonu Juliusa Golda przebijał niesmak. – Jeden gruby, drugi chudy. – Gold pławił się jeszcze w tym komplemente, kiedy ojciec dorzucił: – Ej, ty głupku, może byś tak trochę przybrał na wadze? Wyglądasz jak szparag.

Gold, ściągnięty z obłoków na ziemię, westchnął ciężko.

– Taki teraz styl. Nie słyszałeś?

– Ludzie sobie pomyślą, że nie mam cię czym karmić.

– Czy ja cię mogę w czymkolwiek zadowolić?

– Nie.

– Zasięgnąłem języka w sprawie tego kondominium – odezwał się Sid z ociąganiem. Wygramolił się z przeraźliwym skrzypieniem z leżaka i przesiadł na krzeselko bliżej ojca. – Wygląda mi to na niezłą inwestycję.

– W Lauderdale?

– W Hallandale.

– Mnie się podoba w Miami Beach.

– Tam też jest dobre kondominium na sprzedaż.

– Tak? – Stary sięgnął do kieszeni po zapalniczkę, żeby przypalić cygaro. – To je sobie kup.

– Myślałem o tobie.

– O mnie? – Z niekłamanego zdumienia ojca Golda można by wnosić, że ta kwestia nie była nigdy wcześniej poruszana. – Co wy mi tu zawracacie głowę kondominiami? Znajdźcie mi jakiś dobry apartament do wynajęcia. Jak zwykle.

– Rozsądniej byłoby kupić ci dom na własność, tato.

– Mnie dom na własność? – przedrzeźnił go ojciec. – Ile akrów?

– Trzydzieści pięć tysięcy – mruknął zgryźliwie Gold.

– Tylko tyle?

– A ile ci potrzeba? Przecież nie będziesz siał zboża.

– Nie ma żadnych akrów, tato – podjął Sid. – To jest apartament w budynku. Ale należy do ciebie i Gussie. Możesz siedzieć na Florydzie, ile ci się spodoba. – Sid pocił się teraz, i to nie tylko z gorąca.

– I teraz siedzę na Florydzie, ile mi się podoba. A swoje pieniądze zainwestowałem w pewne akcje. Czemu sam ich nie kupujesz?

– Kupiłbym – odparł Sid – gdybym mieszkał na Florydzie.

– Ja tam nie mieszkam – zachnął się ojciec. – Jeżdżę tam tylko na wakacje. – I już łagodniejszym tonem dodał: – No, profesorku, a ty co o tym myślisz?

– Ja zrobiłbym, jak mówi Sid.

– To pojedę zobaczyć – ustąpił Julius.

– Kiedy? – zainteresowała się Harriet.

– Jak pojedę. Na razie jeszcze ciepło.

– Tato, robi się coraz chłodniej. – Sid próbował wziąć go pod włos. – Kiedy dwa lata temu zwlekałeś z wyjazdem do listopada, nabawiłeś się zapalenia płuc.

– Bronchitu.

– To było zapalenie płuc.

– To była grypa.

– A z niej wywiązało się zapalenie płuc. Tato, to inwestycja tak samo dobra jak akcje, pewna jak złoto. – W tym momencie zagwizdał czajnik z wodą na herbatę. Harriet weszła za Gussie do kuchni. – Tato, nie mów nic Harriet – podjął pośpiesznie Sid. – Wyłożyłem już pieniądze za to kondominium. Spróbuj tam trochę pomieszkać. Jak ci się spodoba, odkupisz je ode mnie. Jeśli cena pójdzie w górę, ty zgarniesz zysk. Jeśli cena spadnie, ja pokryję stratę. Co ty na to?

– Propozycja chyba uczciwa – brzmiała konkluzja starego. – Ale będę musiał to przemyśleć.

Gold omal nie parsknął śmiechem widząc, jak Sida zatkało.

– Tato – zaczął znowu błagalnie Sid – musimy znaleźć ci jakiś kątek.

– A mam pieniądze?

– Masz pieniądze.

– No to zrobię, jak mówisz, Sid – skapitulował ostatecznie Julius z rezygnacją i ufnością. Ta uległość starego wykrzesła u Golda iskierkę współczucia. – Ale najpierw musimy obejrzeć, prawda? Pojedziemy razem? – zapytał.

– Pojedziemy razem – obiecał Sid. – Kiedy?
– Jak tylko powiesz. Kiedy rozdanie dyplomów? Sid zrobił wielkie oczy.
– Jakie rozdanie dyplomów? – spytał Gold.
– U twojej córki, tępaku! – Kobiety wróciły pośpiesznie, zwabione tym pogardliwym okrzykiem. – U mojej ulubionej wnuczki Diny. Pamiętasz ją jeszcze? Czy nie kończy niedługo szkoły?
– Za pięć lat – poinformował go stanowczym głosem Gold. – W najlepszym przypadku.
– To nie zmieniają już szkoły, kiedy kończą trzynaście lat?
– W szkole prywatnej nie. A twoja ulubiona wnuczka może nie dotrzeć do rozdania dyplomów. Nie da się o niej powiedzieć, że błyszczy w klasie geniuszem.
– W takim razie – zdecydował ojciec – pojedziemy obejrzeć to kondominium. Ale nie obiecuję, że je kupię. Powiedz tylko kiedy, Sid. Dostosuję się. Byleby to było po świętach. – *Wej iz mir*, jęknął w duchu Gold. Znowu jakieś święta? – Bo my z Gussie nie wsiądziemy do żadnego samolotu przed żydowskimi świętami.
Gold zerwał się z krzesła.
– Jakimi świętami? – warknął. – Kiedy w ogóle są te twoje Szemini Aceret?
Ojciec obrzucił go urażonym spojrzeniem.
– Już były, idioto. W zeszłym tygodniu, przed Simchas Torah.
– No to o jakich świętach mówisz? Na które teraz czekasz?
– Na Szabos Berejszes.
– Szabos Berejszes? – Gold osłupiał. Nawet w jego ustach słowa te brzmiały niewiarygodnie.
– A pewnie, ty chudy *szajgecu* – zaintonował modulowaną tyradę ojciec. – Właśnie one przypadają po Simchas Torah, durniu przekłety. I takiego chcą do pracy w Waszyngtonie? Za nic macie Simchas Torah? Chcieliście mnie wsadzić w samolot przed Simchas Torah? To ci dopiero mam synków. *Ich hob dem bader in bud*.
– Chyba nie rozumiem waszego miejscowego jidysz – poskarżyła się macocha Golda.
– Ma nas obu gdzieś – przetłumaczył skwapliwie Gold i usiłował nie zwracać uwagi na Sida, który sprawiał wrażenie ogromnie uradowanego, co świadczyło, że jest głęboko zasmucony. – Tato, przecież ty jesteś ateistą – zaprotestował. – Nie posłałeś nawet mnie i Sida na obrządek *bar micwy*.
– Ale jestem Żydem – odparował ojciec i pokazał mu zadarty w górę kciuk. – Żydowskim ateistą.
– Nie pozwalałeś mamie zapalać świec w piątkowe wieczory.
– Czasami pozwalałem.
– A teraz, ni z tego, ni z owego, okazuje się, że znasz wszystkie święta. Co to są te Simchas Torah? Co w ogóle *znaczą* dla ciebie Simchas Torah?
– Simchas Torah – odparł spokojnie ojciec – przypadają wtedy, kiedy w świątyni kończą wreszcie czytać całą Torę.
– A Szabos Berejszes?
– Szabos Berejszes – odparł stary i uśmiechając się z wyższością zaciągnął się cygarem – przypadają wtedy, kiedy zaczynają od początku.
– I ile im to zajmuje? – wyrwał się Goldowi okrzyk płynący z głębi serca.
– Rok – powiedział ojciec, strzepując popiół z cygara za barierkę. – A kiedy kończą, znowu przychodzi pora na...
– Szabos Berejszes?
– Święte słowa, Goldy. Ale nie martwcie się – ciągnął ojciec, wstając z krzeselka ze sprężystością młodzieniaszka. – Nie zepsuję wam zimy. Myślicie, że będę się kisił cały rok w tym zapyziałym mieście, jeśli mogę sobie kupić kondominium na Florydzie? Chcecie, żebym zainwestował w nieruchomości? Zainwestuję w nieruchomości.

– Kiedy? – spytała znowu Harriet.

– Po sobocie. Po Szabos Berejszes. Obiecuję. A teraz chodźmy coś zjeść. Gussie, przynieś mi buty. Zmień kapelusz.

Gussie wróciła w wymiętym filcowym kapeluszu z połamanym indyjskim piórkiem, w którym wyglądała jak Robin Hood. Zapach morza napływający z zatoki Sheepshead wywołał u Golda apetyt na małże w muszelnkach, krewetki, kraba, ewentualnie gotowaną flądę bądź okonia.

– Chodźmy do Lundy'ego – zaproponował. – To niedaleko. Zamówimy sobie po porcji dobrej rybki.

– A co w niej takiego dobrego? – burknął ojciec.

– No to – Gold nie chciał się wdawać w spory – niedobrej.

– Czemu chcesz mnie nakarmić niedobłą rybą?

– Czarne – powiedział Gold.

– Białe – powiedział ojciec.

– Białe – powiedział Gold.

– Czarne – powiedział ojciec.

– Zimne.

– Ciepłe.

– Duże.

– Małe.

– Małe.

– Duże.

– Widzę – powiedział Gold – że pamiętasz naszą grę.

– A kto mówi, że to gra?

Gold niemal pożałował, że się roześmiał, bo Harriet dała mu silnego kuksańca pod żebra i spiorunowała go jadowitym spojrzeniem. Tak samo spojrziała na chichoczącego Sida. Sid zignorował Harriet i mrugnął szelmowsko do Golda.

– Sid – powiedział z przejęciem Julius Gold, drepcząc małymi kroczkami do samochodu – pogadasz z kelnerem, dobrze? Daj mu z góry dobry napiwek. Niech wie, że nie ma do czynienia z byle kim. Powiedz mu, że przez całe życie, nawet kiedy byłem jeszcze biedny, nie lubiłem jeść z wyszczerbionych talerzy.

Gold podczas przyjęcia wydawanego z okazji urodzin Rose był spięty jak nakręcona sprężyna i nie mógł się doczekać wyjścia ostatniego gościa, zanim jeszcze przyszedł pierwszy.

– Chciałbym wnieść toast – obwieścił jowialnie ojciec Golda. – Za mojego gospodarza i najmłodszego syna. Sid powiedział mi, że nieładnie byłoby obrażać cię w obecności twojej żony i córki, więc nic więcej nie powiem. – Roześmieli się wszyscy prócz Golda. – Naprawdę zrezygnujesz z nauczania? – zapytał stary.

– Bez namysłu.

– Założę się, że ta gotowość jest obopólna. – Ojciec przekrzywił głowę na bok w graniczącym z fascynacją podziwem dla swojej celnej riposty i zaczął nucić pod nosem.

– Jak to dobrze, że nie jestem w jego grupie – mruknęła złośliwie Harriet.

– On oblewa studentów – poinformowała ją ze *zgrozą* w głosie Dina.

– Już nie – powiedział Gold. – Wygodniej ich przepuszczać i nigdy już nie oglądać na oczy.

Pogratulował sobie pomysłu urządzenia barku w przedpokoju. Pokręcił się samotnie wśród gości tyle, ile przyzwoitość nakazywała, a potem wymknął z pokoju i napełnił sobie niską, szeroką szklankę prawie po sam wrębek bourbonem, w którym zatopił kostkę lodu.

– Czy to nie szczęście – zastanawiał się Sid, kiedy Gold wkroczył ponownie do living-roomu – że znaleźliśmy się na planecie, na której występuje woda?

Gold z kamieniejącą piersią obserwował, jak soczysty plaster jeziornego jesiotra w obwódce z brązowej skórki na jego talerzu zmienia się na moment w coś tak nieapetycznego jak surowa sardynka.

– Dlaczego? – spytał Victor.

– Słuchajcie Sida, kiedy mówi o wodzie – nakazał sennie ojciec Golda. – Na czym jak na czym, ale na wodzie to on się zna.

Gold zerknął na ojca, ale nic nie świadczyło o tym, że stary jest z Sidem w zмовie. Przeniósł swój widelec z jesiotra na kopczyk czerwonego kawioru. Był przekonany, że może liczyć na Idę, nawet na Irva, jeśli chodzi o wytknięcie Sidowi owi błędu w rozumowaniu, o wyperswadowanie mu, że to nie żaden przypadek, że znaleźli się na planecie z wodą, tylko nie wyewoluowali by wcale jako gatunek, gdyby tu nie było wody.

– Bo inaczej – odpowiedział Sid na pytanie Victora, nasyciwszy się najpierw aromatem, a potem smakiem wędzonego łososia na zaokrąglonym trójkątku miękkiego, brązowego pumpernika – bardzo by się nam wszystkim chciało pić. – Spojrzał z wyzywającym uśmiechem w kierunku Golda i ciągnął z rozbrajającą swobodą: – Po sutym posiłku pod postacią indyka albo steku, albo rozbratla, albo kraba, nie mielibyśmy do popicia nie tylko wody, ale i wody sodowej. Ani herbaty, ani kawy. Bo wszystkie te napoje sporządzane są na bazie wody.

A skąd, pomyślał Gold, wzięłyby się te indyki i te steki, i te rozbratle, ty idioto? I kraby, gdyby nie było wody? Czekał, kiedy Ida obnaży wreszcie ignorancję Sida.

Ale Ida, stwierdził nagle ze wstrząsem, słuchała tak samo oczarowana, jak Milt, Max i cała reszta. Ci czarni bojówkarze z jej szkolnego rejonu dobrze kombinują, doszedł do wniosku: przydałby się jej porządny wpierdol.

Sid perorował ze swadą dalej, poddając samodyscyplinę Golda ekstremalnemu testowi na wytrzymałość.

– Musielibyśmy pić zamiast tego wino albo piwo – skomentował, wsuwając sobie do ust połówkę jaja na twardo. – Bo widzicie, wino i piwo robi się z winogron i z chmielu – wyjaśnił. – A prawdopodobnie mielibyśmy mnóstwo winogron i chmielu, głowę dając.

Gold nie miał pewności, czy to naprawdę możliwe, ale przecież wyraźnie czuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Za długo już zwlekał. Znał z doświadczenia arsenał środków

odwetowych, jakie Sid trzyma w zanadru na wypadek wszelkich sprostowań z jego strony. Stosowane z obłudną pokorą, która potrafiła zabijać, rozciągały się one od urażonego i wzruszającego „No więc trochę się pomyliłem”, do dumnego „Teraz widzicie, co to znaczy wyższe wykształcenie”. Pozostałym nawet przez myśl nie przechodziło, że wszystkie pomyłki Sida są diabolicznie rozmyślnie. Gold udawał, że nie słucha. Złożył śluby milczenia i przestrzegali ich.

Sid, roztaczając wokół siebie aurę zwycięstwa, dojadł przekąski, które miał na talerzyku, i zaczął łupać orzechy włoskie z jednej z czubatych miseczek, porozstawianych przez Belle tu i tam dla ozdoby i do skubania potem.

Kryzys minął i Gold, oparłszy się dzielnie Sidowemu kuszeniu, uległ teraz bez walki powabowi siekanej wątróbki, nałożył też sobie na talerzyk łyżkę ostryg, dokładkę czerwonego kawioru, a następnie uzupełnił to plasterkiem sera, jeszcze jednym plasterkiem jesiotra oraz paroma zimnymi krewetkami. Potem wyszedł do barku po dolewkę bourbona. Zastał tam Maxa, który z wypiekami na obwisłych policzkach oblewał dzisiejszą okazję szkocką, unikając z abstynenckim samozaparciem wszystkiego innego, jeśli nie liczyć paru plasterków marchwi i paru pączków surowego kalafiora.

Na widok Golda wkraczającego z powrotem do living-roomu, Sid znowu zaczął swoje:

– To istny cud, jak się dobrze zastanowić, nie uważacie? Tyle planet: sześć, siedem, czy nawet osiem... ile to mamy teraz planet, Bruce?

– Czterdzieści dwie.

– Czterdzieści dwie planety – ciągnął bez drgnienia powiek Sid – i tylko na jednej jest woda.

– Mamy szczęście – powiedział Victor – że właśnie na niej wszyscy się znaleźliśmy.

– Szkoda mi tej reszty ludzi z innych planet – wtrącił zgryźliwie Gold.

– To na innych planetach też są ludzie? – spytała Ida.

– Jeśli są – odparł Sid – to założę się, że na pewno chce im się pić.

Rose była oszołomiona, kiedy przybywszy z Maxem i Esther na przyjęcie wydawane na jej cześć zastała tam już całą resztę. Od razu zaczęła płakać. Śmiała się i powtarzając: „Och, Belle! Belle!”, próbowała przekrzyczeć samą siebie, ale szybko ochrypła. Rzuciła się raz po raz na niższą od siebie Belle i brała ją w miażdżące objęcia mające dać wyraz rozmiarom jej wzruszenia. Max promieniał. Na jego zatroskanej zazwyczaj twarzy malowało się więcej szczęścia, niż Gold widział na niej od czasów zaręczyn i ślubu szwagra. Reakcja Rose zbiła Golda z tropu i wznieciła w nim obcą mu czułość dla siostry. Rose była dużą, rozłożystą kobietą. Nie pamiętał jej śmiejącej się, płaczącej i paplającej tak swobodnie. Na wieść o śmierci Mendi'ego, męża Esther, i na jego pogrzebie szlochała bezgłośnie, a potem starała się jak mogła wesprzeć siostrę w jej wdowieństwie. Jej szeroka, pokryta ciemnymi plamami twarz, rozjaśniona teraz radością, nie wiadomo kiedy stała się twarzą starzejącej się kobiety. Esther wyglądała jeszcze starzej. Sid sprawiał wrażenie młodszego od Golda, ale cała trójka zaczynała się dziwnie do siebie upodabniać, w miarę jak ich niepodobne za młodu twarze wkraczały w wiek starczy według tego samego zaprogramowanego z góry schematu przemijania. Pewnego dnia on, Gold, też będzie wyglądał tak jak oni.

Przyszli wszyscy prócz Joannie, przyszła nawet Muriel, zawieszając na kołku którąś tam z rzędu urazę do Idy i z poświęceniem rezygnując z pokerowego wieczoru ze swoimi przyjaciółmi z południowego wybrzeża Long Island. Muriel zawsze była zgorzkniała i samolubna – *farbisene*, jak nazywała ją matka, lecz to określenie niosło w sobie więcej zatroskania niż nagany. Gold przypuszczał, że w drodze na Manhattan znowu kłóciła się z Victorem. Żywił wobec Muriel pewne podejrzenia, których słuszności wolał nie zgłębiać. Spał już z tyloma mężatkami, że na pierwszy rzut oka rozpoznawał charakterystyczne symptomy.

Główne danie stanowił indyk i rozbratel. Gdyby gospodynią była Ida albo Harriet, na stół wjechałaby również szynka. Na początku tygodnia wpłynął niespodziewanie spontaniczny dar Victora pod postacią dwóch wielkich porcji wołowiny z kością. Wszyscy przyznawali, że Belle i Harriet przyrządzają najlepszy na świecie rozbratel z przedniej półtuszy wołowej. Nie uznawały mdłych anglosaskich sosów. Wiedziały, co się robi z czosnkiem, papryką, solą i cebulą. Harriet przysłała z dwoma miskami słodkich tłuczonych kartofli i sałatki z prawoślazu, którą Góld uwielbiał, dwoma kruchymi babkami kawowymi, kisielem z żurawin i jedną butelką musującego krajowego wina. Wszystkie kobiety, z wyłączeniem macochy Golda, rywalizowały lub współpracowały przy przygotowywaniu od strony kulinarnej każdego rodzinnego spotkania, przyrządzając to, co każda potrafiła – albo wydawało jej się tylko, że potrafi – przyrządzać wyjątkowo dobrze, i czuły się zobowiązane – albo zakładały, że się je zobowiązuje – do przynoszenia na takie spotkania gotowych przekąsek, lunchów i obiadów własnej roboty. Przy tylu kucharkach konflikty były nieuchronnością, a urażone uczucia regułą.

Harriet osiągnęła mistrzostwo w pieczeniu ciast i przychodząc z dwoma, a czasem nawet trzema sernikami albo z soczystymi ciastami czekoladowymi bądź kawowymi, zrywała się zawsze na widok kupnych placków owocowych, ciasteczek i puszystych tortów kremowych albo czekoladowych, czy też, u Muriel lub Idy, na widok robionych na zamówienie ciast świętego Honoriusza, przy których jej produkcja nieuchronnie bladła. Esther wyspecjalizowała się w nadziewanej kiszce i puddingach z kluseczkami; żyjąc samotnie, rozszerzyła swoją specjalizację na bliny z ziemniakami i serem oraz eksperymentowała z innymi niż kiszka wyrobami, nieświadoma, że swoją siekaną wątróbką i faszzerowanymi kabaczkami narusza tradycyjne terytoria Idy, a krojonym śledziem wkracza w kompetencje Rose, która w rodzinie nie miała sobie równych w zakresie wszystkiego, co jadalne z owoców morza, oraz zup, macowych kulek i innych dań z mąki. Rose przetrwała ten niezamierzony afront w milczeniu. Ida objędziała głośno drżącą ze skruchy Esther. Z Belle nikt nie mógł rywalizować w konkurencji mrożonego tortu. Dla żadnej z nich nie było większego upokorzenia, jak odpowiedź na telefon z propozycją przyniesienia czegoś, że zlecenie na to coś powierzono już innej. Muriel, najmłodsza z sióstr mieszkających wciąż na Wschodzie, koncentrowała się na wyszukanych odmianach standardowych, czasami puszkowanych, amerykańskich dań – na tuńczyku w galarecie albo posypanym okruszkami pizzy z grilla, albo w gorącej potrawce; na sałatce z kurczaka z kaparami i wonnymi ziołami; na pasztecikach z łososia – oraz na swojej specjalności, w której nikt się jeszcze na dobre nie rozsmakował, czyli na żydowskim kotlecie siekanym z konserwowej wołowiny, prawie bez ziemniaków, w którym więcej było mięsa hamburgerowego i pomidorów niż wołowiny i który wyglądał, nawet jeszcze przed dodaniem keczupu, przy czym stanowczo się upierała, jak potwornych rozmiarów szkarłatny klops. Do surówki z kapusty albo sałatek, które kupowała, dodawała często pokrojonej drobno sardeli. Ida nie cierpiała sardel i twardo utrzymywała, że zbiera jej się po nich na wymioty. Muriel mówiła jej, żeby się nie krępowała. Zastanawiała się często na głos, czy łączne przychody Idy i Irva przewyższają przychody Victora; zakładała, że samo postawienie tego pytania wymusza odpowiedź twierdzącą, i na tej podstawie przyjmowała, że Ida patrzy na nią z góry. Dzieci Idy miały kontynuować naukę w college'u. Córki Muriel nie; dysponowały za to hermetyczną wiedzą o sukniach, butach, portfelach i torebkach z metkami z nazwiskiem projektanta. Ida jak zwykle pierwsza wykryła, że wszystkie dania, jakimi Muriel karmi swoją rodzinę, są przyrządzane na bazie składników najtańszych aktualnie na rynku albo pozyskiwanych, dzięki Victorowi, całkiem za darmo. Gold był im wszystkim niezmiernie wdzięczny, że żadnej nie przyszło jak na razie do głowy uraczyć go faszzerowaną piersią cielęcą. W rodzinie krążyła zgodna opinia, że Rose ma najlepszy charakter, Esther najwolniej myśli, Harriet jest najmniej towarzyska, Ida najbardziej czepialska, Belle najbardziej potulna, a Muriel najbardziej samolubna. Joannie była

najprzystojniejsza, tylko że o tym rzadko się wspominało. Muriel, która nosiła wielkie bransolety i pierścienie, przyszła na przyjęcie ze swoimi szkarłatnymi klopsami z siekanej konserwowej wołowiny i dorzuciła je do przygotowanych już indyków i rozbratli. I wszyscy, oprócz macochy Golda, musieli ich skosztować, wydając okrzyki zachwytu albo nie wydając ich i ryzykując, że Muriel będzie się krzywić z niechęcią na pudding z kluseczkami w wykonaniu Esther albo na szwedzkie klopsiki Idy oraz że trzeba będzie odpierać jej zarzuty, jakoby cała rodzina spiskowała zawsze przeciwko niej. Muriel, wzięta w dwa ognie przez dwoje cudownych dzieci – Idę, która urodziła się troszeczkę wcześniej, i Golda, który przyszedł na świat troszeczkę później – nie doświadczała przywilejów najmłodszego dziecka wystarczająco długo, by się zorientować, że takie w ogóle istnieją.

- Kolacja – oznajmiła Dina.
- A ja nic nie przyniosłam – podniosła lament Rosę.
- Przyjęcie jest na twoją cześć – pocieszył ją Max.
- To miała być niespodzianka – burknęła Ida.

W jadalni czekał na Golda kolejny cios, bo Belle dała Esther kilka egzemplarzy czasopisma Liebermana i Esther skończyła właśnie rozkładanie po jednym przy co drugim talerzu, każdy otwarty na stronie tytułowej „Nic nie wychodzi tak, jak to zaplanowano” z odpychającym, mrocznym portretem Golda, który Lieberman zamówił przed laty u jakiegoś chałturzącego ilustratora-alkoholika za jedyne dwanaście dolarów i osiemdziesiąt pięć centów i zawsze wykorzystywał. Spozrzegłszy te czasopisma, Gold doświadczył na własnej skórze, co to znaczy chcieć się dosłownie zapaść pod ziemię. Zawirowało mu w głowie i przytrzymał się oburącz oparcia krzesła, bo ugięły się pod nim kolana. Och, Esther, ty żałosna ciemna kretyńko, biadał pograżając się w rozpacz i przebacząc zarazem. Gdy do jego uszu dotarł pełen zakłopotania gwar, oderwał oczy od rozanielonej twarzy siostry i jej śnieżnobiałych włosów.

– To kolejny artykuł Bruce'a – powtórzyła Esther, zwracając się do wszystkich, którzy pomrukiwali dociekliwie.

Owacja, do tego stopnia to się posunęło, była owacją na stojąco, ponieważ Esther, klaszcząc w dłonie, stała. Wargi jej drżały z niezwykłego wzruszenia, które wstrząsało też raz po raz jej dolną szczęką, co nadawało jej kredowobiałej twarzy wyraz uwznioślonej nieśmiałości. Sporo jej dolnych zębów stanowiło część mostka. Stary Milt z zauważalną aurą opiekuńczości przeniósł wzrok z Golda na Esther i lojalnie dołączył do niej.

– Czy to nie wspaniałe? – zachwyciła się również Rosę.

Belle, przechwytyjąc spojrzenie Golda, wzruszyła bezradnie ramionami. Dina, zamiast wycofać się dawno do swojego pokoju, jak to zostało wcześniej ustalone, ociągała się z szatańską przewrotnością.

– Jeszcze jedna klepka się obluzowała – wyjaśniła macocha Golda ojcu Golda.

I jeszcze jeden lokator ubył z twojej pieprzonej czaszki, warknął w duchu Gold. Niektóre z osób siedzących przy stole zdążyły już przewertować pobieżnie stronicę jego artykułu i w skupieniu studiowały teraz zamieszczone dalej anonse potrzebujących pomocy seksualnej.

– Po kolacji – oznajmiła Esther – autor podpisze swoje dzieło każdemu, kto o to poprosi.

– Esther, błagam – zaskamlał Gold. – Wprawiasz mnie w zakłopotanie.

– A potem – ciągnęła Esther, siadając wreszcie – będziemy musieli wszyscy pójść do domu i przeczytać tekst.

– A jakże – mruknęła Harriet.

– Czy ktoś może mi podać kawałek indyka? – spytał Gold.

– Będziemy niedługo musieli kupić nową półkę na książki – powiedziała Muriel. – Gdzie popielniczka?

Ida, niższa od Muriel, łypnęła na nią spode łba i powachlowała ręką, rozpędzając kłęby papierosowego dymu.

– Tym razem znalazł się przynajmniej bliżej frontowej okładki – zauważyła.

– Więcej ci za to zapłacili? – zainteresował się Irv.

– Za co? – spytał szybko Gold.

– Za to, że jesteś bliżej frontowej okładki?

– Nie – powiedziała Belle.

– A płacą mu w ogóle? – powątpiewał Victor.

– Tak – powiedziała Belle. – Weź sobie rozbratła, Victor. No, jedzcie, jedzcie.

– Po obu stronach stołu jest mnóstwo wszystkiego – poinformowała Ida. Podsunęła Goldowi pod sam nos talerz ze świeżo pokrojonym chlebem ryżowym z czarnymi ziarenkami.

– Bierz sobie chlebka, Brucie. To twój ulubiony.

– Zdaje się, że kazałaś nam przestać wołać na niego Brucie, kiedy skończył dwadzieścia jeden lat – przypomniała jej Muriel.

Gold podziękował za ryżowy chleb przeczącym potrząśnięciem głowy. Aromatyczna woń spalenizny bijąca od czarnych ziarenek rozdzieriała mu serce. Wyrzekł się również pieczonych ziemniaków, żółtych jak masełko, przypalonych tu i ówdzie, posypanych obsmażonymi na ciemno, pomarszczonymi kawałkami tłustej cebuli i nasiąkniętych teraz wszystkimi pikantnymi przyprawami, które stopiły się w jedno ze smakiem rozbratła. Wyrzeczenia, podobnie jak umartwianie się joggingiem, napełniały go poczuciem prawości i czyniły cholernie drażliwym.

– Mówcie, co chcecie, ale ja tu czegoś nie rozumiem – odezwał się refleksyjnie Max. – Znaczy się, w tym tytule.

– Moim zdaniem – wtrąciła Dina – to jakieś grube przejęzyczenie. – Jadła na stojąco, trzymając talerz w rękę. Przez cały tydzień zarzekała się, że na przyjęciu nie będzie dotrzymywać towarzystwa rodzinie, a teraz najwyraźniej nie mogła się od niej oderwać, choć siedzieć z nią przy jednym stole nadal nie chciała.

– Jasne – podchwycił Milt. – Przejęzyczenie. Chodziło ci chyba o to, że albo coś wychodzi, albo nie wychodzi. Mam rację?

– Nie – zaprzeczyła Belle.

– Chodziło mi o to – powiedział Gold, przywdziewając pluszową konwersacyjną togę pedagoga-wieszacza – że jak coś może nie wyjść, to na pewno nie wyjdzie. W dalszej perspektywie jedynym wynikiem, na jaki zawsze możemy liczyć, jest porażka.

– Ja jestem skazany na bliższą perspektywę – wtrącił ojciec. – Jestem osobą bardzo niskiego wzrostu.

– Czy zechciałby pan rozwinąć temat, profesorze? – wymamrotał z pełnymi ustami Sid.

– Jeśli zadacie sobie trud i przeczytacie artykuł... – zaczął Gold przeżuując.

– Och, tatusiu – przerwała mu Dina – przecież tego nikt nie będzie czytał.

– Dina, jak masz iść, to może idź już stąd, do diabła?

– Nikt nie je puddingu z kluseczkami Esther! – wykrzyknęła z naganą w głosie Belle, odciągając uwagę wszystkich od Golda.

Jak na komendę nad stołem wyciągnęły się ręce, by niczym czerpaki maszyn do prac ziemnych nabrać puddingu z kluseczkami Esther.

– Nikt nie nałożył sobie mojego klopa – powiedziała Muriel.

– A ja nic nie przyniosłam – uderzyła w lament Rosę.

– Harriet wzięła ciasto – zauważyła Belle.

– A Belle jej przyklaskuje – mruknęła Ida. W tym momencie Dina czmychnęła.

– Chcesz mi wmówić – odezwał się Irv zatrzymując miskę z tłuczonymi słodkimi ziemniakami, na które czekał Gold – że jeśli zabieram się do borowania pacjentowi zęba, bo chcę założyć mu plombę, to mi to nie wyjdzie?

Gold nie dał się wytrącić z równowagi.

– Irv, nie plombujesz przecież zębów dlatego, że lubisz borować dziury. Jeśli plombujesz ząb, bo chcesz, dajmy na to, zarobić na samochód, który rozkraczy ci się dziś wieczorem w tunelu, w drodze powrotnej do Brooklynu, to nie powiesz chyba, że wyszło ci to, co sobie planowałeś, prawda?

– To trochę naciągany przykład, Bruce, nie uważasz?

– Cóż, nie pisałem konkretnie o borowaniu zębów. Podasz mi wreszcie te słodkie ziemniaki?

– Moim zdaniem przyzwoitość nakazuje – oświadczyła Ida – żeby wszyscy przeczytali najpierw ten artykuł, a dopiero potem formułowali opinie.

– To ci będzie dzień – powiedziała Harriet. – A w to, że Bruce jedzie do Waszyngtonu, uwierzę dopiero wtedy, kiedy to zobaczę na własne oczy.

– Harriet, zamkniesz ty się z łaski swojej? – poprosił ją Gold. – Przynajmniej raz.

– Zawsze ci mówiłam, że był rozpieszczany – powiedziała Harriet do Sida.

– Nie przeze mnie – pochwaliła się Muriel. Nie musiała tego mówić. Przyjęła oświadczenia Victora, pierwsze w swoim życiu, przepracowawszy osiem miesięcy jako sprzedawczyni w domu towarowym Macy's, i od tamtego czasu ani w głowie jej było rozpłaszczać kogokolwiek, z wyjątkiem siebie samej.

– Bruce nie był rozpieszczany. – Skwapliwość Idy w przychodzeniu w sukurs Goldowi wystarczała zawsze, by podmyć w nim wiarę w siebie. – Stwarzano mu tylko lepsze warunki, bo rokował nadzieje, że je należycie wykorzysta. Podobnie zresztą jak mnie. Nie wolno go nie doceniać tylko dlatego, że wypisuje rzeczy, których nikt nie rozumie.

Narastający gniew rozpałał policzki Golda.

– Irv, podasz mi wreszcie te cholerne kartofle? – Nadział na widelec plaster rozbratla. – Victor, wrzuc mi na talerz klopsa, co? I ze dwa pieczone ziemniaki, z cebulką, z cebulką. Ida, podaj mi dwie kromki chleba.

– Muriel dodała do tych klopsów troszeczkę fileta – powiedział Victor, usługując mu ochoczo.

Gold umierał z głodu i nie miał apetytu. Gdybym kiedykolwiek ożenił się ponownie... – pomyślał z rozpaczą, ale przerwał mu tę myśl ojciec, który zakaszłał, żeby zwrócić na siebie uwagę, nachylił się gniewnie do niego i oznajmił:

– Ten numer, jaki wykręciłeś z tym facetem, to obelga dla całej naszej rodziny. Czy on jest bogaty?

Gold poczuł się zbity z tropu.

– Jaki numer?

– Z tym facetem. – Twarz ojca była surowa. Gold najpierw zamrugnął oczami. Potem spytał:

– Z którym?

– Wiesz, z którym – zaczął orację ojciec. – Nie pytaj mnie, z którym. Ja mu dam z którym, idiocie jednemu. Chodziłeś z nim chyba do szkoły, nie?

– Chodzi ci o Liebermana?

– A o kogóż by innego, tumanie? Ja mu muszę mówić, z kim chodził do szkoły! – Victor zachichotał, a Sid obserwował napaść ojca na Golda z uśmiechem i zyczliwą zachętą. – Jak to się stało... – i tutaj Julius Gold przyjął elegancką pozę, odrzuciwszy głowę daleko w tył chyba tylko po to, żeby popatrzeć na Golda horyzontalnie poprzez celownik swojego nosa – ...jak to się stało, że mieszkali na Coney Island, skoro byli tacy bogaci?

– Oni nie byli bogaci – mruknął zdezorientowany Gold.

– Czy jego ojciec był ode mnie lepszy? Co robił?

– Prześwietlał jajka. Pracował w branży jajczarskiej.

– A ja byłem właścicielem fabryk – ciągnął ojciec. – Podczas wojny montowałem wieżyczki strzeleckie dla Bendixa. Pracowałem na rzecz obronności. – Zwolnił tempo, kiwając głową. – Dali mi raz małą premijkę za wydajność, małą, bo miałem małą fabryczkę. Szyłem płaszcze i działałem w handlu nieruchomościami. Udzielałem się w branży skórzanej, gdzie wypracowałem sobie emeryturę. Spytaj Sida. Wcześniej zajmowałem się kuśnierstwem, przyprawami korzennymi, transportem morskim, eksportem i importem. – Patrzył w przestrzeń coraz bardziej nieobecny wzrokiem i zaczynał jakby bredzić. – Miałem piękną kamienicę w nieciekawej dzielnicy, ale zabrały mi ją banki. Miałem kilka zakładów krawieckich, zawsze pod tym samym adresem, ale trudno było z nich wyżyć, więc się ich co jakiś czas pozbywałem. Miałem wielki sklep spożywczy przy Mermaid Avenue, ale trzeba go było zamknąć. Wyprzedziłem swoje czasy moim supermarketem. Kiedyś miałem nawet sklep z artykułami chirurgicznymi dla ludzi po operacjach i wiedziałem, jak rozmawiać – wiercie mi, wiedziałem, jak rozmawiać z ludźmi, kiedy przychodzili coś kupić. „Mam dla pana rękę!”, mówię jednemu. „Kto panu sprzedał to oko?”, pytam drugiego. Byłem najlepszy na świecie, ale trudno było z tego wyżyć, przerzuciłem się więc na finanse i zostałem maklerem na Wall Street w czasie Wielkiego Kryzysu, kiedy nikt nie mógł sprzedać choćby jednej akcji, nawet ja. Działałem w budownictwie, kiedy nikt inny nic nie budował. Byłem kreślarzem, kiedy nikt jeszcze nie wiedział, co to kreślarz. Mnóstwo ludzi do dzisiaj tego nie wie. – Jego oskarżycielski wzrok spoczął na Goldzie. – I jakiś prześwielacz kurzych jaj miałby być ode mnie lepszy?

– Czy ja tak powiedziałem?

– No więc jak to jest – spytał Julius Gold – że ty pracujesz dla niego, a nie on dla ciebie?

Gold nareszcie zrozumiał.

– Ja dla niego nie pracuję. Jestem niezależnym pisarzem. On jest wydawcą.

Ojciec zrobił złowieszczą zadowoloną minę.

– Ty to napisałeś czy on?

– Ja.

– On zapłacił tobie czy ty jemu?

– On mnie.

– Mnie to wygląda na pracę najemną – oświadczył ojciec z najwyższą pogardą. – Wolisz być nim, czy wolisz być sobą?

– Wolę być sobą.

– A on woli być sobą, czy woli być tobą?

– Prawdopodobnie wolałby być mną.

– Sid?

– Może on ma i rację, tato.

– Eee, co ty tam wiesz! – prychnął stary, potrząsając z niechęcią głową. – Jesteś tak samo tępy. Tyle lat siedzisz jak ten dupek w tych swoich maszynach pralniczych. Zupełnie jak Amerykański Tel i Tel w swoich telefonach. Nie miałeś nigdy żadnego planu, Bruce. Powtarzałem ci sto razy, że musisz mieć plan. Przeze mnie... – ojciec zapalił zapałkę – ...przemawiają pieniądze. Kto płaci, ten dyktuje warunki. On płaci, znaczy się pracujesz dla niego, więc jest lepszy, a był synem prześwielacza jaj, kiedy ja montowałem już wieżyczki dla Bendixa, i kropka. *Fartig*.

– Och, tato, stuknęło mi już, cholera, czterdzieści osiem lat – wybuchnął gniewnie Gold.

– Nie przeklinaj. Nigdy nie tolerowałem takiego języka w swoim domu.

– To mój dom, i ja go tu toleruję. Jestem profesorem college'u i mam doktorat. Piszę książki. Występuję w telewizji. Płacą mi za wygłaszanie odczytów w college'ach i na konferencjach. A ty wciąż traktujesz mnie jak gówniarza albo jakiegoś przygłupa. Wszyscy tak mnie traktujecie! A ludzie z Waszyngtonu chcą mnie do siebie ściągnąć.

– W jakim celu? – parsknął szyderczym śmiechem ojciec.

– Turystycznym – zażartował Max i Gold poczuł, jak uchodzi z niego cała wola walki. Och, Max, zawył w duchu, i ty przeciwko mnie!

– Żeby sobie obejrzał Monument Waszyngtona – zarechotał Milt, podnosząc głos, co mu się jeszcze w tym gronie nie zdarzyło. Jako konkurent Esther zaczynał się czuć w tym gronie jak między swoimi.

Gold był bliski płaczu. Wkrótce, pomyślał przybity, będę doradzał: bombardować czy nie bombardować? Ale teraz jestem bezsilny.

– Okay, ty masz rację, ja jestem w błędzie – ustąpił niechlubnie ojcu i stary Julius Gold pokiwał głową. – Wróćmy lepiej do rozmowy o wodzie.

– Pytajcie Sida – powiedział ojciec. – Na czym jak na czym, ale na wodzie to Sid się zna.

Esther czym prędzej podchwyciła temat:

– Czasami, kiedy wyglądam w zimie przez swoje okno, widzę, jak kra płynie w górę rzeki... dlaczego tak się dzieje? – spytała.

– Dlatego, że lód jest lżejszy od wody – wyjaśnił Sid – i przemieszcza się w górę rzeki, żeby wypłynąć na sam jej wierzchołek.

Goldowi na chwilę odebrało mowę. Krew uderzyła mu do twarzy.

– Naprawdę sądzisz – wycedził z zimną furią – że lód przemieszcza się w górę rzeki, żeby wypłynąć na sam jej wierzchołek?

– A nie jest tak? – spytał niewinnie Sid.

– Naprawdę sądzisz, że góra jest u góry? – wybuchnął Gold, wskazując z wściekłością kierunek północny.

– Góra nie jest u góry – mruknął ktoś nieśmiało.

– Jak to nie, pewnie, że u góry – powiedział ktoś inny.

– No a gdzie, na dole? – spytał jeszcze ktoś inny.

– Miałem na myśli północ! – uściślił Gold, podnosząc głos do krzyku. – Naprawdę myślisz, że jak coś leży na północy, to znajduje się wyżej?

Sid zachował godne milczenie, pozwalając walczyć w swojej sprawie innym.

– Jasne, że wyżej. Przecież tam są góry, prawda?

– I dlatego ludzie tam jeżdżą w lecie.

– Bo tam chłodniej.

– Na mapie północ jest zawsze wyżej – zauważyła Ida.

– Ja nie mówię o mapie.

– I dlatego woda spływa zawsze na dół, ku środkowi mapy – wtrącił ojciec z pełną wyższością arogancją. – Tam, gdzie jest przestronniej. Gdzie jest więcej miejsca.

– I pewnie – zaszydził z nich wszystkich Gold – gdybyście zdjęli mapę ze ściany i przekreśliли ją do góry nogami, to cała woda by z niej wyciekła.

– Och, nie, głuptasie – zaprotestowała jego szwagierka.

– Na mapie nie ma wody.

– On myśli, że na mapie jest woda.

– Mapa to tylko obrazek.

– Wiem, że obrazek! – zawył przestraszony Gold. – Ironizowałem. To było pytanie, nie stwierdzenie!

– Ale przekreść do góry nogami taki świat – zaproponował chytrze Sid w trwożnej ciszy, jaka zaległa – a zobaczysz, co się stanie.

– Nic! – ryknął Gold.

– Nic? – spytał Sid.

– Biegun północny stałby się biegunem południowym – powiedziała Muriel.

– Wielki Wóz by się wywrócił.

– Dla ochłody jeździlibyśmy na południe.

– Wodospad Niagara lałby się w górę.

– I on mówi, że to nic.

– Nic by się nie stało! – usłyszał swój wrzask Gold. – Pod górę dalej byłoby pod górę, do jasnej cholery, tam, gdzie w grę wchodzi planety, nie ma pojęcia wierzchu ani spodu, a ja natychmiast stąd wychodzę i już nigdy nie wrócę... Co jest, co jest, co jest, co jest?! – zaniósł się piskliwym krzykiem, wyładowując swój płomienny gniew na kims, kto od jakiegoś czasu poklepywał go po ramieniu.

– To do ciebie – powiedziała Dina.

– Co do mnie?

– Telefon. – Dina przewróciła męczeńsko oczami. – Znowu ten facet z Białego Domu. Możesz odebrać w moim pokoju.

Golda opuściła wola życia. Ubzdurało mu się, że Ralph i rządzący ze wszystkich miast stołecznych świata byli świadkami zakończonej przed chwilą haniebną scenki. Zarejestrowały ją telewizyjne kamery. Woodward i Bernstein napiszą o tym książkę. Był skończony.

Dina pomogła mu dźwignąć się z krzesła. Ida podtrzymała go, kiedy się zatoczył. Włokąc się przez kuchnię do sypialni Diny, modlił się o łaskę.

– Ralph?

– Chwileczkę, mój drogi – odezwał się w słuchawce żeński głos, ciepły i soczysty jak płynny miód.

– Bruce?

– Ralph?

– Prezydent Stanów Zjednoczonych zdecydował ostatecznie, że chce, abyś dla niego pracował – oznajmił Ralph. – Przyjmie cię w Białym Domu jutro o siódmej trzydzieści rano. Będziecie mieli okazję poznać się nawzajem.

– Nie mogę przyjechać do Białego Domu jutro rano – wykrztusił przez ściśnięte gardło Gold. – O dziesiątej prowadzę zajęcia.

– Zdasz wrócić – zapewnił go Ralph. – Audiencja potrwa tylko półtorej minuty. Jeśli wyjedziesz zaraz na lotnisko, może jeszcze złapiesz ostatni wahadłowiec.

– Nie mogę teraz wyjść. To przyjęcie urodzinowe mojej dużej siostry.

– Prezydent wysłałby po ciebie swój samolot, ale jego żona lata nim na zakupy. Mógłbyś wyczarować jakiś samolot prywatny.

– Nie wiem jak. Ralph... czy Prezydent będzie zły, jeśli nie spotkam się z nim jutro?

– Zły nie, Bruce. Ale bardzo zawiedziony, chociaż nie będzie sobie zdawał z tego sprawy. Po prostu podstawię mu na te półtorej minuty kogoś innego, a on prawdopodobnie nawet nie zauważy różnicy.

– Mógłbym przyjechać w środę – zaproponował błagalnie Gold.

– On będzie wtedy w Chinach.

– Byłbyś łaskaw odkleić się od tej słuchawki? – syknęła od progu, niczym najjadowitsza ze zmij, córka Golda. – Czekam na telefon.

– Wypierdalaj stąd – odsyknął równie jadowniczo Gold, zasłaniając dłonią mikrofon – bo zabiję.

Dina oddaliła się w radosnych podskokach.

– Dzwonią, żeby przyjechał do Waszyngtonu – wyśpiewywała po drodze.

– Ale przyjeżdż – zdecydował Ralph – to porozmawiamy. Andrea będzie cię pewnie chciała zaprosić na kolację. Zatrzymaj się w jakimś renomowanym hotelu na wypadek, gdyby cię rozpoznano. O ile, naturalnie, nie masz tu kogoś, kto zechciałby cię gościć w swoim domu.

Gold, wstrzymując oddech, odczekał pełnych pięć sekund, zanim odpowiedział, że zatrzyma się w hotelu. Wrócił do jadalni w stanie jakiegoś odrętwienia.

– To naprawdę był Prezydent? – spytała szeptem Rosę.

– I kazał mu natychmiast przyjeżdżać – powiedziała Esther do Harriet, która siedziała jak niepyszna.

– Asystent – odparł Gold.

– Prezydent ma mnóstwo asystentów – zauważyła szorstko Harriet.

– Tak, ale to był ten najważniejszy – poinformowała ją Ida.

– Nie mogę się już doczekać, kiedy odwiedzimy Bruce'a w Waszyngtonie – powiedziała Muriel, siejąc popiołem ze zwisającego z ust papierosa, i Golda ogarnęła jeszcze większa konsternacja. – Może wybierzemy się całą paczką, razem z dziećmiakami?

– Byłoby wspaniale – zapaliła się do tego pomysłu Rosę. – Prawda, Max?

– Może załatwi mi podwyżkę.

– Bruce – skarciła go ostro Ida – skoro już jedziesz do Waszyngtonu, to muszę ci coś powiedzieć. Esther, Rosę, Max, Irv, Muriel, Victor i ja uważamy, że stajesz się za chudy.

– On zawsze był za chudy – prychnął z pogardą ojciec. – Mówiłem mu, że jest za chudy, ale nie słuchał. Kiedy nosi piżamę, to tylko z jednym paskiem.

– Jak to zawsze mówił Sid, kiedy chciał mu dokuczyć? – spytała Emma Bovary.

– „Wstąp do drużyny szermierczej – odpowiedziała Echo. – Jesteś taki chudy, że nikt by cię nie mógł trafić”.

– A pamiętacie, jak nie przyjęli go do szkolnego chóru i wrócił z płaczem do domu? – spytała Natasza Kariłowa.

– I jak śmiesznie wyglądał w okularach? – dorzuciła Aurora z równym rozbawieniem.

Gold otrząsnął się z oszołomienia i uświadomił sobie, że nadaje imiona Emmy Bovary, Echo, Nataszy Kariłowej i Aurory swoim siostronom Muriel, Idzie, Rose i Esther. Za dużo ich, cholera, miał. Dzierżąc widelec jak sztylet, dźgnął nim brutalnie w ostatni kawałek rozbratla, jaki pozostał na półmisku, a Belle z kilkoma innymi kobietami zabrały się do sprzątnięcia ze stołu.

– To kiedy jedziesz? – spytał ojciec.

– W środę – mruknął Gold i żuł dalej ze śmiertelną powagą.

– Na ile?

– W piątek prowadzi zajęcia na uczelni – odparła Belle.

– Zabierasz ze sobą Belle?

– Nie – odparła reżolutnie Belle. – W środę mam dyżur w szkole.

– Jeszcze na to za wcześnie – powiedział Gold.

– Jaką pracę ci dają?

– Naprawdę nie potrafię ci jeszcze powiedzieć. Zresztą i tak byś krytykował.

– A pewnie.

– Porozmawiajmy więc o czymś innym.

– Jasne – zgodził się ochoczo Sid. – Porozmawiajmy o sępach.

Gold zmartwił.

– Dlaczego?

– Są jako te polne lelije.

– Sid, ty sukinsynu...

– Przepróż! – wrzasnął ojciec, zrywając się z krzesła. – Przepróż, sukinsynu, za to brzydkie słowo, którego przed chwilą użyłeś.

Gold wyszedł do kuchni. Rose znowu ryczała.

– Nic na to nie poradzę – wyjaśniała Idzie. – To moje pierwsze w życiu przyjęcie.

– Rosę, co ty opowiadasz? – zdziwiła się Ida. – Zawsze wydajemy przyjęcia bożonarodzeniowe i urodzinowe.

– Nawet ja – przypomniał sobie Gold.

– Ale to ja je zawsze przygotowywałam – wykrzyknęła radośnie Rose i znowu załapała się łzami.

Esther pokiwała głową.

– Tatuś był zawsze zbyt zajęty, a mamusia zawsze pracowała i dużo chorowała. Tak więc przyjęcia przygotowywała Rose.

– A Esther pomagała – wy szlochała Rose. – Ale nigdy nie miałam przyjęcia na swoją cześć.

– Pomyślałam sobie, że już najwyższy czas – oświadczyła Belle stawiając przed Rose filiżankę kawy. – Szczęśliwej sześćdziesiątki.

Gold miał trudności z przełknięciem śliny.

– Rose – powiedział odchrząkując i biorąc kawę – usiłuję sobie przypomnieć rozmaite rzeczy. Pamiętasz, jak Sid mnie zgubił i musiałś odbierać mnie z posterunku policji?

– To nie ja. Ja sprzedawałam krem jajeczny i napój słodowy na straganie. Esther po ciebie poszła.

– O rany, ale była wtedy w domu awantura – stwierdził Sid, wchodząc do kuchni i biorąc sobie pasztecika. – Powiedziałem im, że mi uciekłeś.

Gold był wstrząśnięty.

– Jak mogłeś?

– Zrozum, byłem najstarszy – roześmiał się Sid. – Dostyc miałem opiekowania się wami wszystkimi. Byłem wtedy pies na dziewczyny, pamiętacie? – Zerknął przez ramię, żeby się upewnić, czy w pobliżu nie kręci się Harriet.

Ida go zrozumiała.

– Zawsze byłem wściekła, kiedy musiałam odprowadzać Muriel i Bruce'a do szkoły – wyznała.

– Ja też nie cierpiałam opiekować się Bruce'em – powiedziała Muriel.

A Golda wcale nie bawiło, kiedy musiał opiekować się Joannie.

– Wiecie, jakie urodziny urządzili jej w biurze? – poskarżył się Max. – Żadne.

– Ja się tym nie przejmuję. – Rose zneutralizowała jego rozżalony ton dobrotliwym machnięciem ręki. – Nawet nie wiedzieli, że obchodzę urodziny. Słuchajcie, jestem taka stara, że dobrze, że w ogóle jeszcze mnie trzymają.

– Dlatego właśnie boję się szukać pracy – powiedziała Esther i mięśnie szczęki znowu zadrgały jej nerwowo, nadając gładkiej brodzie kruchy wygląd.

– Pamiętacie, jak ciężko było, kiedy zaczynaliśmy? – Rose upiła łyżeczek kawy. – Ale wydaje mi się, że pomimo to było wtedy wesoło. Dwa lata szukałam stałej posady.

– Ja szybciej znalazłam pracę, kiedy skończyłam szkołę średnią – powiedziała Esther.

– Byłaś taka ładna – przypomniała sobie Rose. Oczywiście Esther zaszły mgiełką. – A ja byłem zawsze wielka jak kobyła – ciągnęła Rose. – Rety, ale było ciężko. Pracy było wtedy jak na lekarstwo, zwłaszcza dla Żydów. W wielu ogłoszeniach zastrzegano od razu, że nie dotyczy Żydów.

– Ja byłem jednym z pierwszych Żydów pracujących na poczcie – pochwalił się ze smutkiem Max.

– Starszy brat Victora został jednym z pierwszych policjantów żydowskiego pochodzenia – wtrąciła Muriel. – Cała reszta policjantów była antysemitka. I dlatego zrezygnował i przerzucił się na branżę mięsną.

– Co rano – podjęła Rose – ja i moje przyjaciółki, Gertie, Beatie i Edna, wyruszałyśmy we cztery w miasto na poszukiwanie pracy. Miałyśmy dopiero po osiemnaście lat. Musiałyśmy chodzić głównie po agencjach, bo tylko za ich pośrednictwem można było dostać jakąś pracę i pobierali tam procent od wypłaty. To nie były łatwe czasy dla Żydów. Najpierw Wielki Kryzys, a potem Hitler i ci wszyscy tutejsi antysemita. W jednej dużej agencji, zapomniałam, jak się nazywała, w każdym razie kazali nam tam czekać cały dzień, bo niby szykuje się jakaś praca, a na koniec ogłosili, że wszyscy Żydzi mogą iść do domu, bo tego dnia żadnych ofert zatrudnienia już dla nich nie będzie. A my z pocałowaniem ręki przyjęłybyśmy choćby pracę

na niepełny etat albo nawet dorywczą. A więc później, ilekroć wypełniałam w jakiejś agencji formularz, to w rubryce wyznaczenie wstawiałam: „protestantka”. Nie wiedziałam nawet, co to znaczy „protestantka”, ale byłam pewna, że coś dobrego. Wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że kłamie, wystarczyło na mnie spojrzeć, ale nikt nic nie mówił. Z takim wpisem mieli przynajmniej szansę gdzieś mnie upchnąć. W jednej z agencji zatrudnienia załapałam się w końcu do pracy sezonowej w domu towarowym, na całe trzy tygodnie. Nareszcie coś. Personalna powiedziała mi od razu, że wie, że jestem Żydówką. Ale mimo to dała mi tę pracę. Może nie mogła znaleźć nikogo innego, kto by się jej podjął. Sklep znajdował się aż w Newark, w New Jersey, ale płacili pięć dolarów dziennie. Dojazd w jedną stronę trolejbusem i pociągiem kosztował mnie dziesięć centów, do tego dochodziło jakieś ćwierć dolara na lunch i coś do picia po południu. Aha, i jeszcze dwa razy po pięć centów za przejazd metrem Hudson Tubes z Nowego Jorku do New Jersey i z powrotem. To, co zostawało z wypłaty, oddawałam codziennie mamie, ale ona przeważnie nie chciała brać tych pieniędzy. Odkładała część z nich do mojej szuflady, żebym miała jakieś oszczędności. – Gold uświadomił sobie teraz, że Rose ma już dziesięć lat więcej niż matka, kiedy umierała. – Sid pracował w pralni Brighton Laundry przy tych koniach, których tak się bał. Pamiętasz te konie, Sid?

– Jasne, że pamiętam. „Uważaj na te konie”, powtarzała mi zawsze mama, kiedy wychodziłam z domu do pracy.

– Zamartwiała się całymi dniami – wspominała dalej Rose. – „Gdzie Żyd do konia?”, mówiła i potraszała żałośnie głową. O mnie też się zamartwiała cały dzień, dopóki nie wróciłam do domu. Podróż z Coney Island do New Jersey zajmowała mi bite dwie godziny, a tam musiałam stać w witrynie domu towarowego i demonstrować jakiś rodzaj miotły, która była jednocześnie froterką do podłogi. Od pierwszego do ostatniego dnia była to dla mnie prawdziwa katorga, bo ludzie zatrzymywali się przed wystawą i patrzyli. A ja nie lubiłam, jak ktoś się mi przygląda, no ale przecież za to mi płacili. Potem przypomniałam sobie, że mamy w Newark krewnych, większość rodziny mamy mieszkała w New Jersey, i od tamtej pory żyłam w ciągłym strachu, że ktoś z nich będzie przechodził i mnie zobaczy. Całe dni pracowałam z duszą na ramieniu. Ale pięć dolarów dziennie to było wtedy dużo pieniędzy, i uciulałam sobie sporą sumkę, która starczyła potem na wiele dni rozglądania się za inną pracą, gdy ta się skończyła. Kiedy froterowałam, mogłam to robić odwrócona plecami do ulicy, jednak zamiatać musiałam twarzą do szyby. Do dzisiaj nie wiem, czy ktoś z krewnych mnie widział, ale bałam się okropnie. Pamiętam jeszcze te lunche, które jadałyśmy we cztery, kiedy chodziłyśmy po mieście w poszukiwaniu pracy. Był taki duży bar samoobsługowy przy zachodniej Czterdziestej Drugiej Ulicy. Nazywał się chyba Pershing. Zamawiałyśmy tam codziennie jednego klopsa i cztery kawy.

– Czy był taki dobry jak mój? – spytała Muriel. Rose odrzuciła w tył głowę i poderwała w górę rękę.

– Był okropny. Nie znosiłyśmy klopsów, nie mówię o twoich, ale to było jedyne tanie i sycące danie, które dawało się łatwo podzielić na cztery równe części. Zrzucałyśmy się wszystkie na paczkę papierosów i każda wypalała z niej po pięć sztuk. Po lunchu rozdzielaliśmy się na dwie pary i stawałyśmy w kolejce poszukujących pracy w domach towarowych albo wracałyśmy do agencji zatrudnienia i tam czekałyśmy na oferty. Stosunkowo najłatwiej było jeszcze o pracę umysłową w administracji państwowej, ale my nie czułyśmy się na tyle mądre ani oni nie proponowali niczego, co by nam odpowiadało. Umiałyśmy tylko pisać na maszynie i sprzedawać. I nie chciałyśmy opuszczać domu. W tamtych czasach ludzie niechętnie zmieniali miejsce zamieszkania. – Gold wspomniął ze skurczem serca dwójkę jej dzieci. Ale Rose, w ferworze narracji, umknęło to skojarzenie. – Tak więc szukałyśmy dalej i w końcu dostałam pracę w jednym z tych sklepów przy Czternastej Ulicy, u Hearna. To było, zanim zaczęłam pracować w moim biurze prawniczym. Stałam za ladą i prawdopodobnie stałabym za nią po dziś dzień, gdyby kierownik pietra nie

był podszczyrywaczem, co denerwowało i mnie, i resztę dziewczyn. Więc pewnego dnia namówiłyśmy się i stanęłyśmy całą grupką, i kiedy zaczął się między nami przeciskać z opuszczonymi rękami, wbiłam mu szpilkę. Nie wiedział, kto to zrobił, ale mnie się wydawało, że wie albo się dowie, i tak się bałam, że nie mogłam tam dalej pracować, odeszłam więc po naradzie z mamą i zaczęłam szukać dalej. Robiłyśmy co dnia wiele mil, bo wszędzie chodziłyśmy pieszo, żeby zaoszczędzić te parę centów na przejazdach, ale tworzyłyśmy zgraną paczkę i było nam wesoło, te klopsy i w ogóle, i pewnego dnia przyrzekłam sobie, że jeśli kiedykolwiek znajdę jakąś przyzwoitą stałą posadę, to już na niej zostanę, no i kiedy trafiła mi się ta praca stenografistki w firmie prawniczej, zostałam tam, i pracuję tam do dziś. Nigdy nie korciło mnie, żeby poszukać sobie innej pracy.

– Czterdzieści dwa lata – mruknął posepnie Max, ale z nutką tłumionej dumy. – A teraz młodym dziewczynom, które przyjmują tam na staż, dają na początek tyle, ile ona zarabia do tej pory.

– Ja tam się nie uskarżam – odparła dobrodusznie Rose. – Dawali mi urlopy, kiedy rodziłam dzieci, i pozwalali pracować na niepełny etat, kiedy musiałam. Boję się tylko, że mnie zwolnią i będę musiała znowu szukać.

– Teraz? – zakpił Max. – Teraz już ci to nie grozi.

– Mam tylko nadzieję, że zatrzymają mnie do czasu, kiedy ty też będziesz mógł odejść na emeryturę. Może wtedy i my kupimy sobie kondominium na Florydzie, niedaleko tatusia i Gussie.

– Czy szwagrowie są tu mile widziani? – spytał Irv, wtykając głowę przez drzwi. – Ja też chcę kawy.

Belle wypędziła wszystkich z kuchni. Kiedy Dina, eskortowana z obu stron przez Esther i Belle, wniosła do jadalni urodzinowy tort, Goldowi łzy napłynęły do oczu i przestraszył się, że może będzie musiał wybiec z pokoju.

Dziękował Bogu, że przygaszono światła, żeby lepiej było widać wszystkie te migoczące urodzinowe świece. Jedną dodano na szczęście.

– Moja Rosie – powiedział z dumą ojciec Golda, kiedy wszyscy zbierali się do wyjścia, a Rose podeszła, żeby pocałować go na pożegnanie. – Ona zawsze była najlepsza. Nigdy nie miałem przez nią najmniejszych kłopotów.

– To ci, cholera, charakter – mruknął pod nosem Gold. – Żeby oceniać całą ludzkość po tym, ile kto mu przysporzył kłopotu.

Rose była również tą, której w życiu najgorzej się powiodło. Nawet Esther lepiej wylądowała: mały Mendy, chociaż kłótlivy i uparty, był Esther oddany i umierając przed dwoma laty zostawił jej sporą sumkę, a dwoje dzieci, jedno mieszkające obecnie w Bostonie, drugie w Filadelfii, miało do niej żal, że woli żyć samotnie blisko Rose, niż przenieść się do któregoś z nich.

Prezentów było tyle, że Rose i Max nie mogli się z nimi zabrać. Irv z Victorem pomagali im się pakować, a Gold kursował tam i z powrotem po coraz to nowe torby. Do prezentu od Muriel, czyli markowej torebki ze skóry aligatora, Victor dorzucił tuzin płatów mięsa na steki i marynowany ozorek. Najwspanialszym z całej puli podarunków był rejs statkiem wycieczkowym po Karaibach z pewną sumą na drobne wydatki. Większość pieniędzy wyłożył Sid, ale poza tym każdy dorzucił coś od siebie na miarę swoich możliwości, dzięki czemu Sid mógł powiedzieć Harriet, że na ten prezent złożyła się cała rodzina. Na Karaibach będą mieli ciepło, natomiast Europa przypomniaby im syna, a Kalifornia córkę. Ani Rose, ani Max nigdy nie byli za granicą. Nie lecieli nawet samolotem.

Wszystkie kobiety, prócz macochy Golda i Muriel, zakrzętnęły się energicznie i kiedy goście wychodzili, jadalnia i kuchnia były już wysprzątane, ostatnia patelnia wyszorowana, a w automatycznej zmywarce pobrzękiwała ostatnia partia naczyń. Kiedy na odchodnym

zapadła pełna zakłopotania cisza, Gold rozproszył wspaniałomyślnie najgłębsze obawy gości i pożegnał wszystkich w wesołym nastroju.

– Bruce – odważyła się spytać od progu Esther, podczas gdy cała reszta czekała w posepnym zatroskaniu – jak już będziesz w tym Waszyngtonie, to nie narobisz nam chyba wstydu jakimś nieprzemyślanym wybrykiem, co?

– Na przykład jakim? – spytał ostrożnie Gold.

W tym momencie Esther opuściła odwaga, ale pałeczkę po niej przejęli pozostali.

– Na przykład głosowaniem na republikanina?

– Nigdy – odparł.

– Albo przyłożeniem ręki do wybrania któregoś?

– Oczywiście, że nie!

– Nawet jeśli będzie Żydem?

– Zwłaszcza wtedy.

– Dzięki Bogu – odetchnęła jego macocha.

– Ach ta ciocia Rose – powiedziała Dina, siedząc po turecku na łóżku Belle. – Nigdy nie widziałam jej tak szczęśliwej. Słyszeliście kiedyś, żeby tyle się śmiała albo mówiła?

– Cieszę się, że wyprawiłam jej to przyjęcie – powiedziała Belle.

Gold też był z tego rad. Belle była dobrą żoną i Gold podejrzewał, że może mu jej brakować, jeśli kiedykolwiek dojdzie do wniosku, że taka żona mu potrzebna.

W waszyngtońskim biurze Ralpa Newsome'a wszystko lśniło jasnym blaskiem, oprócz siedzenia jego spodni. Przy windach powitała Golda młoda dziewczyna o ładnej buzi i przekazała go oszalałej kobiecie pod trzydziestkę o prostych, czarnych włosach, w prostej, bardzo drogiej sukience opinającej wdzięcznie nieprawdopodobnie kształtną figurę, ta zaś zaprowadziła go prosto do sekretarki Ralpa, pogodnej, kokieteryjnej kobiety emanującej zmysłowym ciepłem, która natychmiast podbiła jego serce swoją uwodzicielską serdecznością i pieszczotliwym uściskiem ręki. Gdzie nie spojrzeć, wszystko lśniło wypucowanym blaskiem, przy którym elektryczne oświetlenie biurowych pomieszczeń wydawało się zbędnym dodatkiem.

Ralph prawie wcale się nie zmienił. Był wysoki, trzymał się prosto, poruszał flegmatycznie, miał piegi i czesane z przedziałkiem czerwonorude włosy. Spośród wszystkich wspomnień Golda o Ralphie najwyraźniejsze było to, że fryzura tamtego nigdy nie domagała się strzyżenia i nic nie świadczyło o tym, by kiedykolwiek poddano ją temu zabiegowi. Ralph miał na sobie szytą na miarę koszulę z monogramem, a jego spodnie wyglądały na świeżo uprasowane. Tak się jakoś składało, że nadal był jedynym absolwentem Princetown University, z jakim Gold i wszyscy znajomi Golda zetknęli się w życiu.

– Mam nadzieję, że zabalowałeś w nocy – zagaił niewinnie Ralph. – W tym mieście roi się od przystojnych kobiet, które gotowe są prawie na wszystko, byleby tylko przyjemnie spędzić czas.

– Byłem zmęczony po podróży – mruknął sucho Gold. – Chciałem odpocząć.

W rzeczywistości przez cały wieczór włączył się przygnębiony po ogólnodostępnych salach swojego hotelu w daremnej nadziei, że ktoś go może rozpozna i zabierze gdzieś na dziewczynki tak samo powabne jak każda z tych trzech, z którymi miał przed chwilą do czynienia.

– Kurczę, Bruce, tak się cieszę, że znowu cię widzę – powiedział Ralph. – Zupełnie jak za starych, dobrych czasów, nie? – Gold milczał. Wcale nie było jak za starych, dobrych czasów. – Prezydent będzie bardzo zadowolony z naszego dzisiejszego spotkania, jeśli się o nim kiedykolwiek dowie. Lasujesz mu mózg, to pewne. Kopię twojej recenzji swojego „Mojego roku w Białym Domu” trzyma oprawioną w ramki pod szkłem na swoim biurku w Gabinetce Ovalnym, żeby mieć ją zawsze pod ręką i czytać jak dzień długi podczas ważnych dyskusji na temat rolnictwa, budownictwa, finansów, klęsk głodu, zdrowia, edukacji i opieki społecznej oraz innych spraw, które go zupełnie nie interesują. – Ralph mówił to zupełnie serio. – Słyszałem, że powiesił już powiększenie twojego powiedzonka „Nic nie wychodzi tak, jak to zaplanowano” na ścianie swojego pokoju śniadaniowego, zaraz obok cytatu z Pliniusza. Przypomina mu ono codziennie, żeby się zanadto nie przepracowywać.

– Cieszę się – odparł ostrożnie Gold i dodał po chwili: – Nadal mam wiele znaków zapytania w związku z jego książką.

– Właśnie to najbardziej podoba mu się w twojej recenzji. Obawiał się, że możesz go przejrzyć.

– Przejrzyć go?

– No cóż, wszyscy wiemy, że tak naprawdę nie miał wiele do napisania o swoim jednym roku spędzonym w Białym Domu, zwłaszcza że przez cały ten rok był zajęty pisaniem o nim. Prawdopodobnie chce cię tu ściągnąć, jak tylko uporasz się z porządkowaniem swoich spraw, chociaż prawdopodobnie nie chce, żebyś już teraz zabierał się do ich porządkowania. Tyle wiem na pewno.

– Jakie stanowisko obejmę? – spytał Gold.

– Jakie zechcesz, Bruce. Możesz wybierać spośród wszystkich wakatów, jakie zdecydujemy się przedstawić ci do wyboru. W tej chwili nie ma żadnego.

– Ralph, mówisz i mówisz, a niczego mi jeszcze nie powiedziałeś. Chciałbym wiedzieć, jak daleko mogę zajść?

– Na sam szczyt – odparł Ralph. – Możesz nawet od niego zacząć. Czasami mamy parę wakatów na szczycie i ani jednego na dole. Wydaje mi się, że możemy przeskoczyć rzeczownika i szefa biura prasowego i obsadzić cię od razu wyżej, chyba że nie będziemy mogli. Jesteś za sławny, żeby wykorzystywać cię anonimowo, chociaż niewiele osób wie, kim jesteś. Masz coś nowego na warsztacie?

– Piszę książkę dla Pomoroya i Liebermana i mam w planach krótki kawałek o edukacji.

– Jak ja ci zazdroszczę – mruknął Ralph. Gold popatrzył na niego wrogo. – O czym jest ta książka?

Pytanie Ralpha ścisnęło Golda za gardło.

– O ludziach w Ameryce, Ralph, o ludziach żydowskiego pochodzenia.

– Wszystko wskazuje, że na razie jesteś w łaskach. Na twoim miejscu kończyłbym ją czym prędzej, póki jest jeszcze czas.

– Czas na co?

– Czas na podejmowanie takiego ryzyka. Artykuł o edukacji powinien pomóc. Wkrótce będziemy organizowali kolejną Komisję Prezydencką do Spraw Edukacji i ty wejdiesz w jej skład. – Ralph zabrzączał swoim interkomem. – Dusty, kochanie, przynieś mi tu teczkę doktora Golda, dobrze?

– Już się robi, słoneczko. – Do gabinetu weszła piękna kobieta i wręczyła Ralphowi teczkę zawierającą kartkę, na której nie było napisane zupełnie nic. – Masz, słodziutki.

– Dzięki, miłości moja.

– Wspaniała – powiedział Gold, kiedy kobieta wyszła. – I ten ekscytujący przydomek: Dusty.

– To jej prawdziwe imię. Jej przydomek to Sweets.

– Nie zwracałeś się do niej per Sweets.

– W rządowym biurze? – zganił go dobrodusznie Ralph. – No, zobaczymy, co my tu mamy – pochylił się nad czystą kartką papieru i napisał: *rzecznik prasowy, anonimowe źródło oraz szef biura prasowego*. – Rozważaliśmy obsadzenie cię na początek na stanowisku asystenta prasowego, ale pierwsze, czego chcieliby się dowiedzieć chłopcy z prasy, to gdzie ktoś taki jak ty pasuje na asystenta prasowego. Czy chciałbyś pracować jako sekretarz?

– Przyznam, że mierzyłem wyżej – odparł wyniośle Gold. – Zresztą nie umiem pisać na maszynie.

– Och, nie tego rodzaju sekretarz – roześmiał się Ralph. – Miałem na myśli... – przez chwilę szukał odpowiedniego słowa – ...jak wy to nazywacie? O, Gabinet. Nie musiałbyś pisać na maszynie ani stenografować. Miałbyś od tego takie dziewczyny jak Dusty, Rusty czy Misty. Chciałbyś brać udział w pracach Gabinetu?

Gold był więcej niż udobruchany.

– Ralph, czy to naprawdę możliwe?

– Nie widzę przeszkód – brzmiała odpowiedź Ralpha. – Chociaż mógłbyś zacząć jako pod.

– Pod?

– Pod stoi w hierarchii chyba ociupinkę wyżej od zastępcy i asystenta, ale jeszcze nie tak wysoko jak wice. A może odwrotnie. Chyba nikt już nie wie na pewno, jak to z tym jest.

– Naprawdę mógłbym zacząć od stanowiska podsekretarza?

– W Waszyngtonie, Bruce, idziesz w górę szybko i możesz zajść bardzo daleko. Co byś powiedział na Sekretarza Pracy?

Gold, czując teraz twardszy grunt pod nogami, udawał przez chwilę, że się waha, zanim okazał, że mu to nie odpowiada.

– Raczej nie.

– Nie mogę powiedzieć, że ci się dziwię. A Sekretarz Spraw Wewnętrznych?
– To brzmi jakoś tak mrocznie.
– Tak, o ile się nie mylę, zajmują się tam kopalniami węgla. Transportu?
Gold skrzywił się.
– To mi zalatuje tragarzem.
– Handlu?
– Kojarzy mi się trochę ze straganem.
– Wykazujesz świetne rozeznanie. To może ambasador przy ONZ?
– Nie rozśmieszaj mnie.
– A co myślisz o Sekretarzu Skarbu?
Gold zastrzygł uszami.
– A co ty myślisz?
– Ma więcej prestiżu.
– Co musiałbym robić?
– Chyba mógłbym się dowiedzieć. Harris Rosenblatt będzie wiedział. Większość z nich jest bardzo zamożna i lubi liczyć pieniądze.
– Ja też lubię liczyć pieniądze.
– Ale oni się na tym znają.
Gold odrzucił z żalem tę propozycję.
– Nie wiem, czy dobrze bym się czuł na tym stanowisku. Mam opinię kogoś pośredniego pomiędzy pacyfistą a radykalnym reformatorem.
– Ale konserwatywnym radykalnym reformatorem, Bruce – przypomniał mu Ralph.
– To prawda.
– Wyobraź sobie, jak wspaniale byłoby mieć ciebie w Departamencie Obrony.
Ta uwaga zainspirowała Golda.
– A może Sekretarz Obrony?
– To dobry stołek, Bruce. Zwłaszcza dla pacyfisty.
– Ale ja pacyfistą jestem tylko w okresach pokoju.
– Dorzucimy to. – Ralph dopisał następną pozycję do swojej listy. – No i mamy jeszcze do rozważenia szefa FBI albo CIA.
– Musiałbym nosić pistolet?
Ralph nie sądził, aby było to konieczne, dopisał więc jeszcze te dwie pozycje.
– Wszystkie są dobre, Bruce. Ktoś z twoją smykałką do robienia sobie reklamy potrafiłby prawdopodobnie rywalizować w częstotliwości pojawiania się jego nazwiska w gazetach z samym Sekretarzem Stanu.
– No a Sekretarz Stanu? – spytał Gold.
– To jest myśl – zapalił się Ralph.
– Musiałbym coś umieć?
– Absolutnie nic – odparł Ralph, jakby zdumiony, że Gold w ogóle zadał takie pytanie. – W rządzie, Bruce, nie liczy się doświadczenie, wiedza też nie jest istotna. Historia uczy, że należy brać, co podłeci, kiedy dają, bo druga taka okazja może się więcej nie nadarzyć.
– Czy to dobrze dla świata? – spytał z troską Gold.
– Dla świata nic nie jest dobre, Bruce. Myślałem, że to wiesz. Powiedziałeś mniej więcej to samo w tym swoim ostatnim artykule. A teraz, Bruce – ciągnął ze skrepowaniem Ralph – muszę być z tobą szczerzy. Przygotuj się na to, że będziesz sobie może musiał zmienić żonę na lepszą.
– Od Belle? – Golda przeszedł dreszczyk emocji.
– Przykro mi – powiedział z powagą Ralph. – Tym razem poszukaj jakiejś wysokiej, Bruce. Wiesz, sam jesteś raczej niskiego wzrostu. Wysoka żona przyda ci trochę prezencji.
– Czy przy wysokiej żonie nie będę czasem wyglądał na jeszcze niższego, niż jestem?

– Ależ skąd – uspokoił go Ralph. – To ona będzie wydawała się wyższą przy tobie. A to przyda ci prezencji, co z kolei sprawi, że ona będzie wyglądała na niższą. Idealna byłaby Andrea Conover.

– Jestem z nią umówiony na dzisiejszy wieczór. Czy jest wystarczająco wysoka?

– Och, dostatecznie. A jej ojciec jest umierającym na raka dyplomatą z manierami i pieniędzmi, i najlepszymi koneksjami. Oświadczył się.

– Dzisiaj? – zachnął się Gold. – Nie widziałem jej od siedmiu lat.

– No to co? – Ralph roześmiał się zachęcająco. – W każdej chwili możesz się rozwieść. Andrea odwała kawał wspaniałej roboty w Komisji Nadzoru nad Wydatkami Rządu. To przez nią nie możemy już wykorzystywać służbowych telefonów do rozmów prywatnych. Wiesz, Bruce... – Ralph wstał i Gold uczynił to samo – ...to naprawdę nasze złote lata, ten okres, kiedy mężczyźni tacy jak my odczuwają pociąg do wszystkich rodzajów kobiet między szesnastym a sześćdziesiątym piątym rokiem życia. Mam nadzieję, że zaliczasz ich, ile wlezie. Mnóstwo z nich leci na twój rodzaj.

– Mój rodzaj? – Prądy euforii, jakie krążyły w żyłach Golda, teraz zanikły.

– Tak – odparł Ralph.

– Co miałeś na myśli mówiąc o moim rodzaju? – spytał Gold Ralpa.

– Osoby rodzaju, do którego należysz, Bruce. A co?

– W odróżnieniu od jakich innych rodzajów, Ralph?

– Od osób rodzajów, do których ty nie należysz, Bruce. Czemu pytasz?

– Och, nieważne – burknął Gold, a potem zdecydował się pójść na całość: – Lieberman uważa cię za antysemitę.

Ralph osłupiał.

– Mnie? – Z jego głosu przebijały uraza i zdumienie. – Bruce, czułbym się po prostu okropnie, gdybym miał świadomość, że kiedykolwiek zrobiłem albo powiedziałem coś, co wywarło na tobie takie wrażenie.

Ralph mówił szczerze i Gold poczuł skruchę.

– Nic takiego nie miało miejsca, Ralph. Przepraszam, że wyciągnąłem ten temat.

– Dziękuję, Bruce. – Ralph dał się zjednać, a kiedy się uśmiechnął, jego przystojną twarz rozjaśniła szczerą ulgą. – Cóż, przepisywałem od ciebie wypracowania na Columbii. Praktycznie to ty doholowałaś mnie do egzaminu dyplomowego. A Liebermana nie uważam za specjalnie sympatycznego osobnika.

– Bo takim nie jest – roześmiał się Gold. – Znam go od dzieciństwa.

Napięcie zostało rozładowane i Ralph zmienił temat.

– Pozwól, że zaniosę teraz te notatki do Dusty, żeby je przepisała na maszynie – powiedział. – Popchnęliśmy dzisiaj sprawę spory kawałek do przodu, prawda?

Gold nie był o tym przekonany, ale jeszcze nigdy w życiu nie czuł się bardziej pewny swoich perspektyw. Spojrzał przez okno na urzędniczy Waszyngton i przez moment mignął mu tam kawałek nieba. Widok rozległej przestrzeni biurowej za otwartymi drzwiami, wypełnionej rzędami modułowych biurek drzemających leniwie pod rozproszonymi promieniami fluorescencyjnego oświetlenia, które ani razu nie mrugnęło, wydał mu się kojącą sielanką. Były tam wysokie do ramienia szklane ścianki działowe i inne gabinety, tak samo imponujące jak gabinet Ralpa. I ta podniosła krzątanka zadowolonych z życia, pod każdym względem doskonałych ludzi wykonujących swoje zawodowe obowiązki. Wszystkie kobiety były promienne i szykowne – Gold nie zauważył ani jednej z nadwagą – mężczyźni nosili marynarki i krawaty, a każda nogawka ich spodni miała idealnie zaprasowany kant. Jeśli w tym Rajskim Ogrodzie czaił się jakiś robak, to umknął uwagi Golda, który wszędzie potrafił wykryć zgniliznę i początki rozkładu. Patrząc z zewnątrz na grejpfrut, potrafił powiedzieć, czy owoc jest w środku różowy.

– Podoba ci się tutaj, co? – powiedział Ralph, czytając w jego myślach.

– Zawsze tak tu jest?

– Och, zawsze – zapewnił go Ralph. – Zawsze tak tutaj jest, kiedy jest jak teraz.

– A jak tu jest, kiedy nie jest? – Goldowi udało się zadać to pytanie bez sarkazmu.

– Kiedy co nie jest, Bruce?

– Jak teraz.

– Jest inaczej.

– A jak, Ralph?

– Rozmaicie, Bruce, chyba że jest tak samo jak teraz.

– Ralph – Gold musiał o to zapytać – czy ludzie tutaj śmieją się albo uśmiechają, kiedy mówisz w taki sposób?

– W jaki, Bruce?

– Rozmydłasz natychmiast wszystko, co powiesz, albo sam sobie zaprzeczasz.

– Naprawdę? – Ralph rozważył głęboko tę sprawę. – Może czasami mówię trochę oksymoronicznie. Chyba każdy tutaj tak mówi. Może wszyscy jesteśmy oksymoronikami. Ale raz, na pewnym spotkaniu wysokiego szczebla, powiedziałem coś, co wszyscy uznali za zabawne. „Zbudujemy kilka obozów śmierci”, zaproponowałem. I wszyscy się roześmieli. Do dzisiaj nie mogę zrozumieć dlaczego. Mówiłem całkiem poważnie.

– Chyba już pora na mnie – powiedział Gold.

– Szkoda. Rzuciłbym wszystko, byleby tylko zjeść z tobą lunch, Bruce, ale nie mogę dopuścić do sytuacji, że będę musiał jeść sam. Szkoda, że nie możesz zostać przez weekend, chociaż nie wydaje mi się, żeby zrobiło to jakąś różnicę. Alma byłaby zachwycona, gdyby mogła ci pokazać swoje terrarium, ale Ellie by się pogniewała.

– Alma?

– Moja żona.

– A co z Kelly?

– Chciałeś chyba powiedzieć: z Ellie?

– Tak?

– Postarzała się o rok, Bruce. No i miała tę cienką bliznę po cesarskim cięciu. Ellie wolałaby, żebyśmy z Alną nie zaczęli występować oficjalnie jako małżeństwo, dopóki ludzie nie dowiedzą się, że się rozwiodłem. – Kiedy wyszli z gabinetu, Ralph zwrócił się do siedzącej za biurkiem przy drzwiach blondynki: – Dusty, przekaż, proszę, Rusty i Misty, że sam odprowadzę doktora Golda do windy. Poproś też Christy, żeby wpadła do mojego gabinetu. Powiedz jej, że jestem napalony.

– Dobrze, kochanie. Baj, baj, słoneczko.

– Kto to jest Christy? – spytał Gold.

– Taka jedna lalczka. Chyba jej nie widziałeś.

– A co to było za trucie z tym doktorem Goldem? Ralph zniżył głos.

– To robi lepsze wrażenie – mruknął. – Wszyscy wiedzą, że profesorowie nie robią kokosów, za to doktorzy owszem. Oooooops – ale sztuka. Widzisz tę piękną pupcię? Bruce, pozdrów ode mnie Andreeę. Może ci się wydawać ciut pruderyjna, ale naprawdę jest pewna jak złoto. Niełatwo jej było jako jedynemu dziecku Puga Biddle'a Conovera z tymi ich wszystkimi bogactwami i koźmi. Wyobraź sobie, że oni na nich jeżdżą – dodał Ralph takim tonem, jakby opisywał jakąś niesmaczną, niezdrową praktykę. – I pozdrów też ode mnie Belle. Jak dzieci?

– Świetnie. Jedno jest jeszcze w domu.

– Współczuję – powiedział Ralph. – Pozwól, Bruce, że dam ci pewną dobrą radę. To nieoficjalna opinia Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych, przegłosowana w stosunku siedem do jednego, przy czym ten jeden członek wstrzymał się od głosu, ponieważ znajdował się w stanie głębokiej śpiączki. Kiedy uzyskasz rozwód, nie walcz o opiekę nad dziećmi ani

nawet o prawo do odwiedzin. Niech one o to zabiegają. Inaczej pomyślą, że robią ci łaskę, pozwalając spędzać ze sobą czas, choć wcale ci jej nie robią.

Zbliżyli się do windy i Gold nie mógł już dłużej poskromić swojej ciekawości.

– Ralph – spytał splatając nerwowo palce – czym ty się tutaj zajmujesz?

– Pracuję, Bruce. A co?

– Muszę mieć jakąś gwarancję, Ralph, chyba rozumiesz? Nie uważasz, że powinienem dowiedzieć się paru rzeczy, zanim zacznę coś zmieniać w moim życiu?

– Nie widzę przeszkód.

– Jakie tu zajmujesz stanowisko?

– Dobrze, Bruce.

– Co robisz?

– To, co należy do moich obowiązków.

– No a jaka konkretnie jest twoja pozycja tutaj?

– Jestem w kręgu wewnętrznym, Bruce.

– Czy to znaczy, że nie możesz o tym mówić?

– Och, nie. Mogę ci wszystko powiedzieć. Co chcesz wiedzieć?

– No więc, komu podlegasz?

– Swoim przełożonym.

– Masz jakąś władzę?

– O, tak. Wielką.

– Nad kim?

– Nad swoimi podwładnymi. Mogę robić, co chcę, jeśli tylko uzyskam na to zgodę moich przełożonych. Sam jestem sobie szefem. Prawdę powiedziawszy, mimo wszystko nie jestem sam sobie szefem.

– No tak – powiedział Gold – a jakie są moje szanse?

– Tak duże, jak powinny.

– Nie większe? – dociekał uparcie Gold.

– Nie w tej chwili.

– Kiedy mam się z tobą skontaktować?

– Jak do ciebie zadzwonię – odparł Ralph. – Pugh Biddle Conover może pomóc, póki jeszcze żyje! – krzyknął przez zasuwające się drzwi windy.

Wyobrażenia Golda skrzyła się w zjeżdżającej windzie fantazjami na temat spodziewanych zaszczytów. Sekretarz Stanu? Szef CIA? *Zaj nisz, narisz*, ostrzegął głos wewnętrzny. Gdzie ktoś taki jak ty na Sekretarza Stanu? I co w tym takiego idiotycznego? – odpowiedział mu zuchowato. Przytrafiało się to większym ode mnie *szmokom*.

Kiedy wychodził z budynku, w głowie przetrwała mu już tylko jedna dręcząca myśl. Płaszczył się.

Przed siedmioma laty, kiedy Gold był stypendystą Fundacji senatora Russella B. Longa, Andrea Conover, która jako młodszy pracownik naukowy prowadziła tam zaawansowane badania z zakresu ekonomiki rynku wewnętrznego, była dla niego za stara. Teraz, dobijając trzydziestego piątego roku życia, stawiała się w sam raz. Golda nie pociągały już bardzo młode dziewczyny. Wszyscy robili teraz wszystko ze wszystkimi, a jedynymi rekomendacjami Golda jako kochanka były wiek średni i ugruntowana reputacja drugorzędnego intelektualisty. Jemu to wystarczało. Nigdy nie lubił spadać z wysoka.

Andrea okazała się wyższa, niż ją zapamiętał. Albo to on zmałał. Zapłaciła za drinki i kolację kartą kredytową, zwracając mu się nieśmiało, że obciąży tym wydatkiem konto Komisji Nadzoru nad Wydatkami Rządu. Gold zachodził w głowę, co ona, u licha, w nim widzi. Była bez dwóch zdań najpiękniejszą, a do tego najbogatszą kobietą, z jaką kiedykolwiek łączyły go bliższe stosunki, jego pierwszą dziewczyną z wyższych sfer. Była blondynką o niebieskich oczach, małym prostym nosku, szerokim czole, jasnej cerze i nieskazitelnej skórze. Dla Golda, który wciąż jeszcze przeganiał ostatnie z trójki swoich dzieci przez katusze ortodoncji, jej wspaniałe zęby miały wymiar transcendentalnego symbolu. Figury i kondycji fizycznej można jej było tylko pozazdrościć.

– Musisz się nauczyć więcej myśleć o sobie – powiedział jej w pewnym momencie podczas kolacji i przez kilka sekund ścisnął lekko za rękę. – Jeśli sama się sobą nie zajmiesz, to kto cię w tym wyreczy? – Wynikająca ze skromności rozważa nie pozwoliła mu przypisać tej parafrazy *rabbiemu* Hillelowi.

Andrea była nieśmiała i uległa, a on nie bardzo wiedział, jak postępować z kobietą o takich cechach charakteru. Kiedy taksówka zatrzymała się pod jej kondominium, spytał, czy nie zaprosi go na drinka. Zgodziła się z wyraźną ulgą, wdzięczna mu chyba za ten zamykający ruch. Apartament był za duży na jedną osobę, nawet tak wysoką jak ona, a nieoczekiwany ład, jaki w nim panował, sugerował codzienne zabiegi sprawnej sprzątaczkii. Urządzony był okropnie, wszystkie sprzęty były zbyt duże.

– Zostawiłam tu wszystko tak, jak było, kiedy kupowałam to mieszkanie – wyjaśniła. Gold rad przyjął to jej wyjaśnienie.

Przyniówszy mu koniak usiadła obok niego na sofie, co uznał za dobrą wróżbę.

– Przez cały ten rok, kiedy pracowaliśmy razem w Fundacji senatora Russella B. Longa – zaczęła z pewną nieśmiałością, sącząc wódkę – myślałam, że pan mnie nie lubi.

– Naprawdę? – zachnął się Gold. – Zawsze cię lubiłem. Myślałem, że to ty mnie nie lubisz.

– Zawsze pana lubiłam.

– Powinnaś dać mi to jakoś do zrozumienia.

– Myślałam, że pan mnie nienawidzi. Odnosiłam wrażenie, że nawet mnie pan nie zauważa.

– Och, przestań.

– Naprawdę, doktorze Gold...

– Mów mi Bruce – wpadł jej w słowo. Zarumieniła się.

– Nie wiem, czy potrafię.

– Spróbuj.

– Bruce.

– No widzisz? – roześmiał się.

– Jesteś taki bezpośredni.

– Dlaczego myślałaś, że cię nienawidzę?

– Bo wiedziałeś, że ciebie lubię – odparła.

– Nie wiedziałem, że mnie lubisz – powiedział. – Myślałem, że mnie nienawidzisz.

Była lekko podenerwowana, jakby knuła coś paskudnego.

– Dlaczego miałabym cię nienawidzić?

– Nie wiem – przyznał Gold i przyłapał się na tym, że jego ręce wykonują niespokojne ruchy. – Miałem tak mało do zaoferowania takiej wyjątkowej dziewczynie jak ty, tak wrażliwej i inteligentnej, a do tego z doktoratem.

– To by mnie wcale nie zraziło. Byłam tobą tak zafascynowana. Zresztą wszyscy byli. Byłeś zawsze taki bystry, dominujący i seksowny.

– Seksowny? – Gold zrobił wielkie oczy.

– Oczywiście. Wszystkie dziewczyny tak uważały.

– Czy nadal – spytał Gold – masz mnie za seksownego?

– Och, tak. – Znowu oblała się rumieńcem.

Gold stracił koncept. Roześmiał się głośno, żeby jakoś to pokryć, i trącił ją lekko w ramię, jak kumpel kumpla, a potem musnął grzbietami palców jej policzek, niby w nierozmyślnym geście wynikającym z krotochwilnego niedowierzania. Jej reakcja zaskoczyła go. Zamiast zeszywnieć albo się odsunąć, czego się mniej lub bardziej spodziewał, przylgnęła policzkiem do jego dłoni i zaczęła się coraz bardziej do niego przysuwać. Nim się obejrzał, już się całowali. Wychlapując sobie brandy na kolana, odstawił na oślep kieliszek i wziął ją w ramiona. Czując napór jej palców na potylicę. Nie miał praktyki w postępowaniu z takimi jak ona dziewczynami i znowu stracił koncept. Zaczął błądzić ustami po jej uchu i szyi, niby to w łapczywym poszukiwaniu stref erogennych. Wiedział z doświadczenia, że to zwyczajna strata czasu. Strefy erogenne znajdowały się albo wszędzie, albo nigdzie, i o tym też zamierzał napisać pewnego dnia, kiedy jego wiedza na ten temat nie będzie już mogła zgorszyć Belle ani Diny. Zreflektował się, że błądzi myślami i z poczuciem winy z powrotem skupił uwagę na Andrei. Przyciągnął ją do siebie mocniej, żeby wynagrodzić dziewczynie stracone przez swoją dekoncentrację chwile, i zasymulował zdyszana krótkość oddechu. Postępując cicho, jął obsypywać pocałunkami jej oczy i czekał, aż coś się wydarzy. Ręka Andrei opadła mu na podolek i chwyciła za penis. Wtedy już wiedział, że dobrze to rozegrał.

Obudził się zakochany, z rozbudzoną wiarą w cuda. Andrei zdawała się nie przeszkadzać jego zapadnięta klatka piersiowa ani chude, obficie owłosione nogi i ręce. Wziął prysznic i okrywając nagość jedynie fantazyjnie związanym w taliu żółtym ręcznikiem zabrał się do parzenia kawy, a Andrea wkroiła tymczasem plasterki przejrzałego banana do płatków śniadaniowych. Za jego podpowiedzią dodała też do nich rodzynek. Postanowił sobie, że kiedy przyjedzie tu następnym razem, przywiezie jej młynek do kawy, funt swojej ulubionej mieszanki ziaren kawowych oraz francuską ceramiczną maszynkę do parzenia kawy. Kiedy musiał, potrafił zakrzętnąć się w kuchni. Przyrzędzi Andrei irlandzką owsiankę na spróbowanie. Po śniadaniu zaczął się powoli ubierać.

– Chcesz się jeszcze ze mną spotkać? – spytała od swojej toaletki.

– Naturalnie – odparł.

– Mnóstwo mężczyzn nie chce.

– Mnóstwo mężczyzn? – Gold, siedzący na krawędzi jej łóżka, zastygł ze skarpetką wciągniętą do połowy kostki.

Skinęła głową i lekko się zarumieniła.

– Nie pomyśl sobie, że wielu ich tu przychodzi. Ale umawiam się na mieście z mnóstwem takich, którzy na pożegnanie mówią, że zadzwonią, i nigdy tego nie robią.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Naprawdę chcesz się jeszcze ze mną spotkać? Zrozumiem, jeśli powiesz, że nie.

– Planuję wrócić do Waszyngtonu w przyszłym tygodniu.

– Mógłbyś zatrzymać się tutaj, u mnie – powiedziała. – Nie będę miała miesiączki.

– Miałem nadzieję, że mi to zaproponujesz. Ona była zadowolona. On zaintrygowany.

– Tak się cieszę, że mnie lubisz – wyznała. – Dobra byłam?

– Nie wolno ci nigdy o to pytać – poinstruował ją. Prawdę mówiąc, wcale nie była dobra, ale Gold był o wiele za przebiegły, by ją teraz do siebie zrażać. – I chyba się w tobie zakochałem.

Golda wciąż na nowo zdumiewało, ile oszałamiająco wysokich kobiet zakochiwało się w takich jak on niskich, chciwych, egoistycznych i wyrachowanych facetach. Andrea mogła go nie podejrzewać o chciwość i wyrachowanie, z pewnością jednak zauważyła, że jest niższy. Wyjaśnienia tego fenomenu, które się w pierwszej chwili nasuwały, bez wątpienia nie świadczyły najlepiej ani o niej, ani o nim. Czy to możliwe, by ktoś tak samokrytyczny jak on miał cechy pociągające płęć przeciwną, z których nie zdawał sobie sprawy? Na to jednak wychodziło, bo Andrea nago była tak wspaniała, jak to sobie wyobrażał, i zdawała się go adorować.

W świetle poranka jej oczy były lawendowe. Nogi miała długie i proste, biodra wąskie, a złotawy odcień jej delikatnego ciała zdaniem Golda pięknie kontrastował z jego smaglejszą karnacją. Zachwycała się jego ciemniejszym odcieniem skóry i była oczarowana włosami porastającymi mu tors. Patrzył z taksującą nonszalancją, jak wkłada przez głowę sukienkę w gustowny deseń i potrząsa włosami. Fakt, że była bogata, dodawał erotyzmu donkiszotowskiej namiętności, jaką w nim wzbudzała. Nic nie dorówna szpetotą stopie, pisał Ernest Becker w „Zaprzeczeniu śmierci”, przypomniał sobie Gold, ale jej stopy, czy to bosc, czy obute, wydawały mu się tak samo doskonałe jak jego własne.

– Za młodu – zaczęła wspominać na głos, zapinając cieniutki złoty naszyjnik – chciałem zostać modelką. Chyba dotąd mi to nie przeszło. Nie taką od prezentowania strojów. Seksmodelką. – Przystąpiła do oszczędnego nakładania makijażu na usta i powieki. – Chciałem być fotomodelką i pozować do zdjęć w magazynach, najlepiej nago. Potem, kiedy zaczęły się ukazywać te wszystkie obsceniczne gazety i czasopisma, chciałem zostać pornomodelką albo grać w świńskich filmach. Siadywałem godzinami przed lustrem i ćwiczyłem robienie lodu. Niby to przed obiektywem aparatu. Jak te modelki z reklam kosmetyków. Byłem w tym chyba całkiem dobra. Chciałbyś zobaczyć?

– Muszę wracać do Nowego Jorku – powiedział Gold z największą stanowczością, na jaką potrafił się zdobyć.

– To tylko drobny ruch ustami.

– O pierwszej zaczynam zajęcia na uczelni.

– To zajmie tylko parę sekund, głuptasku – powiedziała Andrea i wykonała drobny ruch ustami na cylinderku bladej szminki. – Nieźle, prawda?

– Owszem – mruknął Gold. – Niczego sobie.

– Byłem w dzieciństwie straszną ciamajdą, jedynaczką Pugh'a Biddle'a Conovera – ciągnęła Andrea. – Niczego nie wiedziałam, dopóki nie odeszłam z domu. Musiałam skończyć dwie szkoły dobrych manier, zanim byłam gotowa do rozpoczęcia nauki w college'u, a potem zmieniałam college trzy razy pod rząd. U Smitha inne dziewczyny gadały cały czas o seksie, a ja nic z tego nie rozumiałam. Pamiętam, że w żaden sposób nie mogłam pojąć, dlaczego każda z nich chce ssać koguta.

Gold znieruchomiał. Przez te niecałe dwa dni pobytu w Waszyngtonie nauczył się reagować tępym osłupieniem na liczne dziwaczne niespodzianki, które, jak przypuszczał, będą mu się zdarzały coraz częściej.

– Rozumiem, jak to może namieszać w głowie komuś, kto nie wie, o co chodzi – mruknął. Poprawił drugą skarpetkę i wzuł buty.

– Kiedy w końcu doszłam w czym rzecz – podjęła Andrea – zasmakowałam w tym jak kaczką w wodzie. Tego lata pojechałam do posiadłości tatusia na basen z moim nowym adoratorem i wtedy stało się coś dziwnego. Ścierałam sobie pumeksem stwardnienia z pięt, a

on nagle wstał i powiedział, że nigdy więcej nie chce mnie widzieć, i odjechał nie zabierając nawet swoich rzeczy i nie żegnając się z tatusiem. Potrafisz mi wytłumaczyć dlaczego?

Gold podszedł od tyłu i pogładził ją po ramionach.

– Czy on był blisko, kiedy ścierałaś te zgrubienia?

– Siedzieliśmy razem nad basenem.

– Czy to słychać?

– Jakbyś szorował papierem ściernym.

– Nie wiem, czy nie zachowałbym się tak samo.

– Nie mam jakoś wycucia w takich sprawach.

– Nauczę cię.

Andrea przycisnęła z uniesieniem jego dłoń do ust. Goldowi przemknęło przez myśl, że nie jest chyba całkiem normalna.

– Niezadługo – powiedziała – jeśli wciąż będziesz chciał się jeszcze ze mną spotykać...

– Będę się z tobą spotykał.

– A chciałbyś odwiedzić w któryś weekend mojego tatusia, zanim umrze? To naprawdę urocza posiadłość.

– Na co jest chory twój ojciec?

– Nie chce powiedzieć. Sześć lat temu kupił sobie elektryczny fotel na kółkach i od tamtego czasu z niego nie wstaje. W każdy weekend zjeżdżają do niego tłumy ludzi, żeby pojeździć konno i postrzelać.

– Postrzelać?

– Do przepiórek i bażantów. Czasami do królików i jeleni.

– Do ludzi nie?

– Jeszcze się to dotąd nie zdarzyło. Myślę, że polubisz mojego ojca.

– Ja ci oszczędzę wizyt u mojego – mruknął Gold.

Nikt z naszej rodziny – oznajmił tego wieczoru ojciec Golda z najwygodniejszego fotela w living-roomie Golda – nigdy się nie rozwiódł.

– Dlaczego? – spytała Dina.

– Nie pozwalałem im, ot dlaczego – odparł stary. – Goldowie się nie rozwodzą. Czasami umieramy, ale żadnych rozwodów.

– Czy wy z mamusią myśleliście kiedyś o rozwodzie? – zwróciła się Dina do Golda.

– Po moim trupie – wtrącił ojciec Golda.

– Wolelibyśmy umrzeć – dorzucił oschle Gold, przenosząc przekrwione z niewyspania oczy to na ojca, to na Dinę.

Po tak wspianym początku tego dnia krzywa nastroju Golda opadała systematycznie, by wreszcie dotknąć dna, kiedy okazało się, że będzie miał przy kolacji towarzystwo. Rose z Maxem przyjechali do miasta z powodu guza, który zrobił się Rose na piersi i który po dokładnym zbadaniu okazał się, dzięki Bogu, nieszkodliwą cystą. Belle, która poszła wraz z nimi do onkologa poleconego przez Murshiego Weinrocka, zaprosiła ich po wizycie do siebie. Później dojechał Irv z resztą. Goldowi puszczały nerwy. Musiał jeszcze dzisiaj popracować.

– Kiedy zaczynasz w Waszyngtonie? – spytał ojciec.

– Jadę tam jeszcze raz w przyszłym tygodniu. Wtedy się dowiem.

– Tak myślałem – zaszydził z satysfakcją Julius Gold. – Jaką posadę ci proponują, Żydzie?

– Admirala.

– No to mnie by zrobili od razu komodorem – odparował stary – bo ile ty się tam w porównaniu ze mną nażeglowałeś!

– A ty ile?

– Ja przypląnałem statkiem z Antwerpii, z samej Rosji, kiedy uciekaliśmy z Sidem i Rose od tego cara Mikołaja. A ty?

– Niech ci będzie, komodorze – westchnął z wymuszonym uśmiechem Gold. – Mógłbyś dzisiaj trochę pomilczeć? Wszyscy jesteśmy zmęczeni.

– On długo pomilczy – powiedziała macocha Golda. Ojciec Golda uniósł się do połowy z fotela, krzywiąc twarz tak, że zbiegła mu się niemal do punktu.

– Co to miało znaczyć? – zapytał groźnie.

– Bo w mojej rodzinie w Richmond – podjęła macocha Golda, pochylając nad swoją robótką głowę w wielkim, różowym wełnianym berecie w kratę, którego nie zdjęła nawet do posiłku i w którym wyglądała na szerszą niż zwykle – kiedy któreś dziecko kazało któremuś z rodziców milczeć albo siedzieć spokojnie, to ten rodzic, przeważnie matka, odpowiadał: „Długo pomilczę”, mając oczywiście na myśli, że wkrótce umrze i nie będzie się więcej odzywać.

Minęła chwila skonsternowanego milczenia, zanim ojciec znowu warknął:

– Ale ja nie jestem matką. I nie wybieram się w najbliższym czasie na tamten świat. A więc zamilcz, jeśli łaska.

– Ona długo pomilczy – wtrąciła Dina.

– Dziękuję ci, dziecko.

Ojciec Golda odwrócił się od swojej drugiej żony z wyrazem głębokiej urazy na twarzy i zwrócił się do Golda:

– W niedzielę przyjdiesz do domu na lunch. Sid też.

– W ten weekend nie mogę, – Gold pokręcił głową. – Muszę poprawić prace studentów i dokończyć artykuł.

– Znowu jakiś artykuł.

– Znowu klepka się luzuje – mruknęła macocha. Gold najchętniej by ją zabił.

Irv uśmiechnął się, podobnie jak reszta obecnych.

– O czym?

– O edukacji.

– Jesteś za, czy przeciw? – spytał ojciec.

– Przeciw.

– Nareszcie zmądrzałeś. To był już ostatni dzwonek. Niewiele ci dała. Przyjdź w następną niedzielę. Mam parę pytań w związku z powrotem na Florydę. – Rozejrzał się rozdrażniony po pokoju i zapytał: – Dlaczego nie ma tu Sida?

– Może nie został zaproszony.

– Dlaczego nie został zaproszony?

– Może nas o to nie prosiłeś.

– To muszę prosić?

– Zaprosiłam ich – powiedziała Belle. – Ale byli już zaproszeni gdzie indziej.

Stary z żalem przyjął tę informację do wiadomości. Rose ziewała i Max mruknął, że pora już na nich.

– Nie tak szybko – zaproponował stary. – Dziś wieczorem występuje w telewizji paru nieżyjących *fajgelechów*, na których chcę popatrzeć.

Irv przysiągł, że zdąży go odwiedzić na czas do domu.

Gold wpadł do gabinetu, zanim za ostatnim gościem zamknęły się drzwi, i zaczął oddzielać prace studentów do sprawdzenia od swoich prywatnych notatek, szacując jednocześnie na chłodno wstrząs, jaki wywoła w rodzinie rozwód, do którego się przymierzał. Belle da sobie radę. Ojciec się obrazi, Sid wzruszy ramionami, siostry będą biadoliły. Macocha może się powiesić. Dzieci mogą mu nadmuchać – niech się o nie martwią terapeutyci. Chłopcy to jeszcze małe piwo, zwłaszcza że obaj byli teraz poza domem. Ale Dina to diablica, zgryz, bez którego mógłby się z powodzeniem obejść, pomyślał w momencie, kiedy jego dwunastoletnia córka wkroczyła do pokoju i powiedziała:

– Mama jest jakaś skwaszona, prawda?

– Nie zauważyłem. – Gold nie podniósł wzroku.

– Nie zalewaj – burknęła Dina. – Nie chce, żebyś jechał do Waszyngtonu, tak?

– Dam ci znać, kiedy się dowiem.

– Trujesz, tato. Posłuchaj, na przyszłość lepiej się, kurczę, zastanów, co wypisujesz w tych swoich artykułach. Te pierdoły o wychowywaniu dzieci, które wydrukowali ci w zeszłym roku w *Ladies' Home Journal*, narobiły mi niezłego obciachu.

– To miał być żart.

– Nikt go nie skumał.

– Ten skumają.

– Jaki ma tytuł?

– „Edukacja i prawda, czyli prawda w edukacji”.

– Nie kumam.

– Idź na spacer.

– Po co każesz mi chodzić do budy, skoro nie wierzysz w edukację?

– Żeby się ciebie pozbyć z domu.

– Sama najchętniej wyniosłabym się z tego domu i już nie wróciła. Wyobraź sobie, że życie pod jednym dachem z tobą i mamą wcale nie jest usłane różami.

– Przysiądź przez rok fałdów i postaraj się o dobre stopnie – zaproponował jej chytrze Gold – a upchnę cię w jakiejś szkole z internatem albo załatwię stypendium. Mogę nawet pisać za ciebie wypracowania.

Dina pokręciła głową.

– Nie da rady. Nie jestem jeszcze gotowa do tego całego smarkatego seksu. Zresztą widziałam, jaki numer wykręciłeś moim braciszkom, gdy tylko wyszli za próg. Przerobiłeś ich sypialnie na gabinet i bibliotekę.

– Zawsze znajduje się dla nich jakiś kąt, kiedy przyjeżdżają do domu.

– Tak, na podłodze. Mnie nie pozbędziesz się tak szybko. Powiedziałam synalkowi Liebermana, że będziesz pracował w Waszyngtonie.

Gold uśmiechnął się wyczekująco.

– I co on na to?

– Powiedziałam mu, że Prezydent proponuje ci pracę burmistrza albo gubernatora.

Gold cisnął ołówkiem o podłogę.

– Jezu Chryste! Czy oni niczego was nie uczą w tej zawszonej szkole, do której cię posyłam?

– Próbują – przyznała filozoficznie Dina. – Ale jestem dla nich za cwana. Słuchaj, tato, ostrzegam cię: jeszcze raz mlaśniesz coś o mnie w jakimś artykule, i masz przechlapane.

Akapit otwierający artykuł o edukacji Gold machnął w samolocie, którym wracał z Waszyngtonu, a pierwszy szkic całości ukończył jeszcze tego samego dnia na popołudniowych zajęciach ze swoją grupą, podczas których pisał, zamiast uczyć. Miał teraz za to stos zeszytów z pracami studentów, na których przeczytanie będzie musiał jakoś wygospodarować czas. Zgryźliwy i wiecznie zabiegany, oto jak określiliby Gold sam siebie swojemu biografowi, gdyby go kiedyś miał. Dokładnie w takim stanie fizycznym i psychicznym wysiadał z taksówki, którą dotarł do college'u późnym rankiem prosto z lotniska. Wspomnienie miłosnych igraszek z Andream wydawało się już należeć do zamierzchłej przeszłości.

Był nie ogolony i nie przygotowany. Omal nie wyrzucił niechcący całej adresowanej do siebie poczty i odpowiedział gburowatym skinieniem głowy na pozdrowienia kolegów zdumionych jego wyglądem.

Nigdy nie spędzał w kampusie uniwersyteckim więcej czasu, niż to było konieczne, i nigdy nie przychodził na zebrania wydziału. Wywiesił na tablicy rozkład swoich godzin przyjęć, ale wcale się go nie trzymał. Zastrzegł sobie, że przyjmuje tylko umówionych wcześniej studentów, i nigdy się z żadnym nie umówił. Jego ulubieńcami byli ci, którzy jeszcze przed rozpoczęciem semestru rezygnowali z prowadzonych przez niego zajęć. Największą niechęcią pałał do tych, którzy regularnie uczęszczali na zajęcia i w terminie oddawali prace okresowe. Ich postępy w nauce wisały mu tak samo jak rola, którą miał wobec nich do spełnienia. Wszedł do sali spóźniony o pięć minut i, ku konsternacji wszystkich, rozdał zeszyty do sprawdzianów.

– Dzisiaj – zaczął bez wstępów – zrobimy sobie jeden z tych nie zapowiadanych sprawdzianów, o których być może wspomniałem. Napiszecie esej będący odpowiedzią na pytanie, które sprowokuje was do dyskusji na temat kluczowych wniosków wpływających z tego, co do tej pory przerobiliśmy.

– Jak brzmi to pytanie? – zapytała jakaś dziewczyna z pierwszej ławki.

– Sami je sobie wymyślcie. Będziecie oceniani na podstawie zarówno celności skonstruowanego przez siebie pytania, jak i obszerności odpowiedzi – odparł Gold.

Wypakował swoją dyplomatkę. Spoczywał tam jeszcze ściśnięty recepturką plik zeszytów do sprawdzianów innej grupy. Eseje, przypomniał sobie ze skurczem serca, eseje na temat psychologii socjologii we współczesnej literaturze amerykańskiej oraz socjologii psychologii w dziewiętnaste- i dwudziestowiecznych powieściach angielskich. Autorami byli słuchacze cyklu wykładów, który wymyślił tylko po to, by podstępnie przywabić do literatury studentów psychologii i socjologii, podsuwając im całkowicie błędne założenie, że bez większego nakładu pracy i czasu opanują wszystkie trzy dyscypliny wiedzy za jednym

zamachem. Teraz, uświadomił sobie z rezygnacją, dojdzie mu jeszcze do przemienienia ta dzisiejsza partia zeszytów do sprawdzianów. Nie mając nic lepszego do roboty, przeczytał ponownie akapit otwierający jego artykuł o edukacji i prawdzie, nagryzmołony w notatniku podczas lotu samolotem, i oczarowany celnością myśli oraz doborem słowa, z entuzjazmem chwycił ponownie za pióro. Szło mu jak z nut. Miał już przejść do podsumowującej części artykułu, kiedy wybił go z transu student, który skończył jako pierwszy – błądy, tyczkowaty młodzieniec w plecionej mycce we wzorek układający się w koncentryczne kręgi.

– Panie Epstein! – zawołał cicho Gold, kiedy chłopak mijał go na palcach.

– Słucham?

– Jaką szkołę średnią pan kończył? – Rozmawiali półgłosem.

– Herclia Jesziwa.

– Ach, tak. Znam ją dobrze. To w Brighton, prawda?

– Nie, proszę pana. W Borough Park.

– Słyszał pan kiedy o święcie, które nazywa się Szemini Aceret?

– Słyszałem, proszę pana. Przypada zaraz po Jom Kipur. Gold mlasnął rozczarowany językiem.

– A Szabos Berejszes?

– To było w zeszłym tygodniu. Tylko że to nie święto, lecz dzień kalendarzowy, profesorze Gold.

– Chciałbym pana o coś prosić, panie Epstein. Niech mi pan sporządzi wykaz wszystkich żydowskich świąt i dni kalendarzowych, jakie przypadają jeszcze w tym roku. Może wkrótce odwdzięczę się panu jakoś za tę przysługę.

– Dobrze, profesorze Gold, zrobię to z miłą chęcią. Mam nadzieję, że nie obrazi się pan, jeśli powiem, że jestem bardzo rozczarowany tym cyklem wykładów.

Gold westchnął ze zrozumieniem.

– Ja również. Na co się pan uskarża?

– Nazywa się to „Monarchia i monoteizm w literaturze od średniowiecza do czasów współczesnych”.

– No i?

– Ale mnie wychodzi, że to cykl wykładów na temat historycznych sztuk Szekspira.

– Wkrótce przechodzimy do jego najlepszych tragedii – odparł serdecznie Gold. – Przerobimy je wszystkie, prócz „Otella” i sztuk rzymskich. W „Otellu” nie występuje, niestety, żaden monarcha. Poza tym Rzymianie nie byli monoteistyczni.

– A więc charakterystyka tego cyklu wykładów zamieszczona w katalogu college'u wprowadza w błąd.

– Wiem – odparł Gold. – Sam ją pisałem.

– Czy to w porządku?

– Nie. Ale cel uświęca środki. Jesteśmy tu zdania, że każdy, kto interesuje się literaturą, powinien przerobić Szekspira, a wiemy, że niewielu studentów dałoby się na to namówić, gdybyśmy nie nazwali tego jakoś inaczej.

– Ale mnie nie interesuje literatura. Mnie interesuje Bóg. Wybrałem sobie anglistykę na przedmiot kierunkowy, bo Wydział Anglistyki ma w ofercie wiele cykli wykładów z zakresu teologii i religijnych doświadczeń wizjonerskich.

– Wprowadzono pana w błąd – stwierdził Gold. – Gdybym to ja był pana opiekunem naukowym, ostrzegłbym pana zawczasu.

– Pan jest moim opiekunem naukowym – powiedział chłopak – ale nigdy pana nie ma w pańskim pokoju.

Gold odwrócił wzrok.

– Ale jestem zawsze na zajęciach. Jeśli pan chce, dam panu zgodę na rezygnację z tego kursu.

– Mam się przenieść na Wydział Religioznawstwa?
– Nie, niech pan tam nie idzie. Tam ślęczałby pan nad Miltonem i Homerem. Jeśli interesuje pana Bóg, niech pan spróbuje na Psychologii. Zdaje mi się, że uczepili się tam teraz religii.

– A gdzie prowadzone są wykłady z psychologii?

– Na Wydziale Antropologii. Zresztą i tak niedługo wszystko zostanie podciągnięte pod Studia Miejskie, więc najlepiej będzie, jeśli wybierze pan sobie właśnie ten kierunek. Ale niech się pan pośpieszy. Bo za rok czy dwa może się pan tam nadziać na mnie i będzie pan musiał od początku czytać sztuki historyczne Szekspira.

Gold modlił się w duchu, żeby student Epstein zrezygnował z tego cyklu wykładów, zanim on będzie zmuszony przeczytać jego esej.

Modlił się również o jakąś ciepłą katedrę na Wydziale Studiów Miejskich, gdzie jego pensja uległaby podwojeniu, natomiast spadłoby o połowę obciążenie pracą dydaktyczną. Nie miał większych wątpliwości, że powiedzie mu się w Waszyngtonie, jeśli tylko dana mu będzie szansa, ponieważ był mistrzem dyplomacji i intrygi pałacowej. Na swoim wydziale cieszył się opinią najwybitniejszego stratega w trwającej obecnie wojnie na noże o przyciągnięcie studentów z innych kierunków uczelni na Wydział Sztuk Wyzwolonych oraz studentów Wydziału Sztuk Wyzwolonych i innych kierunków uczelni na Wydział Anglistyki. Był autorem najbardziej wabiących tytułów i charakterystyk kursów w katalogu college'u i nikt nie odnosił większych niż on sukcesów, jeśli chodzi o powoływanie do życia nowych, cieszących się wielkim wzięciem cykli wykładów. Był architektem nielegalnej i tajnej polityki odprężenia, która dawała wykładowcom Wydziału Germanistyki prawo prowadzenia dokszałcających zajęć z angielskiego dla studentów z Trzeciego Świata w zamian za głosy w krytycznych kwestiach na zebraniach rad wydziałów. W wyniku tego układu ledwie zipały Italianistyka i Iberystyka, Filologia Klasyczna świeciła pustkami, Romanistyka znalazła się w izolacji, Rusycystyka chyliła się ku upadkowi, a w jej ślady szły Historia, Ekonomia i Filozofia. Sinologia skurczyła się do rozmiaru skwarki na patelni; powodzeniem cieszyły się tam tylko cykle wykładów z tajników kuchni chińskiej. W wyniku błyskotliwego manewru taktycznego Golda Instytut Literatury Porównawczej został odcięty od tłumaczonych tekstów, podczas gdy on sam i jego Wydział Anglistyki mogli do woli zalewać kontynent takimi perełkami radosnej twórczości, jak „Dante, piekło, ogień a Faulkner”, „Poprzez piekło i przyływ z Hemingwayem, Hessem, Hume'em, Hobbesem, hinduizmem i innymi: na skróty do Indii”, „Blake i Spinoza a współczesna pornografia amerykańska w filmie i literaturze”, „Seks na świecie i w literaturze amerykańskiej” czy „Rola kobiet, czarnych i narkotyków w seksie i religii na świecie oraz w amerykańskim filmie i literaturze”. Dzięki kampanii Golda istniała teraz możliwość, by student, spędziwszy całe cztery lata studiów na oglądaniu zagranicznych filmów w zaciemnionej sali, nie wystawiany ani przez moment na promienie innego światła niż to z kinowego projektora, robił dyplom jako słuchacz anglistyki. W wyniku tych innowacji anglistyka była teraz jednym z niewielu wydziałów pękających w szwach i cierpiących na wyraźny niedostatek wykładowców, którą to lukę zapełniali częściowo profesorowie niemieckiego z Wydziału Germanistyki, podciągający w angielskim studentów z Hongkongu i Puerto Rico. Gold, który zawarł ten pakt ze szwabami, zyskał sobie wysokie uznanie w oczach swoich przełożonych.

Chodził teraz milczący i zatopiony w mizantropijnym rozpamiętywaniu satysfakcji, jaką sprawiły mu te dokonania. O pracę mógł być spokojny. Koledzy darzyli go szacunkiem, lecz jemu się to nie podobało. Wkrótce umowa o pracę zostanie mu przedłużona na następną kadencję, a on tego wcale nie chciał. Lepiej by się czuł na wolności. Na terenie college'u stosował tę samą taktykę, co wobec swojej rodziny: jeśli się nie odzywał, krewni zakładali, że myśli; jeśli nie zjawiał się na zebraniach kadry dydaktycznej wydziału, przyjmowano, że widocznie ma akurat ważniejsze sprawy na głowie. Z inicjatywy i pod kierunkiem Golda

Wydział Anglistyki, niczym żerujący bezustannie na ślepo pantofelek, wchłaniał niezauważalnie coraz to więcej i więcej kierunków Programu Studiów Miejskich, poszerzając swoją nową serię wykładów, występującą pod wymyślonym przez Golda wspólnym kryptonimem „Współczesna amerykańska realistyczna literatura problemowa miasta”.

On sam nie miał jeszcze pojęcia, co będzie przedmiotem Studiów Miejskich. Ale wiedział, że poradzi sobie z tym syfem tak samo dobrze, jak każdy inny.

Gold, który w samolotach pozostawał z zasady głuchy na zabiegi konwersacyjne podejmowane przez współpasażerów, czyniąc jedyny wyjątek dla atrakcyjnych kobiet, natychmiast po zajęciu miejsca w wahadłowcu, odstawiającym go tego ranka z powrotem do Nowego Jorku, z jastrzębią żarłocznością rzucił się na swojego *New York Timesa*. Zadzwoił do Andrei z lotniska w Waszyngtonie i wiedział z góry, że z nowojorskiej La Guardii zadzwoni znowu z zapewnieniem, że wciąż za nią tęskni. Szybko przewertował gazetę, szukając jednego z tych ważnych jej działów, które najbardziej go interesowały, a mianowicie kroniki towarzyskiej. Pod jego nieobecność życie w mieście rwało wartkim nurtem. Przeczytał:

„Żyć, nie umierać – opowiadała z przejęciem Jan Chipman swojej siostrze Buffy Cafritz w ścisku panującym na bankiecie. – Nigdy bym nie uwierzyła, że mój małżonek będzie obserwował pokaz mody siedząc na podłodze”.

Gold też nie wierzył. Paznokciami wyszarpał ten akapit ze strony i skrupulatnie, jak konduktor europejskiego autobusu wydający resztę, umieścił strzępiastą wydzierankę pomiędzy kartkami notesu. Być może wykorzysta to w swojej książce o Żydach. Potem przypomniał mu się fragment wiadomości politycznej z pierwszej strony, wrócił więc do początku gazety, żeby go przeczytać.

Dziś rano w Indianapolis Prezydent odpierał zarzut, jakoby był słabym prezydentem, który pozwala sobą pomiatać. „Ludzie, którzy mieszkają w szklanych domach, nie powinni rzucać kamieniami”, ripostował na konferencji prasowej.

Gold wydarł i ten kawałek. Bez wątpienia Prezydent go potrzebował. Z działu finansowego dowiedział się, że warunki do robienia interesów są, jakie były, a prawdy wolnego rynku pozostają zawsze niepodważalne, ale kluczową sentencję musiał przeczytać po raz drugi, żeby się upewnić, czy dobrze zrozumiał:

Obecnie część analityków uważa, że Bank Rezerw Federalnych usztywnił swoje politykę kredytową, by przeciwdziałać rosnącemu niebezpieczeństwu wzrostu gospodarczego.

W dziale edukacyjnym gazeta donosiła o 55-procentowym wzroście przestępczości w szkołach:

Tej jesieni wzrosła drastycznie liczba zgłaszanych przestępstw i aktów przemocy, do jakich dochodzi w szkołach miejskich, włączając w to napaści na nauczycieli. Mamy więc do czynienia z kontynuacją zdecydowanej tendencji wzrostowej liczby przestępstw, jaka utrzymywała się przez cały poprzedni, zakończony w czerwcu rok szkolny.

Zainspirowanemu tym Goldowi wpadł nagle do głowy pomysł na błyskotliwy początek swojej „Edukacji i prawdy, czyli prawdy w edukacji”. Napisał:

Edukacja to trzeci z największych żywiołów, jakie przysparzają ludziom cierpień na tym ziemskim padole. Pierwszym jest, oczywiście, samo życie.

Tutaj się zaciął. Nie miał pojęcia, czym mógłby być drugi żywioł. Natrętnie napraszała się śmierć. Śmierć po życiu była albo czymś bardzo dobrym, albo czymś bardzo złym. Można to było różnie interpretować i wstawienie śmierci mogło mu zostać poczytane za efekt głębokich przemyśleń.

Postanowił zaryzykować. Był na dobrej drodze do napisania kolejnego gawędziarskiego kawałka, który kto wie czy nie przysporzy mu większego tłumu wielbicieli niż wszystkie dotychczasowe razem wzięte. Przymknął oczy i uśmiechnął się błogo. Jeszcze ani razu nie zaproszono go na pokaz mody. Wkrótce to się zmieni. Ciekaw był, czy poprzedniego wieczoru panu Chipmanowi wygodnie się siedziało na podłodze i czy ma ochotę na powtórkę. Żałował, że reporter nie odnotował, co Buffy Cafritz odpowiedziała siostrze, i że ta odpowiedź została prawdopodobnie na zawsze stracona. Był dobry w snach na jawie, więc oddał się kontemplacji, wyobrażając sobie, jak to będzie, kiedy zacznie pracować z Ralphem dla Prezydenta, poślubi Andreę, zamieszka w jej apartamencie w Waszyngtonie, będzie dupczył jej bogatsze i jeszcze atrakcyjniejsze przyjaciółki, pełniąc państwową służbę w Prezydenckiej Komisji do spraw Edukacji i piastując stanowisko przepłacanego profesora Studiów Miejskich. Żyć, nie umierać.

Edukacja i prawda, czyli prawda w edukacji

„Kapitalne!” – takim komplementem Andrea Biddle Conover nagrodziła „Edukację i prawdę, czyli prawdę w edukacji” Golda. Dorzuciła do tego jeszcze „żywiolowe” i „autentyczne”, i Gold wycenił jej entuzjastyczną reakcję jako kapitalną, żywiolową i autentyczną. Pokazywanie nowego tekstu komukolwiek poza wydawcami nie leżało w zwyczaju Golda, nigdy jednak nie był w intymnych stosunkach z kobietą o tak oszałamiających przymiotach i referencjach akademickich przewyższających nawet jego własne: ukończony college Smitha, magisterium z Yale, doktorat z Harvardu oraz roczny pobyt w angielskim Cambridge University, gdzie wykładała ekonomikę rynku wewnętrznego, w której się specjalizowała.

Podczas swojej drugiej miłosnej schadzki w Waszyngtonie Gold stwierdził, że biały aksamitny szlafrok Andrei Biddle Conover jest na niego za obszerny. Obfite rękawy mógł sobie od biedy podwinąć nad pajęczne dłonie i chude przedramiona, ale zdradliwie długie fałdziste poły pałętały mu się między nogami i wlokły za nim po ziemi niesfornym trenem. Poza tym spokój ducha odbierała mu świadomość, że w obecnej sytuacji nie wygospodaruje tyle pieniędzy ani czasu, by odwiedzać Waszyngton tak często, jak by chciał.

– Jeśli nie chcesz się ze mną więcej widywać – powiedziała Andrea – ja to zrozumiem.

To jej ustawiczne zapewnianie zaczynało Goldowi fałszywie pobrzmiwać.

– Chcę się z tobą widywać – zapewnił ją z uczuciem po raz kolejny. – Gdyby to ode mnie zależało, spędzałbym z tobą całe weekendy. Ale jestem teraz w okropnym dołku. Ralph zabrania mi dzwonić do siebie do biura i nie chce, żebym dzwonił do niego do domu. Mówi mi, że nie pozwalasz nikomu prowadzić prywatnych rozmów z rządowych telefonów.

– Przecież telefon od ciebie pozwoliłabym mu odebrać, głuptasku – westchnęła.

– Podejrzewam, że źle by to przyjął – zauważył posepnie Gold.

– Albo mogę podsłuchiwać rozmowy telefoniczne na twój temat.

– Możesz podsłuchiwać?

– Oczywiście, głuptasku. – Andrea roześmiała się perliście, ubawiona jego niedowierzaniem. – Każdego.

To już trzeci raz, odnotował w pamięci Gold. Znowu nazwała go nieopatrznie głuptaskiem. Jeszcze jedna cecha jej osobowości, którą musi jak najszybciej bezwzględnie wypełnić. Podjąwszy to stanowcze postanowienie, wybiegł myślami w przyszłość i z pewnym poczuciem mściwości ujrzał siebie w roli mentora i instruktora zaprowadzającego dyscyplinę.

– Doktorze Gold...

– Bruce – poprawił ją.

– Bruce... – Andrea zawsze rozpromieniała się przy każdym takim przejawie dbałości o szczegóły – ...może mój ojciec mógłby ci pomóc. Ale najpierw będzie się chciał upewnić, czy jesteśmy ze sobą blisko. Wiele razy pomagał rozmaitym mężczyznom, którzy potem nie chcieli się już ze mną widywać.

– Czyż nie jesteśmy ze sobą tak blisko, że już bliżej nie można? – zawołał dramatycznie Gold i potykając się po drodze o skraj płaczącego się pod nogami szlafroka rzucił się przez pokój, by porwać ją w ramiona.

Był po uszy zakochany. Andrea pociągała go we wszystkich nastrojach i stanach przyodziania oraz o wszystkich porach dnia i nocy. Kiedy szlifował swój esej, Andrea, urocza w okularach, czytała i oceniała prace jego studentów, wpisując leciutko ołówkiem komentarze, które mógł później poprawić atramentem. Marzyła mu się nie kończąca się, niczym nie zmacona idylla. Andreę zafascynowała jego irlandzka owsianka i reagowała miłymi dla ucha okrzykami ekstazy na jego świeżo zmieloną mieszankę palonych ziaren kaw jawańskiej, francuskiej oraz mokki. Gold widział już oczyma wyobraźni tę pełnię szczęścia. Andrea będzie oceniała wypociny jego studentów, saldowała jego książeczkę czekową oraz płaciła jego alimenty. A na wiosnę zrobi jej *mace braj*.

Z wielkodusznym samo ograniczeniem Gold okroił artykuł do czterech tysięcy słów i wysłał tę skróconą, humorystyczną prezentację swych poglądów wydawcy *Times Magazine* który od blisko roku molestował go o jakiś tekst i który teraz z miejsca go odrzucił, z bezinteresownym zaleceniem skrócenia materiału do ośmiuset słów, poprawienia tytułu i spróbowania w innym dziale gazety, najlepiej w redakcji edukacyjnej. Gold wiedział już, że będzie nienawidził tego człowieka po kres swych dni. Odchudził tekst do tysiąca dwustu słów i, jak mu radzono, zaniósł tę skróconą wersję do działu edukacyjnego, gdzie przyjął ją z okrzykiem zachwyty szalenie miły młody redaktor, który najpierw popiskiwał ze szczęścia, że spływa na niego zaszczyt otrzymania tak ważkiego dzieła pióra tak poważanego autora, a potem zażądał od Golda wycięcia czterystu słów i zmiany tytułu.

– Zajęcie wyraźnego stanowiska byłoby lepsze od całej tej enigmatycznej wieloznaczności, która do pana nie pasuje, profesorze Gold, zupełnie do pana nie pasuje. Niech pan wyrzuci ten tytuł i zastąpi go ostatnim zdaniem.

Gold przyciął tekst o dalsze czterysta słów, przy tytule jednak się uparł, i otrzymał z *The New York Timesa* czek na sto dwadzieścia pięć dolarów. W niecały tydzień po ukazaniu się drukiem tych kilku akapitów, jakie ostały się z pierwotnego tekstu, opublikowano dwa listy od czytelników zainspirowanych artykułem Golda. Pierwszy, z wyrazami gorącego poparcia, nadesłał dziewięćdziesięcioletni staruszek z Massachusetts, który twierdził, że od ukończenia college'u Williama, a było to przed siedemdziesięciu laty, nie przeczytał ani jednej książki czy wiersza, nie oglądał obrazów, a jeśli już się czymś przejmował, to tylko własnym portfelem i zdrowiem, i w tym czasie nawet przez sekundę tego nie pożałował. Drugi list był pełnym inwektyw atakiem Liebermana, który nazywał Golda „moralnym nihilistą i obrazoburczym profanem”, oskarżał go o „karygodne szerzenie z gruntu nieprawdziwych opinii, co wszyscy lojalni Amerykanie muszą wreszcie potępić”, i pogardliwie prowokował autora do odparcia tych zarzutów, „jeśli się odważy!” Gold z przyjemnością ujrzał drugi raz swoje nazwisko w gazecie, w dobry humor wprawiły go również dwa telefony, jakie zdążył już odebrać. Pierwszy zadzwonił lider senatu stanowego, który prosił Golda o poparcie projektu ustawy edukacyjnej przewidującej wstrzymanie pomocy finansowej dla wszelkich gmin Nowego Jorku, w których mieszkają ubodzy.

– Całe piękno tego projektu ustawy – i jestem przekonany, że zgodzi się pan ze mną, doktorze Gold – tkwi w tym, że zmusi ona większość rodzin siedzących na garnuszku opieki społecznej do wyniesienia się poza granice stanu Nowy Jork.

Gold milczał przez chwilę.

– Znam lepszy sposób – odezwał się wreszcie kwaśno. – Może by zmienić zasady działania opieki społecznej tak, by zamiast rozdawać pieniądze wszystkim ludziom mieszkającym w granicach stanu, rozdawała je tym, którzy mieszkają poza jego granicami?

– Na Boga, Gold! To chyba najlepszy polityczny pomysł, jaki zdarzyło mi się słyszeć. – Gold miał już na swoim koncie wiele życzliwych reakcji, ale lepszą go jeszcze nie uraczono.

– Czy przyjedzie pan do Albany i pomoże nam go przepchnąć?

– Przykro mi, ale nie mogę.

– A więc wszystkie laury spłyną na mnie! Drugi telefon był od Ralpa.

– Chciałem zadzwonić do ciebie natychmiast, ale jakoś nie przyszło mi to do głowy. Nosimy się z myślą wydelegowania cię do Kongresu, żebyś przeforsował tam w naszym imieniu nasze stanowisko. Dostarczyłeś akurat takiej amunicji, jakiej nam było trzeba, żeby skończyć nareszcie z całą pomocą federalną dla edukacji publicznej. Gold poczuł się okropnie.

– Ralph, niezupełnie tak to sobie planowałem – zaoponował nieśmiało. – Próbowałem przyjść edukacji z pomocą, nie zamierzałem jej niszczyć.

– No cóż, Bruce, nic nie wychodzi tak, jak to zaplanowano – poinformował go pouczającym tonem Ralph. – Gdyby udało nam się utrzymać nasze systemy edukacyjne w tak kiepskiej kondycji jak obecnie, przy obniżonych kosztach, to w ostatecznym rozrachunku poprawilibyśmy znacznie nasze systemy edukacyjne, zgodzisz się chyba ze mną? Bruce, przemawiając w Kongresie nie będziesz musiał mówić nic, co do czego nie jesteś przekonany. Mów tylko prawdę.

– Prawdę?

– Nawet jeśli będziesz musiał kłamać.

– Chyba mógłbym się zgodzić – stwierdził Gold.

– Prezydent się ucieszy. Szczególne wrażenie zrobiła na nim twoja teza, że najlepszym obywatelem jest obywatel ignorant. Jesteś prawdziwym geniuszem.

– Ja ironizowałem, Ralph – zachnął się Gold.

– Obawiam się, że nam wszystkim tutaj jakoś to umknęło, Bruce.

– Ostatnio – poskarżył się Gold – wszystkie moje sarkastyczne wypowiedzi są brane za dobrą monetę.

– Może dzieje się tak dlatego – pocieszył go z szacunkiem Ralph – że jak wszyscy genialni artyści znajdujesz się w bliższym kontakcie z rzeczywistością, niż ci się wydaje. Twój akces do nowej Prezydenckiej Komisji do spraw Edukacji i Polityki Społecznej jest teraz pewny. Oświadczenie wydajemy w przyszłym tygodniu, jak tylko wydrukujemy twój artykuł w *Congressional Record*, z kilkoma drobnymi poprawkami, jakie chodzą nam po głowie. Naturalnie wprowadzimy je tylko za twoją zgodą. Chciałbym mianowicie wyciąć jakieś dwieście słów, wyrzucić obecny tytuł i zastąpić go ostatnim zdaniem tekstu. I chciałbym jeszcze, żeby nazwisko autora brzmiało: doktor Bruce Gold.

– Nie jestem żadnym doktorem, Ralph – zaproponował ze smutkiem Gold.

– Przecież masz doktorat.

– Ty też, Ralph. A jak byś się czuł, gdyby ludzie zaczęli cię nagle tytułować doktorem?

– Cholera by mnie brała, Bruce. Nie jestem Niemcem.

– Ja też nie, Ralph – powiedział Gold. – Moi rodzice byli Rosjanami.

– A co to za różnica?

– Między Rosjanami a Niemcami? – spytał Gold.

– No nie, Bruce, chyba wiesz, o co mi chodzi, prawda?

– Nie jestem pewien, Ralph. Pod jakim względem Rosjanie i Niemcy są tacy sami?

– Jedni i drudzy są Europejczykami, Bruce. Myślałem, że to wiesz.

– Wiem – powiedział Gold, nadal przygnębiony. – Nawet Antoniego Czechowa nie tytułują doktorem.

– To tylko do *Congressional Record*, Bruce – przypochlebiał się Ralph. – Nikt tego nie czyta oprócz zecera w drukarni, a on jest zwykle ślepy.

– Ralph, wyszedłbym na śmiesznego i pompatycznego bufona. Kissingera też tytułowano doktorem i wiesz, jakie ludzie mieli o nim zdanie. Nie, Ralph, nie mogę się na to zgodzić.

– Przykro mi, ale będę naciskał.

– Mam taką naturę, że naciskany stawiam opór.

– To daj sobie wyperswadować.

– W takim wypadku zgadzam się.

– Bruce, nie potrafię wyrazić, jak inspiruje nas fakt, że niedługo będziesz jednym z nas. Już teraz ustaliłeś normę dokonań, której wszyscy staramy się sprostać. Nazywamy ją normą Golda.

Gold czekał, aż Ralph się roześmieje, ale się nie doczekał, w związku z czym sam też się nie roześmiał.

– Ralph, a ile będę zarabiał? – odważył się w końcu spytać. – Bo wiesz, może będę musiał wziąć bezpłatny urlop w college'u.

– Przykro mi, ale nic.
– Nic?
– Tylko zwrot kosztów własnych. Do tysiąca dolarów dziennie.
Gold nigdy w życiu nie był bliższy jodłowania.
– To chyba bardzo dużo – zauważył ze statecznym obiektywizmem.
– Bywało więcej – w głosie Ralpa pojawiło się współczucie i zawstydzenie. Nieco przyciszonym głosem dodał: – Naturalnie możesz trochę skrócić przedstawiając do wglądu lipną księgę wydatków. Na wypadek, gdyby ktoś słuchał, zastrzegam, że ta sugestia to żart. Ale nie mów lepiej o tym Andrei. Jest drobiazgowy jak jastrząb, jeśli chodzi o rządowe pieniądze. Prawda, Andrea? Niektóre z tych Komisji Prezydenckich są wieczne.
Tysiąc dziennie przez wieczność wydało się Goldowi dochodem nie do pogardzenia.
Jego artykuł opublikowano w *Congressional Record* na wniosek przedstawiciela stanu Luizjana, człowieka, o którym Gold nigdy nie słyszał. Otwierając nazajutrz *Timesa*, ze zdumieniem znalazł tam swój artykuł opublikowany po raz drugi pod zmienionym tytułem, a poniżej następujące wyjaśnienie:

SPROSTOWANIE

W ubiegłym tygodniu *Times* opublikował powyższy esej pod niewłaściwym tytułem „Edukacja i prawda, czyli prawda w edukacji” oraz pominął tytuł naukowy przy nazwisku autora. Autorem jest oczywiście doktor Bruce Gold, który został ostatnio powołany w skład nowej Prezydenckiej Komisji do spraw Edukacji i Polityki Społecznej. Przez wzgląd na szerokie zainteresowanie osobą doktora Golda oraz jego poglądami, *Times* z przyjemnością zamieszcza niniejsze wyjaśnienie i drukuje ponownie jego esej pod właściwym tytułem „Głosuj na życie!”

Przyszedł drugi czek od *The New York Timesa* na sumę stu dwudziestu pięciu dolarów. Gold chyba niczego tak nie uwielbiał, jak dostawać pieniądze pocztą, i rzadko bywał w złym humorze w takie dni. W doskonałym nastroju zastanawiał się, czy gazeta nie opublikuje wkrótce kolejnego listu Liebermana.

Od czasu, kiedy Gold po raz ostatni jadł z nim lunch, Liebermanowi przybyło wagi i wątrobianych plam. Stracił też kilka dalszych pasemek swoich włosów koloru marchewki.

– Czytałeś mój kawałek w *Timesie*? – zagał.

– Jaki kawałek? – spytał niewinnie Gold.

– Mój list nie pozostawiający suchej nitki na twoim artykule – odparł Lieberman. Stoliki w barku były małe i ciasno stłoczone. – Zauważyłem, że nie podjąłeś rękawicy. A miałem gotową miążdzącą odpowiedź dla ciebie i całej tej tchórzem podszytej, wschodniej liberalnej elity politycznej.

– Zamieść ją w swoim czasopiśmie – poradził mu Pomoroy.

– Mojego czasopisma nikt nie czyta – mruknął Lieberman z raptownie oklapłym morale.

– No to zacytuj ją w swojej następnej autobiografii – powiedział Gold. – Do tego czasu będę już prawdopodobnie znaną osobistością w rządzie.

W spojrzeniu Liebermana było z pewnością coś pokrewnego nienawiści.

– Ilu członków liczy sobie ta twoja komisja?

– Ośmiu – odparł Gold. W rzeczywistości było ich dwudziestu pięciu.

– Pragnę cię uprzedzić – powiedział Lieberman ze sztywną kurtuazją protokołu, żując głośno cheeseburgera – że zamierzam zająć wobec ciebie stanowisko opozycyjne. Będę zamieszczał w moim czasopiśmie demaskatorskie artykuły i wstępniaki.

– Twojego czasopisma nikt nie czyta – przypomniał mu Gold.

– Mam przyjaciół w Waszyngtonie.

– Nie, nie masz – mruknął Pomoroy.

– Są tam jeszcze ludzie, którzy wiedzą, kim jestem.

– I właśnie dlatego nie masz przyjaciół – powiedział Gold, rozkoszując się jak zawsze widokiem udręczonego Liebermana, skręcającego się z zazdrości i zawiści.

Teraz na Liebermana przyszła kolej, żeby skłamać.

– Szczerze mówiąc, to ja nigdy bym nie przyjął takiej roboty – powiedział z pogardliwym parsknięciem, opluwając sobie rękawy i kłapy wełnianej marynarki przeżutymi kawałkami mielonego mięsa i topionego sera Cheddar. Wtarł je kciukiem w materiał, a potem oblizał kciuk. – Chyba że mianowano by mnie prezesem tej komisji, mógłbym pisać sprawozdania i mieć bezpośredni dostęp do Prezydenta, kiedy tylko bym uznał, że sytuacja tego wymaga. Możesz to przekazać Ralphowi.

– Ralph będzie niepokieszony – powiedział Gold. Pomoroy, jak zawsze małomówny i poważny, aseptycznie niczym ze szpitalnej kroplówki sączył z łyżeczki jogurt bez konserwantów i wlepił w Liebermana wzrok człowieka pielęgnującego w sercu skrywaną urazę.

– Gdzie moja książka? – zwrócił się zniecierpliwiony do Golda, nawiązując wreszcie do celu, w jakim się spotkali.

– A ja zacząłem nową – wtrącił Lieberman.

– Już prawie kończę – oświadczył Gold, nie zwracając na Liebermana uwagi.

– Z czego wnoszę – burknął Pomoroy – że jeszcze nie zacząłeś.

– Nie ma sensu *zaczynać*, dopóki nie skończę, prawda? Stworzyłyby to tylko konieczność późniejszego przeredagowywania całości. Najpierw chcę wiedzieć, jakie wyciągamy wnioski, a dopiero potem zabrać się do ich uzasadniania.

– I wiesz już?

– Mniej więcej – odparł Gold. – Wiem, że jest sporo dobrych książek na ten sam temat, z których mogę ściągać w ciemno.

– Właśnie zamierzałem ci podsunąć tę myśl.

– Przydałoby się jeszcze trochę pieniążków. Wiesz, przerwałem pracę nad moją powieścią.

– Musisz mi najpierw pokazać fragment tekstu.

– Pokażę ci egzemplarze książek, z których zamierzam ściągać.

– Nie wierzysz już w samodzielne zbieranie materiałów? – W głosie Pomoroya czał się zaledwie cień jadu.

– Niewątpliwie – odparł Gold. – I dlatego tak chętnie korzystam zawsze z dorobku innych.

– Zastanawiałem się często – westchnął z ubolewaniem Pomoroy – czy dawni wydawcy, pisarze i myśliciele kiedykolwiek prowadzili takie nikczemne rozmowy. Potem przypomniałem sobie, co mi o nich wiadomo, i doszedłem do wniosku, że owszem. Ale poważnie, możesz mi podać choćby przybliżony termin oddania rękopisu? Ostatnio zacząłem przywiązywać wagę do takich szczegółów.

– Nie mogę – wyznał szczerze Gold. – Daj mi jeszcze z miesiąc na pozbieranie myśli. Chciałbym wprowadzić do swojej pracy pewne unikalne i znaczące elementy osobiste, a na razie nie wiem jeszcze, co by to mogło być.

Gold jadł bez apetytu owocową galaretkę z wiejskim twarożkiem. Lieberman zamówił jumbo cheeseburgera, kanapkę z chudym pastrami, pastą z wołowiny, ozorków i indyka, z wątróbką, serem, pomidorem i bermudzką cebulką, a do tego talerz francuskich frytek oraz mleko z czekoladą.

– Zazdroszczę wam metabolizmu, chłopaki – powiedział chwilę wcześniej. – Gdybym ja taki miał, też mógłbym być szczupły. – Lieberman jadł zawsze obiema rękami, wchłaniając i jednocześnie wydalając posiłki, i ani na moment nie przerywając mówienia, żeby przełknąć albo zaczerpnąć tchu. Nawet zupełnie jadał ściskając łyżkę obiema rękami. Swojego jumbo cheeseburgera również dzierżył teraz w obu rękach.

– Ja moją książkę mogę skończyć w miesiąc i będzie lepsza niż jego – pochwalił się.

– Skąd u ciebie takie wygórowane mniemanie o sobie – spytał go Pomoroy – skoro wszyscy, którzy cię znają, mają raczej niskie?

Lieberman, żując melancholijnie, przetrawiał to pytanie w myślach, jakby zwrócono się do niego z prośbą o poradę, a nie poczęstowano przytykiem.

– Jestem wydawcą jednego z największych małych czasopism w kraju.

– W nakładzie szesnastu egzemplarzy – dorzucił Gold.

– Czy ktoś tu umniejsza twoje zasługi? – spytał Pomoroy.

– Wiem więcej – ciągnął Lieberman – i mam lepsze wykształcenie od ponad dziewięćdziesięciu dziewięciu procent Amerykanów, co oznacza, że prawdopodobnie również od ponad stu procent ludności całego świata.

– My też – mruknął Pomoroy.

– To nie wystarczy – stwierdził Gold.

– Nie wystarczy?

– Tobie nie – powiedział Pomoroy. – Zdajesz sobie sprawę, Lieberman...

– Mów mi Skoczek, proszę.

– Zdajesz sobie sprawę, Lieberman, że jesteś chyba jedyną osobą, jaką znam, o której od nikogo nie usłyszałem nigdy dobrego słowa?

Lieberman rozważył w ponurym skupieniu tę informację.

– Nigdy?

– Bruce, ty z nim dorastałeś.

– Niezupełnie – mruknął Gold. – Nasze rodziny mieszkały co prawda przez jakiś czas w tym samym bloku, ale to był bardzo długi blok.

– Chodziłeś z nim do podstawówki, prawda?

– Tylko przez parę pierwszych klas. Potem jego rodzina przeniosła się do Brighton Beach.

– Ale później do szkoły średniej też razem chodziliście.

– On był o rok wyżej ode mnie.

– Ale znałeś go długo. Słyszałeś kiedy, żeby ktoś dobrze się o nim wyrażał?

– Nie – odparł zgodnie z prawdą Gold. – Skoczkowi zawsze brakowało uroku osobistego, talentu, poczucia humoru, inteligencji i ogłady towarzyskiej.

– Obaj się mylicie – wtrącił Lieberman. – Zawsze byłem najlepszym uczniem w klasie.

– Drugim w kolejności, kłamco – powiedział Gold. – Najlepszy byłem ja.

– Przyjęli mnie do Columbia College na prawach stypendysty.

– Wcale nie – skorygował go ponownie Gold. – Mnie zresztą też nie, chociaż obaj mówimy, że tak było. I nigdy nie należałeś do żadnej komunistycznej organizacji, więc przestań się chwalić, że oddałeś legitymację.

Lieberman, który nigdy nie był komunistą, zyskiwał sobie zawsze ogromne uznanie, kiedy twierdził, że kiedyś nim był, nie miał jednak zachwyczonej miny, gdy ktoś wypatrzył go na rocznicowych i okolicznościowych kolacjach grupek reakcyjnych nazywających siebie konserwatywnymi, na których osławieni antysemitami bądź neofaszyści zabierali głos, ewentualnie znajdowali się pośród bardziej od niego honorowanych gości. Lieberman, brzuchaty, zwalisty mężczyzna o nalanej twarzy i podwójnym podbródku był całym sercem za wysyłaniem bombowców oraz za przeciwstawianiem się każdemu na całej planecie. Nie bał się wojny ani z Rosją, ani z Chinami. Bał się za to Pomoroya i Golda.

– Jestem teraz o niebo lepszym pisarzem niż kiedyś. – Lieberman, ze świeżo rozdmuchaną iskierką nadziei, dopraszał się aprobaty. – Znacznie odważniej dobieram słowa komentując politykę zagraniczną oraz wplątam w tekst mnóstwo epigramów i paradoksów. – Gdzieś z zakamarków swojego wyplamionego i pogniecionego odzienia wydobył egzemplarz nowego numeru swojego czasopisma i zaczął nerwowo przerzucać jego stronicę, dopóki nie znalazł tego, czego szukał, a mianowicie redagowanego przez siebie osobiście stałego działu zatytułowanego tłustym drukiem: Bez ogródek, M.G. Lieberman, wydawca. – Posłuchajcie, do czego doszedłem! – wykrzyknął podniecony i odchrząknął, przygotowując się do czytania na głos. – Koniec z retorycznymi pytaniami – wyskandował i zaczął: – „Cóż zatem powinniśmy odpowiedzieć tym, którzy twierdzą, że to może doprowadzić nas do wojny? Ja, nie mrugnawszy powieką, odpowiadam im: niech więc będzie wojna”. I co wy na to? Nie wyrażam tu niczego poza oburzeniem i pogardą dla wszystkich członków tchórzliwego wschodniego liberalnego establishmentu, za ich brak zdecydowania. Powyższe słowa – nie mógł się powstrzymać od tej uwagi – przytoczyłem za Henrym Kissingerem.

– Przytoczyłeś je za mną – obruszył się Gold, który z kolei zaczerpnął ten cytat z niepochlebnej opinii o byłym sekretarzu stanu, zamieszczonej swego czasu w *The New Republic*, która to publikacja, w połączeniu z dzikimi domysłami ojca, wzbudziła u Golda podejrzenia i doprowadziła go w końcu do sformułowania potajemnej i nadzwyczajnej hipotezy, że Henry Kissinger nie jest Żydem.

– „Nasza wola oporu słabnie, podczas gdy Rosja podnosi głowę” – podjął Lieberman. – A tutaj też dobre: „Skoro nie wahamy się iść na wojnę, kiedy zagrożone są nasze żywotne interesy, to moim zdaniem musimy iść na wojnę również wtedy, kiedy nasze żywotne interesy nie są zagrożone, żeby zarówno przyjaciel jak i wróg zrozumieli, że z nami nie przelewki”. Mimo wszystko – skomentował uśmiechając się i z wyraźnym uznaniem przebiegając malutkimi oczkami po szpaltach swojego dzieła – jaki sens miałoby produkowanie broni nuklearnej i bombowców, jeśli zakładalibyśmy z góry, że nigdy ich nie użyjemy? To byłoby marnotrawstwo. Tracę cierpliwość do ludzi, którzy nie mają dość ikry, by przyznać wprost, że musimy być przygotowani na wiele wyrzeczeń i że musimy pogodzić się z ofiarami, jakie być może przyjdzie nam ponieść. Coś nie tak? – spytał bezbrzeżnie zdumiony dwoma kamiennymi spojrzeniami, których celem stał się zupełnie dla siebie niespodziewanie.

– Jeśli nie przestaniesz wygadywać takich bzdur – upomniał go cicho Pomoroy, kończąc ostatnią cząstkę jabłka – nie pozwolimy ci się za nami włóczyć.

W oczach Liebermana pojawiły się nagle łzy.

– Przepraszam – bąknął i zwiesił głowę.

Jego uczucia zostały tak dotkliwie zranione, że na deser, oprócz kawy, zamówił sobie jeszcze sernik z truskawkami.

– Kogo masz na myśli – spytał Pomoroy, kiedy odszedł kelner – używając w swoich wypowiedziach liczby mnogiej? – Patrzył na Liebermana poprzez wielkie okulary w oprawkach ze skorupy żółwia, oczami, które wyrażały tłumione rozdrażnienie. Lieberman zastanawiał się dłużej chwilę.

– No, rząd.

– Rząd to rzeczownik w liczbie pojedynczej – zauważył Pomoroy. – Ty użyłeś liczby mnogiej. Popadasz w ten wstrętny, szowinistyczny nawyk mówienia „my”, „z nami” i „nasze”, kiedy wypowiadasz się o kraju, rządzie, naszych przodkach. Twój przodek macał kury w Rosji.

– Na Morawach – sprostował Lieberman.

– Co to za „my”, którzy muszą być gotowi na wyrzeczenia i godzić się z ofiarami?

– On przez „my” – wtrącił Gold – rozumie „oni”. Czubek jeden.

– Mogę się zmienić! – Lieberman zamachał rękami, jakby w ten sposób pragnął wypaść w ich oczach bardziej wiarygodnie. – Jeśli trzeba, potrafię być elastyczny.

– Wiem, jaki potrafisz być elastyczny – mruknął sarkastycznie Pomoroy i Lieberman zaczerwienił się. – Znowu widziałem w gazetach twoje nazwisko wśród uczestników wieczornicy urządanej przez tych pieprzonych faszystów, z którymi się zadajesz. Nie mam pojęcia – ciągnął Pomoroy na wół z niedowierzaniem, na wół z wyrzutem – co ci chodzi po łbie, kiedy tam siedzisz i wysłuchujesz tych antysemitów. No, co wtedy myślisz?

Lieberman spuścił oczy.

– Przepowiadam sobie tabliczkę mnożenia – odparł bojaźliwie.

– Klaszczesz? – spytał Gold.

– Nie – zaprzeczył gorąco Lieberman. – Przysięgam, że przez cały czas dosłownie trzymam ręce pod tyłkiem.

– To jak jesz? – zainteresował się Gold.

– Mówiłem w przenośni.

– To dlaczego powiedziałaś, że dosłownie? – zapytał Pomoroy.

– Czy słowa nic już dla ciebie nie znaczą? – dorzucił Gold.

– Muszę się iść odlać.

– Oto człowiek bez żadnego poczucia przyzwoitości – stwierdził Gold. – Nie ma najmniejszego pojęcia, że jest bufonem.

Ale uwagi Pomoroya nie dało się tak łatwo odciągnąć.

– A więc wybierasz się do Waszyngtonu – powiedział, mierząc Golda spojrzeniem, które ten z trudem wytrzymał. – Jak to wpłynie na książkę, którą jesteś mi winien?

– Ogromnie ją wzbogaci – odparł Gold bez większego przekonania. – Jak często Żyd z biednej imigranckiej rodziny trafia na ważne stanowisko w rządzie federalnym?

– Zbyt często – odparł Pomoroy i nagle zaczął płakać. – Mój ojciec ma zaawansowaną sklerozę. Nie poznaje mnie już i plecie trzy po trzy, kiedy odwiedzam go w Domu Starców. Tytułuje mnie doktorem i sędzią, i nie wić, po co przyszedłem. W zeszłym tygodniu jakiś ślepiec obił go laską, a on nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Ma cukrzycę i kto wie, czy nie obetną mu nóg, a do niego nawet nie dotrze, co się stało. Nie mogę go tam zostawić i nie mogę zabrać go do domu. Nie chcę, żeby przez niego rozpadło się moje małżeństwo. Nie wiem, po co go w ogóle odwiedzam. Nie mam żadnych bliskich krewnych ani przyjaciół i gdyby nie ty, nie miałbym z kim pogadać.

– Ja mam mnóstwo bliskich krewnych i też nie mam z kim pogadać – pocieszył go Gold.

– Mój ojciec skończył już osiemdziesiąt dwa lata i nie chce wracać na Florydę. Dygoczę cały ze strachu, żeby mi tu nie zaniemógł. Już od piętnastu lat żyję z duszą na ramieniu, czy mu się coś w końcu nie przytrafi. Z jednej strony nie życzę mu tego, z drugiej nie mogę się doczekać.

Wciąż mnie krytykuje i boję się go. Krytykował mnie przez całe życie. Cała rodzina traktuje mnie jak dzieciaka. Wszyscy mają mnie za lekko stukniętego. I nic nie mogę na to poradzić, nikogo przy tym nie obrażając. Mam wobec każdego z nich jakiś dług wdzięczności, ale to nic nie zmienia. Mój starszy brat zaczął pracować, kiedy ja szedłem do college'u, i robi się o mnie coraz bardziej zazdrosny. Nie mogę mu zamknąć gęby nie tracąc przy tym panowania nad sobą, a on tylko na to czeka. Niedawno zrobiliśmy niespodziankę mojej dużej siostrze Rose, urządzając jej przyjęcie na sześćdziesiąte urodziny, i omal serce mi nie pękło, kiedy się dowiedziałem, że było to jej pierwsze w życiu przyjęcie urodzinowe. Chciało mi się płakać, kiedy śpiewali *Happy Birthday*, ale nie czuję się z nią blisko związany. Od ponad czterdziestu lat pracuje biedaczka w tym samym biurze i każdego dnia trzęsie się ze strachu, że straci tę posadę. Jej mąż nieźle tankuje i zaczyna podupadać na zdrowiu. A ja muszę im opowiadać o wszystkim, co robię.

– Dlaczego im się nie postawisz?

– Nie chcę, żeby sobie pomyśleli, że zadzieram nosa. Teraz jestem rad, że matka już nie żyje. Nie chciałbym patrzeć, jak cierpi. Belle nie kocham. Życie rodzinne mnie nuży. Tak samo pisanie i uczenie. Moja młodsza siostra, która mieszka w Kalifornii, ma teraz czterdzieści dwa lata, i być może ją jedną jeszcze kocham. Nie czuję się blisko z nikim na świecie. Nudzi mnie wszystko, co robię. Chcę się ożenić z pieniędzmi. Przetrzeć oczy. O, wraca ten morawski *poc*. Przykro mi w związku z twoim ojcem.

– I czyj aż to smutna historia? – Pomoroy, pod pretekstem wycierania sobie ust, zasłonił twarz wielką białą chusteczką. – Dlaczego nie napiszesz o tym książki, jeśli rzeczywiście szukasz jakichś unikalnych i znaczących elementów osobistych? – spytał, doszedłszy trochę do siebie.

– Wszystko dobrze poszło – zameldował wesołowato Lieberman, zajmując z powrotem swoje miejsce z patrycjuszowską godnością człowieka wyobrażającego sobie, że jest ośrodkiem czołobitnego zainteresowania całego otoczenia.

– Masz na myśli autobiografię? – spytał Gold Pomoroy a i zauważył kącikiem oka, że Lieberman sztywnieje.

– Nie, nie autobiografię – odparł Pomoroy. – Ale proponuję ci, żebyś zamiast podchodzić przekrojowo do tematu żydowskich doświadczeń w Ameryce, napisał coś z własnego punktu widzenia. Podoba mi się temat Luna Parku, Toru Przeszkód, zakładników krawieckich i plażowych sprzedawców. Czy na Torze Przeszkód naprawdę było tak wesoło?

– To była tylko pusta nazwa. Nigdy nie odbył się tam żaden bieg z przeszkodami.

– Dorastanie na Coney Island musiało być ciekawe. Skłonny jestem zaryzykować i przeznaczyć na to zaliczkę, którą już otrzymałeś. Dam radę sprzedać dziesięć do piętnastu tysięcy egzemplarzy każdej książki, jaka wyjdzie spod twojego pióra. Jeśli dopisze nam szczęście, to może uda się upchnąć na rynku i pięćdziesiąt tysięcy.

– Potrzeba mi więcej pieniędzy na drugie podejście – powiedział Gold.

– Nic nie dostaniesz, bo nie zrobiłeś jeszcze pierwszego – odparł Pomoroy. – Posłuchaj, Bruce, jestem gotów wyłożyć pieniądze, by dać ci szansę stworzenia czegoś prawdziwego i szczerego, czegoś rzeczywiście wartościowego i oryginalnego.

– A gdzie bodziec? – zażartował Gold.

– Idź do diabła.

Już od kilku chwil Gold słyszał wyraźnie dźwięczne burczenie dolatujące z trzewi Liebermana i próbujące jak gdyby przecisnąć mu się przez krtań. Teraz wyrwało się wreszcie z rykiem na wolność, niesione wezbranym bąblem powietrza.

– A co – odezwał się Lieberman, a każde jego słowo było jak trzaśnięcie z bata – ze mną? – Jego szara z zawiści twarz przypominała Goldowi pogięty aluminiowy garnek.

Gold nie potrafił jednoznacznie ocenić, czy zaskoczenie Pomoroy a było udawane, czy szczerze.

– A co ma być?

– Przecież wiesz, że ja też mieszkałem na Coney Island – powiedział Lieberman. – Nie przeczytałeś jeszcze nawet początku mojej najnowszej autobiografii, a już wydajesz jego.

– Och, Lieberman, Lieberman, Lieberman – westchnął ciężko Pomoroy. – Wyobraź sobie, że czytałem twoją najnowszą autobiografię i stwierdziłem, że nie jest ani trochę lepsza od wcześniejszych, jak również od tych pretensjonalnych początków powieści, które naokoło rozsyłaś. Lieberman, Lieberman, kot ma dziewięć żyć. Ty tylko jedno. I aż cztery autobiografie na ten twój jeden malutki żywocik?

– Ta ostatnia jest inna – nie ustępował Lieberman. – Sądzę, że będzie się cieszyła szerokim zainteresowaniem.

Zawarłem w niej swoje najintymniejsze wspomnienia. Przebaczam mnóstwu ludzi, nawet wam obu. Krytycy się nią zachwycą, kiedy zobaczą, jaki ze mnie szlachetny człowiek. Jest w niej wiele ciepłych wspomnień o tobie i Goldzie z czasów, kiedy byliśmy razem w college'u.

– Ja nie mam żadnych ciepłych wspomnień z tamtego okresu – mruknął Pomoroy.

– Nie zapomnij napomknąć w swoich ciepłych wspomnieniach – powiedział Gold – że mało nas interesuje, jak nas wspominasz.

– Lieberman, jakież nudne cztery życia wiodłeś – podjął Pomoroy. – Co kogo, u licha, może obchodzić twoja opinia na temat wojny domowej w Hiszpanii czy paktu Hitler-Stalin? Przecież miałeś wtedy osiem lat.

– Ale w wieku jedenastu lat – skontrował Lieberman – poznałem się już na Stalinie i zerwałem z nim. I moje opinie nie były ani lepsze, ani gorsze od opinii niektórych najwybitniejszych myślicieli tamtej doby.

– To były opinie najwybitniejszych myślicieli tamtej doby – odparował Pomoroy. – A więc co komu po tym, żebyś ty je teraz powtarzał? Nadal nie masz nic nowego, czym warto by napisać.

– A gdybyś nawet miał – wtrącił Gold – nie wiedziałbyś, jak o tym napisać.

– A więc nadal nie umiem pisać?

– Nie umiesz.

– To dlaczego ty próbujesz?

– A dlaczego ty nie przestajesz?

Liebermanowi zaczął drżeć podbródek. Był to odruch, którym od dzieciństwa reagował na przeciwności losu.

– Nabierałem odwagi – oznajmił pociągając nosem. – Na tych drewnianych chodnikach Coney Island Brighton nabierałem odwagi, by dyskutować o historii i teorii polityki ze wszystkimi tymi starymi Europejczykami.

– Po czyjej stronie? – spytał Gold.

– Obojętne po czyjej, byleby z korzyścią dla siebie – odparł dumnie Lieberman. – Chciałbym cię prosić, żebyś powtórzył to Ralphowi – dodał, kładąc Goldowi dłoń na przedramieniu. – Chyba nie zdają tam sobie sprawy, jaki potrafię być lojalny. Mogę na poczekaniu zmienić poglądy w każdej sprawie, w jakiej każą mi to uczynić.

Gold wyszarpnął z grymasem rękaw marynarki z palców Liebermana i odepchnął jego rękę, czując dziwną niechęć do tego człowieka.

– Jak ma porozmawiać o tobie z Ralphem, skoro nie puszczasz go do Waszyngtonu? – spytał kpiąco Pomoroy.

Lieberman stropił się.

– Może go puszczę.

– Nie podłożysz mi świni?

– Będę się jeszcze musiał nad tym zastanowić. – Lieberman miał w zanadrzu pewną propozycję. – A jeśli cię puszczę do Waszyngtonu, to czy obiecasz, że mi tam pomożesz?

– Czemu nie – mruknął Gold.

– Doszedłem do przekonania – podjął Lieberman – że być może moim prawdziwym powołaniem jest praca w rządzie. Szczerze mówiąc, prowadzenie wiodącego małego czasopisma intelektualnego nie jest zajęciem tak satysfakcjonującym, jak by się mogło wydawać. Nie przynosi wielkich pieniędzy i nie daje prestiżu. I coraz bardziej nuży mnie stawianie tych wszystkich retorycznych pytań. Chętnie – zakończył z uśmiechem – objąłbym w Administracji jakieś stanowisko gwarantujące wielkie wpływy i autorytet.

– No, nieee – powiedział Gold z przesadnym zdumieniem. – Jasna cholera.

– Wiem, że dałbym sobie świetnie radę.

Pomoroy mruknął, że wcale nie jest tego taki pewien. Lieberman wziął z koszyczka na pieczywo szczerstwiałą bułeczkę i zmiażdżył ją w dłoniach z takim hałasem, że nerwowy kelner podskoczył, a ludzie spożywający lunch przy sąsiednich stolikach omal nie zerwali się w panice z krzesel. Jego krótkie, grube paluchy nawet po wepchnięciu do ust ostatnich dwóch kawałków nadal nie zaprzestawały aktywności i błdziły niczym ślepe ślimaki po całym blacie stolika w poszukiwaniu okruchów, które przenosiły następnie do ust z takim namaszczeniem, jakby to były drogocenne opiłki diamentu. Oczyszcivszy stolik, Lieberman ze śmiertelną powagą potarł nos nadgarstkiem i powiedział:

– Czemu uważasz, że mógłbym nie dać sobie rady w Waszyngtonie?

– Nie masz do tego głowy – powiedział Pomoroy.

– Ani predyspozycji – dorzucił Gold. – No i, naturalnie, nie masz przyjaciół.

– Przecież ty jesteś moim przyjacielem – przypomniał mu Lieberman.

– Niezupełnie. – Gold odsunął się od niego z odrazą.

– Bruce mógłby być twoim jedynym kontaktem w Waszyngtonie – zauważył Pomoroy.

– Jeśli on nie podłoży mi świni – wtrącił Gold.

– A jak cię tam puszcze – spytał Lieberman – to będziesz moim przyjacielem?

– Mogę spróbować.

– Pomożesz mi uzyskać tajny grant CIA, który mógłbym wykorzystać na rozreklamowanie mojego czasopisma i podniesienie nakładu?

– Doczep swój wagonik do mojej gwiazdy.

Gdybym próbował liczyć te wątki, które coraz bardziej się splątują, rozmyślał Gold za kierownicą samochodu, którym jechali z Belle do Brooklynu, na pewno straciłbym wkrótce rachubę, bo mnożą się bez ustanku, nawet kiedy jestem zajęty ich sumowaniem. Znalazłbym się w sytuacji naszego Prezydenta, który usiłuje prowadzić kronikę sprawowania swojego urzędu, a wydarzenia następują jedno po drugim szybciej, niż on jest w stanie je opisywać, albo Tristrama Shandy'ego relacjonującego bez ładu i składu okoliczności swojego przyścia na świat i życia. Dopiero pod koniec czwartego tomu wychodzi z łona matki, a zaległości wciąż się nawarstwiają. Gold nie miał wyrobionego zdania co do literackiej wartości „Tristrama Shandy'ego”, ale jako uczeń college'u uzyskał wysoką notę za pracę, w której proponował przez nikogo jeszcze nie odkryte powody do zachwycania się tym dziełem, chociaż sam nigdy się nim nie zachwycił. W najbliższej perspektywie czekało go inspirujące weekendowe spotkanie z ojcem Andrei, znanym dyplomatą i szanowanym właścicielem ziemskim starej daty, a być może również nawiązanie przyjacielskich stosunków z Prezydentem Stanów Zjednoczonych, którego tak oczarowały słowa Golda, że powiesił sobie jego oprawioną w ramki i powiększoną maksymę „Nic nie wychodzi tak, jak to zaplanowano” na ścianie swojego pokoju śniadaniowego, tuż obok cytatu z Pliniusza. Gdybyż świat to wiedział. Gold zamierzał dowiedzieć się poprzez Ralpa, czy chodzi o Pliniusza Starszego, czy o Pliniusza Młodszy. Miał pewne trudności z rozróżnieniem tych dwóch Pliniuszów kiedy był pijany, mylił ich z Liwiuszem.

Na dzisiejszy wieczór wynajął samochód z agencji. Belle siedziała obok milcząca, niewzruszona w przyjętej postawie nieugiętej uległości, która była Goldowi okropnie nie na rękę. Na jej puciołowatej twarzy nie gościł żaden wyraz, głowę trzymała wysoko uniesioną. Zrobiła mu chociaż tę uprzejmość, że włożyła parę grubych swetrów i ciężkie palto. Jechali z kolejną wizytą do jego ojca, ale nadzieje na rychłe wykopanie tego upartego despoty z Nowego Jorku i zesłanie go na Florydę były nikłe. Perswazje nie skutkowały i trzeba będzie chyba zdać się na wiatr i infekcję dróg oddechowych. Gniew Golda na Belle potęgowała jej pasywna postawa wobec wszystkiego, co potajemnie knuł. Liczył w duchu na jej opór, który zamierzał wykorzystać przeciwko niej, by przedstawić siebie w jak najlepszym świetle, ale mając do czynienia z irytującą tolerancją i rezygnacją nie potrafił się przed nimi bronić. Zanosilo się na to, że wina za rozpad ich małżeństwa spadnie wyłącznie na niego. Będzie ugotowany. Dlaczego ona nigdy nie próbuje walczyć, nie powie czegoś niewłaściwego w domu albo nie zrobi czegoś niewłaściwego poza nim? Dlaczego jest ciągle taka cholernie miła i praktyczna, taka dobra dla dzieci i całej rodziny? Rozpamiętywał tę niekorzystną sytuację niczym ofiara jakiegoś zdradzieckiego chwytu poniżej pasa.

Na kolanach Belle, oprócz jej torebki, spoczywała przepastna torba na zakupy, w której Belle odwoziła Harriet i Esther wyszorowane patelnie i błyszczące czystością miski z przyjęcia Rose.

– Może położysz to na tylnym siedzeniu? – zasugerował przed chwilą.

– Wolę ją trzymać przy sobie.

Wiedział, że Belle ma go za najgorszego z kierowców, i przypominała mu teraz gospodynię domową gotową opuścić momentalnie pojazd z całym swoim dobytkiem, gdyby na skutek jego niekompetencji doszło do kolizji.

Kiedy wyjeżdżali z tunelu Brooklyn-Battery, prawie wszystkie dyżurne tematy do rozmowy już im się wyczerpały. Podjął jeszcze jedną próbę nawiązania konwersacji, pytając:

– Jechać Beltem czy Ocean Parkway?

– Wszystko jedno.

Wybrał Belt Parkway. Był w podłym nastroju. Ciężkie, brzemienne ulewą chmury wisiły nisko i spektakl ich ciemnych cieni padających na lekko wzburzoną wodę zalewał mu serce

cierpką obietnicą i zadowoleniem. Nic nie mogło go teraz tak podbudować na duchu, jak zapowiedź zimnego deszczu.

– Kto dzwonił dzisiaj rano?

– Barry z Choate i Noah z Yale – powiedziała Belle.

– Pewnie na nasz koszt. Czemu nie pisują już listów?

– Obaj proszą o pieniądze.

– Wyślij im.

– Nie chcesz wiedzieć ile?

– Nie.

– Ani na co?

– Nie teraz.

– Barry chce jechać z grupą ze swojej szkoły na święta Bożego Narodzenia do Moskwy.

– Niech jedzie. Jeśli mi obieca, że kiedy dorośnie, obierze sobie rosyjski za przedmiot kierunkowy, to chyba będę mu mógł załatwić zwrot kosztów podróży.

– A Noah chce się zapisać do klubu narciarskiego.

– Nart mu się zachciało? Mam płacić za jego jeżdżenie na nartach? – Gold był bliski odmowy. Sam nigdy nie był na nartach. Jeśli chodzi o ścisłość, nie był też w Yale.

– Mówi, że jeśli mu na to nie pozwolimy, będzie przyjeżdżał na każdy weekend do domu.

– Nie mamy miejsca.

– Mamy gabinet i bibliotekę.

– W obu mam porozkładaną pracę. Wiesz sama, jaki ostatnio jestem zajęty.

– Mógłby się zatrzymać w twoim studio w śródmieściu.

– Nie chcę go w moim studio. Wyślij mu te pieniądze.

– Stać nas na to, prawda?

– Gdyby nie było nas stać, tobyśmy nie wysłali, nie?

Zarobię w Waszyngtonie. Przerwałaś mi wcześniej – zauważył sztywno.

– Co ci przerwałam? – spytała z pewnym zaskoczeniem Belle.

– Spytałaś mnie, czy chcę wiedzieć, na co im pieniądze, a ja odpowiedziałem, że nie teraz.

Ale ty i tak mi powiedziałaś.

– I co ci w ten sposób przerwałam? – chciała wiedzieć Belle. – Przecież nic nie mówięś.

– Ale myślałam. Miałem właśnie powiedzieć, że jesteś dużo lepsza w rządzeniu się pieniędzmi i wychowywaniu dzieci ode mnie i takie decyzje możesz podejmować bez pytania mnie o zdanie. Przerwałam mi wątek myślowy.

– Skąd mogłam wiedzieć, że masz wątek myślowy?

– W razie wątpliwości – odparł Gold – zakładaj zawsze, że go mam.

Czekał nadaremnie na jakąś choćby szczątkową odpowiedź, ale potem uświadomił sobie, że jeśli Belle wzięła sobie do serca jego ostatnią instrukcję, to się nawet takiej nie doczeka. Że jeśli naprawdę wzięła sobie do serca tę jego instrukcję, to może już nigdy nic od niej nie usłyszy. Najsilniejszym objawem sprzeciwu Belle był zawsze nikły, przebiegły uśmiešek. Gold czuł, że skoro od tego ma zależeć cała jej egzystencja, Belle nie da mu żadnego wyraźnego powodu do gniewu. Naszło go niesamowite przeświadczenie, że czytają sobie nawzajem w myślach jak z książki. Niewiele ze sobą rozmawiali, a przecież wszystko wiedzieli. Belle nękała go bezlitośnie swoją cierpliwością i pogodnym milczeniem. Oto, kim jestem, zdawała się mówić teraz wyzywająco jej pełna godności postawa. Kiedy brałaś mnie sobie za żonę, nie byłam żadną pięknoscą i nie mogłam się nią stać, choćbym nie wiem jak próbowała. Jej zgodę na rozwód mógł dostać w każdej chwili. Wystarczyłoby tylko, żeby wziął całą winę na siebie. Uległość i wyrozumiałość stanowiły okrutną broń, którą Belle go prześladowała, strategią jej ataku była bezwarunkowa kapitulacja i nie miał innego wyjścia, jak to znosić. Przypomniawszy sobie, że lecąc jutro wieczorem do Andrei ma zabrać dla niej trochę wędzonych szkockich śledzi i kawałek bekonu. A może wstrzymać się z tym bekonem

do następnej schadzki? Podejrzewał, że Andrea nie tknęłaby solonego śledzia, ale wędzonym na pewno się zachwyci.

Jadąc pustą aleją, skręcającą w ślad za linią wybrzeża na wschód, ujrzał wkrótce w oddali, po prawej, posępną konstrukcję nieczynnej Wieży Spadochronowej, wznoszącą się na wąskim pasemku lądu po drugiej stronie zatoki Gravesend, i przypomniał sobie, jak tę wieżę, przebój Nowojorskiej Wystawy Światowej z roku 1939 czy 1940, przeniesiono na moło Toru Przeszkód, ale nigdy nie okazała się wystarczająco niebezpieczna, by zyskać sobie uznanie u populacji zaprawionej w bojach na Cyklonie i Piorunie i na Podniebnym Ścigaczu z Luna Parku. Wyglądała teraz na opuszczoną. Podobnie jak te nawiedzane przez duchy, nie ukończone budynki z luksusowymi apartamentami na Manhattanie, których budowniczym skończyły się pieniądze, a banki nie chciały im więcej pożyczać – smętne pomniki porażki starzejące się i popadające w najczarniejszą ruinę, zanim zdążyły zabłysnąć świetnością. W chwilę później minęli szkieletowy zarys gigantycznego Cudownego Koła unieruchomionego już w tym roku na okres chłódów, jedyne diabelskiego młyna na Coney Island, od kiedy wesołe miasteczko zbankrutowało i uległo likwidacji. Tak jak innych podobnych przybytków, i tego nie ominęły ciężkie czasy. Tam, gdzie przed trzydziestu laty w letnie wieczory skrzył się jasnymi światłami Luna Park, wyrastał teraz kompleks wysokich, przypominających ule bloków mieszkalnych z cegły, bardziej niż zwykle burych na tle matowego nieba. Na wiadukcie przerzuconym nad Ocean Parkway Gold odwrócił głowę, by zerknąć w przelocie na Abraham Lincoln High School, i po raz tysięczny przeklął złośliwy los, który umieścił go tam w tym samym czasie co Belle, naprowadzając w ten sposób na niewłaściwą ścieżkę przeznaczenia, wiodącą wprost do trójki dzieciaków na utrzymaniu i wyrozumiałej żony. Jeśli mężczyzna żeni się młodo, rozumował z niewzruszoną arystokratyczną logiką godną lorda Chesterfielda albo Benjamina Franklina, tak jak raczył to uczynić on, Gold, to najprawdopodobniej z kimś w mniej więcej swoim wieku – i mniej więcej w okresie, kiedy mężczyzna zaczyna znajdować prawdziwą przyjemność w obcowaniu z młodymi dziewczętami i pod pełnymi żaglami wchodzi w swoje najlepsze lata, ona zaczyna mu się starzeć. Przekaze tę bezcenną homiletyczną mądrość obu swoim synom, jeśli nie zapomni. Gdyby jeszcze Belle była płochą, chciwa na pieniądze, niewierna... Ale nawet zdrowie jej dopisywało.

Za Brighton zjechał z Belt Parkway ślimakiem prowadzącym w kierunku zatoki Sheepshead i Manhattan Beach. Łagodny sierp południowej krawędzi Brooklynu, którym teraz jechali, był chyba jedynym wycinkiem tej dzielnicy, który dobrze znał. Prawie cała reszta była dla niego obcym, nieprzyjaznym terenem. Wrócił myślami do nędznej ulicy, którą przed chwilą przejeżdżali i przy której mieścił się zabytkowy posterunek policji, ten sam, na który jako mały szkrab został doprowadzony w dniu, kiedy Sid go zostawił i poszedł sobie gdzieś z kolegami. Trzeba było nie mieć serca, żeby mu zrobić coś takiego! Musiał czekać na tym komisariacie struchlały ze strachu. Pytano go pewnie o adres zamieszkania, ale nie umiał odpowiedzieć. Najbliższy telefon znajdował się wtedy w sklepie z cukierkami przy przystanku trolejbusu, na rogu Railroad Avenue. Ale już kilka lat później zarabiał na swoje wydatki pobierając dwucentowe napiwki za wywoływanie z mieszkań dziewczyn, do których dzwonili chłopcy, żeby umówić się na randkę. Brooklyn. był wielką pieprzoną dzielnicą.

Niedługo potem Gold, czerwony jak burak z przegrzania, siedział już na werandzie domu ojca. Do oberwania chmury, na co tak liczył, nie doszło, za to przetarło się i z nieba spływała orzeźwiająca powódź czyściutkiego słonecznego światła. Gold rozpiął guziki płaszcza, Harriet ściągnęła nauszники, a Sid powiedział:

– To rzeczywiście zadziwiająca sprawa, prawda? Znaczą się, z tymi sępami.

Gold, słysząc to, doznał gwałtownego skurczu serca, takiego jaki następuje czasem w wyniku nagłego spadku ciśnienia krwi. Nie miał najmniejszej ochoty wdawać się w dyskusje. Niedziela była dla niego, jak zawsze, szarym okresem beczynności, który trzeba apatycznie przeczekać, chyba że ktoś pracuje jako zawodowy futbolista, albo, tak jak Andrea, ma konie, na których może sobie pogalopować, i lisy, na które może zapolować. W poniedziałek spotka się z Ralphem i prześpi się z Andream. We wtorek rano będzie błyszczał na zjeździe luminarzy, który zgromadzi być może indywidualne znakomitości, jakie gromadzi obecnie każde zebranie w tym kraju. Ale teraz, w pajęczej sieci swoich korzeni, musiał słuchać, jak Sid cmokta resztkę piwa ze szklanki i podejmuje z afektacją:

– To rzeczywiście jeden z największych cudów natury, nieprawdaż? To, że sępy albo myszołapy, jak się je czasami nazywa...

– Myszołowy – burknął ponuro Gold nie podnosząc głowy.

– A jak ja powiedziałem?

– Myszołapy.

– Coś takiego – mruknął Sid, udając zdumienie. – Naturalnie, że chciałem powiedzieć myszołowy... że sępy są w stanie lokalizować zdychające zwierzęta z odległości pięciu do dziesięciu mil – pomimo że wszystkie, od momentu narodzin, są zawsze całkowicie ślepe.

Gold poderwał głowę w mimowolnym odruchu sprzeciwu. Spojrzał na Sida jak przez mgłę.

– Kto tak mówi? – warknął, chociaż wcale nie chciał się odzywać.

– A nie są ślepe? – spytał Sid.

– Nie.

– Dlaczego sądzisz, że nie są?

– Wiedziałbym, gdyby były – powiedział Gold.

– Niby skąd? – zadrwił jego ojciec. – Z tego swojego college'u?

– Sid zna się na nauce lepiej od niego – nadała się Harriet.

– No pewnie – poparł ją ojciec Golda. – Sid robi wynalazki. Ja robiłem interesy. A teraz jestem na emeryturze.

– Napiłbym się jeszcze piwa – powiedział Sid. Esther zerwała się z irytującą skwapliwością, żeby mu usłużyć, i wszystkim zrobiło się jej nieznośnie żal. – Skąd miałbyś to wiedzieć? – spytał Sid Golda.

– Ze słyszenia – powiedział ze znużeniem Gold. – Tak samo, jak dowiedziałem się o termitach i kretach. Termity i krety są ślepe. Sępy nie.

– Sid nie mówi o termitach i kretach – powiedziała Harriet z urazą. – A on zawsze musi go poprawiać – dodała, zwracając się do pozostałych członków rodziny.

– Krety robią kopczyki. – Macocha Golda wygłosiła tę mądrość znad swojej robótki, przebierając szparko drugimi drutami, które chyba nigdy nie próżnowały. Z boku jej nosa jarzył się krwistym na tle bladej skóry punkcik szkarłatnego pryszczu. Świeżo umyte siwe włosy ułożyły jej się na głowie trochę asymetrycznie i kojarzyła się Goldowi z postacią obłąkańca z malowidła przedstawiającego szarżę Picketta⁶ pod Gettysburgiem. – A niektórzy ludzie – dodała, zerkając na Golda i rozpraszając w ten sposób wszelkie wątpliwości co do osoby, którą ma na myśli – biorą te krecie kopczyki i usypują z nich góry.

⁶ George Pickett – generał-major Armii Konfederatów; 3 lipca 1863 roku, w bitwie pod Gettysburgiem, poprowadził na pozycje Unii szarżę kawalerii, która została odparta i zdziesiątkowana.

– Nawet Biblia tak mówi – oznajmił Sid, kiedy Gold zgrzytał jeszcze cicho zębami.

– Biblia? – Gold zjeżył się czujnie jak spłoszony leopold. Co prawda prowadził na uniwersytecie cykle wykładów ze znajomości Biblii, ale nigdy nie udało mu się przeczytać w całości żadnego z Testamentów, a wiele z tego, co przeczytał, pozostawało dlań niezrozumiałe. Wartość tak sławionej Księgi Hioba uznawał za problematyczną – rozwlekły język, niejasna treść – i niewiele lepszą opinię miał o Pieśni nad Pieśniami Salomona.

– W którym miejscu Biblia tak mówi?

– Trzech rzeczy pojąć nie mogę – zaciągnął niczym kantor Sid – drogi sępa do ofiary, drogi ziarna do kolby kukurydzy i drogi mężczyzny do młodej kobiety⁷. Czy tak nie jest? – To zwięzłe pytanie skierowane było do pozostałych i stanowiło prostoduszne odwołanie się do ich zdrowego rozsądku.

Gold wiedział, że dobrze usłyszał, ale mimo to nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– O, cholera – mruknął, a głośniejszym głosem powiedział: – Trochę to poprzekręcałeś.

Sid zrobił niewinną minę.

– Nikt nie jest doskonały, Bruce – powiedział skruszonym tonem.

– Iz czego tu wynika, że sępy są ślepe?

– Och, mały. – Sid odstawił szklankę i zaczął osuszać sobie dłonie pocierając jedną o drugą. – Chodziłeś do college'u, prawda? Rusz głową. Co by w tym było takiego specjalnego, gdyby sępy widziały? Czy warte by to było wspomnienia w Biblii?

– Jasne, że nie – wtrącił ojciec.

– Bruce wcale się nie kłóci – wstawiła się za Goldem Esther z wyraźniejszym niż zazwyczaj drżeniem w głosie.

– On się tylko przekomarza – dorzuciła Belle.

Wywodząc się z nizin społecznych, powiedział sobie w duchu ogarnięty autobiograficzną obsesją Gold, tak jakby dyktował wspomnienia swoje albo Henry'ego Kissingera. Moja rodzina klepała biedę i nie mogłem liczyć na żadną taryfę ulgową. Jeśli chodzi o ścisłość, to nie klepaliśmy takiej znowu biedy, a wobec mnie stosowano bardzo ulgową taryfę, ale później dowiodłem, że nie aż taką, na jaką zasługiwałem. Trudne dzieciństwo opóźniło rozwój. Moja gwiazda nie mogła rozblęsnąć pełnym blaskiem pod brzemieniem pochodzenia. Do wszystkiego, co mam, doszedłem sam, jeśli nie liczyć tego, co zawdzięczam ojcu, matce i mojemu bratu oraz wszystkim czterem starszym siostram. Nie miałem żadnych atutów, poza wrodzoną inteligencją, której, jak podejrzewam, nie odziedziczyłem po osobach podających się za moich rodziców, lecz po kimś zupełnie innym. Istnieją podstawy, by przypuszczać, że jestem szlachetniejszego rodu, niż na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, i że znalazłem się wśród tych porządných, ale ograniczonych ludzi pracy jako nieszczęsna ofiara przeróżnych niefortunnych zbiegów okoliczności, zbyt splątanych, by pokusić się teraz o ich rozwikływanie. Mój starszy brat Sid, którego znam od urodzenia, najstarszy z naszej siódemki, jest solidnym, dobrze prosperującym biznesmenem, interesuje się amatersko przyrodą oraz mechaniką, ma hojną rękę, dobre serce, jest bezpośredni w kontaktach z ludźmi, a przy tym wszystkim jest z niego kawał kretyńskiego imbecyla, który ma mnie za gówna i robi mi wykłady o sępach.

Obecna wojownicza zawziętość Harriet kontrastowała jaskrawo z erupcją konspiracyjnego ciepła, jaką powitała Golda. Biorąc go na stronę, powiedziała konfidencjonalnie:

– Esther sądzi, że Milt może ją wkrótce poprosić o rękę. Musisz nam pomóc. Prosiła Rose, żeby poprosiła Idę, żeby ta dowiedziała się od Sida, czy w grę będzie musiał wchodzić jakiś seks.

Gold zwinął się wewnętrznie w kłębek.

⁷ Zniekształcony cytat z Biblii.

– A co ja mam do tego?

– Ty potrafisz dociekać takich spraw – wyjaśniła mu nie znoszącym sprzeciwu tonem Harriet. – Jesteś profesorem angielskiego. Sid zna się na nauce.

– Chodźmy na powietrze! – zawołał w tym momencie z nie skrywaną złą wolą ojciec Golda. – Przyjemnie teraz na werandzie.

Ta zachęcająca opinia o warunkach pogodowych zabrzmiała jak podzwonne dla ich dzisiejszych szans i Gold poczuł w żyłach kończyn wilgotny chłód topniejącego śniegu.

– Ostrzegłam Sida – oświadczyła Harriet i w ramach przygotowań do nadciągającego konfliktu ściągnęła twarz we wrogą maskę. – Jeśli do końca tygodnia nie wyjadą na Florydę, to zabieram córki i wnuki i sama wyjeżdżam.

Gold niezbyt swobodnie się czuł w towarzystwie tej jędzowatej, skąpej kobiety po sześćdziesiątce, z którą od ponad trzydziestu lat wciąż miewał z tego czy innego powodu na pieńku. Przy zadbany mężczyźnie w kwiecie wieku, za jakiego siebie uważał, Harriet wyglądała na przynajmniej o jedno pokolenie starszą niż w rzeczywistości, bliższą wiekiem ojcu niż jemu. Zauważył, jak ściągniętą i zniszczoną ma skórę wokół wąskich oczu i ust, jak powiększyły się jej pory twarzy i przerzedziły farbowane na kasztan włosy. Wspomniał dawne libertyńskie eskapady Sida z przyjaciółmi i przyszło mu do głowy pytanie, jaki też stosunek ma teraz Sid do Harriet. Wycięto jej woreczek żółciowy, jej młodszy brat zmarł kilka lat temu na raka, córka przyjechała z dziećmi z Pensylwanii z kolejną wizytą i wszystko wskazywało na poważny rozdźwięk w tym małżeństwie. Sid był na wszystko zobojętniały. Rzadko rozmawiał z dziećmi, a kiedy już, to prawie zawsze z nieświadomą nutką krytycyzmu i zawodu. Przez całe życie był zamknięty w sobie, kto wie, czy nie w wyniku urazu z młodości, kiedy to pozostawał w nieustającym konflikcie z ojcem, człowiekiem, który potrafił być równie przykry w stanach lekkiego poirytowania, jak i podczas wulkanicznych erupcji gniewu, a do tego okropnie przygnębiający w swoich chronicznych nawrotach namiętne nucenia albo niepohamowanych napadach śpiewania. Jego repertuar zaczynał się od prostych hebrajskich przyśpiewek, poprzez naśladownictwo rzeźkich przebojów amerykańskiej operetki i Gilberta O'Sullivana zasłyszanych w rodzinnym radio, i na własnych interpretacjach łzawych ballad o nieszczęśliwej miłości, najnowszych kandydatkach na pierwsze miejsca Lucky Strike Hit Parade kończył. Slogan „Ipana na piękny uśmiech” stał się nieznośną, żenującą odżywką, którą nieodmiennie witał sąsiadów i klientów swojego zakładu krawieckiego. Czasem powtarzał sobie pod nosem: „Sal Hepatica na zdrowy uśmiech”. „Kiedy natura się zaniedbuje, Ex-Lax cię poratuje”, brzmiał kolejny slogan.

Julius Gold poprawił sobie na nosie okulary w bezbarwnej oprawce, którą nosił od kilku lat – czyli od kiedy postanowił grać dystygowanego starszego pana – bo ładnie harmonizowała ze sztywną, falującą szopą gęstych, siwych włosów, i przytrzymując uchylone drzwi na werandę, wydmuchnął w powietrze dym z cygara. Sid, zbyt senny, by walczyć, zdążył już zastygnąć w zrelaksowanej pozycji.

Pierwsza do boju ruszyła Harriet.

– No i jak się wam podobał tegoroczny pobyt w Nowym Jorku? – spytała ze zgryźliwą uprzejmością.

– Powiemy wam – odparł ojciec Golda – kiedy dobiegnie końca.

I tak ofensywa Harriet załamała się już na samym wstępie.

Ojciec Golda miał na sobie granatowy golf i sportową kaszmirową marynarkę w neutralnym kolorze, którą Gold wycenił na oko na co najmniej dwieście dolarów. Z butonierki wykwiatała mu korona granatowej chusteczki w kropki. Ten sukinsyn prezentuje się lepiej ode mnie, pomyślał z przygnębieniem Gold. Nim minie dziesięć lat, zobacze go w zamszowej kowbojskiej kurtce z frędzlami na karczku i rękawach i będę przy nim wyglądał tak samo flejowato jak Sid. Nie ma co, wielki krok od tamtej ciasnej pracowni krawieckiej, po której staruch miotał się jak oszalały w wytartej kamizelce i obszernej, łopoczącej koszuli, z

furkoczącym centymetrem na szyi, trzymając w zaciśniętych wargach szpilki, a w rękę płytkę kredy do znaczenia.

Gold udał, że dygocze z zimna.

– W gazetach piszą coś o śniegu – mruknął.

– Nie w moich – powiedział ojciec.

– W Dakocie Północnej – wtrąciła macocha.

– Dwójka naszych znajomych z Miami – dodał ojciec – wykorkowała w zeszłym tygodniu na skutek upałów.

Harriet szturchnęła z ponurą miną Sida.

– Zdaje się, że chciałeś o czymś porozmawiać.

– O przestępczości? – spytał z wahaniem Sid.

– Bardzo ostatnio wzrosła – odezwała się Belle.

– Instytucja kaucji nie zdaje egzaminu – włączył się Gold. – Jeśli wyznaczy się ją za niską, notoryczni przestępcy wracają w mgnieniu oka na ulice. Jeśli za wysoką, to ponoszą karę, zanim udowodni się im winę, bo siedzą do sprawy. Stosowanie kaucji staje się archaiczne, kiedy szerzy się przestępczość i domniemanie niewinności nie opiera się już na bezpiecznym współczynniku prawdopodobieństwa.

Ojciec wybijał werbla palcami.

– To samo mamy teraz u siebie, na Florydzie – mruknął, jakby w ogóle nie słyszał, co Gold przed chwilą powiedział.

– A ceny? – spróbował z innej beczki Gold, strzelając w ciemno.

– W Nowym Jorku taka drożyzna – podchwyciła Harriet.

– Stać nas na nią – powiedział ojciec.

– Nie potrzebujemy jałmużny – dorzuciła macocha.

– Starcza nam to, co dostajemy od ciebie i Sida – wygadał się niebacznie przed Harriet ojciec – i od reszty moich dzieci. Nawet moja córka z Kalifornii przysłała mi pieniądze. Joannie.

– Koniec świata – westchnęła Harriet, dając znowu za wygraną.

– Innymi słowy – powiedział z uśmiechem Sid – tobie i mamie wszystko się w Nowym Jorku podoba?

– Czasami robi się tutaj trochę zimno – oświadczył po chwili namysłu ojciec – w okolicach lutego i marca, ale poza tym jest w porządku. To Stan Imperialny.

Gewalt! – zawył w duchu Gold.

– Nie możecie siedzieć tutaj tak długo! – wybuchnął. – Dwa lata temu zostaliście z mamą...

– Nie jestem twoją matką – przypomniała mu opryskliwie macocha.

– Sid? – Gold spojrzał błagalnie na brata.

– Tato, naprawdę robi się za zimno i o wiele za wilgotno dla ciebie i mamy – przyszedł mu w sukurs Sid.

– Nie tutaj – odparł Julius Gold.

– Co ty opowiadasz? – w głosie Golda pojawiły się piskliwe tony. – Naokoło woda. Za plecami masz zatokę, a przed sobą cały ocean.

– Lubimy słony zapach morza – odezwała się macocha.

– Mamy tutaj suche zimno – dodał ojciec.

– I bardzo suchą wilgoć.

– Jak to jest – zapytał Gold – że Sid może cię nazywać mamą, a ja nie?

– Bo jego lubię – odparła macocha nie zmieniając wyrazu twarzy.

– A to dobre! – roześmiał się ojciec. Gussie promieniowała tryumfem.

– Potrzyj to chwilę – powiedziała, podając Goldowi druty i pasmo wełnianej robótki. Musiał wstać, żeby je od niej odebrać. Ścisnął to wszystko kurczowo, bojąc się śmiertelnie

upuścić coś na podłogę. – Potrzebuję twojej pomocy – ciągnęła swoim lekko śpiewnym głosem. – Nie wzięłaś jeszcze ode mnie koszyka, prawda? – Wcisnęła mu swój wiklinowy koszyk pod pachę. – Masz.

– Co mam z tym zrobić? – spytał Gold.

– Ta chwila jeszcze nie nadeszła – odparła.

– To też dobre! – ucieszył się ojciec.

Mamuniu! Gold przeklinał swój los i najchętniej cisnąłby w kogoś czymś ciężkim, gdyby nie czuł się obarczony odpowiedzialnością za trzymanie robótki macochy.

– Chyba zdajesz sobie sprawę, że nie będę miał teraz dla was tyle czasu co dotychczas – powiedział z pogroźką w głosie do ojca. – Czekam mnóstwo pracy w Waszyngtonie. A do tego muszę jeszcze wykładać na uczelni i pisać swoje książki.

– A my z Sidem – włączyła się Harriet – wyjeżdżamy prawdopodobnie na długi urlop. Może nawet na Florydę.

– Możecie się tam zatrzymać w moim mieszkaniu – dodał ojciec.

Sid przysłonił dłonią uśmiech.

– Tato, przecież ty nie masz tam żadnego mieszkania. W tej właśnie sprawie nas tutaj zaprosiłeś. Żeby porozmawiać o nabyciu kondominium.

– Jasne, przecież powiedziałem, że w sprawie kondominium – przypomniał sobie zgodnie stary. – Porozmawiamy o tym przy obiedzie.

– Przy obiedzie? – Goldowi znowu załamał się głos. – Przyszliśmy tu na lunch.

– Wymyśliłem, że w porze lunchu pójdziemy na obiad do takiej przyjemnej chińskiej restauracyjki tu niedaleko. Powiedzieliście im przez telefon, Sid? Nigdy nie jadłem z wyszczerbionej porcelany w domu, i nie mam zamiaru jeść z takiej teraz, u tej zgrai zawoszonych żółtków. Czego on tam stoi z tą wełną jak idiota? – zapytał wskazując na Golda.

– Ta chwila chyba już nadeszła – powiedziała macocha Golda i wyrwała mu z rąk swoją robótkę i koszyk. – Oddaj, to moje.

Tatuniu, jęknął w duchu Gold i opadł na fotel.

– No, chyba już ci się pomału kończą te żydowskie święta, co? – rzucił wyzywająco, zwracając się do ojca. Stary zaniemówił, wstrząśnięty tym bezczelnym wtargnięciem w dziedzinę wiedzy, do której dotychczas uzurpował sobie monopolistyczne prawo. – W najbliższym czasie nie będzie żadnego, aż do... – Gold wysunął z kieszeni wystukany na maszynie wykaz i wysukał w nim stosowną pozycję.

– Aż do Chanuka – uprzedził go ojciec, odwracając się bokiem, żeby własnym ciałem zasłonić coś przed oczami obecnych. – A to przypada... dopiero pod koniec grudnia.

Gold podniósł się bezszelestnie z fotela i zajął ojcu przez ramię. Ojciec ściągał z wykazu żydowskich świąt podobnego do tego, jaki miał on. Stali obaj przez chwilę z paskami papieru w rękach i patrzyli na siebie z obopólnym rozbawieniem.

– Skąd to masz? – zapytał Gold.

– Od Tauba z Miami – odparł ojciec. – A ty?

– Od Epsteina z „Monarchii i monoteizmu”. No więc jak, wracacie?

– Jesteśmy praktycznie spakowani. – Gold usiadł z powrotem. – Ale najpierw wielkie przyjęcie – oznajmił ojciec z godnym boksera wskrzeszeniem siły woli i Gold znowu zerwał się na nogi. – O nie, mój panie. Ranić uczucia własnych dzieci? To nie ja.

Sid po tym najnowszym objawieniu najszybciej doszedł do siebie.

– Jakże znowu przyjęcie? – spytał.

– Z okazji naszej rocznicy – oświadczył z emfazą stary. – Zapomnieliście wszyscy? Zbliża się dziesiąta rocznica naszego ślubu. I nie chcemy z Gussie nikogo unieszczęśliwiać, wyjeżdżając przed przyjęciem, które wydadzicie z tej okazji.

– Kiedy to wypada? – spytał wyzywająco Gold. – W jaki dzień?

Julius Gold zmieszał się dziwnie i spojrział z zakłopotaniem na żonę, szukając u niej wsparcia. Gussie energicznym potrząśnięciem głowy odmówiła zabrania głosu.

– Czternastego listopada – odezwała się Belle. – W piątek.

– No właśnie – podchwycił skwapliwie Julius Gold. – Czternastego listopada, w piątek. I za nic nie opuścimy tego przyjęcia, prawda?

– Za nic – przytaknęła Gussie Gold – nawet za całą wełnę, jaka jest w Chinach.

Gwiazda przewodnia nakazała Goldowi siedzieć cicho.

– A dużo w Chinach tej wełny? – spytała kąśliwie Harriet z cieniem wyższości w głosie.

– O, tak – zapewniła ją Gussie Gold. – Więcej niż gdzie indziej na świecie. Importują ją, żeby odziać ogromne rzesze ludzi. Bo widzicie, na świecie blisko jedna osoba na cztery jest Chińczykiem, chociaż wielu może na to nie wyglądać.

– *Emys?* – mruknął do Sida ojciec Golda z nutką niedowierzania w głowie. Skrzywił się z niesmakiem, kiedy Sid kiwnął głową.

– A to znaczy – ciągnęła pouczająco macocha Golda – że z nas siedmiorga, jak tu dzisiaj siedzimy, blisko dwoje jest Chińczykami, chociaż mogą na to nie wyglądać.

Tym razem Sid pokręcił głową, co widząc Julius Gold wbił zęby w cygaro i zaciągnął się kilka razy pod rząd, rozjarzając jego czubek do czerwoności.

– A kto urządza to przyjęcie? – spytała Belle.

– Jeszcze się nie namyśliłem – odparł stary, wydmuchując dym w powietrze. – Może Rosie, bo blisko mieszka. Może Esther, bo jest zupełnie sama i ma czas. Może Muriel, bo wie, że jej nie lubimy i może nie będzie taka zazdrosna, jeśli wybiorę właśnie ją. Może Ida z Irvem, bo oni mają pieniądze, chociaż wiem, że nie lubią ich wydawać. Może Sid z Harriet, bo obecna tu Harriet zawsze jest taka szczęśliwa, kiedy przychodzimy do niej z wizytą, prawda, Harriet? A swoją drogą, gdzie są Ida, Irv, Rose i Max? Zaprosiłem ich. Czemu ich tu nie ma?

– Już ci mówiłem, czemu – powiedział Sid.

– Irvowi trafiła się okazja zagrania w tenisa – wyjaśniła jeszcze raz Belle. – A Max poszedł z wizytą do brata.

– A gdzie Esther? – spytał stary tonem rozkapryszonego dziecka. Zaczął nagle sprawiać wrażenie bardzo sennego. – Co ona tak długo robi tam w środku?

– Nakrywa do stołu – odparła bez żenady macocha Golda. – Spytała, czy może pomóc przygotować stół do lunchu, to jej powiedziałam, że może.

– Przecież nie jemy lunchu w domu – powiedział ze zdziwieniem ojciec Golda. – Idziemy zjeść do chińskiej restauracji.

– O to mnie nie spytała – odparła macocha Golda. – Więc jej nie powiedziałam.

Słyszając tę odpowiedź, ojciec Golda zmierzył niechętnym spojrzeniem swoją drugą żonę, jakby dokonywał fachowych oględzin felernego ogniwa w zupełnie poza tym normalnym łańcuchu zdarzeń.

– Idź jej powiedzieć, żeby przestała – wycedził niezwykłym u mego cichym głosem i wdał się w mętłą konwersację z samym sobą, którą prowadził, dopóki Gussie nie znikła w domu. Wtedy zwrócił się do synów ze smutną refleksją:

– Wasza prawdziwa matka była od niej lepsza. Dużo chorowała, ale nigdy nie przerywała pracy.

Komentowanie tak wzruszającej pochwały wydawało się świętokradztwem. Sid zmienił temat:

– Tato, chcę pojechać w tym tygodniu na Florydę i wyszukać wam jakieś dobre lokum, w którym będziecie mogli zamieszkać po swoim rocznicowym przyjęciu.

– Nie wiadomo jeszcze, czy nie zostaną tutaj dłużej.

– Nie możesz tu zostać dłużej – powiedziała Harriet chyba z większą zapalczewością, niż zamierzała. – Nie mamy pieniędzy.

– Mogę żyć za swoje.

– Mamy pieniądze – Sid zgromił Harriet ostrym spojrzeniem. – A więc proszę cię, nie mów tak więcej.

Harriet zagryzła wargę.

– Teraz ty wszczynasz kłótnie – zarzuciła staremu.

– Ja? – zdziwił się Julius Gold i położył sobie rękę na sercu. – Ja wszczynam kłótnie? – Oburzenie wyzierało z całej jego postawy. – Wszyscy, tylko nie ja. Ja nigdy nie wszczynam kłótni. Trafiałaś na ostatnią osobę na świecie, która chciałaby się kłócić. To nie moja wina, że małżeństwo twojej córki się rozpada, zgodzisz się? Nie obwiniaj mnie za to, że nikt jej nigdy nie powiedział, jak być dobrą żoną. To nie ja jej kazałem wyjść za tego hałaśliwego bęcwała z Pensylwanii tylko dlatego, że jego rodzina ma domy towarowe. Czy ja kazałem Esther wychodzić za tego zwariowanego Mendeny'ego? – spytał niefortunnie akurat w momencie, kiedy Esther wychodziła z domu na werandę. Esther zatrzymała się jak wryta i usta wygięły się jej w podkówkę. – Od razu wiedziałem, że z takim charakterkiem długo nie pożyje. Wciąż na mnie najeżdżał, za nic. To nie moja wina, że ona jest teraz wdową i muszę świecić oczami przed znajomymi, że moja córka nie ma męża. Był paskudny na gębę jak małpa – lepsze mieli u Barnuma i Baileya. Czego ryczysz? – zachnął się spoglądając ze zdziwieniem na Esther. – Jak masz się tu mazać jak dzieciak, to wracaj lepiej do środka. Zaraz, zabierz te brudne szklanki, jak już tu jesteś. Jedna jest pęknięta. Nawet mnie nie zaprosiłaś na pogrzeb. Jej się wydaje, że ja nie pamiętam, tak? Ale ja wiem więcej, niż jej się wydaje. Myślałaś, że nigdy o tym nie wspomnę, co? – wyżywał się. Maską opadła, Gold gapił się na ojca z niedowierzaniem. Sadystyczne okrucieństwo nie opuściło szalonego krawca z Coney Island. Ten człowiek tylko się postarzał. Potwór, syknął w duchu z furią Gold, rzucając najpierw gniewne spojrzenie w stronę Belle, a potem wściekle na Sida, pieprzony potwór! – Gussie, daj mi płaszcz – polecił ojciec obojętnie i ze znużeniem, zmieniając nastrój tak błyskawicznie, że byłoby to nie do pomyślenia u osoby nie do końca obłąkanej. – Zaraz wychodzimy coś zjeść. I popraw sobie te włosy, czy jak. Wyglądasz, jakbyś miała krzywą głowę. – Wyciągnął nutę pośrednią pomiędzy jękiem a krzykiem i trzymał ją bucząc cicho, dopóki Gussie nie wyszła, a wtedy jego głos, bez najmniejszej przerwy w tym monotonnym, przygnębiającym buczeniu, zlał się w słowa: – Czy mi się wydaje, czy ona czasami gada od rzeczy? – Nikt nie odważył się przyznać, że mu się nie wydaje. – Czasami myślę sobie – dodał filozoficznie – że gdyby Żydzi się rozwodzili, to ja chyba też bym chciał.

– Żydzi się nie rozwodzą – powiedziała Belle, jedyna z obecnych kobiet, której jeszcze nie obraził.

– Nie prawdziwi Żydzi. Nie Goldowie. Nie ten Gold. – Stary jeszcze tylko przez chwilę był świętoszkowaty i pogodny. Potem znowu otworzył ogień: – Ktoś taki, jak ta ich zepsuta córka, może sobie wracać z dziećmi do domu swoich rodziców, i jak gdyby nigdy nic oświadczać, że chce się rozwieść. Albo komuś takiemu, jak ten twój wykształcony w college'u mąż, chodzi coś w tym rodzaju po głowie, kiedy wyjeżdża do Waszyngtonu do jakiejś podejrzananej roboty i zostawia tutaj żonę i pewnie nawet nie zaproponuje jej, żeby z nim pojechała. Ale nie ja. O co chodzi? – spytał zdziwiony, demonstrując znowu fenomenalną elastyczność właściwą człowiekowi nieuleczalnie egocentrycznemu. – Coście wszyscy tacy ponurzy? Przecież to rodzinne przyjęcie, no nie?

– Okropne rzeczy wygadujesz, tato – odpowiedział ostrożnie Sid.

– Ja? Ja wygaduję okropne rzeczy? – Ręka starego spoczęła znowu na sercu, a on sam oddalił zarzut z nieruchomym uśmiechem, kręcąc dogmatycznie głową: – Wszyscy, tylko nie ja. Ja nie z tych, co wygadują okropne rzeczy. Czy ja powiedziałem coś kiedy o tym, jak Ida musztruje tego swojego ciapciakowatego męża, albo o tym, co wyprawia Muriel z tym durnym Victorem? – Sapał z oburzenia, a oczy mu płonęły. – Czy ja coś mówiłem, kiedy wymykałeś się do Meksyku z tymi chudymi jak patyki modelkami tak często, że nawet twoja

żona o tym wiedziała, albo czy ja się kiedy skarżyłem, że mój młodszy syn, który wynajmuje w śródmieściu apartament dla swoich znajomych, ani razu nie zaproponuje mi, żebym się tam przespał, tylko odwozi mnie po nocy pod sam dom do Brooklynu?

– Zamkniesz ty się wreszcie?! – wrzasnął Gold.

– Nie położyłbym głowy na żadnym z tych twoich zaświnionych materacy!

– Byłbyś łaskaw się zamknąć?! – wrzasnął znowu Gold, zmagając się z pokusą złapania ojca i rozdarcia go na sztuki jak indyka.

– Ja? Ja mam się zamknąć? A co ja takiego straszno mówię? Zamknij się, mówisz do ojca? Sid był za młodu wielki jak futbolista, a i tak przez całe życie ode mnie obrywał. Raz ganiałem cię przez całe lato, pamiętasz? – przypomniał sobie i zachichotał.

– Tak, ganiałeś – mruknął Sid.

– Patrzcie, jak się ciepło robi, kiedy wiatr ustaje. No, coście tak wszyscy zamilkli? Nie chcę iść do restauracji z bandą ponuraków. Gussie, rozśmiesz kogoś – rzucił do żony, która wyszła właśnie z domu z jego płaszczem.

Gussie, której błyszcząca skóra była tak blada, że niemal przezroczysta, spróbowała. Podeszła do Golda ze swoim nieodłącznym koszykiem i wysunęła z niego rąbek robótki.

– To dla ciebie. Skończyłam. Weź, mój synu.

– Co to jest? – Gold odruchowo schował ręce za plecy.

– Skarpetka.

– Jedna? Zrobiłaś mi na drutach jedną skarpetkę?

– Mam tylko dwie ręce. W maju zobaczyłam dziurę w twojej skarpetce. Gdybym zobaczyła dziury w obu, zrobiłabym ci dwie.

– I co ja zrobię z jedną skarpetką?

– Może obetną ci którąś nogę – wtrącił stary i zachichotał zadowolony z siebie. – No bierz, ważniaku, bierz.

Gold ostrożnie wziął koniuszek robótki w dwa palce i pociągnął – i zrozumiał, że może tak ciągnąć, dopóki ziemia nie przestanie się obracać, bo z wiklinowego koszyka wysuwała się kawałek po kawałku serpentyna wełnianej taśmy, którą macocha tkala niczym pajęczycą przez wszystkie te lata, kiedy była jego macochą. To nie była skarpetka, to był żart, i wszyscy uśmiechali się już głupawo.

Gold, przeklinając Gussie w duchu, również zmusił się do uśmiechu i powiedział:

– Oj, mam, mam, ale mnie nabrałaś. To rzeczywiście bardzo śmieszne.

– Nie jestem twoją matką – padła natychmiast cięta riposta.

– Znowu go podeszła – rozpromienił się ojciec i wstał.

– To wszystko, cholera, przez ciebie – warknął zjeżony Gold do Sida, kiedy wysypywali się całą grupą z domu i kierowali do dwóch aut zaparkowanych przy krawężniku. – W przyszłym roku zakwateruj ich w dzielnicy sąsiadującej z moją, wśród tej zbieraniny czarnuchów, świrów i naciągaczy opieki społecznej, i wtedy zobaczymy, jak długo posiedzą. Posłuchaj, chciałem się cię poradzić w pewnej sprawie – szepnął, odciągając Sida jeszcze dalej od reszty towarzystwa. – Wydaje mi się, że mógłbyś mi pomóc.

– Wał, nie krepuj się. Dla ciebie wszystko, mały.

– Mógłbyś skończyć z tym zwracaniem się do mnie per „mały”.

Sid speszył się umiarkowanie.

– Nie wiedziałem, że cię to drażni. – Potarł sobie kłykciami podbródek w geście łagodnego zakłopotania. – Chyba już zawsze będę w tobie widział młodszego brata, obojętne jak starzy będziemy. Obiecuję, że nigdy już cię tak nie nazwę, mały. Coś jeszcze?

Gold machnął z rezygnacją ręką.

– Może mi się to przydać do mojej książki – powiedział i z pozorną niedbałością zaszedł Sida od drugiej strony, skąd pozostali nie mogli widzieć jego twarzy. – Pewien gość żydowskiego pochodzenia wyjeżdża na jakiś czas z miasta, dajmy na to do Waszyngtonu, i

chce się tam zatrzymać u innej kobiety. Czy istnieje jakiś sposób, żeby mógł się zabezpieczyć przed telefonami od swojej żony? Sid miał na to gotową odpowiedź.

– Meldujesz się w hotelu – odparł z radosnym podnieceniem człowieka, który znalazł właśnie pokrewną duszę – i dzwonisz co wieczór do hotelowej centrali, żeby nie łączyli do ciebie żadnych rozmów. Rano dzwonisz tam znowu, żeby sprawdzić, czy były do ciebie jakieś telefony. Oddzwaniaasz do domu zawsze ze swojego pokoju hotelowego.

– Ja bym się chyba bał.

– Och, nie, mały, nigdy się nie bój. Strach jest najgorszy. Masz tam jakąś ładną dziewczynkę?

– Tu nie o mnie chodzi.

– Szkoda. Najgorsze ze wszystkiego to się bać. – Sid z błyszczącymi jakimś uduchowionym wspomnieniem oczami zaszedł Golda z pozorną niedbałością od drugiej strony, skąd reszta towarzystwa nie mogła widzieć jego twarzy. – Zwykłem kiedyś spędzać weekendy w Acapulco, kiedy rzekomo miałem bawić w Detroit i Minneapolis. Pewnego razu przebalowałem cztery noce tu, na Manhattanie, podczas gdy ona myślała, że jestem w Seattle.

– Przydybano cię raz w Acapulco, o ile pamiętam? Sid pokiwał głową z cichym oskrzelowym chichotem.

– Jej wujek bawił wtedy w Meksyku na zjeździe aptekarzy. Ale to nie miało znaczenia i wcale się nie przestraszyłem. Kiedy wyrzucała mnie z domu, wracałem do Acapulco. Kiedy sama wyprowadzała się z dziećmi do matki, przenosiłem się do hotelu w Nowym Jorku i urządzaliśmy tam sobie balangi z Paralitykiem, tym mechanikiem Kopotkinem i Plamką Weinrockiem. Mursh pracował wtedy w szpitalu na internie i przyprawdzał pielęgniarki. Kiedy Harriet tłukła popielniczkę, ja rozbijałem talerz. Ona przewracała krzesło, ja cały oszklony kredens pełen porcelany. Kiedy się wreszcie przekonała, że mnie niczym nie nastraszy, zrobiło się z nas chyba całkiem udane małżeństwo.

Sid nigdy tyle o sobie nie opowiadał ani nigdy nie wyglądał na tak wesołego i ożywionego. Gold słuchał go z fascynacją. Nauka, maszyny, przerażające konie pociągowe z zakładów pralniczych Brighton Laundry, teraz niewierność małżeńska i awantury domowe rodem z farsy – wąski zakres tematów, jakie poruszał z nim starszy brat, wyraźnie się poszerzył. Za tą zdyscyplinowaną powściągliwością musiało się kryć o wiele więcej.

– Wiesz co, Sid, zjedźmy razem lunch, kiedy wrócę z Waszyngtonu – zaproponował Gold w przyptywie rozsadzających go rodzinnych uczuć. – Zabiorę cię do jednej takiej szykownej restauracji, gdzie będziesz mógł zobaczyć na własne oczy paru znanych pisarzy i ludzi teatru.

– Z miłą chęcią! – wykrzyknął Sid z taką szokującą skromnością, że Gold wybałuszył na niego oczy. – Chyba tylko raz jedliśmy wspólnie lunch, kiedy skończyłeś studia. Wiesz mały, wszyscy jesteśmy z ciebie bardzo dumni – wyjawiał, potęgując tym jeszcze zaskoczenie Golda. – Nie każdy ma profesora college'u w rodzinie.

– Zapewniam cię, że gówno to po was widać – odparł z uśmiechem Gold. Harriet, siedząca za kierownicą cadillaca Sida, zatrąbiła na nich klaksonem. – Ale powiedz mi, dlaczego przestałeś skakać na boki? Wiek? Zdrowie?

Sid odparował, że ma dopiero sześćdziesiąt dwa lata.

– Zacząłem się bać – wyznał rumieniąc się. Zająwszy miejsce w samochodzie Golda, Esther znowu zaczęła płakać.

– To wcale nie było tak, że nie życzyliśmy go sobie na pogrzebie – tłumaczyła, podczas gdy Gold starał się nie zwracać na nią uwagi. – Chcieliśmy oszczędzić mu kłopotu.

– Jak to się stało – spytał Gold Belle – że pamiętałaś datę rocznicy ich ślubu, skoro oni sami jej nie pamiętają?

Belle uśmiechnęła się.

– Wymyśliłam ją na poczekaniu. Wybrałam piątek, żeby w sobotę mogli się spakować i wyjechać w niedzielę.

Gold pokiwał z uznaniem głową. Obie kobiety wysiadły przed chińską restauracją przy King Highway, a Gold przyjął kwadrans samotności, bo tyle czasu zajęło mu znalezienie miejsca do zaparkowania i dojście piechotą do restauracji, jak dar zesłany przez Boga.

– Nikt nie wie, gdzie jest ujście Nilu – zagaił Sid bez ostrzeżenia, kiedy Gold siadał na swoim krześle. Zamówił już wcześniej rodzinny obiad na dwanaście osób.

– Źródło – sprostował Gold i doprowadził do końca operację siadania.

– A jak ja powiedziałem?

– Ujście.

– To ci dopiero – powiedział Sid z twarzą, na której widniały przekora i zachwyty. – Nie jestem dzisiaj sobą.

– Owszem, jesteś, i zaraz cię kopnę w dupę.

– Prosi, żeby mu podać zupę – pisnęła Belle z podziwu godną przytomnością umysłu.

– A poza tym każdy wie, gdzie jest źródło Nilu – mruknął Gold, wbijając nieruchomy wzrok w dania, które zdążyły już wjechać na stół.

– Każdy?

– Ja tam nie wiem – rzucił wyzywająco ojciec.

– Nie sądzę, żebym wiedziała, gdzie jest źródło Nilu – powiedziała macocha.

– Ja też nie wiem – przyznała Esther.

– Wie każdy, kto zada sobie trud, aby się tego dowiedzieć.

– A ty wiesz? – spytał złośliwie Sid.

– Wiem – odparł Gold. – Które cię interesuje? Bo są dwa Nile.

– Dwa Nile? – zdumiały się zgodnym chórkim kobiety.

– Tak – powiedział nieopatrnie Gold. – Błękitny i Biały.

Uświadomiwszy sobie złowróżbną ciszę, jaka zaległa, podniósł zaniepokojony wzrok i z niewysłowionej powagi malującej się na twarzach wpatrzonych weń współbiedniaków wyczytał, że wdepnął w kolejną fatalną pułapkę. Ujrzał współczucie przemieszane z niepokojem w oczach kobiet i lży litości zbierające się ponownie na rzęsach Esther. Och, Sid, Sid, ty zdradziecki, złośliwy, infantylny, skurwysyński sukinsynu, zaintonował Gold w duchu litanie udręki. Znowu wpuściłeś w maliny swojego młodszego brata.

– Dwa Nile? – warczał już gniewnie ojciec, wychlapując sobie na kolana gorącą herbatę z trzymanej trzęsącą się ręką filiżanki. – Błękitny i Biały? Co temu człowiekowi, cholera, jest?

– Nie widzisz, że żartuje? – wtrąciła bez większego przekonania Belle.

– Coś nie w porządku? – zapytał z groźną dociekliwością wysoki, dobrze umięśniony kierownik, który wyrósł przy ich stoliku jak spod ziemi, wiedziony troską o to, by w jego restauracji nie doszło broń Boże do jakiejś wpadki. Po chwili, ze wzbudzającą grozę lojalnością, doszłusował do niego bezszmerowo drugi kandydat na mistrza świata w karate.

– Ależ skąd – jowialnie uspokoił obydwu mężczyzn Sid. – Chcielibyśmy tylko zamówić jeszcze dwie porcje wołowiny. Zupa jest przepyszna.

Gold, widząc bezcelowość kontynuowania rozpoczętego tematu, wykorzystał ten przerywnik, by uciec swemu przeznaczeniu.

– Dajmy spokój tym Nilom – rzucił prosto z mostu. – Co z twoim kondominium?

Ojciec dał się zaskoczyć. Szczeka mu opadła, a policzki zaczęły drżeć.

– No właśnie – wsparł Golda Sid.

– Dlaczego nie mogę tu zostać? – spytał ojciec Golda i dodał przypoehlebnie: – Przecież nie sprawiam nikomu kłopotu.

– Tato, chcę, żebyś kupił to kondominium.

Stary jeszcze przez chwilę rozglądał się błędnie, z kompletną dezorientacją po sali. Krew uderzyła mu alarmującą falą do twarzy, a gniew i bezbrzeżne zakłopotanie dławili go tak, że zdawał się walczyć o każdy haust powietrza. Nie mógł dobyć z siebie głosu. Miotany furią i

frustracją jał władczymi spazmami wskazywać zgiętym palcem na stół przed sobą, jego szkliste spojrzenie przeskakiwało to na osoby siedzące po jednej, to po drugiej stronie. Z pierwszym drgnieniem jego ręki ocknął się drzemiący w nich wszystkich stary odruch i zdjęci przerażeniem rzucili się do podsuwania mu na wyścigi najbliższych talerzy z jedzeniem. Gold obiema rękami popchnął w jego kierunku jeden za drugim półmiski z kaczką, kotletami schabowymi i ryżem. Esther, która siedziała najbliżej, podała mu ogromną wazę zupy. Gold zauważył cieniutką jak włos ryse na jej powierzchni w chwili, kiedy było już za późno, żeby krzyknąć, i intuicja, nie pozostawiając najmniejszych wątpliwości, podpowiedziała mu, co za chwilę się stanie. Huk, z jakim waza roztrzaskała się o podłogę, był w rzeczywistości jeszcze ohydniejszy niż w jego najczarniejszych wyobrażeniach. W mgnieniu oka, z obliczem wyrażającym straszliwą siłę charakteru i władczość, znowu zmaterializował się przy nich kierownik, tym razem w towarzystwie trzech śmiertelnie poważnych wojowników o onyksowych oczach i ogolonych na głacę głowach oraz nerwowej kobiety o orientalnych rysach, z jaskrawą szminką na ustach i bardzo długim, cienkim ołówkiem w ręku.

– Coś nie w porządku?

– Porcelana była wyszczerbiona? – spytała Esther.

– *Wer gehargit!* – ryknął stary w odpowiedzi groźnemu chińskiemu kierownikowi, kiedy wreszcie udało mu się dobyć z siebie głos, dźgając przy tym wysokiego mężczyznę palcem wskazującym w brzuch i odpychając go od stolika. Kierownik pobladł, kiedy Julius Gold, wytykając go wciąż oskarżycielsko palcem, wrzasnął: – Ja nie chcę żadnego kondominium! Ja mieszkam tutaj, nie tam! Jeżdżę tam tylko na wakacje!

Sid był już na nogach i wciskał komu popadnie dwudziestodolarowe napiwki, tryskając przy tym jak fontanna pompacyjnymi przeprosinami. Żeby go szlag trafił, pienił się Gold, rozdając z najswobodniejszym z wymuszonych śmiechów jedno- i pięciodolarowe banknoty oniemiałym dzieciakom i ich rodzicom przy sąsiednich stolikach. Powinno się go zamknąć! I to nie w szpitalu, lecz w więzieniu! Powinno się tego świrniętego, pieprzonego sukinsyna przykuć łańcuchami do ściany lochu pod sufitem!

Podłogę wytarto szmatą, oni zaś w całkowitym milczeniu i męce udawania, że nic takiego się nie stało, skończyli posiłek i przeszli do deseru składającego się z ananasów, lodów i ciasteczek szczęścia. Negocjacje z ojcem były krótkie. Stary wróci na Florydę dopiero wtedy, kiedy będzie chętny i gotowy. Sid gwarantował mu co miesiąc odwiedziny przynajmniej jednej gałęzi rodziny na nie mniej niż pięć dni. Coś podobnego. Co trzy tygodnie na siedem dni? To się jeszcze zobaczy.

– Żeby go szlag trafił! – odreagowywał Gold, kiedy wracali z Belle samochodem do domu. – Żeby tak stary sukinsyn dostał znowu bronchitu i zaczął sobie wykastywać płuć. Żeby zaczął się uskarżać na samotność, bo go nie odwiedzamy.

– Ty będziesz w Waszyngtonie – powiedziała lakonicznie Belle.

I ciebie też by szlag trafił, wybuchnął milcząco, zerkając złym okiem na żonę. Masz, cholera, rację, będę w Waszyngtonie. O północy wisiął na telefonie, błagając Joannie, żeby przyleciała z Kalifornii do Nowego Jorku i spróbowała wpłynąć na starego. Joannie miała jednak kłopoty z Jerrym i prawnik nie radził jej opuszczać miejsca zamieszkania.

– Stłukł wazę z zupą! – relacjonował rozwlekle Gold, uderzając w tragiczny ton. – Stłukł tę cholerną wazę z zupą! To był chyba najgorszy dzień w moim życiu. Potem, jeszcze w tej samej restauracji, w której stłukł tę wazę, trafiło mi się najdziwniejsze ciasteczko szczęścia, o jakim słyszano. A kiedy w końcu wracałem do domu, ktoś poodwracał dla kawału wszystkie znaki ruchu jednokierunkowego i nie mogłem ani podjechać w pobliże domu, żeby wysadzić Belle, ani wycofać się z tego labiryntu, żeby odprowadzić wynajęty samochód do agencji. Gussie powiedziała, że zrobiła mi na drutach skarpetkę...

– Jedną skarpetkę?

– Powiedziała, że ma tylko dwie ręce. I okazało się, że to nie skarpetka, tylko ten pas wełny, nad którym pracuje, od kiedy ją znamy, i wszyscy się ze mnie śmieli. Nikt z moich znajomych nie traktuje mnie z szacunkiem.

– Jesteśmy rodziną, Bruce. Chcesz, żebyśmy i my tytułowali cię doktorem?

– Nie mówię tylko o nich. Każdy, z kim się stykam, traktuje mnie jak *szmoka*. Nawet chińskie ciasteczka szczęścia. Wczoraj w sali gimnastycznej natknąłem się na Plamkę Weinrocka, wiesz, tego faceta, z którym dorastaliśmy na Coney Island, i on mi powiedział, że Belle jest przysadzistą klempą, i w ogóle rozmawiał ze mną tak, jakbym dalej był zasmarkanym gówniarzem z podstawówki. Belle chyba nie jest przysadzista, co?

– Niestety – powiedziała Joannie po krótkiej chwili wahania. – Jest.

– No dobrze, i co takiego złego w przysadzistości?

– Ja nie powiedziałam, że to coś złego. Jedne kobiety są szczupłe i wysokie, jak ja, inne niskie i... i tak dalej.

– To chyba nie jej wina, że jest przysadzista, prawda? – Golda ogarniała irytacja. – Tacy się rodzimy. To nie moja wina, że jestem niski, no nie?

– Wcale nie jesteś niski – pocieszyła go Joannie. – Jesteś średniego wzrostu.

– Średni wzrost to za mało.

– Co ci powiedziało to ciasteczko szczęścia? Gold zaskowyczał, złorzecząc losowi.

– Całej reszcie trafiły się normalne. Ja nigdy nie tykam tego diabelstwa. Zmusili mnie. – Opowiedział Joannie, jak dopiero po długim molestowaniu przełamał wybrane ciasteczko i wyciągnął ze środka stoicką wiadomość: URAZISZ SIĘ W STOPE. – I wszyscy uznali to za bardzo zabawne.

– Co tam było napisane?

– „Urazisz się w stopę” – powtórzył Gold. – A potem kazali mi to puścić w obieg i znowu zaczęli się ze mnie śmiać. Co się dzieje, Joannie? Co to za odgłosy? Jasny gwint... co ty tam, u diabła, wyprawiasz?

– Śmieję się – wykrztusiła. – Nie mogę się powstrzymać. Mnie też się to wydaje zabawne.

Pomiędzy szatnią Klubu Biznesmena przy YMCA a schodami prowadzącymi do znajdującej się dwa piętra wyżej hali lekkoatletycznej była sala telewizyjna, sypialnia, natryski, pomieszczenie z kilkoma stołami do masażu, łaźnia i sauna oraz mała salka kulturyistyczna, pusta zazwyczaj wczesnymi popołudniami, czyli w czasie, kiedy Gold wpadał tam zrobić rozgrzewkę i popodnosić bez świadków ciężary. W szatni, na drewnianym stołku w przejściu między szafkami, tkwił pedicurzysta Karp, członek klubu. Siedział zwiesiwszy łysą głowę niemal do samych kolan i przypominał człowieka modlącego się do Boga o odpuszczenie jakichś niewyobrażalnych przewin. Kiedy Gold przechodził obok niego do swojej szafki, Karp wymamrotał jakieś ponure słowa powitania, ale Gold z zimną krwią puścił je mimo uszu. W YMCA z zasady zachowywał się nietowarzystwo, pozując na introwertyka i choleryka. Wracając tą samą drogą już w stroju gimnastycznym, minął Karpa pograżonego nadal w utrzymanych dokładnie w tym samym żałobnym tonie kapłańskich medytacjach. „Cześć” burknął w przelocie. Kiedy szedł korytarzem wysłanym wykładziną dywanową w kierunku schodów prowadzących do hali lekkoatletycznej, z sypialni wychynęła z półprzytomnym uśmiechem na ustach wysoka, chwiejąca się postać odziana jedynie w narzucone na ramiona prześcieradło i zaczęła się z niego śmiać.

Gold zatrzymał się jak wryty i spojrzał na nią spode łba.

– A ty co tu robisz?

– Należę – powiedział Plamka Weinrock chichocząc nieprzerwanie i spoglądając na Golda z góry z rozspanym rozbawieniem, co od razu postawiło Golda na straconej pozycji. – A ty?

– Jestem wieloletnim członkiem – z wyższością podkreślił Gold swoje starszeństwo. – Co tu robisz?

– Śpię – odparł Plamka. – Mursh zalecił mi odwiedzanie dla zdrowia sali gimnastycznej, no to wpadam tu popołudniami parę razy w tygodniu, żeby się zdrzemnąć. Czytam w saunie *Yariety* i magazyny mody, i czasami poddaję się masażowi. Mursh miał rację. Od kiedy zacząłem tu przychodzić, o wiele lepiej się czuję. A ty co tu robisz?

Gold słuchał go jak we śnie.

– Uprawiam jogging.

– Ty? Coś takiego! Jak leci?

– Nie narzekam – burknął Gold. – A co to cię obchodzi?

– Wiem, czemu się tak na mnie boczysz – powiedział wesoło Weinrock. – Jestem ci krewny tyśiąc trzysta dolarów.

– Nie boczę się na ciebie. W ogóle o tobie nie myślę. Weinrock, zachwycony lekceważącym tonem Golda, rozpromienił się jeszcze bardziej.

– Mogę ci już oddać tę forszę. Zadzwoń do mnie do biura, to umówimy się na lunch. Jak tam twój staruszek?

– A co to cię obchodzi?

– Żyje jeszcze? Nie dalej jak w zeszłym tygodniu matka mnie o niego pytała.

– Świetnie się trzyma – odburknął Gold. – A co z twoim starym?

– Mój umarł, Bruce. Myślałem, że wiesz.

– Jesteś mi winien tylko tyśiąc sto – mruknął Gold speszony. – Kiedy ostatnim razem prosiłeś o pożyczkę, nie miałem forsy.

– Zapomniałem. – Weinrock przetarł piętami klejące się powieki. – W tych ludziach starej daty coś naprawdę jest, nie uważasz? Do tej pory zdarza mi się oberwać od mojej krewkiej mamuśki. Nie potrafiła wydukać słowa po angielsku, ale umiała przezwać mnie Plamką, kiedy miałem jedenaście lat i pracowałem jakiś czas u twojego ojca. Teraz jest w porządku. – To niesprawiedliwe, pomyślał nie po raz pierwszy Gold, że rodzice wszystkich stają się z wiekiem łatwiejsi we współżyciu i bardziej znośni, a moi nie. – A co u twojego brata, Sida? – zapytał Weinrock.

– Świetnie – odparł Gold.
– A u sióstr Rose i Esther?
– Też świetnie. Czemu pytasz?
– Z ciekawości. A u Idy, Muriel, Kitty i Betsy?
– Nie mam siostry o imieniu Kitty ani Betsy.
– Zapomniałem.
– Z czego się śmiesz? – warknął Gold. – Co cię tak, cholera, bawi?
– Rybka Siegel mówi, że masz pracować w Waszyngtonie dla Prezydenta. Piszą o tym w gazetach.
– Rybka Siegel nie czytuje gazet.
– Ale jego brat Paralityk czytuje. Nadal jesteś żonaty z tą przysadzistą klempą, jak jej tam...?
– Tak – wywarczał agresywnie Gold. – A ty nadal jesteś żonaty z tą kościstą żyrafą z zębami jak łopaty?
– O, nie – odparł Plamka Weinrock. – Puściłem ją w trąbę.
To znowu zbiło Golda z pantałyku.
– Oddaj pieniądze, które jesteś mi winien, palancie! – krzyknął.
– To tak się wyraża profesor college'u?
– Ty zafajdany kutasie! – wściekł się Gold. – Przychodzisz na salę gimnastyczną spać, czytać i wylegiwać się na stole do masażu i nie podoba ci się, jak się wyrażam? Gdzie moje pieniądze?
– Zadzwoń do mnie do biura. – Weinrock znowu chichotał. – A więc jedziesz do Waszyngtonu parać się polityką i dorwać do żłobu. I pomyśleć, że my, chłopaki z Coney Island, uważaliśmy wszyscy, że nigdy do niczego nie dojdiesz.
– Traktuję to – odparł godnie Gold – jako odpowiedzialną służbę na rzecz społeczeństwa.
– Iz tego się właśnie śmieję – powiedział Plamka Weinrock.
Kiedy pół godziny później, po przebiegnięciu trzech mil, Gold zszedł z bieżni i szukał Weinrocka, tamtego już nie było. Gold miał wrażenie, że w obu stopach nie pozostała mu ani jedna cała kostka. Pedicurzysta Karp powtarzał:
– Anioł Śmierci krąży dziś po sali gimnastycznej. Tym razem słowa Karpa przedarły się przez opuszczoną gardę Golda.
– Co?
– Anioł Śmierci krąży dziś po sali gimnastycznej.
– O czym ty gadasz?
– Dziś rano znowu jakiś facet wyzionął tu ducha.
– Na bieżni?
– Na korcie squasha.
Co mnie to, cholera, obchodzi? – kołatało Goldowi po głowie, kiedy człapał do swojej szafki, żeby się przebrać pod prysznic.
– Czytam twoje kawałki w *Timesie* i innych czasopismach – powiedział Karp, kiedy Gold wracał w kłapkach, niosąc plastikową butelkę szamponu ziołowego i zieloną mydelniczkę – i chętnie bym z tobą popolemizował na temat paru punktów, gdybyś zadał sobie wpierv ten trud i zdefiniował mi terminy, które stosujesz.
Upłynęły blisko dwie minuty, zanim gorąca woda z umieszczonego w piwnicy bojlera dotarła na górę. Pod prysznicem Goldowi dwukrotnie wyślizgnęło się z rąk mydło i raz upuścił butelkę z szamponem. W sąsiednich boksach z natryskami dwaj starszycy, głuśni na melodię, lekceważąc tempo i siebie nawzajem, wyśpiewywali pracowicie dwie różne piosenki. Golda zaczynała boleć głowa. Na wadze wyszło na jaw, że jest o półtora funta cięższy, niż powinien. Z chęcią by się porządnie wypróżnił.

– Co sądzisz o nie opodatkowanych obligacjach państwowych – spytał pedicurzysta Karp – w sensie inwestycji, fenomenu ekonomicznego i nierówności społecznej? Masz zdanie na ten temat?

Gold miał niskie tętno. Ubierając się przy swojej szafce, szacował szkody, jakich doznały na bieżni ciało, kości i cały organizm. Spustoszenia znowu były najdotkliwsze po prawej stronie. Dokuczliwy ból w karku promieniował ku dołowi, wrażając się jak hak szynowy w klatkę piersiową. Ramiona, łokieć i tors pulsowały obolałością, wątroba zaś jakby spuchła i ciążyła niczym gruda żeliwa. Lewą nerkę przeszywało raz po raz palące, bardzo delikatne klucie, a prawy staw biodrowy buksował lekko. Poza tym bolał go wyrostek, lędźwie i prawe jądro, nie ustępował również kurcz mięśni nogi od prawego pośladka po łydkę. Wcale by się nie zdziwił, gdyby powiedziano mu, że ma raka kości udowej. Duży paluch u lewej nogi krwawił spod paznokcia. Fizycznie znajdował się w szczytowej formie.

– Osobiście jestem z zasady przeciwny tego rodzaju ulgom podatkowym – ciągnął pedicurzysta Karp, kiedy Gold zdejmował z wieszaka płaszcz. – Ale jestem zdania, że próby korekt spowodowałyby w innych obszarach ekonomii zaburzenia, które mogłyby się okazać bardziej szkodliwe od usuwanych niesprawiedliwości. Kto, według ciebie, będzie walczył o superpuchar w trzech najbliższych latach, i co sądzisz o wpływie telewizji na rewolucję i jakość konwersacji w rodzinie ery atomowej? Masz zdanie na ten temat?

Kilka szafek dalej stary szczypiornista mówił piskliwym głosem:

– YMCA to skrót od Związku Młodzieży Chrześcijańskiej, prawda? A ze świecą szukać tu teraz chrześcijan, prawda?

– Trudno być Żydem – mruknął Karp do Golda. – Zgodzisz się ze mną?

Gold zatrzasnął za sobą drzwi kabiny telefonicznej. Firma Weinrock Fashions zmieniła nazwę na Spot Modes.

– Pan Weinrock jest w terenie – oznajmił łamliwy głosik młodziutkiej dziewczyny, kiedy Gold podał swoje nazwisko. – Może ktoś inny mógłby panu pomóc?

– W jakim terenie? – spytał Gold.

Dziewczyna odłożyła w panice słuchawkę. Pedicurzysta Karp czekał na Golda przy wyjściu.

– Aaaach, a więc wypowiadasz się na tematy, o których nie masz pojęcia – zaszydził.

Gold powlókł się nogą za nogą do wind. Strzykało mu w obu rzepkach kolanowych. Rwała go kostka jednej nogi i szedł utykając nieświadomy, że oto spełniła się przedwcześnie mistyczna przepowiednia, która miała dotrzeć do niego nazajutrz w chińskiej restauracji.

VI

Urazisz się w stopę

Rzuciłeś już Belle? – spytał Ralph. – W takim razie przekaz jej ode mnie ucałowania. Ale pośpiesz się z tym, jeśli chcesz się oświadczyć Andrei i poślubić ją jeszcze przed ogłoszeniem twojej nominacji. To jutrzejsze posiedzenie komisji może mieć dla ciebie wielkie znaczenie, Bruce, ponieważ nikt inny nie przywiązuje do niego żadnej wagi. Rób co chcesz, byleby wszystko było po naszej myśli. Nie mamy żadnego wypracowanego stanowiska i podchodzimy do tego bardzo stanowczo. Przejmuj inicjatywę. Administracja będzie cię we wszystkim wspierać, dopóki będzie musiała.

Nazajutrz Gold, niesiony ku swemu przeznaczeniu na fali optymizmu, przybył na pierwsze posiedzenie Komisji Prezydenckiej punktualnie o ósmej trzydzieści i jego morale zaczęło podupadać, kiedy nikogo tam nie zastał. Powabna, hoża kobieta o czarnych włosach związanych w koński ogon, która o dziesiątej, w towarzystwie kilku asystentów, wkroczyła na salę, by dopilnować technicznych przygotowań, zdumiała się niezmiernie zastając tam już jednego z uczestników oficjalnego posiedzenia, zgodnie z planem mającego się rozpocząć półtorej godziny temu. Nazywała się panna Plum. Na urodziwej twarzy miała makijaż, a między jej piersiami wylegiwał się leniwie naszyjnik z zielonych meksykańskich paciorków. Gold przeklinał swoją niestosowną punktualność. Nerwowo, niczym przestraszony zwierz w pułapce, przemierzał tam i z powrotem marmurowe korytarze i przyległe do sali pomieszczenia, modląc się żarliwie o jak najszybsze pojawienie się współczłonków swojej komisji. Po jakimś czasie do poczekalni wtoczył się wózek z kawą, a trop w trop za nim podążał znany zawodowy dyplomata na emeryturze, ubrany w spodnie w paski i żakiet, i wspinając się na palce, żeby powiększyć swój zasięg, skubał chciwie rodzynki i migdały z pasztecików, do których pozwalała mu jeszcze dosięgnąć sprawność fizyczna.

Było już po jedenastej, kiedy rozgwarzonymi grupkami, tak zwartymi, jakby wszystkie wysiadły przed chwilą z tego samego rydwanu, przybyło pozostałych dwudziestu trzech kolegów. Mury zaczęły rozbrzmiewać serdecznymi powitaniami, z których Gold był wyłączony. Ludzie patrzyli przez niego na wskroś i zachowywali się tak, jakby był powietrzem. Wszyscy tytułowali się wzajemnie. Golda przedstawiono w końcu pokonanemu majorowi, zdymisjonowanemu sędziemu, który ledwie widział, komandorowi marynarki wojennej w stanie spoczynku, duchownemu-odstępcy we wspaniałym ornacie oraz dyrektorowi wielkiego uniwersytetu, byłemu sportowcowi, w podkoszulku, z gwizdkiem i w czapce z daszkiem, nazywanemu tutaj Trenerem. Nawet Gold miał swój tytuł: Doktor – i o ile się orientował, był jedynym członkiem tego dostojnego gremium, który gdzieś pracował, chociaż tylko jako doktor nauk humanistycznych, a ściślej mówiąc literatury angielskiej.

Już na samym wstępie speszyło go niewielkie zainteresowanie, jakie wzbudził swoją osobą, a wrodzone zdolności krasomówcze przytępiała obawa, że uznają go za kogoś gorszego. Zaczął się zastanawiać, czy jest tu jedynym Żydem. Prezentacji, z promiennym wdziękiem i kuszącym seksualnym ciepłem, dokonywała panna Plum, i ze strony co starszych mężczyzn, którzy pracowali i mieszkali w Waszyngtonie najdłużej i byli najbardziej obeznani z panującymi tu zwyczajami, dochodziło wobec niej do wielu lubieżnych rękoczynów. Panna Plum rozwodziła się cztery razy, z czego Gold wnosił, że nie jest już dziewicą. Wszystkich przyćmiewał przystojny srebrnowłosy były gubernator stanu Teksas z cyzelowanym dołęczkiem w podbródku, słynący z emanowania autorytetem.

– Rad jestem pana poznać, doktorze Gold – powiedział sucho Gubernator, kiedy panna Plum wreszcie ich sobie przedstawiła. W wodnistych błękitnych oczach, które spoczęły na Goldzie, było tyle przyjacielskości i ciepła, co w lodzie. – Słyszałem, że jest pan geniuszem.

– Od kogo? – wykrztusił Gold i natychmiast tego pożałował.

– Nie taki znowu z pana geniusz, skoro nawet tego pan nie wie – mruknął Gubernator, odwracając się do niego plecami. – Dzień dobry, Majorze, wspaniale pan się trzyma. Tak samo jak Deputowany i Szef. Widział pan Admirała?

– Stoi tam z Konsulem i Radcą, panie Gubernatorze. Gawędzą z Wdową.

– A co to za Asfalt?

– To nasz nowy Czarny Parawan. Bardzo zdolny student, stypendysta Oxfordu.

– Zna swoje miejsce?

– W końcu stołu. Powiadają, panie Gubernatorze, że być może wkrótce znowu zostanie pan Sekretarzem.

– Ho, ho, ho, panie Radco Prawny. – Gubernator pokiwał ostrzegawczo palcem. – Musiał pan podsłuchać Majora albo Trenera. Ja wiem tylko, że idę na Pod.

– Ambasador po stracie Wietnamu, Chile, Grecji, Cypru, Turcji, Pakistanu, Chin, Afryki, Tajlandii i Środkowego Wschodu znowu wygląda kwitnąco, nieprawdaż?

– Za każdym razem się odbija. Im dotkliwsza strata, tym wyżej. Co za żywotność.

Wszyscy obejrzeli się, by poprzez Golda popatrzeć z czułością na aktywnego, stareńkiego Ambasadora, który pogrążony we własnym światku krzątał się przy wózku z kawą, napychając sobie pracowicie ciastkami kieszenie żakietu, spodni i perłowszarej kamizelki.

Goldowi w końcu dopiekła ich obojętność. Miał do wyboru albo zrezygnować z towarzystwa takich ludzi, albo przywyknąć do dopiekania, i wiedział już, że wybierze to drugie.

Wyglądał niecierpliwie okazji do zmanifestowania swej obecności i przypuścił szturm, skoro tylko usłyszał, jak panna Plum proponuje cicho, że może weszliby już do sali konferencyjnej i zaczęli. W dyplomacie miał notatki do inauguracyjnego expose, które miało się rozpocząć od spostrzeżeń zaczerpniętych z Montaigne'a i Erasmusa, a zakończyć sympatycznym podsumowaniem odwołującym się do wypowiedzi kardynała Johna Henry*ego Newmana, co mogło mu zapewnić trwałą przychylność rzymskokatolickiego episkopatu w Ameryce, pod warunkiem że nie zostanie wnikliwie przeegzaminowany ze stosunku do aborcji, Przeistoczenia, Zmartwychwstania oraz papieskiej nieomylności. Trenera mianowano Stałym Tymczasowym Przewodniczącym i Gubernator powiedział:

– Odroczmy obrady.

– Do kiedy?! – wrzasnął Gold, kiedy sala zaczęła się opróżniać.

– Zostanie pan powiadomiony, słoneczko – wymruczała zmysłowo panna Plum, kładąc mu delikatnie dłoń na szyi. Jej oddech pachniał perfumami, a z głębokiego dekoltu sukienki unosiła się mydlana woń świeżo umytego ciała. – Nie trzeba harować po osiem godzin, żeby zainkasować swój tysiąc dziennie.

Gold przeleciałby ją chętnie tu i teraz. Wyprowadziła go ze zrozumieniem z sali do ciemnej alkowy, wzdłuż ścian której ciągnęły się kabiny telefoniczne, i tam wzięła za rękę, układając swoje palce tak, że ich koniuszki dotknęły jego palców. Gold wciągnął ją do jednej z kabin telefonicznych i napał na nią swoim członkiem.

– Nie tutaj – powiedziała. – To wbrew przepisom.

– Więc gdzie?

– Gdziekolwiek. W mieszkaniu Andrei.

– O, cholera. – Odtrącenie przygasiło żądze Golda. – Zna pani Andreę?

– Mówi, że jesteś wspaniały.

– Nie jestem. Andrea przesadza.

– Mówi, że jesteś władczy i dominujący, i ocenia cię na piątkę z plusem. Władczość mnie podnieca.

– To znany afrodyzjak. Ale władza również psuje.

– Jakbym nie wiedziała.

– Kocham panią, panno Plum...

- Felicity.
- ...ale piśnij komuś słówko, a łeb rozwałę.

Felicity Plum wyznaczyła kolejną sesję na następny dzień, żeby jak najprędzej znowu się z nim spotkać.

Tymczasem Gold dowiedział się w Waszyngtonie, że CIA rekrutuje najemników do walk w Afryce. Dowiedział się tego przy śniadaniu z porannej gazety, kiedy przeczytał:

CIA zaprzecza, jakoby rekrutowała najemników do walk w Afryce

Członkowie koalicji prawoskrzydłowych republikanów i demokratów przez cały poprzedni dzień okupowali w Kongresie mównicę, wychwalając z niej CIA za rekrutowanie najemników do walk w Afryce.

Gold przybył na drugie posiedzenie komisji z niezłomnym postanowieniem, że nie da się ponownie zignorować, i wkroczył z innymi na salę z wyrazem prawie bojowego zuchwalstwa na twarzy. Zauważył, że nawet panna Plum ma teraz tytuł – brzmiał on Moja Droga. Gold położył niedbale rozpusztaną dłoń na jej ramieniu i napotkał tam włochate, zimne, pomarszczone ciało i skamieniałe kości. Stary, ślepy Sędzia go wyprzedził.

Zaczęli wcześniej niż poprzedniego dnia. Trener kilkoma uderzeniami młotka przywołał salę do porządku i Gubernator powiedział:

- Zakończmy sesję. Poświęciliśmy już tym problemom więcej czasu, niż to warte.
- Nie! – zamiauczał protestacyjnie Gold. – Proszę! Nie poświęciliśmy im ani chwili!
- I tego za wiele – powiedział były Attaché. – Zrobiliśmy tyle, ile zamierzaliśmy. Chodźmy do domu.
- Niczego nie zrobiliśmy!
- I to w rekordowym czasie – zagadał Ambasador. – Byłem kiedyś członkiem Komisji Prezydenckiej, której niezrobienie niczego zajęło prawie trzy lata, a tutaj do dokonania tego samego wystarczyły nam tylko dwa posiedzenia.
- Mamy teraz komputery – zauważyła Wdowa.
- Popieram wniosek Gubernatora – włączył się Komandor Marynarki Wojennej w stanie spoczynku. – I rozkazuję zakończyć jednogłośnie prace tej komisji.
- Popieram wniosek Komandora – powiedział Gubernator.
- Kto jest za, niech podniesie rękę.
- Ja jestem przeciw – powiedział Gold.
- Jeden przeciw, reszta za – obwieścił Trener. – Wniosek przeszedł jednogłośnie! Podrzucić pana gdzieś, Gubernatorze?
- Idę coś przegryźć.
- A więc spotkamy się na lunchu.
- Tak się cieszę, że już po wszystkim – zarechotał Ambasador – pomimo że żałuję. Tak lubię dostawać zwrot kosztów... – zacisnął dłonie w pięści i po stukał jedną o drugą – ...i te darmowe ciasteczka.
- Ale przecież tyle jeszcze możemy zrobić – błagał Gold. – Nie wysłuchaliśmy nawet ani jednego autorytetu.
- Gold. – Gubernator wypowiedział to nazwisko cichym głosem i wszyscy zamilkli. – Tutaj każdy jest autorytetem. – Nawet siedząc, Gubernator emanował dostojeństwem, co sprawiało, że zdawał się przewyższać całą resztę o głowę. – Za mniej więcej trzy minuty opuścimy tę salę. Jeśli na zewnątrz czekają jacyś dziennikarze, to w pierwszym rzędzie opadną mnie, bo jestem tutaj najważniejszy i potrafię emanować emanacjami autorytetu, o czym głośno na całym świecie. Jestem dla nich sławą, do cholery! Zamierzam ich powiadomić, że prace tej komisji dobiegły końca, że zrobiliśmy wszystko co w naszej mocy,

mając przeciwko sobie najbardziej nie sprzyjające okoliczności... ludzie zrozumieją to, kiedy przeczytają nasz raport. A jeśli pan chce im powiedzieć coś innego, to proszę bardzo. Ale w ten sposób obrazi pan mnie i resztę tych wspaniałych ludzi, którzy pracowali ramię w ramię i noga w nogę, i z góry uprzedzam, że wcześniej czy później będę miał pana w garści, podobnie jak wielu innych, a sporo już się takich uzbierało od początku mojej błyskotliwej kariery politycznej, która sprawiła taką niespodziankę i radość moim nauczycielom, mojej rodzinie i moim przyjaciołom. No i co, dalej chce mi pan powiedzieć, że jestem w błędzie? Gold nie chciał.

– Jestem panu za to zobowiązany – powiedział Gubernator. – Gold, jesteś Żydem, prawda?

Żadne piekło nie mogłoby być gorsze ani wydawać się bardziej wieczne, niż chwile, jakich potrzebował Gold, by odpowiedzieć na to ogłuszające pytanie. Słowo „Żyd” zabrzmiało w ustach Gubernatora jak nieprzyjemny zgrzyt. Gold zwrócił również uwagę, że Gubernator przeszedł na bardziej szorstką składnię. Modlił się żarliwie o wstawiennictwo jakiegoś arturiańskiego rycerza, ale jego modlitwie odpowiedziała cisza grobowca.

– Jestem żydowskiego pochodzenia, sir – odparł ze zmobilizowaną naprędce, nonszalancką godnością – jeśli to właśnie ma pan na myśli.

– A niby co innego, według ciebie, miałbym, do cholery, mieć na myśli?

– Nie byłem do końca pewien – wy bąkał Gold.

– Różnica między tym, czy jesteś pewien do końca, czy nie do końca, nie jest warta wróblego gówna i im prędzej to zrozumiesz, tym bezpieczniejszy będzie twój dziób. Ej, chłopcze! – Gubernator przeniósł raptownie spojrzenie na czarnego studenta siedzącego w końcu stołu konferencyjnego. – Jesteś czarnuchem, zgadza się? Rozumiesz, co mam na myśli, kiedy mówię, że jesteś czarnuchem, prawda?

Student wyprostował się na krześle.

– Najbardziej nie lubię tych liberałów z Północy, którzy co innego mówią, a co innego myślą – powiedział. – Mając do czynienia z panem wiem przynajmniej, na czym stoję, a i pan wie, na czym stoi, mając do czynienia ze mną.

– I na czym stoję mając do czynienia z tobą?

– Na czym pan chce, Mister.

Gubernator z protekcyjnym westchnieniem zniecierpliwienia skierował swą uwagę z powrotem na Golda.

– No i widzisz, Gold. Każdy tutaj kimś jest i nie rozumiem, dlaczego tak kręcisz w kwestii swojej tożsamości. On jest Asfaltem, ona jest Wdową, ja jestem Gubernatorem, a ty jesteś...

– Doktorem! – wrzasnął Gold w samą porę, by nie dopuścić do miażdżącego powtórzenia demaskatorskiego określenia. – Jestem Doktorem!

Gubernator stał się nagle interesowny.

– A nie jesteś czasem osteopatą czy jak to się tam nazywa, Gold? No, uzdrowicielem? Kręgarzem? – Zgiął rękę i zaczął sobie masować ramię. – Mam chyba zapalenie stawu, z którym przydałoby się zrobić porządek.

– Mnie mógłby zbadać stopę – powiedział Trener i schylił się, żeby rozwiązać sobie but, natomiast Sędzia zamachał dziko rękami, żeby zwrócić na siebie uwagę Golda, i zaczął grzmocić się zapamiętale w pierś, tak jakby się dusił, i rozpinać pośpiesznie guziki koszuli, a Konsul pokazał Goldowi język i zaniósł się suchym kaszlem, Ambasador zaś wstał, wypiął na Golda zadek i zaczął ściągać spodnie w paski.

W okrzykach Golda pobrzmiwało teraz przerażenie przemieszane z rozpaczą.

– Nauk humanistycznych! – wrzeszczał, waląc się otwartą dłońią w czoło. – Jestem doktorem nauk humanistycznych! Profesorem. Pisarzem jestem!

– No to pies trącał moje zapalenie stawu – orzekł Gubernator emanując autorytetem, z czego słusznie słynął, oraz rozsiewając wokół siebie aurę zdecydowania, która również zyskiwała mu powszechny podziw. – Napiszesz raport. Podrzucić panią gdzieś, Wdowo?

– Dziękuję, panie Gubernatorze, ale będę się modlić z Biskupem.

– A więc do zobaczenia na stadionie baseballowym. Poseł też tam będzie.

– Co ja mam napisać? – zapytał bezradnie Gold.

– Co chcesz – odparł Gubernator, a Ambasador zakrzyknął radośnie: „Słuchajcie, słuchajcie!” – Byleby tylko nie było w tym niczego, co mogłoby się nie spodobać komuś z tu obecnych. – Wzrok mu złagodniał. – Gold – podjął życzliwiej – każdy Żyd potrzebuje w Waszyngtonie przyjaciela, ponieważ tutaj nie pasuje. Nie przerywaj mi... słuchaj. Jeśli dobrze się wywiążesz z tego zadania, to może pomogę ci takiego znaleźć.

Pierwszym odczuciem Golda była ulga, która zdusiła ostatnie płomyki jego inicjatywy.

– Jaki ma być ten raport, sir? – zapytał.

– Zwięźły – poradził mu Gubernator – a zarazem obszerny. Przejrzysty, a zarazem niejasny. Zachowaj zwięźłość stylu, przechodząc od razu do każdego wniosku. A potem rozwiń to komentując poszczególne wnioski tak, żeby nikt nie mógł odróżnić komentarzy do wniosków od samych wniosków ani się nawet połapać, o czym mówimy.

– Chyba wiem, o co panu chodzi – powiedział Gold. Gubernator jeszcze bardziej złagodniał.

– Pozwól, że wyjawię ci pięć praktycznych reguł postępowania, które przekazała mi mamusia, kiedy po raz pierwszy wyjeżdżałem z naszej zapuszczonej farmy do wspaniałego, wielkiego miasta Austin. Moja mamusia, Panie, świeć nad jej duszą, udzieliła mi wtedy następujących rad: „Nie czynь osobistych aluzji, nigdy nie mów gospodyni, że dobrze się bawię, nie stosuj siły do żadnego mechanizmu, nigdy nie kop niczego nieożywionego i nie bądź upierdliwy w przegranych sprawach”. Bo widzisz, Gold, wygląda mi na to, że wdając się ze mną w dyskusję otarłeś się o upierdliwość w przegranej sprawie. Mam nadzieję, że się mylę.

– Zapewniam pana, sir – powiedział Gold – że nie zamierzałem być upierdliwy w przegranej sprawie. Nigdy nie kopnę niczego nieożywionego.

Gubernator położył swoją wielką dłoń na ramieniu Golda w geście ojcowskiego wybaczenia.

– Zrozum, że nikt z obecnych w tej sali nie ma zamiaru czytać naszego raportu. To jeszcze jeden powód, dla którego musi on być za obszerny na opublikowanie w całości w tym przeklętym *New York Timesie*. W przeciwnym razie któryś z tych wścibskich dziennikarzy mógłby nam przez lata zawracać głowę pytaniami o sprawy, które nas zupełnie nie obchodzą i na które nie znamy odpowiedzi. Zobaczymy się na koktajlu, panie Prokuratorze Posiłkowy?

– Nie, panie Gubernatorze. Prosto stąd idziemy z Głównym Księgowym i Pedziem na bankiet. Wybiera się pan na mecz?

– Będziemy w tym czasie z moją Panią na małej orgietce. Ale może spotkamy się na kolacji.

– Nie wiem, czy uda mi się tam dotrzeć. Szykuje mi się tęga popijawa z Adiutantem i Szeryfem. No, pożegnajmy się z Szachrajem i Mistrzem.

– Nie jestem szachrajem – obruszył się Szachraj.

Gold żałował, że to już koniec, bo szczerze mu ich wszystkich brakowało. Pracując w zgranym zespole, w ciągu dwóch posiedzeń dokonali tego, co innym zajęło trzy długie lata, czyli niczego. Miał za sobą udział w swojej pierwszej Komisji Prezydenckiej i och, cóż za wspaniałe uczucie – ta odurzająca ekstaza, kiedy znieważali go i traktowali z góry ludzie o ustalonej pozycji społecznej, kiedy go ignorowali, lżyli albo okazywali mu swoją pogardę, ta satysfakcja z dopuszczenia do rządzącej elity w charakterze nic nie znaczącego karierowicza, którego się poucza, uciera mu nosa, przerywa, kiedy próbuje się odezwać, i wyklucza z gracją

z każdej rozmowy, w którą usiłuje się włączyć. Pochłaniały ich przekąski, lunchy i orgietki, na których jego obecność nie była jeszcze pożądana. Chodzili na mecze baseballu z Wdowami i Prałatami i mieli pewnie dobre miejsca na trybunach. Jakże im zazdrościł tego poczucia przynależności i tej hermetycznej głupoty.

„Zaproś Żyda do Białego Domu (a uczynisz go swoim niewolnikiem)”, taki tytuł miał nosić cięty, atakujący Liebermana artykuł, który Gold planował napisać po zaproszeniu tamtego do Białego Domu dla poparcia wojny. Jak zauważył Ralph, fantazja, zazdrość i ślepa intuicja często przybliżały Golda do fundamentalnych prawd tego świata.

Jakże sympatyczny był zwyczaj pozwalający ludziom nosić na podobieństwo pióropuszy tytuły na pamiątkę najwyższych stanowisk, jakie swego czasu zajmowali. Gdybym był Prezydentem, myślał Gold – kiedy będę Prezydentem, poprawił się w swoich pełnych fantazji myślach – każdy byłby powoływany na jakieś dobre rządowe stanowisko jednego dnia i proszony o złożenie rezygnacji następnego, tak żeby wszyscy w tym kraju – bez względu na rasę, zawód, pochodzenie, wyznanie czy sytuację finansową – mogli iść dalej przez życie niejako Esther, Rose, Irv, Victor, Julius czy Sid, lecz Ambasador, Sędzia, Major albo Sekretarz.

Z zadumy wyrwała brutalnie Golda panna Plum, która przysłała go powiadomić, że pod drzwiami waruje czworo dziennikarzy spodziewających się dowiedzieć od niego czegoś konkretnego.

Młodszy już chyba być nie mogli i opadli go jak ćmy zgaszoną żarówką. Była wśród nich wysoka ładna dziewczyna o drobnej twarzy i prostych blond włosach, która z drażniącym brakiem szacunku, tonem najswarliwszym ze wszystkich, jakimi do tej pory zwracano się do Golda, zapytała, co on i jego koledzy z komisji usiłują udawać, że zrobili. Gold postanowił ją uwieść.

– Szczerze mówiąc, moja droga, to nie wiem... – zaczął, przybierając wypraktykowaną pozę rozbrajającej skromności, ale zanim zdążył dokończyć, cała czwórka czmychnęła.

– To było straszne! – skarciła go okrutnie panna Plum zdjeta paniką, która otoczyła jej zmysłowe usta ściągniętą elipsą szpetnego napięcia oraz wycisnęła kropelki potu na policzki i czoło. – Nie wolno ci było tego mówić!

– To było świetne! – entuzjasmował się Ralph, złapawszy telefonicznie Golda, zanim ten zdążył wymknąć się chyłkiem z budynku, unosząc samotnie brzemień swojej hańby. – Zaszifrowane komputerowo depesze z treścią twojej deklaracji poszły już do naszych ambasad.

– Jakiej deklaracji?

– Twoje motto jest obecnie ostoją oficjalnej polityki.

– Jakie motto?

– Masz niezawodny instynkt, mówisz jak poeta, ujmujesz skromnością. Lasujesz mi mózg, Bruce. Leć teraz na naszą następną konferencję prasową. Porządek dnia został tak ułożony, by objął i ciebie.

– Byłeś cudowny – krzyknęła panna Plum, przywierając do niego, ale Gold już jej nie kochał i wiedział, że już nigdy nie przyjdzie mu ochota naprzec na nią członkiem.

Na konferencję prasową zwołaną przez Biały Dom Gold dotarł tym razem wspólnie ze wszystkimi i znalazł sobie miejsce pod ścianą z dobrym widokiem na mównicę akurat w momencie, kiedy Sekretarz Prasowy powiedział:

– Chcę złożyć oświadczenie. Jak państwo zapewne wiecie, obecny Prezydent kieruje Administracją w sposób otwarty i stawia na pełną szczerość. Trzymając się tej linii pragnę oświadczyć, że nie mam niczego do oświadczenia. Od wczoraj nic się nie wydarzyło.

Na sali zapadła na chwilę pełna konsternacji cisza, a potem jakiś weteran dziennikarskiego fachu siedzący w pierwszym rzędzie zapytał:

– Nic?

– Zgadza się. Dzisiaj nie mam państwu niczego do powiedzenia.

– Niczego?

– Niczego.

– Zupełnie niczego?

– Zupełnie niczego wartego wspomnienia.

– Czy to dotyczy tylko Waszyngtonu, Ron? – spytał jakiś głos z sali. – Czy również reszty kraju?

– Tylko Waszyngtonu. Reszta kraju nas nie obchodzi.

– Nie obchodzi was reszta kraju?

– Zgadza się.

– Czy to oznacza, że w gazetach nie będzie nic o Prezydencie?

– Zgadza się. Chyba że wy napiszecie coś o nim. Możemy kontynuować?

– Twoje oświadczenie trochę mnie zbiło z tropu, Rori, pozwól więc, że cofnę się o kilka lat. Jakiś czas temu, Ron, wyszło na jaw, że poprzedni szef CIA składał pod przysięgą kłamliwe zeznania przed co najmniej jedną komisją kongresową. A mimo to nie dość, że nie został za to przestępstwo postawiony w stan oskarżenia i oddany pod sąd, to jeszcze mianowano go ambasadorem w Iranie. Możesz to skomentować?

– Nie. Obecna Administracja nie uważa za stosowne komentować spraw, w których aktualnie toczy się śledztwo.

– Mówi pan – odezwała się szybko jakaś kobieta – że w tej sprawie toczy się śledztwo?

– Tego nie powiedziałem.

– Ale czyż nie wynika to z tego, co pan powiedział?

– Nie wiem.

Ta odpowiedź wywołała na sali kolektywne sapnięcie zdumienia, po czym rozpuściło się tornado ekscytacji, spośród którego wybił się w końcu ponad inne głos:

– Co pan powiedział?

– Nie wiem.

– Mógłby pan to powiedzieć jeszcze raz?

– Nie wiem.

– Nie wie pan?

– Naprawdę nie wiem.

– Jasny gwint! Ron, Ron, zechciałbyś to powtórzyć do mikrofonu? Chciałbym mieć absolutną pewność, że mi się nagrało na taśmę.

– Proszę bardzo. Nie wiem.

– Dziękuję, Ron. To była bomba.

– Czy to odpowiedź autoryzowana? Czy można ją cytować jako pańską?

– Nie wiem.

– Chcesz przez to powiedzieć, że nie wiesz, czy zezwalasz na cytowanie ciebie mówiącego, że nie wiesz?

– Właśnie.

– To możemy w końcu cytować tę odpowiedź jako twoją, czy nie?

– Nie wiem.

– Ron, czy w rządzie albo gdzie indziej jest jeszcze jakaś osoba na eksponowanym stanowisku, która kiedykolwiek powiedziała „Nie wiem”?

– Nie wiem. Są to słowa doktora Bruce'a Golda, który wykłada w college'u w nowojorskim Brooklynie i być może wkrótce zacznie pracować dla obecnej Administracji.

– W jakim charakterze, Ron, doktor Gold będzie pracował dla Administracji?

- Nie wiem. Może następne pytanie?
- Pamiętasz Henry'ego Kissingera, prawda? Jaka jest twoja opinia o nim?
- Drugorzędny polityk.
- Taka była chyba jego opinia o Richardzie Nixonie, prawda?
- No to trzeciorzędny.
- To mnie właśnie zawsze intrygowało, Ron. Jeśli Richard Nixon był drugorzędnym politykiem, to kto, u licha, jest trzeciorzędny?
- Henry Kissinger.
- Oceniasz Henry'ego Kissingera niżej niż Richarda Nixona?
- Tylko pod względem inteligencji i sprytu. Pod względem charakteru i wiarygodności są mniej więcej na tym samym poziomie.
- Skoro już mowa o wiarygodności, Ron... pamiętasz, jak Richarda Kleindiensta przyłapano na kłamstwie pod przysięgą w związku z mianowaniem przez niego Prokuratora Generalnego? Przecież to było ewidentne krzywoprzysięstwo. A mimo to uznano go za winnego jedynie wykroczenia i pozwolono kontynuować praktykę prawniczą. Możesz nam teraz wyjaśnić, dlaczego Richarda Kleindiensta, podobnie jak Richarda Helmsa, potraktowano w tak łagodny sposób, co jest normalnie nie do pomyślenia w przypadku innych przestępców?
- Nie wiem.
- To trochę niesprawiedliwe, prawda?
- Niesprawiedliwe jak diabli.
- Czy to wypowiedź autoryzowana?
- Naturalnie, że nie. Kto następny?
- Czy teraz, kiedy upłynęło już tyle czasu, możesz nam wyjawić prawdziwą przyczynę... wiem, że w środowisku przestępczym jest mnóstwo innych Richardów, którzy aktualnie spędzają nam sen z oczu, ale liczę na twoją wyrozumiałość, Ron... dla której Gerald Ford uznał za stosowne puścić w niepamięć wszystkie przestępstwa na tle seksualnym, jakich Richard Nixon dopuścił się pełniąc swój urząd?
- To Nixon dopuszczał się przestępstw na tle seksualnym?
- Nie wiem. Ale czyż nie można tego zakładać słysząc, że zostały mu puszczone w niepamięć wszystkie przestępstwa, jakich dopuścił się podczas swojej prezydentury?
- Nie wiem.
- Obecna Administracja postanowiła walczyć z inflacją podnosząc ceny, by obniżyć popyt, co ma spowodować spadek cen, a to z kolei ma spowodować wzrost popytu i powrót inflacyjnych, wysokich cen, które chcemy obniżyć redukując popyt, by wzrósł popyt i podskoczyły ceny. Czy nie do tego właśnie sprowadza się cała wasza obecna polityka ekonomiczna?
- Nie wiem.
- Ron, jesteś pewien, że nie wiesz, czy tylko tak ci się wydaje?
- Jestem absolutnie pewien, że nie wiem.
- Jakie są twoje przewidywania na najbliższy okres w kwestii kształtowania się stopy bezrobocia?
- Nie wiem.
- Nie wiesz, jakie są twoje przewidywania?
- Zgadza się.
- Czy jest w rządzie ktoś, kto wie?
- Jakie są moje przewidywania?
- Cofam to pytanie.

– A co z naszymi sojuszami międzynarodowymi? Jeśli niemal wszystkie opierają się na łapownictwie, przynusie, dywersji i podobnych nieczystych zasadach, to na jaką stabilność mogą liczyć nasi sojusznicy w wypadku prawdziwego kryzysu albo zmiany rządu?

– Boże, nie wiem tego.

– A jest w Administracji ktoś, kto wie?

– Co?

– Cokolwiek.

– Mogę prosić o powtórzenie pytania?

– Cokolwiek.

– To ma być pytanie?

– To ma być odpowiedź?

– Nie wiem.

– Zapomniałem, o co pytałem.

– Wycofuję swoją odpowiedź.

– No a Prezydent? Czy ma jakieś wyrobione poglądy na temat tego, co dzieje się aktualnie w kraju i za granicą?

– Nie wiem.

– Ron, proszę cię... bardzo proszę. Możesz powtórzyć to ostatnie jeszcze raz do kamery telewizyjnej? Chciałbym zrobić twoje zbliżenie, zanim udzielisz odpowiedzi. Wstrzymaj się z odpowiadaniem, dopóki nie zobaczysz, że robimy zbliżenie.

– Jasne. Nie wiem.

– Śliczne to było.

– Ron, wracam jeszcze do tego pytania dotyczącego Prezydenta. Czy ty naprawdę nie wiesz, czy nie chcesz powiedzieć?

– Nie wiem.

– To znaczy, że nie wiesz, czy nie wiesz, czy że nie wiesz, czy wiesz?

– Właśnie to.

– Dziękuję, Ron – powiedział starszy korespondent z pierwszego rzędu. – Należą ci się gratulacje. Była to najszczersza i najbardziej informacyjna konferencja prasowa, w jakiej kiedykolwiek uczestniczyłem.

– Och, nie wiem.

Ralph zadzwonił następnego ranka, kiedy Gold przyrządzał sobie właśnie śniadanie, i zakomunikował, że Prezydent chce się z nim spotkać, by osobiście mu pogratulować.

– Próbował dodzwonić się do ciebie do hotelu, ale telefonistka z centralki powiedziała mu, że nie przyjmujesz żadnych telefonów.

– Mieszkam u Andrei – powiedział Gold. – W hotelu zameldowałem się tylko dla zabezpieczenia.

Ralphowi wyrwał się cichy gwizd podziwu.

– Bruce, jesteś niesamowity. Dokładnie takie środki bezpieczeństwa powinniśmy stosować wszyscy dla ochrony naszych sekretów. Bądź o jedenastej w Białym Domu. Wejść wejściem dla służby.

Gold zastosował się do tych wskazówek i przez magazynek bielizny pościelowej poprowadzono go do prywatnej poczekalni na piętrze. Ledwie się tam znalazł, z prywatnego gabinetu wewnętrznego wysunął się na palcach Ralph i sprowadził go z powrotem na dół. Audiencja została odwołana. Prezydent spał.

– Ucina sobie drzemkę – wyszeptał Ralph.

– O jedenastej rano? – wykrzyknął Gold.

– Prezydent – wyjaśnił Ralph – jest bardzo rannym ptaszkiem. Wstaje codziennie o piątej rano, zażywa dwa proszki nasenne i środek uspokajający, po czym kładzie się z powrotem do łóżka i śpi tak długo, aż się wyśpi.

– A kiedy pracuje? – spytał Gold.

– Jak to? – spytał Ralph.

– No, kiedy pracuje?

Dominującą emocją u Ralpha było zakłopotanie.

– Nadal nie rozumiem.

– Kiedy robi to, co ma robić? Jako Prezydent?

– Robi to przez dwadzieścia cztery godziny na dobę – odparł Ralph. – Ten biedny człowiek pracuje prawdopodobnie i w tej chwili, nawet kiedy ucina sobie drzemkę. Zostałeś awansowany, wiesz? Chciał ci to właśnie zakomunikować.

– Na kogo? – zawołał zaskoczony Gold.

– Jeszcze tego nie postanowiliśmy, ale to wielki krok w górę.

– Z kogo?

– Nie zdążyliśmy tego ustalić, nie pamiętasz? Po prostu będziesz mógł niebawem zacząć od razu z wyższego poziomu, chyba żebyś nie mógł. To oficjalna decyzja, chociaż musi jeszcze zostać zatwierdzona i musi pozostać w tajemnicy, dopóki jej nie obwieścimy, na wypadek gdybyśmy doszli jednak do wniosku, że tego nie uczynimy. Masz już daleko za sobą stanowisko rzecznika i anonimowego źródła.

– Czy będę więcej zarabiał? – zainteresował się Gold.

– Tyle, ile zdołasz wyszarpać – odparł Ralph – chociaż konkurencja jest bardzo duża. Widzisz, Lyndon Johnson i Jack Javits nie byli jedynymi, którzy się wzbogacili na służbie państwowej. Spotkałem Harrisa Rosenblatta i dowiedziałem się od niego, co robi Sekretarz Skarbu – ciągnął Ralph, kiedy rozsiadali się wygodnie w jego gabinecie. – Ludzie twoich przekonań religijnych podobno sprawdzają się na tym stanowisku bez pudła.

Gold odchrząknął.

– Nie mam żadnych przekonań religijnych, Ralph.

– Przecież wiesz, co miałem na myśli, Bruce – powiedział Ralph. – Staralem się sformułować to z taktem.

– Jestem ci bardzo wdzięczny za twój takt.

– Z Harrisem Rosenblattem dzieje się coś tajemniczego, Bruce – podjął Ralph, ściągając z zatroskaniem brwi. – Ilekroć go spotykam, coraz bardziej przypomina mi kogoś takiego jak ja, a coraz mniej kogoś takiego jak ty.

Gold znowu stwierdził, że ma trudności z dobytciem z siebie głosu.

– W jakim sensie, Ralph, Harris Rosenblatt coraz bardziej przypomina kogoś takiego jak ty, a coraz mniej kogoś takiego jak ja?

– Robi się wyższy i szczuplejszy – odparł zwyczajnie i szczerze Ralph, jakby nie dostrzegł lodowatości tonu Golda. – I prosto się trzyma. Pamiętasz, jaki był z niego konus i oferma? I staje się jakby bledszy. Wczoraj wieczorem widziałem na przyjęciu Andreę i o nią też się martwię. Czy ona nie była czasem wyższa?

– Wyższa? – Gold poszukał w oczach Ralpha jakiegoś ognika krotocwilności. – Wyższa niż co?

– Niż jest. Na twoim miejscu bym sprawdził. Nie chcesz chyba, żeby się zrobiła za niska, prawda?

– Za niska na co, Ralph?

– Nie na co, tylko dla kogo. Dla ciebie, Bruce. Nie sądzę, żebyś zyskał wiele na wzroście, gdyby twoja druga żona okazała się tak samo niska jak Belle, zgodzisz się chyba ze mną?

– Zapytam ją przy okazji, Ralph. No więc co robi Sekretarz Skarbu?

– Uspokaja kręgi biznesu.

– To bym potrafił – uznał Gold.

– Pewnie, że byś potrafił – zgodził się z nim Ralph. – I obiecuje utrzymywać na niskim poziomie deficyty budżetowe. Ale tak naprawdę to wcale nie stara się ich utrzymywać na niskim poziomie, a tylko to obiecuje, rozumiesz. Dbą również o interesy finansowe swoje i swoich znajomych, żeby mogli żyć nadal na stopie, do której nawykli.

Gold coraz bardziej tracił zainteresowanie.

– Nie jestem taki zwariowany na punkcie swoich znajomych – przyznał – a stopę, do której nawykłem, staram się podnieść.

– Widzę, że nie wkładałbyś w to serca.

– Przemyslałem jeszcze raz ewentualności objęcia stanowiska Szefa NATO, Sekretarza Obrony, Dyrektora CIA albo FBI, a nawet Sekretarza Armii, Floty albo Sił Powietrznych, jeśli nie jest już za późno.

– Ależ skąd, oczywiście, że nie jest – zapewnił go Ralph – chyba żeby było, ma się rozumieć. Doszliśmy do czegoś w kwestii Resortu Zdrowia, Edukacji i Polityki Społecznej?

– Tym interesuję się tylko na własny użytek.

– A co byś powiedział na Gospodarkę Zasobami Lokalowymi i Budownictwo Mieszkaniowe? Tam dobrze jest wiedzieć, co to znaczy być ubogim...

– Jestem ubogi.

– ...i potrafić się identyfikować z niezamożnymi warstwami społeczeństwa.

– To nie dla mnie.

– To może Prokurator Generalny, Bruce? Ten to dopiero figura.

– Mam otwarty umysł – pochwalił się Gold. – Wydaje mi się, że teraz, kiedy nie dotknie to już moich własnych dzieci, mógłbym się stać prawdziwym orędownikiem takich idei jak busing i integracja rasowa młodzieży szkolnej. Tylko czy żeby zostać Prokuratorem Generalnym, nie trzeba czasem być prawnikiem?

– Nie sądzę. Przepisy nic o tym nie mówią.

– Mógłbyś się dowiedzieć?

– Zapytam Prokuratora Generalnego.

– Lećmy dalej.

– Co byś powiedział na Departament Stanu?

– Tam bym chyba najlepiej pasował.

– Prezydent może być też tego samego zdania. – Ralph wstał i przeciągnął się rozkosznie.
– Wiem, że mogę ci prawie zagwarantować, że dostaniesz nominację, którą sobie wybierzesz, tak szybko, jak tylko będziesz chciał, chociaż niczego nie mogę obiecać. A więc proszę, nie trzymaj mnie za słowo.

Chociaż w głosie Ralpa nie było niczego prócz czystej przyjaźni, Gold uznał, że lepiej się upewnić.

– Ralph, słucham tu różnych rzeczy i przyłapuję się czasem na tym, że nie wierzę w to, co słyszę.

– Wiem bardzo dobrze, co czujesz. – Ralph przyglądał palcami niesforny kosmyk ryżych włosów. – Ja, spędziwszy już trochę czasu w Waszyngtonie, wierzę obecnie bez zastrzeżeń we wszystko, co tutaj usłyszę.

Gold powziął podejrzenie, że nie wyraził się dostatecznie jasno.

– Ale ja mówię o tym, co słyszę od ciebie, Ralph.

– Ode mnie? – zdziwił się szczerze Ralph. – Bruce, możesz śmiało wierzyć w to, co ci mówię, bo ja nigdy cię nie okłamię. Sprawdziło się wszystko, co ci obiecałem, prawda? Powiedz mi, jak załatwiłeś swoje sprawy w college'u?

– Promowałem wszystkich swoich studentów na Kurs Specjalizacyjny – powiedział Gold – i przydzieliłem im prace semestralne. Jak dobrze pójdzie, już ich więcej nie zobaczę.

Ralph sapnął z podziwem i po stuknął się palcem w bok nosa.

– Jesteś niesamowity, Bruce, naprawdę niesamowity. Wątpię, żeby zaistniał w rządzie problem, którego byś z łatwością nie rozwiązał. Pozostaje ci tylko odejść od Belle i poślubić Andreę. Byłoby o wiele lepiej, Bruce, gdybyś miał to za sobą, zanim rozpoczną się twoje przesłuchania kwalifikacyjne. Jeśli ktoś zwleka z rzuceniem starej żony na rzecz lepszej do czasu, kiedy wyrobi już sobie markę w rządzie, odbywa się to zawsze ze szkodą dla kraju. Może to być do przyjęcia z punktu widzenia etyki w przypadku Senatora albo Kongresmana, ale ty stoisz już o wiele wyżej.

– Naprawdę?

– Myślałem, że to wiesz – zdziwił się Ralph. – Chociaż trzeba przyznać, że nie miałeś się jak dowiedzieć. Odejdź od Belle, Bruce. Zrób wreszcie ten właściwy ruch.

Gold lekko się stropił.

– Nie tak łatwo zostawić żonę, Ralph.

– Mnie to mówisz?

– Skąd mam wiedzieć, czy Andrea za mnie wyjdzie?

– Czy mogłaby ci odmówić, kiedy jej powiesz o swoim awansie?

– Jak mam jej o nim powiedzieć, skoro trzeba go na razie zachować w tajemnicy?

– Och, możesz jej to dać dyskretnie do zrozumienia – powiedział Ralph. – Zresztą i tak prawdopodobnie podsłuchiwała. Poznałeś już Puga Biddle'a? Widzisz, to szczególna osoba, tak samo jak jego posiadłość, sąsiadująca ze wspianymi terenami łowieckimi. Nad czym ostatnio pracujesz?

– Nadal piszę tę książkę o...

– Ludziach żydowskiego pochodzenia? – wpadł mu w słowo Ralph.

– O Żydach – dokończył odważnie Gold. – Chociaż teraz zaczyna ona nabierać bardziej osobistych akcentów. I gromadzę materiały do humorystycznej książki o Davidzie Eisenhowerze oraz poważnej o Henrym Kissingerze, ale może wyjść na odwrót.

– Jak potraktujesz Henry'ego Kissingera?

– Fair.

– Ja też nigdy go nie lubiłem. Aha, Prezydent prosił mnie, żebym cię zapytał, czy Rosja będzie parła do wojny, jeśli zredukujemy nasz potencjał militarny.

Gold zerknął na Ralpa spod oka.

– A skąd ja mam to wiedzieć?

- Nie mógłbyś się dowiedzieć?
- Od kogo? Ralph, czy tutaj nikt się w niczym nie orientuje?
- Och, mamy mnóstwo ekspertów. Ale Prezydent uważa, że twoja opinia może być tak samo dobra, jak kogokolwiek innego.
- Popytam.
- Jesteś niezrównany, Bruce – ucieszył się Ralph. – Prezydent będzie ci bardzo wdzięczny.
- Ralph – powiedział Gold ze sceptycyzmem dominującym znowu nad mnóstwem innych rozterek – przyznaj z ręką na sercu, czy w ogóle widziałeś Prezydenta na własne oczy?
- Ależ naturalnie, Bruce – zachnął się Ralph. – Wszyscy widują Prezydenta.
- Chodzi mi o to, czy spotykałeś się z nim na gruncie osobistym. Czy on ciebie zauważa?
- Prezydent bardzo dużo zauważa, Bruce.
- Czy z nim kiedyś rozmawiałeś?
- O czym? – spytał Ralph.
- O czymkolwiek.
- Och, Bruce, z Prezydentem nie można rozmawiać o czymkolwiek – skarcił Golda Ralph.
- Prezydent jest często bardzo zajęty. Kto wie, czy nie pisze kolejnej książki.
- Gold naciskał jednak dalej, mimo gęstniejącej mgły daremności.
- No dobrze, Ralph, a jeśli miałeś do omówienia z Prezydentem jakąś ważną sprawę, to mogłeś do niego wejść i porozmawiać?
- O czym? – spytał znowu Ralph.
- O tej jakiejś ważnej sprawie... nie, nie przerywaj mi... dajmy na to o wojnie.
- To nie mój resort – odparł Ralph. – Nie moja działka.
- A jaka jest twoja działka?
- Wszystko to, czym się zajmuję, Bruce.
- A czym się zajmujesz?
- Wszystkim, co podpada pod moją działkę, Bruce. To moja praca.
- Gold starał się nie podnosić głosu.
- Usiłowałem się tylko zorientować, Ralph, na czym konkretnie polega twoja praca.
- No cóż – powiedział Ralph pompując ręką – rad jestem, że mogłem ci pomóc. Przekaż, proszę, moje ucałowania Belle i pozdrowienia Andrei albo pozdrowienia Belle i ucałowania Andrei, zależnie od tego, co wyda ci się stosowniej sze.
- Gold wstał ciężko.
- A ty pozdrów ode mnie Almę – powiedział. Ralph popatrzył na niego z zakłopotaniem.
- Którą Almę?
- Czy twoja żona nie ma na imię Alma? – zapytał Gold.
- To samo imię nosi dziewczyna, z którą jestem aktualnie zaręczony – odparł Ralph. – Jest o prawie cały rok młodsza. Bruce, posłuchaj mojej rady. Jeśli mężczyzna nosi się z zamiarem porzucenia jednej żony, bo chce poślubić inną, to lepiej, żeby przed poślubieniem tej drugiej rozwiódł się najpierw z pierwszą. Wiem, co mówię, bo wypróbowałem to na oba sposoby. I najlepiej porzucać je szybko, zanim zaczną dostawać tych swoich guzów piersi i nadzerek macicy. Tak, o wiele praktyczniej odchodzić od żon, kiedy są jeszcze na tyle zdrowe i młode, żeby złapały sobie innego męża, który będzie regulował ich rachunki za leczenie i weźmie na siebie obowiązek odwiedzania ich w szpitalu. Ach tak, miałem się jeszcze dowiedzieć, czy nie masz czasem w swoim życiorysie jakichś grzeszków, które mogłyby wprawić nas w zakłopotanie, gdyby wyszły na jaw.
- Na przykład jakich? – Gold obserwował go niepewnie.
- Nie mam zielonego pojęcia.
- No to muszę zaprzeczyć.
- Zrobiłeś kiedykolwiek coś gorszego niż reszta z nas?

– Zdecydowanie nie.

– No to jesteś czysty. – Z natchnionej twarzy Ralpa i głębokiego westchnienia, z jakim spojrzał przez otwarte drzwi na rzędy biurek w hali biurowej, można byłoby wnosić, że kontempluje żyzną łąkę i oddycha pełną piersią rześkim powietrzem, które pachnie kocierpką i kapryfolium oraz rozbrzmiewa sielskim bzykiem nieprzeliczonych godowych owadzych kopulacji. – Czyż to nie zapiera tchu w piersi, Bruce? – zawołał. – Dwie z trzech naszych najtęższych głów twierdzą, że jeśli ktoś postoi w tych moich drzwiach dostatecznie długo, to wcześniej czy później może zobaczyć przechodzącego tędy Prezydenta. Zaczekasz?

Gold zerknął na niego z ukosa, po raz któryś z kolei wąpiąc, czy dobrze usłyszał swojego protestanckiego przyjaciela.

– Muszę się oświadczyć Andrei.

– Prezydent będzie zadowolony.

Podczas kolacji Gold był nerwowy i lekko roztargniony. Zachowując zewnętrzne pozory spokoju, dyskretnie wpajał znowu Andrei konieczność powstrzymywania się od poruszania tematu ich związku oraz stosunków seksualnych w rozmowach z osobami w rodzaju panny Plum czy kimkolwiek innym. Andrea usługiwała mu z naiwnym zachwytem, co napawało go poczuciem własnej wartości i lekkim niepokojem. Nie był przyzwyczajony do wywierania takiego hipnotycznego wpływu na kogoś, kogo szanował.

Szkockie śledzie i żytni chleb litewski, które przywiózł z Nowego Jorku, zostały ze smakiem skonsumowane. Andrea miała się dowiedzieć od swoich wtyczek w Departamentach Handlu i Rolnictwa, czy gdzieś na świecie można jeszcze dostać arabską ziarnistą mokkę, czy też gatunek ten zupełnie już wyginął. Gold wolał mokkę arabską od francuskiej. Wstawił teraz ostatni talerzyk na suszarkę do naczyń i wszedł do living-roomu, gdzie na sofie, w półleżącej pozycji przywołującej na myśl obraz i marmurowy posąg Madame Recamier, wsparłszy swobodnie głowę na dłoni i wyciągnąwszy wspaniałe, zgrabne nogi na poduchach, czekała na niego Andrea. Znowu zaparło mu dech w piersiach na widok lawendowych kręgów rozchodzących się promieniście od jej źrenic. Miała najpiękniejszą twarz, na jakiej spoczęło kiedykolwiek jego oko, i ponownie zadał sobie pytanie, dlaczego czasami czuje się przy niej taki znudzony. Jej palce bawiły się czule ciemnymi włoskami porastającymi mu kark.

– Ralph uważa – powiedział, całując ją – że powinniśmy się pobrać.

Policzki Andrei rozkwitły rumieńcem.

– Też tak uważam.

– Jest zdania, że to byłoby dobre dla kraju – ciągnął Gold czerwieniąc się ze skrepowania, które w jego mniemaniu nie powinno dotykać ludzi mających już ukończonych czternaście lat, i które spartańskim wysiłkiem próbował stłumić. – Bo widzisz, niedługo rozpoczynam pracę w rządzie. Klamka już zapadła, chociaż pewności nie mam.

– Zawsze chciałam być żoną kogoś zajmującego wysokie stanowisko w rządzie – powiedziała Andrea. – Kogoś, kogo podziwiam i kto chce się ze mną widywać.

– Dostałem dzisiaj wielki awans.

– A kim byłeś do dzisiaj?

– Nie mogę powiedzieć – odparł tajemniczo.

– A kim będziesz teraz?

– Przykro mi, ale tego również nie mogę ci powiedzieć.

– Założę się, że zgadnę – zaszczebotała figlarnie Andrea i zaczęła się z nim przekomarzać. – Rzecznikiem?

– Och, nie – odparł nieskromnie Gold i zarechotał razem z nią. Oboje byli w swawolnym nastroju. – Zostałem już awansowany o wiele wyżej.

– Jesteś anonimowym źródłem? – Andrea ochoczo prowadziła tę grę dalej. – Kimś ważniejszym od szefa biura prasowego? – ciągnęła widząc, że Gold kręci głowę. – No to założę się, że wiem – powiedziała poważniejąc. – Szefem Kolegium Sztabów Połączonych? Sekretarzem Stanu? Prokuratorem Generalnym? Prezesem Sądu Najwyższego?

Gold położył palec na ustach.

– Wystarczy, kochanie – nakazał stanowczo. – To musi pozostać tajemnicą. Ale sądzę, że możemy już przystąpić do planowania naszego małżeństwa. Zdaje się, że oboje go pragniemy. O sobie mogę powiedzieć, że zawsze miałem na ciebie chrapkę.

– Ależ ty jesteś zabawny.

– Boże! – wykrzyknął w ekstazie, widząc, że jego oświadczenia zostały przyjęte. – Nigdy jeszcze nie czułem się taki szczęśliwy!

I tak sprawa została załatwiona. Oboje uznali za rzecz oczywistą, podejrzewał później Gold, że w taki czy inny sposób uwolni się od Belle, bo wtedy żadne o tym nie wspomniało.

Potem, w łóżku, Andrea powiedziała:

– Nie musisz tego robić. I tak prawie nigdy nie mam orgazmu.

Pod każdym względem, jaki tylko można sobie wyobrazić, była ideałem.

Gold delikatnie poruszył temat rozwodu w domu. Z opuszczaniem żony wiąże się zazwyczaj pewna tchórzliwa procedura, on miał jednak w ręku mocny atut w postaci swojego studio, do którego mógł się przeprowadzić przy minimum zamieszania.

– Byłem znowu u lekarza, u psychiatry – zaczął ogródkami. – W związku z przepracowaniem.

– Tak? – mruknęła Belle.

– Żyję ostatnio w wielkim stresie. Wykłady, pisanie i teraz jeszcze ta praca w Waszyngtonie.

– Mówiłeś mi to samo kilka dni temu.

– Widzisz, jak mi pamięć szwankuje? Lekarz jest zdania, że powinienem koniecznie wyjechać gdzieś sam na jakiś czas, żeby się pozbierać.

– To jedź – powiedziała Belle.

– Tak, ale przecież nie mogę wziąć teraz urlopu. Więc ten lekarz zasugerował mi, że kiedy jestem w Nowym Jorku, mógłbym zacząć raz, może dwa razy na tydzień nocować w moim studio, mieszkać tam przez trzy do czterech dni w tygodniu, kiedy jestem w mieście, dopóki się nie pozbieram.

– Dobrze – powiedziała Belle.

– Belle, czy ty mnie w ogóle słuchasz? Czy rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Jasne – mruknęła Belle.

– No a poza tym tyle razy mam ochotę wstać w środku nocy, żeby postukać na maszynie, ale tutaj zawsze się krępuję.

– Okay.

Ta słaba opozycja podkopała odwagę Golda. Na myśl, że Belle jest może wszystko jedno, ogarnęła go melancholia.

– Widzisz więc – wyjaśniał dalej ze ściśniętym rozżaleniem gardłem – że przez jakiś czas będziemy żyli osobno. W separacji. Jakby w separacji. – Belle nie odzywała się. – Rozumiesz?

– Rozumiem – powiedziała wreszcie.

– Przynajmniej dopóki się nie pozbieram.

– Ile czasu zajmie ci to zbieranie? – spytała Belle.

– Trudno powiedzieć.

– Myślisz – ciągnęła Belle – że zdążysz się pozbierać na rocznicowe przyjęcie twojego ojca, czyli do przyszłego piątku?

– Och, na pewno – zapewnił ją Go Id z niezłomną wolą współpracy, tak nie licującą z neurastenicznym stanem, jaki przed chwilą przedstawił. – Będę tu zresztą często wpadał na kolacje i po pocztę, i z garniturami do odświeżenia, i odebrać pranie. Do Waszyngtonu będą mi potrzebne moje stare ciemne garnitury i trochę tych starych białych koszul.

– Bo jak nie, to ojciec będzie może chciał zostać jeszcze w Nowym Jorku, żeby pomóc ci się pozbierać.

– Dużo czasu będę spędzał w Waszyngtonie.

– Założę się, że pojechałby nawet do Waszyngtonu, żeby pomóc ci się pozbierać.

– Będę na tym przyjęciu – powiedział Gold – i wszędzie tam, gdzie będę musiał, dopóki stąd nie wyjadą. Belle, na pewno nie masz nic przeciwko temu?

– A dlaczego miałabym mieć?

– No bo prawie każdą noc będę spędzał w moim studio i często będę nocował poza miastem. Czasami nie będzie mnie nawet całe weekendy.

– Jeśli chcesz znać prawdę – powiedziała Belle – to gdybyś mi nie powiedział, nawet bym tego nie zauważyła.

– Nie zauważyłabyś?

– Przecież żyjesz tak od lat.

Córce Golda, chociaż miała dopiero dwanaście lat, nie tak łatwo było wmówić, że za kulisami nic się nie dzieje.

– Wyprowadzasz się, prawda? – zaatakowała z rzadką u osób w tak młodym wieku przenikliwością.

– Nie, nie wyprowadzam się. – Gold skrzywił się, słysząc pogardliwy śmiech, jakim wybuchnęła. – Pakuję tylko rzeczy, które będą mi potrzebne do pracy w studio i które muszę zabrać ze sobą do Waszyngtonu.

– Nie zalewaj – powiedziała Dina. – Rozwodzicie się.

– Mała dziewczynka nie powinna tak mówić.

– Nie obchodzi cię, co ze mną będzie?

– Nie.

– Skoro mnie nie chcesz, to po co mnie robiłeś?

– A kto wiedział, że to będziesz ty?

– Co to miało znaczyć?

– Spytaj kogoś innego.

– Wy naprawdę jesteście denni.

– Weź się do lekcji albo idź się pobawić na podwórko.

– Masz jakąś inną, prawda? Przecież widzę. Pewnie ci się wydaje, że chcesz się z nią ożenić, no nic?

– Pleciesz, co ci ślina na język przyniesie – burknął Gold.

– Gówno prawda. Od urodzenia wiem, że pieprzysz się z innymi babami. Myślisz, że nie kapuję, o co biega na tym świecie? Możesz mi śmiało powiedzieć. Mam prawo wiedzieć. I tak się dowiem.

– Pilnuj swego nosa.

– I co ja mam robić? Odwiedzać cię w weekendy?

– Nawet nie dzwoń.

– Mam cię gdzieś. Zrobię ci chyba na złość i zgłoszę się na terapię psychiatryczną. Postaram się, żeby mnie wywalili z budy. Narobię ci takiego obciachu, że się nie pozbierasz.

– Pójdiesz do publicznej kliniki – ostrzegł ją Gold przejęty nagłym dreszczem niepokoju, bo Dina nie rzucała zazwyczaj swoich pogroźek na wiatr. – Jedna sesja na tydzień. W grupie.

– Mam nadzieję, że złapiesz od niej trypra i syfa.

– Idź w cholere.

Wycyganiwszy zgodę Belle na separację i przedyskutowawszy gruntownie sprawę z córką, Gold postanowił zostać na kolację i spędzić w domu jeszcze jedną noc. Czuł się tu lepiej niż w studio, bo haitańskie kurewki zajmujące sąsiedni lokal puszczały noc w noc jazgotliwą muzykę przenikającą przez ściany jak przez bibułę.

Sprawdzając skrupulatnie godzinę na ręcznym zegarku, Gold, nadymany coraz silniejszą skłonnością do identyfikowania się z dygnitarzem, którego akcje zwyżkują, predefiniował z werwą przez skromną recepcję redakcji i przebrnąwszy z grymasem obrzydzenia przez skrzypiący korytarz zawałony rozchwianymi niebezpiecznie stertami zdezaktualizowanych numerów czasopisma, które nie znalazły nabywców, dotarł w najdalsze zakamarki biura pozostającego nadal najędzniejszym, najparszywszym i najbardziej zatechłym ze wszystkich, w jakich kiedykolwiek postąpiła jego noga. Nie przypominał sobie drugiego takiego. Na bezładnej kupie pożółkłych, starych numerów *New York Times Magazine*, z których Lieberman plagiator! wiecznie większość swoich nowych pomysłów edytorskich, leżała wyskubana pierzasta miotełka do kurzu, z którą pod względem stopnia zaświnienia nie mogło się równać nic poza zsysem na śmieci albo opuszczoną, zrujnowaną rudera. Gold zerknął znacząco na ten odrażający przedmiot.

– Używam jej do sprzątnięcia – bąknął przepaszając Lieberman.

– Do sprzątnięcia? – powtórzył Gold pełnym rezerwy tonem, mającym wprowadzić między nich dystans przynajmniej na długość wyciągniętego ramienia. – A gdzie znajdziesz do posprzątnięcia coś jeszcze bardziej zasyfionego niż. to? – Nie pamiętał, żeby od czasu tamtej owocnej wiosny dawno temu, kiedy to Liebermanowi nie przyznano Stypendium Rhodes, Stypendium Fulbrighta, Grań tu Guggenheima ani karty bibliotecznego na kolejne dni tygodnia, spijał tyle satysfakcji z rozżewu między pozycją swoją i Liebermana. – Jeśli chcesz, żebym tam usiadł i cokolwiek podpisał, najpierw wypieprz to stąd w diabły.

Zawiść wzniecona rosnącą sławą Golda popchnęła Liebermana do wysmażenia kolejnej odezwy. Gold przeczytał:

MOJE WEZWANIE DO POŁOŻENIA KRESU KOMUNISTYCZNYM RZĄDOM W ALBANI

– Jak widzisz – powiedział Lieberman – pozwalam pewnej grupie moich kolegów z kręgów inteligencji współsponsorować tę odezwę. Od każdego sygnatariusza pobieramy pięćdziesiąt dolarów na zamieszczenie ogłoszeń w najbardziej wpływowych czasopiśmie świata, z moim włącznie. Liczymy na akces tysiąca ważnych osobistości życia publicznego i postanowiłem dopuścić cię do ich grona. Osobiście zobowiązałem się zebrać pięćset podpisów.

– A ile już zebrałeś?

– Żadnego.

Treść odezwy brzmiała następująco:

ŻĄDAMY

1. POLITYCZNEJ DEMOKRACJI W ALBANI.
2. WOLNOŚCI PRASY W ALBANI.
3. TOLERANCJI RELIGIJNEJ DLA NARODU ALBAŃSKIEGO.

NIE USTĄPIMY!!!!!!

Dalej już Gold nie czytał.

– Nie podpiszę tego.

– A dasz pięćdziesiąt dolarów?

– Nie dam nawet pięćdziesięciu centów. Odkąd stałem się neokonserwatystą, pragmatycznym postępowcem, zatroskanym demokratą optującym za Koalicją Demokratycznej Większości, liberalnym reakcjonistą oraz oświeconym republikaninem, nie wykładam już pieniędzy na głoszenie swoich przekonań politycznych. Ty też nie powinieneś.

– Dlaczego nie chcesz tego podpisać?

– Nie uważam tego za rozsądne – odparł Gold z promiennym zadowoleniem, którym często pałało jego serce, kiedy kontemplował porażki i frustracje swoich bliźnich. – Niebawem zostanę powołany na ważne stanowisko w Waszyngtonie.

– Co? – Lieberman rozciągnął kąciaki ust w złowrogim grymasie i przez chwilę wydawało się, że zaraz zaatakuje Golda zębami mądrości. – Na pewno żartujesz.

– Nigdy nie mówiłem poważniej.

– W Waszyngtonie? Czym sobie na to zasłużyłeś? Dlaczego biorą do rządu ciebie, a nie mnie? Ja byłem kiedyś na kolacji w Białym Domu.

– Z czterystoma innymi osobami.

– Z żoną. A ciebie tam nie było. Chcesz, żeby Albańczycy żyli nadal bez politycznej demokracji tylko dlatego, że ty dostajesz pracę w rządzie? Nie obchodzi cię, co się z nimi stanie?

– Nie – odparł Gold.

– Zniszczę cię za to – zagroził Lieberman. – Wystosuję jeszcze jedną odezwę.

– Spokojnie, Lieberman – ostrzegł go wesoło Gold. – Tylko spokój może nas uratować. Jeśli już tak lubisz bawić się w odezwy, to dlaczego mierzysz z nich do małej Albanii? Zbombarduj nimi Rosję i Chiny. Po co marnować amunicję? A kiedy już powalisz Rosję i Chiny na kolana, to jestem przekonany, że taka płotka jak Albania pójdzie w ich ślady.

– Podśmiejuki sobie robisz – burknął ponuro Lieberman. – Ale ktoś musi przecież od czegoś zacząć. Jaką robotę dają ci w Waszyngtonie?

– Nie mógłbym ci powiedzieć, nawet gdybym chciał – odparł Gold. – Ale dostałem już awans.

– To coś dużego, co? – Lieberman był pod wrażeniem.

– I poufnego.

– Nawet mnie nie możesz zaufać?

– Mam zasznurowane usta.

– Kiedy się dowiemy?

– Nic więcej nie mogę powiedzieć.

– Musisz mieć teraz potężnych przyjaciół w Białym Domu, co?

– Wielu. Byłem w Białym Domu na spotkaniu z Prezydentem.

– Na kolacji? – rzucił wyzwanie Lieberman.

– Na przekąsce – powiedział Gold. – Byliśmy tylko ja i Ralph. To była odprawa. Tyle mamy wszyscy do zrobienia. Wiesz, wyznaczono mnie do napisania raportu z posiedzenia komisji.

– Co napiszesz w nim o mnie?

– Nic – odparł Gold. – Za co się pewnie na mnie obrazisz.

– Udzielę ci wszelkiej pomocy, jakiej potrzebujesz – zaoferował się Lieberman i zaraz dodał: – Założę się, że teraz mnóstwo możesz dla mnie zrobić, prawda?

– Czekalem, kiedy do tego nawiądziesz – powiedział Gold. – Ale czy jest to, wciąż muszę sobie zadawać to pytanie, w najlepszym interesie kraju?

– Moim zdaniem tak – stwierdził Lieberman. – To główna przyczyna, dla której przeorientowałem na korzyść Administracji ton polityczny wszystkich moich artykułów wstępnych.

– Nie jestem pewien, czy Administracja zauważa przeorientowanie tonu wszystkich twoich wstępniaków – mruknął Gold.

– Mógłbyś im to powiedzieć. – Lieberman wziął go za ramię. – Bruce, jak jest w Waszyngtonie? – Gold wyswobodził ramię i zaczął rozcierać brudne plamy i kłaczki kurzu pozostawione na rękawie przez palce Liebermana. – Co tam robisz?

Gold zaspokoił jego ciekawość wypalając z grubej rury:

– Dupcę dziewczyny, Lieberman – zaczął wybuchowo, z sadystycznym zachwytem, którego nie potrafił sobie odmówić. – Blondyny, Lieberman, blondynki, najautentyczniejsze blondyneczki, jakie kiedykolwiek widziałeś. A wszystkie piękne. Córeczki milionerów, baronów naftowych i wydawców prasowych. Baronów przemysłu drzewnego, potentatów, bonzów stalowych. Magnatów. Żałuj, że ich nie widziałeś, Lieberman, och, żałuj. Wszystkie mają po dziewiętnaście albo po dwadzieścia trzy lata i nigdy już nie będą starsze. Kochają Żydów. Słyszysz, Lieberman?

Kochają Żydów. A nie mają tam nas za wielu pod ręką. Jesteśmy rarytasem. Szaleją na naszym punkcie, Lieberman. Słuchasz? Słyszysz? Bogate wdówki. Nie mają nas za znerwicowanych, zahukanych i neurotycznych, lecz za inteligentnych, dynamicznych i twórczych. Są zaślepione, Lieberman, po prostu zaślepione. Trzeba je brać, Lieberman, garściami, brać póki można.

– Zabierz mnie ze sobą! – wybełkotał płacząco Lieberman i podniósł na Golda przepięknie błaganie oczy. – Załatw mi tam jakąś pracę!

– Nie wydaje mi się – poinformował go chłodno Gold – by w tym przełomowym momencie rządowi był potrzebny jeszcze jeden rosyjski Żyd z Brooklynu.

– Morawski – poprawił go skwapliwie Lieberman.

– Nie masz żadnego doświadczenia – ciągnął Gold. – Przykro mi, ale muszę już lecieć.

– To załatw mi chociaż grant CIA. – Lieberman, z rozdierającym sapaniem człowieka bliskiego ataku apopleksji, gonił za nim krętym szlakiem prowadzącym wzdłuż zagraconego korytarza.

Gold przeszył go lodowatym spojrzeniem.

– Nie sądzisz, że biorąc potajemnie pieniądze od rządu tracisz swoją intelektualną niezależność?

Efektom tego pytania było pojednanie Liebermana ze swoimi zasadami moralnymi, którymi tak się chełpił.

– Absolutnie nie – odparł z wielką stanowczością i przekonaniem. – Nie ma niczego złego w przyjmowaniu pieniędzy w zamian za popieranie stanowisk, których i tak bym bronił.

– A jakich to stanowisk byś bronił?

– Tych, które by mi kazali.

– Do widzenia, dobry człowieku.

– Bruce – podjął przymilnie Lieberman, próbując zagrozić mu drogę do wyjścia – dlaczego nigdy nie wpadniecie do nas z Belle na kolację? Sophie by się ucieszyła.

– Bo nie chcę – odburknął Gold.

Zająwszy miejsce w samolocie wiozącym go z powrotem do Waszyngtonu i Andrei, zaczął od razu pracować wprawnie nożyczkami, ołówkiem i przyklepcem – swoimi ulubionymi narzędziami do prac naukowych i badań. Miał przed sobą zadanie polegające na ponaklejaniu wyciętych z gazet fragmentów tytułów na kartki i porozkładaniu ich do teczek. Kilka minut po starcie oglądał już z zadowoleniem genialną sekwencję trzech nagłówków, skomponowanych z różnych numerów nowojorskiego *Posta*:

Sędzia do Utah:
ROZSTRZELAĆ GO 17 STYCZNIA!
Wyrok w procesie Gilmore'a:
ZABIĆ GO!
GILMORE STRACONY!

Zdecydowanie brakowało punktu kulminacyjnego, więc stworzył go.

Zalecenie sądu:

ZABIĆ GO JESZCZE RAZ!

Dołączył do tego pomysłowo osobną stronę z dwoma starymi nagłówkami z nowojorskiej *Daily News*, nie mającymi ze sobą nic wspólnego:

Ford do Nowego Jorku:
PADŁ MARTWY!

Oraz:

Burmistrz do śmieciarzy:
POSPRZĄTAĆ TU!

Swoje dzieło wykończył dwoma paskami przylepca i wycinkiem z *The New York Timesa*, który od wieków nosił w portfelu, bo bał się go niewłaściwie wykorzystać:

CYTAT DNIA

„Powiedziałem im, że nie podoba mi się to, co się wyprawia. Powiedziałem im, że albo zrobią tu porządek, albo ja go zrobię z nimi” (burmistrz Beame wyrażający swoje niezadowolenie ze stanu ulic miasta na spotkaniu z kierownictwem Departamentu Oczyszczania).

Gold nie był jeszcze pewien jak, ale wiedział już, że wykorzysta jakoś ten materiał w swojej książce o Kissingerze, Davidzie Eisenhowerze albo o żydowskich doświadczeniach w Ameryce. Potem natrafił na kolejne dwa żarty Henry'ego Kissingera do kolekcji dowcipnych powiedzonek wygłaszanych publicznie przez byłego dygnitarza, którą gromadził nieubłaganie od lat. Przeczytał pierwszy:

Sekretarz Stanu Henry Kissinger w doskonałym humorze wręczał wczoraj, czyli w poniedziałek rano czasu lokalnego, nagrodę quarterbackowi miejscowej drużyny futbolowej. Ustępujący Sekretarz opowiedział dykteryjkę, jak to odrzucił propozycję drużyny New York Jets stawienia się na trening próbny, organizowany celem wyłonienia następcy quarterbacka Jetsów, Joe Namatha. „Pomyślałem sobie, że Nowy Jork nie zniósłby dwóch symboli seksu pod rząd” – podsumował.

Następny utrzymany był w podobnym tonie:

Ustępujący Sekretarz Stanu otrzymał w tym tygodniu prezent pożegnalny: honorowe członkostwo drużyny Harlem Globetrotters, plus strój koszykarski Trottersów. Kissinger z zadowoleniem odnotował fakt, że jego nowy kostium nosi numer 1. Oto słowa Henry'ego: „Numer ten współgra z moją samooceną własnej osoby. Martwi mnie tylko, jak będę wyglądał w krótkich majteczkach”.

Gold, wiedziony szatańską złośliwością, postanowił wykorzystać oba wycinki w ponurym i przygnębiającym rozdziale o poczuciu humoru Kissingera. Żaden nie oddawał jednak ani ironicznego, fatalistycznego kpiarstwa Talmudu, ani zwykłego żydowskiego humoru i Goldowi o wiele bardziej odpowiadał rodzaj humoru w dowcipie o Kissingerze rozpowszechnionym przez duńską agencję informacyjną Ritzaus:

Pewnego razu Kissinger dostał kupon wysokiej jakości tweedu, z którego postanowił uszyć sobie garnitur. Krawcy z Waszyngtonu i Nowego Jorku, wzięwszy mu miarę, orzekli, że materiału nie starczy na marynarkę i spodnie. To samo powtórzyli najlepsi krawcy z Anglii, Francji i Niemiec, kiedy Kissinger

bawił tam z misjami dyplomatycznymi. Potem trafiła mu się podróż do Jerozolimy, i tam żydowski krawiec powiedział mu, żeby zostawił materiał i wrócił za dziesięć dni. Kiedy Kissinger po odwiedzeniu Egiptu, Arabii, Syrii i Iranu zawitał znowu do Jerozolimy, ku swemu zaskoczeniu odebrał od krawca nie tylko idealnie leżący na nim garnitur, ale i kamizelkę, jeszcze jedną marynarkę oraz dwie dodatkowe pary spodni, wszystko wykrojone z tego samego kuponu materiału. „Jak to możliwe – spytał – że w Nowym Jorku, w Waszyngtonie, w Londynie, w Paryżu i w Niemczech powiedziano mi, że materiału nie starczy nawet na jeden garnitur, a tutaj, w Izraelu, potrafiliście tyle z niego uszyć?”

„Bo tutaj, w Izraelu – odparł żydowski krawiec – nie jest pan takim wielkim człowiekiem”.

Gold zajął się teraz dwoma wycinkami pozyskanymi ostatnio do swojej bazy danych o Kissingerze. Pierwszy wywoływał pusty śmiech, bo wiadomość, choć krótka, pojawiła się na pierwszej stronie *Timesa* i zredagowana została chyba z pewnym subtelnym przymrużeniem oka.

KISSINGER PODEJMOWANY Z HONORAMI PRZEZ GRUPĘ ŻYDÓW AMERYKAŃSKICH

Wczoraj, na obiedzie wydanym przez Konferencję Prezesów Głównych Amerykańskich Organizacji Żydowskich, Sekretarz Stanu, Henry A. Kissinger, wygłosił emocjonalną mowę pożegnalną do przywódców środowiska Żydów Amerykańskich.

„Nigdy nie zapomniałem, że 13 członków mojej rodziny zginęło w obozach koncentracyjnych” – powiedział pan Kissinger zasłuchanemu audytorium.

Z obiadu u Pierre'a pojechał prosto na kolację do Waldorf Astorii, by odebrać tam Nagrodę Wielkich Decyzji, przyznaną mu przez Towarzystwo Polityki Zagranicznej.

Do największych z tych Wielkich Decyzji, pomyślał zgryźliwie Gold, należała zapewne decyzja zostawienia tych żydków u Pierre'a i udania się na kolację do Waldorfa. Pozostał mu już tylko jeden wycinek, który, chociaż minęło tyle miesięcy, nadal stanowił irytującą enigmę. Pochylił się nad nim ze ściągniętymi brwiami i przeczytał po raz trzeci, czwarty i piąty:

KISSINGER WSTRZYMUJE WYJAZD 3 OSÓB NA ROZMOWY PANELOWE W HELSINKACH

Sekretarz Stanu, Henry A. Kissinger, cofnął dzisiaj trzem przedstawicielom Administracji zgodę na towarzyszenie kongresowej komisji dochodzeniowej, która ma zbadać realizację postanowień kontrowersyjnego porozumienia helsińskiego.

Pan Kissinger zezwolił im na podróż z pięcioma członkami Kongresu tylko do Brukseli, na rozmowy z przedstawicielami Paktu Północnoatlantyckiego i Wspólnego Rynku.

Gold przeczytał to po raz szósty i nic nie pomogło. Nie mógł sobie przypomnieć, czemu zachował ten wycinek. Po paru minutach daremnego wysilania pamięci odwrócił go z pustką w głowie i na drugiej stronie przeczytał:

**PROSTO OD PRODUCENTA DO TWOICH RĄK!
NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI PALTA Z OWCZEJ SKÓRY!
OBNIŻKA CEN DO 40%!**

ODWIEDŹ NASZ SALON JESZCZE DZIŚ! TANIEJ JUŻ NIE BĘDZIE!

Wyglądził starannie wycinek i wsunął go do portfela. Zakończywszy pracę na ten dzień, rozpostarł *Timesa* i przeczytał:

KRONIKA POLICYJNA

Oddział Citibanku u zbiegu 1 Park Avenue South i 32 Ulicy został wczoraj obrabowany na sumę 1290 dolarów przez mężczyznę, który podał kasjerce karteczkę o obscenicznej treści.

W dziale biznesu Gold natknął się na drugą obsceniczną treść z zakresu finansów, którą coś jakby łączyło z tamtą pierwszą:

SIMON ZAPOWIADA SWÓJ POWRÓT DO SALOMON BROS

William E. Simon, Sekretarz Skarbu, planuje wrócić do Salomon Brothers, inwestorskiej firmy bankierskiej z Nowego Jorku, z której odszedł 1 stycznia 1973 roku, by objąć stanowisko Sekretarza w rządzie Nixona.

William R. Salomon, współdziałowiec i dyrektor firmy Salomon Brothers, powiedział, że bardzo liczy na powrót pana Simona na łono firmy. „Jako były Sekretarz Skarbu, pan Simon byłby dla nas naturalnie o wiele użyteczniejszy niż przedtem”.

W chwili skaptowania przez byłego Prezydenta Nixona, pan Simon, zgodnie z oficjalnymi danymi, zarabiał od 2 do 3 milionów dolarów rocznie. W Administracji Forda był najlepszym wyrazicielem filozofii ekonomicznej Prezydenta.

Ambiwalentne odczucia miotające Goldem dały się łatwo spacyfikować, bowiem odrazę do żarłocznego materializmu społeczeństwa, w którym żył, przeważało szybko spostrzeżenie, że po zakończeniu swojej służby państwowej on również może się stać bardziej użyteczny dla firmy Salomon Brothers. Kiedy koła samolotu dotykały ziemi, jego uwagę przyciągnął nagłówek wart więcej niż wszystko, co mógłby sam, nawet w swoich najbardziej ekstrawaganckich fantazjach, zaimprovizować. Przeczytał:

MORAWSKI POC

Odwrócił na chwilę głowę i zassał policzki. Oczy, czego się z początku obawiał, wcale go nie myliły. Zaczął czytać dalej:

MORAWSKI POC

Sprostowanie

Do artykułu „Boże Narodzenie – drugie Betlejem” (*Travel News*, 7 listopada) wkradło się kilka nieścisłości. Prawidłowa informacja brzmi następująco: „Wystawa szopek bożonarodzeniowych o tytule »Morawski poc« zostanie udostępniona zwiedzającym 5 grudnia w Christmas Education Building za starą Kaplicą Morawską przy ulicy Kościelnej w Betlejem, stan Pensylwania”.

W terminalu Gold kupił znaczek pocztowy, wyprosił kopertę i wycinek zatytułowany „Morawski poc” wysłał Liebermanowi z anonimowym dopiskiem: „Czy tu chodzi o ciebie?” Potem pobiegł do taksówki w szampańskim nastroju, którego, jak mu się wydawało, nic na świecie nie może mu zepsuć, ale znalazłszy się u Andrei stwierdził, że był w błędzie.

Andrea wyjeżdżała na weekend z mężczyzną, z którym widywała się do czasu ich potajemnych zaręczyn. Kiedy pocałowałwszy Golda, uszczypnąwszy go z tuzin razy i przysiągłszy, że za tak szybki powrót do niej zawsze będzie go kochała, podjęła przerwane pakowanie, Goldowi zabrakło słów. Sięgnął głęboko w siebie szukając tam zrozumienia i cierpliwości. Zdążył już się przekonać, że Andrei, kiedy nie zajmuje się swoją ekonomiką rynku wewnętrznego, często lęgną się w głowie pomysły, które ktoś postronny mógłby nazwać durnymi.

– Kochanie, przecież mamy się pobrać – wykrztusił wreszcie.

Pamiętała o tym.

– Właśnie dlatego powinnam się z nim spotkać – wyjaśniła. – Chcę się pożegnać.

– Chcesz się pożegnać? – powtórzył Gold z udawanym flegmatycznym spokojem. – A od czego masz telefon?

– Przez telefon już rozmawialiśmy, głuptasku – odparła Andrea z wesołkowatym chichotem i nic nie świadczyło o tym, by zauważyła grymas irytacji na twarzy Golda. – I przez telefon się umówiliśmy.

– A nie mogliście się przez telefon pożegnać?

– To by było takie zimne.

– A musi być ciepłe?

– To tylko jeden weekend – argumentowała.

– Mówiłaś, że nie posiadałabyś się ze szczęścia, gdybym wrócił na weekend.

– Bo się nie posiadam! – wykrzyknęła. – Taka jestem szczęśliwa wiedząc, że tu jesteś. Nie możesz być taki małostkowy, Bracie.

– Proszę cię, nie nazywaj mnie Brucie – upomniał ją, zadając sobie pytanie, czy ta kobieta wie, jak bardzo rani jego najwrażliwsze uczucia. Nie przywykł, by żona albo przyjaciółki zwracały się do niego w ten sposób, więc powstrzymał się przed okazaniem jakichkolwiek przyjaznych emocji. – Gdzie się zatrzymacie?

– U niego w domu. Albo może w motelu. Zawsze lubił motele.

– Czy to jeden z tych, którzy nie chcieli się więcej z tobą widywać? – Andrea kiwnęła głową. – To co mu kazało zmienić teraz zdanie? – zapytał.

– Jest zdeklarowanym wielbicielem twoich prac. Utrzymywana przez Golda z takim wysiłkiem rezerwa legła w gruzach.

– Andrea, do jasnej cholery! – jęknął przybity i skołowany, kręcąc głową. – Czy o naszym życiu seksualnym też mu opowiadasz? Musimy utrzymywać nasz związek w tajemnicy.

W ponurej ciszy, jaka zaległa, przypomniał sobie o artykułach żywnościowych, które przywiózł z Nowego Jorku, wszedł więc do kuchni, żeby wypakować dwie ciężkie torby. Andrea w milczeniu podreptała za nim.

– Oddaję mu tylko swoje ciało, kochanie – spróbowała go udobruchać po upływie minuty. – Wielkie mi rzeczy.

Gold poczuł, że oczy mu płoną.

– Tylko?

– Nic więcej. – Zachowywała się teraz jak rozbawiona trzpiotka. – Co to dla nas za różnica, co on będzie robił z moim ciałem? Do ciebie należą moje myśli.

– Mam swój rozum. – Gold nie po raz pierwszy poczuł niechęć do zasad moralnych pokolenia, do którego nie należał.

– Masz też ciało. – Andrea zdała się na starą, dobrą metodę pochlebstwa.

– Nie takie, jak twoje.

– Niech on je sobie ma, jeśli tak mu na nim zależy – powiedziała. – Przecież to tylko kości, skóra, narządy i miejsca.

– Twoje ciało – odparł Gold – należy do tych dóbr, które chciałbym posiadać.

– Ależ posiadziesz je, kochanie, kiedy tylko zechcesz. Również teraz możesz je mieć, jeśli się szybko uwiniesz. – Zerknęła na zegarek.

– Chcę je na wyłączność – oświadczył głośno Gold z wyrazem bezkompromisowej dezaprobaty w oczach. – Chcę, żeby należało tylko do mnie.

– Och, Bracie...

– Nie nazywaj mnie tak.

Andrea ukłękła przy fotelu i roześmiała się.

– Naprawdę uważam, że przykładasz zbyt wielką wagę do całej tej sprawy. Wygląda mi na to, że masz do seksu podejście mężczyzny w średnim wieku.

W jej tonie było coś odbiegającego od pochlebstwa i całkowitej uległości, które w mniemaniu Golda była mu winna.

– Bo jestem mężczyzną w średnim wieku – odparł chłodno. – A jakiego podejścia do seksu się po mnie spodziewałaś?

– W tych sprawach nie trzeba być zaraz tak drażliwym i staroświeckim. Dlaczego on nie może mieć mojego ciała, skoro go pragnie? Mnóstwo mężczyzn pragnie mego ciała.

Gold zginał się w nierównym rytmie wpool przy każdym powtórzeniu słowa „ciało”, jakby temat ten był zbyt bolesny, by go poruszać. Nie dla czegoś takiego, myślał, porzucam żonę, prowokuję do wrogości własne dzieci, obrażam rodzinę i zawieszam na jakiś czas wszystkie inne erotyczne znajomości, lecz dla pieniędzy, urody, pozycji społecznej, poparcia politycznego i ogromnego wzmocnienia seksualnego prestiżu, i kiedy to sobie przypominał, zranione uczucia zblizniły się, urażona duma zagoiła, a jego najważniejszym celem na teraz stało się odzyskanie supremacji nad Andrea oraz dopilnowanie, by odzyskać ją już raz na zawsze. Przystąpił do kontrataku.

– Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy w Fundacji senatora Russella B. Longa – przypominał jej – byłem dla ciebie doktorem Goldem. Kiedy piliśmy razem kawę albo jedliśmy lunch, albo bywaliśmy od czasu do czasu na koktajlach i proszonych kolacjach, zawsze byłem dla ciebie doktorem Goldem. Kiedy nie tak dawno temu po raz pierwszy się kochaliśmy, nadal byłem dla ciebie doktorem Goldem. Nawet kiedy zatelefonowałem następnego dnia, żeby ci powiedzieć, jaki jestem szczęśliwy i jak bardzo pragnę znowu się z tobą spotkać, byłem wciąż doktorem Goldem. Teraz, kiedy się potajemnie zaręczyliśmy i chcemy się pobrać, robię się nagle drażliwy, głupi, śmieszny i staroświecki. Kiedyż to przestałem być doktorem Goldem, a stałem się małostkowy i ograniczony? Dlaczego nie zauważałaś tego wcześniej?

– Wcześniej nie miało to znaczenia.

– A co miało?

– To, że byłeś doktorem Goldem – odparła. – I że zawsze byłeś taki bystry, poważny i rzeczowy. Tak mi imponowałaś. Wszystkie kobiety były pod twoim wrażeniem. Nadal bardzo mi imponuje, że dla wszystkich tutaj jesteś doktorem Goldem. A przecież nawet nie jesteś doktorem.

– Co przez to rozumiesz? – spytał nieufnie Gold.

– No, prawdziwym doktorem.

– Mam doktorat.

– Och, Bruce – Andrea znowu się roześmiała. – Wszyscy nasi znajomi mają doktoraty. Ja też mam doktorat. Ale ty jesteś jedynym z nas, którego nazywają doktorem. To takie podniecające być zakochaną w doktorze, który nie ma nic wspólnego z medycyną. Nie potrafię wyrazić, jak szczęśliwa będę, kiedy się pobierzemy.

Gold zdecydował się podjąć skalkulowane ryzyko.

– Nie jestem wcale taki pewien, czy się pobierzemy – powiedział i patrzył, jak uśmiech spęza z twarzy Andrei.

– Gniewasz się na mnie, prawda? – bąknęła niepewnie i jej oczy wypełniły się łzami. – Nie myślałam, że tak się tym przejmiesz. Och, kochanie, nie chcę się z tobą kłócić o to moje wielkie, głupie ciało. Chciałabym go nie mieć. Tyle mi zawsze przysparza kłopotów. Jeśli masz być o nie taki zazdrosny, to może po ślubie nie będę go więcej nikomu oddawać.

– A nosiłaś się z takim zamiarem? – spytał Gold z ciekawością i zaskoczeniem.

– Zakładałam, że oboje będziemy chcieli zachować wolność. – Andrea była gotowa do kapitulacji. – Jeśli to tyle dla ciebie znaczy, odwołam tę randkę. Mam to zrobić?

Gold sięgnął do swego życiowego doświadczenia, by dobrać słowa, które wywarłyby największy efekt.

– Nie życzę sobie, żebyś się z nim więcej widywała.

Nie mógł wybrać lepiej. Andrea uśmiechnęła się z najśłodszy wiernopoddańczym zadowoleniem i przycisnęła sobie jego dłoń do policzka, spoglądając nań z ciętym zachwytem. Było oczywiste, że nigdy dotąd nie została potraktowana z taką rycerskością.

– Powiem mu, że nie jadę.

W tej pierwszej próbie sił Gold odzyskał prymat i był przygotowany na okazanie wspaniałomyślności.

– Zaplanowałem sobie, że spędzę z tobą cały weekend – oświadczył z czułością, całując ją w rękę.

Andrea drgnęła gwałtownie.

– Cały weekend? A co my będziemy robili przez cały weekend?

Gold wykazał się wspaniałym opanowaniem.

– Widzisz, Andreo, kiedy się pobierzemy – powiedział tonem, jakiego mogłaby użyć matka tłumaczka coś opóźnionej w rozwoju córeczce – będziemy spędzać ze sobą nie tylko całe weekendy.

– Ale wtedy będziemy mieli mnóstwo zajęć. Wynajmowanie i meblowanie domów, chodzenie na przyjęcia i prozono kolacje, podróże. A co możemy robić w weekend teraz?

Odpowiedź Golda padła pod wpływem impulsu.

– A nie moglibyśmy wybrać się jutro do posiadłości twojego ojca? Ty pojeździłabyś sobie konno, a ja tymczasem zapoznałbym się z nim.

– Zawiadomię go, że przyjeżdżamy.

Córka mi mówiła – powiedział Pugh Biddle Conover – że ma pan do seksu podejście mężczyzny w średnim wieku. – Przemawiał ze swego zmotoryzowanego fotela na kółkach, stojącego w przestronnej, wyłożonej drewnianą boazerią bibliotece, z której okien rozciągał się widok na jego liczne ogrody i licznych ogrodników.

Na ten komentarz Gold, choć bardzo czujny, nie był przygotowany. Pierwszego tego popołudnia urazu doznał przed dwoma godzinami, kiedy to, przemknąwszy przez łowieckie tereny Virginii, dojechali z Andrea do wspaniałego dworzyszczka, szerokiego jak, nie przymierzając, słynny pałac wersalski (choć może nie aż tak wysokiego i głębokiego), i wydedukował z nieuniknionego nagromadzenia niemożliwych do przeoczenia oznak, że nikt z plejady eleganckich i bogatych gości weekendowych bawiących zwykle u Conovera jeszcze nie przybył. Zamiast gwarnej, wesołej krzątaczki, na jaką spodziewał się trafić, panował widmowy i senny bezwład. Gdzie nie spojrzeć, snuły się co prawda zastępy służby domowej reprezentujące nieprzeliczoną gradację funkcji i zawodów, ale długie podjazdy i niezliczone garaże świeciły pustkami, i Gold nie był w stanie wysledzić żadnego dowodu na to, by kogoś tu jeszcze oczekiwano. Była to największa siedziba ludzka, w jakiej kiedykolwiek postąpiła jego noga. Jak zdradziła mu Andrea, kiedy pędzili tu jej żółtym porsche, sam tylko główny budynek zajmował blisko siedem akrów powierzchni.

– Doprawdy, z zażenowaniem dowiaduję się, że z panem na ten temat rozmawiała – wykrztusił w końcu Gold.

– Bóg mi świadkiem, że jej o to nie pytałem – odparł Conover, wybuchając soczystym, cichym śmiechem, i Gold spojrzał z czułością na swojego taktownego i wytwornego gospodarza. – Chociaż jestem przekonany, że dobrze to o panu świadczy. – Conover był kwitnącym, wzbudzającym szacunek mężczyzną w nieokreślonym wieku, drobnej, krępej budowy, o falujących siwych włosach, z cienkim, spiczastym wojskowym wąsikiem. Ubierał się w wytarty sztruks i kawaleryjskie sukno, a na szyi miał zawiązaną zawadiacko wełnianą, ciemnoczerwoną chustę w misterny deseń. Promieniował niezmaconą pewnością siebie oraz buńczucznością władcy, którego rządowi ani dochodom nic nie jest w stanie zagrozić. Gold pomyślał, że Pugh Biddle Conover jest najzdrowszym i najprzystojniejszym umierającym hipochondrykiem, na jakim kiedykolwiek spoczęło jego oko. Ostry, surowy odór końskiego potu, którym przesiąkł, przydawał mu męskości, a różowa, nie pobrużdżona zmarszczkami twarz zdradzała człowieka, który nigdy nie doświadczył na własnej skórze kaprysów losu ani się takich nie spodziewał. Gold nie posiadał się z podziwu. – Przyznaję – podjął Conover chichocząc – że nie mam pojęcia, co ona przez to rozumie. A pan?

– Ja też nie – mruknął Gold – i jestem wielce zażenowany faktem, że ten temat w ogóle został poruszony. Andrea nigdy nie była taka otwarta. – Gold był zadowolony ze swobody, z jaką gawędzili. – Poznałem pańską córkę przed kilku laty w Fundacji senatora Russella B. Longa, i już wtedy się mną interesowała, ale twierdzi, że wstydziła się to okazać.

– Kłamie – powiedział z humorem Conover. – Andrea nigdy niczego się nie wstydziła, nawet poprosić o parę milionów. Obawiam się, że nie w każdym obszarze rozwoju intelektualnego błyszczy inteligencją i jest o wiele za wysoka, ale nie wydaje mi się, żeby na te wady dało się jeszcze coś poradzić. Śmiertelnie się bałem, że pan też będzie chciał ze mną rozmawiać o seksie. Albo o marihuanie ewentualnie innych narkotykach, których oboje zażywacie.

– Pańskie obawy były płonne – pochwalił się Gold – a narkotyków nie zażywam.

– Od razu lżej mi się robi na duszy. To jeszcze jeden powód, by panu przyklasnąć, panie Goldberg. Jak dotąd wszystko wskazuje na to, że jest pan bez skazy, nieprawdaż?

– Gold, sir.

– Słucham?

– Nazywam się Gold. Pan nazwał mnie Goldberg.

– Rzeczywiście – powiedział Conover i dodał refleksyjnym tonem: – Naucz się, mój chłopcze, zanim się postarzejesz, że nauka to coś więcej niż srebro i złoto. Srebro i złoto można roztrwonić, ale dobre wykształcenie to skarb na całe życie.

Komu innemu Gold udzieliłby pewnie bardziej ciętej odpowiedzi, niż ta, na którą zdobył się teraz:

– Zawsze o tym pamiętam, sir. Jak się pan zapewne orientuje, włożyłem w swoje wykształcenie wiele wysiłku i napisałem sporo artykułów oraz książek na ten szeroki temat.

Conover nic na to nie odpowiedział. Gold zerknął na zegarek.

– Jest pan skrępowany – odezwał się po chwili Conover sącząc ze szklaneczki bourbona, którego Gold nalał mu z jednej ze stojących pod ręką karafek z rżniętego szkła. – Czytam to z pańskiej twarzy.

– Andrea powiedziała mi, że zawsze muszę być z panem szczery – odparł Gold i ośmielony potakującym skinieniem głowy Conovera ciągnął: – I że stracę w pańskich oczach, jeśli będę udawał, że nie zauważam pańskiej choroby czy raczej niemocy. Mogę spytać, co panu jest?

– Jakiej znowu choroby czy niemocy? – zdziwił się Conover.

– Pańskiej ułomności.

– Nie jestem ułomny – warknął z irytacją Conover. – O czym ty, u diabła, mówisz?

– Przecież jeździ pan na wózku inwalidzkim – próbował zaprotestować Gold, przechodząc do defensywy.

– To wygodniejsze od chodzenia – odparł Conover. – Wy też przytoczyliście się tu samochodem, prawda?

– Opiekuje się panem lekarz.

– Tylko wtedy, kiedy jestem chory, panie Goldfarb. Dużo częściej odwiedza mnie mechanik od tego piekielnego wózka na kółkach. Miałby pan ochotę trochę przy nim pomajstrować, skoro już czekamy na powrót Andrei? Ma pan jakieś wątpliwości. Mina pana zdradza.

– Nazywam się Gold, sir, nie Goldfarb.

– Nie wszystko złoto, co się świeci, wiedzą o tym nawet dzieci.

– Że co proszę? – Gold wzdrygnął się, jakby wyrwano go nagle z głębokiej zadumy. – Nie, nie, nie, nie, sir. – Opamiętał się szybko widząc, że Conover zamierza uprzejmię powtórzyć to, co przed chwilą powiedział. – Wyrażałem jedynie podziw dla mądrości zawartej w pańskich słowach.

– Stare prawdy to najlepsze prawdy, panie Festgold. Sądzę, że jeszcze nieraz się pan o tym przekona.

– Moje nazwisko, sir, brzmi Gold – skorygował Gold już nieco mniej tolerancyjnie.

– Fest. – Conover pokiwał poważnie głową i spojrzał na niego z uśmiechem. – Mam nadzieję – podjął po chwili swoim cichym, aksamitnym głosem, w którym krągłe samogłoski Południa łączyły się melodyjnie z wyraźnie wymawianymi spółgłoskami, zdradzając najlepszych nauczycieli angielskiego i najlepsze szkoły – że nie dopuści pan, by przypadkowa sylaba, która wymknęła się starzejącemu się umysłowi, położyła się cieniem na naszych stosunkach.

– Ależ naturalnie, że nie, sir! – zapewnił go Gold ze szczerą żarliwością i cofnął się o krok, by ponownie nasycić oczy widokiem gospodarza. Pugh Biddle Conover bardziej niż kiedykolwiek wydał mu się uosobieniem sentymentalnego ideału dżentelmena-męża stanu. Ani śladu pompatyczności. Żywa, kulturalna inteligencja. Człowiek jak złoto.

– Nie miałby pan ochoty wykastrować paru koni? – spytał Conover.

Gold jeszcze nigdy w życiu nie był zmuszony do podjęcia takiej decyzji.

– Czemu – wykrztusił, przełknąwszy z trudem ślinę – miałbym mieć na to ochotę?

– Dla przeżycia czystego dreszczyku emocji – odparł wylewnie Conover. – Widzi pan, to seksualne doznanie. Jeśli pan sobie życzy, służę paroma pięknymi żrebaczkami. Zaraz każę moim czarnuchom naostrzyć i wysterylizować nóż.

– Raczej podziękuję – wymamrotał z podupadającą pewnością siebie Gold – jeśli moja odmowa pana nie urazi.

– Jak pan chce – mruknął Conover z wyraźnym rozczarowaniem – ale wydaje mi się, że traci pan rzadką okazję. Niektóre z nich mają takie wielkie jaja. Zaskoczony pan? Widzę po tym, jak pana zatkało.

– Chyba się jednak napiję, sir.

– Ja też strzelę sobie jeszcze lufę, jeśli pan taki dobry. Och, śmiało, śmiało, panie Goldstaub, jak lufa, to lufa. Tak oszczędnie pan polewa, panie Goldsmith, że można by pomyśleć, że to pański trunek. Wy, ludkowie, nie pijacie dużo, prawda?

Gold uniósł brwi.

– My, ludkowie? – Przygnębiająca świadomość pochodzenia, która towarzyszyła Goldowi niemal przez wszystkie dni jego dorosłego życia, napęczniała teraz w myślach. – Co pan miał na myśli, mówiąc „wy, ludkowie”, sir?

– Miałem na myśli was wszystkich, którzy nie pijacie wiele – odparł Conover przyjaźnie, nie mrugnawszy nawet okiem, jak gdyby nieświadom żadnego niestosownego niuansu. – Są tacy, którzy lubią wypić, Goldstein, i tacy, którzy nie lubią...

– Gold, sir.

– ...i tacy, którzy nie lubią, nieprawdaż? Przysięgam na własne życie, że tylko o to mi chodziło. No, twoje zdrówko, piesku – wznosił toast Conover w nagłym przypiływie witalności. – Chce pan o coś zapytać? Widzę po tym nerwowym tiku.

Porozumiewawczy błysk w małych, bystrych oczkach Conovera spotęgował jeszcze zakłopotanie Golda, który czuł wyraźnie, jak ziemia usuwa mu się spod nóg tak, jak czasem dzieje się to w snach. Zateśknił znowu za powrotem Andrei.

– Wydawało mi się – wyrzucił z siebie nerwowo, usiłując nadać swemu głosowi pozór swobody, który, miał nadzieję, poczytany mu może zostanie za beztróskę – że gości pan tu zawsze w weekendy mnóstwo przyjaciół.

– To nie są moi przyjaciele – odparł z wdziękiem Conover – ale na nic lepszego mnie nie stać. Przyjeżdżają tu, kiedy sobie tego życzą, i trzymają się z dala, kiedy chcą być sam.

– Gdybym wiedział, że ten weekend pragnie pan spędzić w samotności – pośpieszył z wyjaśnieniem Gold – nie przyjechałobyśmy.

– Gdybyście nie przyjechali – powiedział Conover patrząc mu prosto w oczy – nie chciałbym być sam. Jestem wielbicielem pańskich publikacji, panie Gold – zmienił niespodziewanie temat, wytrącając tym Golda z równowagi, którą już odzyskiwał – chociaż byłem zawsze za leniwy, żeby którąś z nich przeczytać. Ale słyszę same pochwały.

– Dziękuję, sir – powiedział Gold z żarliwością i uniesieniem, uwalniając się wreszcie spod brzemienia stresu wywoływanego raz po raz przez, jak dopiero teraz zrozumiał, rozkoszną niestabilność stanu umysłowego swego przyszłego teścia. – A ja, sir – zaryzykował – zawsze podziwiałem pana.

– Powiedziałem, że podziwiam pańskie publikacje – podkreślił zjadliwie schludny, drobny człowieczek – nie pana. Prawda jest taka, że wcale pana nie lubię. Zrobił pan na mnie wrażenie karierowicza, jeśli chce pan wiedzieć.

– Karierowicza? – wykrztusił łamiącym się głosem Gold.

– Tak.

Gold nie bardzo wiedział, co na to odpowiedzieć.

– Mówi pan to dlatego – spytał z żołądkiem podchodzącym do gardła – że jestem żydowskiego pochodzenia?

– Mówię to – powiedział Conover – bo wygląda pan na karierowicza. Ale skoro poruszył już pan tę kwestię, to przyznaję, że nie lubię Żydów i nigdy ich nie lubiłem. Mam nadzieję, że pana nie obrażam.

– Nie, nie, skądże znowu – wyrzucił z siebie zdeprimowany Gold. – O tych sprawach lepiej mówić otwarcie.

– Zwłaszcza wtedy – powiedział Conover – kiedy nie da się ich ukryć. Zdaje pan sobie chyba sprawę, że wżeni się w sfery daleko przewyższające pański obecny status społeczny.

Do dyskusji na ten temat Gold był przygotowany.

– Mnóstwo osób wżenią się w sfery przewyższające ich status społeczny – zaczął rzeczowo – a przecież nie można uznać tego za powód, dla którego stają na ślubnym kobiercu. Często pobierają się z...

– Tak?

– Z miłości. – To słowo utknęło Goldowi w podniebieniu jak kolec i wyszło nozdrzami tembrem wysokiej nuty wyciąganej na klarncie.

– A pan kieruje się miłością? – spytał zgryźliwie Conover. – Czy może raczej wybiera sobie żonę odpowiednią do kariery, która pana zdaniem czeka go teraz w Waszyngtonie?

– Nie mógłbym pokochać kobiety, która nie byłaby odpowiednia.

– A zatem miłość nie jest taka zupełnie ślepa, nieprawdaż?

– W moim wieku już nie powinna. Zgodzi się pan ze mną?

– Prawdę mówiąc, nic mnie to nie obchodzi – podsumował Conover wdychając. – Andrea potrafi się troszczyć o swoje sprawy i zawsze to robi. Dziesięć, piętnaście lat temu byłbym zbyt zajęty własnymi przyjemnościami, żeby zwrócić na to uwagę. Trzydzieści lat temu nie pozwoliłbym na to. Przed czterdziestu, pięćdziesięciu laty, kiedy nie miałem jeszcze córki, a pozostawałem wciąż pod wpływem pewnych demokratycznych ideałów, sam popychałbym ją do małżeństwa z kimś z niższych warstw. Teraz wolny jestem od wszelkich uprzedzeń i odbieram to jako zawracanie głowy. Żyd w średnim wieku to i tak chyba lepiej niż czarnuch i niewiele gorzej od makaroniarza albo Irlandczyka. Albo od łysego! Och, chyba tego najbardziej się obawiałem przez całe swoje życie – ciągnął piskliwie Conover z maniacką swadą, która zaczynała zapierać Goldowi dech w piersiach. – Podejrzewam, że nie wytrzymałbym, gdyby Andrea przyjechała do mnie z łysym kandydatem na męża. Źle się czuję. Źle mi, słyszysz? Złe, idioto! – Gold, oniemiały ze zdumienia, patrzył bezradnie, jak Conover zanosi się najpierw suchym kaszlem, a potem zaczyna go studiować badawczym wzrokiem, jakby spodziewał się czegoś od niego nauczyć. – O Boże! – krzyknął nagle z odrazą i zaczął się walić w pierś pięścią. – Moje lekarstwo. Och, och! Muszę zażyć lekarstwo. Szybko, rozdziabie! Ty żydowska fujaro – podasz mi wreszcie to lekarstwo? – Gold rozglądał się gorączkowo po pokoju, modląc się o olśnienie. – Nieważne! – wrzasnął na niego Conover. – Daj mi whisky, whisky, w szklaneczce... w tej dużej, kutwo. Lej do pełna, do pełna, cholera... to moja whisky, nie twoja. Po wrębek, po wrębek. No, tak już lepiej. Hej-hej, hop-siup, chlup w ten głupi dziób. Chyba jednak się wykaraskam. Uratowałeś mi życie, mój ty bohaterze – wykrzyknął ze zregenerowaną wesołością – więc piję za twoje zdrówko. Kieruj się pan ambicją, a na pewno wysoko zajdziesz. Coś pana gryzie. Widzę po tym, jak pan zbladł.

– Nie jest pan dla mnie zbyt uprzejmy – powiedział Gold z afektowaną urazą. – Nie tego oczekuje się po ludziach z pańskiej sfery. Mimo wszystko jestem gościem.

– Ale nie moim, Goldfine – odparł rozkosznie Conover. – A ja nie jestem gospodarzem. Jest pan tutaj dzisiaj częścią formalności, a ja razem z panem. Obojętne, co powiem, Andrea i tak postąpi, jak zechce. Ma dużo własnych pieniędzy i o wiele więcej w perspektywie, i nie musi się obawiać mojego niezadowolenia.

– Ja też mam własne pieniądze – powiedział wyniośle Gold.

– Śmiem wątpić, czy porównywalne z naszymi – odparował Conover z sarkastyczną ogładą.

– Jestem pewien, że pan mi nie uwierzy – oświadczył Gold – ale ja naprawdę niewiele dbam o pieniądze Andrei.

– Nic mnie to nie obchodzi – powiedział ze śmiechem Conover – bo to nie moje pieniądze. Ona dziedziczy je wszystkie po dziadkach i pradziadkach, za dużo tego, żeby zliczyć. Przyznaję, był taki czas, kiedy miałem nadzieję, że umrze przede mną i jej część spadku przejdzie na mnie, ale teraz, skoro się postarzałem, niech już sobie mnie przeżyje. Moje zwierzenia szokują pana? Widzę po tym, jak pana mdli. Ale ja kocham pieniądze, panie Finestein, bardziej niż cokolwiek innego na świecie. Wątpię, czy stąpa po tej ziemi stworzenie, które kocha pieniądze bardziej ode mnie. Nie pożądam ich zachłannie, bo zawsze miałem ich mnóstwo, cenię je jednak dużo wyżej niż zdrowie. Chociaż zapieram się tego w żywe oczy, jestem już schorowany i stary. Gdyby Los złożył mi propozycję: „Bierz idealne zdrowie i ciesz się nim jeszcze przez wiele, wiele lat, ale zrezygnuj z pieniędzy”, odrzuciłbym ją bez zmruczenia oka. Gdyby przy moim łożu śmierci stanął anioł i poprosił: „Wyrzeknij się swego bogactwa póki czas, a jako człowiek ubogi żyć będziesz jeszcze przez wiele dziesiątków lat, po śmierci zaś pójdziesz do Nieba”, odpowiedziałbym mu: „Spadaj, upierzony głupku. Wydam co najmniej milion na swój grobowiec i tablice pamiątkowe”. Wolę umierać w dostatku. Mimo wszystko, panie Goldfedder, za zdrowie nie można kupić pieniędzy, prawda? Filozofowanie kosztuje mnie wiele energii. – Conover uzupełnił ubytek sił wychylając szklaneczkę do dna. – Cenię sobie jednak towarzystwo kogoś takiego jak pan, z kim mogę prowadzić intelektualny dyskurs jak równy z równym.

Złośliwa przekora w oczach Conovera sugerowała jednak, że nie miał to być komplement.

– Moje nazwisko, sir, brzmi Gold – przypomniał mu po raz któryś z rzędu Gold, wdychając ostentacyjnie. – I byłbym bardzo wdzięczny, gdyby raczył je pan zapamiętać.

– Pamiętam – odparował z uśmiechem Conover, gładząc wytwornym ruchem starannie wypielegnowany wąsik, a rumieniec okraszający jego gładkie policzki powędrował wyżej niczym wskaźnik wrogiej satysfakcji. – Kiedy nie mam ataku, nikt na świecie nie dorówna mi jasnością umysłu. Nie będę się sprzeciwiał temu małżeństwu, bo i tak by to nic nie dało, a poza tym nie chcę stawać panu na drodze do kariery, chociaż za nic nie potrafię pojąć, jaki interes może mieć Żyd w rządzie, jeśli nie liczyć zaistnienia na gruncie towarzyskim. Żaden tam się jeszcze nie sprawdził, dobrze mówię? To ciężki kawałek chleba i dla protestanta, a przecież my mamy do tych spraw smykałkę.

Gold wolał nie wdawać się w dyskusję z zakresu religioznawstwa porównawczego.

– Uważam, sir, że potrafię wnieść do służby publicznej tyle samo, ile ludzie mojej... eee... grupy etnicznej wnieśli do innych dziedzin życia.

– Mam cztery akry stajen, panie Goldfinger, a nie uzbierałoby się w nich tyle końskiego gówna, ile go jest w pańskich dyrdymałach – odparł życzliwie Conover. – Widzę też, że pośród wielu innych słabych stron ma pan czarne, przerzedzające się włosy, ale jako koneser fryzur sędzę, że zachowa je pan do śmierci. Skoro już Andrea ma poślubić cudzoziemca, preferowałbym kogoś takiego jak Albert Einstein albo Artur Rubinstein, ewentualnie Artur o Toscanini. Boże, jakież wspaniałe mieli włosy. Joe Luis i Ignacy Paderewski też, ale ich bym nie chciał. Już chyba pan jest lepszy. Nie wydaje mi się, żebym potrafił ścierpieć zięcia Polaka. Zięcia? Och, mdli mnie na sam dźwięk tego słowa. Nie rozumiałeś pan jeszcze? Mdli mnie! – Gold dolał mu whisky. Przygoda się skończyła, romans się rozwiązał. Od Conovera bił orzeźwiający zapach maści leczniczej zmieszany z odorem przetrawionego alkoholu, jego przenikliwe oczy płonęły ogniem uduchowionego obłędu. Gold miał przed sobą jeszcze jednego starego opoja. – Twoje zdrowie, wazeliniarzu – zakrzyknął z werwą Conover i pociągnął potężny łyk. – Obyś miał tylko małe kłopoty. Od początku wiedziałem, że Dean Rusk do niczego nie dojdzie, Benito Mussolini też. Za łysi byli. Ach, Andrea, moje

dziecko. W samo porę się zjawiasz. Trudno mi się rozmawiało ze wszystkimi twoimi przyjaciółmi, ale ten to praktycznie beton.

Andrea, promienna i odświeżona po konnej przejażdżce i kąpeli, niemal oślepiła urodą. Pocałowała lekko jednego i drugiego, mówiąc:

– Chyba jesteś grubiański, tatusiu.

– Marnie się czuję, moja droga córko – poskarżył się płaczliwie Conover. – Chciałem zażyć lekarstwo, ale on mi nie dał, ani kropelki. Mogę dostać teraz? Nie, niech on mi naleje. Z życiem, z życiem, ty żydowski ogierze. Do pełna, do pełna, kurwa mać, ja za to płacę, nie ty. No, już lepiej, wraca mi zdrówko. Bóg zapłać, chłopcze. Autobusów się nie obrzezuje. To nie Żydzi. Arabowie myją stopy. McGeorge Bundy to najsympatyczniejsza istota ludzka, jaką spotkałem.

– Wydaje mi się, że bredzisz, kochany tatusiu.

– Pewnie szybko opadam z sił. Pańskie zdrowie, sir, i za naszą dozgonną przyjaźń. Nie spotkałem dotąd człowieka, którego bym z miejsca nie polubił. Pan jest pierwszy. Oby pańskie życie było tak jasne, jak elektryczne światło Edisona.

– Dopij swoją whisky. – Andrea przytrzymała mu szklaneczkę. – Wciąż pleciesz od rzeczy.

– Hip-hip, hura! Na dzisiaj fajerant. Stokrotki są żółte i ser tak samo. Czym jest pocałunek bez uścisku? Czuje się pan dotknięty, panie Gold? Widzę po pańskim rumieńcu.

– Przetrawiam to, co usłyszałem.

– Ależ pan mądry, a będzie jeszcze mądrzejszy. Widzę, że dla mnie pan za mądry. Na miłość boską, to takie okropne dla nas wszystkich. Moje czarnuchy was nakarmią. Każcie Simonowi, żeby ich wybatożył, jeśli nie będą posłuszni. – Conover uruchomił swój wózek inwalidzki, okręcił się z fasonem o sto osiemdziesiąt stopni i bez dalszych ceremonii wytoczył z pokoju.

Gold i Andrea zjedli w milczeniu posiłek w ogromnej, oświetlanej kandelabrem jadalni, obsługiwani bezszmerowo przez beznamiętnych ebonitowych służących o ogromnych oczach. Mieli osobne sypialnie usytuowane na różnych piętrach, odległe od siebie o pół mili. Andrea odprowadziła Golda pod jego drzwi. Do framugi przybito *mezuzę*.

– Nie rznij mnie tutaj – poprosiła. Gold się zdenerwował.

– Jeśli będziesz używała przy mnie takich słów – ostrzegł – to może nigdzie nie będę chciał cię rznąć.

To było jego jedyne tego dnia zwycięstwo. Jego pokój był wielki, łóżko wygodne. Na pocięchę pozostawała mu świadomość, że najgorsze ma już za sobą. Jutro może pójdzie lepiej.

Obudził się o brzasku i z utęsknieniem zaczął nasłuchiwać odgłosów, które świadczyłyby, że domownicy już wstali. Po dziewiątej, nie mogąc już znieść samotności, wypełził na światło poranka w nastroju czujnego przygnębienia. Z żałobną miną ofiary, dla której nastął dzień złożenia na ołtarzu, zszedł wspaniałymi, zakręcającymi dębowymi schodami na dół. Dom pogrążony był w niezmaconej ciszy, która wydawała się wieczna. Conover miał konie, które nie rżały, i psy, które nie szczekały. Jeśli na tych magnackich włościach były jakieś koguty albo krowy, to nie piały ani nie muczały. Nie trzaskały drzwi, z toalet nie dochodził szum spuszczonej wody, drewno nie skrzypiało, liście nie szeleściły i nie słyhać było niczych kroków. Tęgi, stary Murzyn o wełnistych włosach, odziany w srebrno-czarną liberię, stojący u podnóża schodów, skłonił się lekko i wskazał Goldowi właściwy kierunek.

Pokojówki z miotełkami do kurzu i lokaje z irchowymi ściereczkami czyścili w milczeniu i polerowali drewno, brąz, cynę, szkło i porcelanę. Przemierzywszy w nabożnym skupieniu główny hol na parterze i rozglądając się wokół z niedowierzaniem, Gold dotarł wreszcie do ogromnej sali śniadaniowej, gdzie stał bufet o gabarytach, jakich istnienia poza cudacznymi

wizjami powieściopisarzy dysponujących nadzwyczajnymi zdolnościami konfabulacyjnymi nigdy by nie podejrzewał. Legiony służących, wszyscy czarni zarówno pod względem koloru skóry, jak i rasy, pełnili już służbę na wyznaczonych stanowiskach pod czujnym okiem dziewiczo białej starej panny, która sama była podwładną szpetnego białego nadzorcy popatrującego spode łba na wszystkich, nawet na Golda. Plantacyjna hierarchia zachowana w nienaruszonym stanie.

Stół miał dobre dwadzieścia jardów długości. W jadalni Gold zastał tylko służbę. Drogę miał wolną, szedł więc jak w transie wzdłuż blatu. Pierwsze rzuciły mu się w oczy indyki, kuropatwy, przepiórki, gołąbki i gęsi. Potem zauważył półmiski z ogromnymi szynkami. Za dużo tego, za dużo, lkała jego dusza. Drżały mu palce i nie mógł patrzeć na tę obfitość. Nieme postaci o wydatnych kościach policzkowych śledziły go wyczekującym wzrokiem, gotowe spełnić każde jego życzenie. Dostawał oczopląsu na widok tych talerzyków z ciasteczkami i koszyczków z jajkami, plastrów bekonu i ryb pod różnymi postaciami, wypełnionych po brzegi sosjerek, garnuszków i słoiczek, kompotów, piw i dymiących potrawek, suchych płatków śniadaniowych w miseczkach i gorących w kociołkach, talerzyków z kiełbaskami i tac z wołowiną, baryłek masła i brył sera, glinianych garnuszków ze świeżym mlekiem i dzbanków gorącej kawy oraz przypraw we flaszczykach, flakonikach, solniczkach i pieprzniczkach. Na największej tacy ze srebra, ozdobionej tłoczonym łbem świni, spoczywał bezoki łeb gotowanej świni. Stały tam też patery z owocami, miski umytych świeżych warzyw i wazy z gulaszami z zająca i dziczyzny. W okolicach szczytu stołu, niczym zimny ogień na Boże Narodzenie, skrzyła się rubinowo baryłka, a właściwie beczka świeżych, dzikich malin. Gold poprosił tylko o kawę, nalał sobie kubek soku pomarańczowego z dzbanka i łopatką wziął kawałek słodkiego melona z deseczki. Z tego zastawionego srebrem i zaścielonego płótnem stołu mogłoby się pożywić z pięćset osób. Jedynym stołownikiem był on.

Siedział twarzą do drzwi i modlił się o pojawienie w nich Andrei. Ileż można spać? Nigdy jeszcze nie wyglądał z takim utęsknieniem przybycia jakiejś ludzkiej istoty, jak teraz jej. Najgłośniejsze w całym chrześcijańskim świecie hałasy zdawały się rozlegać w jego ustach i mieć swoje źródło w jego osobie. Każdy mały łyżeczek soku albo kawy rozbrzmiewał poświstem huraganu i rykiem dzikich katarakt, a każde dyskretne przełknięcie rozlegało się grzmącą erupcją pierwotnego wulkanu. Obawiał się, że jeszcze trochę, a ogłuchnie. Każdy kontakt filiżanki ze spodkiem był jak wibrujący łomot cymbałów i Gold nie miał wątpliwości, że wszystkie trzydzieści osiem gapiących się na niego osób, obecnych tu, by mu usługiwać, odnosi się do tego krytycznie, chociaż nie odzywały się ani do niego, ani do siebie. Skrępowanie, jakie odczuwał z początku, było niczym w porównaniu z nekającą go teraz świadomością ich jednomyślną i nie skrywaną dezaprobatą. Ilekroć podnosił wzrok, żeby rozejrzeć się ukradkiem po stole, przy jego łokciu materializowała się natychmiast, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, jakaś sztywna postać i dolewała mu kawy. W końcu Gold przemógł się i najcichszym głosem, na jaki potrafił nastroić swoje struny głosowe, o jeden zaledwie odcień głośniejszym od niekulturalnego szeptu, zwrócił się do najbliższego ze służących:

– A gdzie panna Conover? Wie pan, kiedy schodzi na śniadanie?

– Panna Conover była tu już o piątej. Chyba wybrała się na konną przejażdżkę.

– A pan Conover?

– Pan Conover nigdy nie schodzi na śniadanie, kiedy ma gości na noc. Następnego dnia nie może znieść ich widoku. Jeszcze kawy, sir?

Gold wypił już siedemnaście filiżanek. Wyszedł przez oszklone drzwi prowadzące na ogrody i ruszył bez określonego celu wzdłuż ściany budynku. Po chwili, na patio, natknął się na Pugh'a Biddle'a Conovera rozpartego w swoim wózku inwalidzkim w pozie monarchy na tronie. Był ubrany z fantazją w szarą jak siewka skórzaną myśliwską kurtkę, a szyję zdobiła

mu jaskrawoniebieska chustka. Trzymał w rękach pełną karafkę whisky i przyglądał się jej z lubością pod światło poranka. Dostrzegł Golda i twarz mu się rozjaśniła.

– Och, dzień dobry, drogi kolego – powitał go ciepło. – Dobrze się spało?

– Owszem – przytaknął gorliwie Gold, ujęty niespodziewaną jowialną uprzejmością swego gospodarza. – Pokój był wspaniały, a łóżko jak marzenie.

– Przykro mi to słyszeć – oznajmił czarująco Conover. – Śniadanie smakowało?

– Ogromnie.

– Szkoda – powiedział Conover i Goldowi znowu zrobiło się smutno. – Brakuje ci mojej córki, co? Widzę to po łzach w twoich oczach. Prawdopodobnie wybrała się na konną przejażdżkę. Ty nie jeździsz konno, prawda? Ludzie twojego rodzaju raczej za tym nie przepadają.

– Ludzie mojego rodzaju? – Gold wessał przez zaciśnięte zęby głęboki haust powietrza i wkroczył za Conoverem do małego gabinetu. – Kogóż znowu miał pan na myśli, sir, mówiąc o ludziach mojego rodzaju?

– Och, dobrze wiesz, Goldenrod – powiedział Conover tym samym wesołym tonem, który zupełnie nie współgrał z niechęcią, z jaką przyglądał się teraz Goldowi, nie próbując jej nawet ukryć. – Istnieje rodzaj ludzi, którzy jeżdżą konno, i rodzaj ludzi, którzy nie jeżdżą, a ci, którzy nie jeżdżą, nie jeżdżą, nieprawdaż?

– Żydzi? Ich miał pan na myśli?

– Żydzi? – powtórzył za nim Conover, przekrzywiając filuternie głowę. – Również Włosi i irlandzcy katolicy. Ty wciąż o tych Żydach, jakby tylko oni byli na świecie. Tobie tylko to jedno w głowie?

– Odnoszę wrażenie, że panu.

– W ten weekend być może – odciął się Conover z precyzją strzelca wyborowego i ugrzecznoną wprawą dobrze urodzonego anglosaskiego protestanta. Odrzucając wszelkie hamulce, pochylił się w przód ze złośliwym uśmiechem. – Twoje wnuki będą może jeździły konno, jeśli zdołasz dorobić się większych pieniędzy albo bogato ożenić. Ale twoje dzieci nie, bo na razie jesteś goły. Popatrz, ile potrafili zrobić dla swoich dzieci Annenbergowie, Guggenheimowie i Rothschildowie, a jak mało potrafisz zrobić ty dla swoich. Jak, doktorze Gold, smakuje świadomość, że już zawiodło się swoje dzieci, a prawdopodobnie i wnuki... że już odebrało się swoim niewinnym potomkom szansę znalezienia się kiedykolwiek w dobrym towarzystwie?

– W dobrym towarzystwie? – powtórzył za nim z pogardą Gold.

– Tak, Shapiro, dobrze wiesz, o co mi chodzi. Ja do niego należę, a ty nie. Moja rodzina się do niego *zalicza*, twoja nie. Ty masz aspiracje, kompleksy i poczucie niższości, a ja ich nie mam. Co ty tu ze mną robisz? – spytał nagle i w jego oczach pojawił się wyraz zaskoczenia i irytacji. – Nie mamy chyba sobie wiele do powiedzenia, prawda? Czego ty w ogóle, u diabła, ode mnie chcesz?

– Chcę poślubić pańską córkę – powiedział Gold. – Przyjechałem tu prosić o jej rękę.

– To ją sobie bierz, i wynocha – burknął Conover. – Idź poczytaj niedzielne gazety albo co, dopóki Andrea nie wróci. Rozwiąż krzyżówkę.

– Czy mam pańskie błogosławieństwo?

– Jeśli szybko stąd wyjedziesz.

– Mam nadzieję, sir – odciął się Gold od progu – że z czasem mnie pan pokocha.

– Tatuś cię lubi – powiedziała Andrea, kiedy z szybkością błyskawicy mknęli wśród wzgórz jej złocistym sportowym samochodziem z powrotem do Waszyngtonu, i Gold doszedł do przekonania, że coś jej się popieprzyło w tej pięknej główce. – Widzę to. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki zimny i sarkastyczny potrafi być wobec ludzi, którzy mu się nie podobają.

– Wyobrażam sobie – mruknął Gold.

– I oni nie chcą się już potem ze mną widywać. Proszę cię, nie siedź taki nadąsany. – Andrea była wyraźnie zaniepokojona jego ponurym nastrojem. – Zrobię wszystko, co każesz.

– Zwolnij do dziewięćdziesięciu pięciu – powiedział, więc przyhamowała zdecydowanie i strzałka szybkościomierza zjechała poniżej setki. – Był wobec mnie opryskliwy i nieprzyjemny, Andrea. Dlaczego tak się zachował? Dlaczego nie okazał mi krzty szacunku? Nie wie, że mam objąć stanowisko w rządzie?

– On umiera, kochanie. Ulżyło ci?

– Nie! – wrzasnął niestosownie Gold, przypominając sobie z awersją, jak nieprawdopodobnie gruboskórni i nietaktowni potrafia być niektórzy z chrześcijan wobec swoich zmarłych. Starożytni Grecy, skoro tylko narabali drzewa i obmyli oraz natarli oliwą nieboszczyka, od razu rozpalali stos pogrzebowy. Żydzi zakopywali swoich do ziemi nim minęło czterdzieści osiem godzin. A wśród tych gojów zdarzali się osobnicy, którzy tak bardzo nie mogli się rozstać ze swoimi zmarłymi, że trzymali ich w domu na widoku nawet i przez tydzień, często w zaciemnionych izbach sąsiadujących z kuchnią albo jadalnią. – Na miłość boską, Andrea – dorzucił już spokojniejszym tonem – a co to ma wspólnego ze sposobem, w jaki mnie potraktował?

– Ale ci jednak ulżyło, prawda? – nie popuszczała Andrea. – Czy nie byłoby lepiej dla nas obojga, gdyby umarł?

– Nie wypada ci tak mówić. – Andrea była podła i Gold postanowił dać wreszcie upust wielkiemu gniewowi, jaki w nim od dłuższego czasu kipiał. – Jak on śmiał, do jasnej cholery? Wkrótce będę w ekipie Prezydenta, a kto jak kto, ale on powinien wiedzieć, co to oznacza.

– Więcej pracy?

– Mniej pracy. Władza. Czysta władza. Brutalna, ponadprawna władza. Wykorzystam ją do własnych celów i zniszczę go, zatruję mu życie. Założę podsłuch w jego telefonach. Każę FBI zadawać dwuznaczne pytania na jego temat. Może mnie sobie mieć za małego, łysiejącego obcokrajowca z Nowego Jorku, ale...

– Podobają mu się twoje włosy.

– Ale Arturo Toscaniniego bardziej, prawda? Koń by się uśmieł. Zainstaluję mikrofony i rozmieszczę tajnych agentów w jego stajniach i przydybię go na kastrowaniu. Urząd skarbowy będzie go maglował w sprawie każdej pozycji w zeznaniu podatkowym. Zepsuję mu wózek i zostawię go na słońcu, żeby się usmażył. Jako anonimowe źródło będę podsuwał prasie przecieki, że twój stary jest syfilitykiem. Ha! Nowo upieczony teść znakomitego doktora Bruce'a Golda nie umiera wcale na to, na co rzekomo cierpi. Złapał syfilisa, a syfilis jego. Co powiedzą ci jego wszyscy znajomkowie od koni, kiedy się dowiedzą, że ma syfa? Twój pieprzony ojciec obrażał mnie od początku do końca – ciągnął Gold, uśmiechając się pod nosem na myśl o ironii, jaką gotowało życie – i jeśli pomoże mi się załapać do tej roboty, ja mu odpłacę pięknym za nadobne. Nie potraktował mnie z szacunkiem, Andrea. On mnie wcale nie szanuje.

– Twój własny ojciec też nie.

– Mój ojciec mnie zna, a twój nie. Nie będzie go na naszym ślubie.

– On też tak powiedział.

– Mojego też nie będzie, ani moich siostr. – Gold podparł się pod brodę i parsknął pustym śmiechem. – Coś mi się zdaje, że czy nam się to podoba, czy nie, ślub będziemy mieli skromniutki. O ile w ogóle się pobierzemy.

Przez śliczną twarz Andrei przemknął skurcz.

– Nie mów tak, Bruce – poprosiła płaczkliwie, podnosząc tym Golda ogromnie na duchu. – Tak bardzo bym przeżywała, gdybyś nie chciał się ze mną ożenić tylko z powodu mojego ojca. Nie zeskrobuję już sobie stwardnień z podeszew, chyba że jestem sama.

– Uważaj, jak jedziesz! – wrzasnął Gold, bo niespodziewanie zarzuciła mu na szyję obie ręce w wiernopoddańczym geście. – Znowu masz sto osiemdziesiąt na liczniku! – Andrea

zwolniła do stu trzydziestu pięciu i proporcjonalnie do tego Goldowi opadło tętno. – Andreo, muszę cię o coś zapytać, a nie bardzo wiem jak. Ale czy ty czasem nie byłaś wyższa?

– Wyższa od czego?

– No, niż jesteś teraz. Ralph widział cię na jakimś przyjęciu i odniósł wrażenie, że zrobiłaś się niższa.

– Od czego?

– Niż byłaś.

– Nie zauważyłam. Może tylko wyglądam na niższą, bo ty rośniesz.

– Mnie tam z tobą nie było.

– A robiłoby ci to jakąś różnicę?

– Mnie nie. – Wymknęło się to Goldowi zbyt skwapliwie, by rzetelność odpowiedzi pozostawała poza wszelkim podejrzeniem. – Tylko Ralph jakby się zmartwił. Ale jeśli naprawdę robisz się niższa, to czy nie sądzisz, że powinniśmy się co do tego upewnić, zanim się pobierzemy, i spróbować coś na to zaradzić? Przecież – ciągnął z uczuciem – nie chciałybyś chyba stać się za niska, prawda?

– Och, nie. Tylko nie za niska. Zainteresuję się tym, skoro tak mówisz. Zmierzę się albo pójdę do specjalisty. Zrobię wszystko, co każesz.

– Cieszę się, że jesteśmy w tej kwestii zgodni – podsumował Gold. – Powiedziałaś swojemu ojcu, że mam do seksu podejście mężczyzny w średnim wieku, tak? Dlaczego musisz rozpowiadać wszystkim naokoło, że ze sobą sypiamy?

– Mówię o tobie tylko same dobre rzeczy.

– Niezupełnie o to mi chodzi – parsknął pośpiesznie Gold. – Powiedziałaś panie Plum, że jestem wspaniały, a swojemu ojcu, że mam do seksu podejście mężczyzny w średnim wieku. Z tego chyba wynika, że jestem wspaniałym kochankiem z upodobaniami seksualnymi mężczyzny w średnim wieku, prawda?

– Nie mogę się powstrzymać od chwalenia się tobą – odparła Andrea. – Nie gniewaj się na mnie, proszę. Uczynię wszystko, żeby cię uszczęśliwić. Będę twoją niewolnicą. Możesz się uważać za mojego pana i wiązać mnie na fotelach i w łóżkach powrozami i łańcuchami...

– Andreo, o czym ty mówisz?! – krzyknął Gold z przerażeniem, poderwał się z niskiego fotela, jakby ktoś wbił mu szpilkę, usiadł bokiem i wybałuszył oczy na swoją towarzyszkę, tak niepodobną do dziewczyny, za jaką ją miał, że trzeba było znacznie większej niż jego wyobraźni, by rozpoznać w niej Andreę.

Ona jednak opacznie zrozumiała przesłanie zawarte w jego reakcji i ciągnęła w natchnieniu:

– ...albo mogę udawać, że jestem młodą, ubogą, wiktoriańską panią z prowincji, a ty moim zбочonym pracodawcą z Londynu, który zmusza mnie do tych wszystkich perwersyjnych numerów z batogami, kostiumami i pejcami. Możesz mnie chłostać po pupie i w ogóle gdzie popadnie.

Gold gapił się na nią kompletnie ogłupiały.

– Po co miałbym to robić?

– Żeby się na mnie wyżyć. Mogę ci też lizać stopy.

– Obejdzie się! – wyrzucił z siebie przerażony Gold, lecz szybko pożałował stanowczości, z jaką to powiedział. Po chwili zastanowienia pomysły Andrei nie wydały mu się już takie zdegenerowane, a przed oczyma duszy zaczęły się przewijać wizje wywołane jej słowami. Andrea jako niewolnica albo związana wiktoriańska dziewczyna... to nie byłoby takie złe.

– Chciałam tylko, żebyś był szczęśliwy – zaczęła się bronić. – Kiedy chodziłam z tym ekonomistą z Georgetown University...

– Nie chcę tego słuchać – przerwał jej Gold machając rękami, jakby opędzał się przed natrętną osą. – Dlaczego uparłaś się opowiadać mi takie rzeczy?

– Zawsze wierzyłam w prawdę.

– No to już pora, żebyś przestała, na miłość boską – warknął rozkazująco. – Co komu po prawdzie?

– Kochasz mnie? – spytała.

– Całym sercem – zełgał.

– To pozwól mi zrobić coś, co ci sprawi przyjemność. Na pewno masz jakieś szczególne pragnienia.

Gold skoncentrował się, wydymając refleksyjnie wargi.

– Chciałbym dla odmiany zacząć się stołować w restauracjach – zdecydował w końcu. – Znudziło mi się to co wieczorne pichcenie posiłków.

Andrea oddała kluczyki od samochodu portierowi z restauracji, pod którą się zatrzymali.

– Dobry wieczór, panno Conover – powiedział ponad głową Golda bezpośrednio do Andrei tyczkowaty szef kelnerów. – Chce pani miejsce na widoku czy może woli jakiś ustronny kącik, gdzie będziecie mogli państwo robić, co wam się podoba?

– Jedno i drugie – burknął Gold.

Posadzono ich w łoży pod tylną ścianą, gdzie kinkiety o fallicznych kształtach oświetlały im tylko brwi i oczy. Golda przeszedł lodowaty dreszcz, kiedy niemal natychmiast przysiadł się do nich Harris Rosenblatt i jął przesywającym wzrokiem wodzić po ich twarzach.

– Przedstawiam ci Andreę Conover – wykrztusił w końcu Gold. – Pracowaliśmy kiedyś razem w Fundacji senatora Russella B. Longa i niedawno zupełnie przypadkowo wpadliśmy na siebie tutaj, w Waszyngtonie.

– Chyba znam dobrze pani ojca – powiedział Harris Rosenblatt, nie czekając, aż Gold skończy. – Co tam u Pugh'a?

– Po staremu – odparła Andrea.

– Przykro mi to słyszeć. – Harris Rosenblatt zniżył nieco głos, co miało symbolizować współczucie, i mówił dalej jednym tchem, jakby wszystkim trojgu kończył się czas: – Dużo osób było u was w ten weekend?

– Prawie nikogo.

– Proszę mu przekazać, że spróbuję do niego wpaść, kiedy następnym razem zawitam do Waszyngtonu. A tak nawiasem mówiąc, to co mu właściwie dolega?

– Tego nikt nie wie.

Zmieszanie i przygnębienie Golda wywołane odkryciem, że Harris Rosenblatt pozostaje w takiej komitywie z Pughem Biddle'em Conoverem, były niewyobrażalne. Doświadczając sprzecznych odczuć, to rozpoznając Harrisa na pierwszy rzut oka, to znów tracąc kilka chwil na uzmysłowienie sobie, kto to taki. Pomimo pełnych niepokoju spostrzeżeń Ralphi, Gold nie był przygotowany na fizyczne zmiany, jakie zaszły w byłym szkolnym koledze, gdyż uważał je za biologicznie niemożliwe. Harris Rosenblatt rzeczywiście zdecydowanie wyszczupłał, zrobił się jakiś wyższy i trzymał się prosto, jakby kij połknął, co było widowym dowodem purytańskiej obywatelskiej prawości, która w światku finansowym należy stanowczo do rzadkości. Nawet czoło zrobiło mu się jakby wyższe. Miał teraz norweski nos. Ciemne, pionowe bruzdy żłobiły jego twarz od czoła po podbródek, a mięśnie pociągłej twarzy przejawiały skłonność do uśmiechu czy nawet śmiechu, uwięzioną jednak w imadle uroczystej powagi. Wyrażał się precyzyjnie i miał spojrzenie osoby nawykłej do demaskowania ludzi, którzy nie dorastają do standardów. Harris Rosenblatt, rezygnując na roku dyplomowym z college'u pod presją groźących mu oblaniem końcowych egzaminów, był osobnikiem raczej otyłym i nijakim, wzrostu niższego niż przeciętny, o puciołowatej, nalanej twarzy, rozłożystych biodrach i wypiętej klatce piersiowej. Oto, jak finanse zmieniają człowieka. Próżno by wtedy szukać u niego śladów poczucia humoru i Gold podejrzewał, że teraz jest jeszcze bardziej ponury i gruboskórny, niż dawniej.

– Co tam u Belle? – huknął w tym momencie Rosenblatt, potwierdzając tym samym trafność analizy Golda.

– W porządku – bąknął Gold i porzucił ten temat jak rozżarzony węgielek. – Wspaniale wyglądasz, Harris. Zrobiłeś się taki szczupły i wysoki. Musisz być na jakiejś cud-dziecie. Chyba straciłeś sporo na wadze?

– Och, nie, nie straciłem na wadze.

– Nie jesteś na diecie?

– Nie. Nie jestem.

Gold patrzył na niego z coraz większym zdumieniem.

– Urosłeś?

– O, tak, sporo. – Rosenblatt łaskawie dał po sobie poznać, że jest mu przyjemnie. – Znacznie urosłem od czasu, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni. Jestem teraz kimś o wiele większym niż dawniej. Dużo się nauczyłem i jestem lepszy pod wieloma względami.

– Czego się nauczyłeś? – zaciekał się Gold.

– Trudno powiedzieć – odparł Rosenblatt. – Ale kiedyś byłem bardzo dumny. Już taki nie jestem. Nauczyłem się pokory i jestem z tego bardzo dumny. – W ciszy, jaka zapadła po tych słowach, Rosenblatt zaczął znowu popatrywać niespokojnie to na Andreeę, to na Golda. – Obiło mi się o uszy, że nie jesteś już z Belle.

– Nie ma w tym ani słowa prawdy – powiedział Gold.

– Bardzo mnie zmartwiła ta wiadomość. Zdaję się, że dotarła do mnie z jakiegoś wiarygodnego anonimowego źródła.

– Sporo się tu udzielałem w roli anonimowego źródła – odparł Gold z nerwowym pośpiechem – a więc niewykluczone, że mogło to wyjść ode mnie. Nie ma w tym krzty prawdy.

– Miło mi to słyszeć. Za wiele zdarza się teraz tego rodzaju rzeczy, jak na mój gust. To niedobrze dla rodziny, niedobrze dla dzieci i niedobrze dla kraju. Może dobrze dla gospodarki, ale mnie to nie odpowiada ani na krótszą, ani na dłuższą metę, i na pewno nie jest dobre dla budżetu. Bardzo się cieszę słysząc, że dalej jesteście z Belle razem, i Selma też się ucieszy.

– Co nowego w finansach, Harris? – spytał Gold, kiedy tylko udało mu się dorwać do głosu. – Co nas czeka, denominacja czy dewaluacja? I jak to wpłynie na dochody ludności oraz siłę nabywczą pieniądza?

– Nie mam pojęcia. Tymi zagadnieniami zajmują się w naszej firmie inni. Ja specjalizuję się w obligacjach państwowych i opracowywaniu budżetów dla rządu.

– No to jak przedstawia się sytuacja na tym polu?

– Nie wiem – wyrecytował Harris Rosenblatt jak automat i obdarzył Golda spojrzeniem, w którym malowało się z pewnością nieczęsto tam goszczące uznanie. – Znakomity zwrot ukułeś, Bruce, naprawdę znakomity, i jestem przekonany, że w kołach biznesu i w kręgach rządowych nie ma takiego człowieka, który nie byłby ci za to wdzięczny. Mózg się lasuje na myśl, jak głowom takim jak moja mózgi się lasowały pod wpływem tego rodzaju lasujących mózg pytań, dopóki nie sprezentowałeś nam tych dwóch genialnych słówek – „nie wiem”. Nie dziwię się Prezydentowi, że chce cię mieć w swojej ekipie. Słyszę same dobre opinie o twoim raporcie. Gold zamaskował zaskoczenie.

– Dopiero zacząłem nad nim pracować.

– Dobre wiadomości szybko się rozchodzą. Kiedy będzie gotowy? Bardzo chciałbym go przeczytać.

Gold zdecydował się też spróbować:

– Nie wiem.

– Dobrze – pochwalił go Harris Rosenblatt. – No, na mnie już czas. Jutro z samego rana mam spotkanie z przedstawicielami Departamentu Skarbu, Komisji Planowania i Budżetu

oraz Rady Rezerw Federalnych. Mogę ci wyjawić, co im powiem, oraz co powiedziałem wczoraj i dzisiaj tym z Białego Domu. To najmądrzejsza rada, jakiej potrafię udzielić krajowi i najmądrzejsza rada, jakiej mogę udzielić każdemu obywatelowi z osobna. – Harris Rosenblatt wygłosił to oświadczenie podnosząc się z krzesła i stał teraz wyprostowany i niewzruszony, niczym filar świątyni. – Równoważcie budżet, bo pożałujecie. Jak ktoś chce tańczyć, musi najpierw zapłacić kobziarzowi, a kto płaci skrzypkowi, wybiera sobie repertuar.

– Harris – mruknął Gold trzymając się kurczowo krawędzi stolika, jakby od tego zależało jego życie – ty naprawdę mówisz to ludziom?

– Dokładnie tymi słowami. – W głosie Harrisa Rosenblatta pobrzmiwała tryumfalnie duma. Jego wymowa, co Gold rozpoznał po utwardzonym, dźwięcznym „r”, nabrała starannego szlifowania sugerującego mieszkańca Środkowego Zachodu w dziesiątym pokoleniu. – A oni pilnie nastawiają ucha. Jedno mogę ci zdradzić. Sądzę, że uczynione zostanie wszystko, by doprowadzić do zrównoważenia budżetu federalnego, i moim zdaniem istnieją wszelkie dane po temu, by nasz wysiłek uwieńczony został sukcesem.

– Co to będzie oznaczało?

– Jak to? – Harris Rosenblatt spojrzął na Golda z miną wyrażającą kompletny brak zrozumienia.

– No, co to będzie oznaczało z punktu widzenia takich spraw, jak ceny, podatki, dochody i bezrobocie? Jaki wpływ wywrze równoważenie budżetu na gospodarkę i opiekę społeczną?

– Nie wiem. – Harris Rosenblatt, dumny ze swej odpowiedzi, zawiesił na chwilę głos czekając, aż jej głęboki sens dotrze do słuchaczy. – Tymimi sprawami zajmują się w naszej firmie inne działy – podjął. – Ja specjalizuję się tylko w równoważeniu budżetu. Życzę udanego wieczoru, panno Conover. Proszę pozdrawić ode mnie Puga Biddle'a i przekazać mu, że wkrótce do niego wpadnę, żeby zapolować na lisa, dobrze? Proszę mu przypomnieć o psie, którego mi obiecał. Powiedział, że da mi dobrego na odstrzał. Bruce, może teraz, kiedy stajesz się osobą popularną, umówilibyśmy się na kolację? No wiesz, ja z Selmą, a ty z Belle. Koniecznie pozdrów ode mnie Belle – szczerknął jak stary trolejbus z Coney Island i odcoczył się wśród ech.

– Kto to jest ta Belle? – zapytała Andrea. Gold był już w blokach startowych.

– Moja była żona – mruknął i wyrwał rączy przed siebie: – Mamy jeszcze do omówienia pewne szczegóły, zanim nasz rozwód stanie się faktem. Co miał na myśli Rosenblatt mówiąc, że twój ojciec obiecał mu dobrego psa na odstrzał?

– To pewnie jeden z żartów tatusia. Wiesz, jaki potrafi być zabawny. Ile czasu zajmie ci przeprowadzenie rozwodu?

– Ralph twierdzi, że kiedy już dojdziemy do porozumienia, można to załatwić w godzinę na Haiti.

– Tak bym chciała, żebyśmy już byli małżeństwem. Nie musiałbyś wracać do Nowego Jorku.

– Tak bym chciał pracować już w rządzie i nie musieć wracać do Nowego Jorku – oświadczył Gold głosem ociekającym goryczą. – Żywiłem nadzieję, że twój ojciec będzie miał mi więcej do zaoferowania. – Słowa te sprawiły Andrei wyraźną przykrość i Gold szybko się zreflektował. – Gdyby tak można było wymknąć się teraz na intymny miesiąc miodowy we dwoje... – powiedział. – Niczego bardziej nie pragnę, jak wakacji z tobą, ale chyba mnie na to nie stać.

– Ja mam pieniądze – zaoferowała się ochoczo Andrea.

– Nigdy się na to nie zgodzę – zachnął się Gold. To spontaniczne wyznanie zasad zabrzmiało bardziej ostatecznie, niż się spodziewał, a tuż za nim przydreptało rozdrażnienie. – Do jasnej cholery, dlaczego ktoś bogaty nie zaprosi nas do Acapulco? Założę się, że taki Kissinger był tam za frajer.

– Musisz zostać kimś ważnym, żeby zaczęli cię zapraszać – wyjaśniła mu ze śmiechem Andrea. – Nie posiadam się ze szczęścia, że w ogóle przyszło ci to do głowy. Cały czas lękam się, że nie będziesz się chciał więcej ze mną widywać, nawet kiedy będziemy już po ślubie.

– Gdybym nie chciał się więcej z tobą widywać – powiedział Gold – to po co bym się z tobą żenił?

– Żeby ci pomogła załapać się do rządu – odparła. – I dlatego właśnie chcę się wstrzymać z podjęciem decyzji do czasu, kiedy będziesz już tam pracował. Wydaje mi się, że nie bylibyśmy szczęśliwi, gdybyś był tylko Sekretarzem Rolnictwa albo pisarzem przemówień, nie sądzisz? Ale jestem zachwycona twoim pomysłem. Szkoda, że nie stać cię na jego realizację. – Ujęła jego dłoń w obie swoje i ścisnęła gorąco. Gold trzymał drugą rękę na kolanach.

– Zdobędę jakoś pieniądze – oświadczył z radosnym uniesieniem, przypominając sobie sumę, którą był mu winien Plamka Weinrock, oraz uświadamiając sobie możliwość zaciągnięcia pożyczki u Sida. – Wymkniemy się oboje do Acapulco nic nikomu nie mówiąc. Będzie to niebezpieczne, ale tym bardziej ekscytujące.

– Taki jesteś zabawny.

– Zaczynam planować. Wyjedziemy, jak tylko uda mi się wyekspediować mojego ojca z powrotem na Florydę.

Gold miał kłopoty z zaśnięciem. Andrei nie obudziłby chyba wystrzał z armaty. Z zazdrosnym rozdrażnieniem słuchał jej równego oddechu, bolejąc nad swoim defektem charakteru, który pozbawiał go płytkości zapatrywań i umysłowej ciasnoty, bez których niemożliwy jest rozkwit wiary w jakąkolwiek ideologię. Fakt, że taki osioł jak Harris Rosenblatt zdołał pozyskać sobie w Waszyngtonie zwolenników, stawiał pod znakiem zapytania powagę i trwałość rządu oraz amerykańskiego społeczeństwa, i nie była tego w stanie zmienić żadna patriotyczna argumentacja. Andrea westchnęła przez sen i zaczęła się wiercić, dopóki znowu nie zetknęła się z nim plecami. Oboje spali nago. Jej szczupłe ciało pokryte meszkiem jedwabistych, żółtych włosków prezentowało się wspaniale w falującej mozaice przytłumionego światła i przenikających się cieni. Gold uzmysłowił sobie, że pograżona w głębokim śnie dziewczyna może nawet nie wie, że to on leży obok niej w łóżku. Ogarnął go smutek i stracił kontakt z rzeczywistością. Sid nim pogardzał. Oszczędny w słowach wobec wszystkich domowników, jeśli w ogóle zaszczycił małego Golda braterskim komentarzem, zawsze była to krytyka albo jakiś docinek. Różnica wieku sprawiała, że Sid był dla Golda niemal jak drugi ojciec, i obaj z ojcem nie kryli wcale, iż czują się pohańbieni okularami, które Gold musiał zacząć wcześniej nosić. Bez względu na to, jak sobie radził w szkole podstawowej, Ida wciąż dopingowała go do zwiększenia wysiłków, wprawiając tym w osłupienie matkę-imigrantkę, która nie mogła uwierzyć, że Gold jest aż tak zatwardziałym nieukiem, że trzeba go upominać. Ida strofowała go nawet wtedy, kiedy przynosił celujące oceny. Owszem, uczy się bardzo dobrze, brzmiały mu jeszcze w uszach słowa siostry próbującej uzasadnić swoje podejście nieszczęsnej, nic nie rozumiejącej matce, ale nie widzę powodu, dla którego nie mógłby być idealny, a nie tylko taki jak Muriel.

„Ty, mały, powinieneś przybrać trochę na wadze, bo nigdy nie przyjmą cię do drużyny” – powtarzał mu często starszy brat. Sid grał przez jeden rok w szkolnej drużynie futbolowej jako rezerwowy. Potem zrezygnował, żeby pójść do pracy w pralni. „Jak będziesz w szkole średniej, zapisz się na szermierkę. Takiego chudzielca nikt nie trafi. Założę się, że mógłbyś stać pod prysznicem i nie zmoknąć”.

Na lekcji muzyki nie pozwolono Goldowi śpiewać, tylko mianowano go słuchaczem. Ustawwszy po raz pierwszy wszystkie dzieci pod tablicą do chóralnego śpiewu, nauczycielka dała znak i w chwilę potem zatoczyła się do tyłu z wyrazem obrzydzenia na twarzy, bo jej wrażliwe, nie przygotowane na to uszy zaatakował na samym wstępie niewiarygodnie

szkaradny dysonans. Rzuciła się natychmiast w wir gorączkowych dociekań, zupełnie jakby nad klasą zawisło widmo jakiegoś straszego zagrożenia. W szybkim procesie eliminacji i przegrupowań wyodrębniła źródło fałszującego głosu, zawężając je zrazu do ośmiu, potem do czterech, wreszcie do trzech uczniów. W końcu jej oskarżycielski palec wskazał zdecydowanie na Golda. „Ty, Bruce – wykrztusiła resztką tchu – możesz być tylko słuchaczem. Słuchaczy również nam potrzeba, prawda?” I jej biust zafalował westchnieniem niewypowiedzianej ulgi.

Od tego czasu, kiedy reszta klasy przez dwie albo i trzy godziny w tygodniu stała i ćwiczyła przed występem, który dawali każdego piątku na cotygodniowym apelu, Gold siedział w ławce i słuchał. Pewnego razu panna Lamb, nauczycielka muzyki, ogłosiwszy koniec próby, kazała wszystkim śpiewakom nagrodzić go oklaskami za tak pilne i cierpliwe słuchanie, i od tego dnia ten aplauz stał się rytuałem kończącym każdą lekcję muzyki. Po każdej próbie Gold był głuchy jak pień i jak pień ciążyła mu głowa. Nawet skubany Lieberman był basem.

Wtedy to ten pieprzony fioł, jego ojciec, przypomniał sobie Gold w przyпіływie nostalgicznego żalu, który sącząc się z głębi serca tworzył w krtani utrudniającą przełykanie gulę, wreszcie był z niego dumny i chełpił się bezwstydnie przed klientami swojego zakładu krawieckiego oraz sąsiadami z jednej i drugiej strony ulicy. „Mają tylko jednego słuchacza na całą klasę – obwieszczają ku niewysłowionemu upokorzeniu Golda, unosząc wysoko nad głowę palec wskazujący – a tym słuchaczem jest mój syn”. Potem zaś, bez ostrzeżenia, wyciągał melodyjnie pięć najsłynniejszych taktów z *I Pagliacci* i równie nagle urywał. „Widzicie, jak dobrze słucha?” – mówił.

„My z Rybką Siegelem jesteśmy w naszej klasie altami – powiedział kiedyś Plamka Weinrock, zbliżając się kulejącym krokiem, bo jedną nogą szedł po krawężniku, a drugą rynsztokiem. – A ty w swojej czym?”

Zegar wybił trzecią nad ranem. Gdzieś płakało dziecko. Dziesiątki wspomnień przesuwano się przez głowę Golda, kiedy leżał w łóżku z Andream niepomny jej obecności. Bruce Gold, doktor nauk humanistycznych i profesor angielskiego oraz pokrewnych dyscyplin wiedzy, kandydat Prezydenta na stanowisko w rządzie, mający już za sobą blisko pół wieku życia, szukał tej nocy ucieczki w fantazje ze swego dzieciństwa, w których wyobrażał sobie, że wcale nie jest Bruce'em Goldem, że jego rodzina nie jest tak naprawdę jego rodziną, jego pochodzenie jego pochodzeniem, a pozycja społeczna jego pozycją, że jest lepszego rodu, niż ktokolwiek poza nim przypuszcza, a został tak niefortunnie osadzony w swoim życiu tylko w wyniku jakiejś niepojętej serii błędów i nieporozumień, które lada moment się wyjaśnią. Komputery już je rozszyfrowują. Sprawiedliwości stanie się zadość. Wszystko szło ku lepszemu. Wkrótce pojawią się mężczyźni i kobiety o najszlachetniejszych rysach, w sandałach i jedwabnych szatach, by się o niego upomnieć i wynagrodzić mu wszystkie upokorzenia. Zapanuje powszechna radość. Odnalazło się dziecko. Kto wie, czy nie jest nawet jakimś księciem. Ludzie, którzy usługiwali mu z takim poświęceniem i uwielbieniem, byli wszyscy multimilionerami.

„Nie jesteś Bruce'em Goldem – zapewniali go kojąco. – Ten naród nie jest twoim narodem, a ci krewni i znajomi nie są twoimi prawdziwymi krewnymi i znajomymi. Jesteś Van Cleef and Arpels – mówili mu. – Jesteś zachwycającym, roziskrzonym sklepem jubilerskim przy Piątej Alei, i to wszystko jest twoje. Najbogatsi ludzie zjeżdżają się zewsząd, by w tobie kupować”. Gold trzymał się kurczowo swojego marzenia i przez kilkadziesiąt lat dojrzałości jego wiara w nieuchronność takiego ostatecznego obrotu sprawy niewiele się zmniejszyła. „Prosimy wejść, panie Van Cleef and Arpels – zapraszali – i czuć się jak u siebie, bo to wszystko należy do pana. Jest pan siecią olśniewających, słynnych sklepów jubilerskich z filiami w Beverly Hills, Palm Beach, Paryżu oraz w innych pięknych miastach, i ma pan sekretne powiązania z Antwerpią.

Ta garstka ludzi, w których żyłach płynie jeszcze królewska krew, przychodzi do pana stając cicho i pokornie płaci panu pieniądze. Najwybitniejsze, najpiękniejsze osoby z całego świata są pana wasalami i petentami. Nie jest pan już słuchaczem – szeptali. – Nie jest pan nawet – kołysali do snu – Żydem”.

Gold poruszył wargami, żeby coś odpowiedzieć, ale nie wypłynęły spomiędzy nich żadne słowa. Spał.

VII

**Zaproś Żyda do Białego Domu
(a uczynisz go swoim niewolnikiem)**

Bruce Gold nadal nie mógł pojąć, jak zdrowy na umyśle, obdarzony prawym charakterem Żyd mógłby najać się na służbę u Richarda Nixona, i nie sądził, by znalazł się taki. Ci Żydzi, którzy pracowali w jego administracji, byli prawdopodobnie jedynymi spośród wszystkich wykształconych dorosłych na świecie, którzy w jadowitych atakach na prasę przypuszczanych przez wiceprezydenta Spiro Agnew nie dostrzegali zakamuflowanego antysemityzmu. A może nawet dostrzegali, lecz udawali tylko, że nie widzą.

„Zaproś Żyda do Białego Domu (a uczynisz go swoim niewolnikiem)” – tak brzmiał prowokacyjny tytuł, jaki Gold nadał zjadliwej diatribie napisanej w nastroju tłącego się rozgoryczenia, w który popadł na wieść o zaproszeniu Liebermana do Białego Domu w zamian za poparcie amerykańskich działań wojskowych podczas wojny w Wietnamie. W porywie twórczego natchnienia wyzwolonego zarówno przez wrogie emocje, jak i poczucie przyzwoitości, Gold ukończył pierwszy szkic w niemal rekordowym czasie. Ze stoickim spokojem cofnął się do czasów prezydenta Eisenhowera i procesu małżeństwa Rosenbergow po najwcześniejsze przykłady tej uległej służalczości, właściwej rasie nikczemnych, czujnych oportunistów, których śledził od dawna z nieulekłą mściwością i głęboką pogardą. Obecnie nie palił się już tak do opublikowania swojego „Zaproś Żyda do Białego Domu (a uczynisz go swoim niewolnikiem)”. Gdyby to uczynił, być może nigdy już nie zaproszono by go do Białego Domu.

– Interesowałoby cię jakieś wysokie stanowisko w Departamencie Rolnictwa, gdyby tam najwcześniej się coś zwolniło? – spytał Ralph, kiedy Gold znowu do niego wpadł, by po raz kolejny dać wyraz swemu rozczarowaniu i pożegnać się.

– Nie.

– Nie dziwię ci się. – Ralph włożył marynarkę, żeby go kawałek odprowadzić. – Weźmy samą absurdalność ustroju społecznego, w którym nadprodukcja żywności staje się ekonomiczną katastrofą. O ile prościej by nam było, gdybyśmy znacjonalizowali wszystkie podstawowe działy naszej gospodarki. I jakie to szczęście, że większość kraju nie zdaje sobie z tego sprawy.

– Mówisz niemal tak – mruknął Gold mrużąc czujnie oczy – jakbyś wierzył w socjalizm.

– No bo wierzę – odparł Ralph. – Całym swoim sercem. I codziennie dziękuję mojej gwiazdce, że choć inni są odmiennego zdania, pozwalają ludziom takim jak ty i ja żyć z takim nadzwyczajnym przywilejem. Chyba tu już kiedyś byłeś, prawda?

Gold spojrzął na błonia po drugiej stronie alei, wznoszące się łagodnie ku podstawie Monumentu Waszyngtona.

– Raz, na marszu pokoju – przyznał. – Ale to było w bardzo późnej fazie, Ralph, kiedy mnóstwo ludzi protestowało już przeciwko wojnie w Wietnamie. Zdaje się, że ty też w jednym takim marszu uczestniczyłeś.

– Uczestniczyłem we wszystkich – powiedział Ralph, i Gold odniósł niepokojące wrażenie, że jest sprawdzany. Nie wierzył Ralphowi nawet przez sekundę. – Nienawidziłem tej wojny, Bruce – ciągnął Ralph bez zauważalnej zmiany beztroskiego nastroju – i prawie wszystkich tych rządowych szych wysługujących się Johnsonowi, Nixonowi i Fordowi, które spiskowały, żeby ją ciągnąć, albo nie protestowały przeciwko niej publicznie. Co za świństwo! To chyba jedyna rzecz na świecie, którą traktuję poważnie, to i instytucję małżeństwa. Kłamstwa, Bruce, och, te kłamstwa. Można puścić w niepamięć cały ten horror... pięćdziesiąt tysięcy Amerykanów zabitych, setki tysięcy okaleczonych, milion albo i więcej ofiar wśród Azjatów – ale kto potrafi zapomnieć o tych kłamstwach? Oni wszyscy mają na sumieniu okropne zbrodnie wojenne, i moim zdaniem powinno się ich powiesić na haku i zostawić, żeby umarli. Jestem zdecydowanie przeciwny zbyt szybkiemu przebaczeniu oraz oburzony, że ich nazwiska zostały tak szybko zapomniane. – Gold przezornie nie zabierał głosu, dziękując Bogu, że to nie on formułuje te surowe opinie. – Nie mówię tu tylko

o Żydach w rodzaju Walta Whitmana Rostowa i Henry'ego A. Kissingera – podjął Ralph po krótkiej pauzie, która powinna wystarczyć Goldowi na przyznanie mu racji albo zaoponowanie, gdyby czuł taką wewnętrzną potrzebę. – Mam również na myśli takie nazwiska, jak Bali, Brown, Bundy, Bunker, Clifford, Eagleburger, Haig, Humphrey, Kleindienst, Laird, Lodge, Lord, Martin, McNamara, Mitchel, Moynihan, Richardson, Rockefeller, Rusk, Valenti, Vance, Warnke, Ziegler i Javits.

– Javits? – wyrwało się Goldowi mimowolnie pod wpływem odruchu wydalającego. – Javits był żydowskiego pochodzenia, Ralph.

– Jack?

– Miał na imię Jacob.

– To dlaczego nie nazywali go Jake?

– Bo na niektórych Jacobów wołają Jack.

– Republikanin? – przez przyjazną, niewinną twarz Ralpha przemknął cię uśmiech, od którego Golda aż skreśliło w środku. – Muszę przyznać, że Żyd republikanin zawsze wydawał mi się jakiś nienaturalny i śmieszny. – Gold nie mógł nie przyznać mu racji. Do każdej takiej galaktyki niestosowności dorzuciłby też Żydów na narciarskich trasach zjazdowych, na kortach tenisowych i na końskich grzbietach; ci w krawatach w kropki zawsze robili na nim gorszące wrażenie fałszywców i bluźnierców, a przy tym byli rażąco nieprzekonujący zarówno jako chrześcijanie, jak również jako Żydzi. Innymi jeszcze obcymi kulturowo przewinieniami, które mógłby dopisać do tej listy, było nadużywanie alkoholu, niewierność małżeńska i rozwody, ale wołał sobie darować dalsze roztrząsanie tej kwestii. – To jeszcze jeden powód, dla którego od początku nie ufałem Kissingerowi i zawsze miał on dla mnie w sobie coś z błazna – podjął Ralph i roześmiał się cicho. – Dobrze wiesz, Bruce, że nie jestem antysemitą. Muszę jednak przyznać, że byłem szczerze ubawiony, kiedy dowiedziałem się, że Kissinger ukląkł z Nixonem w Gabinetcie Ovalnym, żeby pomodlić się tam na dywanie. Czy Żydzi kłękają do modlitwy, Bruce? Nie miałem pojęcia.

Gold nie był tego całkiem pewien.

– Chyba nie.

– Może dlatego chodzą w kościele z tymi modlitewnymi dywanikami przerzuconymi przez szyję... – nieostrożnie drażył temat Ralph – ...bo wtedy mogą w każdej chwili uklęknąć i modlić się na dywaniku.

– To są szale, nie dywaniki – poprawił Gold Ralpha, błagając go w duchu o zmianę tematu – i nosi się je w świątyni, nie w kościele, i nie kłękamy do modlitwy ani nie używamy dywaników modlitewnych. Używają ich Arabowie.

– To dlaczego Kissinger tak zrobił?

– Bo jest Kissingerem, oto dlaczego – odburknął cierpko Gold. – Tak było prawdopodobnie prościej, oto dlaczego.

– Muszę przyznać, że go nie znosiłem – powiedział Ralph. – Zwierzę ci się, że zawsze uważałem Kissingera za płaszczące się, wulgarne, nadęte, wstrętne, podłe, samolubne, karierowiczowskie, małe żydowskie gównno.

Gold, który usłużnie jak wierny pies potakiwał dotąd głową w rytm sylab tej litanii epitetów, teraz zatrzymał się jak wryty.

– Czy ty masz absolutną pewność, że nie jesteś antysemitą? – zapytał najniewinniejszym tonem.

– Bo nienawidzę Kissingera? – Ralph oddalił to absurdalne przypuszczenie wesołym potrząśnięciem głowy. – Och, nie, Bruce. Dam ci dobrą radę: jeśli będziesz go tak lojalnie bronił, tutejsi ludzie mogą cię wziąć za człowieka z kliki.

– Ja go nie broniłem! – krzyknął zapalczywie Gold, wzburzony absurdalnym zarzutem o konszachty akurat z tą osobą w całym wszechświecie, którą chyba najmniej lubił. –

Zastanawiałem się tylko – kontynuował ze ściągniętą twarzą – czy powiedziałaś tak dlatego, że on jest Kissingerem, czy dlatego, że jest Żydem.

– Dlatego, że jest Kissingerem, Bruce – odparł Ralph z powagą, która przekonałaby o czystości jego intencji największego sceptyka. – Jakże ja mógłbym być antysemitą? Tyle ci zawdzięczam. Przecież dzięki twoim pracom przebrnąłem przez uczelnię.

– Uzyskując lepsze ode mnie oceny – wypomniał mu Gold.

– Przepisałem od ciebie esej o „Tristramie Shandym”.

– I opublikowali ci go w uczelnianej gazecie, a ty nawet nie wspomniałeś słowem o moim wkładzie.

– Nie mogłem tego zrobić, Bruce. Skreśliliby nas obu z listy studentów. Nawet teraz korzystam z twojego pokoju w hotelu, ilekroć jesteś w Waszyngtonie.

– I prawdopodobnie bawisz się lepiej ode mnie.

– Znajdziesz tam telefoniczną prośbę Liebermana, żebyś ze mną porozmawiał. I wiadomość od Belle, która przypomina ci o piątkowym przyjęciu rocznicowym twojego ojca. Myślałem, że odszedłeś od niej.

– Bo odszedłem – mruknął Gold z jakimś bliżej nieokreślonym poczuciem winy. – Sęk w tym, że nie jestem taki do końca przekonany, czy ona wie, że od niej odszedłem.

Nie dało się przecenić bałwochwalczego zachwytu, z jakim spojrział teraz na niego Ralph.

– Niesamowite, Bruce, och, jesteś niesamowity – wyszeptał z oddaniem i podniecony zaczął się stukać palcem po nosie. – Mój Boże, gdybym był wystarczająco przebiegły, to może do tej pory bawiłbym się jeszcze w kotka i myszkę ze wszystkimi moimi. Nie, lepiej się od nich uwolnić, zanim zaczną im dokuczać bóle krzyża i polipy. Pozdrów ode mnie ojca, Bruce. I postaraj się uwierzyć, że nie ma już czegoś takiego jak antysemityzm. Mamy teraz nawet jednego Żyda w FBI. Chciałbyś go poznać? – Gold nie wyraził zbytnej ochoty. – Przykro mi, ale będziesz musiał, Bruce. Prowadzi twoją sprawę.

– Moją sprawę?

– I świetnie mu idzie – powiedział Ralph. – To właśnie on dokopał się do tego twojego komentarza, że Harvard i West Point do spółki pokarały cywilizację większą liczbą szkodliwych durniów niż wszystkie inne instytucje w dziejach razem wzięte.

Gold patrzył na niego przez chwilę wstrząśnięty.

– To był żart, Ralph – zaprotestował w końcu przerażony i poczuł, jak ogarnia go konsternacja. – O, cholera, Ralph – naprawdę sprawdza mnie już ktoś z FBI?

– To nasz najlepszy człowiek. Nazywamy go Buldog.

– Chyba nie myśli, że mówiłem poważnie. Ralph, wygłosiłem tę uwagę żartem blisko dziesięć lat temu na uniwersytecie w Oklahomie, odpowiadając na pytania studentów.

– Tak się składa – westchnął Ralph – że to prawda. I jest to jeden z naszych najściślej strzeżonych sekretów. Wiem, że chodziło ci głównie o wysoko postawione osoby, ale dorzuć jeszcze wszystkich absolwentów Yale i prawie będziesz miał rację. Trzeba ci wiedzieć, że będziesz musiał przejść dokładne prześwietlenie służb bezpieczeństwa i poddać się gruntownym badaniom lekarskim. W myśl aktualnych wytycznych możesz skorzystać z usług dowolnego żydowskiego specjalisty albo zgłosić się do Walter Reed Memoriał, gdzie przebadają cię za darmo.

– Chyba wolę się z tym zwrócić do Murshiego Weinrocka.

– FBI będzie z tobą w kontakcie. I zanim opublikujesz cokolwiek, co od tej chwili napiszesz, przedkładaj nam to najpierw do wglądu.

– Do akceptacji?

– Do czerpania pomysłów. Tylu ludzi się ostatnio wymądrza, że powiedzenie czegoś nowego, co by natychmiast nie zabrzmiało banalnie i nieszczerze, stało się praktycznie niemożliwe. Oto pole, na którym możesz się naprawdę przysłużyć krajowi, Bruce. Potrzebujemy na gwałt czegoś dobrego na temat zgnilizny.

– Zgnilizny?

– Nie tej biologicznej, miejskiej.

– Jesteśmy za, czy przeciw?

– Ani za, ani przeciw – odparł Ralph. – Ale musimy stworzyć jakieś pozory, że mamy problem na uwadze, i Prezydent będzie chciał wyjść z czymś świeżym.

Gold stanął na wysokości zadania z wrodzoną spontanicznością, którą czasami poczytywano mu mylnie za błyskotliwość.

– Może i mam coś takiego – oznajmił. – W książce, którą piszę teraz dla Pomoroya i Liebermana, jest rozdział o procesie rozkładu toczącym Coney Island, gdzie diabelskie kolejki, karuzele i gabinety krzywych lusterek spełniają rolę metafor symbolizujących cykle społeczne. Mogę go bez trudu rozwinąć, tak by objął również przemoc i zepsucie zalewające ulice naszych miast. Rzecz może być utrzymana w humorystycznym tonie.

– To by było to – ucieszył się Ralph. – Przyślij nam egzemplarz. Ale póki co, pomożesz mi może z tym Monumentem Waszyngtona.

Gold znowu przyłapał się na tym, że zerka podejrzliwie na Ralpha.

– W jaki sposób?

– Nie daję mi to spokoju, Bruce, od kiedy się tu przenieśli. – Ralph podrapał się markotnie po głowie. – On mi coś przypomina i za nic nie mogę sobie przypomnieć, co... nie symbol falliczny, coś innego.

– Egipski obelisk?

– Och, Bruce, ty to masz głowę, ale lasująca mózg inteligencja! – wykrzyknął Ralph z absolutnym entuzjazmem. – Ty chyba wiesz wszystko, co musisz wiedzieć, nie? Mózg mi się lasuje od tego, jak wciąż lasujesz mi mózg. A tak nawiasem mówiąc, Bruce, co to znaczy lasować? Szukałem tego słowa wszędzie, ale chyba nie znajdę go w żadnym słowniku na świecie, a nikt, kogo pytałem, nie wiedział.

– Nie ma takiego słowa – odparł Gold.

– Naprawdę? – Ralphiowi wydało się to dziwne. – To jak możemy się posługiwać tym określeniem, skoro nie istnieje jako słowo?

– Bo ludzie już tacy są – mruknął Gold.

Przesłuchanie odbyło się godzinę później w pokoju hotelowym Golda. Żydowski agent FBI miał włosy przywodzące na myśl pręty z kutego żelaza oraz szyję i twarz jak odlane w odlewni.

– Greenspan jestem, doktorze Gold – zaczął bez wstępów – Lionel Greenspan. Mogę być szczery?

– Jasne, panie Szczery.

– Jest pan *szonda* dla swojej rasy.

– Słucham? – W pamięci Golda nie przechowało się wspomnienie, by na tego rodzaju niewinny żarcik usłyszał kiedykolwiek podobną ripostę.

– Jest pan *szonda* dla swojej rasy – powtórzył Greenspan. – Fakt ten nie tyle mnie gniewa, co zasmuca.

– O czym pan mówi?

– Muszę być szczery – powiedział ponuro Greenspan. – Doktorze Gold, czy pańska żona Belle jest komunistką?

– Nie, a co?

– Więc jak to się dzieje, że chędoży pan te wszystkie inne kobiety?

Gold usiadł powoli. Znał się na żartach. Ten człowiek nie żartował.

– Bo to lubię. – Przez kilka chwil słychać było tylko poświst ich napiętych oddechów. – I wcale nie ma ich tak wiele.

Greenspan zajrzał do oprawnego w skórę notesu.

– Mamy tu gojowską dziewczynę, z którą się pan potajemnie zaręczył, mamy mężatkę z Westchester, która co miesiąc przyjeżdża do miasta na zakupy, mamy belgijską studentkę wydziału romanistyki z wymiany międzyuczelnianej, która...

– To było w zeszłym roku!

– No i mamy Felicity Plum.

– Panna Plum? – zdziwił się Gold, a Greenspan pokiwał głową i obrzucił go karcącym spojrzeniem, które Gold z oburzeniem odwzajemnił. – Nigdy nie dmuchałem panny Plum.

– Ona twierdzi, że tak. Opowiada wszystkim, że jest pan wspaniały.

– Nie jestem, Greenspan. To kłamstwo. Nigdy jej nie tknąłem.

– Dwa razy napierał pan na nią członkiem.

– Raz.

– Ja tu mam, że dwa.

– To źle pan ma. Greenspan, czy nie może pan jej zamknąć gęby? Taka historia może mnie zrujnować.

– Możemy co najwyżej próbować – powiedział zafrasowany Greenspan. – Polecono nam czuwać zarówno nad pańską osobą, jak i reputacją. Ale ja chcę być szczery. Profesorze Gold, nic nie będziemy mogli zrobić, jeśli przyjdzie jej do głowy napisać książkę i załatwi sobie jakiś lukratywny kontrakt.

– Zgnoję ją w sądzie – przyrzekł profesor Gold. – Oto, co zrobię.

– Sieje pan wiatr – powiedział filozoficznie Greenspan, po czym natarł na Golda gwałtownie, podrywając w górę ręce: – Niech pan się usatkuje, błagam pana, póki jeszcze czas. Och, doktorze Gold, gdybym to ja potrafił zliczyć, ile razy pękało mi serce przez tego *mamzera*, Henry'ego Kissingera. Proszę mi tego teraz oszczędzić. Jakiż ja byłem załamany, kiedy podniósł głos na Goldę Meir. Jak ja płakałem, płakałem, doktorze Gold, kiedy ustaliłem, że ukląkł na podłodze... i to bez kapelusza na głowie... żeby się modlić z tym *szajgecem* Nixonem. – Greenspan zaczął wymachiwać w udreće zaciśniętą pięścią. – Nie chodzi do świątyni ze swoimi, a klęka na dywanie, żeby się modlić z tym *woncem*. Cierpiałem, doktorze Gold. Ja nie stroję sobie żartów. Ja muszę być szczery.

– Przeszedłem już lustrację czy jej nie przeszedłem? – przerwał mu ze znużeniem Gold. – Niech pan nie odbiega od tego cholernego tematu, Greenspan.

– Trudno powiedzieć. Dlatego właśnie mówię, że jest pan *szonda*.

– Chce mnie pan zdyskwalifikować za dupczenie dziewczyn?

– Nie tylko za dupczenie dziewczyn, doktorze Gold – przyznał otwarcie Greenspan. – Jest pan podatny na szantażowanie na rzecz obcych wywiadów przez każdego, kto zna te wszystkie fakty.

– A kto miałby znać te wszystkie fakty?

– FBI zna te wszystkie fakty.

– Czy to możliwe, żeby FBI szantażowało mnie na rzecz obcych wywiadów?

– Przeszedł pan – mruknął z ociąganiem Greenspan i zatrzasnął energicznie swój notes. – Ponieważ od tej chwili jest pan już tak jakby urzędnikiem rządowym, mamy tak jakby obowiązek chronić pańskie życie. Gdyby znalazł się pan w niebezpieczeństwie, niech mnie pan wzywa na pomoc.

– Jak mam pana łapać?

– Mów pan do ściany. – Na widok płomiennego oburzenia wykrzywiającego twarz Golda Greenspan sięgnął po pistolet.

– Niech pan powtórzy – zdobył się na odwagę Gold.

– Mów pan do ściany. O, tutaj, pokażę panu. – Greenspan, zwieszając wielką, masywną głowę, cofnął się zygzakiem pod ścianę i zawołał: – Próba mikrofonu, raz, dwa, trzy, cztery. Słyszysz mnie?

– Słyszę cię wyraźnie, Bulldog – rozległ się głos z jego brzucha.

– Mam pluskwę w pępku – wyjaśnił Greenspan. – Wygląda zupełnie jak skóra. Będę miał pana pod ścisłą obserwacją – zakończył tonem, który Gold uznał za złowrózby. – Dobrej zabawy u Muriel i mam nadzieję, że następnym razem spotkamy się w przyjemniejszych okolicznościach.

– U Muriel? A co jest u Muriel?

– Przyjęcie rocznicowe pańskiego ojca. Zdaniem Leah to miło z waszej strony, że wydajecie przyjęcie z okazji dziesiątej rocznicy ślubu pańskiego ojca z pańską macochą, chociaż są małżeństwem dopiero od sześciu lat, pięciu miesięcy i dziewiętnastu dni. Leah to moja żona od, na dzień dzisiejszy, dwudziestu lat, czterech miesięcy i jedenastu dni, i przez cały ten czas... przez cały ten czas, nie chwale się, doktorze Gold, lecz po prostu stwierdzam fakt... przez cały ten czas ani razu nie pożądałem innej kobiety. Pamiętam mojego drogiego, nieżyjącego już ojca. – To wspomnienie zdetonowało w Greenspanie ostatni ładunek patosu. W oczach zakreśliły mu się łzy i z twarzą, na której malowały się budzące odrazę wzniosłość i życzliwość, podszedł do Golda. – Jeśli nie chce pan tego zrobić dla mnie, to niech pan to chociaż zrobi dla swojego przemiłego starego ojca. Niech pan odrzuci seks – błagał, wyciągając trzęsące się ręce – i wraca do żony. Niewierność małżeńska może być dobra dla nich, ale nie dla nas.

– Niech pan odkurzy swoją Biblię, Greenspan – poradził mu Gold. – My pierwsi ją wynaleźliśmy. Posuwaliśmy nawet owce, kiedy pod ręką nie było Kananitek i Filistynek.

– Jest pan *szonda* dla swojej rasy – powiedział chłodno Greenspan.

– A pan jest chlubą swojej.

– Należymy, doktorze Gold, do tej samej rasy.

– Spadaj, Buldog – warknął Gold i ledwie został w pokoju sam, zaczął mówić do ściany: – Dajcie mi Newsome'a – wybuchnął gniewnie. – Powiedzcie mu, że to pilna sprawa. – Ralph zadzwonił po minucie. – Ralph, ten pieprzony gnojek Greenspan wszędzie za mną łązi. Wszystko o mnie wie.

– Przeszedłeś? Co powiedział?

– Że chce być szczerzy. Na miłość boską, mogłeś mnie uprzedzić. Jeśli mam znosić upokorzenia związane z pełnieniem publicznego urzędu, to chcę przynajmniej mieć ten urząd. Bo inaczej ty i Prezydent gównem ode mnie dostaniecie na temat zgnilizny, uczciwie cię ostrzegam, Ralph.

– Nie zostawiaj nas, proszę – uderzył w błagalny ton Ralph. – Nie teraz, kiedy Prezydent ma te okropne problemy z inflacją, bezrobociem, rozbrojeniem i Rosją.

– Nie zostałem nawet formalnie zatrudniony.

– Ale już awansowałeś.

– Na co? Daj mi jakiś znak, Ralph. Powiedz coś publicznie, bo może będę musiał wrócić do prowadzenia tych moich pieprzonych zajęć na uczelni. Nie cierpię pracy dydaktycznej. Nikt nie wie, że odgrywam taką ważną rolę w Administracji. Nie wydaje mi się nawet, żeby Andrea w to wierzyła, a pewne jak diabli, że nie wyjdzie za mnie, dopóki nie uwierzy.

– Udobruchał by cię balon? – spytał Ralph.

– Wolę lizaki.

– Próbnym balonem – sprecyzował Ralph. – Wypuścimy go dziś po południu i zobaczymy, czy wpadnie w oko opinii publicznej.

Nazajutrz Belle pierwsza wypatrzyła nazwisko Golda w gazecie i pokazała je mu podając śniadanie. Gold nie widział żadnego pragmatycznego powodu, by zapowiadać Belle, że się wyprowadza, dopóki tego definitywnie nie zrobi; Andrea nie umiała szyć ani prasować, a Gold sam nie miał na to czasu. W kolumnie „Notki o ludziach”, plotkarskim dziale *Timesa* z pewnością studiowanym przez jego znajomych uważniej niż jakakolwiek inna część gazety,

prze czytał nie potwierdzony przeciek z anonimowego źródła o rychłym powołaniu go na wysokie stanowisko w Administracji, którego skomentowania rzecznik prasowy rządu odmówił i na temat którego ważny urzędnik Białego Domu nie miał nic do powiedzenia. „Po prostu nie wiem”, powiedział ważny urzędnik Białego Domu, naciskany przez dziennikarzy, by ujawnił szczegóły.

Przez jedną noc status Golda kolosalnie się podwyższył. Królewskim gestem sięgnął po nowojorskie *Daily News* i przeczytał:

Wszyscy się ubierają – albo przynajmniej próbują. Maggie i Clyde Newhousowie poprosili panie zaproszone na ich galowe przyjęcie wydawane na cześć Neddy i Josha Loganów o wpięcie we włosy kwiatu, najlepiej świeżego. Muzeum Cooper-Hewitta zaś zachęca męską połowę gości zaproszonych na Bal Regencji do zapuszczenia baków i włożenia kamizelek.

Gold zakreślił ten urywek wielkopańskim gestem. Newhousowie niech się wypchają, a Muzeum Coopera-Hewitta może go w dupę pocałować. Gold nie nosił baków i nie chodził nigdzie z żadną kobietą z kwiatem we włosach.

Kiedy umrzesz – zwróciła się macocha Golda do ojca Golda, wykorzystując chwilowy zastój w konwersacji pod koniec uroczystej kolacji wydanej z okazji ich sześciopółrocznej rocznicy ślubu – to gdzie mam cię pochować?

Wspomniany wyżej zastój w konwersacji był niczym w porównaniu z głuchą ciszą, jaka zaległa teraz wśród oniemiałych gości. Nawet tępa kilkunastoletnia córka Muriel przestała mleć zarozumiałym jęzorem i zamarła z przerażenia. W końcu Julius Gold zdobył się na odpowiedź.

– Co? – warknął z niedowierzaniem, wpatrując się uporczywie w skarpetki zebranych. Wszystkie żyłki na twarzy nabrzmiały mu do rozmiarów grożących w każdej chwili rozerwaniem, i Gold był pewien, że zaraz to nastąpi – apopleksja, tu i teraz, w jadalni Muriel, zamiast bezbolesnego zejścia na Florydzie, gdzie Sid mógłby zamknąć rozdział całego tego pokolenia, odbywając jedną jedyną podróż i zdejmując kłopot z głowy pozostałym.

– Kiedy umrzesz – powiedziała znowu Gussie Gold do Juliusa Golda, nie podnosząc głowy znad swojej robótki – to co mam z tobą zrobić? Gdzie mam cię pochować?

Staremu wystarczyła jeszcze tylko chwilka kalkulacji, by upewnić się, że słuch go rzeczywiście nie myli.

– W kuchni pod stołem! – zagrzemiał w odpowiedzi i ze ściągniętymi brwiami oraz z gigantycznym, spazmatycznym wzdrygnięciem odwrócił się od niej w swoim fotelu, jak od wizji najprzeróżniejszego nieszczęścia objawionego kiedykolwiek ludzkim oczom przez perwersyjną wyrocznię.

– Ja mówię poważnie, Julius – oświadczyła macocha Golda. – Co mam zrobić z twoimi zwłokami?

– Odwal się od moich zwłok, ty zezowata wariatko! – wy ryczał stary, szczerząc zęby. – Skąd niby u ciebie ta pewność – do jego wrzasku wkradła się teraz nutka tryumfu – że mnie przeżyjesz?

– Jestem młodsza – odparła spokojnie. – A kiedy umrę, nie będzie ze mną żadnego kłopotu. Mam kwaterę na cmentarzu w Richmond w stanie Wirginia, a jak będzie trzeba, zawsze znajdzie się dla mnie miejsce w ziemi przodków na cmentarzu żydowskim w Charleston w Karolinie Południowej, tylko słyszałam, że tam często jest wilgotno... wicie, podmokły i nisko położony grunt... mimo że wszyscy moi krewni z charlestońskiej gałęzi rodziny nie chcą mieć ze mną nic wspólnego... – jakimś szóstym zmysłem Gold wyczuł, że nie tylko on drętwieje – ...od kiedy poślubiłam waszego ojca.

Dało się słyszeć, jak na chwilę wszyscy wstrzymują oddechy, a potem wznawiają je zbiorowo, upewniwszy się, że poza delikatną aluzją do niskiego poważania, jakim darzy starego charlestońska gałąź rodziny Gussie, relacji tej nie zakończy już nic bardziej wyuzdanego i skandalizującego.

– Mam własną działkę na cmentarzu – odparował ojciec Golda. – Nie potrzebuję twojej.

– Chciałam się tylko dowiedzieć, Julius, czy wolisz spocząć w swojej kwaterze, czy w mojej.

– W swojej. Jest znacznie lepsza.

– A jest tam dla ciebie miejsce?

– Pewnie, że jest. Wykupiłem dla wszystkich. Sid pochylił się z zaniepokojeniem do przodu.

– Kiedy to zrobięś?

– Kiedy tu przyjechałem i znalazłem sobie dobrą pracę. Kupiłem dla całej rodziny. Kupiłem dla mamy i dla siebie... – Julius Gold zniżył głos, a pewność wyraźnie go opuściła – ...i dla Rosie... i dla ciebie.

– To tylko cztery miejsca – wyliczyła Ida mająca zawsze inklinacje do dosłowności. – Mama już tam leży. Cztery odjąć jeden daje trzy.

– To za mało. Będzie trzeba dokupić! – krzyknął głos, którego Gold nie potrafił z nikim skojarzyć, ponieważ siedział pojękując w duchu w psychicznej udręce, której nie dało się wyrazić słowami.

– Cicho – warknął rozkazująco ojciec. – Wiem, co zrobiłem, i wiem, co powiedziałem. Kupiłem dla każdego i tam wszyscy będziecie leżeć, czy starczy miejsca, czy nie, i kropka. Skończyłem. *Fartig.*

– Ja mam już własną kwaterę rodzinną – bąknął przepraszająco Sid.

– Moja się nie podoba?

– Mam teraz własną rodzinę, tato.

– Chcemy, żeby nasze dzieci były pochowane razem z nami – dorzuciła Harriet z determinacją. – I nasze wnuki również. Sid, jesteś pewien, że się pomieścimy? Nie spodziewaliśmy się czwórki dzieci. Może trzeba będzie jeszcze wygospodarować miejsce dla mojej matki i mojej siostry.

– Możemy ci odstąpić kawałek naszej działki. Max ma bardzo dużą.

– Ja nie mam wcale. Mendi leży ze swoją rodziną.

– Może zarezerwowali miejsce i dla ciebie – powiedział Milt. – A jak nie, to możesz się położyć ze mną.

– Ona się kładzie ze mną – warknął stary Karamazow. – Wszystkie moje dzieci będą leżały ze mną, i wszystkie moje wnuki. Chcę je mieć przy sobie.

– A my chcemy mieć przy sobie nasze – odparowała lady Chatterley. – I nasze wnuki również.

– Może nam nie starczyć miejsca, Harriet – wtrącił nieśmiało biedny Temlow, usiłując pogodzić obie zwaśnione strony. – No i dzieciaki mogą mieć własne plany.

– One się nie liczą – powiedział czcigodny Minister Skarbu z ostentacyjną próżnością łabędzia, popisując się przed Esther swoimi predyspozycjami przywódczymi. – Ile ich macie?

Kopciuszek wzruszył ramionami.

– My możemy trochę odstąpić – wyrwał się Irv, uśmiechając się uprzejmie, dopóki maleńka Klitajmestra nie posłała mu miażdżącego spojrzenia niosącego łatwe do odszyfrowania przesłanie: nie życzyła sobie spoczywać obok takich nieprofesjonalistów jak Victor albo Max. – Oj nie, nie możemy – powiedział. – Zapomniałem o moim bracie. Teraz, kiedy się rozwiódł, będziemy go może musieli przyjąć do siebie.

– To żona go nie wpuszcza?

– Może się położyć w mojej kwaterze.

– Nie, nie może, panie Bałwanie – powiedziała Muriel, a jej córka, ubawiona tym dyskredytującym potraktowaniem ojca, zakryła dłonią usta i zachichotała. – Twoje dzieci są ważniejsze od obcych. A on nawet nie należy do rodziny. Kwatera rodzinna jest na nazwisko twojego brata. Wszystko jest na jego nazwisko, prawda? Nawet większa część interesu.

Czerstwa twarz Victora oblała się rumieńcem zakłopotania i zrobiła się kasztanowa.

– A wy jak dużą macie kwaterę? – spytał Golda po raz drugi Quilp i zmienił się w Maxa.

Gold nie miał żadnej.

– Chyba niedługo będę się rozglądała za czymś dla matki – wtrąciła nieśmiało Sofronia, która przez cały wieczór prawie się nie odzywała i zaczynała niesamowicie przypominać Belle. – Jestem przekonana, że jest dla niej miejsce obok ojca, ale zapomniałam, gdzie go pochowyaliśmy.

– Musimy dokupić! – rozległ się czyjś piskliwy okrzyk.

– Trzeba na głowę upaść, żeby kupować teraz.

– Nieruchomości mogą tylko pójść w górę.

– Teraz nie jest odpowiednia pora.

– Moglibyśmy się zdać na selekcję naturalną – zaproponował Victor, odzyskując humor, i zachichotał dowcipnie. – Kto pierwszy umiera, pierwszy się kładzie.

– Rozsądniej jest dokupić – upierał się Jarndyce and Jarndyce, i mniej więcej w tym momencie do Golda dotarło z całą wyrazistością, że istnieje różnica pomiędzy „nieprawdopodobnym” a „niewiarygodnym”, różnica, której przez całe życie jakoś nie dostrzegał. „Nieprawdopodobne” było coś, czego się tylko nie spodziewało albo w pełni nie przewidziało. „Niewiarygodnym” zaś było coś, w co absolutnie, nawet przy maksymalnym wysiłku woli bądź wyobraźni, nie dało się uwierzyć. A teraz był świadkiem czegoś niewiarygodnego!

W innych rodzinach krewni wiedli spory o pieniądze i bibeloty, a ci tutaj chandryczyli się o kwatery na cmentarzu. Instykt ostrzegał Golda, że nikogo z tego towarzystwa, nawet Joannie, nie wolno mu nigdy przedstawić Andrei ani prześwietnym nowym kręgom towarzyskim czekającym na niego w Georgetown, Bethesdzie, Alexandrii, Chevy Chase, McLean i na terenach łowieckich Pugh'a Biddle'a Conovera w Wirginii. Nie będzie ich na jego inauguracji, to pewne. Zełga i powie, że nie zdołał załatwić dla nich biletów. Za pośrednictwem Ralpa rozpuści pogłoskę, że jest podrzutkiem. Dzieci wszystko rozumieją i sobie wytłumaczają. Dzieci niczego nie rozumieją i niczego sobie nie wytłumaczają, te złośliwe wypierdki. Wszyscy oni chcą... Gold otrząsnął się gwałtownie z tych melancholijnych rozważań, uświadamiając sobie nagle, że ojciec drze się opętańczo na cały pokój, dusząc się z wściekłości i wyrażając świszczącym charkotem swoje oburzenie przy każdej przerwie na zassanie w płuca nowego haustu życiodajnego powietrza.

– Dostyc tego gadania o umieraniu i pogrzebach, słyszycie?! – ryknął władczo, po czym urwał, by fuknąć gniewnie przez sflaczałe wargi, i od razu złamał własny zakaz, zwracając rozplomioną, pocętkowaną ciemnymi plamkami twarz w stronę Sida. – Chcecie się dowiedzieć o umieraniu i pogrzebach? Opowiem wam o umieraniu i pogrzebach. Za moich czasów... – prysnął śliną, zaciął się znowu i we wściekłej frustracji jał dźgać powietrze roztrzęsionym palcem, walcząc o oddech niezbędny do kontynuowania, i natychmiast ze wszystkich stron zaczęto mu podsuwać pod nos talerzyki z ciastem i ciasteczkami oraz dzbanuszki z kawą i herbatą, które on, młóćąc rękami, odpychał od siebie grzbietami obu dłoni, wydając przy tym dzikie, świszczące, nieartykułowane pomruki sprzeciwu – ...za moich czasów nie odsuwaliśmy ludzi od ich dzieci i ich wnuków, kiedy zaczynali się starzeć. Umierali w swoich domach i przy swoich rodzinach. Tak jak wasza matka. I jak matka waszej matki, która umarła w moim domu, i jak moja matka, która umarła w domu mojego brata Meyera, kiedy ją tu sprowadziliśmy. Dzisiaj nawet byście mnie tu nie sprowadzili, mam rację? Matka miała prawie dziewięćdziesiąt lat i nie widziała, a ręce i twarz trzęsły jej się jak galareta, ale trzymaliśmy ją u siebie aż do końca. Ludzie przyjeżdżali tutaj z tobołkami i spali na podłodze, dopóki nie znaleźli sobie jakiegoś kąta, i my też, w domu mojego brata Meyera. Ty i Rosie powinniście to pamiętać, gdybyście tylko chcieli, i może Esther. Przyjąłem też do siebie braci i siostry waszej matki, chociaż ich nie lubiłem. A kiedy zachorowali i byli umierający, nie wypychaliśmy ich do kondominiów i domów opieki. Trzymaliśmy się razem, nawet kiedy nie mogliśmy się nawzajem znieść. Ale synów sobie wychowałem. Dawniej, gdybym tylko zechciał, mogłem poprzetrzącać wam grzbiety klamrą od pasa albo wieszakiem na ubrania, ale tego nie zrobiłem. Teraz żałuję. Teraz przestawiacie mnie z kąta w kąt jak głupiego dzieciaka, który nie wie, o co wam chodzi, a ja wciąż jeszcze coś znacę. Mam własne pieniądze i mogę mieszkać, gdzie mi się podoba. Tylko moja córka Joannie z Kalifornii traktuje mnie z miłością i szacunkiem, póki jeszcze żyję. Dzwoni do mnie raz na miesiąc, nigdy nie zapomni. Już wiem, kiedy! – Jego głos przeszedł nagle w suchy, mściwy śmiech. – Jak będę *tojt, gesztorben*, wtedy wrócę na Florydę i możecie mi kupić kondominium, jak umrę i będę gotowy na *drejd*, i powiem wam, gdzie chcę, żebyście mnie pochowali, kiedy umrę, w kuchni pod stołem!

Stary urwał i łzy popłynęły mu z oczu, i Gold nie pamiętał, żeby widział kiedykolwiek bardziej przygnębioną grupę słuchaczy. Przed odczuwaniem czegoś w rodzaju wstydu czy

skruchy broniło go skryte podejrzenie, że jego ojciec sam nie doświadczał choćby iskierki uczuć, jakie skrzesał u innych, i nie musiał długo czekać na potwierdzenie swych przypuszczeń.

– Zawsze mówiłeś, że po przejściu na emeryturę chcesz się osiedlić na Florydzie – bąknął niepewnie Sid.

– A teraz nie chcę. *Ich fur niszt.* – Stary potoczył po nich wyzywająco złośliwym spojrzeniem. – Nie wrócę tam, dopóki nie będę chętny i gotowy, czyli być może nigdy.

– Przecież obiecałeś – przypomniała mu Harriet. – Dałeś nam słowo.

– I co z tego? – odparował ojciec Golda i przekrzywił na bok głowę, wybuchając tryumfalnym rechotem, który urwał się nagle, i w tym momencie Gold nie potrafił sobie wyobrazić bardziej przewrotnej czy może podłej istoty na ziemi. – Dlaczego ja muszę palić te liche, śmierdzące cygara? – poskarżył się Julius Gold z radosną wojowniczością. – Jeśli naprawdę tak mnie lubicie, to czemu nie kupiliście mi na moją rocznicę jakichś dobrych? I nie chcę więcej słuchać gadania o cmentarnych kwaterach, dosyć. Ten temat jest zamknięty.

– Mój ojciec – zaczęła macocha Golda z królewskim dostojeństwem, wzdychając głęboko i nie zaprzestając przebierania swoimi drutami – dał mi w prezencie ślubnym dużą i bardzo piękną kwaterę cmentarną. Ale piękne oczko mi wyszło, prawda? Czy nie śliczne? Popatrzcie tylko. Było tam miejsce dla nas ośmiorga i ja, w swojej dziecięcej niewinności, wierzyłam święcie, że wystarczy tego na całe życie. Och, jaka ja byłam wtedy młoda i niedoświadczona. Bo trzeba wam wiedzieć, że byłam kiedyś dziewczicą. Kiedy zmarł mój pierwszy mąż, znaczy ten prawdziwy mąż, nie on, to go tam oczywiście pochowano, na honorowym miejscu, a ja zaczęłam marzyć, jacy szczęśliwi będziemy, kiedy legnę obok niego. Czasami nie mogłam się tego wprost doczekać. Wkrótce potem dokonał żywota ojciec mojego męża, to znaczy mój teść, i zwyczajna przyzwoitość nakazała mi spełnić prośbę mojej teściowej, żeby położyć go obok jego pierwotnego syna, kiedy mi wyjaśniła, jak wiele będzie to dla obu znaczyło, chociaż za życia mieli ze sobą na pieńku. No cóż, ledwie tam spoczął, zmarła i ona i pomyślałam sobie, że nie da się inaczej, jak tylko położyć ją obok jej męża i mojego męża. Wiedziałam, że sama bym sobie tego życzyła, gdyby sytuacja była odwrotna. I tak, nim zdążyłam się obejrzeć, zajęte były już trzy moje miejsca, a ledwie złapałam oddech, Boże drogi, wyzionął ducha brat mojego męża. Zawsze był z niego rozrzutnik i nigdy mu się nie przelewało, a ponieważ nie zadbał o nabycie kawałka ziemi dla siebie i swoich najbliższych, i ponieważ tylu członków jego rodziny już tam leżało, pomyślałam, że okrutnie by było go odrzucić i posłać Bóg wie gdzie, żeby spędził resztę swoich dni z obcymi. Tak więc i jego przyjełam.

Potem umarła jego żona, mówili, że ze zgrzyoty albo na nerki, a zaraz po niej kobieta, z którą spotykał się potajemnie przez całe życie, zesza z miłości i tęsknoty albo z przepicia – jej lekarz powiedział nam w zawodowym sekrecie, że często nie da się stwierdzić różnicy pomiędzy spustoszeniami, jakie czynią w narządach wewnętrznych głęboka miłość i tania whisky – i nie było jej gdzie pochować. Ją też przyjełam na swoją kwaterę, chociaż do dzisiaj mam wątpliwości, czy to wypada, żeby wszyscy troje leżeli, że tak powiem, w tym samym łożu, chociaż trudno to raczej nazwać łożem rozkoszy, prawda? Z nią było już sześcioro. Skąd wzięła się tam siódma osoba, nie wiem i nie udało mi się nawet ustalić, kto to taki, ale ktoś tam leży – co do tego nie ma żadnych wątpliwości – a więc zostało miejsce jeszcze tylko dla jednego nieboszczyka, Julius, czyli dla mnie, i dlatego próbuję się dowiedzieć, gdzie chcesz leżeć. Jeśli bardziej wolisz położyć się przy mnie niż przy swojej pierwszej żonie, to na pewno znajdziemy dla ciebie jakieś śliczne miejsce gdzieś w pobliżu, może nawet mały kawałek spacerkiem od mojego, ale musimy zacząć szukać już teraz. Mając cię blisko byłabym szczęśliwa, bo nie wiem, jak będę się czuła w otoczeniu tylu powinowatych i jednej osoby, której wcale nie znam. Proszę cię, zdecyduj się i powiedz mi, póki jeszcze czas. Czy

któryś z twoich słodkich dzieciaczków mógłby mi przynieść czystą szklanę wody? Zaszło mi w gardle od mówienia i jeśli mam kontynuować, muszę wziąć maleńki łyżeczek.

Gdyby konstrukcja ścian była mniej solidna, przepychanka, do której doszło w wąskich drzwiach jadalni, mogłaby się zakończyć zdemolowaniem domu. Gold przemknął jak błyskawica przez kuchnię i zatrzymał się dopiero przy barku obok Maxa, który musiał przymrużyć oczy, żeby go zidentyfikować. Max, przy swojej cukrzycy, w ogóle nie powinien brać alkoholu do ust. Burchle pod smutnymi oczami podchodziły mu fioletem i biło od niego apatią oraz przygnębieniem człowieka, który dał już za wygraną.

– Jak leci, Max? – spytał subtelnie Gold.

– Świetnie, świetnie, Bruce, bardzo dobrze, dobrze – powiedział Max. – Chyba jednak nie za dobrze. Norma zerwała w San Francisco z tym swoim facetem i chce wziąć sobie jeszcze pół roku wolnego, a potem wrócić na uczelnię, żeby zrobić wreszcie dyplom. Tydzień czy miesiąc temu wpadła do Los Angeles i jadła lunch lub kolację z Joannie. Chyba się pokłóciły albo posprzeczwały. Norma mówi, że Joannie była dla niej bardzo przykra.

– To niepodobne do Joannie.

– Być może Norma znajdowała się w drażliwym nastroju. – Max przestąpił nerwowo z nogi na nogę. – Znowu widzieliśmy w gazecie twoje nazwisko, Bruce. Rose pokazała je wszystkim w swoim biurze. Gdyby taryfy pocztowe poszły w górę, to może daliby nam naprawdę odczuwalną podwyżkę, nie uważasz? – spytał ten smutny, schorowany mężczyzna o ziemistej cerze, który z drugą lokatą w stanie zdał egzamin komisji kwalifikacyjnej Służb Publicznych dla kandydatów do pracy w Departamencie Poczty i potem przez cały dzień chodził dumny ze wzmianki o sobie i swojego zdjęcia, zamieszczonych w brooklyńskim dziale nowojorskiego *Sunday News*. – Nie sądzisz, że by się nam należała? – Kiedyś dawał Goldowi dziesięciocentówki. – Sympatyczne przyjęcie, prawda?

Przyjęcie było przygnębiające. Muriel była despotyczną gospodynią i przez cały wieczór wyklócała się z Idą, Gold schronił się więc w jednym z wielu telewizyjnych pokojów, w jakie obfitował dom. Ręce mu opadły, kiedy weszła tam za nim córka Muriel spytać, czy nie zgodziłby się wygłosić odczytu w jej szkole średniej.

– Moja nauczycielka nie bardzo się orientuje, czym się zajmujesz, ale uważa, że wszyscy cię z zainteresowaniem wysłuchają.

– Powiedz jej, proszę, Cheray, że aktualnie nie wygłaszam żadnych odczytów – odparł taktownie Gold.

Starsza z dwóch dziewcząt, Simone, jeszcze przed kolacją ubrała się krzykliwie i wyszła na telewizję do koleżanki mieszkającej po drugiej stronie ulicy, z którą razem się odchudzały.

– Tobie też się podoba ta nowa torebka Simone, wujku Bruce? – spytała go teraz młodsza z piskliwym, troszeczkę debilnym, nerwowym chichotem. – Mamusia kupiła mi taką samą, ale nie chce, żeby tatuś się dowiedział, więc proszę cię, nie mów mu. A może do tych butów lepiej pasuje ta druga?

– Spytaj lepiej ciotki Rose albo ciotki Esther – odburknął Gold po dłuższej chwili milczenia. Z niechęcią obserwował, jak Muriel wpaja córkom lekceważący stosunek do ojca, i było mu żal Victora. Obie dziewczyny, podobnie jak Muriel, malowały się mocno i nosiły wielkie pierścionki na palcach oraz mnóstwo cieniutkich bransoletek na obu rękach. – One lepiej się na tym znają i na pewno chętnie ci doradzą.

– Są stare. – Dziewczyna skrzywiła się z niesmakiem. – Lepiej posiedzę z tobą, to może się czegoś nauczę. Ty jesteś młody. Mamusia nie lubi cioci Joannie. Nie widzieliśmy jej od lat.

– Mimo wszystko powinnaś z nimi porozmawiać, Cheray – powiedział z umiarkowanym naciskiem Gold. – I z dziadkiem też. Wszyscy oni bardzo cię kochają. I naprawdę nie powinnaś sobie stroić żartów z ojca, zwłaszcza przy ludziach. To wspaniały człowiek.

Cheray zbyła jego słowa lekceważącym machnięciem ręki.

– Pewnie nawet mnie nie zauważył. Czy do tych butów i bluzki pasuje ta spódniczka, czy może ta druga, wujku Bruce? Mamusia lubi, jak ładnie wyglądamy, kiedy idziemy gdzieś z nią i z jej znajomymi. – Miała denerwujący zwyczaj zasłaniania sobie ust dłonią i chichotania, zanim wydusiła z siebie wreszcie coś, co uważała za niezwykle interesujące. – Ostatnio często wychodzę z nią i z Simone w soboty. Czasami zabierają mnie nawet na tor wyścigów konnych, ale mamusia nie chce, żeby tatuś się o tym dowiedział, a więc proszę cię, nie mów mu. Zna mnóstwo mężczyzn i kobiet o wiele ciekawszych od tatusia, ale nie chce, żeby on się o tym dowiedział, a więc proszę, nie mów mu. Dokąd idziesz?

Gold wyjaśnił, że wraca do reszty rodziny, i oddalił się niespiesznie z niewyraźnym uśmiechem na wargach i posepnym przecuciem, że wielkimi krokami zbliża się dzień, kiedy na ławą prośbę Victora będzie zmuszony objaśnić mu na przykładzie Muriel różnicę pomiędzy latawicą a kurwą i wytłumaczyć obrazowo, jak można być jedną, nie będąc jednocześnie drugą. A nic nie rozumiejący Victor będzie go błagał, żeby postarał się przemówić jej do rozsądku i ratował jego małżeństwo, jego dzieci i jego dom. Gold dawno już zauważył, że dobijająca pięćdziesiątego drugiego roku życia Muriel zaczyna się zachowywać zupełnie jak Joannie w wieku osiemnastu lat, i że na dnie nieprzejednanej wrogości, jaką wciąż żywi w stosunku do młodszej siostry, kryje się nie potępienie, lecz zazdrość.

Perspektywa, jaka roztoczyła się przed oczami Golda w dużym pokoju gościnnym, nie należała do zachęcających. Ida z Muriel spierały się wciąż zażarcie o nagrody Akademii, ojciec zaś siedział przed telewizorem przygarbiony niczym nie dopity wampir i wydając barbarzyńskie pomruki pod adresem gigantycznego ekranu kręcił zawzięcie gałką przełącznika kanałów, przeskakując ze stacji na stację w daremnym polowaniu na stare filmy ze zmarłymi wykonawcami, z którymi był za pan brat.

– Gdzieś ty się szwendał?

Gburowatość tego pytania bardzo zdenerwowała Golda.

– Trochę bolała mnie głowa.

– Gdzie?

– A to dobre – ucieszyła się macocha Golda.

Gold, nie poruszając ustami, przeklął szpetnie tę drobną dystyngowaną kobietę. W drugim kącie pokoju dojrzało chyba coś groźniejszego i Gold zmartwiało podsłuchawszy, jak Esther, Rose i Harriet podjudzają Belle, żeby towarzyszyła mu w każdej podróży do Waszyngtonu. W tym momencie, ale tylko przez jakiś ułamek sekundy, już wiedział, jak to jest, kiedy mózg się lasuje, i mógłby precyzyjnie zdefiniować ten termin Ralphowi.

– Kobieta powinna być zawsze tam, gdzie jej mąż – mówiła Esther z drżeniem w głosie.

– Choćby po to, żeby go mieć cały czas na oku – podkreśliła zdradziecko Harriet.

– Nie podoba mi się tam – odparła wymijająco Belle. – Waszyngton to strefa wysokiej przestępczości.

– Nowy Jork też.

– Do naszej wysokiej przestępczości już się przyzwyczałam. Tam nikogo nie znam.

– Bruce przedstawi cię wszystkim swoim znajomym – wtrąciła Rose.

Gold uznał, że najwyższa pora dyskretnie zainterweniować.

– Jeśli nie chce tam jeździć, to naprawdę nie powinniście jej do tego zmuszać.

– Widzicie, jak on mnie tam chce? – odcięła się kąśliwie Belle w jednym z nieczęstych u niej przypliwów przekory. Kobiety westchnęły zgodnie, a zakłopotana Belle odwróciła wzrok od ich współczujących twarzy.

– Poza tym – dorzucił Gold w przeblysku geniuszu, wybuchając fałszywym śmiechem – muszę najpierw lecieć do Meksyku. Tak. Z tajną misją kulturalną.

– Do Meksyku? – Sidowi jakby łuski opadły z oczu. Wyprostował się w fotelu i wlepił w Golda ożywione, pełne zainteresowania spojrzenie. – Do Mexico City?

– Do Acapulco.

– Do Acapulco? – Słowo to zabrzmiało w ustach Harriet jak warknięcie. – A co jest w Acapulco?

– Acapulco – odparł Gold pedanteryjnym barytonem – przeistacza się błyskawicznie w nowe ogólnokrajowe centrum kulturalne. Ale zadanie, jakie mam tam do spełnienia, objęte jest tajemnicą służbową i nie mogę o nim rozmawiać.

– W takim razie porozmawiajmy o czym innym – zaproponował Sid, jakby przychodząc mu skwapliwie w sukurs, i Gold poczuł ogromną ulgę. – Porozmawiajmy o geologii. Czy te sępy są w końcu ślepe, czy nie?

Gold nie byłby bliższy płaczu nawet po zainkasowaniu kopniaka w krocze. Jego odpowiedzi nie można było raczej uznać za powściągliwą.

– Sid – zaczął z pasją, której nic na świecie nie byłoby w stanie zatamować – została nam już garstka świąt, a do tego mamy tylko sześć rodzin, które chcą je urządzać u siebie, tak więc za mało przed nami posiłków, żeby teraz zaczynać. Mamy Boże Narodzenie i Dzień Dziękczynienia, dwa wieczory Paschy, może jeszcze Rosz Haszana i Purim, i czasami Wielkanoc, czasami Nowy Rok, i od czasu do czasu jakieś niedzielne przyjęcie urodzinowe czy rocznicowe, i to w zasadzie wszystko, jeśli nie liczyć ślubów, pogrzebów i bardzo niewielu, dzięki Bogu, uroczystości *bar micwy*, jakie nas jeszcze czekają. Robisz to za każdym razem, prawda? Teraz znowu zaczynasz, Sid, znowu, ty tłusty, rozlazły, przekarmiony, leniwy, uśmiechający się głupio skurczybyku...

– Victor! Zabij go! Rujnuje mi całe przyjęcie!

– ...i ta rodzina...

– Zostawcie go w spokoju! – pisnęła Belle.

– ...i ta rodzina, ty imbecyłowaty stary kutasie, może już nigdy nie zasiąść w tym składzie do kolacji, ty obleśny, podstępny, zawistny palancie.

– Ja go zabiję! – zagrział ojciec z patriarchalną władczą ścianą, rozmasowując sobie staw biodrowy, w którym strzyknęło mu przed chwilą, kiedy zbyt gwałtownie zrywał się z krzesła. – Niech mnie jakichś dwoje do niego podprowadzi.

– Muriel, Muriel – błagał Gold składając ręce jak do modlitwy. – Przepraszam, że rujnuję ci przyjęcie, ale czy ty nie rozumiesz, co on wyprawia? Ciebie też nigdy nie lubił. Robi mi to przez całe życie. Przez zazdrość. Ida, wytłumacz jej – zwrócił się płaczliwie do drugiej z siostr i krzywiąc się anulował natychmiast tę prośbę, bo dotarło doń, że z dyplomatycznego punktu widzenia wybiera sobie najgorszego z możliwych adwokata. – To nie geologia, Muriel, a sępy nie są ślepe! Niedługo będzie mnie podpuszczał trzyczłonowymi zdaniem naszpikowanymi dezinformacją, a ja nie będę w stanie się bronić – zakończył ze szlochem.

– Przyznaję, to nie geologia – odezwał się Sid. – Próbowałem tylko wyświadczyć przysługę mojemu młodszemu braciszкови i zmienić temat.

– Przestań mnie traktować jak smarkacza, do jasnej cholery – wybuchnął Gold i poszedł brutalnie za ciosem z zamiarem dołożenia Sidowi i uświadomienia innym raz na zawsze jego ignorancji. – No dobra, mądralo, zaraz sprawdzimy twoje wiadomości. Przedsiębiorcy pogrzebowi! – usłyszał własny lekko szalony okrzyk. – Gdzie się chowają? Dlaczego żadnego nie znamy? Jak to się dzieje, że nigdy nie spotykamy nikogo, kto by jakiegoś znał? Ryba. Czy łososie i tuńczyki są gotowane przed wepchnięciem do puszki, czy po? No?

– To one są gotowane? – spytał ojciec.

– A co, surowe? – odbił piłeczkę Gold.

– Ty nam powiedz. To ciebie posłaliśmy do college'u.

– To nie jest nauka – pogardliwie poinformowała Golda Harriet.

– Pewnie. – Ojciec Golda spokojnie odwijał cygaro z celofanu. – Spytaj go o gorąco i zimno.

– Co to jest ciepło? – warknął Gold do Sida.

- Brak zimna.
- A co to jest zimno?
- Brak ciepła.
- To bez sensu. Jedna z odpowiedzi jest błędna.
- Która?
- Dla mnie to ma sens – odezwał się Irv. Inni też pokiwali głowami.
- Ja lubię rozmawiać o sprawach aktualnych – powiedział ojciec Golda, zapalając majestatycznie zapałkę.
- Gold nie dał się zbić z pantafyku.
- Dlaczego zapałka gaśnie, kiedy na nią dmuchnąć?
- Bo oddmuchujesz od niej rozgrzane gazy – odparł Sid – które podtrzymują wysoką temperaturę i pozwalają się zapałce palić.
- To dlaczego polano pali się jaśniejszym płomieniem, kiedy dmuchasz na żar?
- Bo ciepło jest w żarze, mały, nie w gazach. Rozgrzane gazy powstają wtedy, kiedy dmuchasz na żar tlenem.
- Dlaczego woda zwiększa objętość, kiedy zamarza, podczas gdy wszystko inne kurczy się w wyniku oziębiania?
- Wcale nie zwiększa objętości – uśmiechnął się Sid.
- Nie?
- Nie.
- Ty przekłety głupku – wycedził z pogardą Gold. – Widziałeś kiedyś kostki lodu w pojemniczku? Woda się rozszerza, prawda?
- To już nie jest woda, mały. To lód.
- To dlaczego lód się rozszerza?
- Nie rozszerza się. To pojemniczek robi się mniejszy. W ujemnych temperaturach metal się kurczy. Powinieneś to wiedzieć.
- Dlaczego woda nie kurczy się w ujemnych temperaturach? – głos Golda narósł do krzyku.
- Bo staje się lodem.
- A dlaczego lód nie robi się mniejszy?
- Mniejszy niż co?
- Niż był wcześniej.
- Wcześniej nie był lodem, Bruce. Był wodą.
- No nie, z tobą się nie da dyskutować. Dlaczego ludzki żołądek nie trawi sam siebie?
- Trawi – odparł Sid nie gubiąc tempa.
- Trawi?
- Ale kiedy zacznie, to nie jest już całym żołądkiem i musi przerwać do czasu, kiedy się zregeneruje, żeby zacząć od nowa.
- Idź w cholerę – warknął Gold. I zaraz potem, pod wpływem impulsu, zaproponował Sidowi, żeby w poniedziałek zjedli razem lunch. – Jestem ci go winien – powiedział.
- Przełożmy to na wtorek, stary. – Sid trzymał Golda za ramię i ściskając znacząco odciągał od reszty w stronę barku. – W poniedziałek jestem umówiony z Joannie.

- Po raz ostatni upokorzyłeś mnie na oczach całej rodziny – przerwała w końcu milczenie Belle, kiedy wracali taksówką na Manhattan.
- Za każdym razem, kiedy cię upokorzę – odparł obojętnie Gold – mówisz, że to już ostatni raz. W jakim sensie cię upokorzyłem?
- Swoim wulgarnym językiem. Wiesz, jak tego nie cierpię. I dlaczego musisz wciąż wszczynać te awantury z Sidem?

– To ten skubaniec zawsze zaczyna, Belle, i ty dobrze o tym wiesz. Jesteś zła po prostu dlatego, że być może przeprowadzę się do Waszyngtonu, zgadłem?

– Możesz robić, co ci się podoba z tym swoim Waszyngtonem. Zresztą nie rzucę pracy w środku roku szkolnego.

Gold cały czas na to liczył.

– Mogę co weekend przyjeżdżać do domu. Mnóstwo senatorów i reprezentantów tak robi. Okay?

– Jeśli dla ciebie okay, to i dla mnie okay – odburknęła Belle. – Tak jak ze wszystkim innym.

– Wcale nie jak ze wszystkim innym – zaproponował Gold. – Lubisz sobie wmawiać, że ja zawsze stawiam na swoim, prawda?

– No to nie jak ze wszystkim innym! – wrzasnęła Belle wzruszając ramionami. – Rób, co chcesz.

– Kiedy wyjadę, nawet tego nie zauważysz.

– Nie zauważę nawet, kiedy wrócisz.

– Skoro jesteś w takim nastroju – powiedział Gold – to chyba lepiej prześpię się w moim studio. Zmyśl jakąś wiarygodną historyjkę dla Diny.

– A niby po co?

– Żeby sobie nie pomyślała, że się pokłóciliśmy, i nie straciła poczucia bezpieczeństwa.

– Dina mówi, że opuściła mnie już parę tygodni temu, ale jesteś za leniwy, żeby się przeprowadzić, i zbyt wyrachowany, żeby to powiedzieć, i że prawdopodobnie myślisz już o zwróceniu się w tajemnicy do prawnika w sprawie przeprowadzenia rozwodu.

Gold spędził tę noc w domu, wybiegając myślą do wtorkowego lunchu, podczas którego zamierzał skonsultować się z Sidem w sprawie swego wyjazdu z Andream do Acapulco.

Ale najpierw była niewesoła rozmowa przy drinku z Joannie, która przyznała, że była w Los Angeles przykra dla córki Rose i Maxa.

– Wącha kokainę i łyka prochy, a jeśli chodzi o nie swoje pieniądze, jest jak gąbka – powiedziała. – Na miłość boską, Norma jest już po trzydziestce, a wciąż jeszcze myśli, że przysługują jej prawa nastolatki. Nienawidzę nałogowców każdego rodzaju. Ciągłe czegoś chcą. – Zamilkła na chwilę przygnębiona, błędząc gdzieś myślami, a potem przyznała, że znajdują się z Jerrym u progu separacji. – Przez wszystkie te lata myślałam, że robię mu łaskę... taki z niego nudny snob... a teraz to on chce, żebym odeszła. Nie da mi tyle pieniędzy, żebym mogła żyć dalej dostatnio, a inaczej żyć nie potrafię.

Gold zdawał sobie sprawę, że nie jest zbyt dobry w pocieszaniu. Z konsternacją stwierdzał, że Joannie nie jest już piękna. Chociaż zachowała przyciągającą oko zgrabną figurę, jej opalona na brąz skóra zrobiła się ni stąd, ni zowąd sucha jak papier ścierny, usta się zwężyły, oczy miała niespokojne, tak jak on, a ściągniętą twarz postarzały wyraźne zmarszczki. Gold zamówił sobie jeszcze jedną szkocką, a Joannie tym razem kawę. Nazajutrz miała lecieć do Palm Beach do przyjaciela – starszego, złożonego chorobą mężczyzny, którego lubiła i który w czasach jej młodości, kiedy uciekła z domu, żeby zostać słynną królową piękności albo gwiazdą filmową, był jej bliski i bardzo przyzwoicie się wobec niej zachowywał. Planowała też odwiedzić córkę szewca z Coney Island, która z nią wówczas wyjechała, a teraz mieszkała w Key Biscayne i była w jakiś bliżej nieokreślony sposób związana z bogatym mężczyzną, właścicielem łodzi mieszkalnej, gdzie odbywały się szczególnego rodzaju sybaryckie przyjęcia, i do Golda, kiedy to usłyszał, zaczęło docierać, że Joannie może nie zawsze mówiła mu o sobie całą prawdę.

– Co na to Sid?

– Sid obiecał mi tyle, ile potrzebuję na najlepszych kalifornijskich prawników, ale o więcej nie mogę go przecież prosić, prawda? A co u ciebie?

– W jakim sensie? – Gold wołał nie ryzykować i z duszą na ramieniu spojrzął w oczy Joannie, próbując wyczytać z nich intencję, w jakiej zadała to pytanie.

– Jak twoja książka i co z tą pracą w Waszyngtonie? – sprecyzowała i dorzuciła z gorzką ironią: – Gdyby zaproponowali ci jakieś dobre stanowisko, Jerry pozwoliłby mi może zostać.

– Jedno i drugie jest w stanie zawieszenia – przyznał ponuro. Jej urok sypał się w gruzy na jego oczach, a nieatrakcyjne ślady erozji na jej twarzy i w duszy wypełniły go czymś w rodzaju rozczarowania. – Jeśli zostaną powołany na to stanowisko, zrezygnuję z pisania książki. Jeśli nie, to chyba będę musiał ją napisać.

– A chcesz?

– Powiniennem chcieć – odparł Gold, wzruszając niecierpliwie ramionami. – I mogłyby mi w tym pomóc czyjeś stymulujące informacje. Bóg mi świadkiem, że mnie samemu nic jakoś nie przychodzi do głowy. Czy mamusia rozmawiała z tobą kiedykolwiek o seksie? – Udało mu się rozśmieszyć tym Joannie. – Pytam poważnie. Co kobieta z Rosji, która nigdy nie nauczyła się angielskiego, mówi dorastającym tu, w Ameryce córkom o pociągu seksualnym, pettingu, bzykaniu, zasadach moralnych? Co tobie powiedziała?

– Bruce, jestem młodsza od ciebie. Ledwie ją pamiętam. Spytaj innych.

Teraz Gold parsknął śmiechem.

– Miałbym pytać o takie coś Rose albo Esther? Albo Idę? Muriel puszcza się ostatnio na prawo i lewo, jakby dopiero teraz odkryła zdradę małżeńską i próbowała nadgonić stracony czas, i chyba nic sobie nie robi z tego, że Victor może się dowiedzieć. Podejrzewam, że będą z tego kłopoty.

– Belle jest jakaś przygnębiona – zauważyła neutralnie Joannie.

– Martwi się o swoją matkę – odparł Gold bez zmrużenia oka i zrećnie ominął tę niebezpieczną rafę. – Nie potrafię rozgryźć tych ludzi, Joannie, mamy i taty...

– Toni.

– Może skończymy wreszcie z tym gównianym przekomarzaniem?

Opierała się tylko przez chwilę, a potem skapitulowała, kiwając ze smutkiem i niechęcią głową.

– Niech ci będzie Joannie.

– Wyobraź sobie tych starych ludzi, jak ponad sześćdziesiąt lat temu...

– Nie byli wtedy tacy starzy.

– ...wyruszają w świat z zabitej dechami miejsciny w Rosji i docierają aż tutaj. Jak im się to udało? Wiedzieli, że nie ma dla nich powrotu. Ja nigdzie się nie ruszam, nie zarezerwowaawszy sobie wcześniej hotelu, i wystarczy, żebym dwa dni pobyl poza domem, a już nie mogę się doliczyć garderoby albo walizek, nie mówiąc o kłopotach z odwoływaniem połączeń lotniczych. Zresztą sama podróżujesz, prawda? Wyobrażasz ich sobie?

– Podróżuję zawsze z kartą kredytową – przyznała Joannie. – I korzystam z usług agenta z biura podróży Jerry'ego.

– Bez tego nigdzie bym się nie ruszył – oświadczył Gold trochę zaskoczony własną żarliwością. – Ale oni nie mieli ani kart kredytowych, ani agentów. Kto im doradził? Skąd wiedzieli, dokąd jechać? Gdzie spali? Ta podróż musiała im zająć więcej czasu niż Kolumbowi. Co myśleli i o czym rozmawiali, co jedli? Byli tylko parą dzieciaków. A nie zapominaj, że mieli już Sida, a Rose była jeszcze niemowlęciem.

– Spytaj tatę – poradziła Joannie.

– Tatę – powtórzył z desperacją Gold. – Nie odpowiedziałby mi. Nie przypomniałby sobie, nawet gdyby chciał, a gdyby mi odpowiedział, nie uwierzyłbym mu. W zeszłym tygodniu nazwał siebie rodowitym Amerykaninem, chociaż wcale nie wie, co to znaczy. Tylko patrzeć, jak zacznie twierdzić, że nie jest Żydem.

– Tata tego nie robi – oznajmiła stanowczo Joannie. – Ty i ja być może. Ale nie on.

– Nie mogę zrozumieć, dlaczego więcej nie rozmawiałem z matką – powiedział Gold. Ciekawość wprawiała go w refleksyjny nastrój. Pochylił się nad stolikiem i podparł ręką pod brodę. – Do dzisiaj nie wiem, na co umarła, Joannie, i boję się dowiedzieć. – Mdlilo go od własnej cikliwości, mimo to ciągnął: – Teraz rozumiem, co to znaczy. Nie zdawałem sobie nawet sprawy, że nie wiem, dopóki nie postanowiłem wykupić polisy ubezpieczeniowej na życie, i tam mnie o to nie zapytali. Powiedziałem im, że na raka tarczycy, bo pamiętam, że szyję miała wciąż owiniętą jakimś bandażem, ale tak naprawdę to nie mam zielonego pojęcia. Myślę o tym tylko wtedy, kiedy rozmawiam z tobą, a ty również nie chcesz się dowiedzieć.

– Spytaj Sida – poradziła mu Joannie. – Założę się, że on dużo pamięta.

– Sid – powtórzył Gold z grymasem sprzed minuty i patrząc na siostrę nie widzącym wzrokiem dodał: – Sid, żeby się waliło i paliło, przed nikim się nie otworzy. Potrafi tylko robić ze mnie idiotę na rodzinnych przyjęciach. Mam już tego po dziurki w nosie. Jeśli nie przestanie, to go kiedyś zabiję.

– Jemu się wydaje, że to zabawne – powiedziała Joannie. – Myśli, że ty też się dobrze bawisz.

– Powiedz mu, że to wcale nie jest zabawne i że obaj jesteśmy już za starzy na takie wygłupy.

– Sid naprawdę jest z ciebie dumny, Bruce – powiedziała Joannie. – Wciąż jeszcze w pewnym sensie opiekuje się nami, chociaż Harriet krew zalewa, kiedy widzi, jak pomaga nam finansowo. Czuje się z nami bardzo blisko związany. Oni wszyscy tak się czują.

– Ale my nie czujemy się związani z nimi.

– I to jest właśnie najdziwniejsze – przyznała Joannie z nieodgadnioną melancholią w oczach. – Uważają nas za bardzo bliską rodzinę. Byliby mocno urażeni, gdyby nas teraz usłyszeli. Nawet ty i ja nie czujemy się już sobie tacy bliscy, prawda? Och, Bruce, co ja mam, do cholery, począć? Dobrze wiem, że nie znajdę już sobie drugiego męża, a nigdy nie chciałam żyć sama. Lepiej już mieć takiego Jerry'ego i drzeć z nim koty, niż żadnego, prawda? Nie chcę zasilić armii tych niezdarnych kilkudziesięciolatek, którzy chodzą na tenisa, bo nie mają nic innego do roboty. – Przymrużyła na wszelki wypadek oczy i zamilkła, przetykając z trudem ślinę. Gold nawet nie próbował jej pocieszyć. – Boże! – wykrzyknęła z cynicznym humorem, pozbierawszy się na tyle, by kontynuować – już siebie widzę. Możesz to dołączyć do moich żydowskich doświadczeń. Jestem przekonana, że skończę żyjąc na kocią łapę z jakimś smarkaczem motocyklistą, który gra na banjo i chce zostać aktorem. O Jezus, znowu będę jarać skręty z ćpunami?

Gold zdążył tymczasem wycofać się chyłkiem do cytadeli nieingerencji, w której krył się odruchowo, ilekroć zagrażało mu mieszanie się w osobiste sprawy innych. Niech Sid się tym zajmie, zdecydował w duchu, wymieniając ze swoją ulubioną siostrą przelotny pożegnalny pocałunek. Czuli się oboje ogromnie skrepowani. Sid potrafi zająć się nimi wszystkimi – Joannie, Muriel i Victorem, przygotowaniami do śmierci i pogrzebu ojca. Pomyśleć tylko, jak okropnie by było, gdyby Sid umarł pierwszy i wszystko to spadło na jego głowę. Taki nie dający się ogarnąć umysłem obrót spraw rodził zbyt wiele implikacji, by Gold potrafił go rozważać na spokojnie. Zakręciło mu się w głowie. Stał przez chwilę oparty o skrzynkę pocztową, wymiatając umysł ze wszystkich śladów tej strasznej możliwości, i dopiero uporawszy się z tym ruszył pieszo trotuarem do swojego studio, by sprawdzić w automatycznej sekretarce, czy ktoś do niego nie dzwonił.

Nie miał bynajmniej złudzeń co do swojej natury i zdawał sobie sprawę z płonności nadziei, że charakter mu się poprawi. Kiedy przed dwoma laty zmarł Mendy i Esther została wdową, obojętność, z jaką odnosił się do niej Gold jako do starszej siostry, przerodziła się natychmiast w zjeżoną postawę czujnej nieufności i niechęci. Spodziewał się, że lada chwila czepną się go o taką czy inną pomoc. Nie czepnęli się. Wkrótce potem dopadły go wyrzuty sumienia, bo dostrzegł u Harriet powolne przechodzenie od siostrzanych uczuć, jakimi

darzyła wszystkich od przeszło trzydziestu lat, do skąpczej rezerwy, która zaczęła przenikać jej stosunki z całą rodziną Sida. Ona też obawiała się, że *zaczną* się jej czepiać, i uprzedzając fakty podjęła środki mające na celu zminimalizowanie strat.

Ceremonia pogrzebowa Mendy'ego była ostatnią, w jakiej Gold uczestniczył. Tylko nieliczna garstka osób z tłumu wypełniającego szczelnie żydowski dom pogrzebowy w Brooklynie pofatygowała się na Long Island, by osobiście asystować przy złożeniu ciała do mogiły. Stojąc w zadumie pomiędzy rzeźbionymi nagrobkami Gold doszedł do wniosku, że jeszcze mniej osób przyjdzie na cmentarz na jego pogrzeb. Potem przypomniał sobie, że w swojej ostatniej woli pozostawił instrukcje przeprowadzenia kremacji bez żadnej ceremonii czy akademii żałobnej. Następnie przypomniał sobie, że zapisał również wszystkie swoje organy i tkanki do wykorzystania medycznego i do badań naukowych. Na pogrzebie Mendy'ego zakonotował sobie w pamięci, że musi skorygować swoją ostatnią wolę. Teraz przypomniał sobie, że zapomniał to zrobić. I przypomniał sobie również, że to bez różnicy. Ostatnim rozdziałem jego żydowskich doświadczeń będzie zakopanie go do ziemi tak cholernie szybko, że nikt nie zdąży znaleźć i przeczytać jego ostatniej woli.

Sid siedział już przy barze i powitał podchodzącego Golda z różową wylewnością charakterystyczną dla stanu lekkiego zamroczenia alkoholowego.

– *Gites* restauracja, mały. Wydaje mi się, że widziałem tu już paru aktorów telewizyjnych i prezenterów z dziennika. A jakie dziewczyny!

Gold widział tylko opuszczających właśnie lokal Pomoroya i Liebermana. Pomoroy przystanął, ale zorientowawszy się, że Gold jest w towarzystwie Sida, zachował taktowne milczenie. Lieberman zaś skręcił na nich bez wahania niczym buldożer i za pomocą łokci utorował sobie między nimi drogę do baru, strącając przy tym popielniczkę na podłogę i jednocześnie z atawistycznym wyczuciem neandertalskiego głodnego człowieka trafiając na oślepiętą łapą o krótkich paluchach w sam środek miseczki z suszonymi orzeszkami.

– Porządnie mi się obrywa. – Pluń naokoło przeżutymi orzeszkami mówiąc i napychał sobie usta nowymi, przestając mówić. – Za ten twój artykuł. Wydawało mi się, że to konwencjonalny, bezpieczny, inteligentny, ortodoksyjny neokonserwatyzm. Ale czytelnicy zarzucają mi, że to nihilizm i negacja.

Gold przyłożył otwartą dłoń do twarzy Liebermana i stanowczo odepchnął go od baru.

– Mój brat Sid. A to Maxwell Lieberman. Może pamiętacie się nawzajem z Coney Island.

– Mów mi Skoczek. Naprawdę uważasz, że nic, co ktokolwiek, nawet my, robi, nie wychodzi tak, jak to zaplanowano?

– Naprawdę – odparł dobrodusznie Sid, podczas gdy Gold formułował jeszcze w myślach jakąś inteligentną odpowiedź.

– Hmm, tak, nie rozumiem, czemu wszyscy podnoszą wokół tego taki szum – powiedział Lieberman. – To liberalizm czy konserwatyzm?

– Jedno i drugie – powiedział Sid.

– Sid – wtrącił się Gold – dlaczego nie dopuszczasz mnie do głosu?

– Bo ty nigdy nie możesz się zdecydować, mały – odparł wesoło Sid. – Nawet kiedy był dzieckiem, zawsze podejmowałem za niego wszystkie decyzje – zwrócił się do Liebermana.

– Twierdzicie – powiedział do nich obu Lieberman tonem zręczliwego skąpca – że każda próba poprawy sytuacji politycznej czy społecznej kończy się niepowodzeniem?

– Bzdura – prychnął Sid.

– Sid!

– On wcale tego nie twierdzi – ciągnął Sid z kpiarskim zaangażowaniem. – On powiedział tylko, że te próby nie wychodzą.

– Industrializacja? Ruch robotniczy? Integracja? Konstytucja? Demokracja, komunizm, faszyzm? Oświata powszechna? Wolny rynek? – Lieberman zwracał się teraz tylko do Sida. – Utrzymujesz, że nic z tego nie wyszło?

– Tak, jak zostało zaplanowane – uściślił Sid.

– Pod żadnym względem?

– Spytaj jego – Sid wskazał kciukiem na Golda. – On to napisał.

– Czytałeś tekst?

– Nie – przyznał Sid. – Mnie do tego nie mieszajcie.

– No to jak z tym w końcu jest? – zwrócił się Lieberman do Golda tonem prowokującym do polemiki. – Naprawdę utrzymujesz, że każda podejmowana przez kogokolwiek akcja, mająca na celu poprawienie czegokolwiek, jest z góry skazana na niepowodzenie?

– Tego nie powiedziałem.

– On powiedział, że nic z tego nie wyjdzie.

– Sid!

– A co to za różnica?

– Ogromna – powiedział Sid.

– Ogromna?

– Różnica.

W tym momencie Goldowi przypomniało się, że nie lubi Liebermana, i od razu zachwyciła go swoboda, z jaką kpi sobie z niego jego starszy brat. W oczach Pomoroya tlił się znajomy ognek zatroskanego pesymizmu i Gold zapytał go ze współczuciem:

– Jak leci?

– Pomalutku – przyznał Pomoroy pogrzebowym tonem, zupełnie jakby zwierzał się, że cierpi na złośliwy nowotwór serca.

– Przykro mi to słyszeć. – powiedział z żalem Gold.

– Mogłoby chyba być gorzej.

– Mogłoby być fatalnie – podchwycił Gold. – Mógłbyś pewnego dnia zostać prezesem swojej firmy i utknąć na tym stanowisku już do końca swoich dni.

– Ugryź się w język.

– A gdzie chciałbyś je spędzić?

– Odgryź go sobie całkiem.

– Coś wam powiem – oznajmił z wyższością Sid regulując rachunek, zanim Gold zdążył się z powrotem do niego odwrócić. – Każda akcja na rzecz poprawy sytuacji społecznej w jakimś kierunku wywołuje reakcję równą co do siły i przeciwną co do kierunku. Dobrze mówię, mały? – Lieberman zastygł w bezruchu porażony tą proklamacją i wyglądało na to, że, nie do wiary, zabrakło mu słów. – Chodźmy coś zjeść. A więc jedziesz do Acapulco, tak? – zagaił Sid, kiedy usiedli przy stoliku i Gold zamówił jeszcze jedną kolejkę.

– Nie chcę o tym rozmawiać – odburknął niechętnie Gold, żeby definitywnie zamknąć ten tor konwersacji. – Co zrobimy ze starym?

– Przyłapuję się na tym, że jego obecność jakby dodawała mi ostatnio energii – powiedział cicho Sid.

– Zauważyłem. Harriet też go tu nie chce.

– Nie przykładam już większej wagi do tego, co chce Harriet – wyznał łagodnie Sid. – Ja go nawet lubię, Bruce, i już niedługo będziemy go mieli.

– Jak możesz go lubić? – zachnął się Gold. – Przecież to taki upierdliwy zgred. Okropnie cię traktował. Wiecznie były między wami jakieś awantury.

– Nigdy źle mnie nie traktował – zaprzeczył Sid prawie szeptem. – Nie było między nami żadnych awantur.

– Sid, awanturowaliście się bez ustanku. Raz wykopał cię nawet na całe lato. Uciekłeś wtedy z domu i dotarłeś aż do Kalifornii.

– To nie z jego powodu.

– Z jego, Sid – upierał się Gold. – Tak mówią Rose i Esther, Ida też. Nawet on lubi się przechwalać przed ludźmi, jak cię przepędził na cztery wiatry.

– To nie było wcale tak – powiedział Sid. Unikał wzroku Golda. – To była okazja, żeby zobaczyć kraj. On nigdy nie był dla mnie przykry.

– Sid, ty uciekłeś – przypomniał mu łagodnie Gold. Zapragnął dotknąć dłoni brata. – Ile miałeś wtedy lat?

– Około czternastu albo piętnastu, może szesnaście. Wiem, że chodziłem jeszcze do szkoły średniej.

– Dlaczego nigdy o tym nie mówisz? – spytał ze zdziwieniem Gold. – To musiała być wspaniała przygoda.

– Owszem, chyba tak.

– I niebezpieczna.

Sid zastanawiał się przez chwilę.

– Nie, nie wydaje mi się, żeby była niebezpieczna.

– Nie miałeś pieniędzy, prawda?

– Miałem parę dolarów. Mnóstwo ludzi wtedy podróżowało. Przez jakiś czas pętałem się przy robotnikach sezonowych i oni mi dużo pomogli. Pracowałem. Pewien ranczer z Arizony proponował mi stałe zatrudnienie, gdybym chciał zostać. Jeden farmer z Kalifornii też. Widziałem Hollywood. Ale kiedy lato się skończyło, bez żalu wróciłem do domu. Nie chciałem tracić szkoły. – Sidowi zwilgotniały oczy i chyba nie zdawał sobie sprawy, jak bliski jest płaczu. Jednocześnie na jego mięsistej twarzy zagościł dziwny, senny, roztargniony uśmiezek, jakby błądził gdzieś daleko myślami.

– Pożarliście się, Sid – podjął Gold. – To dlatego wyjechałeś. A mama się zamartwiała.

– Pisałem do niej dwa razy na tydzień. Wysyłałem jej pocztówki. Wiedziała, że u mnie wszystko w porządku. Tata był bardzo dobrym i łagodnym człowiekiem, i nigdy nie był dla nikogo przykry. Miał, widzisz, kłopoty. – Oczy Sida znowu wypełniły się łzami. Uśmiechnął się szerzej i zawiesił na chwilę głos. – Zgraja dzieciaków do wykarmienia, Wielki Kryzys i bardzo chora mama. Gryzł się tym wszystkim i chyba dlatego był taki przykry dla otoczenia.

– Powiedziałeś przed chwilą, że nie był przykry.

– Bo tak naprawdę to nie był. Wypijemy jeszcze po jednym?

– Nie, Sid, nie sądzę – zdecydował Gold. – Musiałem kosztować was wszystkich wiele wyrzeczeń, ciebie, Rose i Esther, prawda?

Sid zastanawiał się chwilę, a potem pokręcił głową.

– Nie, mały, to naprawdę nie tak wyglądało. Nawet gdyby ciebie nie było, sprawy miałyby się podobnie.

– Tak mi było przykro, że musiałeś zrezygnować z college'u – powiedział Gold, usiłując przechwycić i usidlić jego wzrok. – Nie żałowałeś?

– Nie miałem głowy do nauki w college'u – odparł Sid. – Postanowiono o tym chyba jeszcze przed twoim urodzeniem.

– Więc nie mógłbyś się uczyć dalej, nawet gdybyś chciał, prawda?

– Nie miałem głowy do nauki.

– Musiałeś wystąpić ze szkolnej drużyny futbolowej, żeby pójść do pracy w pralni, prawda?

– Nie, mały, to niezupełnie tak wyglądało. Tylko rok zagrałem w drużynie pierwszaków. Za mały byłem na futbol. O wiele bezpieczniej się czułem z tymi końmi w pralni niż na boisku futbolowym. Napijemy się jeszcze?

– Może lampkę wina.

– Ja nie lubię wina.

Gold zamówił wino dla siebie i kolejnego bourbona dla Sida.

– Ile miałeś lat, kiedy tu przyjechaliście, i jak dużo pamiętasz z tamtego okresu?

– Zdaje się, że z sześć, Bruce, i chyba sporo pamiętam. Pamiętam... – tu Sid urwał i roześmiał się z na wpół przymkniętymi oczami, a potem zakaszał krótko, tak jakby chciał oczyścić krtani ze wzbierającego w niej szlochu – ...pamiętam, jak pewnego razu tata przez pomyłkę przeprowadził nas do chrześcijańskiej części Bensonhurst. Bez przerwy zdarzały mu się takie pomyłki. Byliśmy tam chyba jedyną żydowską rodziną i żadne z nas nie mówiło po angielsku.

– O rany, Sid! – wykrzyknął Gold. – To musiało być okropne.

– Nie było aż tak źle – odparł niezdecydowanie Sid po chwili namysłu. – Inne dzieciaki przeważnie przeżywały mnie żydkiem, ale pozwalały mi się ze sobą bawić. To byli głównie Irlandczycy i Norwegowie. Co jakiś czas rzucali się na mnie i przewracali na ziemię. Kazali mi rozpinać rozporek i wyjmować siusiaka, a potem na niego pluli, ale jeśli robiłem, co mówili, i nie płakałem ani nikomu się nie skarżyłem, znowu pozwalali mi się ze sobą bawić, więc chyba specjalnie się tym wtedy nie przejmowałem.

– Och, Sid, to straszne – krzyknął Gold.

– Mieszkaliśmy tam tylko przez rok – ciągnął Sid – więc takich incydentów nie było dużo. Podejrzewam, że tacie z mamą o wiele gorzej się później obrywało, i to często od naszych. Mnóstwo z tych, co przyjechali tu pierwsi, krzywo na nas patrzyło. Pamiętam, że co roku zmienialiśmy mieszkanie, wszyscy tak robili. U każdego nowego administratora dostawało się świeżo odmalowany lokal i nie płacono czynszu za pierwszy miesiąc. Nie rozumiem, dlaczego starzy administratorzy nie proponowali nam co roku takiego samego układu, skoro proponowali go tym, którzy wprowadzali się do mieszkania po nas, ale tak czy inaczej nie robili tego i pod koniec roku znowu się przeprowadziliśmy i tym razem do żydowskiej dzielnicy, i tam poszedłem do szkoły. Zdaje się, że mówiłem po angielsku z bardzo śmiesznym akcentem, ale byłem zbyt tępy, żeby zdawać sobie z tego sprawę, dopóki inni chłopcy i dziewczynki nie zaczęli mnie przedrzeźniać. Zresztą nawet wtedy nie od razu pojąłem, że to ze mnie stroją sobie żarty. Zauważyłem tylko, że kiedy są blisko mnie, zaczynają śmieszenie mówić, i próbowałem mówić tak samo śmieszenie jak oni, przedrzeźniając ich... przedrzeźniających mnie.

Współczucie Golda pogłębiło się i poczuł, że i jemu łzy napływają do oczu.

– Och, Sid, czy nie czułeś się okropnie, kiedy się wreszcie zorientowałeś? Kiedy zrozumiałeś?

– Nie, nie wydaje mi się – odparł Sid. – Chyba wielu z nas śmieszenie mówiło. Pamiętam, jakie miałem z początku trudności z rozgryzieniem roli godzinnej przerwy na lunch w szkole. Mama dawała mi kanapkę i jabłko w papierowej torbie, ale mnie się ubzdurało, że na lunch trzeba wracać do domu, tak jak w pierwszej szkole. Nie wiedziałem, gdzie mam się podziąć z moją wałówką, bo tym razem mieszkaliśmy za daleko. Tak więc co dzień, w czasie dużej przerwy, wypadałem ze szkoły, jakbym biegł na lunch do domu, i oddalwszy się o kilka przecznic skręcałem na jakieś pole i jadłem mój lunch przy torach metra, obserwując pociągi kursujące między Coney Island i Manhattanem.

– Nie mogłeś zapytać kolegów? Nikt ci nie powiedział?

– Nie miałem żadnych kolegów – powiedział Sid. – Właściwie to nie miałem żadnych znajomych, dopóki nie przeprowadziliśmy się w końcu na Coney Island i nie osiedliśmy tam na dłużej. Aż pewnego dnia... musiał chyba wtedy padać porządny śnieg albo deszcz, bo nie mogłem wyjść ze szkoły... odkryłem, że wszystkie inne dzieci jadły przez cały czas swoje kanapki w szkole albo na szkolnym dziedzińcu, a potem bawiły się do końca godzinnej przerwy na boisku albo w sali gimnastycznej.

Goldowi krwawiło serce.

– Och, jakie to straszne, Sid. Jaki musiałeś się czuć samotny.

– Nie byłem samotny.

– Ale musiało ci być tak przykro i głupio, kiedy to odkryłeś.

– Nie było mi przykro ani głupio – obruszył się Sid, i zaraz cofnął się do wspomnień, jakby dopiero teraz szukał wśród nich uzasadnienia dla zaprzeczenia, które mu się wyrwało. – Nie, nie wydaje mi się, mały, żebym czuł się samotny. Wszystko było takie nowe i ciekawe. Nie wiedziałem co dobre, a co złe. Podobało mi się i tak, i tak. Lubiłem bawić się w szkole i przyglądać, jak bawią się inne dzieciaki, i lubiłem chodzić ze swoją kanapką na pola i obserwować tam pociągi metra. Mogę ci opowiedzieć zabawną przygodę, jaka przytrafiła mi się na statku, którym tu przyплыliśmy. Był to bardzo zatłoczony, bardzo brudny i bardzo gwarny statek, i przeważnie miałem stracha. Przez kilka pierwszych dni stewardzi roznosili do posiłków pomarańcze. Nigdy przedtem nie widziałem pomarańczy, chyba nie było ich w wiosce, w której mieszkaliśmy, i bałem się ich nawet dotknąć.

– Nigdy nie widziałeś pomarańczy? – przerwał mu Gold.

– Tam, gdzie mieszkaliśmy, nie. No i pewnego dnia mama dała mi kawałek do spróbowania. Bardzo mi zasmakował i chciałem jeszcze. Ale do następnego posiłku nie podano już pomarańczy, bo się skończyły, i musiałem obejść się smakiem.

– Skończyły się? – powtórzył za nim jak echo Gold. – Och, Sid, biedny, pechowy smarkaczu. Musiałeś obejść się smakiem? Nigdy przedtem nie widziałeś pomarańczy?

– A gdzie miałem je widzieć? – odparł Sid. – Żadne z nas ich nie widziało. Ani bananów, ani ananasów, ani nic z tych rzeczy.

Goldowi nadal nie bardzo chciało się w to wierzyć.

– Jak jest po żydowsku pomarańcza?

– W jidysz? *Pomaranec*.

– A ananas?

– *Ananas*.

– A banan?

– *Banane*. Nie mieliśmy na nie własnych słów, Bruce. Nie rozumiesz? Wszystkie te owoce pochodzą z tropików. Tata i mama musieli przyjechać aż do Nowego Jorku, żeby skosztować mandarynek. Tak później za nimi przepadali!

– Skoro już o tacie mowa, to chcę ci zadać jeszcze jedno pytanie.

– Wiem nawet, jakie – powiedział Sid spoglądając mu wreszcie w oczy. – Ale wolałbym, żebyś o tym nie pisał.

– Tata chciał być śpiewakiem. Odkrył w sobie śpiewaka, prawda?

– Tak. Z dnia na dzień. – Kiwając ciężko głową, jakby wciąż wymęczony tamtą ciężką próbą, Sid westchnął z rozbawieniem i podjął: – Wydaje mi się, że omal nie dobił tym mamy. Słyszałem wtedy po raz pierwszy i ostatni, jak się kłóca. Chciał chodzić po całym Brooklynie i śpiewać na weselach i na wieczorkach dla amatorów. Nagle stał się zawodowym śpiewakiem. Śpiewał całymi dniami. Dla każdego. Zaczął rozpowiadać naokoło, że jest słynnym solistą.

– W swoim zakładzie krawieckim?

– W swoim zakładzie krawieckim.

– I naprawdę był kreślaczem i handlarzem starzyzną, i importerem, i maklerem na Wall Street?

– Tata zajmował się mnóstwem rzeczy – mruknął wymijająco Sid, rozcierając sobie ucho.

– Może był i kreślaczem, i importerem. Ja po prostu tego akurat nie pamiętam. Ale wiem, że działał w piekarnictwie, krawiectwie, paleniu kawy i w kuśnierstwie, dopóki nie trafił wreszcie do tego warsztatu mechanicznego i do branży skórzaney. Tata był dobry w skórach.

– Ale gdyby nie ty, marnie by na nich wyszedł, prawda? To pytanie pogłębiło jeszcze zakłopotanie Sida.

– Nie, mały, to nie całkiem tak wyglądało. Tata był dobry w skórach, ale kiepski w interesach. Pomogłem mu tylko od strony organizacyjnej.

– Gówno prawda, Sid. Płaciłeś za wszystko, prawda?

– Nie, mały, przysięgam. Jego interes był sporo wart. Ja tylko uporządkowałem aktywa i znalazłem mu kupca, a potem doradziłem, żeby wpłacił większość pieniędzy na konto emerytalne, dzięki czemu będzie miał zawsze przyzwoity dochód i nigdy nie będzie zależny od nas.

– A to śpiewanie? – spytał Gold.

– No właśnie, Bruce. – Sid znowu kilka razy pokiwał głową z jakąś nostalgią. – Ni z tego, ni z owego. Bez żadnego ostrzeżenia. Bez systematycznego dochodzenia do celu. Nagle objawił mu się mistrz, Enrico Caruso. Nawet chodził jak Caruso, z głową odrzuconą do tyłu, wypiętą piersią i dłonią na sercu. Pchał się na scenę w kinach na Coney Island, żeby śpiewać arie wodewilowe. A od początku do końca znał tylko parę pieśni w jidysz. Pisał do każdej stacji radiowej i próbował się wkręcić do audycji dla śpiewaków amatorów, a nawet na przesłuchania do Metropolitan Opera House. Potem, pod pretekstem, że ma jakiś życiowy problem, usiłował się załapać do audycji pana Anthony'ego w nadziei, że pozwolą mu zaśpiewać. Wymyślał te swoje problemy i słał do radia list za listem. Teraz nawet zabawnie to

brzmi, ale wtedy wcale nie było nam do śmiechu. Byliśmy przerażeni. Myśleliśmy, że może naprawdę zwariował i nie wiedzieliśmy, co robić. Musieliśmy go siłą zatrzymać w domu, chować przed nim pieniądze, żeby nie miał na bilet, i drzeć listy. Mama i dziewczynki odchodziły od zmysłów. Opowiadał wszystkim krewnym z New Jersey i Washington Heights i wszystkim sąsiadom z kamienicy, że jest bardzo sławnym śpiewakiem, i przez całe dni występował z recitalami przed każdym, kto chciał go słuchać. Chciał też zaśpiewać w mojej szkole. Pewnie to pamiętasz. Może to od tej pary z maszyny do prasowania mózg mu się chwilowo zagotował. Nie pamiętam, jak mu to w końcu przeszło, ale przeszło. Może przyczynił się do tego wybuch wojny, drugiej wojny światowej. Trafił wtedy do tego warsztatu mechanicznego i zapomniał o wszystkim. Zwróciłeś uwagę, że teraz nigdy o tym nie wspomina? Wiesz, fajnie mi się z tobą gawędzi, Bruce. Dawno już nie jedliśmy razem lunchu ani ze sobą nie rozmawialiśmy, prawda?

– To nie z mojej winy, Sid – mruknął Gold. – Zazwyczaj nie jesteś zbyt rozmowny. Musiałeś mnie czasami porządnie nienawidzić, co?

– Nienawidzić cię? – Sid poderwał głowę i spojrzał na niego z bezbrzeżnym zdumieniem. Miał bladą twarz. – Za co miałbym cię nienawidzić? Och, nie, Bruce. Nigdy cię nie nienawidziłem. Zawsze byłem z ciebie bardzo dumny.

– Raz mnie z premedytacją zgubiłeś, pamiętasz, skubańcu? – przypomniał mu ze śmiechem Gold. – Jak mogłeś zostawić na ulicy takie małe dziecko?

Sid zaczerwienił się z zakłopotania.

– Wiedziałem, że cię znajdą. Zostawiłem cię niedaleko gliniarza, przykazując, żebyś do niego podszedł. Potem sam zaczęłem tego gliniarza i powiedziałem mu, że sprawiasz takie wrażenie, jakbyś się zgubił. Wiesz, naprawdę powinieneś się postarać i częściej odwiedzać Esther. Ona wszystko bardzo przeżywa, chociaż się nie skarży.

– Staram się – powiedział hipokrycko Gold. – Sid, musiałeś wtedy żywić do mnie wielką urazę, co?

– Ależ skąd, Bruce – odparł Sid. – Niby z jakiego powodu? Zawsze byłem z ciebie bardzo dumny.

– Tobie było tak ciężko, a ja żyłem sobie beztrzesko. Zbierałem dobre oceny w szkole i mogłem pójść do college[^].

– Bardzo jestem rad, że mogliśmy cię tam posłać – powiedział Sid. – Nie, nie miałem o to do ciebie żalu.

– I nie byłeś zły, że musisz się mną zajmować? – spytał cicho Gold. – Byłem najmłodszym chłopcem w rodzinie i wszyscy wokół mnie tańczyli. Nie krępuj się, Sid, powiedz prawdę. Członkowie rodzin często nie lubią się nawzajem z bardziej błahych powodów.

– Nie, nie byłem zły. – Sid mówił z twarzą częściowo odwróconą od Golda.

– A teraz mi nie zazdrościsz, Sid? Nigdy? Może czasami?

– Jestem z ciebie bardzo dumny. Gold dał temu spokój.

– Jak załatwiłeś sprawę z tatą po powrocie z Kalifornii?

– Bardzo dobrze to pamiętam – odparł Sid z jakimś refleksyjnym rozrzewnieniem i oczy znowu zaszyły mu mgłą. – Nadszedłem ulicą od przystanku trolejbusowego przy Railroad Avenue. Pamiętasz chyba te trolejbusy Norton[^] Point. Nikt się mnie nie spodziewał, ale mama wyglądała właśnie przez okno, obserwując ciebie, a tata też był przed kamienicą i on pierwszy mnie zauważył. Bawił się tam z tobą nową zabawką, jaką ci właśnie kupił, chyba nakręcanym samolocikiem, który naprawdę latał. Powiedziałem „cześć”. Zdaje się, że byłem strasznie brudny. Kazał mi iść na górę i wziąć kąpiel, i to chyba było wszystko.

– Żadnego podania ręki? – spytał Gold ze ściśniętym sercem. – Żadnego pocałunku? Żadnego uścisku?

– Żadnych uścisków ani pocałunków. – Sid pokręcił głową. – Mama żartowała później przez wiele lat. „Kiedy wróciłeś z Kalifornii, mówiła, musiałeś się wykapać”. – Sid zachichotał retrospektywnie. – Tak się cieszyła, że znowu ma mnie przy sobie.

Ale Gold uchwycił się ze zdziwieniem innego szczegółu.

– Kupił mi zabawkę?! – wykrzyknął. – Bawił się ze mną przed domem?

– No jasne – odparł bez wahania Sid. – Tata świata za tobą nie widział, kiedy byłeś mały. To dla nas był przykry. Nie mogliśmy ciebie ścierpieć.

– A więc jednak mnie nie lubiłeś – złapał go za słowo Gold. – Przyznałeś przed chwilą, że nie mogłeś mnie ścierpieć.

– Och, nie – mruknął cicho Sid. – Zawsze cię lubiłem. Zawsze byłem z ciebie bardzo dumny.

Współczucie zarzuciło na Golda sieć opamiętania i zaprzestał prób rozwikłania sprzeczności w uporczywie powtarzanych przez Sida wykrętach. Czuł się odległy o piętnaście lat od starszego brata i o tysiące mil od niego mądrzejszy. I może, ale tylko przez chwilę, równie zamknięty w sobie. Nie ulegało wątpliwości, że Sid coś kręci, ale tkwiąca w nim tajemnica była zbyt głęboko ukryta i Gold ostatecznie zrezygnował z jej dociekania.

– Sid, na co umarła mama?

– Sfuszerowana operacja – powiedział Sid z rozdzierającym serce, niestosownym uśmiechem, zupełnie nie pasującym do wyrazu jego twarzy, na którą wypełził cień dawnego, bolesnego wspomnienia. – Nie miało to nic wspólnego z jej wolem. Zmarła w Coney Island Hospital. Robiono jej tam prosty zabieg usunięcia woreczka żółciowego. Ale w nocy puściły wewnętrzne szwy i umarła nad ranem z upływu krwi.

– Dlaczego ja tego w ogóle nie pamiętam? – spytał Gold. – W domu musiało być dużo płaczu i zawodzenia, kiedy siedzieliście na *szława*. Tyle mieliśmy ciotek, wujów i sąsiadów.

– Nie było cię tam – powiedział Sid. – Zanim poszła na operację, kazała nam przyrzec, że gdyby coś poszło nie tak, wyślemy gdzieś ciebie i Joannie do czasu, kiedy będzie po wszystkim. Nie chciała, żeby były przy tym małe dzieci. Widzisz, mama już taka była.

– A na pogrzebie byłem? Nie przypominam sobie.

– Nie pamiętam.

– Chodzisz na cmentarz? – spytał Gold. – Na jej grób? Mnie jakoś nigdy nie przyszło to do głowy.

– Nie, już nie – mruknął Sid i przez twarz przemknął mu cień zawstydzenia. Bawił się pustą szklaneczką po whisky. – Kiedyś chodziliśmy, przynajmniej w Dniu Matki, ale nie pamiętam, kiedy byłem ostatni raz. Nawet gdybym chciał, nie zaciągnąłbym tam Harriet ani dzieciaków. Taty też nie. Próbowałem. Wiesz, jest taki zwyczaj... kiedy odwiedzasz czyjś grób, to zostawiasz na nim kamyk na znak, że tu byłeś i wciąż pamiętasz. Biedna mama nie miała na swoim grobie kamyka od dobrych trzydziestu, trzydziestu pięciu lat. Będiesz w ten piątek na kolacji u Esther? Dla niej wiele znaczy, kiedy przychodzisz.

– Postaram się. Jasne, przyjdziemy. A ty postarasz się mnie nie podpuszczać?

– Jak to? – zdumiał się szczerze Sid. – Czy ja cię podpuszczam?

Gold uśmiechnął się tolerancyjnie, jakby miał przed sobą kogoś nieszkodliwie niepoprawnego.

– Po prostu raz nie wypowiadaj się na temat nauki ani przyrody i nie wygłaszaj żadnych filozoficznych sentencji. Okay?

– Okay – przystał Sid. – Nie wiedziałem, że ci to przeszkadza. Czasami nie wiem, co powiedzieć, więc plotę, co mi ślina na język przyniesie. Nie zrobiłem ci wstydu przed tym wydawcą? Przepraszam, jeśli tak.

– Przed Liebermanem? On się nie liczy.

– Przepraszam, jeśli tak.

– Nie zrobiłeś – uspokoił go Gold. – Byłeś bardzo dobry. Ten drugi wiedział, że żartujesz, i prawdopodobnie świetnie się bawił.

– Czasami zapominam, że jesteś taką ważną osobistością i że powinienem trzymać fason w obecności twoich znajomych.

Gold roześmiał się afektownie.

– W porządku, Sid. Zresztą wcale nie jestem taki ważny.

– O, jesteś, jesteś. Widzimy twoje nazwisko w gazetach. Jesteś najważniejszą osobą, jaką znamy. No, miło było, mały.

– Owszem, Sid, wkrótce to powtórzymy – powiedział Gold, mając absolutną pewność, że nigdy więcej nie zjedzą razem lunchu.

– Będiesz w piątek u Esther? – spytał Sid, kiedy wstawali od stolika. Najwyraźniej bardzo mu zależało na jego obecności.

– Jeśli obiecasz, że nie będziesz mi dokuczał ani mnie podpuszczał. Przyrzekasz?

– Nie będę ci dokuczał. Przyrzekam, że nie będę. Przysięgam.

– No to przyjdę.

– Weź takie lilie... – zaczął u Esther Sid, nachylając się Goldowi do ucha.

– Jakie lilie?

– Polne.

– No więc?

– Nie orzą ani nie sieją.

– I co z tego?

– Weźcie tylko – rozdarł się Sid znieciska na cały pokój wieszczym zawołaniem Eliasza, roznieciwszy uprzednio w Goldzie przecucie nadciągającego wielkimi krokami kryzysu poprzez zasygnalizowanie mu nieco melancholijnym tonem tego tematu na ucho – takie polne lilie! – Goldowi pociemniało w oczach. – Nie orzą ani nie sieją. A przecież natura, czyli Bóg, troszczy się o to, żeby miały co jeść i rosły co roku, i co roku kwitły.

– Sid, obiecałeś, przysięgłeś mi! – krzyknął Gold. Miał wrażenie, że do tej pory nie zdawał sobie nawet sprawy, jak bardzo może podupaść na duchu człowiek.

– To tylko przemyślenie – zaskamlał Sid fałszywie, z przeproszającą potulnością kogoś bezbronnego, kogo przed chwilą niesłusznie skarcono.

– Bardzo ładne przemyślenie – wtrącił się ojciec Golda. – Mojego ulubionego syna.

– Wyczytane z Biblii – mruknął jadowicie Gold. – Z tym, że to wcale nie jest tak.

– Jak może nie być, skoro tak jest napisane w Biblii?

– W Biblii jest dobrze, tylko Sid nie tak to powiedział.

– On nawet w Boga nie wierzy – oświadczył ojciec, zwracając się do pozostałych i paskając kpiąco. – Ej, ty głupku, jeśli nie ma Boga, Panie Mądrało Polityku, to skąd się wzięła Biblia?

– Powinieneś bardziej słuchać swojego ojca – poradziła Goldowi macocha. – Może wtedy też byś był jego ulubionym synem.

– Jak mogę go słuchać – odparował Gold – skoro on wciąż mnie przezywa? Nie lubi mnie. Nigdy mnie nie lubił.

– Ja też cię nie lubię – poinformowała go uprzejmie macocha. – Kochasz pieniądze i patrzysz jak w obraz na ludzi, którzy je posiadają. Pragniesz za wszelką cenę osiągnąć sukces. Czy nie byłoby śmiesznie – zarechotała i w jej oku pojawił się błysk szatańskiej przebiegłości – gdyby się okazało, że on wcale nie jest twoim prawdziwym ojcem i przez wszystkie te lata na darmo znosiłeś jego krytyczne uwagi? Czy nie byłoby śmiesznie, gdyby się do tego okazało, że nie jesteś wcale Żydem? Nie znasz przecież żydowskiego języka i żydowskich świąt, prawda?

Gold wybrał milczenie.

– Pirenejski – odezwał się Sid, kiedy stało się jasne, że nikt nie kwapi się do zabrania głosu – to jedyny znany język na świecie, który nie ma słów na prawo i lewo.

Wzburzenie Golda wywołane tym idiotycznym stwierdzeniem trwało tylko chwilę. Potem rozsądek wziął górę i Gold uśmiechnął się tolerancyjnie, ogarnięty błogim przekonaniem, że Sid prawdopodobnie już nigdy niczym go nie zdenerwuje. Sid mógł mieć rację i równie dobrze mógł pleść bzdury. Gold dysponował tylko powierzchowną wiedzą o tym górskim paśmie, przez które przebiega granica pomiędzy Francją a Hiszpanią; niewykluczone, że znajdowały się tam jakieś odizolowane od świata wioski z mieszkańcami, do których odnosiło się to, co Sid przed chwilą powiedział. Lud zwany Pirenejami albo Pirenejczykami – Gold nie był nawet pewien, jak powinna brzmieć ta nazwa – mógł też żyć gdzieś daleko, na Pacyfiku albo na Oceanie Indyjskim, podobnie jak, dajmy na to, Portugalczycy posługujący się językiem portugalskim, lecz mieszkający poza Portugalią, albo Japończycy ze swoim japońskim, mieszkający poza granicami Japonii. Niech ktoś inny podejmie tę rękawicę, zdecydował, zauważając z irytacją, że bardziej szanują go w Waszyngtonie niż tutaj, gdzie ma bardzo marną reputację.

– To skąd wiedzą, w którą stronę skręcać? – spytała Esther po chwili przerwy, która dała Goldowi czas na te dyskursywne refleksje.

– Wiedzą – zapewnił ją ojciec Golda.

– A jak podają sobie kierunki? – spytała Ida.

– Podają – mruknął ponuro Gold, usiłując się przypodobać, i ojciec spojrział na niego z ogromnym zaskoczeniem i czymś w rodzaju podziwu, jakby nie spodziewał się takiej bystrości po kimś tak ograniczonym.

– Muszą być bardzo inteligentni – stwierdziła Ida.

– Bardzo – poparł ją Milt.

– Skoro są tacy inteligentni, to dlaczego nie wymyślili słów na prawo i lewo? – ofuknęła Idę Muriel, siejąc wokół popiołem z papierosa sterczącego jej z ust.

– Bo są tacy inteligentni – zaperzyła się Ida – że ich nie potrzebują. I wszyscy powinniśmy brać przykład z tych Pirenejów.

– I z mojego pierwszego męża – powiedziała macocha Golda splatając i zaciskając kilka dalszych oczek – który również przepadał za dobrym żartem. Pochodzę z Południa, jak wicie, i wiele więzów rodzinnych łączy mnie z Richmond i Charleston, a nasze rodziny były zawsze najbardziej poważanymi żydowskimi familiami w tamtych stronach – to znaczy poważanymi przez inne żydowskie familie. Wychodząc za męża za waszego ojca, bardzo obniżyłam swój status społeczny, on zaś bardzo podwyższył swój żeniąc się ze mną. – Duma rozpała oblicze Juliusa Golda niczym piec, kiedy potwierdzał to olimpijskim skinieniem głowy. – Mieliśmy niewolników i ogromne plantacje. I dzięki temu tak dobrze znamy się na wełnie.

– Na bawełnie – skorygował odruchowo Gold i nim przebrzmiały te słowa, był już bliski walenia się pięścią po głowie za swoją bezdenną głupotę.

– Na wełnie, moje dziecko – poprawiła go natychmiast Gussie Gold, dostojnie spuszczać oczy. – Dzięki pieniądзом, jakie zarabialiśmy na bawełnie, stać nas było na tyle wełny. Już jako mała dziewczynka potrafiłam flokować.

– Flokować?

– Założę się, że flokowała też dobrze – wtrącił ojciec Golda – lepiej od ciebie.

Flokowanie? – powtórzył Gold w duchu i zrejterował haniebnie, nie podejmując wyzwania rzuconego przez ojca. Flokowanie stanowiło dziedzinę, co do której jego wiedza była szczątkowa, oraz grunt, na którym nie czuł się pewnie.

– Pamiętam – podjęła macocha – ulubiony żart mojego męża. „Jeśli zdarzy ci się kiedykolwiek zapomnieć, żeś Żydem, mawiał, jakiś goj z pewnością ci to przypomni”. I

powtarzał to nam wszystkim raz po raz, aż do dnia, w którym umarł. Ten żart, mój kochany, powinieneś sobie dobrze zapamiętać.

– Przy takiej macosze – odparł Gold z nieszczerym uśmiechem – niepotrzebny mi goj, który by mi to przypominał.

– To dlatego masz taki kłopot ze swoją książką – powiedziała Gussie pochylając się, by dodać ekspresji tej nowej słownej napaści.

– Kto ma kłopot?

– Dobrze wiesz, że bez mojej pomocy nigdy jej nie napiszesz – powiedziała z upiornym tryumfem. – Jak możesz pisać o żydowskich doświadczeniach, skoro nie jesteś nawet pewien, czy takie miałeś? Nie jesteś nawet pewien, czy naprawdę jesteś Żydem, mam rację? Czekasz, aż rzecz się sama wyjaśni. Nigdy nie zadałeś sobie trudu, żeby to sprawdzić, prawda?

– Gdzie sprawdzić? – wykrztusił Gold. – O czym ty mówisz?

– W agencji do spraw adopcji – odparła macocha z odrażającym chichotem. – Mają teraz obowiązek udzielić ci wszelkich informacji. Czytałam o tym w gazetach.

– W jakiej agencji do spraw adopcji? Nie jestem adoptowany.

– A skąd wiesz? – pastwiła się nad nim dalej macocha, a Gold nie miał odwagi spojrzeć na jej bladą twarz i w płonące oczy. – Nawet się tam nie pofatygowałeś, żeby sprawdzić, co? Ale możesz to jeszcze zrobić. Możesz wziąć sobie prawnika i wyjaśnić sprawę. Nie masz nawet pewności, kim są twoi prawdziwi rodzice. Może to ja jestem twoją prawdziwą matką, a on ojczymem? Niewiele o tym wiesz, prawda?

Gold podniósł się z sofy, na której siedział razem z macochą, i z zamętem w głowie odszedł na bezpieczną odległość.

– Tato, co ona wygaduje? Ja chyba nie jestem adoptowany?

– Paszoł won z takimi głupimi pytaniami – fuknął niecierpliwie ojciec. – Nawet gdybyśmy chcieli kogoś adoptować, to dlaczego akurat ciebie?

– Nie jesteś nawet pewien, czy twoja matka była twoją prawdziwą matką, prawda? – nękała go niezmordowanie macocha, uśmiechając się szatańsko. – Skąd wiesz, czy nie była podstawiona? Wyrzucasz pieniądze w błoto. Ilekroć idziesz na cmentarz, żeby odwiedzić jej grób...

– Nie chodzę na żaden cmentarz – wykrzyczał jej w twarz Gold w nadziei, że to zamknie jej usta, ale skutek był odwrotny.

– ...to wcale nie jest jej grób. Pielęgnujesz niewłaściwą mogiłę i składasz kwiaty na grobie kogoś obcego.

– *Gwałt!* – wrzasnął Julius Gold, przedzierzgając się znowu w człowieka nieobliczalnego w swym gniewie. – Znowu cmentarze!? Jeszcze gorzej niż na moim przyjęciu rocznicowym. Nie chcę rozmawiać o cmentarzach. I żeby mi nikt nie zapominał, że w przyszłym roku też obchodzę rocznicę.

– Dziesiątą – podpowiedział zgryźliwie Gold.

– A ja nie będę już obchodziła żadnych rocznic – powiedziała Esther i znowu się rozplakała. Gold omal nie zawył z wściekłości.

Rose wyprowadziła Esther do łazienki, a Milt podniósł się statecznie z krzesła, jak przystało człowiekowi metodycznemu, którym w istocie był, i zapytał:

– Podać coś komuś?

Esther wróciła już uspokojona i zaczęła opowiadać o śmierci Mendy*ego z tym ledwie wyczuwalnym, nerwowym drżeniem w głosie, które od tamtego czasu stało się jej cechą charakterystyczną na równi ze śnieżnobiałymi włosami i podkrążonymi oczyma. Była to wzruszająca historia, jednak Gold nie chciał jej znowu słuchać. Myślał intensywnie o grobie matki, a świadomość, że nigdy tam nie był, przejmowała go palącym wstydem. Ale rozsądek podpowiadał, że znalazłby tam tylko kamień.

– Był taki zdrowy i żywotny i potrafił pracować tak samo ciężko jak inni mężczyźni w magazynie i przy ciężarówkach – opowiadała Esther o swoim niskim, kłótliwym, energicznym mężu z cofniętym czołem i potężnym kompleksem niższości, człowieku, którego obecność bez dojmującego stresu tolerować potrafili tylko Max i Rose. – On cię naprawdę kochał, Bruce – ciągnęła z zauważalnym brakiem przekonania, odbiegając od tematu. – Tylko zawsze czuł się w twojej obecności trochę skrepowany, bo ukończyłeś studia i uważał cię za takiego inteligentnego.

– Ja go tam wcale nie uważam za takiego inteligentnego – wychrypiała Muriel swoim grubym, przepalonym głosem i wydmuchnęła na pokój trujący kłęb papierosowego dymu. – Skoro jest taki inteligentny, to dlaczego uczy w college'u? Założę się, że nawet Victor więcej od niego zarabia.

Gdyby Gold wygłosił ripostę, jaka przyszła mu w tym momencie na myśl, Victor zaboksowałby go na śmierć.

Mendy Moscowitz był upartym ignorantem, pił piwo do posiłków i przy znośnej pogodzie grywał namiętnie w piłkę ręczną na Brighton Beach. Pewnego wieczoru obudził się z poobiedniej drzemki z podłym samopoczuciem i wrócił z powrotem do łóżka na nocny spoczynek. Rano wstał jakiś apatyczny. W pracy przez cały dzień czuł się źle. Tydzień później leżał już w szpitalu z rozpoznaną białaczką. Studiował regularnie swoją kartę choroby i dopominał się zrzędliwie o podawanie mu w wyznaczonych porach wszystkich przepisanych leków. Z książek, które kazał sobie przynosić, i z informacji, jakie wyciskał z personelu szpitala, dowiedział się, że jest skazany na śmierć.

– Niech to się stanie – zdecydował pewnego dnia ze łzami w oczach. – Nie chcę walczyć.

Esther osiwiiała. Nie chciał żadnych środków znieczulających ani kuracji, których kosztów nie pokrywało ubezpieczenie medyczne.

– Chcę zostawić po sobie trochę pieniędzy – powiedział do Esther. – Niech to się stanie w domu. Jeśli nie chcesz mnie w domu, wynajmę umeblowany pokój.

Stało się to w domu. Wypisał się ze szpitala przy pierwszej remisji i nie chciał już tam wrócić, kiedy objawy choroby wystąpiły ponownie. Gdy nadszedł dzień, kiedy był już za słaby, by ustać na nogach, wstał. Esther zadzwoniła po Sida. Gold odwołał swoje zajęcia na uczelni w Brooklynie. Kiedy zjeżdżali we czwórkę windą, tylko Esther trzymała Mendy'ego pod ramię. Włożył garnitur i krawat, a płaszcz zapiął sobie po samą szyję. Nie padło ani jedno słowo. Pojechali do szpitala cadillakiem Sida. Mendy byłby dumny, gdyby wiedział, że przeżyje tam jeszcze tylko półtora dnia. Sid i Esther płakali w samochodzie.

– To był taki słoneczny dzień – wspominała teraz Esther. – Wszystko za oknem tak pięknie wyglądało.

– Podać coś komuś? – zapytał Milt.

Gold znowu przygotowywał się do lunchu w towarzystwie – tym razem Plamki Weinrocka – i dotarło do mnie teraz, że w swojej książce strasznie dużo czasu spędza jedząc i rozmawiając. Ale niewiele więcej dało się z nim zrobić. Co i rusz kładłem go do łóżka z Andreą, a żonę i dzieci trzymałem wygodnie w tle. Co do Acapulco, to zamierzałem sfabrykować hektyczną mieszaninę, która obejmowałaby zmysłową meksykańską aktorkę telewizyjną i śmiałą próbę ucieczki nago przez okno sypialni na pierwszym piętrze, do drzwi której dobija się pięściami zazdrosny kochanek naćpany amerykańskimi narkotykami, podczas gdy na dole czeka Belle albo sfera ujadających, zdziczałych psów. Z pewnością spotkałby szybko na swej drodze nauczycielkę z podstawówki z czwórką dzieci, w której wreszcie do szaleństwa by się zakochał, i wkrótce podsunąłbym mu kuszącą obietnicę, że zostanie pierwszym w historii kraju żydowskim Sekretarzem Stanu, obietnicę, której nie miałbym najmniejszego zamiaru dotrzymać. Przed końcem tej opowieści spotkałby się jeszcze raz z ojcem Andrei, Pughem Biddle'em Conoverem, i dwa razy z Harrisem Rosenblattem.

Zatelefonował do Plamki Weinrocka w sprawie zwrotu całości albo przynajmniej części sumy, którą ten był mu winien, i spotkał się z cieplejszym przyjęciem, niż się tego spodziewał.

– Dla ciebie wszystko – powtórzył Weinrock w swoim salonie wystawienniczym, mierząc Golda rozbawionym spojrzeniem, a w jego chichocie pobrzmiwały nutki obmierzłej pobłażliwości i spoufalenia. – Ile to jestem ci krewny, tysiąc pięćset?

– Tysiąc sto.

– Zaokrąglimy to do dwóch tysięcy – powiedział wspaniałomyślnie Plamka Weinrock. – Lubię operować okrągłymi liczbami. No i jak ci się tu podoba?

Zakręcające łukiem ściany salonu wystawienniczego prowadziły gości prosto do eleganckiej recepcji oddzielonej szybą od pomarańczowej sali z czterema nowoczesnymi ręcznymi warsztatami tkackimi, przy których siedziały atrakcyjne projektantki, komponując nowe wzory materiałów dla zakładów wytwórczych Plamki zlokalizowanych na Rhode Island. Gold był pod wrażeniem.

– Jak interesy? Dobrze?

– Wspaniale – odparł Weinrock. – Gdyby tak jeszcze wzrósł mi obrót, to prawdopodobnie mógłbym się teraz wycofać z jakimś milionem dolców na czysto.

– Co to znaczy? – spytał Gold, który nie miał głowy do interesów.

– Jestem w strasznych tarapatkach – powiedział Weinrock. – Muszę wykupić krótkoterminowe obligacje, a jak dotąd nie mam zielonego pojęcia, co to są te całe obligacje i z czym to się je. Może będę musiał przyjąć paru wspólników albo tanio się wyprzedać. Przydałby mi się jakiś tysiączek na nowe ubranie na zimę, ale to już nie twoje zmartwienie. Mogę ci zwrócić całą sumę, jaką ci wiszę. W jakich widełkach podatkowych się mieścisz?

– A co cię to obchodzi? – To tajemnicze pytanie obudziło w Goldzie pierwsze odrażające podrygi podejrzenia, że pisane mu jest gorzkie rozczarowanie.

– Muszę wiedzieć, ile mogę zapisać na twoje konto w księgach firmy. – Przyjazna postawa Weinrocka nie zmieniła się ani na jotę. – Możemy tam wstawić dowolną sumę, gdybyś potrzebował jakiejś większej gotówki.

– O czym ty mówisz?

– Wyznam ci w zaufaniu – powiedział Weinrock – że zadłużam się po uszy. A przy okazji wyświadczam przysługę paru starym kumplom. Wystąp z roszczeniem wobec mnie. Na dowolną sumę. Steruję na bankructwo. Tysiąc? Dziesięć tysięcy? Milion? Dziesięć milionów? Wystarczy słówko. Wpiszę, ile powiesz.

– O czym ty mówisz, Plamka?

– Nadal nie rozumiesz? Wyjaśnię ci przy lunchu, ale pod warunkiem, że ja stawiam. Tu za rogiem jest taka mleczna restauracyjka, gdzie czasami nieźle karmią.

– Zaczniemy – powiedział do przysadzistej starej kelnerki, która podała im menu – od szklanki kwaśnego mleka.

– Nie mamy skwaśniałego mleka – burknęła kelnerka. – U nas wszystko jest świeże.

– Niech mi tu pani da Lupewitza.

– To nie jego rewir.

– Jankiel! – krzyknął głośno Weinrock do chudego kelnera, który z grobową miną kogoś, kto za chwilę ma się przewrócić, odpoczywał, podpierając ścianę w drugim końcu sali. – Ona nie chce mi podać kwaśnego mleka. Nie ma go w menu.

– Takie to ich menu – odburknął Jankiel Lupewitz z rezygnacją rozgoryczonego filozofa ze szkoły Schopenhauera. – Mówiłem im, co powinno być w menu, ale gadaj z takimi. Przyniosę ci to mleko.

– A do tego – zawołał za nim Plamka Weinrock – szklankę białego barszczu, dużą sałatkę owocową i wiejski twarożek z suszoną śliwką, ale tylko jeśli jest świeża i z Oregonu! – Kelner pokręcił głową. – To każ im zamiast śliwki dać na wierzch świeżą figę. I przynieś mi jeszcze czarnego chleba, ale żeby było dużo przylepek. Steruję na bankructwo i biorę cię na wierzyciela – wyjaśnił już normalnym głosem, zwracając się do Golda. – Jeśli mieścisz się w trzydziestoprocentowych widełkach, mogę ci wpisać pięć tysięcy na straty i wychodzisz prawie na czysto. Jak chcesz więcej, to też nie ma sprawy. Chcesz milion, wpisujemy milion. Musimy tylko ustalić taką sumę, żebyś się nie podłożył w zeznaniu podatkowym.

– Nieczysto mi to wygląda, Plamka. – Gold przeżuwał ponuro swojego śledzia.

– I dobrze ci wygląda.

– Jak to się załatwia?

– Dam ci parę datowanych wstecznie weksli in blanco. Wypełnisz je, na ile chcesz. Kiedy w urzędzie skarbowym zapytają cię, dlaczego pożyczyleś mi milion gotówką, a nie czekiem, powiedz im, że twoja żona mnie nie lubi i nie chciałeś, żeby się dowiedziała, że mi pomagasz. Jak cię zapytają, skąd wzięłeś tyle gotówki, powiedz im, że lubisz zawsze trzymać trochę w materacu albo w sejfie na wypadek, gdyby banki znowu zaczęły padać.

– Milion dolarów w materacu?

– To twoje pieniądze i możesz z nimi robić, co chcesz.

– A jeśli zapytają, skąd je mam?

– Lawiruj. To nie musi być aż tyle. Robiłem już podobne przekręty wiele razy. Między innymi dzięki temu cieszę się takim zaufaniem w kręgach przemysłowych. Bankrutując regularnie.

– A jeśli mi nie uwierzą?

– Idziesz do mamra.

– Idę do mamra.

– To ta ciemna strona – powiedział Weinrock z optymistycznym uśmiechem, smarując sobie obficie masłem kromkę pumpernika. – Jasną stroną jest to, co zainkasujesz w kwietniu przyszłego roku, w ramach zwrotu nadpłaconego podatku dochodowego.

– W kwietniu przyszłego roku?! – krzyknął Gold, prostując się konwulsyjnie. – Plamka, ja potrzebuję tych pieniędzy teraz, na wyjazd do Meksyku.

– Gdybym miał forszę, sam bym pojechał do Meksyku – odparł Weinrock. – Sprawilibym też sobie nowe ubranie na zimę. Nie pożyczylbyś mi jeszcze z tysiącka na jakieś dobre palto i garnitur?

– Plamka, ty naprawdę chcesz zbankrutować?

– Muszę – powiedział Weinrock, uśmiechając się znowu w sposób, który napełnił Golda irytującym odczuciem, że ktoś niższego stanu nabija się z niego bezczelnie – jeśli mam ci oddać te tysiąc sto dolarów.

– Czy jestem twoim jedynym wierzycielem? – odparował z urazą Gold.

– Jesteś jedynym, który mnie naciska.

– Ja cię naciskam?! – krzyknął wzburzony Gold. – Ty złamany palancie, dzwonię do ciebie raz na trzy lata, a ty to nazywasz naciskaniem?

– Ale nigdy nie dzwonicz, żeby coś kupić, prawda? – zażartował Plamka.

– Weinrock – wymamrotał ponury kelner. – Powiedz, z łaski swojej, temu dżentelmenowi, że nie tolerujemy tutaj takiego słownictwa.

– On nie wiedział, Jankiel – powiedział przepraszająco Weinrock. – Wybiera się do Waszyngtonu, żeby tam pracować jako gruba ryba, i myśli, że tak jest nowocześnie. Figa była smaczna, Jankiel. Ale chleb... – potrząsnął oskarżycielsko głową i skrzywił się dramatycznie.

– Taki to ich chleb – pośpieszył z wyjaśnieniem Jankiel Lupewitz. – Mówiłem im, jaki powinien być chleb, ale gadaj z takimi.

– Plamka, nie zamierzam doprowadzić cię do bankructwa – spuścił z tonu Gold. – Pożyczę te pieniądze od Sida. Jak nie masz, to nie masz.

– Nie mogę nic wycisnąć z Mursha – poskarżył się Plamka. – Ci wszyscy pieprzeni lekarze to dusigrosze.

– Wybieram się do niego zrobić sobie badania – powiedział Gold.

– Powiedz mu, żeby podesłał mi trochę gotówki – poprosił beztrzesko Plamka. – Zostały mi tylko ubrania, interes, samochód, mieszkanie, dom na plaży i moje przyjaciółeczki. Jeśli tego nie liczyć, to jestem właściwie bankrutem.

– Nie wyglądasz na bankruta – zauważył Gold.

– Nie mogę sobie na to pozwolić – odparł Plamka. – Mógłbym sobie chodzić jak ty, gdyby sprawy miały się dobrze.

Gold otworzył szeroko oczy.

– Co to niby miało znaczyć?

– No, taki zapyziały i chudy. Jak lump. Facet ze straganu. Stara marynara, sprany golf, wyświecone portki, to do mnie nie pasuje. Może to dobre na twój uniwersytet, ale w branży odzieżowej odpada. Żaden bankrut nie może sobie pozwolić na taki strój. Nie powinieneś się pokazywać w tych łachmanach w centrum odzieżowym ani w dobrej mlecznej restauracji.

– Przepraszam – mruknął chłodno Gold – jeśli przyniosłem ci wstyd.

– A co mi po twoich przeprosinach? – prychnął Weinrock. – Najpierw kompromitujesz mnie przed moimi sprzedawcami, a tutaj kompromitujesz mnie przed moimi wierzycielami. Teraz będę musiał świecić za ciebie oczami.

– Ty zafajdany kutasie – warknął cicho Gold, tracąc cierpliwość. – Namysliłem się. Oddawaj, kurwa, moje pieniądze i idę stąd w cholerę! Nawet nie dojem mojego lunchu.

– Siedź, siedź – powiedział z niewzruszonym spokojem Weinrock. Jego twarz pokryła się siateczką zmarszczek rozbawienia i w tym momencie Gold domyślił się, że tę zdrową opaleniznę Plamka zawdzięcza lampie kwarcowej z sali gimnastycznej. – Fundnę ci ten lunch, jeśli pożyczysz mi pięć stów na dobre palto na futrzanym podbiciu.

– Takiego wała ci pożyczę.

Nie było wątpliwości, że Weinrock zacznie mu teraz czynić wyrzuty.

– Zafajdany kutas? Takiego wała? To tak cię nauczyli mówić w Oxfordzie na tym stypendium sportowym? Nie wyniosłeś takiego języka z Coney Island.

– I nigdy nie miałem stypendium sportowego – przedrzeźnił go Gold przyjaźniejszym już tonem. – Nie byłem też w Oxfordzie, lecz w Cambridge, a i tam tylko przez jedno lato. Poza tym Żydom nie rozdawano wtedy taką lekką rączką stypendiów. I nie byłem sportowcem.

– Jak ten gość z Sądu Najwyższego? Jak się nazywał ten palant z Sądu Najwyższego?

– Rehnquist?

– Ten drugi.

– Burger?

– Świszczyk.

– Świszczyk?

– White. – Wielkie, miękkie, obwisłe ciało Weinrocka zafalowało rozkołysane leniwym rechotem. – Wyobraź sobie gościa, który dorasta z przydomkiem Świszczyk i podoba mu się to. I popatrz tylko, z *naara* o ksywce Świszczyk zrobili sędziego.

– Tak samo można się czepiać Plamki.

– A co ci się nie podoba w Plamce? – spytał Weinrock ze szczerą prostolinijnością.

– Kojarzy się z plamą, Plamka. – Gold upajał się chwilowo uzyskaną przewagą.

– Chyba sobie zasłużyłem na ten przydomek? Przez cały tydzień wywabiałem plamy w zakładzie twojego ojca. Potem mnie wykopał.

– Zbyt ślamazarnie ci to szło – wytknął mu Gold. – Do dzisiaj wspomina, że byłeś do niczego.

– Moja matka mówi o tobie – odciął się Weinrock – że mógłbyś zabrać krowę w podróż dookoła świata i dalej miałbyś krowę. Widziałeś kogoś świszczącego? Pokaż mi chociaż jednego człowieka na świecie, który świszczy. Gdybym był na tyle duży, żeby zostać futbolistą i ktoś by mnie nazwał Świszczyk, łeb bym mu rozwalił gołymi pięściami. No więc znowu marudzisz, żeby ci oddać pieniądze, tak?

– Och, dajmy już spokój tym pieniądzom. Nie są warte kłopotu, jaki mam z wyciągnięciem ich od ciebie. – Przez kilka sekund Gold spoglądał spode łba na Plamkę. – Chyba będę się musiał zabrać do pisania. Jak mi trochę pomożesz, to zapłacę za lunch. Pracuję teraz nad poważną książką. – Robił, co mógł, żeby zignorować uśmiezek niedowierzania i szkaradny rechot Weinrocka. – W pewnym sensie jest to moja wielka szansa. Jeśli się dobrze przyłożę, może wyjść z tego hit, przedestylowana autobiografia.

– O czym to będzie?

– Jeszcze nie wiem. Ale będę wiedział, zanim skończę. W wielkim skrócie, o tym, jak fajnie było dorastać na Coney Island.

– Fajnie? – Weinrock spojrzał na Golda z miną tak enigmatyczną, że rozstrzygnięcie, czy wyraża ona kpinę, czy niedowierzanie, było po prostu niemożliwością. – Dla ciebie? Dla czterookiego?

Gold skrzywił się lekko na dźwięk tego uwłaczającego określenia.

– To jeden z problemów, z jakimi się borykam. Utknąłem z robotą. Mam pisać o żydowskich doświadczeniach, a nie jestem pewien, czy sam kiedykolwiek takie miałem. Muszę dużo zmyślać. I dlatego chciałem prosić ciebie i kilku innych chłopaków o udzielenie mi paru informacji. Na przykład, gdzie chodziliście, kiedy nie chcieliście mnie ze sobą zabrać?

– Czasami nigdzie.

– Nigdzie? To dlaczego nie pozwalaliście mi ze sobą iść?

– Nie chcieliśmy ciebie.

Gold przełknął tę rewelację jak gorzką pigułkę.

– Chyba o takie właśnie wiadomości mi chodzi. Na razie opieram się tylko na własnych wspomnieniach i doświadczeniach, a to za mało. Przy odrobinie pomocy rzucę być może cały kraj na kolana jakimś wielkim bestsellerem. A jak się żyło innym ludziom z sąsiedztwa? Takim jak ty i Rybka Siegel, i Paralityk z Neptun Avenue? Widujesz się jeszcze z Rybką. Nie pamiętam ich ojca ani matki. Czym się zajmował jego ojciec?

– Jeździł na rowerze.

– Na rowerze?

– No tak. Z białą brodą i w takim komicznym kapelusiku z guziczkami i powycinanymi dziurami. Był jak ojciec Kanciarza. Tak samo stuknięty.

– O rany! – Gold dygotał na całym ciele, podniecony tym przypadkowym odkryciem. – Widzisz? Zupełnie zapomniałem o Kanciarzu i jego ojcu.

Plamka roześmiał się.

– Nie pamiętasz, jak ojciec Kanciarza wsiąkł gdzieś na swoim rowerze? Cała dzielnica go szukała. Powiadomili policję. Ktoś mu powiedział, że New Jersey jest zaraz za mostem, więc wybrał się tam na rowerze odwiedzić brata w Metuchen. Przepedałował przez Manhattan Bridge, a potem zawrócił do Brooklynu przez Williamsburg Bridge i cały czas myślał, że jedzie do New Jersey. W połowie mostu spuchł i położył się tam spać, przykrywając sobie twarz żydowską gazetą, żeby słońce go nie raziło w oczy. Kiedy policja zadzwoniła, że się znalazł, Krętacz z Paralitykiem pojechali po niego samochodem, który Fasolka kupił od Dymka Nożownika i Louiego Zakazanej Gęby, nie wiedząc, że wóz jest kradziony, a na dokładkę żaden z nich nie miał prawa jazdy i przed samym posterunkiem skończyła im się benzyna.

Ta genialna reminiscencja stanowiła iskrę, która wyzwoliła u Golda taką eksplozję nostalgii za przeszłością, jakiej nie doświadczył od lat.

– Plamka, ty skurczybyku, potrzebuję cię – wybuchnął. – Wyleciało mi z głowy wszystko o tych starszych kumplach. Posłuchaj, kiedy następnym razem będziesz się wybierał do Brooklynu na spotkanie z Rybką albo którymś z innych chłopaków, zabierz mnie ze sobą. Wspaniale będzie znowu się zejść.

– Wspaniale? – Plamka Weinrock zmierzył go badawczym spojrzeniem. – Dawniej byś tak nie powiedział. Mocno teraz tankujemy. We włoskim barze.

– Ja też teraz mocno tankuję – oświadczył Gold.

– Pożycz mi na parę dni pięć setek na jakieś ubranie – powiedział Weinrock – bo jak nie, to pewnie nie będę miał czasu.

– A oddasz? Za dwa tygodnie mogą ich potrzebować.

– W każdej chwili – obiecał Weinrock. – Powiesz tylko słowo, a jeszcze tego samego popołudnia ogłaszam bankructwo.

– Och, przestań – ofuknął go dobrotliwie Gold. – A teraz opowiadaj. Jaki byłem jako dzieciak? Co naprawdę o mnie myśleliście i dlaczego?

– Bruce... – Weinrock urwał, żeby złożyć wypisany przez Golda czek i schować go do portfela. – Mam nadzieję, że nie zablokujesz tej wypłaty, jeśli nie spodoba ci się moja odpowiedź, co?

Gold poczuł się urażony.

– Naturalnie, że nie. Nie domagam się pochlebstw. Chodzi mi o rzetelne informacje, które będę mógł wykorzystać w mojej książce. Mów mi całą prawdę. Jak wam się ze mną układało.

– No dobrze, Bruce, jeśli chcesz znać prawdę – zaczął Plamka Weinrock ze swoim ospałym i aroganckim poczuciem humoru – to wcale nie patrzyliśmy na to w ten sposób.

– Czy kiedy byliśmy dziećmi – naciskał Gold z poczuciem, że chyba niezbyt precyzyjnie wyłuszczył, o co mu chodzi – kiedy dorastaliśmy razem na Coney Island, ty i inne chłopaki nie chcieliście się ze mną bawić, bo byłem o wiele inteligentniejszy od was wszystkich?

– Szczerze mówiąc – padła podobna w tonie odpowiedź, której towarzyszył pewny siebie chichot podkładający się pod słowa niczym akompaniament *basso ostinato* – wcale nie uważaliśmy cię za inteligentniejszego.

– Nie? – Gold nie wierzył własnym uszom.

– Uważaliśmy cię za *szmoka*.

Optymizm Golda uległ gwałtownemu załamaniu.

– A teraz?

– Teraz? – powiedział przeciągle Weinrock. – Ho, ho, Teraz? Teraz wszyscy jesteście, ma się rozumieć, bardzo dumni, ilekroć widzimy twoje nazwisko w gazecie. Ale nadal uważamy cię za *szmoka*.

– Naprawdę? – Rozżalenie Golda przybierało na sile. – No cóż, a chciałbyś wiedzieć, co my mówiliśmy o tobie?

– Nie wiem nawet, kogo rozumiesz przez to „my” – brzmiała nonszalancka odpowiedź Weinrocka. – Kim są ci „my”, na których się powołujesz?

– Ja i chłopaki – bąknął Gold. – Nasza paczka.

– Bruce – powiedział Plamka Weinrock – to ja kolegowałem się z chłopakami. Ja byłem w paczce. Ty nie.

– Nie byłem lubiany?

– Dobrze wiesz.

– Nawet trochę? – głos Golda brzmiał matowo.

– Ani trochę. Byłeś dzielnicową offermą, zapomniałeś? Prawdopodobnie dlatego tak dobrze szło ci w szkole. Nie umiałeś grać w piłkę i nie miałeś żadnej osobowości.

– Nie?

– Zupełnie żadnej – potwierdził Plamka Weinrock. – Wciąż się czymś przechwalałeś, a czasami wyłaziłeś ze skóry, żeby zrobić z siebie palanta.

Wkrótce, pomyślał Gold z przygnębieniem zwiastującym nadciągającą chandrę, będą najślynniejszą osobą wywodzącą się z Coney Island. Już jestem kimś i niedługo zostanę kimś więcej. A w dzieciństwie nie byłem lubiany i nie miałem żadnej osobowości.

– Byłem tak samo denny jak Lieberman? – spytał potulnie.

I wtedy wreszcie usłyszał od Weinrocka coś pokrzepiającego.

– Lieberman był jeszcze gorszy. Lieberman był prawdziwy *szlonec*. Założę się, że nawet Henry Kissinger był lepszy od Liebermana. Hej – Weinrock przerwał na chwilę i poczerwieniał ze śmiechu – ciekawe, ile taki parch jak Kissinger wytrzymałby z paczką w knajpie przy Mermaid Avenue.

– Kissinger – kazała Goldowi wtrącić przyzwoitość – zbija wielką forszę.

– Ale nie na robieniu wrażenia na Żydach – odparł Weinrock. – Ma szczęście, że znalazł sobie tylu gojów do pomocy. – Gold, cierpiący na kleptomanię na punkcie pomysłów, notował już w pamięci: Kreamer, Elliot, Rockefeller, Nixon, Ford – żaden z tych sponsorów i patronów Kissingera nie był żydowskiego pochodzenia. – A do tego wszystkiego – ciągnął Weinrock – nosiłeś okulary.

– Okulary? Wszyscy noszą okulary. Spójrz na siebie.

– Ale wtedy? – Weinrock stanowczo pokręcił głową.

– Miałem słaby wzrok.

– A co to za wytłumaczenie?

– Bez okularów nie widziałem tablicy w klasie ani nadlatującej piłki, kiedy pozwalaliście mi ze sobą zagrać.

– Nie potrafiliś jej złapać, nawet kiedy miałeś okulary na nosie.

– Czasami mi się udawało.

– Idę o zakład – roześmiał się Plamka Weinrock – że gdyby twoja rodzina była przy forsie, założyliby ci też aparat na zęby. Nawet łysiec zacząłeś pierwszy. Cała nasza reszta ma do dzisiaj gęste, falowane i kędzierzawe czupryny. Kurczę, Bruce, ty naprawdę byłeś pieprzoną fujarą, nie rozumiesz? Masz szczęście, że stałeś się sławny. Gdyby nie to, nie dałoby się o tobie powiedzieć dobrego słowa.

– Bardzo mnie tym podbudowałeś – mruknął Gold. – Słuchaj, jak będziesz jechał na Coney Island spotkać się z Rybką Siegelem albo kimś innym, chcę się z tobą zabrać.

– Możemy się umówić na środę po obiedzie.

- W środę wracam do Waszyngtonu. Mam tam spotkanie z ważnym asystentem Prezydenta i randkę z bardzo piękną, wysoką dziewczyną.
- Twoja sprawa.

Gold wybrał się na Coney Island i przecisnął się grzecznie przez zatłoczony, mroczny włoski bar przy Mermaid Avenue do Plamki Weinrocka, Rybki Siegela i syna Rybki, Eugene, jasnookiego, przystojnego dwudziestoczterolatka o nie spędzającym z warg, ujmującym uśmiechu.

- Nie uprzedziłeś Rybki, że przyjdę?
- Zapomniałem – odparł Plamka Weinrock. Reakcją Rybki Siegela na pojawienie się Golda było to samo wyzywające spojrzenie wyniosłej rezerwy, które tak rozwścieczało ciało pedagogiczne i innych dorosłych od chwili, kiedy jako mały berbecz zaczął stawiać pierwsze kroki. Naśladując manieryzm swego starszego brata Paralityka, który ustawił go w sieci licznych nielegalnych, lecz dochodowych podmiejskich autokomisów, zamiast wyciągnąć dłoń na powitanie, wcisnął obie ręce głęboko w kieszenie spodni. Wszystko wskazywało na to, że tego wieczoru nie będzie nostalgicznych wspominków.
- Pozdrowienia od Sida dla twojego brata Paralityka – zełgał bez zmruczenia oka Gold, żeby skruszyć jakoś lody. – A przy okazji, gdzie Paralityk nauczył się zbijać taki szmal?
- Jestem Tatusz, nie Kapuś. Eugene pokraśniał na twarzy.
- Mama dostaje białej gorączki, kiedy tata gada tak w domu.
- Nie naciskam – wycofał się Gold. – Zastanawiałem się tylko, skąd facet, który nie ukończył szkoły średniej, może się wyznawać na takich rzeczach jak fuzje, reasekuracja, przyspieszona deprecjacja, prawo poboru i w ogóle na całym tym bełkocie.
- Jesteś Fajfus, nie Bruce – burknął Rybka Siegel. – Chyba na głowę upadłeś, jeśli myślisz, że powiem coś jakiemuś gnojkwowi, który ma pracować w rządzie.
- Gnojkwowi? – powtórzył jak echo Gold ogarnięty poczuciem zgnojenia.
- A gnojkwowi – potwierdził Rybka Siegel z pewnością siebie, która nie pozostawiała miejsca na dyskusję. – Przychodzi ci do głowy lepsze słowo? Jestem Bajer, nie Frajer.
- Jasna cholera – powiedział Gold z przeciągłym westchnieniem znużenia. – Dostyc mam ludzi, którzy wciąż najeżdżają na rząd, i mdli mnie od ich gadania.
- A mnie nie – zaszczebiotał Plamka Weinrock.
- Mnie też nie – zawtórował mu Rybka Siegel. – Ej, Eugene, coś ci dolega? No i jak tam jest w Waszyngtonie, Goldy? Ja stawiam kolejkę. Tylko bez kitu.
- Jestem Szwagier, nie Blagier – mruknął Gold i zaczekał na pojawienie się zamówionych drinków. Z tymi ludźmi nie musiał być ostrożny. – Szczerze mówiąc, to nie wiem, Rybka. Mam kłopoty z poukładaniem sobie tego w głowie. W Waszyngtonie wygadują rzeczy, jakich nie słyszałem nigdzie indziej. Mówią coś śmiesznego i nikt się nie śmieje. Ja mówię coś na poważnie, a oni myślą, że żartuję. Mówię coś żartem, a oni to biorą na poważnie. Nic ich nie dziwi.
- Wiedzą, że są oszukańcami?
- Nie wiedzą, że to naganne.
- Tak samo jak oprychy i gwałciciele, na których nadziewamy się ostatnio na każdym kroku – warknął mściwie Rybka Siegel. Kilku siedzących niedaleko Włochów zamruczało potwierdzająco. W drugim końcu sali jakaś kobieta zaczęła pomstować na szabrowników i włamywaczy. Gold zauważył, że tylko on i młody Eugene nie palą. – Nie zamkniesz mi gęby, Eugene. Nigdy jeszcze nie szwendało się po ulicach tyłu złodziei, gwałcicieli i morderców co teraz i czy będę o tym mówił, czy nie, dalej będą się szwendać.

Ej, Goldy, myślisz, że czuję się oszustem, kiedy fałszuję swoje księgi? Oni też się nimi nie czują. Według ciebie byliśmy kryminalistami, kiedy kradliśmy ze szkolnego magazynku, gdy

kazali nam w nim pracować? Pamiętasz, jak na oczach pani Prosan wypadło ci spod swetra pudełko stalówek? Ależ był z ciebie *kloc* – mówiąc to, Rybka wreszcie się uśmiechnął.

– Co to są stalówki? – spytał Eugene.

– To takie małe metalowe gówieńka, które wtykało się w drewniane obsadki, które bardzo lubiliśmy obgryzać. Jeśli chciałeś pisać, maczałeś je w kałamarzu przed sobą, wpuszczonym w dziurę w ławce.

– A co to są kałamarze?

– Sporo się musiało zmienić, skoro Eugene nie wie nawet, co to kałamarz – wtrącił Plamka Weinrock.

– Nie sądź po nim – powiedział Rybka z pogardliwym lekceważeniem i bezgraniczną miłością jednocześnie. – To tępak. Ożenił się, jak miał dwadzieścia dwa lata.

– Bo nie pozwalałeś mi z nią żyć – powiedział Eugene. – Nie chciałeś nam dać pieniędzy na dom, dopóki się nie pobierzemy.

– Któregoś roku dostałem kurzajek – przypomniał sobie Gold. – Na wszystkich palcach, z siedemnaście ich było. Zacząłem je smarować codziennie w szkole atramentem i zeszyły.

– Zmieniło się – podjął swoje Plamka Weinrock. – Wszystkie te sklepiki pozamykane, zabite deskami. Gdzie ludzie robią teraz zakupy?

– Jasne, że się zmieniło! – huknął Rybka Siegel z impertynencką gburowatością człowieka w średnim wieku, nienawykłego ustępować choćby o cal. – Kiedy byliśmy dziećmi, Włosi próbowali spuszczać nam manto. Teraz, kiedy tu przyjeżdżamy i chcemy się czuć bezpieczni, kryjemy się we włoskim barze. Jak Włosi się stąd wyprowadzą, nie będzie się gdzie schować. W zeszłym roku zabito kilka starszych osób, między innymi matkę Raymiego Rubina.

– W naszej kamienicy mieszkał jeden chrześcijański dzieciak – powiedział Gold – i jego ojciec wpuszczał nas za darmo na Tor Przeszkód, a potem podchodziliśmy do starszych ludzi i prosiliśmy, żeby dali nam się przejechać na karuzeli na swoje bilety, kiedy widzieliśmy, że sami boją się na nią wsiąść.

– To był Jimmy Heinlein – przypomniał sobie Rybka Siegel. – Jego rodzina hodowała kurczaki. Opowiedział mi raz taki żart. Kiedyś to była Coney Island, mówi, teraz jest Cohen's⁸ Island, a kiedyś będzie Coon's⁹ Island. Mógł jeszcze dorzucić Latynosów, z nimi też coraz większy kłopot, ale wtedy jeszcze o nich nie wiedzieliśmy. Zagroziłem, że rozwalę mu łeb, jak jeszcze raz opowie mi ten żart, i musiałem go nieźle nastraszyć, bo nigdy już tego nie zrobił.

– Mnie go opowiedział – przyznał Gold.

– Widocznie się nie przestraszył.

– Co to jest Tor Przeszkód? – spytał Eugene.

– To był wielki, słynny teren zabaw wokół Wieży Spadochronowej, Wesołe Miasteczko. Mieliśmy drugie takie, też sławne i jeszcze lepsze. Nazywało się Luna Park. Była tam Strzelnica i Podniebny Ścigacz, chyba najwyższa diabelska kolejka na świecie. Wiesz co, Rybka? Za jedyne parę tysięcy dolarów mogłbym doprowadzić Wieżę Spadochronową do gwarantowanego stanu używalności. Za niewiele więcej udałoby mi się może kupić cały Tor Przeszkód.

– To czemu tego nie zrobiłeś?

– Zapomniałem.

– Wiecie coś o Torze Przeszkód? – spytał Gold tonem poważnego zainteresowania.

– Tam nie było tak fajnie.

– Luna Park był lepszy.

⁸ Cohen – popularne nazwisko żydowskie.

⁹ Coon – slang. Murzyn.

– Czasy Wielkiego Kryzysu – oznajmił Gold uroczyście, i kierując się instynktem kolekcjonera wszystkiego, co może się przydać, wiedział już, że umieści tę tezę w swojej książce, niezależnie od tego, czy chwyci, czy nie – to był najlepszy okres naszego życia, zgodzicie się ze mną?

– Nie dla mnie – zaoponował żywo Plamka Weinrock. – Im jestem starszy, tym bardziej mi się podoba.

– Mnie też – poparł go Rybka Siegel. – Dzieciaki nie wiedzą, jak się cieszyć życiem.

– Ja się swoim cieszę – wtrącił Eugene.

– Co ty tam wiesz – ofuknął go ojciec. – Dziecko jeszcze jesteś. Po coś ty się żenił, bałwanie? Nikt już się nie żeni.

– Tato, to było dwa lata temu. – Eugene uśmiechnął się.

– Co zrobisz z dzieckiem, jak się rozwiedziesz?

– Nie mamy dziecka. A kto się rozwodzi?

– Wszyscy, ty zakuta pało, właśnie próbuję ci to wytłumaczyć. Wszyscy się teraz rozwodzą. Zatrzymasz to dziecko dla nas, słyszysz? Bo wywalę cię, cholera, z interesu i nie dam ani centa. Ona niech sobie bierze dom i samochód, i całe inne barachło, ale dziecko zatrzymasz dla nas.

– Hej, chłopaki. – Dymek Nożownik, teraz mężczyzna pod sześćdziesiątkę, przepchnął się przez tłum i wetknął między nich twarz z posiwiałą szczeciną brody i okaleczonym nosem, którego czubek stracił w historycznej bójce na noże stoczony w wieku kilkunastu lat z miejscowymi gangsterami. Golda sobie nie kojarzył. – Wiem, że się starzeję – zwrócił się do Plamki i Rybki basowym, grobowym głosem. Oczy mu błyszczały, a policzki świeciły. – Czuję się jak dziewiętnastolatek, dopóki nie spojrzę w lustro i się nie zdziwię. Tego lata handlowałem lodami na plaży i jeden italiański gówniarz, jakieś dwadzieścia parę lat, mówi mi, żebym schrzaniał z jego terenu, bo pożałuję. Nie wierzyłem własnym uszom. „Uważaj, dziecko – próbowałem go ostrzec. – Wiesz, do kogo mówisz?” Do tej pory jestem dosyć dobry na pięści. Weszliśmy pod moło, zaczęliśmy się bić i oberwałem, zanim się obejrzałem. – Dymek cofnął głowę i oddał się wspomnieniom. – Nie wyszedł mi ani jeden unik. Po tym zdarzeniu zdałem sobie sprawę, że się starzeję. A swego czasu to ja dawałem wycisk wszystkim obnośnym handlarzom.

– Ale nie mojemu bratu Paralitykowi – sprostował zwięźle Rybka Siegel. – Jego nigdy nie pokonałeś.

– Pokonałbym, gdybym go dogonił – odparł Dymek. – Zawsze uciekał.

– Ale go nigdy nie dogoniłeś, nie?

– Nieźle wam się teraz, chłopaki, powodzi, co?

Rybka nie kwapił się postawić mu drinka, więc zrobił to Gold. Dymek wciąż go sobie nie kojarzył. Weinrock poczęstował Dymka cygarem.

– Wykwaterowują teraz rodziny żyjące z zasiłku do Sea Gate, do tych dużych bloków – odezwał się drobny człowieczek o ostrych rysach twarzy i ziemistej cerze, siedzący kilka stołków od nich. – Chyba za dużo się ich narobiło i nie wiedzą, co z tym fantem zrobić.

– Ja wiem, co zrobić – warknął siedzący obok Golda niesamowicie gruby mężczyzna głębokim głosem wypływającym jakby z czeluści jego brzucha i wydobywającym się ustami bez wprawiania w wibracje choćby jednej struny głosowej. Jego ciało opływało ze wszystkich stron barowy stołek. – Obozy koncentracyjne. Znaczą się, dla nich – wyjaśnił z wykwinną uprzejmością i delikatną zmianą tonu Goldowi i jego towarzyszom.

Barman wyciągnął rękę.

– Bądź grzeczny, Antony, nie rozrabiaj.

– Antony, ty kutasie – powiedział towarzysz grubego mężczyzny – to są biali. Tłumaczą ci, a do ciebie nie dociera. W tych rodzinach na zasiłku jest też przeważnie kupa małych dzieciaków i nie wiedzą, co z nimi będzie.

– Chodźmy stąd – zdecydował nagle Rybka Siegel z miną nadal całkowicie pozbawioną śladów przyjacielskości czy uprzejmości, i na Goldzie spore wrażenie wywarła konsekwencja i niezłomna siła bijąca od tej nietowarzyskiej osobowości: Rybka Siegel nigdy w życiu nie okazał ludzkich uczuć nikomu spoza swojej rodziny. – Wracam do domu.

– Mogę uregulować rachunek? – spytał szybko Gold. – Jeśli nie macie nic przeciwko temu.

– Jestem Zgrywny, nie Przeciwny.

Wyszedłszy samotnie na zewnątrz, Gold zatrzymał się jak wryty, osadzony na chwilę w miejscu przez wilgotne, napierające zewsząd ciemności. W powietrzu unosił się gęsty jak mgła swąd wygasłych ognisk. Od reszty towarzystwa zbliżającej się już do samochodów dzieliło go prawie pół kwartału. W jego stronę szła czwórka sprężystych ciemnoskórych wyrostków w trampkach i w paraliżującym przebłysku intuicji zrozumiał, że wybiła jego godzina, że skończy tu i teraz, z dziurą od noża w sercu. Oczywiście wyobraźni ujrzał już wycinek z gazety, który być może zainteresuje kogoś na tyle, by go sobie zachował:

OSOBISTY
NOMINAT PREZYDENTA GINIE OD CIOSU NOŻEM
W SERCE
PODCZAS SENTYMENTALNEJ PODRÓŻY
DO MIEJSC SWOJEGO DZIECIŃSTWA
Naręczona z wyższych sfer
pogrążona w głębokiej żałobie. Szczegóły wewnątrz numeru

Małolaty przeszły nie zaczepiając go, darując mu życie. Jego czas jeszcze nie nadszedł. I to ma być ten postęp cywilizacyjny? – pomyślał. Dorastał w otoczeniu ludzi biednych, uważając bogatych za swoich wrogów. Do bogatych stosunek miał taki jak dawniej, a do grona jego wrogów doszlusowali teraz również biedni.

Gold już wcześniej zwrócił uwagę na te wszystkie zabite deskami, zrujnowane sklepiki i warsztaty przy trzech głównych, bocznych alejach Coney Island, i zachodził w głowę, gdzie ludzie zaopatrują się teraz w żywność, gdzie noszą garnitury i sukienki do przeróbki i do prania chemicznego, buty do podzelowania, radia do naprawy i gdzie realizują swoje recepty. Dojechał wynajętym samochodem wyludnioną Mermaid Avenue do płotu z siatki drucianej odgradzającego prywatny teren Sea Gate, gdzie właściciele większych budynków kwaterowali teraz rodziny żyjące z zasiłku, skręcił w lewo w stronę plaży i mola i przejechał powoli z powrotem Surf Avenue. Nie zauważył ani jednej apteki. Młodsze żydowskie rodziny mieszkające teraz za strzeżoną przez wartownika bramą Sea Gate, gdzie niegdyś mieścił się wspaniały jachtklub wyłącznie dla dobrze sytuowanych chrześcijan, trzymały się dla bezpieczeństwa razem i stawały na głowie, by posyłać swoje dzieci do prywatnych szkół. Starsi mężczyźni i kobiety prawdopodobnie jak zawsze wypełzali co rano ze swoich kryjówek i gawędząc w jidysz, przemierzali ulice i molo w poszukiwaniu nasłonecznionych miejsc, gdzie można wygrzać kości. Matkę Raymiego Rubina zamordowano pewnego dnia, kiedy wracała z takiej przechadzki. Gold nie minął żadnych żydowskich delikatesów. Na Coney Island nie było już kina: narkotyki, przemoc i wandalizm doprowadziły do zamknięcia obu jaskrawo oświetlonych, dominujących nad okolicą sal projekcyjnych. Kamienicę z czerwonej cegły, w której spędził całe swoje dzieciństwo i prawie cały okres dojrzewania, wyburzono; na jej miejscu stało coś nowszego i szkaradniej szego, nie podwyższającego wcale standardu życia mieszkających tam teraz portorykańskich rodzin.

Gold przypomniał sobie tamto lato, kiedy miasto poszerzało plażę i od wczesnej wiosny obok domu przy Surf Avenue jak dzień długi przetaczały się z hukiem jedna za drugą ciężarówky z piaskiem. W upalne letnie dni matka ostrzegała ich wszystkich swoją łamaną angielszczyzną: „Na ulica być piec”. Każdej jesieni powtarzała żarliwie zalecenie, by

gdziekolwiek rzuci ich los, kiedy już dorosną, chodzili zawsze do świątyni na Jom Kipur; inaczej ludzie pomyślą, że są „kominiści”. Przesiadwała przy oknie, wymieniając skinienia głowy z kobietami w oknach po drugiej stronie ulicy i wypatrując sterowców, i opowiadała o wcale nie tak odległych czasach, kiedy całe rodziny wylegały przed domy, żeby obserwować aeroplany na niebie. Potrafiła zaśpiewać pierwsze zwrotki dwóch piosenek, których nauczyła się w Ameryce – „Nie chodź po zmroku do parku” i „Nie wychowam swego syna na żołnierza”. Obie były obecnie na czasie. Ta krucha, pełna macierzyńskiego ciepła kobieta o wiecznie zabandażowanej szyi nigdy nie nauczyła się czytać po angielsku ani rozumieć wiele z tego języka, ale rozpoznawała arie z „Carmen”, „Toski”, „Fausta”, „Aidy”, „Madame Butterfly” w stojącym w living-roomie wielkim, starym radioodbiorniku Atwater-Kent – kupionym przez Sida, przypominał sobie teraz Gold, za pieniądze odkładane w tajemnicy z tego, co zarabiał pracując popołudniami w pralni, a w sobotnie wieczory i niedzielne popołudnia w dziale zaopatrzenia sali bankietowej. Skąd, do cholery, ona mogła się znać na operach?

W pierwsze wonne, ciepłe dni marca lub kwietnia straganiarze wytaczali na ulice swoje wózki ze stertami owoców i warzyw i rozpoczynało się nieustające, trwające już do końca lata zachwalanie najświeższych, najdojrzalszych produktów. Dwadzieścia pięć funtów ziemniaków z Long Island kosztowało ćwierć dolara. Straganiarze, bez wyjątku krzepcy, opaleni na brąz Włosi, często z cygańskimi przepaskami na czołach i szyjach, napełniali okolicę szczególną wrzawą ochrypłych pokrzykiwań, spośród których w pamięć zapadło Goldowi zwłaszcza jedno rymowane zawołanie:

*Jeśli masz pieniądze, idź w miasto i kupuj.
Jak nie masz pieniędzy, w domu siedź na dupie.*

Słyszał potem to samo zawołanie ulicznego sprzedawcy w wykonaniu instytucji finansowych, producentów i rządów.

Kiedy skręcał z Coney Island w stronę domu, głowę miał już pełną herezji, herezji, których na pewno nie ogłosi nigdy drukiem ani słowem mówionym, a mózg pompował urywki pomysłów możliwych do wykorzystania w zaangażowanym artykule na temat rozkładu i zepsucia. Znacjonalizować Rockefellerów i wytępić wszystkie Homes of Morgan. Nieczystości. Góry nieczystości gromadziły się na poboczach dróg całego kraju i wszyscy, prócz zblizowanych ekscentryków, z niezmaconym spokojem ducha śmiecili gdzie popadnie. W drapaczu chmur Half Moon Hotel na Coney Island mieścił się obecnie Dom Starców, a przedsiębiorczy młodociani przestępcy mordowali starszków ot tak sobie, dla rozrywki. Gold dysponował dowodem w postaci wycinków prasowych. Naród nie potrafił się zająć swoimi opuszczonymi starcami i zblazowaną młodzieżą. Gold wiedział coś, czego nie wiedział nikt inny, ale nie zamierzał tego wyjawiać: wiedział mianowicie, że w ramach amerykańskiego systemu kierowania krajem nie ma już żadnych prawnych środków, które służyłyby zapobieganiu przestępczości, walce z ubóstwem, rozwijaniu gospodarki czy neutralizowaniu skutków zaniedbań, i że kiedy znajdzie się wreszcie w Waszyngtonie, nie będzie nawet tego próbował. Po co się wychylać? I jako zwolennik ewolucji społecznej, co może pewnego dnia podkreśli w swojej pracy „Każda zmiana jest na gorsze”, jeśli znajdzie kiedykolwiek czas, by ją napisać, wiedział coś jeszcze: wiedział mianowicie, że najbardziej zaawansowany i przedostatni etap rozwoju cywilizacyjnego osiągnięty zostaje wtedy, kiedy chaos zaczyna udawać porządek, i był zdania, że ten etap został już osiągnięty.

Biurowce wyrastały jak grzyby po deszczu tam, gdzie nie brakowało przestrzeni biurowej, i jak dzikie wino pieniły się i rozrastały niczym pleśń rozmaite organizacje o

brobdingnagiańskich¹⁰ nazwach, z synekurami i ciepłymi posadkami dla ludzi o ograniczonej mentalności i niejasnych pobudkach. Gold wyciął z gazet wzmianki o kilku takich i znał ich treść na pamięć:

Irving Kristol jest konsultantem naukowym przy Amerykańskim Instytucie Inicjatywnym do spraw Badań nad Polityką Społeczną.

Sidney Hook, emerytowany profesor New York University, jest starszym członkiem rady naukowej przy Instytucie Wojny, Rewolucji i Pokoju imienia Hoovera.

Koledzy donoszą, że senator elekt S. I. Hayakawa, były dyrektor San Francisco State College, przesypia seminaria współsponsorowane przez Harvardzki Instytut Polityki i Bibliotekę Działu Badawczego przy Kongresie Stanów Zjednoczonych.

Były sekretarz stanu Henry A. Kissinger zgodził się zostać konsultantem w nowym Centrum Studiów nad Amerykańskimi Doświadczeniami przy University of Southern California. Jego uposażenia nie podano do publicznej wiadomości.

Każde dobre miejsce zawsze z czasem podupadało, a wszystko co złe stawało się jeszcze gorsze. Dzielnice mieszkaniowe, parki, plaże, ulice, szkoły popadały w coraz to większą ruinę, gniły całe miasta. Żyjące z zasiłku rodziny z Coney Island kwaterowano teraz w Sea Gate. Po prostu za dużo gnieździło się tam ludzi. Włosi, Żydzi, czarni, Portorykańczycy – przypominało to wielkie kaukaskie migracje i brakowało już miejsca. Asymilacja nie wchodziła w grę, awans społeczny można było między bajki włożyć. Masy były świadkami lawinowej zapaści. Te przewijające się Goldowi przez głowę sformułowania, opisujące degenerację i upadek, podnosiły go wielce na duchu. Był to zjazd po równi pochyłej w ciemność i niebyt, skok na głowę w dezintegrację i plugastwo. Ktoś powinien coś zrobić. Nikt się nie kwapił. Żadne, choćby funta kłaków warte społeczeństwo nie przyglądałoby się biernie własnej zagładzie, nie podejmując jakiegóż poważnej próby powstrzymania toczącej je choroby. Z tego wynika, wywnioskował Gold, że nie tworzymy społeczeństwa. Albo nie jesteśmy warci funta kłaków. Albo i jedno, i drugie.

Miał już pomysł na artykuł.

Wieczorem następnego dnia zamknął się w swoim gabinecie sam na sam z papierem, maszyną do pisania oraz teczkami wycinków z gazet i czasopism, które mogły się okazać przydatne.

Tego kłamcę Richarda Helmsa, byłego dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej, postawiono wreszcie przed sądem pod zarzutem popełnienia krzywoprzysięstwa i o dziwo, pozwolono mu się wykręcić przyznaniem do jakichś trywialnych wykroczeń. Odchodząc od długiej tradycji, o przesłuchaniu nie powiadomiono prasy. Prokurator Generalny Stanów Zjednoczonych zaprzeczył gniewnie pogłoskom, jakoby proces toczył się za zamkniętymi drzwiami na mocy porozumienia zawartego pomiędzy Departamentem Sprawiedliwości a adwokatami pana Helmsa.

„Moim zdaniem nie zapadnie wyrok orzekający karę więzienia, będę otrzymywał nadal pensję od rządu Stanów Zjednoczonych, a dochodzenie zostanie zamknięte* – miał podobno powiedzieć sędziemu pan Helms.

„Ten sąd nie czuje się związany żadną umową zawartą pomiędzy Departamentem Sprawiedliwości a panem Helmsem” – oświadczył federalny sędzia okręgowy Barrington D. Parker na rozprawie, w której uczestniczyli

¹⁰ Brobdingnag – w „Podróżach Guliwera” J. Swifta nazwa królestwa olbrzymów, w którym Guliwer przeżywa swoją drugą przygodę (przyp. tłum.).

jedynie pan Helms, jego adwokaci, przedstawiciele Departamentu Sprawiedliwości oraz urzędnicy sądowi.

A potem sąd ukarał Helmsa jedynie grzywną w wysokości dwóch tysięcy dolarów za składanie pod przysięgą niezgodnych z prawdą zeznań w sprawie tajnego udziału CIA w obaleniu demokratycznie wybranego rządu w Chile. Sprawiedliwości stało się zadość.

Federalny sędzia okręgowy Barrington D. Parker powiedział panu Helmsowi przed ogłoszeniem wyroku: „Dopuścił się pan krzywoprzysięstwa i stoi teraz przed tym sądem okryty hańbą i wstydem”.

„Nie czuję się wcale okryty hańbą” – oznajmił dziennikarzom pan Helms, opuściwszy salę sądową po ogłoszeniu wyroku.

Jego adwokat, Edward Bennett Williams, dał dobitny wyraz temu szczególnemu pojmowaniu uczciwości oraz wierze w sprawiedliwość i prawdę, z których słyną od wieków przedstawiciele jego profesji:

Na sali sądowej powiedział sędziemu Parkerowi, że pan Helms „nosić będzie piętno wyroku skazującego przez resztę swego życia”. Natomiast dziennikarzom zgromadzonym pod salą sądową oświadczył, że wbrew temu, co powiedział sędzia Parker, pan Helms „nosić będzie swój wyrok skazujący z wysoko podniesionym czołem, traktując go jak honorowy order”.

Felietonista polityczny nowojorskiej gazety *Daily News* nazwał rozstrzygnięcie tej sprawy „zwyczajnie i po prostu odgórnie ustalonym”. Prokurator Generalny Stanów Zjednoczonych poczuł się ze zrozumiałych względów urażony posądzeniem o branie udziału w odgórnym ustalaniu i zareagował na nie najlepiej, jak potrafił. Goldowi wydawało się nieprawdopodobnym, by doczekał się w życiu jeszcze jednego Prokuratora Generalnego USA z mózgiem ogłupiałego wołu i mentalnością korkociągu, ale dowód, który miał teraz przed oczyma, był rozpaczliwie przekonujący:

BELL ZAPRZECZA STOSOWANIU PODWÓJNEGO STANDARDU WOBEC HELMSA

Prokurator Generalny Griffin Bell zaprzeczył wczoraj gniewnie, jakoby Departament Sprawiedliwości zastosował „podwójny standard”, rozpatrując sprawę byłego dyrektora CIA, Richarda M. Helmsa. Bell utrzymywał, że zalecenie Departamentu Sprawiedliwości, by Helms nie został skazany na karę więzienia i nadal otrzymywał swoją pensję rządową, było „uczciwe i sprawiedliwe”. Zaprzeczył stosowaniu „podwójnego standardu” w wymierzaniu sprawiedliwości bogatym i biednym. „Tylko zamożni idą do więzienia” – powiedział.

To było dla Golda coś nowego. Odskokzył od tej nowości ze wstrętem, by dowiedzieć się czegoś więcej o tym wysokim urzędniku państwowym w służbie publicznej, który zachował swoją rządową pensję i w cudowny sposób uniknął dyskryminacyjnej kary więzienia, zasądzonej systematycznie w procesach kryminalnych innym przedstawicielom dobrze sytuowanych ludzi.

Richard McGarrah Helms (nie lubi używać swojego drugiego imienia) stanowił niemal klasyczny wzorzec postaci z establishmentu. Jego ojciec był dyrektorem korporacji, a dziadek ze strony matki, Gates McGarrah, międzynarodowym bankierem. Dwa lata szkoły średniej spędził w Szwajcarii i

Niemczech, gdzie nauczył się zarówno francuskiego i niemieckiego, jak i towarzyskiego obycia.

Gold wolał już chyba być Żydem.

Ze wstrętem odsunął Richarda McGarraha Helmsa na bok, z postanowieniem wykorzystania go jakoś w swojej książce o Kissingerze albo o żydowskich doświadczeniach, i z koncentracją, którą niemal od samego początku rozpraszał podświadomy żal, że nie pracuje już nad tą książką, zabrał się do stojącego przed nim aktualnie zadania.

DAVID EISENHOWER PISZE KSIĄŻKĘ O CHARAKTERZE SWOJEGO DZIADKA

David Eisenhower pisze intymne studium charakterologiczne swojego dziadka. „Zawrę w tej pracy moje wspomnienia o nim – powiedział pan Eisenhower – ale im mniej będzie w książce mnie, tym lepiej”.

Pan Eisenhower wyjaśnił, że to najstosowniejsza pora na powstanie tego dzieła. „Ukończyłem właśnie studia prawnicze, a zawsze miałem ambicje wykazania się na polu literackim. I wpadł mi do głowy pomysł napisania tej książki”.

Książki pisali John Ehrlichman, Spiro Agnew i H. R. Haldeman. Pisał również książkę Gerald Ford:

UTALENTOWANY FACET

Prezydentowi Fordowi pozostało jeszcze 17 dni urzędowania, ale podpisał już z agencją talentów Williama Morrisa umowę na reprezentowanie go, kiedy powróci do prywatnego życia. Będzie miał tego samego agenta, który reprezentował mistrza olimpijskiego w pływaniu, Marka Spitz, oraz konia wyścigowego Sekretariat.

William Morris ma zagwarantowane 10 procent od honorarium za każdą książkę, jaką może napisać prezydent, za każdy odczyt, jaki może wygłosić, oraz za każde ewentualne wystąpienie w telewizji.

Skoro Gerald Ford mógł pisać książkę, to czy istniał jakikolwiek powód, dla którego nie miałby pójść w jego ślady Sekretariat? Za to ujmująca scenarzystka o nazwisku Nancy Dowd nie pisała książki:

Koleżanki z klasy w Smith College przepowiadały Nancy Dowd karierę „Jamesa Joyce'a naszego pokolenia”, jednak pannie Dowd zdaje się zupełnie wystarczać pisanie scenariuszy w Hollywood. „Nie miałabym nic przeciwko napisaniu jakiejś powieści – powiedziała – ale tak mnie pochłania sposób, w jaki przedstawić można ludzkie zachowania w filmie”.

Gold zapalał ciepłym uczuciem do panny Dowd i zaczął na serio rozważać pomysł wysłania jej listu z gratulacjami, że nie pisze żadnej książki.

Książkę napisał Richard Nixon.

Prezydent Stanów Zjednoczonych napisał książkę o jednym roku, jaki spędził w Białym Domu, i być może pracował w tajemnicy nad następną o drugim.

Popularna modelka nazwiskiem Cheryl Tiegs przewyciężyła poważne obawy i postanowiła napisać książkę:

Tiegs wynegocjowała z wydawnictwem Simon & Schuster umowę gwarantującą jej honorarium autorskie w wysokości 70 000 dolarów plus

wynagrodzenie dla redaktora merytorycznego. „Pisanie ma tę złą stronę – stwierdziła mimo to – że nie ma z niego wielkich pieniędzy”.

Książkę pisał nawet ten tłusty mały kutas Henry Kissinger! Pamiętnik. I to teraz, kiedy Gold odwalił już większą część roboty. Jeśli wierzyć kilku artykułom zamieszczonym w *The New York Timesie*, były sekretarz stanu negocjował prawa do publikacji z taką samą żywiołową subtelnością i dyplomacją, jakiej obrazowy popis dał na urzędzie państwowym. Pierwszy z tych artykułów *Timesa* donosił:

NOWA TRASA OBJAZDOWA KISSINGERA: RAJD PO WYDAWCACH Z PAMIĘTNIKIEM

Sekretarz stanu Henry A. Kissinger wybiera się w jedną ze swoich najbardziej wyzywających podróży dyplomatycznych – wędrowkę po wydawnictwach w celu sprzedania swego pamiętnika. O tym, jak umiejętnie negocjuje prawa do historii swego życia, świadczyć może sama różnica pomiędzy wielką a największą zaliczką w dziejach ruchu wydawniczego. Wymienia się sumy od 1 do 3 milionów dolarów, plus dodatki.

Pan Kissinger, który w przeszłości negocjował już podobne kontrakty, nie korzystał nigdy z usług agenta literackiego i, jak twierdzi dobrze poinformowane, wiarygodne źródło z Departamentu Stanu, prawdopodobnie również i teraz takiego nie zatrudni.

Drugi artykuł informował:

KISSINGER ANGAŻUJE AGENTA LITERACKIEGO

Aby podnieść wartość swoich wspomnień na rynku, sekretarz stanu Henry Kissinger zaangażował potężną agencję literacką, która będzie go od tej pory reprezentowała. Agencją tą jest International Creative Management.

Do klientów ICM zaliczają się między innymi Barbra Streisand, Steve McQueen, Isaac Steni, Peter Benchley, Arthur Miller, Tennessee Williams, Harry Reasoner, Joseph Heller oraz sir Laurence Olivier.

Mówi się o 2 do 3 milionów dolarów

Zgodnie z informacjami napływającymi z kręgów wydawniczych, na figurujące w umowie „dodatki” składa się wynagrodzenie za dożywotnią konsultację redakcyjną, pokrycie kosztów reklam w czasopiśmie i gazetach, reklam i osobistych wystąpień w telewizji, kosztów utrzymania licznego personelu, limuzyn z szoferami oraz inne wydatki.

Gold podejrzewał, że owe „inne wydatki” to między innymi opłacanie dwóch zmian goryli po trzech każda, wynajętych podobno przez sekretarza stanu na własny koszt.

Gold, z jadowitą mizantropią znacznie przewyższającą naturalne pokłady zazdrości spotykane u przeciętnego człowieka, jeszcze raz przebiegł wzrokiem podawane w dolarach sumy. Jego pierwotne plany napisania książki wspomnieniowej o Kissingerze wzięły w łeb. Ale wychodząc z założenia, że kiedy tylko sporządzone zostaną fotokopie rękopisu Kissingera na użytek klubów książki i do celów promocyjnych, z łatwością zdobędzie jego egzemplarz i dokona zręcznego przegrupowania posiadanych informacji, formując jeszcze bardziej agresywną linię ataku. Na sześć miesięcy przed pojawieniem się książki Kissingera na rynku będzie już mógł przystąpić do obalania zawartych w niej twierdzeń i podważania zajmowanych stanowisk kanonadą demaskatorskich artykułów, które pomniejszą komercyjną wartość dzieła sekretarza stanu, podbijając jednocześnie zainteresowanie jego, Golda, książką. Niech ten mały ruchliwy sukinszyn publikuje pierwszy, jeśli śmie! Gold włączy

naturalnie wszystkie swoje artykuły do swojej książki, ale wielka forsa będzie niestety płynęła nadal do tajemniczego byłego profesora Harvardu i sekretarza stanu, którym teraz między innymi był, konsultanta Centrum przy Southern California University, zajmującego się, jakby już nie było ważniejszych tematów do studiowania, badaniami nad amerykańskimi doświadczeniami.

Goldowi wydawało się haniebnym i zniechęcającym, że ta nikkczemna postać mająca na sumieniu podłości zbyt horrendalne, by dało się zmierzyć ich ogrom, i zbyt liczne, by można je wszystkie spisać, zamiast dreptać w Spandau po spacerniku razem z Rudolfem Hessem, będzie się w najlepsze rozbijać samochodami prowadzonymi przez szoferów, podczas gdy on musi jeździć wynajętymi.

Gold, który kolekcjonował wszystko, co kiedykolwiek zostało opublikowane przez Kissingera bądź o nim, potrafiłby z pewnością napisać o sekretarzu stanu lepszą książkę niż on sam o sobie. Po pierwsze, czuł do Kissingera obiektywną antypatię, której sekretarz stanu do siebie samego prawdopodobnie nie odczuwał, a jeśli nawet, to nie w takim stopniu. Mocno wątpił, czy temu wyrafinowanemu człowiekowi, który przez osiem lat perfidnie kontrolował własne rozmowy telefoniczne i maczał palce w nielegalnym zakładaniu podsłuchów na prywatne linie telefoniczne dziennikarzy i własnych współpracowników, starczy poczucia humoru, wielkoduszności i samokrytyki, by przedstawić siebie samego w komicznym świetle śmieszności i nienawiści, jaką wzbudzał u tylu osób. Albo czy potrafi się zdobyć na dostrzeżenie nikkczemnego charakteru swoich małych gierek oraz krwawych katastrof będących rezultatem tych wielkich. Zamieszczona w *The New York Timesie* opinia sędziego Anthony'ego C. Lewisa brzmiała następująco:

Był nieczuły na cierpienie; nic nie wskazuje na to, by tragedia Wietnamu wstrząsnęła nim tak samo, jak innymi.

Trzeba by też nie mieć za grosz wyobraźni, by uznać za rzetelne jakiegokolwiek studium osoby Kissingera pióra samego Kissingera. Zapytany o swoją rolę w wojnie kambodżańskiej, która pociągnęła za sobą śmierć około pięciuset tysięcy ludzi, powiedział:

„Być może brakuje mi wyobraźni, ale nie dostrzegam tu jakoś aspektu moralnego”.

Natomiast inny wysoki urzędnik Departamentu Stanu, William C. Sullivan, wyznał:

„Wybór prezydenta na kolejną kadencję jest wyrazem poparcia społeczeństwa dla tej wojny”.

Gold nie przypominał sobie ani jednego wypadku zabrania przez Kissingera głosu w proteście przeciwko faszystowskiemu używaniu sił policyjnych do rozpędzania demonstracji przeciwko wojnie w Azji Południowo-Wschodniej. Na ile obiektywnie ustosunkuje się w swym dziele sekretarz stanu do zgromadzonych przez Golda niepochlebnych ocen swojej osoby, że (1) jest „tak samo małostkowy, jak ci wszyscy patentowani łajdacy z administracji Nixona”, że (2) jego polityka i poczynania są „napiętnowane ignorancją i głupotą” i prawdopodobnie zostaną uznane przez historię za „mierne, jeśli chodzi o osiągnięcie zamierzonych celów dyplomatycznych i żenujące z humanistycznego punktu widzenia”, oraz (3) w odniesieniu do jego największego dokonania, czyli doprowadzenia do pokoju w Wietnamie, że „Kissinger przyniósł Wietnamowi pokój w taki sam sposób, w jaki Napoleon przyniósł go Europie: przegrywając” – i że „gdyby to od niego zależało, bombardowalibyśmy Wietnam do dzisiaj”. Albo jak skomentuje radosne podsumowanie publicysty *The New Republic*, który w odpowiedzi na pogłoskę, jakoby Kissinger miał wkrótce odejść z rządu, by

podjąć pracę w telewizji, dziękował Bogu, że teraz „sekretarz stanu będzie mógł błyszczeć swoimi kuglarskimi talentami przed kamerą, zza której nikomu nie zaszkodzi”? Czy Kissinger, jak sam twierdził, naprawdę pragnął „brutalnego epizodu”, który przesądziłby o militarnej klęsce Izraelczyków? Czy naprawdę próbował opóźnić dostawy broni do tego kraju podczas wojny Jom Kipur? Czy naprawdę czuł się zdeprymowany, kiedy wojska izraelskie przeprowiły się przez Nil i otoczyły armie egipskie zajmujące pozycje na drugim brzegu rzeki? Gold posiadał obszerną dokumentację świadczącą o zwyczajnej głupocie tego fiuta:

KISSINGER NAZYWA NIXONA „NIESYMPATYCZNYM”
KISSINGER PRZEPRASZA ZA SWOJE SŁOWA KRYTYKI
POD ADRESEM NIXONA
KISSINGER KRZYKIEM ODPIERA W SALZBURGU ZARZUT,
JAKOBY KŁAMAŁ W SPRAWIE CHILE

„Władza jest wielkim afrodyzjakiem”, powtarzał nieraz ten chełpiący się swoją błyskotliwością i inteligencją człowiek, co w ocenie Golda było arogancją i naiwnością, które zasługiwały na pogardę. Gold wiedział z własnego doświadczenia, że kobiety są lepszym. Jego zdaniem tylko ptasi mózdzek w czasie trwania wojny, kiedy wszelkie wysiłki zmierzające do zawarcia pokoju od blisko czterech lat spełzały na niczym, mógł oświadczyć dziennikarce: „Kiedy rozmawiam z Le Duc Tho, zachowuję się tak, jak oczekuje tego ode mnie Le Duc Tho, a kiedy jestem z dziewczyną, zachowuję się tak, jak oczekuje tego ode mnie dziewczyna”. Gold nie sądził, by Kissinger wiedział, jakiego zachowania oczekuje od niego Oriana Fallaci, dziennikarka przeprowadzająca z nim wywiad, bo jego odpowiedzi brzmiały:

„Nie, nie chcę wdawać się w polemiki na ten temat”. „Dosyć, nie chcę więcej rozmawiać o Wietnamie”.

„Och! Nie, nie odpowiem mu. Nie odpowiem na jego zaproszenie”.

„Proszę mnie o to nie pytać”.

„Na to pytanie nie mogę odpowiedzieć”.

„Nie mogę, nie mogę... nie chcę odpowiadać na to pytanie”.

„I proszę mnie więcej nie zmuszać do rozmowy na temat Wietnamu”.

„Doprawdy, wystarczy już tego Wietnamu. Porozmawiajmy o Machiavellim, Ciceru, o czymkolwiek, byle nie o Wietnamie”.

„Nie, nigdy nie byłem przeciwko wojnie w Wietnamie”. „Czy my nadal rozmawiamy o Wietnamie?”

„Władza, jako instrument rządzący się własnymi prawami, zupełnie mnie nie fascynuje”.

„Liczy się tylko stopień, do jakiego kobiety stanowią część mego życia, są ośrodkiem mojego zainteresowania. No więc, wcale nim nie są. Kobiety nie są dla mnie niczym więcej, jak sposobem na spędzanie wolnego czasu, czymś w rodzaju hobby. Leży tu mój terminarz, z którego jasno wynika, że nie poświęcam im zbyt wiele czasu”.

„...zawsze działałem w pojedynkę. Amerykanie ogromnie to lubią. Podziwiają konnego kowboja prowadzącego samotnie karawanę, samotnego kowboja wjeżdżającego na koniu do wioski albo miasteczka”.

„Ta romantyczna, tajemnicza postać pasuje do mnie, bo samotność była zawsze moim stylem bycia – albo techniką, jeśli pani woli. Tak samo niezależność. Tak, to dla mnie bardzo ważne. I na koniec jeszcze zdecydowanie. Jestem zawsze przekonany o konieczności tego, co robię. I ludzie to wyczuwają, wierzą w to. A ja przywiązuję wielką wagę do swojej wiarygodności”.

„Nie zależy mi na popularności, nie szukam jej. Jeśli naprawdę chce pani wiedzieć, to nie dbam o popularność. Mogę sobie pozwolić na mówienie wszystkiego, co myślę. Odwołuję się do tego, co jest we mnie autentyczne. Niech pani weźmie na przykład takich aktorów – ci rzeczywiście dobrzy nie zdają się na samą tylko technikę gry. Odtwarzając jakąś rolę, wyrażają również własne uczucia. Podobnie jak ja, są autentyczni”.

– Rany, ależ ten zadufany w sobie *szmok* truje – powiedział na głos Gold.

„Dlaczego się na niego zgodziłem? – skomentował później ten wywiad pan Kissinger. – Doprawdy nie wiem”.

Dziennikarz z *Timesa* stwierdził:

„[Jego] żarty mają w sobie coś upiornego. Fakt, że honorujemy osobę, która dopuściła się w naszym imieniu takich czynów, nie świadczy o nas najlepiej”.

Przejście od Kissingera do rdzy, śmieci, zgnilizny i moralnego upadku było naturalne i wejście córki wcale nie odciągnęło uwagi Golda od pracy nad artykułem.

– Chcesz kolację? – zapytała.

Gold machnął niecierpliwie ręką, nie podnosząc głowy znad tego, czym był pochłonięty. Po godzinie miał już tytuł:

NIE TWORZYMY SPOŁECZEŃSTWA,
Czyli
SZKODA NA NAS SOLI

Ten tytuł śpiewał. Płonęły ognie przeznaczenia.

VIII

**Nie tworzymy społeczeństwa
czyli
szkoda na nas soli**

Podoba mi się pierwsza część tytułu, ale druga już nie. – Na oczach przyglądającego mu się z chłodną niechęcią Golda Lieberman wziął ołówek i zamazał grubymi, czarnymi krechami nie podobające mu się słowa, zupełnie jakby wyskrobywał je z kartki jakimś prymitywnym, kamiennym narzędziem. – No, teraz o wiele lepiej, nie sądzisz? „Nie tworzymy społeczeństwa”.

– W tej wersji tytuł raczej nie intryguje.

– Możemy go rozbudować. Zastanawiam się, czy nie zacząć nosić much w kropki. Jak bym w nich wyglądał?

Gold nie miał wątpliwości, że okropnie.

– Moim zdaniem świetnie – odpowiedział.

– Moim też. – Lieberman odchylił się na oparcie swojego obrotowego fotela z wyrazem błogosławienia samozadowolenia i lekceważenia na twarzy.

– Powiedz mi teraz, co to za dyrdymalenie z tą solą? – podjął po chwili. – Co rozumiesz pod tym „szkoda na nas soli”? Co to niby ma oznaczać?

Goldowi przemknęło przez myśl, czy czasem nie wstać i nie wyjść.

– To gra słów – powiedział defensywnie. – W moim odczuciu, abstrahując od idiomatycznej wartości tej metafory, sól to jeden z będących w powszechnym użyciu artykułów pierwszej potrzeby, wprowadzających pewien rodzaj spoistości i skłaniających poszczególne rodziny z danego regionu do łączenia się w zbiorowość, którą przyjęło się nazywać społeczeństwem.

– To rozumiem. I tak trzeba to było ująć – poinstruował go Lieberman nieznośnym tonem pouczenia. – Spoistość jest lepsza. Sól jest zbyt skomplikowana.

– Sól?

– Zwłaszcza w tym zwrocie „szkoda na nas soli”. Zmienimy ją na „spoistość”. Postaraj się nie zapominać, Bruce, że mamy wysoce wykształconą, bardzo intelektualną, interesującą się polityką grupę czytelników, którzy są zawsze bardzo dobrze poinformowani i po prostu nie będą wiedzieli, co masz na myśli mówiąc „szkoda na nas soli”. A tak właściwie, to co ty właściwie masz na myśli? Ja nie chwytam. Co tu ma do rzeczy sól? I dlaczego jej szkoda? I czemu akurat soli, a nie, dajmy na to, wołowiny?

– Mów dalej – mruknął Gold.

– Zatytułujemy to: „Nie tworzymy społeczeństwa, czyli czy brak nam tych będących w powszechnym użyciu artykułów pierwszej potrzeby, które wprowadzając pewien rodzaj spoistości skłaniają poszczególne rodziny z danego regionu geograficznego do łączenia się w zbiorowość zwaną społeczeństwem?” Słowo „spoistość” działa tutaj jak zaklęcie. Możemy nafaszerować to seksem i usunąć całą sól. Pamiętaj, Bruce, że jestem doświadczonym wydawcą, czego nie da się powiedzieć o tobie – ciągnął Lieberman, tryskając poczuciem wyższości. – Wiesz przecież, że raz byliśmy nawet z Sophie na kolacji w Białym Domu. A zaproszono nas tam przez wzgląd na moje zasługi, nie zaś dzięki podlizywaniu się jakiemuś antysemicie w rodzaju Ralpha.

– Dostałeś się tam – przypomniał mu Gold, tracąc całe opanowanie na rzecz furii, która tłamszona pod raczej pacyfistycznym nastawieniem, z jakim tu przyszedł, wzięła wreszcie górę – za popieranie wojny razem ze zgrają innych pieprzonych dupków, zbyt zepsutych, żeby wygarnąć Johnsonowi i Nixonowi w oczy, że są złamanymi palantami. Gdybym miał dzieciaka, który ucierpiał w tej wojnie, urwałbym ci teraz łeb. Ty żółty hipokryto, nie zauważyłem jakoś, żebyś się rwał w kamasze. A twoi synalkowie, gdyby byli wtedy w wieku poborowym, załatwiliby sobie razem z moimi odroczenie, prawda? Mam już pomysł na nowy artykuł.

– Daj mi go pierwszemu do przeczytania. – Lieberman wstał, uśmiechając się przymilnie.

– Tyle jesteś mi chyba winien.

– I tak go nie wydrukujesz – stwierdził Gold, wydymając usta. – Nosi tytuł „Mój posiłek w Białym Domu”, Skoczek i Sophie Liebermanowie.

– Opisany na podstawie ich relacji przez Bruce'a Golda – syknął Lieberman niemal siny z nienawiści – który nigdy tam nie jadł.

– Ale próbuje. Udanego dnia, kutasie.

– Udanego dnia, Bruce. – Stali przez chwilę nieruchomo, mierząc się nawzajem wzrokiem. Chyba nie istniała na świecie druga tak kontrastowa para przyjaciół, którzy wcale się nie lubili i którzy byli tak nieprzejednani w sporze na prawie każdy temat. – Pomyśl jeszcze trochę nad poprawieniem tytułu, a ja tymczasem zredaguję tekst – powiedział Lieberman. – Może powinienesz mnie dopisać jako współautora.

– Spróbuj zmienić chociaż jedno słowo – warknął Gold – a zabiorę ci to i sprzedam innemu czasopismu.

– Bruce, to cudowne – krzyknął z Waszyngtonu Ralph, połączywszy się za pośrednictwem swojej gorącej linii z mieszkaniem Golda, gdzie ten ostatni gromadził ukradkiem rodzinne książeczki bankowe oraz inne dowody własności, przygotowując się przezornie do awaryjnej zmiany ogniska domowego, gdy wybije w końcu godzina zero i dalsze odwołanie tej decyzji stanie się niemożliwe. – Co do tego wszyscy tutaj są zgodni.

– Naprawdę? – spytał Gold, doświadczając burzliwego przyływu otuchy.

– Nawet Prezydent. Prezydent kazał mi przekazać, że oszalał na twoim punkcie. Pyta, czy nie zechciałbyś przyjąć posady pisarza jego wystąpień.

– Nie – odparł Gold.

– To samo mu powiedziałem. Jesteś zbyt ważny pod własnym nazwiskiem. I byłbyś dla nas o wiele pożyteczniejszy jako niezależny głos pozostający pod naszą kontrolą.

– Naraziłoby to na szwank mój autorytet moralny – dorzucił Gold, starając się zapanować nad dreszczykiem podniecenia.

– Zwróć mu na to uwagę. Tak bardzo mu się podoba twój artykuł, Bruce, że nie chce, abyś go publikował.

– Nie chce?

– Chce go przytaczać we fragmentach jako swoje oryginalne przemyślenia – wyjaśnił Ralph – w przemówieniach, na konferencjach prasowych i w następnym orędziu o stanie państwa. Jest zachwycony twoimi sformułowaniami, Bruce. Znowu awansowałeś.

– Na kogo?

– Ustalimy to ostatecznie, zanim tu wrócisz, chyba że nie zdążymy. Podoba mu się zwłaszcza to, że sól nam szkodzi. Ależ ty masz niesamowity dar. Jak, u licha, wpadłeś na coś takiego? Mózg się od tego lasuje.

– Tam nie było, że sól nam szkodzi, tylko że jej na nas szkoda – skorygował Gold.

– On może będzie chciał to zmienić, Bruce – powiedział Ralph.

– To już zostało zmienione – poinformował go Gold. – Usunięte z artykułu. Wycięte.

– Przez kogo?

– Przez Liebermana – odparł Gold. – Sól mu się nie podobała. Chce ją zupełnie wyrzucić.

– Sól?

– Zmienia ją na spoistość. Ten rodzaj spoistości...

– Spoistość? – wykrzyknął Ralph tonem zranionego zaskoczenia. – Co to za słowo „spoistość”? On zwariował, Bruce. Nie wolno ci dopuścić, żeby zrujnował twój trud.

– Uważa sól za zbyt skomplikowaną.

– Nie wie, co czyni – powiedział Ralph. – Spoistość jest do niczego. Zwyczajnie szkoda na niego soli.

– Porozmawiasz z nim w tej sprawie?

– Nie będę rozmawiał z Liebermanem w żadnej sprawie – odparł Ralph. – I dopóki ja tu jestem, nie wkręci się drugi raz na kolację do Białego Domu. Ściągniemy tu za to ciebie. I wtedy zachowamy tę sól, prawda? Zresztą i tak nie będziesz publikował tego artykułu. Ale teraz obudziło się wrodzone wyczucie taktyki Golda.

– Są jeszcze inne miejsca, Ralph – rozpoczął swoje negocjacje. – I myślałem o umieszczeniu tego zwrotu w mojej książce. Pomoroy jest pod wrażeniem. Szkoda na nas soli. Szkoda mi tego artykułu.

– Nawet rozumiem dlaczego – powiedział Ralph. – Ale odstąp go Prezydentowi. Mimo wszystko jest jedynym Prezydentem, jakiego mamy.

– Bardzo mu na tym zależy, prawda? – zasugerował Gold.

– Prezydent potrafi być wdzięczny. Może będzie to ambasadorstwo w Anglii albo stanowisko sekretarza stanu. To ostatnie nie jest takie złe, Bruce. Podróżujesz sobie za darmo i we wszystkie noce masz wychodne. Chciałbyś być sekretarzem stanu?

– Daj mi się zastanowić – powiedział Gold z zimną krwią, o posiadanie której aż do tej pory siebie nie podejrzewał. – A co ze stanowiskiem szefa CIA, o którym kiedyś wspominałeś?

– Nim też mógłbyś zostać.

– Też? Ralph, czy coś z tego jest naprawdę możliwe?

– Nie widzę powodów, dla których nie miałyby być, jeśli nie szkoda na ciebie soli. Poradziłybyś sobie na obu tych stanowiskach jednocześnie?

– Nie widzę powodów, dla których nie miałbym sobie poradzić – powiedział Gold. – Zabiorę ten artykuł od Liebermana. I nabieramy wody w usta, tak?

– Soli – poprawił go Ralph i roześmiał się. – I pamiętaj: ściany mają uszy.

– Wiem – mruknął Gold. – Już do nich mówiłem.

– A ja z miejsca udaję się gdzie trzeba i zaczynam kampanię na twoją rzecz, chyba żeby mnie nie przyjął. Czyli nastawiamy się na sekretarza stanu, ambasadora w Anglii, szefa NATO...

– To ostatnie jakoś mi nie leży.

– ...albo dyrektora CIA. Najwyższy czas, Bruce, żebyś dostał to, na co zasługujesz, chociaż może jest jeszcze za wcześnie.

– Dziękuję, Ralph. Jesteś solą ziemi.

– Mógłbyś to powtórzyć, Bruce?

– Lieberman, nie podoba mi się ta spoistość.

– Nie zgodzę się na sól.

– No to zabieram artykuł.

– Dobiłeś targu gdzie indziej?

– Niech mnie Bóg pokarze nagłą śmiercią – powiedział Gold, nadzwyczaj kontent z warunków paktu, jaki zawierał z Zaświatami – jeśli kiedykolwiek ujrysz ten artykuł drukiem w innym czasopiśmie.

– I tak nie byłem nim zachwycony – burknął Lieberman z odpychającym rozdrażnieniem i Gold, nie tracąc pogody ducha, przypomniał sobie jeszcze jedno wyjaśnienie posępnej i przesyconej mściwością frustracji Liebermana. Otóż przed dwoma tygodniami Lieberman zgłosił z fanfarami swój akces na członka kanapowej, podupadającej konserwatywnej organizacji o nazwie Młodzi Amerykanie na rzecz Pokoju i został załatwiony odmownie, bo był za stary. Lieberman nosił dzisiaj muchę w kropki upstrzoną dodatkowo dobrze komponującymi się z podłożem okruchami i tłustymi plamami – jeszcze jeden Żyd tułacz, zawył w duchu Gold, gotów zaprzecić się własnej rasy, Żyd, który przerzucił się na muchę. Oprócz tego Lieberman miał na sobie wytartą skórzaną kurtkę i ze swoimi oczami jak szparki do złudzenia przypominał w niej zjeżoną bestię, do której swego czasu należała ta skóra. –

Mam na głowie ważniejsze sprawy niż ty i ta twoja sól. Chcę podjąć jakieś zdecydowane kroki w kwestii Chin, komunizmu i plantatorów winorośli z Kalifornii.

– A czym ci się naraziły Chiny?

– Nie ma tam politycznej demokracji – odburknął gderliwie Lieberman – ani wolności prasy.

– O, kurczę – powiedział Gold z udawanym zdumieniem. – I co zamierzasz?

– Oczywiście wystosować odezwę w formie petycji z listą bezwarunkowych postulatów i żądaniem, żeby się zmienili. Będę szukał sygnatariuszy.

– Licz na mnie – powiedział Gold.

– Planuję też specjalne wydanie mojego czasopisma, w którym ty i inni autorzy wyrażą w dwóch tysiącach słów moje uczucia.

– Ile zapłacisz?

– Nic.

– Na mnie nie licz.

– Chcesz, żeby dziewięćset milionów Chińczyków wegetowało bez wolności politycznej, bo tobie trudno się wyrzec tych marnych paru dolców? – wybuchną Lieberman z dzikim rozjątrzeniem oszalałego fanatyka. – Toż to jedna trzecia ludzkości.

– Jedna czwarta, imbecyłu. A co z tym komunizmem?

– Chcę powstrzymać natychmiast jego rozprzestrzenianie się na wszystkich granicach na świecie. Z użyciem sił zbrojnych, jeśli okaże się to konieczne.

– Czyich?

– Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem – przyznał Lieberman. – Ale zamierzam złożyć całej ludzkości propozycję nie do odrzucenia: zalecaną alternatywę, której nie będzie się w stanie oprzeć.

– Jaka jest ta zalecana alternatywa?

– Nad nią też się jeszcze nie zastanawiałem.

– No a co z tymi plantatorami winorośli?

– Robotnicy strajkują. Mamy do czynienia z zamieraniem tradycji i utratą szacunku dla ludzi pracy wolnego rynku.

– Jakie tu widzisz rozwiązanie? Lieberman miał gotową odpowiedź:

– Dotacje rządowe.

– Dla robotników?

– Dla plantatorów. Żeby im pomóc w zatankowaniu na jakiś czas gęby strajkującym i stworzyć warunki do skrzyknięcia się, celem maksymalnego wyśrubowania cen i ustabilizowania w ten sposób wolnego rynku.

– Tutaj też pasuję.

– To właśnie najbardziej mi się w tobie nie podoba – burknął Lieberman. – W niczym się ze mną nie zgadzasz. Znajdziesz to wszystko wyłuszczone w mojej najnowszej autobiografii. Boisz się opowiedzieć zdecydowanie po stronie status quo. I dlatego drepczesz w miejscu.

– Czyżby? – zapytał Gold i z satysfakcją dorzucił: – Właśnie znowu awansowałem.

– Na kogo? – spytał z zawiścią Lieberman.

– Nie wolno mi o tym mówić.

– Cały ten czas przepracowałeś w Waszyngtonie?

– Dupczyłem tam dziewczyny – odparł Gold z tajemniczym uśmiechem. – Więcej nie mogę ci powiedzieć.

– Też mi coś – parsknął wyzywająco Lieberman. – Ja też dupczyłem dziewczyny. – Po tym wyznaniu zamilkł i zapadła cisza, brzemienne pęczniącym ciężarem cisnącego mu się na usta wyznania. – Jeśli zdradzę ci pewną tajemnicę – podjął z niezwykłą u niego powściągliwością – to odwzajemnisz mi się tym samym? – Gold odparł, że nie, ale

Lieberman dalej narzucał się ze swoją spowiedzią: – A przyrzekniesz, że nikomu nie powiesz?

– Zabiorę to ze sobą do grobu – mruknął Gold.

– Ja też miałem przygody z dziewczynami – wydusił z siebie Lieberman skręcając się z zażenowania. – Odpowiedziałem na parę ogłoszeń z tej rubryki sex-pomoc poszukiwana, którą zamieszczamy na ostatniej stronie mojego czasopisma. Mam możliwość wybrać najlepsze z nich, zanim ukazą się drukiem. Zaskoczyło mnie, jakie to proste i ile ich tam jest. Nie miałem do tej pory pojęcia, że kobietom seks również sprawia przyjemność. Oczywiście – ciągnął, zniżając konfidencjonalnie głos, w którym pobrzmiwała mieszanina rozczarowania i zakłopotania – nie zawsze są to najpiękniejsze dziewczyny świata.

– O, kurczę – wykrztusił Gold.

– Ooo, kurczę – powiedział Gold w Waszyngtonie, kiedy Ralph zaproponował mu do wyboru stanowiska sekretarza stanu, ambasadora w Anglii, prokuratora generalnego Stanów Zjednoczonych albo dyrektora CIA w zamian za jego „Nie tworzymy społeczeństwa, czyli szkoda na nas soli”.

– Na twoim miejscu wybrałbym sekretarza stanu – zasugerował.

– Ale ja nie mam żadnych kwalifikacji – bąknął niepewnie Gold. – I żadnego doświadczenia.

– Takie drobiazgi nigdy nie miały znaczenia – zapewnił go Ralph.

To zaczynało mieć ręce i nogi.

– Ralph, czy jeśli zdecyduję się ostatecznie na objęcie stanowiska sekretarza stanu, to naprawdę zostanę wkrótce powołany na ten urząd?

– Och, mogę ci to praktycznie zagwarantować – powiedział Ralph – chociaż pewności jeszcze nie mam. Na razie tylko tyle mogę ci powiedzieć.

– Czy Senat mnie zatwierdzi? – spytał Gold. – Większość z nich nie wie nawet, kim jestem.

– To przemawiałoby zdecydowanie na twoją korzyść – powiedział Ralph. – Jak sam wykazałeś z taką elokwencją w swoim artykule, Bruce, im więcej wiemy o jakimkolwiek kandydacie na urząd publiczny, tym mniej zasługuje on na nasze poparcie, a idealnym nominatem na prezydenta jest zawsze ktoś, o kim nikt w kraju absolutnie niczego nie wie.

– Ralph! – krzyknął Gold. – To był żart, sarkazm, satyra.

– My to uznajemy – powiedział Ralph spoglądając na niego z ponurym wyrzutem – za prawdę absolutną i uwzględniamy także w naszych kalkulacjach na przyszłość. Szkoda, Bruce, że twoje nazwisko pojawiało się w gazetach, bo mógłbyś zostać naszym nominatem na następnego prezydenta. Zdecyduj się na sekretarza stanu, Bruce, przynajmniej na teraz. Traktuj to jako punkt zaczepienia.

– Co bym musiał robić? – spytał Gold.

– Nic – odparł Ralph. – I miałbyś mnóstwo personelu do pomocy. Miałbyś pod sobą zastępcę podsekretarza stanu dysponującego mapą ze stolicami wszystkich państw świata i drugiego z wykazem nazwisk ludzi u władzy, dzięki czemu nie musiałbyś dowiadywać się tego wszystkiego z gazet. A gdybyś chciał się ewentualnie czymś zająć, to miałbyś do wyboru, do koloru spraw, w które mógłbyś się wtrącać.

– A mógłbym zajmować się polityką?

– Ile dusza zapragnie.

– Polityką zagraniczną też?

– I wewnętrzną. Jesteś wystarczająco bystry.

– Wystarczająco bystry?

– Och, naturalnie – powiedział Ralph. – Bruce, znasz Prezydenta tak samo dobrze, jak ja...

– Nie zdążyłem go jeszcze poznać – sprostował sztywno Gold.

Ralph zmieszał się.

– Nie był na przyjęciu urodzinowym twojej starszej siostry?

– Bawił wówczas w Chinach.

– Ale przecież zabrałem cię na spotkanie z nim do Białego Domu, kiedy tak dobrze spisałeś się w Komisji, prawda?

– Ucinał sobie akurat drzemkę.

– No cóż, będziesz musiał się z nim spotkać przynajmniej raz, żeby mógł ci wręczyć nominację – stwierdził Ralph. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

– Nie sądzę, żebym miał.

– Zdradzę ci, że najłatwiej przepchnąć u niego swoją sprawę, kiedy jest śpiący i chce się zdrzemnąć – powiedział Ralph. – Dlatego właśnie wtedy walą do niego największe tłumy, ale musisz się streszczać. Jest zbyt zapracowany, by trwonić czas na sprawy życia i śmierci, którymi zupełnie stracił zainteresowanie. Chociaż podejrzewamy – wyznał, zerknąwszy przedtem płochliwie na ścianę – że kiedy wszyscy myślą, że ucina sobie drzemkę, on często wcale nie śpi, tylko pisze w tajemnicy drugą książkę. Jeśli trafisz do niego ze swoją sprawą, kiedy jest wyspany, siedź tam, jeśli możesz, dopóki oczy mu się nie zamglą i nie zacznie ziewać. Jeśli jesteś przy nim, kiedy sen go morzy, możesz bez trudu uzyskać jego akceptację dla praktycznie każdego posunięcia politycznego.

– A przypuścimy – powiedział Gold – że będzie to złe posunięcie polityczne? Przypuścimy, że popełnię błąd.

– W rządzie – odparł Ralph – nie ma czegoś takiego jak błąd, ponieważ i tak nikt nie wie, co z niego wyniknie.

Mimo wszystko, Bruce, nic nie wychodzi tak, jak to zaplanowano. Szkoda by było na mnie soli, gdybym tego nie wiedział.

– A więc przypuścimy, że moja polityka bierze w łeb.

– No to bierze. Nikt nie jest doskonały.

– No to bierze?

– I nic złego się nie dzieje – powiedział Ralph. – Już nieraz się to zdarzało. I nic złego się nie stało.

– Nic złego się nie stało?

– Nadal tu jesteśmy, nieprawdaż? – zauważył Ralph. Ironiczna szczerłość tej odpowiedzi zabrzmiiała Goldowi w uszach przeraźliwym zgrzytem, budząc w nim pierwsze nieśmiałe zaczątki odrazy i chęci wycofania się.

– Ralph – zaczął po chwili wewnętrznej walki – dostrzegam tutaj pewien cynizm i egoizm, z którymi chyba nie czułbym się dobrze na co dzień.

– Znam dobrze to uczucie, kiedy odzywa się sumienie, Bruce – odparł Ralph z jowialną protekcjonalnością – i zapewniam cię, że milknie ono bez śladu po przepracowaniu tutaj paru minut. – Gold odetchnął trochę swobodniej. – Bylebyś tylko wyzbył się złudzeń, że zdołasz tu cokolwiek poprawić. Kiedy twój przyjaciel, Henry Kissinger...

– On nie jest moim przyjacielem, Ralph.

– To dobrze, Bruce, bo chciałem właśnie powiedzieć, że kiedy ta nadęta kreatura, Henry Kissinger, tu nastał, obiecał swoim przyjaciółom, że wojna skończy się przed upływem sześciu miesięcy, a boczył się jak rozkapryszony bachor, kiedy odebrano mu ją po pięciu latach i nie pozwolono rozpętać dla zabawy drugiej w Afryce. Bruce, proszę cię, zostań sekretarzem stanu. Jeśli odmówisz, będziemy być może zmuszeni dać to stanowisko komuś innemu twojego wyznania...

– Nie jestem żadnego wyznania, Ralph.

– No to komuś innemu twojej wiary, kto...

– Nie jestem żadnej wiary.

– To komuś żydowskiego pochodzenia, kto być może okaże się taki sam, jak on.

Gold nie dał się dłużej prosić. Po chwili uroczystego milczenia, które wyrażało więcej, niż zdołałyby wyrazić jakiegokolwiek słowa, zgodził się. Jego pełen dostojęstwa uścisk dłoni niezmiernie ulżył Ralphowi.

– Teraz zobaczymy, czy uda nam się załatwić ci tę nominację.

Gold gapił się na niego z odnowionym poczuciem szoku.

– Ralph, przecież mi ją już obiecałeś, gwarantowałeś.

– Ale nie mówiłem, że jestem pewien.

– Jak to nie? – zachnął się Gold z nadzieją, że Ralph wychwyci nutkę urazy w jego głosie.

– Mówiłeś, że na pewno możesz mi załatwić nominację na sekretarza stanu.

– Chyba żebym nie mógł, Bruce. Zawsze to dodaję, żeby nie robić ludziom złudnych nadziei. W twoim przypadku bez wahania powiedziałem, że masz tę nominację jak w banku, chyba żebyś nie miał. Nie rozumiem, jak możesz przepaść będąc mężem Andrei Conover i na dodatek przeszedłszy pomyślnie badania lekarskie, chyba żebyś przepadł, ale musiałbyś się o to specjalnie postarać, z tym, że niekoniecznie.

– Ralph – jęknął Gold z mętlikiem w głowie – ja się jeszcze nawet nie rozwiodłem.

W pełnym wyrzutu spojrzeniu, jakim obrzucił go Ralph, było coś, co sprawiło, że Gold oblał się ciemnym rumieńcem.

– Myślałem, że masz to już za sobą, Bruce.

– W przyszłym tygodniu idę do adwokata.

– A do lekarza?

– Tego samego popołudnia – zapewnił go szybko Gold. – Belle nawet nie podejrzewa, że o tym myślę.

– Tak jest zawsze najlepiej – pochwalił go Ralph. – Ale czy czegoś nie zwęszy, kiedy poślubisz Andree?

– Do niej chyba nawet nie dociera, że praktycznie wyprowadziłem się już z domu – powiedział Gold z zakłopotaniem i poczuciem winy, że wcale tego nie zrobił. – Ralph, muszę dostać czym prędzej tę nominację. Dopiero wtedy będę mógł podjąć jakieś zdecydowane kroki. Andrea jest we mnie zakochana, to nie ulega wątpliwości, ale nie wyjdzie za mnie, dopóki nie zostanę kimś ważnym w rządzie.

– Nie jestem pewien, czy dopóki ona za ciebie nie wyjdzie, masz szansę na szybkie otrzymanie tej nominacji, Bruce – odparł otwarcie Ralph. – Kluczową rolę odgrywają tutaj koneksje Conovera.

Skoro kluczową rolę odgrywały koneksje Conovera, Gold nie miał alternatywy.

– Chyba będę musiał zabrać z domu wszystkie swoje koszule i całą bieliznę i zagrać z Belle w otwarte karty, nie uważasz? – Przez chwilę przyglądali się sobie z Ralphem w milczeniu. – W pewnym sensie przykro mi, że jej to robię.

– Czyż nie jest nam zawsze przykro z tego powodu? – westchnął Ralph. – Ale dobro kraju przede wszystkim. Jeśli chcesz, Bruce, to mogę wydelegować wiceprezydenta albo tymczasowego przewodniczącego Senatu, albo nawet przywódcę mniejszości, ewentualnie większości, do twojego mieszkania na Manhattanie, żeby wyjaśnił Belle wymogi wyższej konieczności. Poślę tam, kogo tylko chcesz. Wystarczy jedno słówko.

– Muszę to załatwić osobiście – bąknął cicho Gold z jakimś wewnętrznym samozaparciem.

– To bardzo szlachetnie z twojej strony, Bruce – powiedział Ralph bez śladu fałszu w głosie i wstał z fotela, prostując swoje długie nogi. – Nigdy nie będziesz tego żałował. Bo pomyśl tylko, możesz zostać pierwszym w historii tego kraju sekretarzem stanu żydowskiego pochodzenia. Możesz nawet przynieść chlubę swojej rasie.

– Kissinger był żydowskiego pochodzenia – zauważył ponuro Gold, obniżając odruchowo jedno ramię, żeby to, co w jego odczuciu było napastliwą insynuacją, przeleciało obok niczym niecelnie ciśnięta dzida. – A przynajmniej tak twierdził.

– No to może mógłbyś zostać najmłodszym sekretarzem stanu żydowskiego pochodzenia. Założę się, że twoja rodzina też byłaby z tego dumna.

Gold skrzywił się.

– Kissinger też nie był stary – mruknął niechętnie z wkradającą się do głosu nutką agresji. – Z tym, że w tej kwestii także mógł łąć.

– Co masz na myśli?

Gold miał na myśli coś specjalnego i ani myślał przedwcześnie tego wyjawiać. Przed oczyma stanęła mu pewna scenka z nie tak odległej przeszłości:

„Jaki tam z niego Żyd!” – zawył jak opętany przez dybuka, stuknięty stary ojciec Golda, dżgając bezlitośnie zakrzywionym paluchem ekran telewizora, na którym widniała korpulentna, komiczna postać Kissingera wysiadającego z uśmiechem samozadowolenia na ustach z samolotu po przewrotnej próbie obciążenia Izraela winą za zerwanie środkowowschodnich negocjacji, chociaż to on sam nie potrafił doprowadzić ich do pomyślnego końca. („Kissinger – napisał wtedy dziennikarz Leslie Gelb w *Times Magazine* – zawarł z Izraelczykami umowę o nieszukaniu winnych załamania się jego ostatniej rundy dyplomacji wahadłowej. Ledwie zdążył wsiąść na pokład swojego samolotu, by odlecieć do kraju, obwinił Izraelczyków”). „Żaden Żyd nie był nigdy kowbojem!”

Też, że Kissinger nie jest Żydem, Gold zamierzał rozwinąć w swojej książce o „wspomnieniach” Kissingera, co do której był pewien, że wzbudzi zainteresowanie czytelników, i z którą wiązał nadzieje, że przyniesie mu przynajmniej zauważalny ułamek *parnuse*, jakie zbijał Kissinger na swoim pamiętniku i na innych okazjach do zabrania głosu na forum publicznym, które otwierały mu się ze wszystkich stron i w które wsączał się w naturalny sposób niczym oleożywiczną galareta. W uzasadnieniu tej teorii idealna prawda nie miała odgrywać decydującej roli: Gold tłumaczył sobie buntowniczo, że ma takie samo prawo do uciekania się do fałszu, naginania faktów i przeinaczeń w swoich wspomnieniach o Kissingerze, jak Kissinger we własnych wspomnieniach o Kissingerze oraz na urzędzie publicznym. W konserwatywnej opinii Golda Kissinger nie zapisze się w historii jako drugi Bismarck, Metternich czy Castlereagh, lecz jako odpychający *szlump*, który znajdował przyjemność w wywoływaniu wojen i niewiele miał w sobie tego legendarnego współczucia dla słabości i cierpienia, które przypisuje się Żydom. Żaden *szajne Jid* nie ukląkłby na dywanie, żeby modlić się do Jahwy z tym *szmendrikiem* Nixonem, ani żaden *hamisz mensz* nie działałby z takim okrucieństwem przeciwko wolnemu narodowi Chile:

Nie rozumiem, dlaczego mielibyśmy stać z boku i przyglądać się biernie, jak ten kraj brnie w komunizm na skutek nieodpowiedzialności własnego narodu.

Ależ trzeba mieć nasrane w głowie, żeby wypowiadać się z taką hucpą! A potem, ze wzbudzającą skatologiczną odrazę, podstępłą obłudą, knuć spisek zmierzający do obalenia tej niewinnej demokracji. I ten *szmok* wyparł się potem pod przysięgą swojego udziału w planowaniu przewrotu, a nawet jakiegokolwiek wiedzy o nim. W tych aroganckich czynach, zupełnie nie przystających do zażywnego osobnika, który je popełnił i który nie pasował nawet do najbardziej krzywdzących historycznych opisów typowego Żyda, Gold wietrzył zjełczały odór buńczuczności faszystów. Do tej pory dreszczem wstrętu przejmowała go zimna terminologia wydanej w 1957 roku książki Kissingera, w której ten odważnie rozprawiał o „paralizującym strachu wzbudzonym przez broń masowej zagłady” i nawoływał do przyjęcia zawczasu zupełnie nowego kursu w dyplomacji:

...aby przełamać atmosferę niezrozumiałego horroru, która otacza obecnie kwestię użycia broni nuklearnej.

Środkiem zaradczym proponowanym przez tego tępego poca była ograniczona wojna nuklearna. *Zejer klig* tego *grobera nara* z jego specjalnymi kursami dyplomacji i nuklearnymi wojnami. Kiedy odwiedzał Izrael, witały go tam wrogie demonstracje, a były minister obrony Moshe Dajan nie krył swego zadowolenia, komentując dla francuskiej telewizji odejście Kissingera z rządu:

To człowiek, po którym mogliśmy się spodziewać wszystkiego co najgorsze, bo kończył już prehandlować bezpieczeństwo Izraela w zamian za zaskarbienie sobie wdzięczności kompanii naftowych. Odejście Kissingera naród izraelski przyjmuje z wielką ulgą.

Gold ujrzał oczyma swej przewrotnej wyobraźni, jak z widma ropy naftowej sączy się wyziew wpływów i pieniędzy Rockefellera i przywiera do Kissingera niczym chmura korupcji, nadając jego oczom, policzkom i wargom połysk charakterystyczny dla bardzo dobrze smarowanego *sznorera*. Na wspomnienie zaawansowanego obłędu i absurdalnych intelektualnych pretensji tego hałaśliwego *balabajsa* Gold wzdrygnął się znowu. Napuszony militarystyczny korpulentnego *trombenika* był bardziej germański niż żydowski, i co najmniej jeden dziennikarz wykrył przypadkowo u Kissingera chłopiące ciągotki do „dęcia we własny teutoński róg”. W przypisywanej mu lekceważącej uwadze na temat bożonarodzeniowych nalotów dywanowych na Wietnam Północny, operacji wojskowej nie mającej sobie równych pod względem potworności we współczesnych czasach, którą ten *bandit* Kissinger, zależnie od tego, kogo próbował zwieść, albo potępiał, albo aprobował, było coś wstrętnego:

Bombardowaniami wymusiliśmy na nich, żeby pozwolili nam przyjąć ich warunki.

Gold w żaden sposób nie potrafił sobie przypomnieć, by taką rozpasaną i cyniczną pogardę dla ofiar zmasowanych bombardowań zaprezentował kiedykolwiek jakiś Żyd albo chrześcijanin od czasów Adolfa Hitlera, Heinricha Himmlera, Josepha Goebbelsa, Hermanna Goeringa, Hjalmara Schachta i Joachima von Ribbentropa.

Rozmyślenia o Kissingerze tak go pochłonęły, że podróż od Ralpa do domu trwała w jego odczuciu zaledwie kilka chwil, i jeszcze tego samego dnia zasiadł w blasku zachodzącego słońca w swoim gabinecie nad teczkami z zebranymi materiałami. Przed minutą, zanim zdążył wrzasnąć, że chce kolację, Belle przyniosła mu ją na tacy. Pieczeń była soczysta, kawa parująca i mocna. Ten *kloc* Kissinger, pomyślał z cichym tryumfem Gold, przeżuwając łączywie, płakał w Salzburgu jak *nebisz* prawdziwymi łzami, kiedy zarzucono mu krzywoprzysięstwo, a później uśmiechał się w Waszyngtonie od ucha do ucha jak chytry *szajgac*, kiedy okazało się, że ten zarzut ma solidne podstawy. Gold najchętniej już teraz rozpocząłby zacięty i przekonujący wywód, że z punktu widzenia wszystkich definicji zaczerpniętych zarówno z kulturowej antropologii, jak i z fanatyzmu, w żyłach jego bohatera, Henry'ego Kissingera, płynie nie więcej żydowskiej krwi niż, dajmy na to, w żyłach Nelsona Rockefellera, tego wierzchołka piramidy patronów, jakich Kissingerowi udawało się zawsze zdobywać w przełomowych momentach swojej kariery. Pierwszym z nich był dynamiczny i ekscentryczny dobrowolny uchodźca z Niemiec o nazwisku Fritz Kraemer, przebywający w latach drugiej wojny światowej w Stanach Zjednoczonych, którego zafrapował oficjalny list od młodego wówczas Kissingera, szeregowca piechoty odbywającego służbę wojskową w

Luizjanie. Od jego rodziny biografowie Marvin i Bernard Kalbowie dowiedzieli się, że zarówno stopień wojskowy, jak i rodzaj wojsk „nie odpowiadały Henry'emu”, sam zaś Kissinger wspominał, że „czuł się niedowartościowany”. Gold miał nadzieję, że uda mu się wykorzystać ten list w swojej książce, jako przykład wczesnych prób literackich Kissingera. Wcale by go nie zdziwiło, gdyby okazało się, że ten ambitny człowiek o jak najgorszej reputacji, który tyle nakłamał światu, powiedział Nelsonowi Rockefellerowi i innym, że jest żydowskiego pochodzenia, tylko po to, by wyrzucić dobre wrażenie.

Kłamał w sprawach pokoju, kłamał w sprawach wojny: skłamał w Paryżu, oznajmiając tam przed samymi wyborami prezydenckimi, że „pokój jest w zasięgu ręki”, i skłamał znowu zaraz potem, zarzucając Wietnamowi Północnemu działanie w złej wierze, kiedy całe jego mataczenie wzięło w łeb.

KISSINGER ZARZUCA MIJANIE SIĘ Z PRAWDĄ WYŚŁANNIKOWI HANOI NA ROZMOWY W PARYŻU

Hanoi było w porządku, Kissinger nie.

P.: Na jakie ustępstwa poszły Stany Zjednoczone, by doprowadzić do podpisania tego porozumienia?

O.: Na jakie ustępstwa poszły Stany Zjednoczone? Stany Zjednoczone poczyniły tylko te ustępstwa, które są zapisane w tekście porozumienia. Nie ma żadnych tajnych porozumień ubocznych.

A były tajne porozumienia uboczne. (Żydzi, jeśli wierzyć krążącej o nich opinii, potrafią lepiej się targować). Samotny kowboj był znowu *bakokt*, i nie kto inny, tylko jego sprzymierzeńcy z Wietnamu Południowego nie przyjęli tego miszmaszu udającego porozumienie w sprawie zawieszenia broni, które Kissinger wysmażył. I w związku z tym Północ została zbombardowana, żeby ugłaskać Południe i ratować zranione uczucia tego nieudacznika, a nie po to, jak utrzymywał fałszywie Kissinger, by wymusić nowe ustępstwa. Dowód na to znaleźć było można znowu u Anthony'ego Lewisa z *The New York Timesa*, z pewnością bardziej wiarygodnego źródła informacji o Kissingerze niż sam Kissinger:

Wiemy teraz, że prawdziwym powodem bożonarodzeniowego bombardowania było skłonienie Wietnamu Południowego, by przyjął warunki zawieszenia broni. Generał Alexander Haig, wówczas asystent pana Kissingera, pojechał do Sajgonu i obiecał zademonstrować gotowość Stanów Zjednoczonych do, tu cytuję eleganckie określenie generała Haiga, „brutalizacji” postawy wobec Pomocy.

Aj-jaj-jaj, ale *mecyje*, ten generał Alexander Haig z mózdzkiem golema, *ganc knakier* na usługach Nixona i Kissingera, którego pewność siebie zwiastowała jakaś „złowrogą siłę”, kryjącą się za wymazaniem ostatnich osiemnastu i pół minuty z taśm dotyczących afery Watergate. Kissinger był niewdzięcznikiem wobec swoich dobroczyńców („Kissinger obmawia praktycznie każdego, kogo zna, z prezydentem włącznie”) i przyparty do muru wił się jak *ganew*:

Podczas gdy Biały Dom sądził, że Kissinger w pełni popiera bożonarodzeniowy nalot na Wietnam Północny, ten, kiwając poważnie głową i strojąc miny, wysuwając rozmaite insynuacje pod adresem Nixona oraz podkreślając ludzką tragedię, do której doprowadziła ta decyzja, dał dziennikarzom i parlamentarzystom do zrozumienia, że był tej operacji przeciwny.

Ten *wonc* kręcąc się i lawirując jak robak albo wąż, był *nyszt ahin*, *nyszt aher* w sprawach wzbudzających największe kontrowersje. *Chuchem* powiedział:

Zawsze byłem zdania, że zaangażowanie się Stanów Zjednoczonych w konflikt indochiński doprowadzi do katastrofy.

I dalej:

Nie, nigdy nie byłem przeciwko wojnie w Wietnamie.

Kiedy biografowie Kalbowie spytali go wprost o dyskretne aluzje, jakoby nie zgadzał się z prowadzoną przez Nixona polityką bombardowań, aluzje, które sam rozpuszczał, jak to miał w zwyczaju, wyznał:

Ucieszyłem się z zaatakowania Północy. To był dla mnie koszmar...

A to *szlemiel*. To był dla niego koszmar, dla tego Chaima Jankiela. Nigdy nie miał dobrych stosunków z Kongresem i krążyły opinie, że opowiada się za dyktaturą, której ruchów nie krępuje żadne ciało parlamentarne:

„Próbowałem mu wyjaśnić – powiedział członek Izby Reprezentantów, John Brademas, zastępca przywódcy większości – że politykę zagraniczną trzeba prowadzić zgodnie z prawem, ale nie sądzę, żeby to do niego dotarło”.

Żaden Żyd, który przychodził Goldowi do głowy, nie cierpiał na tego rodzaju przypadek ociążałości umysłowej. Gold dostrzegał najosobliwszy z kontrastów pomiędzy absurdalną aurą sukcesu i wiedzy, jaka otaczała tego zadufanego w sobie *behajma*, a spuścizną dyplomatycznej ruiny, jaką po sobie pozostawił. Według Golda inteligencja i błyskotliwość, którymi Kissinger tak się chełpił, pozostawały tak samo apokryficzne i nieuchwytnie, jak rzekoma znajomość prawa u Nixona i wysoki iloraz inteligencji Spiro Agnew: nie istniał żaden namacalny dowód występowania jednej, bądź drugiej. Kissinger był *farcejeniszt* dla swoich, krytyków i zarazem stanowił niewyczerpane źródło natchnienia dla biografów takich jak Gold. W każdy *Muntik* i *Donersztik* ten nedorobiony tuman pojawiał się znowu z jakimś nowym oświadczeniem w gazetach, jak *rabbi* z Chełma. W pewien poniedziałek w nowojorskim *Post* ukazała się fotografia Kissingera, wyglądającego jak wdzięczący się *szlemazel*, w szarfie i z mającym kształt gwiazdy medalem Wielkiego Krzyża Pierwszej Klasy Orderu Zasługi, „jednym z najwyższych odznaczeń Niemiec Zachodnich”. We wtorek Gold znalazł w tej samej gazecie:

NAZISTOWSKI SKANDAL W NIEMIECKIEJ ARMII

Porucznicy z zachodnioniemieckiej Akademii Sił Zbrojnych w Monachium urządzili sobie symboliczną zabawę w „palenie Żydów”. Młodzi oficerowie, podpalając karteczki z napisami „Juden” [Żydzi] i wrzucając je do koszy na śmieci wznosili nazistowskie okrzyki „Sieg Heil”. Rzecznik Ministerstwa Obrony powiedział: „Uczestnicy tej zabawy nie są w zasadzie nastawieni antysemitcko”.

Gold nie był tego wcale taki pewien. Jako człowiek obyty, rozumiał, że nawet samo zamieszczenie w prasie jednego po drugim takich doniesień tworzących zupełnie z pozoru przypadkowy związek, jest działaniem celowym, które przejrzeć może tylko ktoś taki jak on, ktoś, kto nie ma ani szacunku, ani litości dla płytkich podżegaczy wojennych z elit władzy w

rodzaju Kissingera. Ale jedno było pewne: ten głupek był przynajmniej częściowo sam winien zaistnieniu podobnej zbieżności, bo pchał tę swoją rozanieloną, nienasyconą *punim*, w której mogła się zakochać tylko gojowska *machetajnesta*, w obiektyw każdego aparatu fotograficznego. Gold miał nagłówek z gazety na dowód, że Kissinger podlizywał się w przeszłości antysemitom:

WOODWARD & BERNSTEIN;
OPINIA KISSINGERA O NIXONIE
Antysemita, drugorzędny polityk,
a przy tym podżegacz wojenny

Gold dysponował wieloma takimi kompromitującymi doniesieniami prasowymi, ale pragnął uniknąć w swojej książce czegokolwiek, co sugerowałoby osobistą animozję. Jeśli jego teza znajdzie swoje potwierdzenie, zostanie pierwszym w tym kraju sekretarzem stanu żydowskiego pochodzenia... jeśli w ogóle zostanie sekretarzem stanu. Zamieści nawet w swoim tekście kilka komplementów pod adresem Kissingera, na jakie natknął się podczas zbierania materiałów. W biografii Kalbów na przykład znalazł pochwałę Kissingera jako studenta Harvardu, wyrażoną przez kolegę, który określił go jako „nadzwyczajnie zdolnego”:

Ależ to był sukinsyn! Samowystarczalna, samolubna primadonna. Było się tam protegowanym albo Elliotta, albo Carla Friedricha. Kissingerowi udawało się pozostawać w świetnej komitywie z obydwoima.

W profesorze Williamie Yandellu Elliotcie, jeszcze jednym *chuchemie* z Harvardu, Kissinger, jak sam mówi, znalazł nie tylko akademickiego patrona, ale i przyjaciela oraz inspirację:

W niedzielę wybieraliśmy się często na długie spacerunki. Rozprowiał o potędze miłości i kiedyś powiedział, że jedynym naprawdę niewybaczalnym grzechem jest traktowanie ludzi tak, jakby byli przedmiotami.

Kissinger nalegał na wysyłanie latających fortec B-52 na Kambodżę, wspierał dyktatury w Chile, Grecji i na Filipinach, był rzecznikiem zachowania rządów rasistowskiej mniejszości w Afryce i przyczynił się do ponownego wybrania Nixona na prezydenta. Całował go w policzek Arab, który nie cierpiał Żydów, i dostał kwiaty od kanclerza Niemiec Zachodnich. Gold miał już stosowny tytuł swojej książki: „Mały Prusak”.

Nie sądził, by Kissinger miał coś przeciwko temu. Jako dżentelmen ogarnięty niezaprzeczalną żądzą pieniądza i sławy, nie mógł chyba odmawiać prawa do podobnych aspiracji innym. Zresztą znany był z upodobania do dobrego żartu, bo wciąż próbował takim zabłysnąć:

Kissingera, który cieszył się reputacją kobieciarza, poproszono kiedyś, by wyjaśnił często przez siebie cytowaną uwagę, że „władza to najsilniejszy afrodyzjak”.

„No cóż, to był żart” – odparł.

Bliżej szczytu humoru był prawdopodobnie wtedy, kiedy zapytany przez dziennikarzy, jak się mają do niego zwracać, odpowiedział:

„Nie trzymam się sztywno protokołu. Możecie mnie tytułować po prostu ekscelencją”.

Wszyscy ryknęli śmiechem.

„Wasza Ekscelencjo – napisał generał Mustafa Barzani, przywódca rebelii kurdyjskiej, w ostatniej patetycznej odezwie do Henry'ego Kissingera, kiedy urwała się jak nożem uciął wszelka inspirowana i finansowana przez rząd USA pomoc dla powstania przeciwko rządowi Iraku. – Nasz ruch i naród jest wyniszczany w niewiarygodny sposób przy milczeniu całego świata. Serca nam krwawią na widok eksterminacji, dokonywanej z bezprecedensowym okrucieństwem na naszym bezbronnych ludźmi. Uważamy, Wasza Ekscelencjo, że Stany Zjednoczone ponoszą moralną i polityczną odpowiedzialność za nasz naród, który podporządkował się polityce Waszego kraju. Panie Sekretarzu, oczekujemy z niecierpliwością Pańskiej rychłej odpowiedzi”.

Jedyną reakcją na to wołanie o pomoc zdradzonej i ginącej grupy etnicznej było całkowite milczenie, chociaż jego ekscelencja, facet wrażliwej natury, który pokazał już, że potrafi kwękać i stękać jak *kronke bube*, kiedy ranią jego delikatne uczucia, popisał się większą gadatliwością, odpierając w Londynie zarzuty, że jest coś nędznego i nieprzyzwoitego w lichwiarskiej pasji, z jaką wykorzystuje dla korzyści majątkowych fakt pełnienia dawniej stanowisk w rządzie:

Henry A. Kissinger stwierdził, że z jego punktu widzenia nie ma niczego zdrożnego w tym, że zarabia miliony. „Proszę wziąć pod uwagę, że odchodząc z urzędu byłem po uszy w długach, w które popadłem pełniąc służbę publiczną”.

Oj-oj-joj, pojękiwał Gold pod nosem potępiająco, bo te słowa nie brzmiały mu koszerne. Społeczeństwo potrzebowało takiego mesjasza jak dziury w moście. Bardzo wątpił, żeby temu *kurwechowi* powodziło się lepiej, kiedy był jeszcze profesorem Harvardu. A jednak odkrywał teraz u siebie tajemnicze zrozumienie dla pazerności tego *chozera*.

„Róbcie pieniądze! – nakazywał obłędnie przez całe swoje życie pomyłony ojciec Golda. – To jedyna dobra rzecz, jakiej nauczyłem się kiedykolwiek od chrześcijan!”

Kissinger miał podobny punkt widzenia, czego dowodził następujący akapit z *Newsweeka*:

Odejdzie również wielu jego najbliższych współpracowników. Kilku z nich, między innymi zastępca sekretarza Charles Robinson, podsekretarz William D. Rogers oraz dyrektor biura studiów politycznych Winston Lord, to bogaci ludzie. Inni współpracownicy, tacy jak zastępca podsekretarza stanu Lawrence Eagleburger, szukają szansy na zarobek w przemyśle prywatnym.

Gold identyfikował się z nimi wszystkimi i wielką ulgę przynosił mu dowód, że nie tylko jego serce zaczyna bić w tym kraju szybciej, czując rozkoszną bliskość pieniędzy, i nie tylko w jego uszach samo to słowo brzmi najpiękniej w całym języku. Miał uzasadniony powód, by z tego towarzystwa największą sympatią darzyć zastępcę-pod Eagleburgera (sam również mógłby zostać zastępcą-pod, gdyby nie miał większych ambicji):

Chodzą słuchy, że Lawrence Eagleburger, jeden z bliskich współpracowników Kissingera, potrafi powiedzieć: „Henry, ależ z ciebie kupa gówna”.

Gold był też zobowiązany dziennikarzom Robertowi Woodwardowi i Carlowi Bernsteinowi za przybliżenie mu postaci Williama Watta, asystenta Kissingera, który podał się do dymisji w proteście przeciwko inwazji na Kambodżę:

Watts odbył otwartą rozmowę z generałem Alexandrem Haigiem. „Otrzymał pan właśnie rozkaz głównodowodzącego – powiedział Haig. – Może pan podać się do dymisji”. „Pieprz się, Al – odparł Watts. – Właśnie to zrobiłem”.

Gold był oczarowany.

„Pieprz się, Al”.

„Henry, ależ z ciebie kupa gówna”.

Z taką *hucpą* do takich *macherów* jak generał i sekretarz? Chłopaki z Brooklynu by to załatwili. Wyssali z mlekiem matki zdrowy rozsądek, który pozwalał im realistycznie ocenić tego rodzaju *mamzera* w rządzie od cara Mikołaja z Sankt Petersburga poczynając, a na *chozerach* z City Hali i *szucach* z towarzyskich kręgów Waszyngtonu kończąc. Gold zastanawiał się, w którym miejscu swojej książki umieścić list od młodego Henry'ego do tego imponującego niemieckiego uchodźcy Fritza Kraemera, który promieniejąc oślepiającym blaskiem egzotycznego autorytetu przybył do bazy wojskowej w Luizjanie, żeby porozmawiać z żołnierzami o konieczności zwalczania faszyzmu. List był krótki i węzłowaty:

Słyszałem wczoraj pańskie wystąpienie. Tak właśnie należało to zrobić.
Czy mogę panu jakoś pomóc? Szer. Kissinger.

Tym, który pomógł, był Kraemer, i szybkocongi *mamzer* awansował z prostego piechociarza na tłumacza języka niemieckiego przy generale dowodzącym jednostką. Kiedy na kilka miesięcy przed zakończeniem wojny dywizję przeniesiono do Europy, zyskał tam naturalną koleją rzeczy wiele ponętnych przywilejów i uprawnień przysługujących przedstawicielom władz wojskowych i został mianowany komisarzem okręgu Bergstrasse w Hesji. Władzę miał rozległą, z prawem do aresztowań bez podania przyczyn włącznie.

„Wobec nazistów – wspomina Kraemer – Kissinger wykazywał wyrozumiałość”.

W najgorszych z nas tli się iszka dobra. Prywatnie Kissinger nadał „dął we własny teutoński róg”. Kiedy wypominano mu „dwulicowość” i „niemoralność”, a nawet „zbrodnie wojenne” popełnione w Wietnamie, bronił się nieprzekonująco, oświadczając:

„Ściągnąłem do kraju żołnierzy i jeńców”.

Nachtiger tog! Większą w tym zasługę miał nawet Gold, który przynajmniej uczestniczył w jednym marszu pokoju. Henry nie kwapił się do wzięcia na siebie odpowiedzialności za 20 492 poległych Amerykanów ani za setki tysięcy Wietnamczyków, którzy zginęli przez te lata, kiedy on przepieprzał beztrąsko czas na swoje pseudodyplomatyczne chachmęcenie i wiódł żywot żałosnego, podstarzałego playboya. O, tutaj przyznaje się do słabości:

KISSINGER PRYZNAJE SIĘ DO SŁABOŚCI

„Mam swoją słabą stronę, a jest nią ekonomia międzynarodowa – zwierzył się Kissinger dziennikarzowi, który jadł z nim ostatnio kolację w Acapulco. – Na tym właśnie polu Stany Zjednoczone popełniły najgorsze błędy wobec swoich sprzymierzeńców z Paktu Północnoatlantyckiego oraz wobec krajów słabo rozwiniętych”.

I dalej:

KISSINGER POWOŁANY W SKŁAD RADY NADZORCZEJ CHASE

Henry A. Kissinger zasiądzie w radzie nadzorczej Chase Manhattan Bank – na razie jako wiceprezes komitetu doradztwa międzynarodowego, a później jako prezes rady. Rzecznik Chase uchylił się od odpowiedzi na pytanie, ile będzie zarabiał. David Rockefeller, prezes Chase, nie krył swojego zachwytu, że osoba takiego kalibru i legitymująca się takimi dokonaniem jak pan Kissinger zgodziła się służyć swoją radą i doświadczeniem bankowi Chase.

Gold pogodził się już z tym, że osobę tak małego kalibru i legitymującą się tak nikczemnymi dokonaniem, jak pan Kissinger, wpuszcza się do szanujących się domów, nawet do Białego Domu, ale do domu finansów?! Pora znowu zacząć upychać pieniądze w materace i przechowywać je we włoskich bankach. Taki *szmondak*, jeśli dopuścić go w pobliże *szmalu*, pójdzie na całość. *I noch a mol*:

GOLDMAN, SACHS ANGAŻUJĄ KISSINGERA JAKO DORADCĘ DO SPRAW MIĘDZYNARODOWYCH

Goldman, Sachs & Company, wiodąca firma inwestorsko-brokerska, podali do wiadomości, że zatrudniają Henry'ego A. Kissingera jako niepełnoetatowego doradcę i konsultanta. Nie ujawniono jednak wysokości honorarium, jakie otrzymywać będzie pan Kissinger.

Und nuch mer:

Podpisując pierwszy tego rodzaju kontrakt z pewną siecią telewizyjną, były sekretarz stanu zgodził się świadczyć usługi z zakresu doradztwa i konsultacji przez pięć lat, za sumę 1 miliona dolarów.

Und wos noch? Ten chytry kutas został ni z tego, ni z owego członkiem zarządu Metropolitan Museum of Art, ze względu na „swoje oddanie sprawie wymiany kulturalnej”. Gold natrafił na dobry żart:

W 1974 roku Henry Kissinger, wówczas jeszcze sekretarz stanu, odwiedził pana Cartera w biurze gubernatora Georgii i oglądając z podziwem wiszący tam na ścianie olejny obraz Butlera Browna powiedział: „Nie wiedziałem, że kolekcjonuje pan Andrew Wyethsa”.

Zajer klieg tego niedouczzonego głupka! I takie indywiduum z nieoficjalnych honorariów, nie licząc nawet przekazywanych pod stołem kopertówek, które być może nadal inkasuje od Rockefellerów, wyciąga prawdopodobnie więcej, niż wynosi pensja Golda. Ludzie wiedzieli, co Kissinger ma z Rockefellerów: gotówkę, poparcie, fuchy, przyjęcia weselne, prawo do korzystania z apartamentów i prywatnych samolotów, z głównego basenu pływackiego w posiadłości Rockefellerów dla kłapouchego psa o imieniu Taylor oraz z prywatnych sejfów, w których można ukrywać urzędowe dokumenty przed rzetelnymi historykami i innymi żądnymi sensacji pismakami.

STENOGRAMY ROZMÓW TELEFONICZNYCH KISSINGERA PRZENIESIONE Z POSIADŁOŚCI ROCKEFELLERA DO BIBLIOTEKI KONGRESU

Departament Stanu poinformował dzisiaj, że Henry A. Kissinger przechowywał stenogramy swoich rozmów telefonicznych w prywatnej posiadłości wiceprezydenta Rockefellera w stanie New York. Kiedy grupa dziennikarzy zapowiedziała, że będzie sądownie dochodziła prawa do wglądu w te materiały, pan Kissinger zmienił front i postanowił dołączyć je do swoich prac i oficjalnych dokumentów przechowywanych w Bibliotece Kongresu.

Rzecznik prasowy Departamentu Stanu oświadczył, że stenogramy były „przechowywane w Pocantico Hills, stan New York, za wiedzą i aprobatą rządu”. Naciskany przez dziennikarzy przyznał, że miał na myśli posiadłość pana Rockefellera. Panowie Kissinger i Rockefeller pozostają ze sobą w zażyłych stosunkach.

Ale jaką korzyść mieli Rockefellerowie z Kissingera?

O wiele łatwiej można było kupić profesorów Harvardu, jednak taki wielki przegrany jak Nelson mógł o tym nie wiedzieć. No proszę, płatne ogłoszenie, w którym nie gardzi nawet groszowym zarobkiem!

Henry Kissinger
tworzy unikalną historię
amerykańskiego przywództwa,
w szlachetnym metalu...

PORTRETY WIELKOŚCI

Towarzyszyła temu fotografia Kissingera w samej koszuli i kamizelce.

Po wybraniu kandydatów przez doktora Kissingera (u góry), ich portrety są misternie grawerowane (po lewej), a następnie wybija się je, jeden po drugim, w metalu na specjalnych ręcznych prasach mennicznych.

I tekst na kuponie:

Proszę o zapisanie mnie na subskrypcję serii „Portrety wielkości”, składającej się z pięćdziesięciu misternie grawerowanych medali portretowych, upamiętniających wielkich Amerykanów, którzy prowadzili nasz kraj na jego drodze ku przewodzeniu światu – osobiście wybranych przez doktora Henry'ego Kissingera.

Płatne przy odbiorze.

Nawet Belle uważała to za coś niegodziwego. Społeczeństwo, które w takim skończonym hipokrycie widziało nie wyrzutka i kogoś godnego pogardy, lecz znakomitość, było społeczeństwem, na które szkoda soli, i Gold przyrzekł sobie, że wygarnie to bez owijania w bawełnę, przedstawiając Pomoroyowi konspekt „Małego Prusaka”. Za nic nie potrafił zrozumieć, dlaczego ktokolwiek, poza recenzentem, ma ochotę sięgać po przefiltrowane wspomnienia człowieka, którego działania pod wpływem chwili spotykały się już z powszechną krytyką, ani dlaczego ktokolwiek, poza służalczym cepem, gotów jest wydać ćwierć dolara na egzemplarz tego wątpliwego dzieła; i to w sytuacji, w której gdyby chociaż co dziesiąta osoba niechętna Kissingerowi nabyła egzemplarz książki Golda, to dochodem z niej Gold przebiłby swojego rywala o grube miliony.

Pomoroy nie był przekonany co do komercyjnych oczekiwań, jakie Gold przedstawił mu w swojej prezentacji, ale zgodził się przyjąć książkę o Kissingerze w zamian za tę o żydowskich doświadczeniach w Ameryce, ponieważ Gold praktycznie zebrał już do niej

wszystkie niezbędne materiały. Kiedy Gold zaczął powątpiewać w możliwość pogodzenia pośpiesznego pisania książki z oczekiwaniem na powołanie lada dzień na wysoki urząd, Pomoroy przypomniał mu, że Kissinger robi dokładnie to samo. Gdyby opisać to w powieści, nikt by nie uwierzył.

– Kissinger padnie trupem, kiedy to przeczyta – powiedział Pomoroy z jeszcze bardziej ponurą niż zazwyczaj miną.

Goldowi przemknęło przez myśl, że mogłoby się to niekorzystnie odbić na sprzedaży. Poza tym że zazdrościł Kissingerowi sławy, wkurzała go jeszcze u tego przebiegłego *szmoka* obfitość chałtur i fuch, z których mógł sobie żyć jak nabab, podczas gdy on, Gold, cierpiąc katusze, wciąż wzdychał za choćby jedną taką.

– Dlaczego nie poprosisz Puga Biddle'a Conovera, żeby użył swoich wpływów? – zasugerował Ralph. – To pchnęłoby sprawę do przodu.

– Dlaczego nie poprosisz ojca, żeby użył swoich wpływów? – poskarżył się Gold Andrei, kiedy wrócił do Waszyngtonu, żeby ją znowu przelecieć i wprowadzić w czyn radę Ralpha. – Założę się, że to pchnęłoby sprawę do przodu.

– Jutro do niego pojedziemy – ożywiła się Andrea. – Oni na pewno mają wobec niego jakieś zobowiązania.

Oni mieli wobec Puga Biddle'a Conovera, jak dowiedział się Gold wieczorem następnego dnia, mnóstwo zobowiązań, ponieważ ten szanowany dyplomata skłamał siedemnaście razy pod przysięgą za rządów pięciu kolejnych administracji i za ten bezstronny altruizm poważany był przez wszystkie polityczne frakcje Waszyngtonu.

Wchodź, mój chłopcze, wchodź, wchodź – zaświergotał Pugh Biddle Conover z niezwykłą serdecznością ze swojego zmotoryzowanego fotela inwalidzkiego, kiedy jego wzrok padł na Golda. – Tak mi przykro, że cię widzę. Modliłem się prawie codziennie, żeby jeden z nas umarł, zanim trzeba się będzie znowu spotkać. Wzruszył cię mój sentymentalizm. Widzę to po tych łzach.

Przyprawiające o mdłości przecucie upokorzeń, jakie przyjdzie mu tu znosić, przytłumiło nadzieje Golda. Spojrzał na Andree, szukając u niej inspiracji.

– Bądź miłszy, tatusiu – powiedziała Andrea, podchodząc od tyłu do ojca i wytwornym gestem ujmując na chwilę jego twarz w obie dłonie.

– Kiepsko się czuję, koteczku – odparł Conover z szatańskim uśmieszkiem, chociaż wyraźnie tryskał zdrowiem i wigorem. – A tak świetnie się czułem, dopóki on tu nie wszedł.

– On, tatusiu – powiedziała Andrea – może się nie znać na tego rodzaju żartach.

– Udanej konnej przejażdżki, kochanie, i o nic się nie bój. Obiecuję, że pod twoją nieobecność będziemy obaj zgodni jak te dwa motylki. Na Jowisza, przysięgam, że sto razy wypiję do dna za jego pomyślność, byleby tylko napelniał mi filiżankę na lekarstwa po wrębek i sam łyknął kapkę. – Z tymi słowami Conover odprawił córkę łagodnym ruchem ręki.

Gold odetchnął z ulgą, kiedy wychodziła. Z pejczem w rękę, w butach do jazdy konnej, bryczesach, szkarłatnej kurtce i czarnym aksamitnym meloniku wydawała się o dobre dwie stopy wyższa i uosabiała jakiś szczególny rodzaj kobiecego seksualizmu, od którego cierpły zęby. Przemknęło mu przez myśl, że jeśli jej ojciec nie stanie się szybko bardziej uprzejmy, to jeszcze tej nocy wychłoscze ją tym pejczem po pupie. Nalewając whisky z karafki, pozwolił sobie zerknąć przez oszklone drzwi na luksusowe tereny rozciągające się na zewnątrz i pomyślał, że wkrótce, w drodze naturalnego procesu dynastycznej sukcesji, stanie się panem tych ogrodów, stajni, łąk i lasów. Jego dzieci skorzystają być może z cywilizującego wpływu, jaki krótkie wizyty, na które im pozwoli, będą być może miały na ich charaktery. Tylko skąd, kurwa, weźmie na podatki i na wypłacanie tyłu pensji?

– Starczy? – zapytał, uśmiechając się tajemniczo, kiedy wielka szklanica, którą trzymał w rękę, była już napełniona praktycznie po sam wrębek.

– Jeszcze ociupinkę i będę ci wielce zobowiązany – odparł grzecznie Conover z przewrotnym rozbawieniem w oczach. – Nie przejmuj się, jeśli trochę ci się wychlapie. Mam pieniądze na więcej. Twoje zdrowie, świnió! – krzyknął, kiedy Gold podał mu szklankę nie rozcieńczonej whisky i pociągnawszy na oczach zdębiałego Golda kilka sążnistych łyków, mlasnął z uznaniem ustami. – Uratowałeś mi życie, skunksie. Znowu dałeś mi powód do radości, Goldstein...

– Gold, sir.

– Przepraszam po tysiackroć za to nieumyślne przejęzyczenie, przyjacielu. Nie obraziłbym cię za żadne skarby świata. Dzisiaj, drogi doktorze Gold, moim najszczerzym życzeniem jest widzieć pana zadowolonym. – Ostre spojrzenie Conovera wzbudziłoby nieufność nawet u kogoś o wiele bardziej od Golda naiwnego i mającego o wiele mniej powodów, by podejrzewać starego o nieszczerą intencję. – Masz dzisiaj do mnie jakąś sprawę, zgadłem?

– Inaczej nie śmiałybym się panu narzucać – przyznał Gold tonem błagalnym i wytwornym zarazem.

– A więc mów śmiało, przyjacielu. Co mogę dla ciebie zrobić, Sammy?

Gold westchnął ciężko, bo oto ruszała kolejna lawina.

– Samuel Adams – zaczął recytować – Samuel Clemens, Samuel Morse, Wuj Sam, Samuel Johnson.

– Ale najwcześniej pojawia się to imię – odparował Conover ze słodkim i jednocześnie chytrym śmiechem – w Księdze Samuela w Starym Testamencie. A ten Samuel z pewnością

nie nazywał się Johnson, prawda? – Conover dostał lekkiego ataku kaszlu i urwał. Gold skorzystał z okazji i uzupełnił zawartość jego szklanki. – Przywłaszczyliście sobie wiele naszych najładniejszych imion – podjął Conover – ale Sammy do nich nie należy. Sidney, Irving, Harold, Morris, Seymour, Milton, Stanley, Norma... wszystkie szlachetne, a żadne nie jest już nasze.

– Abraham Lincoln, Aaron Burr, Joseph Conrad i Daniel Boone. Isaac "Newton, Benjamin Harrison, Jonathan Swift i Jessie James – wyrzucił z siebie Gold w natchnionej riposie.

– Henry – odciął się Conover – było imieniem angielskich królów. William był zdobywcą, a Harold królem, którego pokonał pod Hastings. Teraz każdy Icek, Abe i Sammy obnosi się z imieniem Henry'ego, Billa albo Bernarda. Mieliliśmy świętego o imieniu Bernard. Teraz nazywa się tak psy. Pracowałem jakiś czas z waszym Henrym Morgenthau i waszym Bernardem Baruchem. Ten wasz Bernie Baruch był doradcą kilku prezydentów, ale żaden z nich go nie słuchał. Wielu takich spotykałem na swoich ścieżkach życia i stwierdzam, że żaden z nich nie mógł się ze mną równać, ani nawet przez myśl mu to nie przeszło. Na twoim miejscu, Goldilocks, zamiast robić z siebie uparcie małpę, postawiłbym sobie za cel przyznawać się zawsze otwarcie do swojego żydowskiego pochodzenia, ponieważ i tak nigdy za nikogo innego nie będziesz uchodził.

Goldowi krew napłynęła do twarzy.

– Nie zamierzam tego dalej wysłuchiwać – wycedził z tłumioną wściekłością, wstając ostentacyjnie.

– Ależ będziesz, będziesz – powiedział Pugh Biddle Conover – jeśli chcesz dzisiaj wydebić ode mnie cokolwiek, choćby lunch. Jak mi się spodoba, mogę nawet odebrać Andrei porsche i będziesz musiał wracać piechotą. Zastanawiam się często, Neimanie Marcusie, dlaczego ktoś mądry i darzący siebie szacunkiem robi wszystko, żeby stać się takim płytkim i bezproduktywnym jak, nie przymierzając, ja. Dlaczego miałbyś się choć na sekundę zmartwić, gdybym uznał cię za obmierzłego? Ale ja cię nudzę. Widzę to po twoich oczach.

– Wcale nie – mruknął niepewnie Gold. – Przykro mi tylko – zełgał – ponieważ zamierzam poślubić pańską córkę. I ponieważ ma pan być może odpowiednie wpływy, by pomóc nam w kwestii mojej kariery w rządzie.

Gospodarz pokiwał uprzejmie głową, a jego chytre oczka zabłyśły.

– To pierwsze nic mnie nie obchodzi. Jak już pewnie zdążyłeś zauważyć, jestem ponad jakiegokolwiek uprzedzenia. Nie będziecie tu nigdy zapraszani i mam nadzieję, że sam również mogę się czuć zwolniony z wątpliwej przyjemności odwiedzania waszego domu. Pomocy jednak wam udzielenie, choćby po to, by zatuszować jakoś plamę na honorze mojej rodziny, kiedy już staniesz się jej członkiem. Nie lubię cię nie tylko dlatego, że jesteś Żydem, Kaminsky. Nie lubię cię, bo jesteś człowiekiem. Ludzkość cuchnie, Hajmie, a ludzie Zachodu wcale nie cuchną mniej odrażająco od reszty. Z bólem stwierdzam, że nie należysz do indywidualności, które zaliczam do grona wyjątków. Przychodzi mi do głowy wielu Żydów, których podziwiam, ale nigdy żadnego z nich nie poznałem, co zresztą należy zapisać im na plus. Najbardziej nie cierpię ludzi, którzy namolnie mnie nachodzą, bo wiem, że czegoś ode mnie chcą. Chociaż przyznać muszę, mój drogi Manishevitz, że nie spotkałem jeszcze nikogo, kogo bym polubił, z wyjątkiem bogatych protestantów.

– A Harris Rosenblatt? – zasugerował śmiało Gold.

– Ten Żyd?

– On się uważa za Niemca – bąknął zbity z tropu Gold.

– A co to za różnica?

– Nie tak dawno temu była to bardzo wielka i tragiczna różnica – powiedział szczerze Gold.

– Ale teraz nie widzę tu żadnej – odparł Conover. – Harris Rosenblatt to nadęty dureń. – Conover, z błakającym się mu po twarzy uśmiechem samozadowolenia, opuścił na chwilę różowe powieki i zachichotał nieprzyjemnie, jak gdyby karmił ducha jakimś bezwzględny, dodającym otuchy wspomnieniem. – Wychowuje swoją córkę na protestantkę, posyłając ją na lekcje jazdy konnej i inne takie, co jego zdaniem mają niby awansować w hierarchii społecznej i dodać fizycznej atrakcyjności. Chce jej też zmienić nazwisko. Na Blatt... – urwał znowu atakiem duszącego śmiechu i podstawił szklankę po dolewkę. Pił duszkiem, dopóki nie przeszła mu wesołość i nie powrócił głos. – Powiedziałem mu... powiedziałem, że będę zaszczycony, jeśli zmieni jej nazwisko na moje, a on obiecał, że to zrobi. To idiota. Czy on naprawdę myśli, że mnie zaszczyca, nadając tej żydóweczce nazwisko go mnie? Ale błagam, nie zrozum mnie źle. Życzę mu szczęścia. Życzę mu radości. Życzę splotzenia syna i beztrudnej starości. Gold drgnął, jak dźgnięty szpilką.

– Z zadowoleniem stwierdzam, sir – odezwał się lodowatym tonem – że pańska pamięć i upodobanie do dziecinnych rymowanek i docinków nie przyblakły od naszego ostatniego spotkania.

Conover spojrział na Golda ze swojego fotela na kółkach z kompletnym zaskoczeniem.

– O czym ty mówisz, młody człowieku?

– Mówił pan wierszem.

– Kiedy?

– Przed chwilą. – Golda zaczęło ogarniać nieprzyjemne uczucie, że jest mimowolną ofiarą jakichś złowieszczych halucynacji.

Conover już wyraźnie był nie w humorze.

– Oszalałeś?

– Przed minutą – brnął dalej Gold. – Cały czas pan to robi. Nie zdaje pan sobie z tego sprawy?

– Ani mi w głowie takie rzeczy – poinformował go Conover. – Mówiłem tylko o naszym wspólnym znajomym, Harrisie Rosenblacie, i wyraziłem nadzieję, że uda mu się splotzić syna. I mam jeszcze nadzieję, że kiedy temu synkowi wyrośnie już czuprynka, to będzie miał dwie dziewczynki. Wiesz, że zastrzelił mi psa? – przypomniał sobie rumieniąc się z zadowolenia.

– Zastrzelił psa? – powtórzył za nim tępo Gold.

– Tak, zastrzelił. – Conover znowu zaniósł się świszczącym chichotem, zginając się niemal w pół. – Jednego z moich ulubionych ogarów, wspaniałe zwierzę. Powiedziałem mu, że jest taki zwyczaj, że po udanym polowaniu wybiera się psa, który najlepiej się spisał, i ukatrupia go. W akcie pokory. A potem dałem mu wolną rękę.

Gold gapił się na niego z pełnym fascynacji przerażeniem. Zdarzało mu się już przylapywać na tym, że rozważa całkiem poważnie i z najczystszy sumieniem zaduszenie na śmierć gołymi rękami jakichś istot ludzkich – na przykład pierwszej dziesiątki projektantów mody, których nazwiska pojawiały się w gazetach, albo następnej szóstki dekoratorów wnętrz – ale nie przypominał sobie, żeby znalazł się kiedykolwiek na wyciągnięcie ręki od kogoś, wobec kogo byłyby skierowane te jego mordercze zapędy.

– I zastrzelił go?

Conover pokiwał radośnie głową.

– Kropnął go w łeb. Rozwalił mu go na kawałki ze sztucera. Zarozumiały cymbał. Potrafi patrzeć na trzydzieści lat w przód, jeśli chodzi o te jego obligacje państwowe, a nie widzi tego, co ma przed nosem, kiedy trzeba wykazać się klasą. Trzeba będzie co najmniej trzech pokoleń i wiele genetycznego szczęścia, żeby któryś z jego potomków nabrał ogłady. Jak wygląda jego żona? – Conover przekrzywił głowę, a w jego oczach zabłyśły ogniki okrucieństwa. – Podobna do Hebrajki?

– Nie ma takiego pieprzonego słowa – wycodził cicho Gold, dochodząc do wniosku, że właściwie nie ma już nic do stracenia i może sobie pozwolić na okazanie prawdziwych emocji, jakie wzbudzają w nim nieustanne prowokacje jego wytrawnego dręczyciela. – Nie wygląda na Żydówkę, jeśli to chciał pan wiedzieć.

– Na to trzeba czterech pokoleń. Wiecie, doktorze Gold... mogę cię tytułować doktorem? Twojemu ziomkowi, Henry'emu Kissingerowi, wcale to nie przeszkadzało, z tym że on był też Niemcem, prawda...? Ale odbiegam od tematu. Od wczesnego dzieciństwa wpajano mi, że mam się uważać za kogoś lepszego od większości ludzi, a nie doświadczyłem w życiu niczego, co skłoniłoby mnie do podania w wątpliwość tej przesłanki. Powiedźcie mi więc, Lehman Brothers, czemu niby mam udawać, że odpowiada mi towarzystwo kogoś takiego jak wy, skoro mi ono nie odpowiada?

Gold upewnił się, czy są zupełnie sami.

– Żeby ratować życie – warknął, chwycił starego obiema rękami za szyję i ścisnął.

– To jedyny dobry powód, jaki mi kiedykolwiek podano – powiedział Pugh Biddle Conover o wiele cichszym głosem, kiedy Gold go puścił, i zaczął sobie delikatnie masować gardło w miejscach, gdzie odcisnęły się palce Golda. – A powiedz mi, przyjacielu, czy lubisz czarnuchów? Pracuje ich tu u mnie ze trzy albo i cztery setki, a nie znam z imienia ani jednego. Ilu bambów masz wśród swoich najbliższych znajomych?

Odpowiedź brzmiała, że żadnego.

– Co nie oznacza, że jestem zwolennikiem ich dyskryminowania – dodał Gold.

– A ja nie jestem zwolennikiem dyskryminowania mnie – powiedział Conover. – Jeśli ty rościsz sobie prawo do unikania bliskich związków z czarnuchami, to dlaczego ja nie miałbym przyznać sobie prawa do trzymania się z dala od osobników twojego pokroju, jeśli spodoba mi się uznać ciebie za kogoś gorszego i wstrętnego, tak jak dla ciebie gorsze i wstrętne są czarnuchy? A właśnie za takiego cię uważam, Goldman, Sachs, Bache, Halsey, Stuart i cała reszta. Faktem jest, że nie chcę mieć nic wspólnego z żadnymi Żydami, wyjąwszy mojego lekarza, prawnika, dentystę, księgowego, sekretarza, brokera, rzeźnika, agenta komunikacyjnego, krawca, współnika w interesach, bankiera, doradcę finansowego, najlepszego przyjaciela oraz powiernika. We wszystkich was, Żydach, wyłączając z tego Kissingera, podoba mi się jedno, a mianowicie to, że trzymacie się z dala od polityki zagranicznej, bo my jej do was nie dopuszczamy. Czy to prawda, że on ukląkł i modlił się z Nixonem? Co za niedorzeczna scenka, Kissinger na klęczkach ze spuszczoną głową i złożonymi do modlitwy rękami. Pękaliśmy tu ze śmiechu miesiącami. Czy Żydzi zawsze klękają do modlitwy? Myślałem, że tylko zawodzą.

– Nie wiem – odburknął Gold. – Ja się nie modlę.

– Ale dzisiaj się modlisz, prawda? – wytknął mu kpiąco Conover. – O jakie stanowisko w rządzie się modlisz?

– Sekretarza stanu – mruknął Gold.

– Och, to mógłbym ci załatwić od ręki. – Conover roześmiał się cicho. – Ale nie wiem, czy to zrobię. Zastanowimy się nad tym poważnie przy lunchu. Lunch powinien być stymulujący. Zawsze jem w samotności.

Gold jadł sam w odrętwieniu. Tym razem wybór był skromny: kanapka z pastrami i letycją na białym chlebie z majonezem i solonym masłem, a do tego pojemniczka mleka podany ze słomką. Gold nie miał cienia wątpliwości, że igra z nim diaboliczna inteligencja o nieskończonych możliwościach.

Po tym podłym posiłku zaszył się w kącie ogrodu i z twarzą ukrytą w dłoniach przesiedział tam do powrotu Andrei z konnej przejażdżki. Andrea wzięła prysznic i włożyła z powrotem sukienkę i buty, w których znowu stała się kobieca, znajoma, wspaniała i nieciekawa. Nie podejrzewała nawet, że dni jej konnych przejażdżek są policzone. Gold powziął silne postanowienie, że z dniem ślubu położy kres tej rekreacyjnej działalności, i był

pewien, że jeśli zajdzie tego potrzeba, potrafi skruszyć jej opór. Poza tym planował posłać ją na psychoterapię z tym jej ślinieniem. Andrea poruszała się często niezgrabnie, objając się o kanty mebli, a już kolana miała na okrągło posiniaczone.

– Jestem spod znaku Strzelca – tłumaczyła.

Miała zwyczaj zapominania, gdzie co położyła, i ta przywara nie podsycala już poczucia męskości i dojrzałości Golda, a wkrótce mogła zacząć mu działać na nerwy.

Teraz od razu zorientowała się, że Gold jest rozgoryczony.

– On mnie nie lubi, Andreo. Po prostu nie aprobuje mnie, bo jestem żydowskiego pochodzenia.

– Skąd się tego dowiedział?

– Ktoś musiał mu wypaplać – burknął Gold tonem, który nie mógłby już być bardziej oschły.

– Obłaskawimy go wspólnie – powiedziała Andrea. – Będzie jak aniołek, jeśli podlejemy go obficie winem.

Jeśli kolor skóry mógł o czymś świadczyć, to Conover zdążył już wyłopać całą beczkę, bo kiedy trąbiąc ogłuszająco klaksonem wtoczył się na swoim zmotoryzowanym wózku do salonu i zahamował z piskiem opon, które wpadły w poślizg i pozostawiły czarne smugi na parkiecie, twarz i czoło miał bardziej różowe niż kiedykolwiek dotąd. Ruchy miał nieskoordynowane, a oczy wręcz mu kipiały świetnym, obłędnym humorem. Gold zauważył z zazdrością, że ten skończony elegant przebrał się z dopasowanej tweedowej marynarki w brązowy aksamitny blezer i zmienił zawiązaną na szyi chusteczkę na absolutnie oszałamiający, błękitny jedwabny fular. Gold nie potrafił odpędzić wizji siebie w bliżej nieokreślonej przyszłości, podobnie wyglądającego i ubierającego się w tym samym stylu.

– Ahoj, moje dzieci, hallo, hallo, hallo – wołał serdecznie, zanim jeszcze pojawił się w polu widzenia, balansując zręcznie trzymanym w dłoni pustym kieliszkiem do brandy. – Jakże ja tęsknię za widokiem swoich kochanych. Na Boga i do pioruna, co za szkoda, że ich tu nie ma. Andrea, słodziutka, nie wolno ci już nigdy, ale to nigdy zostawiać mnie sam na sam z tym pocącym się mrukiem. On chyba rozumie, o czym mowa. Widzę po tym, jak zgrzyta zębami. Przysięgam, że trzeba całego dnia, żeby wyciągnąć z niego chociaż sylabę. I nie chce mi podawać lekarstwa. – Tutaj pogodna przygana w tonie Conovera ustąpiła płaczliwej skardze, i Gold zrozumiał, że znowu jest w tarapatkach.

Andrea nie brała paplaniny ojca poważnie.

– Ja ci podam.

– Niech Schwartz to zrobi. Chce przecież wywrzeć dobre wrażenie. Powiedzcie mi jeszcze raz, co was tu sprowadza i czego ode mnie chcecie.

– Oczekujemy nominacji na stanowisko w rządzie – powiedziała Andrea, okręcając sobie zalotnie wokół palca kosmyk włosów ojca. – I Bruce pomyślał...

– Bruce! – Conover parsknął śmiechem.

– Bruce pomyślał sobie – ciągnęła nie zrażona tym Andrea – że może znasz jakieś wpływowe osoby, które mogłyby przyspieszyć sprawę.

– Sprytnie to sobie wykoncypowałeś, panie Mądry – zwrócił się Conover do podchodzącego Golda.

– Nazywam się Gold, sir. Bruce Gold. Czy to się panu podoba, czy nie. I byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby raczył pan włożyć trochę wysiłku we wbicie sobie tego do głowy. Mimo wszystko obowiązuje jakieś minimum uprzejmości, nawet między ludźmi, którzy się nawzajem nie lubią.

Conover przyglądał się Goldowi przez dłuższą chwilę, jakby na serio rozważał zastosowanie się do jego uwagi, a potem powiedział:

– Nie wszystko złoto, co się świeci, wiedzą o tym nawet dzieci. Twoje zdrowie, ropucho. Podziękujmy obaj Bogu, że nigdy nie poszukiwaliśmy razem tego kruszcu. No, od tej chwili

przestaję być przykry. Proś, o co tylko chcesz, chłopcze, a niczego ci nie odmówię. Kontynuuj, proszę, czcigodny Abe.

Duma nie pozwoliła Goldowi odezwać się ani słowem.

– Pomyśleliśmy sobie, że w rządzie musi być mnóstwo, mnóstwo ludzi, którym wyświadczałeś jakieś przysługi, tatusiu – zaszczebiotała uwodzicielsko Andrea, głaszcząc dłoń ojca i pocierając policzkiem o jego kark. – Czy nie ma tam czasem ludzi, którzy mają wobec ciebie dług wdzięczności?

Samo to domniemanie zmiękczyło Conovera niczym czarodziejskie zaklęcie. Jak sobie przypominał, było tam mnóstwo ludzi, którzy mnóstwo mu zawdzięczali.

– O, tak, to prawda. O ile dobrze pamiętam, siedemnaście razy zełgałem publicznie pod przysięgą – powtórzył z rozmarzeniem, formując starannie głoski i ważąc słowa na języku niczym konieser smakujący wyborne cygaro. – I to nie są czcze przechwałki starego człowieka. Mogę przysiąc, że tak było. Mogę wam pokazać dowody – dyplomy, listy dziękczynne, certyfikaty, odznaczenia i medale, wszystko to w uznaniu moich zasług w służbie publicznej oraz mojej odważnej, nieegoistycznej postawy. Kłamałem opinii publicznej, by chronić prezydenta, kłamałem prezydentowi, by chronić siebie i swoich kolegów, i kłamałem cztery razy na rok w Kongresie tylko po to, żeby nie wyjść z wprawy. I wiecie co? Postępując tak, nigdy nie straciłem nawet odrobiny szacunku w oczach kolegów polityków, nie odwrócił się ode mnie choćby jeden przyjaciel. Różnica pomiędzy pospolitą przestępczością a przestępstwami popełnianymi w służbie publicznej, mój drogi Goodgold, sprowadza się przeważnie bardziej do zajmowanego stanowiska niż samego problemu. Tak, wiele mi są dłużni. Cztery teki w gabinecie, w dwóch różnych administracjach naturalnie. Ambasadorstwa? Jedno w Europie, cztery w Ameryce Łacińskiej, szesnaście w Azji i czterysta trzydzieści trzy w Afryce. Są mi też dłużni sześć stanowisk sędziowskich w sądach niższej instancji gdziekolwiek na Południu albo w Chicago oraz prawo do wypuszczenia sześciu próbnych balonów, każdy dla dowolnych ośmiu ludzi, których uznam za poważnych kandydatów do nominacji na wiceprezydenta, ale w czterech kolejnych kampaniach wyborczych. Podejrzewam, że nie zdążę wykorzystać tego wszystkiego do śmierci, a zapomniałem, czy wolno mi przekazać komuś te swoje przywileje w spadku wraz z moją posiadłością. Będę to musiał sprawdzić poprzez moją żydowską firmę prawniczą – moje chrześcijańskie nie są zbyt biegłe w prawie. Jeśli chcesz, Abie, możesz mnie w tym wyręczyć, ale oszczędź moją Irlandzką Różę, hej, hej. „Czarna dupa u czarnucha”. Nie piszą już takich piosenek, prawda? Szczerze mówiąc, niewiele dbam o te nominacje ani o to, co się stanie z krajem, dopóki moja stolica jest bezpieczna. Ostatnio trafiła mi się okazja odsprzedania dwóch poważnych propozycji-kandydatów-na-wiceprezydentów, w tym jedną jakimś przechwytyjącemu z Houston Oilers¹¹, cokolwiek to jest. Chciałbyś zostać wymieniony sześć razy jako kandydat do nominacji na wiceprezydenta podczas najbliższej kampanii prezydenckiej, Rappaport, tak jak odchodzący obecny wiceprezydent, w zamian za to, że sobie stąd pójdziesz? Bóg mi świadkiem, że modłę się, aby nie zdyskwalifikował cię ten mały parch na pochodzeniu, żydku. Ale słyszę, jak przebąkują ostatnio o zgłaszaniu czarnuchów, Greków, makaroniarzy, meksów i kobiet. Zgodziłbyś się wystąpić publicznie jak żebrak, z kapeluszem w rękę, razem z długą kolejką innych żebraków, tylko po to, żeby zaistnieć jako rozważany kandydat do nominacji na wiceprezydenta, albo na stanowisko w Gabinecie, z którego odejdziesz w niesławie, bądź z niesmakiem przed upływem dwóch lat? Ja odmówiłem. Nie zniżę się do poziomu ludzi, od których uważam się za lepszego. Lubiłem cię za to, że do nich należysz, Abe Ribicoff, ale tylko za to. Chciałbyś zostać wymieniony przy najbliższej okazji jako kandydat na wiceprezydenta? Załatwię ci to za darmo. Nawet jeśli przepadniesz, otworzy ci to drzwi domów, w których twoja obecność będzie milej widziana

¹¹ Houston Oilers – słynna drużyna futbolu amerykańskiego; przechwytyjący – wysunięty do przodu gracz drużyny atakującej, do którego adresowana jest piłka.

niż tutaj. Bądź równym facetem, Feliksie Mendelssohn, i napełnij jeszcze raz moją filiżankę lekarstwem. Boże, ależ mi się chce już rzygać od tych wszystkich Guggenheimów i Annenbergów, i braci Salomon. Kiedy spotyka się jednego Schlesingera, to tak, jakby się spotkało ich wszystkich. Nie możesz szybciej? Z życiem, do cholery. Mam czarnuchów, którzy ruszają się szybciej od ciebie. „Och, kochanie, jakże tęskni za tobą moje serce”. Aaaach, dzięki, mój wybawco. Powiadają, że Jezus był Żydem, ale szczerze mówiąc, to ja mam co do tego wątpliwości. Niech twoje życie podaży za wiecznym kołem fortuny i będzie jak świeży śnieg. Stąpając po nim uważaj jednak, bo widoczny będzie każdy ślad. Twoje zdrowie, Brendanie.

– Mam na imię Bruce – powiedział Gold.

– Stare galijskie imię, o ile się nie mylę.

– Myli się pan – sprostował Gold. – Ale są tacy, którzy dowodzą, że Galowie to jedno z zaginionych plemion Izraela.

– Z tym, że niezbyt przekonująco – odparował gładko ten zgryźliwy staruch. – Wiecie, nie przyjadę na wasze wesele, ale wydaje mi się, że wypadaloby urządzić jakieś przedślubne uroczystości. Najpierw zaproszę tutaj na obiad członków twojej rodziny, oczywiście z twoją żoną włącznie. Ona będzie tu najmilej widziana. I obawiam się, że chyba potem ja z kolei będę się musiał wybrać do Brooklynu i zjeść tam gdzieś obiad z twoją rodziną. Swego czasu mogłem zostać kandydatem na wiceprezydenta, ale program kampanii obejmował wyprawę z Nelsonem Rockefellerem do Brooklynu, a ściślej na jakąś Coney Island, gdzie fotoreporterzy mieli nas fotografować, jak jemy hot dogi. Nie wybrałbym się nigdzie jeść z Nelsonem Rockefellerem. Pożyczał pieniądze ludziom, którzy mu ich nigdy nie zwracali. Gdyby jego brat David tak robił, nie trzymałbym pieniędzy w jego banku. Dał w tajemnicy pięćdziesiąt tysięcy dolarów Henry'emu Kissingerowi. Wyobraź sobie tylko – za pięćdziesiąt tysięcy dolarów można było wtedy kupić małego Klee albo Bonnarda, albo wielkiego Jacksona Pollocka, a on dał tyle pieniędzy za średniego Kissingera. Znasz tego typka? Oczywiście, że znasz, kogo ja pytam? Buńczuczny, bełkoczący facecik, który zawsze aż za bardzo starał się być zabawny i rozpętał wojnę jak, nie przymierzając, nazista. Tutaj odezwało się poczucie przyzwoitości Golda.

– Proszę pana! – wyrzucił z siebie oburzony. – O ile wiem, naziści zamordowali wielu jego krewnych.

– Ale jego nie, prawda? – odparł Conover pogodnie, z cierpkością w głosie. – I ciebie też nie. Jak daleko by, według ciebie, zaszedł jako student historii w Niemczech, gdyby Hitler pozwolił mu tam zostać? Bierzesz go w obronę, Silver? Wstyd!

– Gold, sir, i na miłość boską, proszę mi nie imputować, że bronię osoby, którą najbardziej na świecie potępiam.

– A co, twoim zdaniem, widział w nim Rockefeller, Szycho? – spytał refleksyjnie Conover. – Co do Nixona i tego szympansa Forda, sprawa jest jasna. Ale Nelson, jak mi się wydaje, miał kiedyś trochę oleju w głowie. Pojechał do Brown, tak?

– Do Dartmouth.

– Och. Nawiasem mówiąc, nie dostałem wtedy tej nominacji na wiceprezydenta i Nelson Rockefeller też nie. Dostała się, jeśli sobie dobrze przypominam, Henry'emu Cabotowi Lodge'owi, który pojechał na Coney Island, żeby zjeść tam hot doga, ale i tak przegrał. Henry'emu Cabotowi Lodge'owi nigdy nic się nie udawało, tak samo zresztą jak Ellsworthowi Bunkersowi w Wietnamie albo Grahamowi Martinsowi. Dam ci dobrą radę, chłopcze. Trzymaj się z dala od korpusu dyplomatycznego i światka polityki zagranicznej. To niedouczone towarzystwo dla opóźnionych w nauce, żądnych zaszczytów studentów. Ostrzegam cię, Golddust, że jeśli jeszcze raz nazwiesz mnie tatą albo ojcem, to wpakuję ci kulkę między oczy.

– Bredzisz, tatusiu – wtrąciła się Andrea.

– Niedobrze mi, kochanie. Nie co dzień jestem zmuszony przestawać z kimś takim jak ten tutaj. Mój chłopcze, jeśli kiedykolwiek zabłądzisz na morzu, zalej się w pestkę i pomyśl o mnie.

– My się chcemy pobrać, tatusiu – powiedziała Andrea ze stanowczością, która wprawiła Golda w podziw. – Czy ci się to podoba, czy nie.

– I zmienisz nazwisko na Gold? Na tę okoliczność osuszę do dna swoją szklaneczkę, mój chłopcze, i dam ci najlepszą radę, jaką możesz ode mnie usłyszeć. Nie wolno ci nigdy zwracać się do mnie per tato, ojciec, gubernatorze, sędzio ani milordzie. I zanim się zestarzejesz, wbij sobie jeszcze raz do głowy, że wiedza jest cenniejsza niż srebro i złoto, Goldsmith. Do pioruna, przecież ona tak się nazywała – Gussie Goldsmith! Moja pierwsza miłość. – Temu okrzykowi zaskoczenia towarzyszyła zdumiewająca zmiana wyrazu twarzy Conovera. – Napełnij moją szklanę, chłopcze. Serce wzbiera mi wzruszeniem – podjął, pograżając się jakby w transie najrozkoszniej szych wspomnień. – Łzy napływają do oczu. Zalewają mnie słodkie wspomnienia. Była Żydówką, bardzo ładną Żydówką ze starej rodziny z Południa, osiadłej w Richmond w stanie Wirginia i mającej silne rodzinne powiązania z Charleston w Karolinie Południowej. Ach, Gussie Goldsmith. Trochę dziwna osobowość, już wtedy to zauważyłem, ale byłem w niej zadurzony. Oboje byliśmy tacy młodzi. Uwielbiała robić na drutach i szyć.

Gold nie wierzył własnym uszom, kiedy konwersacja zboczyła na te nieoczekiwane tory.

– Nie widzę tu żadnego związku z Andrea i ze mną, sir – powiedział. – Moim zdaniem śmiało można twierdzić, że oboje jesteście wystarczająco dojrzały i wiemy, co robimy.

– Nie powiem, żeby jej na mnie choć trochę zależało – ciągnął Conover, jakby go nie słyszał. – Aleja byłem nią tak zauroczony, bardziej zakochany niż potem w jakiegokolwiek innej kobiecie, z twoją matką włącznie, kochanie. Gotów byłem rzucić wszystko, nie bacząc na to jej wieczne robienie na drutach, szycie i niezwykłą, patologiczną fascynację pogrzebami i cmentarnymi kwaterami. Jakże się bałem dnia, kiedy będę musiał stanąć przed rodziną i oznajmić, że dziewczyna, którą postanowiłem poślubić, jest Żydówką. Nie byłem pewien, czy starczy mi na to odwagi.

– Musiała to być dla pana niezmiernie ciężka próba – powiedział Gold.

Pugh Biddle Conover zachichotał ze skruchą.

– Nie musiałem do niej podchodzić. Rodzina mojej ukochanej uznała, że są dla mnie zbyt dobrą partią. Płakałem, kiedy się rozstawaliśmy, roniłem łzy. I widzicie, do dziś ją pamiętam. Ach, zwariowana, słodka Gussie Goldsmith. Z tą swoją wełną i drutami do robótek. Podczas naszego ostatniego spotkania błagałem, żeby napisała dla mnie coś czułego, co obiecałem zachować na zawsze, i pamiętam te jej ostatnie słowa tak wyraźnie, jakby zostały skreślone wczoraj. „W każdym języku jest takie słowo, każdemu sercu drogie. Po angielsku brzmi ono »nie zapomnij mnie«, po francusku *la souvenir*”. Nadal mam ją przed oczami, jak robi na drutach. Ciekaw jestem, co się z nią stało.

Niezręczne milczenie, jakie zaległo po tych nudnych, sentymentalnych wynurzeniach, irytowało Golda i liczył na Andreę, że zawróci rozmowę na pożądane tory.

– Bruce... – zaczęła Andrea po odczekaniu stosownej chwili.

– Bruce – prychnął pogardliwie Conover.

– ...dostał propozycję pracy w rządzie – ciągnęła wytrwale Andrea. – Być może w Departamencie Stanu. Chcieliśmy cię prosić, żebyś to jakoś przyspieszył, jeśli masz takie możliwości, i dopilnował, żeby było to jakieś dobre stanowisko, które pozwoli nam się pobrać w dobrym stylu, a potem zapewni odpowiedni prestiż. Wiem, że pragniesz mojego szczęścia.

– Popchnę sprawę do przodu – zgodził się Conover – pod warunkiem, że on zniknie z mojego życia. Ale w zamian musicie mi coś obiecać. Musicie obiecać, że jeśli urodzą wam się dzieci i będą chociaż trochę podobne do niego, to nie będziecie ich wychowywać w chrześcijańskiej wierze. Jak zejdziecie mi teraz z oczu, dorzucę dziesięć milionów do

waszego prezentu ślubnego. Zaraz, mam lepszy pomysł. Zostańcie. Gold, mój synu, musisz mi przysłać nazwiska i adresy wszystkich członków swojej rodziny, żebym mógł nawiązać z nimi kontakt listowny. – Wybuchnął śmiechem, zachwycony swoim pomysłem. – Już sobie wyobrażam, co to będą za nazwiska. – Gdyby Gold miał teraz w ręku nóż do krajania chleba, wbiłby go pewnie w pierś tego puszającego się starego opoja. Ale go nie miał, za to Conover zatopił kolejny sztylet upokorzenia w jego piersi: – Chyba każę mojemu Sambo stanąć u szczytu schodów i wykrzykiwać ich nazwiska, kiedy para za parą będą wstępować po stopniach.

Ta obrazowo zarysowana scenka tak plastycznie wypaliła się na wyobraźni Golda – „Pan Julius Gold z żoną”. „Doktor Irving Sugarman z żoną”. „Pani Esther Moscovitz”. „Pan Victor Vogel z żoną” – że od razu wiedział, iż nie wolno mu za żadne skarby dopuścić, by kiedykolwiek odegrana została w rzeczywistości. Nie słuchał dalej paplaniny Conovera.

– Zostań na kolacji, Andreo, a on niech wraca do domu sam. Jutro na śniadanie wykastrujemy sobie parę żrebacków. Mam kilka dorodnych okazów. Pożycz mu swojego volkswagena. Chyba że woli wielbłąda.

Gold wybrał volkswagena, nie wielbłąda, i w odrętwiałym stanie moralnego upadku ruszył w drogę powrotną do Waszyngtonu. Czy można było pełzać jeszcze niżej, by wspiąć się na szczyt? – zadawał sobie pytanie skręcany odrazą do samego siebie. Można było, i to o wiele, wiele niżej, udzielił sobie odpowiedzi, która poprawiła mu samopoczucie, i przed kolacją czuł się już oczyszczony z hipokryzji.

Wziąwszy prysznic i zmieniwszy ubranie, wkroczył dziarsko do hotelu Madison, zobaczył cenę ślimaków forestier i poczuł się malutki jak jeden z nich. Nie pasował tutaj i potężne przeczcucie podpowiadało mu, że nigdy nie będzie pasował. Pośród tych ludzi wypełniających zatłoczoną, gwarną salę konsumpcyjną był „samotny jak ostryga” z oryginalnego porównania Karola Dickensa, dawno, w opinii Golda, przebrzmiałego powieściopisarza, którego ociężałe dzieła były notorycznie za długie i notorycznie nafaszerowane ekscentrycznymi, jednowymiarowymi postaciami, zbyt licznymi, by się w nich nie pogubić, jak również ekstrawaganckimi zbiegami okoliczności oraz innymi nieprawdopodobnymi zdarzeniami. Gold wciąż jeszcze nie otrząsnął się w pełni ze stresu, któremu został poddany, i bez entuzjazmu śledził chyba najdłuższy we wszechświecie cień, który przez dobrą minutę pełził po jego stoliku, zanim rzucająca go postać zbliżyła się i zatrzymała. Przez moment Goldowi wydawało się, że Harris Rosenblatt wyrósł na najwyższego, najprościej się trzymającego, najwynioślejszego człowieka, jaki kiedykolwiek stapał po powierzchni ziemi. Cerę miał teraz anglosasko białą. Jego oblicze spozierające na Golda z góry w milczącym powitaniu żłobiła siateczka wyraźnych, zdecydowanych zmarszczek, a w głosie, którym przemówił, pobrzmiwała stal.

– Mam czas tylko na szybkiego drinka – powiedział rzeczowo tonem, który napełnił Golda poczuciem, że to on jest tutaj intruzem, po czym zmarszczył z troską czoło i zanim usiadł, obrzucił salę ponurym spojrzeniem kogoś bezustannie czujnego, kto przeczuwa w kościach, że szykuje się coś straszego. – Ludzie z Departamentu Skarbu bardzo dobrze się dzisiaj o tobie wyrażali, Bruce, podoba im się twój raport z prac Komisji Prezydenckiej.

– Podoba im się mój raport?

– Mnie też się podoba, chociaż go jeszcze nie czytałem. Należą ci się gratulacje. Wszyscy dobrze o tobie mówią.

Harris, ja jeszcze nie napisałem żadnego raportu – powiedział Gold.

– I właśnie takie raporty najbardziej lubię – oświadczył Harris Rosenblatt. – Żadnego marnotrawstwa.

– Pomimo że nic nie powiedziałem?

– Dzięki temu nikt cię nie krytykuje. Jeśli nic nie mówisz, mówisz dobrze, a to przemawia na twoją korzyść.

– Harris, wracam właśnie od Pugh'a Biddle'a Conovera. Czy ty naprawdę zastrzeliłeś mu w zeszły weekend jakiegoś psa?

– A zastrzeliłem – przytaknął Harris Rosenblatt uśmiechając się dumnie. – Rozstrzeliwanie ulubionego psa po udanym polowaniu to taki nasz stary zwyczaj, jeźdźców i myśliwych. Zapobiega popadaniu w zadufanie i uczy przywiązywania mniejszej wagi do posiadanych dóbr materialnych.

– I odnosi zamierzony skutek? – spytał Gold. Harris Rosenblatt zastanawiał się chwilę w skupieniu nad odpowiedzią.

– Nie wiem.

– Harris, znasz jakiś sposób, w który mógłbym zarobić szybko większą sumę pieniędzy nie kiwając palcem?

– Zdradzając ci go, postąpiłbym nieetycznie.

– Postąpiłbyś nieetycznie zdradzając mi go, czy przyznając się, że znasz taki?

– Nie wiem – powiedział Harris Rosenblatt. – Ale mam poufne informacje, które, jeśli chcesz, możesz wykorzystać dla korzyści osobistych. Rząd będzie musiał podjąć próbę zrównoważenia budżetu, bo pożałuje.

Gold nie zrozumiał.

– Jak ja to mam wykorzystać dla osobistej korzyści?

– Nie wiem.

– Harris, ty zajmujesz się obligacjami. Nie tak dawno temu mieliśmy sekretarza skarbu, Williama E. Simona, który, zanim zasiadł w rządzie, zarabiał gdzieś pomiędzy dwoma a trzema milionami rocznie pracując przy obligacjach państwowych. Co takiego robi, u licha, ktoś pracujący przy obligacjach państwowych, że jest wart dwa do trzech milionów rocznie?

– Doprawdy nie wiem.

– A ile ty wyciągasz?

– Dwa do trzech milionów rocznie. – Harris Rosenblatt wstał. – Na mnie już czas. Co tam u Liebermana?

– Dalej z niego *grober*, dalej *szlub*.

– Nie rozumiem jidysz – zastrzegł się od razu Harris Rosenblatt – a wszystkie słowa, jakie może znałem w dzieciństwie, wywietrzały mi z głowy. Pomimo że – ciągnął łagodniejszym już tonem, z czymś w rodzaju poufalej jowialności – byłem, jak wiesz, żydowskiego pochodzenia.

– A ja byłem garbaty.

– Aż wierzyć się nie chce – wykrzyknął Harris Rosenblatt z zachwytem – jak my się obaj zmieniliśmy!

Gold znowu czuł się samotny jak ostryga na rodzinnej kolacji i przysiągł sobie, że to ostatnia, w jakiej uczestniczy, zanim jeszcze Sid uwikłał go w Izaaka Newtona prostym powtórzeniem niewinnej tezy:

– Siła wywierana w jakimś kierunku wywołuje reakcję w postaci siły równej co do wartości i skierowanej w przeciwną stronę.

– Kto tak mówi?

– Sir Izaak Newton – odparł uprzejmie Sid.

– No jasne – powiedział Victor.

– To jedno z praw ruchu – wtrąciła Ida.

– Trzecie – podchwyciła Belle.

– Nawet ja to wiem – pochwaliła się Muriel.

Myśli Golda koncentrowały się na nadciągającym rozpadzie małżeństwa i ocknął się teraz nagle, stwierdzając, że stanowi ośrodek zainteresowania zebranych, ciekawych jego odpowiedzi na gambit Sida.

– Chwileczkę. – Gold był trochę rozkojarzony. – Co powiedziałaś, Sid? Tylko teraz nie zmieniaj. Po prostu powtórz.

– Siła wywierana w jakimś kierunku wywołuje reakcję w postaci siły równej co do wartości i skierowanej w przeciwną stronę. Och, Harriet, ojoj, ale dobra ta siekana wątróbka. Najlepsza, jaką dotąd zrobiłaś.

– Przeprosiłam się ze starym rzeźnikiem.

Gold rozważył tymczasem dokładnie słowa Sida i był wielce zdeprimowany.

– Powtórzyłeś to słowo w słowo, Sid? Nic nie zmieniłeś?

– Po co miałbym poprawiać sir Izaaka Newtona? – Sid, wycierający kawałkiem chleba talerz, wyglądał na uosobienie nieskalanej szczerości. – To tak samo oczywiste, jak fakt, że E równa się MC kwadrat.

– Wołałbym już skończyć z tym sir Izaakiem Newtonem – uciął nieelegancko Gold.

– To był Albert Einstein. – Sid nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

– No pewnie – powiedział Victor.

Gold dziękował Bogu, że nie ma tu ojca. Miał dylemat z Belle: nie potrafił się zdobyć na odwagę i zakomunikować jej otwarcie, co zadecydował, postanowił więc, że obarczy tym zadaniem swojego prawnika, każąc mu powiadomić ją, że odchodzi, kiedy jego już tu nie będzie. Do tego spadła mu jeszcze na głowę misja wybadania Milta, który chciał, żeby Esther za niego wyszła. Gold, wzięwszy Milta na stronę, wysondował w przeciągu paru minut jego zamiary i poprzez Harriet, za pośrednictwem Idy, przekazał zapewnienie, że Milt jest czysty, jeśli chodzi o jakieś sprośne oczekiwania, i pod względem skromności dorównuje swojej wybrance.

– Niedługo stuknie mi siódmy krzyżyk, Bruce – powiedział Milt, zacinając się. – A zawsze byłem kawalerem. Ja zwyczajnie nie chcę już żyć sam. I wydaje mi się, że Esther też nie chce być sama.

Potem przyszedł ojciec z Gussie i naładował atmosferę jak piorun kulisty. Znajdował się nadal w trwającej od tygodnia depresji, o której doszły już Golda słuchy. Jego podły nastrój został sprowokowany przez Golda, podsumował szybko ten egocentryczny stary zrzęda. „Przez niego, no bo niby przez co?” – wywarkiwał, kiedy pytano go o samopoczucie – i rozwinął się pod wpływem nudy oraz wzmagającego się łamania w kościach, które przyszło wraz z chłodami nadciągającej zimy. Już dwa razy w ciągu dwóch dni dzwonił do Sida i gderał, że nie posiada jakiegoś porządnego domu na Florydzie. W pewnym sensie Goldowi żal było tego upierdliwego starego pryka dożywającego swoich dni. Wyłamywał sobie palce, oczekując w napięciu erupcji burzliwych żalów kotłujących się w starym.

Po pierwsze, Julius Gold, podobnie jak Pugh Biddle Conover, okazał się przeciwnikiem obsadzania Żydów na urzędzie publicznym.

– Po co mają mieć pod ręką Żyda, żeby zwałać na niego winę, kiedy ich na czymś przydybia albo kiedy sami popełnią jakieś błędy?

Po drugie, rozeźliła go wiadomość, że Gold bawił w posiadłości Conovera.

– Faszysta był z niego i antyizraelczyk, zawsze. Wymień chociaż jednego. – Dźwigając się ze złością na nogi, ojciec Golda zagrzał się szybko do natarcia i płonął teraz jak rozżarzony węgielek. – No dalej, panie Mądralo. Śmiało.

– Jakiego jednego? – spytał błagalnie Gold.

– Jednego milionera, który był coś wart. Powiedz mi kiedy.

– Kiedy co?

– Nie cocuj mi tutaj... Dam ci ja zaraz co, ośle jeden. Powiedz mi, kiedy nazwisko takiego Rockefellera było godne szacunku. Albo takiego Morgana, tego kurdupła J. P. Morgana z fioletowym nosem do kolan. Pamiętam, jak ludzie spluwali i odwracali się, kiedy usłyszeli takie nazwiska. Nawet senatorowie z Zachodu. A ty jeździsz sobie teraz na koniach z takim Conoverem. Ej, Żydzie, gdzie tobie do koni? Od kiedy to Żydzi jeżdżą na koniach? Kiedyś ty się nauczyłeś jeździć na koniu?

– Nie jeździłem konno.

– Kto cię tam przesznułował?

– Zostałem zaproszony – odparł Gold ze skrucą. Wzbierający w nim słuszny gniew zawodził go katastrofalnie, ilekroć przychodziło mu zabrać głos. – Przez kogoś, kto go zna. On może mi pomóc.

– W czym? – krzyknął Julius Gold z pałającymi, ściągniętymi policzkami. – Zapamiętaj, synku: idziesz spać z psami, wstajesz z pchłami.

– Jeśli kiedykolwiek zdarzy ci się zapomnieć, żeś Żydem – wyrecytowała Gussie Gold tonem statecznej nagany – możesz być spokojny, że taki goj jak Conover na pewno ci o tym przypomni.

– Oni tam to wiedzą, na miłość boską – rzucił do niej Gold – i akceptują mnie bez względu na to, czym jestem.

– Tak? – podjął ojciec. – A czym ty jesteś? Wchodzisz z nimi do rządu? Jako kto?

– Jako sekretarz – powiedział Gold, zniżając z zakłopotaniem głos – stanu.

Stary wykrzywił się z obrzydzeniem i spytał:

– A co to za robota dla Żyda? Sid, owszem, pracował przy koniach w pralni, ale tylko dopóki musiał, i rzucił to od razu, kiedy tylko mógł. I nie jeździł na nich. Powiedz mi, jaki interes może mieć Żyd w tutejszym rządzie. Wymień mi jednego porządnego Żyda, który kiedykolwiek wszedł do rządu.

Pamięć Golda, zaskoczona tym trudnym pytaniem, popadła w stan chwilowego paraliżu.

– Brandeis i Cardozo. – Nic lepszego nie przychodziło mu jakoś do głowy. – I Felix Frankfurter.

– To było czterdzieści lat temu – parsknął pogardliwie ojciec. – Zresztą oni byli sędziami. Mnie chodzi o Żydów w rządzie.

– Herbert Lehman?

– Sto lat temu. A zresztą on był najpierw gubernatorem, potem dopiero senatorem, tępaku, i wcale nie był z niego taki orzeł. Wymień mi jednego Żyda, który kiedykolwiek pracował dla prezydenta i nie przyniósł wstydu rządowi ani Żydom. – Goldowi nadal nie przychodził do głowy nikt taki. – I powiem ci, że z tych całych chrześcijan też nie są wcale takie orły. Nawet z tego skubanego Roosevelta. Nie wpuścił do kraju dziesięciu tysięcy żydowskich dzieci, które poszły przez to do gazu. Był kaleką. Utykał, kiedy chodził, i starał się to przed nami ukryć, kłamczuch jeden. – Stary urwał, żeby zaczerpnąć tchu, i przez twarz przemknął mu

niespodziewany, anomalny uśmieszek, a z piersi wyrwał się krótki, zdławiony chichot. – Z kaleki – zauważył z bardziej ludzką nutką w głosie – zawsze można się pośmiać.

Gold był przekonany, że słowa te zraniły nie tylko jego wrażliwość. Zdawał sobie sprawę ze swojej wrodzonej skłonności do czynienia zła, ale teraz uświadomił sobie, że istnieją w myślach szczyty i doliny okrucieństwa, które nie mieszczą się w ramach jego najmściwszych nawet fantazji.

– Och, tato, jak możesz – mruknął potrząsając głową ze smutkiem i oszołomieniem. – Okropne rzeczy wygadujesz.

– A co, taki był z niego piękny Roosevelt z tymi koślawymi giczołami? – odparował ojciec z odświeżoną złośliwością, która wydała się Goldowi dosyć alarmująca. – Ładnie postąpił z tymi Żydami ze statku, któremu nie pozwolił się nawet zatrzymać w swoim kraju, i musieli wracać z powrotem do Niemiec? Odłożyć do akt i zapomnieć, napisał na tym liście, i nie pozwolił nawet zbombardować torów kolejowych, którymi wożono ludzi do obozów śmierci. Wiem to wszystko, od moich znajomych z Florydy, a im wierzę bardziej niż tobie. I ty afiszujesz się teraz z takim człowiekiem jak Conover? Z nazistą i antysemitą? Był jak Lindbergh – ciągnął Julius Gold. – Był może nawet gorszy od Henry*ego Forda.

– Ale już taki nie jest – zełgał Gold bez chwili wahania. – Wiele się zmieniło. Mam w Waszyngtonie przyjaciela na wysokim stanowisku, który mówi, że nie ma już antysemitów. Moim zdaniem jesteśmy teraz akceptowani bez żadnych uprzedzeń i asymilujemy się.

– Tak? – zaszydził ojciec. – A kto widzi to akceptowanie, kto widzi to asymilowanie? Bo ja nie. Goj zawsze pozostanie gojem, tak ja to widzę, i gdyby nie Izrael, nie miałby nas kto bronić, bo my już nie potrafimy walczyć, a oni jeszcze potrafią. Asymilujesz się, powiadasz. Coś ci powiem: spróbuj tu kiedyś przyprowadzić kogoś z tych swoich Conoverów, a żegnaj, Charlie. Wracam na Florydę i tyle mnie będziecie widzieli.

– Przyprowadź – mruknęła Harriet do Golda. Ta przejrzysta co do intencji propozycja wywołała piorunujący efekt.

– Sid, znajdź mi jakieś mieszkanie – powiedział stary żałośnie, ochryłym szeptem, obrzuciwszy przedtem Harriet przeciągłym, nienawistnym spojrzeniem, i pokuśtykał z trudem do swojego krzesła. – Załatw mi kondominium, jeśli uważasz, że tak będzie najlepiej. I wymyśl inny temat do rozmowy – zakończył z jakąś straszną ostatecznością. – Dosyć mam jego spaczonego rozumu.

– Wydaje mi się – wtrąciła macocha Golda – że następna klepka się oblużowała.

Widok macochy przebierającej drutami do robótek obudził w Goldzie mętną gmatwaninę skojarzeń, która połykiwała przez chwilę złudnie o włos od skonkretyzowania, a potem rozwiązała się, kiedy Sid powiedział:

– Czytałem dzisiaj w gazetach, że odkryli jakieś zdolności językowe po prawej stronie mózgu.

– To mózg ma dwie strony? – zdziwiła się jedna z sióstr.

– Oczywiście – odparł Sid z życzliwą wyższością, od której Goldowi ścierpły zęby. – Każde pytanie ma dwie strony.

– Mózg to nie pytanie – zauważył Gold kwaśno, nie podnosząc wzroku.

– A co, odpowiedź? – fuknął ojciec.

– Dwie strony ma wszystko – wyjaśnił Sid, stając nad Goldem i zwracając się bezpośrednio do niego.

– Wszystko? – Gold z błogim dreszczem tryumfu uświadomił sobie, że nareszcie go ma. – Ta pomarańcza też?

– Naturalnie – odparł Sid.

– Gdzie widzisz te dwie strony w pomarańczy?

– Góra i dół – powiedział Sid. – Wszystko ma dwie strony.

– A trójkąt?

– Wnętrze i otoczenie.

I wtedy Gold oznajmił wszem i wobec, że opuszcza dom Sida i już nigdy w życiu nie weźmie udziału w rodzinnej kolacji. Może będzie się z nimi widywał po jednym na raz, tak jak Joannie.

Jeszcze raz pogratulował grzecznie Esther i Miltowi zbliżającego się ślubu.

Bez żadnych skrupułów postanowił, że nazajutrz odejdzie od Belle. Andrea wynagrodzi mu tę stratę. Nie miał wątpliwości, że ojciec, brat i siostry się go wyrzekną, a dzieci nie będą chciały znać. Rysowała się przed nim świetlana przyszłość.

Z samego rana odbył naradę z adwokatem.

– Ile pieniędzy chce jej pan zostawić?

– Nic.

– To popieram.

– Z drugiej strony chcę, żeby i ona, i dzieci miały wszystko, do czego przywykły, i żyły bez trosk.

– Chyba będę musiał poszukać jakiejś furtki.

Po południu poszedł sobie zrobić badania lekarskie. Mursh Weinrock, paląc śmierdzącego jak tłący się materac papierosa i przybierając na wadze oraz zaokrąglając się w oczach, skierował go do asystenta, którego przyjął ostatnio na etat do swojego gabinetu, bardzo poważnego, pozbawionego poczucia humoru młodego człowieka, który niemiłosiernie długo zachowywał grobowe milczenie, wprawiając Golda w przerażenie swoją nieprzeniknioną, implikującą jakąś tragedię, kamienną twarzą. Straszne przeczucia fatalnej diagnozy kłębiące się w głowie Golda zaczęły przybierać setkę rozmaitych form.

– Kiedy pan – odezwał się młody lekarz o końskiej twarzy w momencie, gdy Gold doszedł do wniosku, że nie zniesie ani chwili dłużej tej złowieszczej atmosfery – ostatni raz się kąpał?

Gold pozbierał się z ponizającej pozycji, którą kazano mu przyjąć, czyli z czworaków, podciągnął majtki, zszedł z kozetki, włożył spodnie i wszedł bez pukania do przestronnego, mrocznego prywatnego gabinetu doktora Mursha Weinrocka.

– Ty mu kazałeś zadać mi to pytanie?

– Jakie pytanie?

– Kiedy się ostatnio kąpałem.

– Niezłe. – Weinrock zaniósł się bezgłośnym chichotem, jak gdyby oszczędzał energię na jakiś bardziej konstruktywny cel. – Wiedziałem, że będą z niego ludzie.

– Na miłość boską, Murshie – jęknął Gold. – Kiedy ty, do cholery, znajdujesz czas na wymyślanie tych idiotycznych żartów? Możemy kontynuować?

Weinrock posłał go teraz na badania do siostry Lucille, przystojnej Murzynki, która dzisiaj była jakaś nie w sosie.

– Znowu się uganiamy za żoną pana doktora, co? – mruknęła, rzucając mu mordercze spojrzenie spode łba.

Zanim Gold zdążył zaprzeczyć, do gabinetu wsunęła głowę jakaś młoda dziewczyna i oznajmiła:

– Koteczku, jego mocz jest bardzo wysoki.

Siostra Lucille, nie zwracając uwagi na zaglądnącego jej przez ramię Golda, napisała: „Cukier. Poziom niski, w normie”.

– Laboratorium mówi, że masz wysoki poziom cholesterolu we krwi. – Zapisała w swoim zeszyku: „Cholesterol. W normie, poziom niski”. Wyprostowała się chichocząc i posłała mu z ukosa spojrzenie ociekające śmiertelną wrogością. – No – powiedziała – wygląda mi na to, że ukatrupiłam następnego.

– Następnego kogo?

– Następnego Żyda. Przejdź tam. Zrobimy kardiogram. Ściągaj tę koszulę, bo ją zaraz z ciebie zedre. Włóż na stół i kładź się, bo sama cię tam wrzucę i przyduszę. Złóż się, mówię.

– Chciałaś powiedzieć, połóż się, Lucille. Władasz angielskim lepiej ode mnie.

– Nie zwracaj mi dupy. Znowu się rżnęło żonę pana doktora, co? – Mocowała mu elektrody i zrzedziała. – Nie wypieraj się, dobrze wiem.

– Och, nie wygłupiaj się, Lucille. Przestań. Jesteś wykształconą kobietą, nie jakąś ulicznicą.

– Nie pieprz mi tu, biały kutasie. Widziałam te obłe hormony pływające w twoich szczynach. Leż spokojnie i rozluźnij się, bo cię dźgnę nożem. Oho. Wychodzi. Miałeś kiedyś atak serca?

– Nie – wykrztusił Gold, wzdrygając się.

– Chrzanisz. Miałeś atak serca i poszedłeś do innego lekarza, tak?

– Nie.

– Na pewno?

– A co?

– Leż, sukinsynu. Leż spokojnie, bo ci gardło poderżnę. Miało się kiedyś zawał? A więc miało się zawałik, tak? I poszło do innego lekarza, tak?

– O czym ty, u diabła, gadasz?! – krzyknął Gold.

– Popatrz na te cholerne wykresy! – krzyknęła pielęgniarka doktora Weinrocka głosem tak samo wzburzonym. – Chcesz mi wcisnąć, że nie miałeś nigdy ataku serca? Ani zawału?

Do gabinetu zajrzał zaniepokojony Murshie Weinrock.

– Co tu się wyprawia?

– Nie chce leżeć. Zrywa mi się co chwila i gapi na wykresy. Boi się, że grozi mu atak serca albo zawał.

W kontaktach z pacjentami Weinrock miał zwyczaj przemawiać z mieszaniną rozdrażnienia i pochlebstwa.

– Daj spokój, Bruce, przestań się zachowywać jak dziecko. Pozwól jej dokończyć badanie, a wtedy zobaczymy, czy coś jest nie tak. Masz wkrótce zostać takim ważnym człowiekiem, chcę się więc upewnić, czy nic ci aby nie dolega.

– A co robiłeś przez wszystkie te lata, kiedy nic jeszcze nie zapowiadało, że zostanę ważnym człowiekiem? – zarzucił mu Gold, kiedy kompletnie już ubrany siedział znowu w jego prywatnym gabinecie. – Nie upewniałeś się?

– Ja naprawdę nie mam czasu. Widzisz, jaki jestem zapracowany.

– A przypuścimy, że naprawdę by mi coś było?

– Nie przyjmowałbym cię, Bruce – odparł z rozbrajającą szczerością doktor Weinrock. – Nigdy nie przyjmuję pacjentów, którzy naprawdę potrzebują pomocy. Użeranie się z chorymi nie sprawia mi przyjemności. No, popatrzmy. – Zamilkł i przystąpił do skrupulatnego studiowania wyników badań Golda. – Z przykrością stwierdzam, że muszę się zgodzić z medyczną opinią mojego leniwego młodszego brata. Plamka mówi, że jesteś palant.

– W rozmowie ze mną nazwał tak ciebie.

– W moim przypadku ma tylko na myśli moje zaściankowe, reakcyjne zapatrywania polityczne.

– Czy będę zdolny...

– Będziesz zdolny znosić udrękę władzy i torturę władzy oraz dźwigać ofiarnie brzemię urzędu. Poziomy cholesterolu i kwasu w moczu masz wysokie, ale jeszcze w normie. Masz wysoki poziom azotu we krwi, ale to mnie nie niepokoi, przede wszystkim dlatego, że to twoja krew, nie moja. Prześwietlenie płuc nadal nie wykazuje rozedmy. Masz troszkę powiększoną prostatę, ale ona też nie jest moja. A z twojego elektrokardiogramu wynika... – spojrzał na Golda z dezaprobatą – ...że nadal rzniesz moją żonę.

– Nie mogę się od niej odczepić, doktorze.

– Krótko mówiąc, rozpadasz się szybko w zdrowym, normalnym tempie. Jak tam w domu?

– Świetnie. – Goldowi ulżyło. – Belle jest w porządku, nieźle mi się teraz układa z moim chłopakiem Noahem, a...

– Z Noahem? – spytał ze zdumieniem Mursh Weinrock.

– Tak. To mój najstarszy, i...

– Okropne imię dla dzieciaka, Bruce.

- Co? – Gold zastrzygł uchem, nie wierząc, że dobrze usłyszał.
- Naprawdę okropne.

Gold gapił się długą chwilę w wielką, sową głowę swojego lekarza, zanim zdobył się na odpowiedź:

- My tak nie uważamy. Daliśmy mu je po ojcu mojej żony.
- Nie jest nawet żydowskie.
- Nie?
- Oczywiście, że nie. Noah żył przed Abrahamem, a Abraham był pierwszy. Noah był pijanicą. Co cię, u licha, napadło, żeby nadawać dzieciakowi imię jakiegoś goja-opoja?
- Jemu to jakoś nie przeszkadza – burknął opryskliwie Gold. – Może byś tak pilnował własnego nosa?
- A właśnie, że przeszkadza.
- Skąd wiesz?
- A skąd ty wiesz?
- Mursh – jęknął błagalnie Gold pod wpływem chwili – może ty mi to wyjaśnisz. Czy ja mam w sobie coś, może w swojej aparycji, co prowokuje ludzi do nabijania się ze mnie? Czy ja mam w sobie coś, co pobudza u innych wesołość, czy jestem typem ściągającym na siebie kpiny?

Weinrock odchylił się na oparcie fotela, splótł dłonie na brzuchu i opuścił powieki, przybierając pozę mędrca.

- Tak, Bruce, obawiam się, że masz.
- Co?
- Nie wiem.

Nadeszła pora rozstania. Belle spopielała na moment na twarzy, kiedy Gold wkroczył do mieszkania rozsiewając wokół siebie aurę roztargnienia charakterystyczną dla kogoś, kogo dotknęła ostatnio jakaś nieopisana tragedia.

- Nic mi nie jest – zapewnił ją od progu załamującym się głosem. – Muszę tylko bardzo uważać, co jem. Co na obiad?
- Wątróbka cieleca, bekon z grzybami i tłuczone ziemniaki z podsmażaną cebulką.
- Ślinka cieknie – przyznał Gold. – Nie, żadnej cielecej wątróbki. Muszę uważać na swój cholesterol.
- A w bekonie jest cholesterol?
- Jest tłuszcz. Na wagę też muszę uważać. I grzybów też mi chyba nie wolno. Muszę uważać na kwas w moczu.
- Jesteś chory? – Belle przyglądała mu się ze źle skrywanym zatroskaniem.
- Skąd, jestem zdrow jak ryba. Muszę też uważać na ciśnienie krwi.
- W jaki sposób?
- Nie powiedział. Chyba odstawiając sól.
- Wydaje mi się – powiedziała Belle – że lepiej by było, gdybyś był chory. Nie musiałbyś na tyle uważać.

Goldowi nie spodobał się ton, jakim to powiedziała, odłożył jednak na miejsce książeczki bankowe i postanowił, że jeszcze trochę z nią pobędzie.

Gold przyłapał się na tym, że niezmiernie trudno mu przyznać przed samym sobą, że im bliżej ślubu z Andrea i objęcia stanowiska sekretarza stanu, tym większe nachodzą go wątpliwości, czy naprawdę chce jednego i drugiego. Andrea nie pomagała mu nigdy w zmywaniu naczyń. Okazywała się nie tak podatna na jego wpływ, jak mu się pierwotnie wydawało, i ujawniały się u niej cechy charakteru, które mogły się oprzeć nawet jego najbardziej apostołskim próbom ich naprostowania. Obserwując ją na tle ojca doszedł do wniosku, że jest osobą, która nigdy nie zrobiła niczego, na co nie miała ochoty, i której udawało się zawsze wszystko, co robiła. Jak dotąd przytakiwała mu we wszystkim i była mu posłuszna, aczkolwiek robiła to z beznamiętną emocjonalną powściągliwością, co często rozbudzało w nim zniechęcające poczucie daremności i znudzenia. Seks z Belle zdażył się już stać dla niego w przeważającej mierze sprawą rutyny. Seks z Andrea też już mu spowszedniał, przyznać jednak musiał, że tutaj pole do eksperymentowania było nieskończenie rozleglejsze. Andrea wypowiadała się w tym temacie z doświadczeniem i naturalną elokwencją, które często porządnie szokowały Golda i degradowały wysuwane przez niego propozycje do poziomu kpin, czego nie miał najmniejszego zamiaru znosić.

– Zauważyłem – zwrócił się do niej – że bardzo lubicie się z ojcem dotykać, prawda?

– Ja bardziej – odparła bez cienia zażenowania. – Jeszcze jako mała dziewczynka odkryłam, że zawsze, kiedy siadam mężczyznom na kolanach i bardzo się wiercę, zwracam na siebie więcej ich uwagi. No więc robię to od tamtego czasu.

– Robisz to od tamtego czasu?

– Tak, lubię to. – Siedziała mu już na kolanach i Gold nie mógł się nadziwić kompletnej beznamiętności, z jaką to demonstrowała. – Chyba od dzieciństwa kochałam każdego, kto ma kutasa, bo rozumiałam, że właśnie tam znajduje się siedlisko całej siły i aktywności. Zawsze więc starałam się trzymać blisko chłopaków, a wiercenie się i dotykanie stanowiło taktykę, dzięki której mnie nie odpędzali.

Gold owi udało się jakoś wstać i odsunąć od niej, nie zdradzając, do jakiego stopnia znowu poruszyły go poglądy, których nie potrafił nazwać inaczej, jak tylko spaczonymi i osobliwymi.

– Andreo, nie wolno ci opowiadać ludziom takich rzeczy – upomniał ją z przesadną żarliwością, która tylko cienką warstewką maskowała potępienie, jakie wzbudziły w nim jej słowa.

– Nawet tobie?

– No, może – ustąpił, pomny, że jeśli tego nie robi, gotowe mu wyschnąć orzeźwiający źródło zmysłowej przyjemności – tylko mnie.

– Nie wiem takich rzeczy – przyznała z wdzięcznością. – Chodziłam do szkoły Sarah Lawrence, chociaż jej nie ukończyłam, a tam wpajano nam ciągle, że zawsze należy mówić prawdę taką, jaką się ją widzi. W Bennington prowadziłyśmy rywalizację, która z nas więcej razy zaliczy profesora sztuk pięknych. Przez dwa lata, jakie tam uczył, przeleciały go trzysta dwadzieścia cztery dziewczyny. Ty też chyba rzniesz mnóstwo swoich studentek, prawda?

– Nie – zaprzeczył z naciskiem Gold. – Nie rżnę.

– Wcale?

– Z młodszych czy starszych lat?

– Obojętne.

– No, kiedyś – przyznał. – Ale niedługo. Nie ma o czym mówić.

– U Smitha – podjęła spokojnie – chodziłyśmy do łóżka ze swoimi ojcami.

Gold musiał najpierw przełknąć.

– Ze swoimi ojcami?

– I to było o wiele bardziej rajcowne.

Gold znowu zaczął zachodzić w głowę, z jaką to dziewczyną planuje się ożenić.

– Nie jestem pewien, czy dobrze cię zrozumiałem, kochanie. Ze swoimi ojcami?
– Tak.
– O Boże – westchnął i przyłożył sobie dłoń do czoła. – Kto to zapoczątkował?
– Jedną z pierwszych byłam ja – odparła. – Za wymyślenie tej zabawy omal nie zdobyłam głównej nagrody za wyniki w nauce.
– A twój ojciec?
– On też był jednym z pierwszych. I zawsze cieszył się opinią jednego z najlepszych. – Andrea odczytała raptem myśli Golda i aż krzyknęła z uciechy. – Nie z własnymi ojcami, głuptasie – ofuknęła go żartobliwie i zaniósła się piskliwym śmiechem, który stanowił jeszcze jedną z jej wad, które coraz bardziej go drażniły. – To by było okropne.
– Też tak mi się wydawało – mruknął cierpko Gold.
– Robiliśmy to z ojcami koleżanek – wyjaśniła z protekcyjną wesołością. – Wymieniałyśmy się, Bruce. Z moim ojcem szło zawsze najłatwiej i zawsze go to bardzo bawiło. Wystarczyło tylko, żebym przyprowadziła koleżankę do domu na noc i szepnęła mu, że ona uważa go za atrakcyjnego seksualnie. Zawsze dawał się na to nabrać. Wszystkie zgodnie twierdziły, że był Ogierem przez duże O. Założę się, że nadal taki jest. Czy koleżanki twojej córki nie próbowały ci się podkładać?
– Nie! – wrzasnął Gold.
– Och, przestań. Założę się, że tak, a ty nawet o tym nie wiesz.
– Koleżanki mojej córki, Andreo – poinformował ją szorstko – mają po dwanaście i pół roku. Istnieją pewne obszary naszych doświadczeń, moja droga, co do których pożądanym jest normalnie zachowanie minimum powściągliwości w mowie, a wydaje mi się, że właśnie wyjawiasz lekkomyślnie swoje tajemnice należące do jednego z nich.
– Nie zgadzam się z tobą, Bruce – powiedziała beztrząsco z tą nieugiętą stanowczością, którą od jakiegoś czasu u niej zauważał i której zaczynał się bać. – Dobrze wiem, że po ślubie będziemy oboje skakali na boki...
– Czyżby? – Jego zdumienie świadczyło dobitnie, że wcale nie podobał mu się ten pomysł.
– A co to by było za małżeństwo, gdybyśmy tego nie robili? – spytała.
– Co to będzie za małżeństwo, jeśli będziemy tak robić?
– Otwarte, niezakłamanie małżeństwo – odparła z żarliwym zaangażowaniem, jak gdyby odmalowywała przed nim wizję najróżowszego i najpełniejszego ze związków. – I będziemy mogli sobie opowiadać tyle interesujących, zabawnych historii.
Sama idea takiego otwartego, niezakłamanego małżeństwa wypełnionego codziennym opowiadaniem sobie, co i z kim się dzisiaj robiło, była dla Golda odpychająca, ale odparł z, jego zdaniem, wzorowym taktem:
– Porozmawiamy o tym jeszcze przed weselem, kochanie.
– Żadnych sekretów, Bruce, i żadnych niedomówień. Będę ci mówiła wszystko i żądała od ciebie, żebyś ty również niczego przede mną nie ukrywał.
– Będę ci mówił wszystko – odparł, biorąc ją w ramiona. – I jeśli mam być szczery, to powiem ci od razu, że nie chcę, żebyś ty mi wszystko mówiła.
Ale mnożące się zwiastuny nieuniknionego niedopasowania wiązały się najbardziej nie z sypialnią, a z kuchnią. Gold gotów był wybaczyć kobiecie oziębłość niemal równie chętnie, co nadpobudliwość, ale jak długo ścierpi kobietę pod każdym innym względem wspaniałą, która w kuchni zupełnie traci głowę? Z czasem pojawiłyby się w ich domu kucharki i służące, ale kto by nimi dyrygował? Z każdym upływającym tygodniem wzbierało w nim, niczym gradowa chmura, straszne podejrzenie, że Andrea jest może nie tylko gnuśna i zupełnie nie zainteresowana pewnymi rodzajami obowiązków związanych z prowadzeniem domu, ale również głupia. Trzy razy zmuszony był objaśniać jej zasady krajania boczku – raz w grube plastry do jajecznicy, raz w cienkie do francuskich tostów i raz w kostkę do krewetek i

szalotek przeznaczonych do chińskiego smażonego ryżu z małżami w sosie z czarnej fasoli, który specjalnie dla niej przyrządził i który wyszedł mu idealnie – a ona za każdym razem chłoneła jak zahipnotyzowana każdą czynność, zupełnie jakby nigdy dotąd nie przerabiał z nią tematu krajania boczku. Za trzecim razem był już nie tylko zły, ale wściekły na przewrotność losu, która każe jemu, Żydowi, objaśniać jej, gojce, ezoteryczną sztukę krajania boczku. Po tym posiłku również nie pomogła mu w zmywaniu naczyń, a nie chciał się zniżyć do proszenia.

Ale dopiero epizod z czarnym estońskim chlebem doprowadził go na skraj rozpacz.

– Kochanie, gdzie schowałaś ten wielki bochen czarnego estońskiego chleba, który ostatnio przywiozłem? Wszystko przeszukałem.

– Wyrzuciłam go – odparła niewinnie. Do oczu Golda wkraść się niepokój.

– Wyrzuciłaś?

– Robił się twardy.

– Robił się twardy? – Słuchał tego jak w jakimś transie i teraz parsknął pustym śmiechem.

– Kochanie, to normalne, że twardniał. Twardniała tylko zewnętrzna kromka.

– Skórka też była twarda.

– Skórka zawsze jest twarda, kochanie.

– Nie wiedziałam o tym, kochanie.

– Takie wielkie bochny pieką z grubą skórką, żeby zachowywały świeżość przez kilka tygodni, kochanie. Wyobrażałaś sobie, że zjemy pięcioletni czarny estoński chleb w jeden wieczór?

– Przepraszam, kochanie. – Andrea naprawdę była skruszona. – Wiesz, jaka jestem słaba w ekonomii wewnętrznej krajów Europy Wschodniej.

Decydując się ze stoickim spokojem na najrozsądniejsze wyjście z sytuacji, Gold sięgnął po paczkowany biały chleb, a potem rzucił od niechcienia pytanie, które zadało śmiertelny cios wszelkim świetlanym nadziejom na przyszłość i przeobraziło ich rychle małżeństwo ze związku z miłości w związek z wyrachowania:

– Kochanie, czy masz jakieś konfitury truskawkowe?

Andrea miała tylko słoik dżemu opatrzony nalepką z supermarketu. Gold osłupiał. Przywiozłem jej szynkę Black Forrest, musztardę Pommery i najsoczystszego pieczonego łososia, a ona mi wciska gówno. Co, do cholery, jest z tymi ludźmi? Czy nie obchodzi ich już nic poza jeżdżeniem na koniach i posiadaniem pieniędzy? Opychają się pomarańczami z Kalifornii, chociaż mogliby je sprowadzać z Florydy, i zdają się nie zauważać, że gruszki comice są lepsze od seckeli i anjousów. Na samą myśl, że może by tak spróbować ją przekonać, że od dostrzegania różnicy pomiędzy zwyczajnym dżemem z supermarketu a truskawkowymi konfiturami zależy ich szansa na szczęśliwy związek, spowiło go, niczym wyciągająca siły mgła, zniechęcenie.

Belle takie coś rozumiała.

– Jest smakoszem, chociaż sam tego nie wie – powiedziała ze śmiechem wiele miesięcy temu, kiedy potrafili jeszcze ze sobą żartować. – Wydaje mu się, że jest kimś specjalnym. Chciałabym widzieć, jak któraś z tych młodych dziewcząt próbuje go utrzymać przy sobie dłużej niż tydzień. Samo dochodzenie, jak mu dogodzić, zabrałoby jej dziesięć lat. Chciałabym widzieć, jak bierze sobie kiedyś taką na próbę. Kiedy prosi o dwuminutowe jajka, to znaczy, że mają być trzyminutowe. Mówi, żeby mu prasować bieliznę, a ma na myśli, że ma być nie prasowana. Kiedy gdzieś wychodzimy, ubiera się dłużej ode mnie. Chciałabym widzieć, jak któraś ze studentek z jego college'u, kiedy prosi ją o ziarnisty chleb ryżowy, łamie sobie głowę, czy chodzi mu o kminek, czy o coś innego. Kiedy prosi o rybę na obiad, to zazwyczaj chce wątróbkę, a jak prosi o wątróbkę, to chce jeść na mieście. Niech Bóg ma w swej opiece tego, kto poczętuje go kiedykolwiek kalifornijskim grejpfrutem. Żal mi każdej młodej dziewczyny, która mi go skradnie.

Gold z uśmiechem przypomniał sobie ten wykład Belle. Jedyna nieścistość, jaką potrafił wykryć w tym podsumowaniu swojej osoby, to naiwna wiara, że najprawdopodobniej wpadnie w sidła jakiejś młódki. Przyjaciółka z przedmieścia była, podobnie jak Belle, mniej więcej w jego wieku. Śpiąca obok niego Andrea miała już ponad trzydzieści pięć lat, i wątpił, czy zainteresuje go jeszcze jakaś młodsza. Przypomniał sobie, że Belle sypnął się ostatnio drobny wąsik, i to też wywołało jego uśmiech.

Przez jakąś godzinę leżał z szeroko otwartymi oczami, żałując podjętej decyzji. Jego szczęście stanowiło zarazem jego udrękę: czekało go przeprowadzenie bolesnego rozwodu z Belle; czekało go bolesne małżeństwo z Andrea, kobietą jednocześnie uległą i niesamowicie niezależną, która z jednej strony go przerażała, z drugiej zaś nudziła; miał też rozpocząć niepewną, nową karierę w rządzie i polityce, której losy, przynajmniej na początku, będą w wielkiej mierze uzależnione od patronatu i dobrej woli nieludzko egoistycznego i złośliwego teścia, który z całego serca sadystycznie go nie znosił. I jakby tego wszystkiego było jeszcze mało, by dostatecznie skomplikować mu życie, następnego dnia zakochał się na zabój w innej kobiecie, prawie swojej rówieśniczce, która żyła w separacji z wielkim jak góra mężem o usposobieniu brutala, i miała czwórkę dzieci: najstarszego chłopca, wystarczająco dorosłego i wyrosniętego, by gołymi pięściami zrobić z Golda krwawą miazgę, gdyby coś strzeliło mu do głowy, młodszą dziewczynkę wystarczająco uświadomioną i urodziwą, by go uwieść, gdyby tylko zechciała, i najmłodszą parę bliźniaków obu płci w wieku podatnym jeszcze na rozmaite napady złego humoru, stany podgorączkowe, sensacje żołądkowe i inne przypadłości wczesnego dzieciństwa, które obracają rodzicielstwo w niecywilizowany koszmar.

Pierwszym z serii zdarzeń, zwiastującym kłopoty, był telefon z Nowego Jorku od Belle, która powinna przynajmniej spróbować zażegnać kryzys samodzielnie. Gold stracił głowę, kiedy obudzony się w łóżku Andrei zadzwonił rutynowo do swojego hotelu i dowiedział się, że czeka na niego pilna wiadomość od Belle. Jego córkę Dinę wyrzucano ze szkoły. Ta sekutnica zadała mu cios poniżej pasa, i to w najmniej odpowiednim momencie.

Gold, kipiąc wściekłością, wparował do gabinetu dyrektora szkoły, wymachując wycinkami z gazet poświadczającymi jego prawdopodobne rychłe wyniesienie na osobistość o ogromnych wpływach politycznych. Nie użył pięści, bo panującą tu miłościwie osobą była po pierwsze kobieta, a po drugiej czarna.

– Wasze uzasadnienie! – wyrzucił z siebie, pryskając śliną, i ciągnął nabierając rozpędu: – Musicie je zmienić. Nie czytacie gazet? Nie mogę mieć teraz córki, która sprawia kłopoty w szkole. Albo oczyśćcie ją z zarzutów, albo przeredagujcie waszą decyzję tak, żeby nie wynikało z niej, że sprawia kłopoty, i kropka. *Fartig!* Zniszczę was. Obetnę wam dotacje. Roztrąbię na cały świat, że prowadzicie szkołę prywatną, która udaje tylko zintegrowaną i otwartą dla wszystkich, a w rzeczywistości stosuje segregację i elitaryzm.

– Ależ doktorze Gold, to nieprawda – wykrztusiła biedna, rozdygotana kobieta, wstrząśnięta jego porywcznością. – Jesteśmy znani ze stosowania segregacji i elitaryzmu, chociaż po cichu prowadzimy politykę integracji.

– To niech się rodzice dowiedzą, że wprowadzacie tu integrację, i zabiorą stąd wszystkie białe dzieciaki. Chcecie trafić na pierwsze strony gazet, tak? Dlatego to robicie, tak?

– Ona odmawia odrabiania prac domowych. Nie możemy chyba obniżyć z jej powodu poziomu nauczania, prawda?

– To jest edukacja progresywna – odparował Gold. – A to znaczy, że możecie obniżyć wasz poziom nauczania nie szkodząc tym ani nie pomagając żadnemu uczniowi. Proszę przeczytać mój artykuł pod tytułem „Edukacja i prawda, czyli prawda w edukacji”.

– Doktorze Gold – próbowała się bezskutecznie tłumaczyć kobieta – gdybyśmy ją zatrzymali, nie zostałaby promowana do następnej klasy i straciła cały rok nauki. Jeśli stąd odejdzie, nie wpisujemy jej nic obciążającego do papierów i otrzyma pan zwrot pieniędzy.

– Ile tego będzie?

– Stosowna część wpłaconego czesnego.

– Zatrzymajcie ją.

– Doktorze Gold, jestem przekonana, że nie chciałby pan, abyśmy przymknęli oko na nasze wewnętrzne przepisy tylko po to, by zrobić wyjątek dla pańskiego dziecka.

– A czemu miałbym nie chcieć?

Dyrektorka nie mogłaby już chyba wyglądać na bardziej zaskoczona.

– Chciałby pan tego?

– Tak. Ona jest wyjątkowa, chyba się pani ze mną zgodzi?

– Pod względem krnąbrności i bezproduktywności owszem.

– No i dobrze – powiedział Gold. – Dlatego właśnie zróbcie dla niej wyjątek i potraktujcie to jako eksperyment dydaktyczny. Jeśli przywiązujecie do tego taką wagę, będę za nią odrabiał te prace domowe.

I na tym stanęło. W przedpokoju za otwartymi drzwiami minął ładną kobietę o rozchylonych ustach i popielatoblond, roztrzepanych włosach, która dogoniła go w chwilę potem na korytarzu i zdyszana chwyciła za ramię.

– Doktorze Gold, chwileczkę – wy sapała, zatrzymawszy go. – Moim zdaniem to nie w porządku. Pańska córka nie jest wyjątkiem. I uważam, że nie przystoi panu i administracji domagać się dla niej wyjątkowego potraktowania.

– A pani kim jest, u diabła? – warknął Gold.

– Linda Book – przedstawiła się kobieta. – Jestem jedną z nauczycielek Diny.

– To pani się jej czepnęła?

– Och nie, doktorze Gold. Ona mnie bardzo lubi. Jesteśmy bliskimi przyjaciółkami i boli mnie, kiedy widzę, że jest naznaczana piętnem wyjątkowości. Ona naprawdę jest taka wyjątkowa.

Gold spojrział w jej wrażliwe, szare oczy z fachowym zainteresowaniem kogoś, kto obserwuje nową rybkę wpływającą nieświadomie do jego saka. Wyrwało mu się cichutkie westchnienie uznania, kiedy dotarło doń, że ma przed sobą najpiękniejszą twarz kobiecą swojego mniej więcej pokolenia, jaką kiedykolwiek widział. Kobieta ubrana była w lekko błyszczącą bluzkę, spódnicę, dokładnie takie, jakie lubił, a miękki stanik podtrzymywał biust w preferowanym przez niego rozmiarze. Po sekundzie był już o włos od zakochania ślę w niej i zerkał na zegarek, żeby sprawdzić, ile ma czasu.

– Jedziemy do mojego studio w śródmieściu – zaordynował. – Chcę przeprowadzić z panią dłuższą rozmowę.

– Za pięć minut mam lekcję.

– Niech ją pani odwoła.

Wydawała się troszkę wzburzona jego rozkazującym tonem.

– Niech mi się pan przynajmniej pozwoli odświeżyć – powiedziała w końcu.

Czekał na nią na dole w taksówce i natychmiast oddali się orgii soczystych pocałunków, która ciągnęła się pośród żaru pieszczot i namiętych pomruków przez całą drogę pod budynek, gdzie mieściło się jego studio. Wspominając to potem, był prawie przekonany, że podczas jazdy przynajmniej jedna jej stopa spoczywała przez około minutę na jego ramieniu. W holu i w windzie zachowywali się formalnie i poprawnie, jak sztywni pijacy, pod którymi uginają się nogi. Ledwie zdążył przekręcić klucz w zamku, rzuciła się na niego znowu z tą samą wygłodniałą żarłocznością, i podjęli, co przerwali, z taką samą pasją i rytmicznością jak poprzednio, ocierając się o siebie lubieżnie brzuchami i miednicami oraz zderzając boleśnie udami i kolanami. On trzymał ją oburącz za zadek. Ona szarpała go za włosy. Na osłep zatrzasnęła drzwi.

– Nie mogę ci dzisiaj dać – powiedziała, kiedy tylko znaleźli się w środku – ale dobrze obciążam.

W rzeczywistości obciążała tak siebie, jednak Gold nie krytykował i nie miał o to pretensji. Przed zachodem słońca tego samego dnia wiedział już, że właściwszej niż Linda Book kandydatki do złożenia jej w darze swego serca nie mógł sobie wymarzyć. Gold łatwo się zakochiwał. Zakochiwał się, ilekroć miał trochę wolnego czasu. Bywało, że zakochiwał się aż na cztery miesiące; najczęściej jednak na sześć do ośmiu tygodni. Kilka razy zakochał się tylko na chwilę. Pewny, że ten nowy romans nie ma na przetrwanie szans większych niż inne, poddał się mu bez reszty. W ferworze romantycznych wynurzeń opowiedział jej wszystko o Andrei i wiele o Belle. Rozpierany energią i nowo u siebie odkrytą żyłką hazardzisty, spytał ją, czy nie pojechałaby z nim potajemnie do Acapulco, gdzie wybierał się z Andreą spędzić święta Bożego Narodzenia, a ona od razu się zgodziła.

– Będę może musiała zabrać dwoje dzieci.

– Wykluczone.

– Zostawię je z mężem.

– Możemy być śledzeni – ostrzegł, mając na myśli Greenspana i uznając za wskazane ją uprzedzić.

– Mój mąż nie posunąłby się tak daleko – zapewniła go Linda Book – pomimo że rozpaczliwie dąży do pojednania. Nie może znieść życia w separacji.

– Mądry facet – mruknął Gold. – Tylko głupiec by z ciebie zrezygnował.

Linda splonęła rumieńcem.

– Ty wiesz, jak uczynić kobietę szczęśliwą. Ale muszę cię z góry uprzedzić. Nigdy za ciebie nie wyjdę.

Gold nie potrafił przez chwilę znaleźć odpowiednich słów.

– Forma! – wykrzyknął w końcu. – Pękła im! Pękła im forma, kiedy stworzyli ciebie!

Nazajutrz, ściskając obiema rękami głowę, kiwał się rytmicznie w chłodnym świetle poranka nad stygnącym śniadaniem i analizował wciąż od nowa, co też najlepszego, do kurwy nędzy, zrobił.

Sid wręczył Goldowi czek na trzy i pół tysiąca dolarów. Gold schował czek do kieszeni.

– Chciałbym cię też prosić o poradę, Sid, względem tego Acapulco. Tak naprawdę to nie udaję się tam z misją rządową i jedziemy we dwoje.

Sid, skonsternowany, zacisnął usta.

– Nie wydaje mi się, żeby miejsca, które ci poleciłem, były odpowiednie dla Belle.

– Ja nie mówię o Belle, Sid. Między mną a Belle wszystko skończone. Właściwie to nie jesteśmy już ze sobą.

Jeśli Sid był zaskoczony, to dobrze to ukrył.

– Jak to możliwe, że ja nic o tym nie wiem? – spytał z umiarkowanym zdziwieniem.

– Nie jestem pewien, czy ona sama o tym wie. – Wyglądało na to, że nie obejdzie się bez krępującej spowiedzi. – Liczę na to, że zrozumie. Mam w Waszyngtonie dziewczynę, z którą jestem potajemnie zaręczony i z którą chcę się żenić.

– A więc jesteś naprawdę zakochany, co, mały?

– Tak, Sid, jestem. Ale w jeszcze innej.

– Chcesz powiedzieć, że jest ich trzy? – Teraz Sid usiadł prosto i jego twarz rozjaśniła entuzjastyczna radość.

Gold kiwnął z zakłopotaniem głową.

– I jest jeszcze agent FBI żydowskiego pochodzenia o nazwisku Greenspan, który być może nadal sprawdza, czy dobrze się prowadzę.

– Jednego nie rozumiem – powiedział Sid, zamówiwszy u kelnera następną kolejkę. – Dlaczego nie żenisz się z tą, w której jesteś zakochany?

– Jej mąż by mi nie pozwolił – mruknął Gold. – Ani myśli żyć dalej w separacji. To wielki, porywczy drab o temperamencie dzikusa i lepiej nie myśleć, co by było, gdyby coś zwąchał.

– Zabawne.

– Ona ma czworo dzieci.

– To jeszcze zabawniejsze – Sid chichotał serdecznie. – Ma jakieś plomby do wstawienia?

– Skąd wiesz? – spytał Gold ze zdziwieniem.

Sid obdarzył go wesołym, protekcjonalnym uśmiechem.

– Ilekroć poznaję jakąś dziewczynę – wyjaśnił – dowiaduję się, że musi sobie właśnie wstawić plombę.

– Linda ma do wstawienia tylko dwie. Powiedziałem, że zapłacę.

– Nie daj się naciągnąć na więcej. Golda znowu ogarnęło zakłopotanie.

– Dwójce jej dzieci trzeba założyć aparaty ortodontyczne – wyznał. – Obiecałem Lindzie, że w tym też jej pomogę finansowo.

– Dlaczego żenisz się z tą z Waszyngtonu?

– To urocza dziewczyna, Sid – odparł Gold starając się, by zabrzmiało to szczerze – naprawdę urocza, a jej ojciec może mi pomóc swoimi wpływami. Poza tym to bogaci ludzie i łatwiej mi będzie pomagać Lindzie w regulowaniu rachunków od dentysty.

– Jakie ma zęby?

– Zdrowe, Sid, zdrowe.

– Wysoka?

– Bardzo. Długonoga i bardzo mocnej kości. Zadbana i naprawdę bardzo piękna.

– To zabierz ją do Acapulco – poradził Sid wesoło. – Z tego co słyszę, szykuje ci się tam niezły ubaw.

– Zamierzam, Sid – powiedział Gold – ale jest jeden problem. Nie chcę rozstawać się z Lindą, więc ją też planuję jakoś tam przemyścić.

– I gdzie tu problem? – spytał Sid.

– Nie wiem, czy to wykonalne – bąknął Gold. – Da się zrobić coś takiego i nie wpaść?

– Pewnie, że się da – zapewnił go z zapałem Sid i zamówił jeszcze dwa drinki. – Ten mój przyjaciel z Houston, z którym robię interesy, chodzi z jedną aktorką meksykańskiej telewizji, która chodzi z jednym pilotem linii lotniczych, który jest mężem pewnej kobiety z Meksykańskiego Biura Turystycznego, która może pomóc w załatwianiu biletów na samolot i rezerwacji w hotelach.

– Może będzie musiała zabrać dwoje dzieci.

– Im więcej ludzi, tym weselej – zarechotał Sid. – Jeśli cię na to stać. Przydałaby się jeszcze służąca albo opiekunka do dzieci, żeby mama miała wolne wieczory i noce.

– O tym nie pomyślałem. Sid, jak można ukryć tyle osób? Dwa hotele? Trzy?

– Jeden – odparł zwięźle Sid.

– Jeden?

– Pewnie, że jeden. Poruszasz się po nim swobodnie nie zwracając niczyjej uwagi i nie tracisz czasu na miotanie się między jedną a drugą. Proszę, nie obraż się, Bruce, ale chyba pierwszy raz w życiu jestem nareszcie dumny ze swojego młodszego brata.

– Wszystko byłoby pięknie ładnie – zauważył Gold, zapanowawszy nad wzruszeniem, jakie wywołał w nim ten komplement – gdyby nie ten agent FBI, który może coś wywęszyć i namieszać. A przy okazji, jak ona wygląda?

– Kto?

– Ta aktorka meksykańskiej telewizji – powiedział Gold.

– Słyszałem, że niezła, jeśli gustujesz w niskich, śniadych, zgrabnych i namiętych. Opowiadano mi, że szczytuje jak salwa fajerwerków. I pomyśleć, że zawsze miałem ciebie za pantoflarza. Do głowy by mi nigdy nie przyszło, że będziesz miał odwagę wykręcić taki numer.

– Sid, ja jej nie mam – wyznał Gold mięknąc. – Zamierzam wszystko odwołać.

– Po moim trupie – zapowiedział Sid obrażonym głosem, który ściągnął na nich uwagę całej klienteli małej restauracyjki. – Takiej zabawy nie miałem od piętnastu lat. Co mogłoby się nie udać? Stary, och, stary, jak ja bym z tobą pojechał, ale podejrzewam, że moje serce ani serce Harriet by tego nie zniosły. Posłuchaj, zakwaterujemy cię w Villa Vera w dwóch prywatnych domkach sąsiadujących ze sobą plecami. W każdym będziesz miał własną kuchenkę i prywatny basen kąpielowy i nie będziesz się musiał pokazywać w miejscach publicznych. Ja już zadbam o to, żeby dali ci dobre numery. Moim zdaniem nie będziesz się musiał nawet przejmować tym Greenspanem ani FBI.

– Przepraszam, że się wtrącam – wtrącił Greenspan z FBI – ale chciałbym coś zasugerować. Panu Goldowi przydałby się trzeci domek tylko dla siebie, w którym mógłby odbierać prywatne telefony od każdej z pań. Usprawiedliwieniem dla tych rozmów mogłoby być rzekome komunikowanie się w tajnych sprawach z Waszyngtonem. Polecałbym trzy sąsiadujące ze sobą apartamenty, przy czym pan Gold zajmowałby środkowy.

– Wygląda na to, że cholernie dobrze orientuje się pan w temacie – stwierdził z uznaniem Sid, kiedy Gold mu go przedstawił.

– Pracowałem dla prezydentów – odparł skromnie Greenspan.

– Pańska garsoniera to burdel – wyraził się Greenspan o studio Golda, kiedy tam weszli. – Mówię to nie tyle z gniewem, co ze smutkiem. Od paru tygodni chcę to panu powiedzieć.

– Nie wtrącaj się, Greenspan – warknął Gold rzucając agentowi spojrzenie, w którym malowały się zarówno niepokój, jak i rozdrażnienie. – Nie życzę sobie, żeby Belle się o czymkolwiek dowiedziała.

– Ona wie, ona wie – westchnął Greenspan, – Wie wszystko, nie zna tylko nazwisk. Od kiedy to zarzuca pan Belle głupotę?

– To dlaczego nic nie mówi?

– A co ma powiedzieć? – odpowiedział pytaniem na pytanie Greenspan z miną wyrażającą absolutny smutek. – Gdyby pan tylko wiedział, jak krwawi mi serce, ilekroć słucham, jak rozmawia ze swoją matką albo próbuje udawać, że nic złego się nie dzieje, kiedy rozmawia z pańskimi siostrami. Co za kobieta, co za cudowna żona i matka...

– Greenspan, przestań, na miłość boską.

– Dlaczego to ona miałaby coś powiedzieć i ułatwić panu sprawę? – spytał Greenspan. – Skoro pan się nie skarży, to dlaczego ona miałaby to za pana robić? Jasne, da panu zgodę na rozwód, ale najpierw musi ją pan o to poprosić. Dlaczego to ona miałaby mówić, że pan chce rozwodu, jeśli pan sam tego nie powie? Och, panie Gold, panie Gold... wiem coś, >ale zachowuję to tylko dla siebie. Nie wspomniałem o tym w raporcie, przysięgam. Ta nauczycielka, ta Linda Book.

– Co z nią?

– Często przeżywa pan z nią orgazmy, prawda?

– A co cię to obchodzi? – warknął lodowato Gold.

– Prawie nigdy nie ma pan orgazmu z tą, którą zamierza pan poślubić.

– I co z tego?

Greenspan obrzucił go zasmuconym, znaczącym spojrzeniem i włożył kapelusz.

– Jest pan *szonda* dla swojej rasy.

– A ty, Greenspan, jesteś chlubą swojej. Będziesz w Acapulco? Co mam robić, jeśli wdepnę w kłopoty?

– Może pan mówić do ściany.

Gold, kiedy tylko został sam, popadł w nastrój melancholijnej introspekcji. Jak na człowieka statecznego był zbyt lekkomyślny. Jak na rozsądnego, zbyt postrzelony. Nie musiał słuchać głosu wewnętrznego, by wiedzieć, że ściąga sobie na głowę kłopoty. Przez całe swoje życie nienawidził kłopotów. Przez całe swoje życie bał się porażki. Teraz wyglądało na to, że boi się, że może odnieść sukces.

Co mogłoby się nie udać? – pytał Sid. Gold, wysiadając z windy w sali gimnastycznej, by skrócić w kierunku szatni, potrafił to bez trudu przewidzieć. Na początek ten elektryzujący rozbłysk lubieżnego pociągu, który eksplodował od pierwszego wejrzenia między nim a aktorką meksykańskiej telewizji na tarmakowej płycie lotniska w Mexico City, gdzie czekali z Andrea na lot do Acapulco i gdzie lądował właśnie samolot z Houston z Lindą na pokładzie, rozbłysk, który zapłonął jaskrawo niczym fosfor wonnym, parującym, oślepiającym żarem, wyczuwalnym i zauważalnym dla wszystkich znajdujących się w pobliżu. Pierwotna, magnetyczna siła ich wzajemnego, zwierzęcego pożądania była nie do odparcia i nie dopuszczała nawet myśli o jakiegokolwiek zwłóce. zaproponował jej, by następnego dnia wymknęła się do Acapulco na potajemną schadzke w środkowym z trzech sąsiadujących ze sobą domków, a ona, z właściwą swej nacji szybkością, za co był jej dozgonnie wdzięczny, gardłowym pomrukiem wyraziła zgodę, natomiast śniady pilot, który był jej kochankiem, zmierzył go wściekłym spojrzeniem posępnych żółtych oczu i burknął pod nosem coś złowrogiego, co Gold usłyszał jakby przez sen i poprosił grzecznie o powtórzenie.

– Anioł Śmierci krąży dziś po sali gimnastycznej – powtórzył ze swojej ambony pedicurzysta Karp, siedzący na niskiej drewnianej ławeczce w przejściu między szafkami, w które skręcił właśnie Gold.

Gold zatrzymał się, mrugając powiekami.

– O czym ty mówisz?

– Jeden facet dostał ataku serca w głównej sali gimnastycznej na górze. Czekają teraz na karetkę.

Gold z ponuro zwieszoną głową powłókł się dalej do swojej szafki, zdecydowany, jak zwykle, walczyć z nieodgadnionymi wyrokami przeznaczenia i stawiać czoło chorobliwym omenom. Statystycznie, pocieszał się, prawdopodobieństwo, że dwóch mężczyzn wykorkuje na tej samej sali gimnastycznej tego samego dnia na atak serca, jest minimalne. Empirycznie, przebijała się do świadomości brutalna prawda, nawet jeśli jeden z tych mężczyzn już wykorkował, szansę, że w jego ślady pójdzie drugi, wcale się nie zmniejszyły, a zorganizowanie transportu wiązało się z tyloma komplikacjami, że ani Sid, ani on nie potrafili ich z góry przewidzieć. Linda, ponieważ musi zabrać ze sobą dwójkę najmłodszych dzieci, polecą bezpośrednio z Nowego Jorku do Acapulco i znajdzie się w hotelu cztery godziny przed Goldem i Andrea, którzy będą lecieć z Waszyngtonu z międzylądowaniami w Houston i Mexico City. Albo, ponieważ nie musi zabierać dzieci, uprze się, że polecą tym samym rejsiem co Gold z Andrea, i Gold będzie musiał podróżować również z nią. Fakt, że jedna nie mogłaby rozpoznać drugiej, bo nie znały się z widzenia, wcale nie wpłynie kojąco na stres, jaki będzie przeżywał przez całą drogę. Albo, załatwiwszy już sobie miejsce w tym samym samolocie, Linda, na skutek perwersyjnej zmiany w ostatniej chwili frontu i odmowy jakiegokolwiek współpracy przez jej wojowniczego męża, zjawi się na lotnisku w towarzystwie dwójki dzieciaków, które uderzą w płacz, ledwie ich oczka z druzgocącą niechęcią spoczną na Goldzie. W parę sekund później Gold będzie wił się już jak piskorz i poniżał, usiłując stworzyć pozory, że spotkanie to jest zupełnie przypadkowe, ich znajomość przelotna i całkowicie zawodowa, a niezależny wybór przez obie podróżujące grupy tego samego samolotu do tego samego odległego hotelu jest naprawdę najbardziej nadzwyczajnym zbiegiem okoliczności. Z gasnącą odwagą będzie obserwował, jak z każdym słowem sztywnej wymiany zdań coraz bardziej manifestuje się zjadliwa podejrzliwość Andrei. Kolejna ciężka próba czeka go w recepcji hotelu w Acapulco, gdzie okaże się, że wszystkie trzy domki, pewnie przez jakieś karygodne niedopatrzenie personelu, jak będzie tłumaczył drżącym głosem, próbując ratować sytuację, zarezerwowane są na jego nazwisko. Kiedy delikatne rozwikływanie supła tych niefortunnych okoliczności zbliżało się już do pomyślnego zakończenia, stanął nagle przed nim nie kto inny, tylko sam Plamka Weinrock w

błyszczącym, złocistym bawełnianym dresie i z nieodwołalnym postanowieniem towarzyszenia mu w bieganiu po małej owalnej bieżni dwa piętra wyżej.

– Pokażesz mi co i jak, a przy okazji możemy sobie uciąć miłą, długą pogawędkę.

– Przychodzę tutaj na tę godzinę, żeby pobyć trochę sam. – Gold powinien był pamiętać, że nie ma najmniejszych szans na zabicie wzrokiem z tropu tego leniwego, flegmatycznego kolegi z dzieciństwa. – Nie powinieneś biegać, nie poddawszy się przedtem badaniom lekarskim i próbie wysiłkowej. To niebezpieczne... No dobrze, ale nie staraj się dotrzymywać mi kroku ani biegać tak długo jak ja. W odróżnieniu ode mnie, masz nadwagę i brak ci kondycji. Mówię poważnie... nie byłbyś pierwszym, który pada tutaj trupem.

– Na sali gimnastycznej na górze leży właśnie facet z zawałem.

– Gównu mnie on obchodzi!

– I tobie to sprawia przyjemność? – spytał Plamka Weinrock z nienawistnym uśmiechem, doganiając Golda w połowie drugiego okrążenia i biegnąc z nim ramię w ramię bez widocznego wysiłku.

– Zwolnij, kutasie jeden, bo zaraz spuchniesz – ostrzegł go Gold. – Nie wolno ci biegać równo ze mną. Zostań z tyłu i nie śpiesz się.

– Zawsze tak wolno biegasz? – spytał z za jego pleców Plamka.

Słowa te dopiekły Goldowi do żywego.

– Nie chcę rozmawiać! – wrzasnął krzykiem wyciśniętym z pracujących ciężko płuc przez szyję, w której wściekłość napięła każdą żyłkę i mięsień. W łomocie serca ginął tupot jego stóp po bieżni. Tę groteskową próbę ognia przyplacił natychmiast osłabiającą anemią woli i kiedy bez dalszych perturbacji rozlokował obie kobiety w skrajnych domkach, a sam znalazł się w środkowym, zwałił się tam od razu w miękki fotel, żeby odpocząć. Obie myślały, że załatwia przez telefon jakieś ważne, poufne sprawy urzędowe z Waszyngtonem. Bachorów Lindy już tam nie było. Doszedłszy do siebie wypił zamówione do pokoju bananowe daiquiri z Lindą, bananowe daiquiri sam oraz bananowe daiquiri z Andrea, kiedy ukończył drugie okrążenie i znowu był z nią. Pierwszą przerznął Andrea, żeby mieć to już z głowy, a potem zawiodła go męskość z Lindą, kiedy ta wezwała go do siebie w tym samym celu, telefonując do środkowego domku.

– Cwel! – krzyknął radośnie Plamka Weinrock przemykając obok w swoim złocistym dresie niczym promień słońca i wysforowując się przed Golda z taką swobodą, jakby ten stał w miejscu.

Golda oszołomił ten olśniewający popis łączości, ale z wykrzywionym z wysiłku obliczem pośpiesznie utrzymywał dalej narzucone sobie na wstępie tempo. Ból w piersiach, który odczuwał zawsze na początku, raczej się wzmacniał, niż ustępował, a do tego stracił już rachubę okrążeń, które zrobił, i miał właśnie zacząć liczyć od początku, kiedy naraz, wzdrygając się gwałtownie z ogromnego zaskoczenia, usłyszał znowu dzwonek telefonu dobiegający z jego domku.

– To Biały Dom – zełgał, wyskakując z łóżka. Dzwoniła Andrea, z którą zjadł następnie lekki lunch na patio jadalni. Potem skonsumował bez apetytu drugi obfity lunch, w sypialni z Lindą. Gumka szortów nabierała ostrości żelaznego pilnika. Nim minęły dwie godziny, wyhodował sobie ciężki kałdun, który przelewał mu się przy każdym ruchu, i popołudniowy jogging, zamiast być wytężonym, korzystnym dla zdrowia wysiłkiem, jakim go zazwyczaj postrzegał, stał się morderczą katogą. Oddychało mu się ciężiej niż zwykle, a puls bił, na jego wyczucie, szybciej niż należało.

– Cwel! – wyśpiewał Plamka Weinrock wesoło i przepłynął znowu obok.

Gold nie podnosił wzroku i udawał, że nie zauważa zniecierpliwienia i narastającego buntowniczego rozdrażnienia Lindy, którą znudziło już to trzymanie pod kloszem. Andrea też miała dosyć trzymancia pod kloszem i obdzwaniała już znajomych, którzy mieli w okolicy wakacyjne domy. Linda chciała wyjść nad basen, Andrea chciała pojechać do miasta. Kiedy

samochód ruszał, Gold zerknął ukradkowo za siebie i w pamięci utrwaliła mu się migawkowa scenka znad basenu, w której Linda prowadzi zażyłą konwersację ze szczupłym, wysokim, gibkim, nieprzyzwoicie przystojnym Meksykaninem o olśniewających zębach, i ku swemu zasmuceniu doświadczył tego podcinającego skrzydła ukłucia zazdrości, które określa się powszechnie jako ściśnięcie serca.

– Cwel! – sapnął Weinrock i minął go znowu lekko i zwiewnie niczym przebierający nogami w powietrzu duch.

Goldowi nogi ciążyły jak ołów, ale parł dalej, uparcie wbijając wzrok w bieżnię, zamknięty we własnym światku nieugiętej koncentracji, i po chwili Plamka wybiegł mu z pola widzenia, a on zjadł kolację z Lindą i zostawił ją na dyskotecę, po czym zjadł drugą kolację z Andream, z którą pojechał następnie na przyjęcie do domu znajomych jej ojca, sąsiadującego z posiadłością Kissingera. Obie kobiety miały do niego pretensje, że spędza zbyt wiele czasu na telefonicznych konsultacjach z Waszyngtonem.

– Cwel! – zawołał Weinrock i znowu przefrunął obok niego.

– Padniesz! – wrzasnął z wysiłkiem Gold, ale było już za późno, żeby się wycofać, wymknął się więc z ciężkim sercem z przyjęcia, by zajrzeć do Lindy bawiącej się w dyskotecę. Linde otaczało teraz czterech przystojnych, podrygujących w rytm muzyki młodych mężczyzn, z których wszyscy nadszkwili jej nachalnie w uwodzicielskim, zuchwałym tańcu godowym, jak to potrafią tylko pewne siebie latorośle bardzo bogatych latynoamerykańskich milionerów. Wszyscy czterej dali mu wyraźnie do zrozumienia, że problem odwiezienia jej do hotelu ma z głowy.

– Cwel!

I kiedy Gold, pędząc na złamanie karku, wrócił na przyjęcie, ku swej konsternacji zastał tam Andream w otoczeniu kilku hałaśliwych i podpitych krzepkich osiłków z Południowego Zachodu, próbujących ją namówić na udział w gruppenseksowym superbaleciku z paroma oszałamiającymi modelkami, z którymi przybyli pod nieobecność Golda.

– Jestem tutaj ze swoim narzeczonym – próbowała odmówić grzecznie Andrea, kiedy Gold, przyjmując bojową postawę, stanął za nią – i nie wiem, czy by mi pozwolił.

– Eeee, nim się nie przejmuj – powiedział lekceważąco największy i najmuskularniejszy, otaczając Andream ramieniem ze sprośną beczelnością skończonego ekstrawertyka. – Już my go przekonamy.

– Jak? – rzucił wyzywająco Gold, związując dłonie w pięści. – Jak mnie przekonacie?

– Jak nam się spodoba, malutki – poinformował go inny z tej grupy, parszcząc ochryplym śmiechem.

– Wydaje ci się, że potrafisz nam przeszkodzić?

– To za klasowa kobieta na takiego kurdupla. Wszczynanie awantury nie miało sensu, chwycił więc Andream za rękę i wycofał się.

– Cwel! – krzyknął Plamka i zbliżała się już północ, kiedy Linda Book wróciła do swojego domku, a zastawszy tam gotującego się ze złości Golda, odprawiła Manolita, nie cmokając go nawet na pożegnanie w policzek. Potem kochali się z obopólnie wspaniałymi rezultatami. Kiedy Gold włókł się jak na ścięcie z powrotem do łóżka, tym razem z Andream, pod ścianą sypialni przemknął chyłkiem Plamka, ponownie obrzucając go prowokacyjnie homoseksualnym epitetem. Tak jak się tego Gold najbardziej obawiał, Andrea wprost pałała teraz zmysłową temperaturą. Jej zapędy wycisnęły mu z ust cichy jęk. Wymawiając się rozsadzającym głowę bólem, nudnościami i ogólnym zmęczeniem, wcale nie kłamał. O trzeciej nad ranem wyrwał go brutalnie z koszmarnego snu telefon dzwoniący ponownie w środkowym domku.

– To znowu ten cholerny Biały Dom.

Klnąc pod nosem poczłapał tam i zaspanym głosem wyjaśnił Lindzie, że musi spędzać z Andream każdą noc, bo są zaręczeni i mają się pobrać.

– Cwel! – zawołał Plamka Weinrock i tym razem śmignął obok sprężystym, płynnym galopkiem, naśladowując baletmistrza w czarnym trykocie, który również korzystał z bieżni. Jakiś wąsaty palant biegł do tyłu, doprowadzając tym Golda do furii; do furii doprowadzało go zawsze każde ekscentryczne zachowanie na bieżni. Koszykarze na boisku piętro niżej znowu wyklócali się o coś zawzięcie, nie przebierając w słowach.

Gold trwał nieugięcie w postanowieniu ignorowania ich przez cały następny ranek, kiedy to w najczarniejszym z nastrojów, po skonsumowaniu dwóch śniadań pod rząd, zaszył się w swoim domku, żeby odpocząć. Bolały go strasznie kostki nóg i pocił się obficie. Przyszłość nigdy nie rysowała się przed nim gorzej. I wtedy zjawiała się namiętna aktorka meksykańskiej telewizji, a trop w trop za nią jej gorąckrwisty meksykański pilot lotnictwa cywilnego, który przystąpił z miejsca do przeczesywania okolicy w poszukiwaniu Golda, aby w najbardziej prymitywny i ohydny z możliwych do wyobrażenia sposobów pomścić swój honor. Aktorka meksykańskiej telewizji była już bliska szczytowania serią fajerwerków, gdy w tym momencie zazdrosny kochanek, który tymczasem ustalił numer domku Golda, wpadł jak burza po schodkach i przypuścił szturm do drzwi. Gold rzucił się do okna, żeby przez nie wyskoczyć i ratować się ucieczką, i stanął jak wryty na widok wysiadającej z taksówki Belle, która przyjechała za nim aż tutaj w nadziei, że jeśli pobędą jakiś czas razem poza domem, uda im się może jeszcze naprawić jakoś sprawy. Oszałały kochanek łomotał obiema pięściami w drzwi. Rozgłos byłby dla Golda katastrofalny. Wymyślał sobie bezlitośnie od najgorszych za swoją niewybaczalną głupotę. Co miał teraz zrobić?

– Co ja mam teraz zrobić? – zawył bezradnie do czterech ścian.

– Niech pan idzie do świątyni i pomodli się – poradził spokojnie Greenspan odziany w sportowy strój noszony w Acapulco, materializując się z jednego z bocznych pokoi.

– Tego nie zrobię.

– To niech pan minie świątynię, uda się od razu na lotnisko – ciągnął Greenspan – i wsiądzie do pierwszego lepszego samolotu do byle gdzie. Niech się pan stara jak może wrócić do Waszyngtonu. Ja powiem każdej z osobna, że wezwały pana pilne sprawy, i wyekspeduję je stąd tak, żeby się nie spotkały. Oj, panie Gold, panie Gold, ależ z pana *szonda*.

– A z was, Greenspan, taka chluba. – Gold przyciągnął go z wdzięcznością do piersi i obejmując na rosyjską modłę za ramiona przytulił mocno.

– Cwel! – ćwierknął Plamka i znowu śmignął obok niego.

A to kutas! – krzyknął w duchu Gold z najpłomienniejszym z mściwych spojrzeń, kiedy nagle, z siłą i jasnością pioruna objawiła mu się zdroworoządkowa rzeczywistość. Na jedno jego okrażenie Plamka robił dwa, czasami trzy, a nawet cztery. A to skurwysyn... żaden człowiek na ziemi nie jest w stanie tak szybko biegać!

Zgrzytając zębami, posapując gniewnie przez nos i utrzymując swoje równe tempo, zaczął obserwować ukradkiem Plamkę z rosnącą żądzą mordu. W czterech kątach sali rozmieszczone były cztery podesty przylegające do łuków bieżni, a na podestach rozstawiony był sprzęt do ćwiczeń albo znajdowały się wyjścia na klatkę schodową. Plamka zbiegał z bieżni na podest, chował się i czekał, aż Gold go minie, a wtedy wbiegał z powrotem na bieżnię, żeby znowu go wyprzedzić. Ten wyrafinowany sukinsyn prawie cały czas siedział na podestach w ukryciu, odpoczywał tam i czekał, płatając Goldowi najokrutniej szego, najzłośliwszego figla, o jakim ten słyszał.

– Cwel!

Gold źle obliczył skok, próbując rzucić się na Plamkę Weinrocka, żeby ucaścić go lewą ręką za gardło, wypadł, z rytmu i potknął się. I w tym momencie w klatce piersiowej eksplodował nieludzki, zapierający dech, osłepiający ból. Sala zaczęła wirować, światła przygasły, nogi Golda zrobiły się jak z waty i ugięły pod nim. Niczym ranny, walczący do ostatka wojownik przebiegł jeszcze prawie piętnaście jardów na kolanach, a potem rozkołysana i falująca ziemia wybiegła mu na spotkanie, przewrócił się na bieżnię i leżał

nieruchomo jak kłoda, z oczami w słupek, jakby jakaś śmiertelna trwoga sprowadziła nań to, co było mu pisane.

– Nic panu nie jest? – spytał ktoś. Ze słuchem wszystko było w porządku.

– Zróbcie mu sztuczne oddychanie usta-usta – zaproponował baletmistrz.

– To nie dla mnie. Ja się brzydzę.

– Masz, chłopie, szczęście – powiedział Plamka, pochylając się nad nim w swoim złocistym uniformie. – Właśnie przyjechała karetka po tego drugiego faceta.

Wzrok też mu pozostał.

– Panie doktorze, można go już przenieść? – poskarżył się obcy głos. – Chcemy dalej biegać.

– Dajcie mu osobną salę! – zawołał Plamka Weinrock. – To bardzo ważna osoba.

Gold poczuł, że serce znowu mu staje, a tętno spada do krytycznego poziomu.

– Nieprawda! Plamka, nikomu ani mru-mru.

Mówić też mógł i nazajutrz, obudziwszy się i stwierdziwszy, że wciąż nie leży pod namiotem tlenowym, nawy myślał personelowi Roosevelt Hospital od niebieskich morderców.

– Lekarze mówią, że panu niepotrzebny – wyjaśnił flegmatyczny czarny sanitariusz, który przyniósł mu śniadanie.

Golda przeraziło to, co ujrzał na tacy: nie ścięta jajecznica, ociekający tłuszczem boczek, cztery krążki masła – dawka cholesterolu, która uczyniłaby niezdolnym do służby wojskowej cały rocznik marines.

– Mówię ci, że to jakaś pomyłka. Nie będę tego jadł.

Sanitariusz, wylizawszy do czysta talerz, mlasnął ze smakiem wargami. Potem przysłała jakaś kobieta spisać dane i Gold nie chciał jej podać swojego nazwiska. Nie miał zaufania do tutejszych medyków i zażądał zezwolenia na zadzwonienie po osobistego lekarza. Automat telefoniczny znajdował się na korytarzu.

– A mogę wstać z łóżka i tam pójść?

– Jak pan chce.

Poprosił o dziesięciocentówkę. Dali mu dolara. Murshie Weinrock zjawił się w południe i w trakcie przygotowań do przeniesienia Golda do osobnej sali konferował półgłosem z lekarzami.

– Po co ci ten namiot tlenowy? – spytał, kiedy zostali sami. – Tak taniej wyjdzie. Upadłeś, bo się potknąłeś, czy zasłabłeś? Jak się czujesz?

– Czuję żądzę mordy, Mursh, zaduszę go gołymi rękami. Denerwował mnie i denerwował, aż w końcu nie wytrzymałem i trzasnęło mi coś w głowie i w piersiach. Przestraszyłem się. Potem zrobiło mi się nagle słabo i ciemno przed oczami. Nie potknąłem się. To przez twojego pieprzonego braciszka, Plamkę. Któregoś dnia zabiję tego sukinsyna.

Weinrock kiwał głową.

– Tysiąc razy na tydzień łamie serce matce. Nie ma śladów uszkodzenia serca. To mi wygląda raczej na nerwicę, ale pewności nie mam. Miałem już wielu pacjentów, którym wychodził idealny elektrokardiogram, a zaraz potem wyciągali kopyta. I między innymi dlatego nie lubię leczyć chorych ludzi. – Zalecił dziesięciodniowy pobyt w szpitalu na obserwacji. Jak najmniej odwiedzin, jak najmniej telefonów. – Nikt się nie dowie, że tu jesteś, chyba że sam to roztrąbisz.

Ani jednego gościa, ani jednego telefonu, ani jednego listu, ani jednego kwiatka, ani jednej kartki z pozdrowieniami, ani jednego banana, ani jednego koszyka z owocami – tak opuszczony przez wszystkich, jak przez te dziesięć dni, Gold jeszcze nigdy się nie czuł. Ile osób mogło się w ogóle zastanawiać, co się z nim dzieje? Rozważał również z pełną zakłopotania skruchą moralny aspekt ostatnich słów, które wypowiedział do Plamki

Weinrocka na sali gimnastycznej: „Nikommu ani mru-mru”. Był o włos od śmierci, a troszczył się nie o życie, lecz o fałszywe iluzje tryumfu, publicznego sukcesu.

I nadal tak było.

Nie kontaktował się z nikim aż do dnia poprzedzającego wypisanie go ze szpitala w urzędowo poświadczonym, idealnym stanie zdrowia. Najpierw zadzwonił do Belle.

– Jaki znowu szpital?

– Byłem chory, Belle. Jutro wychodzę.

– Na co?

– Na nic. A myślałaś, że gdzie jestem? Nie było mnie prawie dwa tygodnie.

– Powiedziałeś mi przecież, że musisz gdzieś wyjechać, żeby dojść ze sobą do ładu – odparła Belle. – Myślałam więc, że pewnie dochodzisz ze sobą do tego ładu.

– Nic mi nie jest – zapewnił czym prędzej Andreę. – Lekarze są przekonani, że to nic.

– Jacy lekarze? Gdzie ty jesteś?

– W szpitalu, kochanie. W Nowym Jorku. Nie tęskniłaś za mną?

– Co ci jest?

– Nic, kochanie. Przecież ci powiedziałem. To była tylko kontrola.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałeś, kochanie?

– Nie wolno mi było telefonować ani przyjmować gości.

– Dlaczego, skoro nic ci nie było?

– Myślałaś, że gdzie jestem, Andreo? Leżałem tu dziesięć dni. Nie zauważyłaś, że mnie nie ma?

– Wiedziałam, że musisz wrócić jeszcze raz do żony, żeby przeprowadzić rozwód – powiedziała Andrea. – Myślałam, że przeprowadzasz ten rozwód.

Przełomowa była rozmowa telefoniczna z Ralphem.

– Wypadła mi pewna osobista sprawa i byłem zmuszony wyjechać na parę dni. Przepraszam, że się z tobą nie kontaktowałem.

– W związku z czym? – spytał Ralph.

– W związku ze wszystkim. Powiedziałeś mi, że sprawa rusza z miejsca.

– I rusza, Bruce – powiedział Ralph. – Conover mocno naciska w twoim imieniu.

Prezydent chce się z tobą spotkać.

– Mogę jutro przyjechać.

– Jutro chyba jest zajęty. Najlepiej będzie się spotkać na Balu Ambadorskim.

– Na Balu Ambadorskim?

– Mam nadzieję, że przyjmiesz zaproszenie. Powiedziałem Prezydentowi, że piszesz jakieś ważne prace o doniosłym znaczeniu. Postaraj się więc naszkicować kilka.

– Na jaki temat?

– Na jaki chcesz. Nie sądzę, żeby ktoś chciał je czytać. Gdzie teraz jesteś?

– W swoim studio – skłamał Gold. – Ralph, nie brakowało ci mnie? Nie zwróciłeś uwagi, że się nie odzywam?

– Brakowało mi twojego pokoju hotelowego – powiedział Ralph. – Tyle ci powiem. Sypianie przez blisko dwa tygodnie z moją żoną, z Misty, Candy, Christie i Tandy nie należało do łatwych. Spróbuj kiedyś, to sam zobaczysz. Musimy się jak najszybciej spotkać, żeby omówić Bal Ambadorski i ustalić, co powiesz Prezydentowi, jeśli zostaniesz zaproszony.

– Może jutro? – spytał Gold.

– Jutro ja też jestem zajęty – odparł Ralph.

– Jak zdobyć zaproszenie na ten Bal Ambadorski?

– To praktycznie niemożliwe.

– A chuj ”mu w dupę – powiedział Gold po raz pierwszy, wykręcając ze złością inny numer. Zapomnienie, myślał osowiały, wszędzie go pełno, otacza mnie zewsząd jak trująca fala, zatapia mnie, zamyka mi się nad głową, wdziera się smrodem do nosa...

– Spot Modes – odezwał się w słuchawce pogodny dziewczęcy głos. – Czym mogę służyć?

– Z panem Weinrockiem proszę. Bruce Gold przy aparacie.

– Pan Weinrock jest w terenie.

– A co to, do kurwy nędzy, znaczy?

Dziewczyna rozłączyła się. Gold złapał go w sali gimnastycznej.

– Plamka, ty sukinsynu, nikt nawet nie wie, że jestem w szpitalu. Kazałem ci nikomu nie mówić, a więc nie powiedziałaś, tak? Nawet mojej żonie, nikomu ani mru-mru, tak?

– Potrafię dochować sekretu – powiedział Plamka Weinrock.

– Żywa dusza nie wie, przez co przeszedłem. Było coś o tym w gazetach?

– Nie czytam gazet.

– To przykład, jak ludzie mają wszystko w nosie. Mógłbym jutro wykorkować i nikt by nawet nie zauważył.

– Potrafię zastosować się do instrukcji, kiedy muszę.

– A musiałeś, fajfusie? I nie przyszedłeś mnie nawet odwiedzić, co? A przypuścimy, że bym umarł, sukinsynu? Powiedziałbyś wtedy komuś? Mój portfel został w sali gimnastycznej razem ze wszystkimi moimi rzeczami i nie wiedzieliby nawet tutaj, kim jestem. O tak, potrafisz dochować sekretu. Jak, na miłość boską, mogłeś dochowywać takiego sekretu?

– Prawdę mówiąc – powiedział Plamka Weinrock – to zapomniałem.

– Zapomniałeś? – Znaczenie tego bolesnego słowa jeszcze w pełni do Golda nie dotarło.

– Byłem troszkę zajęty, Bruce, i zupełnie wyleciało mi z głowy, że miałeś ten atak serca.

– To nie był żaden atak serca!

– W każdym razie porządnie się przestraszyłem – powiedział Plamka Weinrock. – Bardzo się o ciebie martwiłem.

– Jak długo? – zadrwił Gold z gorzkim śmiechem.

– Dopóki nie zapomniałem.

Gold przystawił twarz do aparatu telefonicznego, jakby to była doprowadzająca go do szewskiej pasji inkarnacja osoby, z którą rozmawiał.

– Zapomniałeś? – wycedził przez zaciśnięte zęby głosem nabrzmiałym czarnym, kipiącym gniewem, który przenikał cały jego organizm i wprawiał w dygot każdy mięsień. – Pieniądze, Weinrock, pieniądze, skurwysynu. Ile jesteś mi teraz winien?

– Coś ze dwa tysiące.

– Oddawaj, zawszony sukinsynu.

– Okay.

– W tej chwili, kutasie. Bo cię do pierdła wsadzę. Nasię na ciebie komornika. Obsmaruję w gazetach. Plamka, Plamka – ciągnął Gold przez ściśnięte gardło łamiącym się głosem, bezskutecznie próbując pohamować łzy napływające mu do oczu – jak możesz być taki nieczuły? Dlaczego mnie przynajmniej nie odwiedziłeś, choćby po to, żeby się upewnić, czy żyję?

– Chciałem, Bruce. Trzy razy się do ciebie wybierałem z silnym postanowieniem, że nie stanie mi na drodze.

– I co się stało?

– Zapomniałem.

– Czy ty wiesz, jak to jest? – wy szlochał Gold. – Czy ty wiesz, jak to jest, kiedy leżysz dzień za dniem w szpitalu na coś, co może być śmiertelnym atakiem serca, i nikt cię nie odwiedzi, nikt do ciebie nie zadzwoni, nikt się tobą nie przejmuje? Powiem ci jak to jest: jest chujowo. A gdybym umarł?

– Ja się przejmowałem – powiedział Plamka.
– Zapomniałeś.
– Ktoś by mi w końcu przypomniał.
– Nikt poza tobą nie wiedział – wyrzucił mu dalej Gold. – Pochowaliby mnie z bezimiennymi włóczęgami. Nawet ja okazałbym więcej serca.
– Muszę już kończyć. Moja grupa wchodzi na bieżnię. Gold był mokry od potu i musiał wytrzeć sobie twarz, zanim zatelefonował do kolejnej osoby, której, jak sądził, mogło go najbardziej brakować.
– Właśnie wczoraj dzwoniłam do twojego studio – powiedziała Linda. – Zostawiłam wiadomość na automatycznej sekretarce.
– Dopiero wczoraj? A myślałaś, że do wczoraj gdzie byłem? To trwało dziesięć dni.
– Myślałam, że jesteś zajęty żoną i swoją kochanką.
– Dina wróciła do szkoły?
– I wspaniale się spisuje – odparła Linda Book. – Odrabiam za nią prace domowe. W którym szpitalu leżysz? Mam już ten rachunek od dentysty i chciałam ci go przesłać.
– Jutro wychodzę – powiedział Gold. – Z tobą pierwszą chcę się spotkać.
Otoczony chorobliwą plagą zapomnienia i niewolniczej dyskrekcji, z łatwością potrafił sobie teraz wyobrazić, jak wszystkie jego misternie tkane plany wałęsają się w gruzy, ustępując pola nieopisanemu chaosowi cyganeryjnej rozwiązłości i nieodpowiedzialnie ściągniętej na siebie hańby, i miał to gdzieś. Pragnął trzymać Linde w ramionach, pragnął czuć pod sobą jej ciało i przygniatać je swoim. Jak zareagowałby Conover, gdyby się dowiedział? Ile osób, które kiedykolwiek o nim przeczytają, uwierzy naprawdę, że taki jak on myślący, dorosły człowiek zaryzykuje swoje małżeństwo – ba, dwa małżeństwa – i rozkwitającą świetlicie karierę polityczną dla lubieżnego romansu z mężatką obarczoną czwórką dzieci, z którą, co odnosiło się również do Andrei, nie miał szans na zażyłość w jakiegokolwiek innej postaci? Miał to w nosie.

Kocham cię bardzo, bardzo głęboko, kochanie, i tak bardzo nad tym ubolewam. – Gold mógł sobie spokojnie pozwolić na luksus takich słów i takiej wylewności, bo wiedział, że emocja, z jakiej się zrodziły, nie przetrwa długo. Nie łudził się jednak, że śmierć tego wzniesłego uczucia jest tak bliska jak zbliżający się termin uregulowania rachunku od dentysty, który wręczyła mu Linda. Wymieszał spokojnie dżin z tonikiem dla siebie i dla niej. Tymczasem podniecenie zdążyło już opaść. – Jak to jest, że twój mąż za to wszystko nie płaci? Myślałem, że dba o was.

– Nie zamierza już płacić za nic, od kiedy się o nas dowiedział.

Kilka pytań jednocześnie zrodziło się w głowie Golda i zderzając ze sobą, pokruszyło na kawałki, by wytrysnąć wzburzoną strugą:

– O nas? Dowiedział się? Że my? Skąd? Co to znaczy, dowiedział się? Jak to?

– A tak to. Wie o nas wszystko, i już.

– Wie o nas wszystko? Skąd się dowiedział?

– Od dzieci.

– Od dzieci? A dzieci skąd wiedziały?

– Ja im powiedziałam.

Gold patrzył na nią wstrząśnięty.

– Powiedziałaś im? Powiedziałaś swoim dzieciom? Co im powiedziałaś?

– Że jesteśmy kochankami.

– Kochankami?

– Powtarzasz wszystko, co powiem.

Gold był zbyt rozkojarzony, by zachować rytm tej wymiany zdań i wyjść na czas ze stosowną ripostą.

– To my jesteśmy kochankami? – spytał naiwnie.

– Oczywiście, kochanie – odparła z uśmiechem Linda. – Ja jestem twoją kochanką, a ty moim kochankiem. A według ciebie kim jesteśmy?

Gold nie wahał się długo z wyartykułowaniem pierwszej odpowiedzi, jaka nasunęła mu się na myśl:

– Ruchankami.

– „Kochankowie” brzmi romantyczniej – stwierdziła Linda z eteryczną wrażliwością poetki. – Ileż w tym określeniu bogactwa znaczeń i wartości, nie sądzisz?

– Czy żeby zasłużyć sobie na miano kochanka, nie trzeba być czasem na serio zakochanym? – spytał Gold.

– Niekoniecznie – uświadomiła go Linda. – Wystarczy być tylko dobrym w ruchaniu.

Gold nigdy dotąd nie uważał się za kochanka i wcale nie był przekonany, czy podoba się teraz sobie w tej roli.

– A więc jestem kochankiem, tak?

– Oczywiście, że jesteś, mój ty ogierze – powiedziała Linda Book. – I moje kochanie. Oceniam cię na piątkę z minusem. – Ta niesprawiedliwa ocena ubodła Golda tylko powierzchownie, bo w słowach, które nastąpiły, czaiło się widmo katastrofy: – I jestem taka dumna, że ktoś tak inteligentny, jak ty, uważa mnie za seksy i atrakcyjną. Nawet mój mąż jest pod wrażeniem.

– O, Boże! – Gold zerwał się na równe nogi. – Czy on zna moje nazwisko?

– Gold to bardzo ładne nazwisko – odparła. – I wcale bym się nie wstydziła go nosić.

– Jezu Chryste. Linda, nie o to chodzi. – Gold porwał z łóżka poduszkę tylko po to, by zająć ręce czymś, czym bezpiecznie można rąbnąć o podłogę. – Gdzie ty masz, u diabła, rozum? Jestem bardzo ważną osobistością. W przyszłym tygodniu zostanę może nawet zaproszony na Bal Ambadorski. Co cię, do kurwy nędzy, podkusiło, żeby w ogóle komuś o mnie opowiadać?

– Bo wierzę w prawdę.
– Dlaczego? – chciał wiedzieć.
– Dlaczego?
– Dlaczego w tym wypadku nie mogłaś uwierzyć w kłamstwo? Co cię, u licha, napadło, że wygadałaś się przed swoimi dziećmi?
– Bo w naszej rodzinie – odparła Linda Book bez cienia skruchy – nie uznajemy ukrywania przed sobą czegokolwiek.
– Czy one rozumieją, co to znaczy być kochankami? – spytał pogardliwie Gold. – Bo ja nie.
– Ależ naturalnie. Dwoje starszych rozumie.
– I jak zareagowali?
– Syn powiedział, że cię zabije – odparła szczerze. – Córka dopytywała się, czy są z ciebie w łóżku ludzie. Powiedziałam jej, że na razie spisujesz się na piątkę z minusem, ale prawdopodobnie podciągniesz się na piątkę, jeśli się zmobilizujesz. Dwoje młodszych przyjęło to z większą wyrozumiałością.
– Och, doprawdy? – wymamrotał Gold potrząsając trochę dziko głową. – Ciekaw jestem, jak im wyjaśniłaś, kim są kochankowie.
Linda Book podjęła to wyzwanie bez mrugnięcia okiem.
– Mamy taką niemiecką ilustrowaną książeczkę o seksie dla dzieci. Jest w niej obrazek przedstawiający małego chłopczyka z penisem w stanie wzwodu i małą dziewczynkę z wyeksponowaną pochwą, a pod spodem przystępnym, zrozumiałym dla każdego dziecka językiem autorzy wyjaśniają, że on go jej wkłada.
– Wkłada? – Golda omal nie zawiódł głos.
– No tak. I wytłumaczyłam im, że my robimy to samo i dlatego jesteśmy kochankami.
– Zrozumieli?
– Od razu. Powiedzieli, że się pieprzymy.
Gold gapił się na nią przez chwilę wybałuszonymi oczami, a potem zaczął się miotać po pokoju oniemiały ze wzburzenia. Głos odzyskał dopiero po paru sekundach.
– Lindo, jesteś nauczycielką? – zwrócił się do niej zaciskając szczęki i rozciągając do oporu usta, co nadało mu wygląd kogoś z wystającymi od urodzenia zębami. – Poszłaś do college'u, zrobiłaś dyplom? Ukończyłaś kurs pedagogiczny? Dostałaś licencję, śliczny, błyszczący dokumencik?
– O, tak – przytaknęła Linda z tym samym spokojnym uśmiechem. – Bardzo dobrze komunikuję się z dziećmi. Twoja córka może to potwierdzić.
– Moja córka! – głos Golda przeszedł w histeryczny krzyk. – Jasna cholera! Ona przyjaźni się z twoimi dziećmi. Czasami zostaje u was na noc. Dina. Myślisz, że jej też powiedziały?
– Mam nadzieję – odparła Linda. – Wszystkie nasze dzieci bez żadnych zahamowań rozmawiają ze sobą o seksie.
Gold jęknął i zadygotał z przerażenia.
– Ja nie chcę, żeby ona wiedziała!
– To was do siebie zbliży.
– To robi z nas śmiertelnych wrogów. Cholera, ona wypapla żonie.
– Ciebie i żonę też to zbliży.
– Odchodzę od żony, żeby poślubić Andreę. Może i jej chcesz powiedzieć? Postuchaj, Lindo, w naszym przypadku małżeństwo nie wchodzi w grę, jest definitywnie wykluczone.
– Och, przecież już to sobie wyjaśniliśmy – odparła Linda bez urazy. – Nie mogłabym sobie pozwolić na rezygnację z doraźnej pomocy finansowej męża i z alimentów.
– Których i tak teraz nie dostajesz – zauważył z uśmiechem złośliwego tryumfu Gold, przechadzając się nerwowo tam i z powrotem. – Bo tak bardzo wierzysz w prawdę. Co to za

idiotyczna obsesja z tą prawdą ogarnęła ostatnio wszystkie kobiety? Skąd się wzięła? Cholera, wkrótce mogę zostać sekretarzem stanu. Uważasz, że trzynastoletniej podfruwajce przyda się na coś wiedza, że sekretarz stanu dmucha jej nauczycielkę? Wyobrażasz sobie, co się stanie z moim życiem rodzinnym i rozwodem, jeśli moja żona się dowie?

– To oczyści atmosferę – powiedziała Linda. – Kiedy mój mąż się dowiedział, zdecydowanie się oczyściła.

– A on przestał ci dawać pieniądze. Co, twoim zdaniem, powie moja żona na te rachunki od dentysty, kiedy się dowie, że zostały wystawione na ciebie i twoje dzieciaki?

Powaga sytuacji wreszcie do niej dotarła.

– Uważasz, że nie powinniśmy im mówić?

– Jak zareagował twój mąż, kiedy mu powiedziałaś? – spytał Gold.

– Powiedział, że cię zakatrupi.

– Nie powinnaś mu była mówić. Greenspan, palancie jeden – krzyknął targany niepokojem, kiedy tylko znalazł się sam na sam ze ścianą, do której mógł mówić. – Odezwij się, do cholery!

– Wiem, wiem – przerwał Greenspan Goldowi, kiedy ten zaczął mu relacjonować swoje kłopoty. – I dlatego właśnie twierdzę, że jesteś pan *szonda*.

– Jej mąż dybie na moje życie.

– Zamach na życie urzędnika państwowego to przestępstwo federalne, ale pan nie jest jeszcze urzędnikiem państwowym.

– Powiedz mu, że niedługo będę – poprosił błagalnym tonem Gold. – Pogadaj z nim w moim imieniu. Weź ze sobą broń.

– On twierdzi, że dupczy pan jego żonę – zameldował Greenspan.

– Powiedz mu, że przestanę, jeśli obieca, że mnie nie zamorduje.

– On chce, żeby pan się z nią ożenił i wziął na siebie pełną finansową odpowiedzialność za nią i całą czwórkę dzieci – zameldował Greenspan.

– Chyba na głowę upadł – warknął Gold. – Myślałem, że jest w niej do szaleństwa zakochany i nigdy nie pozwoli jej odejść.

– Pozwoli, pozwoli – zapewnił go Greenspan.

– To wykluczone – powiedział Gold. – Jestem już żonaty zjedną kobietą i wkrótce mam poślubić drugą, a my, Żydzi, poważnie traktujemy swoje małżeństwa.

– Powiedziałem mu to.

– Powiedz mu, że sfinansuję im wszystkim pełną kurację stomatologiczną, ale na tym koniec.

– Mówi, że umowa stoi – zameldował Greenspan. – Musiałem go postraszyć pistoletem. – Odmówił bez słowa drinka, którym Gold chciał oblać pomyślnie załatwienie sprawy. – A teraz, doktorze Gold, co zrobimy z panem? Naprawdę uważa pan, że ze swoją postawą moralną nadaje się pan na sekretarza stanu albo jakiegokolwiek innego urzędnika państwowego wyższego szczebla? Gold zastanowił się.

– A co ty na to?

– Naprawdę przestanie pan dupczyć jego żonę?

– Nie.

Greenspan zmierzył go spojrzeniem niosącym w sobie zawód pokoleń.

– Nie jest pan w niczym gorszy od całej reszty – zdecydował – ale z pewnością nie lepszy. On też uważa, że pan nie przestanie.

– Greenspan, możemy dobić lepszego targu. Powiedz mu, że naprawdę przestanę, jeśli on weźmie na siebie wszystkie rachunki od dentysty.

– No to przyklepane – zameldował Greenspan. – Dla mnie tylko małe wino, jeśli łaska. *Lechaim*.

– *Lechaim* – podchwycił toast Gold.

- Ale tego, co powiedziałem, nie odwołuję – podkreślił Greenspan od progu.
- Znaczy się czego?
- Zapomniałem. Niech no pomyślę. A, tak. Jest pan *szonda*.
- A ty chluba.

Gold nie widział już żadnych przeszkód na drodze swojego tryumfalnego powrotu do Waszyngtonu.

Skoro Conover obiecuje popierać cię, kiedy poślubisz Andreę – powiedział Ralph ubrany w kolejną koszulę z monogramem, który od razu przyciągnął bystre oko Golda – nie ma takiej siły na świecie, która byłaby w stanie zablokować twoją nominację, chyba żeby coś stało na drodze. Mówię to z takim samym przekonaniem, z jakim mówiłem ci do tej pory wszystko.

– Ale Andrea wyjdzie za mnie dopiero wtedy, kiedy będę miał już nominację w kieszeni – mruknął Gold. – Tych dwoje bawi się ze sobą w kotka i myszkę. Czy nie mogę spotkać się z Prezydentem już teraz? Jestem pewien, że wystarczyłoby mi jedno spotkanie, żeby go przekonać.

Ralph zaczął kręcić głową, zanim jeszcze Gold skończył.

– Na Balu Ambadorskim, jeśli zostaniesz zaproszony. Wydaje mi się, że Prezydent jest wciąż zajęty Rosją. Bardzo martwi się tą Rosją. Chce się z tobą spotkać na Balu Ambadorskim w obecności fotoreporterów. Postaraj się przyjść, jeśli zostaniesz zaproszony.

– Skoro Prezydent chce się tam ze mną spotkać – zauważył Gold – to chyba jestem dostatecznie znaczącą osobą, żeby zostać zaproszonym.

– Gdybyś nie był osobą dostatecznie znaczącą, żeby zostać zaproszonym – odparł Ralph – nie chciałby się tam z tobą spotykać.

– Co takiego specjalnego jest w tym Balu Ambadorskim? – spytał Gold. – Czy jestem w czymś gorszy od ludzi, którzy wezmą w nim udział?

– Jesteś lepszy – powiedział Ralph. – Ale to świątek towarzyski, Bruce, w którym nie liczą się kompetencje. Nie jesteś bogaty i nie zajmujesz właściwej pozycji. Postaraj się nie zapominać, kim jesteś. Spójrzmy faktom w oczy, Bruce, Żydom nie układa się w Ameryce. Nigdy się nie układało. Mam nadzieję, że nie obraża cię moja szczerość.

– Prawdziwa szczerość nie wymaga przeprosin – mruknął Gold, dochodząc troszkę do siebie po chwilowym spadku otuchy, jakiego doznał. – Czy to, co mówisz, jest prawdą, Ralph?

– Myślę, że tak, Bruce. Chyba że jesteś bardzo, bardzo bogatym Europejczykiem. Żydzi nigdy nie zajdą w tym kraju daleko w hierarchii społecznej i żadnemu się to dotąd nie udało. To trudne nawet dla chrześcijan, a już dla Żydów prawie niemożliwe. Nie przychodzi mi do głowy żaden wyjątek.

Gold, z niezrozumiałą fascynacją, dał się wciągnąć w głębsze drażnienie tego tematu.

– A Kissinger?

– Och, nie – parsknął lekceważąco Ralph. – On bywa na imprezach sportowych i przyjmuje zbyt wiele zaproszeń na przyjęcia z udziałem gwiazd estrady. Stał się teraz jednym ze stada pisarzy zabiegających o honoraria i rozgłos. Mam nadzieję, że nie brzmi to snobistycznie, Bruce.

– Ani trochę, Ralph – odparł Gold. – A Walter Annenberg i Lillian Farkas? Byli przecież ambasadorami.

– Pod Nixonem? – Kpiące po trzaśnięciu głowy, jakim skwitował to Ralph, starczało za cały komentarz. – Annenberg został rekomendowany na ambasadora w Anglii przez Elliota Richardsona. A Richardson to człowiek słabego charakteru, którego nie znoszę i któremu nie zaufałbym nawet przez chwilę. Chciał robić pod Nixonem karierę polityczną, a wykręcał się od brudnej roboty. Myślał, że niby po co go trzymają – przez wzgląd na szczególne uzdolnienia albo na dobre, nowoangielskie pochodzenie? – Ralph, uśmiechając się wciąż szyderczo, założył nogę na nogę, podciągnawszy sobie przedtem pedantycznie nogawkę spodni. – Pozował na wielkiego sprawiedliwego, bo odmówił wylania oskarżyciela w aferze Watergate. Wyobrażasz sobie, jak długo zagrzałby jeszcze miejsce w służbie publicznej, gdyby go wylał? I taki Elliot Richardson będzie na Balu Ambadorskim, Bruce, a ty nie. To niesprawiedliwe, ale byłbym hipokrytą twierdząc, że o to dbam.

– A ty będziesz na Balu Ambadorskim?

– Zawsze mnie zapraszają na Bal Ambadorski.

– No a Guggenheimowie? – wrócił do tematu Gold. Ralph pokręcił przecząco głową. – Warburgowie, Schiffowie, Belmontowie, Kahnowie?

– Nie, Bruce. Nie przychodzi mi do głowy ani jeden, którego kiedykolwiek przyjęto by do dobrego towarzystwa – powiedział Ralph – może z wyjątkiem paru córek, które poprzez małżeństwo awansowały do wyższej klasy i zostały przez nią bezboleśnie wchłonięte. A już na pewno nikt obdarzony geniuszem bądź jakimkolwiek talentem. Ci są wyklęci bez względu na urodzenie, chociaż nie mamy ich wielu. Amerykańska demokracja to najzwyklejszy system arystokratyczny na ziemi, Bruce, i każdy, kto chce w niej awansować społecznie, musi zaliczyć przynajmniej jedno małżeństwo z rozsądku, żeby móc marzyć o sukcesie.

– No a Eisenhower i Nixon, Lyndon Johnson i Gerald Ford?

– Prezydenci? – Ralph parsknął lekceważąco. – Prezydentom nigdy nie udaje się wejść do dobrego towarzystwa. Są przydatni, ale prostacy. A kiedy przestają być przydatni, pozostają tylko prostakami. Popatrz tylko, kim się otaczają na urządzie i potem.

– A Kennedy? – spytał Gold.

– No nie – powiedział Ralph z życzliwą naganą w głosie. – Rodzina Kennedych zawsze miała opinię niższej klasowo. Dodawało jej to charyzmy i sporo pomagało. Żadnemu irlandzkiemu katolikowi działającemu w pojedynkę nie może się udać, Bruce. Nie w tym kraju. Irlandczycy stoją na straconej pozycji, tak samo zresztą urodzeni tu Włosi, chociaż szansę mogą mieć bogaci Arabowie, jeśli będą uważali na maniery, widzisz więc, że ostracyzm i spychanie na margines dotyczy nie tylko Żydów. Mówiłem ci chyba, Bruce, że antysemityzm już nie istnieje. Cieszę się, że mogę mówić tak otwarcie, bo wierzę, że dokładnie wiesz, co czuję.

– Nie jestem przekonany, czy dokładnie wiem, co czujesz, Ralph – odparł Gold odrobinę spięty, z silnym postanowieniem wyzbicia się wreszcie trzeźwej nieufności, która żerowała okresowo na jego myślach. – Zauważyłem na przykład, że nigdy nie próbowałeś mnie zaprosić do swojego domu.

– A ty nigdy mnie do swojego, Bruce – padła łagodna odpowiedź.

– Nie przyjeżdżasz do Nowego Jorku, Ralph. Za to ja często bywam w Waszyngtonie.

– Bardzo często jestem w Nowym Jorku, Bruce.

– Nie mówiłeś mi tego.

– Nie pytałeś, Bruce. – Ralph roześmiał się przyjaźnie. Gold nie wiedział, co powiedzieć.

– Ale teraz poważnie. Bruce, naprawdę chciałbyś, żebym cię odwiedził w twoim mieszkaniu na manhattańskiej West Side? Nie przypomina chyba luksusowego apartamentu u Pierre'a czy w Ritz Towers, prawda?

Gold musiał przyznać nawet przed samym sobą, że nie chciałby gościć Ralpa w swoim mieszkaniu na manhattańskiej West Side.

– Chyba masz rację, Ralph. Najważniejsze są nie kręgi towarzyskie, do jakich należymy, lecz nasza przyjaźń. Słyszałem kiedyś od mojego szwedzkiego wydawcy definicję przyjaciela. Jest Żydem, Ralph, i jako dziecko mieszkał w hitlerowskich Niemczech, dopóki jego rodzina stamtąd nie uciekła. Powiedział mi, że teraz, kiedy chce się przekonać, czy ktoś jest jego przyjacielem, stosuje tylko jeden test. Pyta mianowicie, czyby go ukrył. Skoro już podjęliśmy ten temat, to ja też zastosuję ten test. Ralph, czy gdyby Hitler wrócił, ukryłbyś mnie?

Ralph zmieszał się. Wstał powoli z fotela, a jego gładkie policzki oblał rumieniec.

– Na Boga, Bruce – wyrzucił z siebie pośpiesznie – przecież my nie jesteśmy przyjaciółmi. Myślałem, że wiesz.

Teraz z kolei zmieszał się Gold.

– Nie jesteśmy?

– Oczywiście, że nie, Bruce – powtórzył Ralph zakłopotanym, przeproszającym tonem. – I strasznie mi przykro, jeśli kiedykolwiek powiedziałem albo zrobiłem coś, co kazało ci odnieść takie wrażenie.

Gold przeżywał to silniej, niż chciał po sobie okazać.

– Przepisywałeś ode mnie prace domowe w szkole, Ralph. Byliśmy ze sobą wtedy bardzo blisko.

– To był college, Bruce – powiedział Ralph – i bardzo chciałem go ukończyć. A tutaj jest tylko rząd. Ludzie z rządu nie mają przyjaciół, Bruce, tylko interesy i ambicje. Nie rób takiej skonsternowanej miny. A ty byś mnie w razie czego ukrył i ryzykował? – Grobowe milczenie Golda oznaczało, że nie. – Gdybyś to zrobił, Lieberman doniósłby na nas obu i okrzyknął się patriotą.

– Ralph – odezwał się Gold. – Wydaje mi się teraz, że Lieberman nie tylko pęta się przy was, ludziach ze szczytu, żebrząc o pieniądze i zaproszenia, lecz rzeczywiście wierzy we wszystkie te represyjne, elitarystyczne, rasistowskie, neokonserwatywne pierdoły.

– I za to właśnie najbardziej go nie lubię – powiedział Ralph. – On nie ma prawa do naszych przekonań. Nawet nie zrobił dużych pieniędzy. Zanim zaczniesz udawać jednego z nas, niech przynajmniej zbije najpierw fortunę.

– Ralph, jest coś, co po prostu muszę wyjaśnić – oświadczył Gold. – Pracowałem w college'u ciężiej od ciebie i byłem lepszym, inteligentniejszym studentem. A to ty dostawałeś wyższe oceny i tobie opublikowali mój esej o „Tristramie Shandym”. Jak ci się to udawało?

– Byłem sprytniejszy, Bruce.

– Byłeś sprytniejszy?

– Przecież to ty pisałeś mi prace, a nie ja tobie, prawda? Ralph udzielił tych odpowiedzi ze skromną otwartością, i Golda, po chwili zastanowienia nad nimi, znowu zaintrygowały tajemnice głowy Ralpa i jego spodni. Ralph nadal nie musiał odwiedzać fryzjera ani nic nie wskazywało, że kiedykolwiek go odwiedził. Spodnie miał zawsze zaprasowane w ostry kant i pozbawione najmniejszej zmarszczki, i Gold zaczynał podejrzewać, że każdy garnitur wkłada tylko raz.

– Mniej niż raz – oświecił go Ralph. Otworzył drzwi dwudrzwiowej szafy, w której wisiało tuzin garniturów pieczołowicie udrapowanych na wieszakach. – Przebieram się przed każdym spotkaniem. Nauczyłem się doceniać znaczenie uprasowanych spodni, kiedy przestały wystarczać moje tytuły uniwersyteckie i odziedziczony majątek.

– Jak możesz wkładać garnitur mniej niż raz?

– Ależ ty masz wnikliwą i głęboką inteligencję! – wykrzyknął Ralph. – A oni uważali za błyskotliwego Kissingera! Mało wiedzieli. Och, Bruce, gdybyś tak wymyślił sposób na inflację i bezrobocie. Nikt nawet nie próbuje.

– Ukradłbyś mi go – mruknął Gold.

– Już bym nie musiał – odparł Ralph. – Wystarczy, że jesteś moim protegowanym. Albo gdybyś opracował plan rozładowania tego wiecznego konfliktu z Rosją. Nie powinno ci to sprawić większych kłopotów. Zdaje się, że byłeś kiedyś komunistą, prawda?

– Nigdy nie byłem komunistą – zachnął się Gold.

– Ale nie mógłbyś mimo to czegoś wymyślić? Gold nie miał ochoty próbować.

– Ciekawa rzecz z tą Rosją – zażartował swobodnie, idąc za przykładem Ralpa i kładąc oba buty na lakierowanym, nie porysowanym stoliczku do kawy, przedzielającym dwa stojące naprzeciwko siebie skórzane fotele. – Dobrze się tam żyje ludziom ubogim, a okropnie ludziom zamożnym, podczas gdy w tym kraju jest na odwrót. Może byśmy się po prostu wymienili?

Słowa te wywołały u Ralpa piorunujący efekt. Najpierw wypadła mu z rąk filiżanka z kawą, a on, jak rażony gromem, wybałuszył na Golda oczy. Potem z brzękiem tłuczonego

szkła przewróciła się lampa, potrącona przez niego, kiedy zrywał się na swoje długie nogi z wyrazem największego zachwyty, jaki kiedykolwiek rozjaśniał ludzką twarz.

– Jest twój! – krzyknął w przyływie uwielbienia i przestraszony Gold skulił się instynktownie. – Zaszczyt! Cały spłynie na ciebie! Przysięgam! – Dopadł do błyszczącego czerwonego telefonu stojącego na biurku i waląc wściekle w przycisk wywołania bełkotał dalej bez ładu i składu w delirycznej eksplozji emocji, jakiej Gold jeszcze u niego nie widział. – Będziesz bogaty, bogaty! Nagroda Nobla! Nie płaci się od niej podatku. Z Prezydentem, z Prezydentem! – zawył do słuchawki. – Nie mogę czekać! Och, dlaczego, och, dlaczego sam na to nie wpadłem... ani ktoś inny? O, cholera! Znowu się zamknął w swoim gabinecie. Pobiegnę tam i osobiście mu to przekażę. To za gorąca sprawa na gorącą linię. – Ralph w paru susach dopadł do szafy na ubrania, żeby zmienić spodnie na świeże. – Obiecuję ci... Nie wygadam się z tym przed nikim innym. O Boże, co za plan, co za genialny pomysł! Oni przysłał nam wszystkich swoich profesjonalistów, spekulantów i biurokratów wysokiego szczebla, a my przekazemy im wszystkich naszych ubogich, bezdomnych, schorowanych i nieszczęśliwych. Niech oni pobędą sobie przez jakiś czas krajem wolności. My będziemy Monako, St Moritz, Palm Beach. To idealne rozwiązanie dla obu krajów i od tej pory nie będzie już między nami tarć. – Ralph wdział marynarkę pasującą kolorystycznie do spodni i przejrzał się w wysokim lustrze: – Masz to stanowisko jak w banku, Bruce, gwarantuję. Od teraz nie potrzebujesz nawet Conovera ani nikogo innego. Będę taki dumny, mając w tobie przyjaciela.

Te ostatnie słowa i w Goldzie obudziły coś w rodzaju podniecenia.

– Mówisz, że nie muszę żenić się z Andream?

– Nawet na jeden miesiąc – powiedział Ralph. – Jeśli nie chcesz żenić się z Andream, nie żęń się. Chcesz zostać z Belle? Zostań z nią.

– Tego nie powiedziałem.

– Z tym, że Conover – ostrzegł Ralph – stałby się twoim nieprzejednanym wrogiem, gdybyś go zawiódł. Zaczęłyby się burzliwe przesłuchania kandydackie, mielibyśmy do czynienia ze wstrętnymi plotkami, falami antysemityzmu. Ale wyjdiesz z tego obronną ręką. To będzie coś większego niż polityka odprężenia Kissingera i doktryna Monroe. Bądź pod telefonem. Teraz na pewno zostaniesz zaproszony na Bal Ambadorski. Daję za to głowę.

Zanim Ralph zatelefonował, żeby poinformować go ze smutkiem, że zdobycie dla niego zaproszenia na Bal Ambadorski okazało się niemożliwe, Gold zdążył już je sobie załatwić dzięki i szczęśliwemu, i przykreemu zarazem spotkaniu w holu swojego hotelu z byłym gubernatorem Teksasu, z którym pracował niedawno w Komisji Prezydenckiej. Są ludzie, którzy kładą komuś dłoń na ramieniu w geście przyjaznego powitania. Są też tacy, którzy czynią to, by zaakcentować swoją władzę nad każdym i wszystkim, co znajdzie się w zasięgu ich ręki. Po dotyku dłoni spadającej mu na ramię Gold rozpoznał bezbłędnie jednego z tych ostatnich i zadrżawszy odwrócił się, żeby się przekonać, kóż to go zatrzymuje. Z uśmiechem zimnej władczości patrzył na niego z góry Gubernator, jak dawniej przystojny, jak dawniej wielki i dominujący, o srebrzystych włosach, przenikliwych błękitnych oczach, wydatnej szczęce i podbródki z dołeczkiem pośrodku.

– Jakie masz plany na lunch, Gold?

– Chciałem przekąsić coś lekkiego ze swoją narzeczoną.

– Zjesz z nami u Hay Adamsa. Zamówisz stek i jajka ze smażonymi ziemniakami. Stek będzie dobrze wysmażony.

– Podaj tu ten cholerny sos chili, Homer. Jemu też daj trochę. Podobał mi się twój raport, Gold. Wysoko go oceniłem.

– Jeszcze go nie napisałem.

– I to mi się w nim właśnie najbardziej podoba. Pracujesz nad czymś nowym?

– Noszę się z zamiarem napisania książki o Henrym Kissingerze.

– Marnowanie czasu. To już nikogo nie interesuje. Napisz o mnie. Lubię cię, Gold. Przypominasz mi bardzo tego sławnego piosenkarza country z Teksasu, za którym przepadam. Gość nazywa się Kinky Friedman, Prawdziwy Teksaski Żydek. Kinky jest bystrzejszy, ale ciebie lubię bardziej. Bałem się wtedy o ciebie, że przy swojej skłonności do bycia upierdliwym w przegranych sprawach możesz chlapać coś osobistego.

– Od tamtego czasu walczę z tą skłonnością, sir – zameldował Gold służbiście. – Zastosowałem się też do pańskiej rady, panie Gubernatorze, i nigdy nie stosuję siły do żadnego mechanizmu ani nie kopię niczego nieożywionego.

Gubernator przycisnął serwetkę do warg i odchylił się na oparcie krzesła.

– Co porabiasz w Waszyngtonie, Goldy? Każdy, kto przyjeżdża tu więcej niż raz, coś kombinuje.

W swojej odpowiedzi Gold zawarł podświadomie prośbę o pomoc:

– Obiecano mi stanowisko w Gabinetecie, panie Gubernatorze. Ale nie udaje mi się spotkać z Prezydentem.

– Masz to z głowy – powiedział Gubernator – złapiesz go dziś wieczorem na Balu Ambadorskim.

– Nie mogę zdobyć zaproszenia.

– Homer, daj Goldowi zaproszenie na Bal Ambadorski – powiedział Gubernator. – I powiadom telefonicznie komitet organizacyjny, że przychodzi. – Homer miał całe pliki zaproszeń na Bal Ambadorski poupychane w większości kieszeni swojego ubrania. Gold znowu poczuł na ramieniu masywną dłoń Gubernatora. – Gold, każdy Żyd powinien mieć ważnego goja za przyjaciela, a każdy Amerykanin sukcesu swojego Żyda. Jestem ważny, Gold, i chcę być twoim przyjacielem.

– Poprę pana, Gubernatorze – zadeklarował się Gold – w każdej sprawie, jakiej postanowi się pan poświęcić.

– To rozumiem – powiedział Gubernator. – Wy, ludkowie, szybko się uczycie. Miałem jakiś czas temu do czynienia z tym drugim wyznawcą twojej wiary.

– Nie jestem żadnej wiary – zaoponował Gold.

– Z tym Henrym Kissingerem – ciągnął Gubernator, nie zwracając uwagi na defensywny protest Golda. – Taki śmieszny facecik z tym swoim nochalem i ustami trzmiela. Miał włosy jak Kinky, ale Kinky jest bystrzejszy. Miał też reputację pyskacza i oszczercy. – Gubernator przerwał, by zarechotać basowo i refleksyjnie, po czym podjął: – To ten sam, który ukląkł z Nixonem na dywanie, żeby pomodlić się do Boga. Obśmiałem się jak norka, gdy o tym usłyszałem, i wydałem na swoim rancho przyjęcie dla siedemnastu tysięcy osób, żeby to uczcić. Nixon powiedział: „Wywołaj wojnę” – i on ją wywoływał. Nixon powiedział: „Módl się do Boga” – i on się modlił. Wygląda mi na to, że jego Bogiem był Nixon. Gold, czy Żydzi zawsze...

– Nie, sir. Nigdy.

– Też mi się tak wydawało – powiedział Gubernator. – Jediną osobą żydowskiego pochodzenia, jaką widziałem na klęczkach, była pewna dziewczyna obciążająca chłopakom pały w domu naszego bractwa uniwersyteckiego, bo tylko pod tym warunkiem ją tam wpuściliśmy. Potem skarżył się na tych dwóch młodzieńców, którzy o tym napisali. Homer, co to on mówił?

– Powiedział, że brakuje im poczucia przyzwoitości i nie mają wstydu, panie Gubernatorze – odparł Homer.

– Skarżył się, że tym dwóm młodzieńcom, Woodwardowi i Bernsteinowi, brakuje poczucia przyzwoitości i że nie mają wstydu, a był jedyną osobą, która mogła rozpuścić tę pogłoskę. Starłem się z nim, kiedy popełnił ten błąd, mówiąc prasie, że czasami uważa się za samotnego kowboja wjeżdżającego do miasteczka, żeby zaprowadzić tam porządek. No cóż, nietrudno sobie wyobrazić, że kowboje z mojego stanu nie odebrali tego z sympatią. Połowa moich wyborców chciała go ścigać z lassami. Wygarnąłem mu, co myślę, na posiedzeniu Krajowej Rady Bezpieczeństwa. Byłem wtedy sekretarzem czegoś tam, i mówię do niego: „Gold...”

– Ja jestem Gold, sir.

– Nie widzę specjalnej różnicy. Wy, ludkowie, wszyscy wyglądacie mi tak samo. No więc, wygarnąłem mu, że wie o kowbojach tyle co wróble gówno, nawet jeśli wydawało mu się kiedyś, że się jednym z nich czuje. Kowboje nie są niscy, nie są pucołowaci i nie gadają z żydowskim akcentem, powiedziałem mu. A on mi na to: „To nie szydowski, sir. To niemiecki”.

Gold próbował rozpaczliwie zapanować nad podnieceniem.

– Tak powiedział, panie Gubernatorze? Powiedział, że to nie żydowski?

– Wtedy mu powiedziałem, że jak spróbuje kiedyś wjechać na koniu do mojego stanu jako kowboj, to naprawdę będzie bardzo samotny, bo znajdzie się od groma prawdziwych, którzy z miłą chęcią wyjaśnią mu różnicę. A on na to: „Strasznie mi przykro, panie Gubernatorze, i obiecuję, że nigdy, ale to nigdy już tego nie zrobię”. – Gubernator znowu zarechotał, delektując się tym wspomnieniem. – Powiedziałem mu, że gdyby jednak chciał kiedyś zaprezentować się w Teksasie jako prawdziwa końska dupa, to nikt z nas nie będzie miał nic przeciwko temu. Patrzyliśmy sobie w oczy i on pierwszy zamrugnął. I od tamtego czasu wiedziałem, że trzymam go w garści.

Gold milczał tylko przez tę chwilę, jakiej potrzebował na zacerpnięcie oddechu.

– Był obrzezany? – spytał z walącym sercem.

– Nie wiem – przyznał Gubernator. – W mojej garści wszystkie wyglądają tak samo. Przyjdź na bal, Gold. Kiedy przybędzie Prezydent i skończą wznosić okrzyki na cześć, oraz przebrzmiały werble i fanfary, przepchnij się zaraz do niego i przedstaw swoją sprawę. Jeśli ktoś ci będzie próbował przeszkadzać, powiedz, że jesteś mój, i ja ci pozwoliłem.

– A Prezydent nie będzie miał nic przeciw?

– Trzymam go w garści. – Błękitne jak jeziora oczy Gubernatora błyszczą. – Strój na ten wieczór wypożyczysz sobie z tej firmy... Homer, daj mu wizytówkę. Mamy konkurencyjne ceny.

Gold bardzo dobrze się prezentował w białej muszce, w cylindrze i we fraku: szczupły, przebojowy, dynamiczny i zmysłowy. A przynajmniej wydawało mu się, że się bardzo dobrze prezentuje, dopóki nie przybył na bal jedyną taksówką pośród zajeżdżających przed budynek kasztanowych, czarnych i srebrnych limuzyn z szoferami. Ralph zareagował na jego widok nerwowo, miną zdradzającą żywy niepokój. Golda poinformowano, że jest do niego zamiejskowy telefon i może go odebrać w prywatnym saloniku.

– To Sid – wyszłochała Ida. – Miał atak serca.

– Sprawa wygląda poważnie, Bruce – wyjąkał Max, odebrawszy jej słuchawkę. – Chyba źle z nim.

– Nie żyje – powiedziała Belle.

– O, cholera – jęknął Gold i do oczu napłynęły mu piekące łzy. – Za każdym razem mi to robi. Zepsuje mi cały dzień, cały weekend.

– Coś się stało? – spytał Ralph.

– To mój brat. Nie żyje.

– Tak mi przykro – powiedział Ralph. – Pewnie będziesz chciał natychmiast tam pojechać, prawda?

Ta myśl nawet nie zakiełkowała Goldowi w głowie, dopóki Ralph jej tam nie zasiał, i nie wiedział, jak zaprzeczyć, nie narażając się przy tym na zyskanie sobie opinii nie wartego soli albo nie tak pewnego, jak złoto.

– To straszne – wyszeptał. – Straszne.

– Wiem, co czujesz – powiedział Ralph. – Załatwię ci limuzynę.

Parę chwil potem agenci secret service wyprowadzali go już do czekającej limuzyny. Kiedy wóz ruszał, Gold zobaczył podjeżdżający pod wejście samochód Prezydenta. Wszystko, lamentował, wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie. I po raz kolejny przekonał się – co zresztą przez cały czas wiedział i o czym zamierzał wkrótce napisać – że każda zmiana jest na gorsze.

Pogrzeb Sida odbywał się w takiej samej atmosferze zawziętości, jak kiedyś jego ślub. Żałobnicy połączeni ściślejszymi więzami krwi ze zwaśnionymi rodzinami podzielili się natychmiast na dwa odrębne obozy. Gold przyjął na siebie niechętnie rolę ogniwa łączącego. Harriet była załamana z żalu – tylko z początku czystego, a później skażonego mściwym buntem przeciwko ogólnie znanemu faktowi, że uczucie Sida do niej z biegiem lat przygasło, przechodząc w znudzenie i zrezygnowaną akceptację. Nerwy miała w strzępach i na pierwszy plan wysunęły się jej najprzykrzejsze cechy. Spora część jej lęków zrodzonych ze świadomości osamotnienia i straty przeszła w fanatyczną zapobiegliwość o dobra materialne i prawie całą energię rozpaczki przelała na chronienie z dziką czujnością dobytku przed rozszabrowaniem i wymaginowaną napaścią. Coraz otwarciej i w coraz ostrzejszych słowach wypominała innym Goldom sumy pieniędzy, jakie Sid między nich porozdawał. Nikt nie kwapił się z nią dyskutować.

Brzemie odpowiedzialności za liczne role, które musiał wypełniać, coraz bardziej przygniatało Golda i starego Milta, który, o dziwo, ochoczo uchwycił się sposobności niesienia kompetentnej pomocy. Z dwóch synów Harriet niewiele było pożytku przy załatwianiu spraw związanych z pochówkiem i ceremonią żałobną. Jeden z zięciów żył w separacji z żoną i wcale nie przyjechał. Drugi zjawił się znudzony i snuł się po wyłożonym dywanami domu pogrzebowym, jakby szukał wesołego towarzysza, z którym mógłby poopowiadać sobie dowcipy w jakimś ustronnym kącie kaplicy.

W przeddzień pogrzebu, wieczorem, przyszedł do kaplicy złożyć kondolencje Paralityk z Neptune Avenue, rumiany, łysy, w gładkim ciemnym garniturze z workowatymi spodniami. Ręce trzymał w kieszeniach, dopóki nie przeminęła okazja, by podać jedną na powitanie. Wtedy wręczył Goldowi kopertę z trzema czekami na pięć tysięcy dolarów każdy.

– Nie potrzebujemy pieniędzy, Paralityk.

– Bierz, może się przydadzą. Jeśli nie będą potrzebne, podrzyj je. Albo przekaż na Izrael. Nie mam nic przeciwko temu, żeby moje pieniądze powędrowały do Izraela.

– Paralityk, jak doszedłeś do swoich pieniędzy? – spytał Gold w tym znajomym stanie zdumienia, w jaki popadał, ilekroć przypominał sobie Paralityka i jego fortunę. – Od obnośnej sprzedaży lodów poprzez handel taną biżuterią do majątku w komputerach, nieruchomościach, centrach handlowych i reasekuracji... kiedy ty się tego nauczyłeś?

Paralityk z Neptune Avenue długo przyglądał się Goldowi swoim nieruchomym zuchwałym wzrokiem, zanim raczył odpowiedzieć:

– Nigdy nie myślałem o tym w kategoriach komputerów czy nieruchomości – odparł z tą samą nonszalancją, którą Gold zapamiętał z dzieciństwa i która robiła wrażenie nawet na jego niezależnym młodszym bracie, Rybce. – Kruczki prawne i furtki w przepisach, w tym interesie zawsze działałem, jak zresztą każdy, kto robi dużą kasę. A zawsze potrafiłem działać szybko. Ten tam, to twój ojciec? Będzie mnie pamiętał?

– Tato, to przyjaciel Sida, Paralityk z Neptune Avenue. Ten od milionów.

Julius Gold siedział w małym skórzanym fotelu wyprostowany sztywno, jakby nie mógł się zdecydować, czy wstać, czy się przygarbić. W jego zaczerwienionych oczach, tak pustych, że wydawały się niemal nie widzące, zaświtało powoli światełko rozpoznania. Z trudem odnalazł myśl, którą chciał wyrazić.

– Sid mi mówił, że byłeś sprytniejszy. Nie wierzyłem mu. Jesteś sprytniejszy?

– Tak, panie Gold – odparł Paralityk z Neptune Avenue ze współczującym uśmiechem. – Chyba byłem.

Julius Gold kiwał przez chwilę głową.

– Nie, nieprawda – powiedział apatycznie. – On był sprytniejszy. Co on tam wiedział, ten tępak?

Ktoś za plecami Golda szlochał. Harriet zarządziła, że nie chce widzieć Gussie na pogrzebie ani u siebie w domu. Poprosiła teraz Golda, żeby podszedł z nią pod najdalszą ścianę sali, bo chciała jeszcze raz spojrzeć na Sida leżącego w otwartej trumnie. Zarządziła, żeby trumna była otwarta. Trzymała Golda za ramię obiema rękami. Gold z uczuciem mdlącego bólu odwrócił wzrok od martwej twarzy brata. Harriet jęknęła cicho.

– Dlaczego musiał mi to zrobić? Przecież wiedział, jak nienawidzę być sama. Dlatego przestał podróżować.

Gold czuł, jak poprzez rękaw garnitur wbijają mu się w ramię jej paznokcie, i uświadomił sobie, że nigdy, aż do tej chwili, nie rozumiał w pełni, jak serdecznie jej nie znosi. I wybuchnął:

– Sid, ty palancie! Dlaczego musiałeś umrzeć? Kto się teraz będzie o nas troszczył?

Nikt go jednak nie usłyszał. Jego słowa utonęły w szlochach.

Siedzieli na *szława* w domu Harriet, miejscu bardzo niewygodnym dla tych, którzy mieszkali w Brooklynie. W domu były wolne sypialnie, ale nikomu nie zaproponowano, by sobie tam odpoczął. Już pierwszego dnia, dnia pogrzebu, podczas wieczornej modlitwy wiadomo było, że pieniądze, które dał Paralityk, potrzebne będą na zakup i umeblowanie apartamentu na Florydzie oraz na utrzymanie dla starego i Gussie. Ojciec miał tylko rentę i emeryturę z ubezpieczenia społecznego. Za prawie wszystko inne płacił Sid. A Sid zostawił wszystko Harriet. Nawet rentę wypłacał Sid; konsolidacja i sprzedaż skórzanego interesu starego były fikcją wymyśloną celem otoczenia ojca iluzją, że jest osobą dysponującą wystarczającymi środkami, by przejść na emeryturę i żyć dostatnio z odsetek. Teraz ojciec Golda stał się ciężarem dla tych, którzy byli skłonni go dźwigać.

Zmarszczki zafrasowania złościące czoło Irva pogłębiły się jeszcze, kiedy Ida poleciła Goldowi ustalić ponad wszelką wątpliwość, czy Julius Gold na pewno nie będzie mógł w przyszłości prowadzić życia na obecnej stopie. Esther i Rosę, za zgodą Maxa, zaoferowały wszelką pomoc, ale same niewiele miały. Obie bardzo płakały – po jakimś czasie tak osłabły, że żadna z nich nie mogła już chodzić bez czyjejś pomocy – i od czasu do czasu przestawały, jakby tylko po to, by nie padło na nie podejrzenie, że w okazywaniu rozpaczliwej chęci zakasować Harriet i jej matkę. Victor podkradł się do Golda i szepnął mu do ucha, że będzie wykładał co miesiąc pewną sumę, jeśli tylko Muriel się nie dowie. Muriel chciała, żeby za wszystko płaciła Joannie.

– Ona ma teraz najwięcej pieniędzy, prawda? A nie pofatygowwała się nawet na pogrzeb, prawda?

Tylko Gold wiedział, że małżeństwo Joannie rozpada się, i to tak, że Joannie może zostać w ogóle bez pieniędzy, i że było praktycznie niemożliwością, by zdążyła przylecieć z Kalifornii wcześniej niż następnego dnia wieczorem. Kiedy nazajutrz nadeszła pora wyjawienia Juliusowi Goldowi całej prawdy o jego sytuacji finansowej, ten nie okazał zbytniego zaskoczenia.

– Wychowywałem go od dziecka – powiedział z rezerwą, jakby Gold, Milt i Belle byli obcymi. Milt wszedł do pokoju z Goldem, żeby ewentualnie służyć fachowymi wyjaśnieniami dotyczącymi finansów. Belle była czynnikiem stabilizującym. – Mój syn Sid. A teraz nie żyje. Był dla mnie jak ojciec. Wy nk nie wiecie.

– Ja wiem – powiedział cicho Gold.

– Opiekował się mną najlepiej ze wszystkich. Zawsze dawał mi to, czego chciałem.

– Ja to wiem – powiedział Gold. – Sid był wspaniałym człowiekiem.

– Ty nic nie wiesz – burknął ojciec. – Nie ktoś taki, jak ty.

– Tato, dlaczego wciąż mi dokuczysz? – Ojciec odepchnął z odrazą rękę, którą Gold wyciągnął, żeby go dotknąć. – Tylko dlatego, że musiałem nosić okulary i że miałem w szkole dobre stopnie?

– Jasne – powiedział Julius Gold. – Właśnie dlatego.

– Nigdy mnie nie lubiłeś?

– Jasne... lubiłem cię, kiedy byłeś mały. Ale tylko wtedy. – W melancholijnej ciszy, jaka zaległa, oczy starego nadal napełniały się łzami. – Nie podoba mi się, że ona mi mówi, że Gussie nie może przyjść tu, czy przyjść tam. – Nagle spojrzał na Golda z zainteresowaniem w oczach. – Masz dzieci?

Gold przykucnął powoli, tak że jego twarz znalazła się na jednym poziomie z twarzą ojca, i przyjrzał się uważnie staremu. Dreszcz przebiegł mu po plecach.

– Naturalnie, tato. Troje. Nie pamiętasz? Dina, twoja ulubiona wnuczka. Jest naszą córką. Nie pamiętasz?

Puszczając mimo uszu to pytanie, tak jakby Gold w ogóle nic nie powiedział, stary podjął:

– Jeśli masz dzieci, to nie daj im się nigdy wysłać na Florydę. Starzy nie powinni żyć wśród samych starych. Starzy powinni żyć z młodymi, ale oni już nas nie chcą. Moja żona była chora i mieszkała w moim domu, dopóki nie poszła do szpitala i tam nie umarła. Moja matka umarła w domu mojego brata Meyera, a ja siadywałem przy niej i rozmawiałem z nią, chociaż ona mnie nie słyszała. Możecie spytać Sida, ale Sida już tu nie ma i właśnie o to chodzi, *fartig*. Tam jest ciepło, to dobre dla starych ludzi.

– Tato... – Gold urwał i zapadła napięta cisza, nabrzmiała straszliwym ciężarem świadomości bardzo kruchej granicy między amnezją a starczą gonitwą myśli. – Ty jesteś stary.

– Pamiętam – powiedział ojciec bez wymachiwania rękami, jak to miał w zwyczaju, tonem wypranym z wszelkich emocji – że kiedy byłeś mały, nigdy cię nie uderzyłem. Nie było takiej potrzeby. Wystarczyło, że spojrzałem i wrzasnąłem, i robiłeś się jak trusia. Słuchałeś mnie. Raz spojrzałem tak i wrzasnąłem na Sida, a on uciekł z domu na całe lato. Teraz ja jestem dzieckiem. Rozmawiacie ze mną tak, jakbym niczego nie rozumiał. Nie rozmawiacie ze mną jak z dzieckiem. Jeśli czasem robię się zrzędlawy, to dlatego, że nie zawsze mogę zasnąć, kiedy jestem zmęczony, i boli mnie biodro. Nie dlatego, że jestem głupi. A teraz ona mi mówi przez mojego wnuka, że nie chce, żebym palił w jej domu cygara. To dom Sida, nie jej. On jest moim synem, nie jej. Wiem, co mówię.

– Nie zawsze, tato – powiedział Gold czule, z niepokojącym uczuciem, że komunikuje się z umysłem, który może nie jest całkiem zdrowy.

– To wtedy jest czas, żeby traktować mnie jak dziecko! – pisnął dziko i patetycznie ojciec.

– Nie teraz, kiedy mówię z sensem. Wytlumaczcie mi coś. Zagadka. No, wytłumaczcie, jak to jest, że ojciec może wychować siedmioro dzieci, a siedmioro dzieci, teraz sześcioro, nie potrafi się zaopiekować jednym ojcem?

Goldowi kończyła się już cierpliwość, nie wytknął mu jednak, że to mądre żydowskie przysłowie tradycyjnie wymienia matkę, nie ojca, że jest bufonowatym, melodramatycznym starym sukinsynem, który nigdy nie był w stanie utrzymać siedmiorga dzieci naraz, i że to te dzieci go utrzymywały.

– Tato, my się tobą zaopiekujemy – powiedział cicho. – O tym właśnie rozmawiamy.

– Nie każcie mi wracać na Florydę.

– Nie wyprawimy cię tam, dopóki sam nie wyrazisz na to chęci, obiecuję. Ale Gussie chce tam jechać już teraz.

– Nie obchodzi mnie Gussie.

– Możesz zostać w Nowym Jorku.

– Chcę być z moimi przyjaciółmi – poskarżył się.

– Jak możesz być w obu miejscach jednocześnie? Możesz latać samolotem na Florydę do swoich przyjaciół, kiedy tylko za nimi zatęsknisz.

– A gdzie tam będę mieszkał?

– Gdzie tylko będziesz chciał.

– Chcę mieszkać z moimi dziećmi.
– Możesz mieszkać ze swoimi dziećmi – zapewnił go Gold bez entuzjazmu. – Jeśli chcesz, możesz choćby zaraz wprowadzić się do nas.

– Nie, nie może – powiedziała stanowczo Belle, kiedy wyszli z pokoju. – Nie może z nami zamieszkać.

– Wiem, że nie może – odburknął Gold. – Z zadowoleniem stwierdzam, że nie jesteś takim ideałem.

– A co zrobisz, jeśli on powie, że chce?

– Powiem mu, że nie może – odparł Gold. – Najwyższa pora, żeby zrozumiał, że musi robić, co mu każemy. – Usiadł z rezygnacją. – Nie jest nic wart. – Zdumiony własnymi słowami, westchnął głęboko z nieopisanym znużeniem i aż poblądł. – I bez jakiegokolwiek wartości społecznej, która by to kompensowała. Jeden jedyny raz, dawno temu, kupił mi zabawkę. A teraz ja muszę pomagać go niańczyć.

– Ja bym nie brała sobie tego tak do serca – powiedziała Belle. – Dla mojej matki zawsze byłeś dobry.

Potem był pierwszy telefon od Ralpha. Ralph zaczął od przekazania serdecznych wyrazów współczucia od Almy, Amy, Honey, Misty, Christy i Prezydenta. Gold, obserwowany przez Belle, słuchał jeszcze przez minutę, a potem powiedział, że na razie nie rozważa ewentualności objęcia stanowiska w rządzie i w przyszłości również może go to nie interesować. Ralph zareagował na to z niewzruszonym ojcowskim pobbłażaniem, które bardzo Golda przeraziło:

– Musisz, Bruce. Nie możesz odmówić Prezydentowi.

– Niby dlaczego?

– Bo jemu się nie odmawia. Kiedy twój Prezydent cię o coś prosi, musisz powiedzieć „tak”.

– Kto tak mówi?

– Wszyscy, Bruce. Nie możesz powiedzieć „nie”, kiedy twój Prezydent cię o coś prosi.

– Ralph, bryndzowato się dzisiaj czuję. Mój brat nie żyje, a ojciec jest stary.

– Rozumiem – powiedział z troską Ralph. – Zadzwoń znowu, jak dojdiesz trochę do siebie.

Gold spojrział zdenerwowany na Belle.

– Nie czuję się dobrze w towarzystwie bogatych ludzi – wyjaśnił. – Nigdy się nie czułem.

– Musimy zdecydować coś z tą Harriet – odparła dyplomatycznie Belle. – Nie wytrwamy tu całego tygodnia.

Z wizytą przyszedł Mursh Weinrock, poważny, z pożółkłymi od nikotyny zębami oraz czubkami palców i cerą pod kolor. Gold zdał sobie sprawę, że czekają go wizyty dalekich krewnych i starych znajomych rodziny, o których nie myślał od dziesięcioleci i spotkania z którymi najchętniej by uniknął.

Trudno było rozsądzić, kto ma większy tytuł do żałoby – ojciec czy Harriet – ale cała taktyczna przewaga w uzbrojeniu należała do tej ostatniej. Jej paranoiczna nieufność i mściwość zaczynały się udzielać i rodzić ciężką atmosferę jednostronnej wrogości, której ani ona, ani jej dzieci, ani matka i siostra nie próbowały nawet ukrywać.

– Pomóż mi wstać – powiedział w końcu ojciec do Golda. – Chcę do domu. Ona nas tu nie chce i ja nie chcę tu zostać. – Wspierając się ciężko na ramieniu Golda wyszedł nie żegnając się, choćby bardzo formalnie, z nikim z rodziny zmarłego syna. – Nigdy nie chciałem grzebać dziecka – mruknął posepnie, kiedy przecinali chodnik i zbliżali się do samochodu. – Nawet ciebie.

Zdumiony Gold znalazł po chwili miejsce dla tych słów pomiędzy innymi żrącymi odkryciami z ostatnich dni, które wsiąkały w jego mózg z takim przygnębiającym i rozwścieczającym efektem: Ralph by go nie ukrył, Conover z niego szydził, były Gubernator

Teksasu traktował go jak swojego niewolnika. Kto go nauczy, jak ma się bronić? Kiedy godzinę później zatelefonował Ralph, powiedział mu zdecydowanie, że nie interesuje go stanowisko w rządzie.

Jego kadencja w Białym Domu dobiegła końca.

Do rana trzeciego dnia Gold zmobilizował swoją rodzinę do zorganizowania reszty *szywa* za Sida w domu Esther. Rose i Ida pomagały w gotowaniu i przyrządzaniu przekąsek, a rodziny sąsiadów z kamienicy wydelegowały mężczyzn niezbędnych do skompletowania dziesięcioosobowej *minjan* na poranne i wieczorne modlitwy. Mężczyźni zbierali się po śniadaniu, przed wyjściem do pracy, i wracali wczesnym wieczorem, przed zapadnięciem zmroku. Gold zgłosił sekretarce college'u, że od przyszłego tygodnia zaczyna znowu regularnie prowadzić swoje wykłady. Kiedy wychodził tego trzeciego dnia od Esther, żeby wrócić do siebie na Manhattan, zatrzymał go dzwonek domofonu. Ktoś chciał z nim rozmawiać. Gold nie miał zielonego pojęcia, kto to może być.

– Tu Greenspan, doktorze Gold – zachrypiał głos w głośniczku domofonu. – Lionel.

– Czego chcesz, Bulldog? – spytał niecierpliwie Gold. – Nie mamy już sobie nic do powiedzenia.

– Biały Dom chce, żeby zmienił pan zdanie.

– Nie zadzwonię do nich.

– Oni zadzwonią do pana. Jaki jest numer telefonu pańskiej siostry? Mógłby pan otworzyć drzwi i wpuścić mnie na górę?

– Nie – warknął Gold. – A numer, cholera, jest w książce telefonicznej. I przestań mi zawracać głowę.

– Pod jakim nazwiskiem mam szukać? – spytał błagalnie Greenspan.

Gold spojrział ze współczuciem na osłonięty siateczką otwór, do którego mówił.

– Bulldog, a jakie nazwisko widnieje przy guziku dzwonka, który przed chwilą nacisnąłeś? Minęło prawie pół minuty, zanim Greenspan odpowiedział.

– Moscovitz.

– I ona tak się właśnie nazywa, Lionel. Niby jak mnie tu znalazłeś? – Gold nie zdążył otworzyć drzwi, kiedy zadzwonił telefon.

– Przepraszam, że znowu cię niepokoję – oznajmił Ralph – ale wydaje mi się, że jesteśmy ci gotowi zaproponować stanowisko w Departamencie Stanu, i to prawie na samym szczycie.

– Mnie to już nie interesuje, Ralph – odparł Gold.

– Na pewno cię interesuje – powiedział z pełnym przekonaniem Ralph. – Twój Prezydent cię potrzebuje. Często powtarza, że jesteś jedyną osobą w tym kraju, z którą czuje się całkowicie swobodnie. A to dlatego, że nie uważasz się za wystarczająco dobrego.

To zirytowało Golda.

– Jestem wystarczająco dobry.

– Dlatego, że jesteś Żydem?

– Nie dlatego, że jestem Żydem.

– A więc dlatego, że powiedziałem, że bym cię nie ukrył, prawda? – odgadł Ralph z zadziwiającą przenikliwością. – Jeśli chcesz, to powiem, że cię ukryję.

– Do widzenia, Ralph – rzucił do słuchawki Gold.

Omal się nie przewrócił, wpadając na Harrisa Rosenblatta wychodzącego statecznym krokiem z Harvard Club przy 44 Zachodniej Ulicy na Manhattanie.

– Harris, a co ty tam robiłeś?

Być może Harris Rosenblatt wyglądał na trochę wyższego i o ton bielszego tylko dlatego, że schudł o włos.

– Należę – oznajmił z egzaltowaną pewnością siebie, gładząc się po brzuchu, jakby gratulował sobie szczupłej sylwetki. – Jestem członkiem.

– Jak możesz być członkiem Harvard Club – spytał Gold ze szczerą naiwnością – skoro studiowałaś ze mną w Columbii, a do tego zrezygnowałaś przed egzaminem dyplomowym, bo wiedziałeś, że i tak go oblejesz?

– Jestem milionerem, Bruce – oświecił go Harris Rosenblatt – a każdy milioner jest harwardczykiem. Chociaż, ma się rozumieć, nie każdy harwardczyk jest milionerem. W tym kraju istnieje tylko jeden markowy uniwersytet, Bruce, i nigdy nie będę żałował, że przyszedłem dzisiaj na lunch do Harvard Club. – Przed rozstaniem zatrzymali się jeszcze na rogu. – Kiedy już obejmiesz to swoje stanowisko w ekipie Prezydenta, będziemy musieli umówić się na kolację z tobą i z Belle.

– Odrzuciłem tę propozycję – powiedział Gold z pewnym zawstyżeniem.

– No to nie musimy umawiać się na kolację – zdecydował burkliwie Harris Rosenblatt. – Co będziesz teraz robił?

– Coś o bardzo wielkim znaczeniu – powiedział Gold. – Piszę biografię Henry'ego Kissingera.

– Kogo takiego? – spytał Harris Rosenblatt.

– Henry'ego Kissingera.

– Kogo?

– Henry'ego Kissingera. Był kiedyś sekretarzem stanu. Tym, który chciał przejść do historii jako drugi Metternich albo Castlereagh.

– Jako drugi kto?

Gold zarzucił projekt napisania książki o Kissingerze i wpadł do domu, żeby sprawdzić, czy u Diny wszystko w porządku i czy poradzi sobie sama do wieczora, czyli do czasu powrotu jego z Belle. Skoro Kissinger definitywnie odpadł, została mu do napisania tylko ta jedna książka o żydowskich doświadczeniach w Ameryce, którą był winien Pomoroyowi i Liebermanowi.

Czwartego dnia udało mu się zdjąć Joannie z głowy jeden z problemów, zapewniając ją, że jej burzliwy rozwód nie zaszkodzi w niczym jego karierze. Joannie wróciła z kondolencyjnej wizyty u Harriet z wiadomością, że Harriet chciałaby się wkrótce spotkać znowu z Esther i Rosę, żeby wspominać Sida. Szorstkie odrzucanie przez Muriel wszelkich prób pojednania jej z Joannie napełniało Golda goryczą aż do chwili, kiedy z westybulu na parterze zadzwonił Greenspan z meldunkiem, że Biały Dom usiłuje skontaktować się z nim telefonicznie, ale linia wciąż jest zajęta.

– Bruce, on kazał mi cię jeszcze raz poprosić – powiedział Ralph. – Tym razem może ci rzeczywiście zaproponować stanowisko sekretarza stanu.

– Nie interesuje mnie to, Ralph – powiedział Gold.

– Czy przyczyną jest jakaś nasza inicjatywa na forum ONZ? A może coś, co szykujemy Izraelowi?

– Nie.

– Bruce, Prezydent będzie bardzo zawiedziony. Tak liczy na twoją pomoc w porządkowaniu interpunkcji.

– Nic z tego.

– A może chodzi o ten artykuł, który mu odstąpiłeś? „Nie jesteśmy społeczeństwem, czyli szkoda na nas soli”.

– Może go sobie zatrzymać – odparł Gold.

– Prawa do przedruków też? Możemy go opublikować pod jego nazwiskiem?

– Jeśli dacie mi wreszcie spokój – jęknął ze znużeniem Gold. – Przestań mnie molestować, Ralph. I odwołaj tego Greenspana.

– Spróbuję – obiecał Ralph. – Ale to tak, jakby mówić do ściany.

Greenspan, odczep się – krzyknął Gold piątego dnia do tajemniczego, nie ogolonego osobnika czającego się za słupem telefonicznym po drugiej stronie ulicy, kiedy wyszedł z domu, żeby dowiedzieć się, co słyhać w college'u, i zabrać stamtąd te cholerne prace swoich studentów, których uzbierał się już cały stos. Kiedy o zmierzchu wrócił do mieszkania Esther, zastał tam Greenspana z szalem modlitewnym przewieszonym przez szyję i w jarmułce na głowie.

– Brakowało nam jednego do *minjan* – wyjaśnił Victor – i znaleźliśmy go pod domem w samochodzie.

Rose zrobił się jeszcze jeden guz na piersi i tym razem postanowiła pójść do szpitala na biopsję. Na miejsce trzeba było jednak czekać dwanaście dni.

– *Iskadal Weiskadasz* – zaintonował Gold modlitwę za zmarłego, czytając hebrajskie słowa w angielskiej transkrypcji, kiedy Greenspan zapoczątkował wieczorne modły.

Greenspan był wśród obecnych jedynym, który potrafił czytać w tym języku z oryginału. Nadal nosił kilkudniowy zarost. Goldowi zrobiło się głupio, że wszyscy mężczyźni z rodziny, wbrew zakazowi golenia się podczas siedmiodniowego okresu żałoby, byli gładko wygoleni. Greenspana poproszono, żeby został na kolacji, i zachęcono, żeby sprowadził też żonę.

– Greenspan, odejdz – wyszeptał Gold.

– A jutro wieczorem też będziecie nas potrzebowali? – zasugerował Greenspan. – Moja żona wspaniale piecze.

– Wstyd, wstyd, Greenspan. Jesteś *szonda*.

– Czy ja już do końca życia mam być skazany na stołowanie się po kafejkach i barach? – zapytał Greenspan. – Jak często, według pana, mam w moim zawodzie okazję zjeść jak człowiek?

– Ale ty to wszystko nagrywasz, może nie? – zarzucił mu Gold.

– Zagłuszyłem swoją pluskwę.

– Czemu on cały czas trzyma rękę na brzuchu? – zapytał Julius Gold, spoglądając spode łba i chyba po raz pierwszy od tygodnia podnosząc głos, w którym pobrzmiwało zaciekawienie i irytacja.

– Ma pluskwę w swoim *pupik* – wyjaśnił ojcu Gold. – Nie odslaniaj jej, Greenspan. O, nadchodzi moja macocha. Pewnie powie zaraz coś mądrego, czego nie wolno ci zapomnieć.

– Gdak, gdak – powiedziała Gussie Gold.

Gości z wieczora na wieczór przychodziło coraz mniej. Muriel pojednała się w końcu z Joannie, a zaczęła, jak dawniej, wyklócać się z Idą. Tego wieczoru Joannie wychodziła wcześniej, bo nazajutrz z samego rana odlatywała z powrotem do Kalifornii.

– Jak się teraz układa między tobą a Belle? – spytała przy windzie odprowadzającego ją Golda.

– Dobrze jak zawsze.

– Ona o tym wie?

Gold pocałował siostrę na pożegnanie ze szczerym uczuciem i postanowił naprawić swoje stosunki z Belle, jeśli to jeszcze możliwe.

– Belle – zaczął ogródkami szóstego dnia i omal nie stchórzył na samym początku – co u twojej matki? Wie, że znowu jesteśmy razem?

Belle skinęła głową.

– Wie – powiedziała.

– Wie? – zdziwił się Gold. – Kiedy jej to powiedziałaś?

– Nie mówiłam jej.

– To skąd twoja matka wie, że jesteśmy znowu razem – spytał ze zdumieniem Gold – skoro jej nie powiedziałaś?

– Nigdy jej nie powiedziałam, że odchodzisz – wyjaśniła z uśmiechem Belle. A potem wstawiła się za dziećmi: – Chłopcy dzwonili. Chcą przyjechać do domu na weekend.

– Aaaach, niech przyjeżdżają – powiedział Gold do pleców Belle, która odwróciła się, żeby odebrać telefon od Ralph.

– Nie chcę z nim rozmawiać.

– Co mam mu powiedzieć? – spytała Belle.

– Powiedz mu, żeby mnie w dupę pocałował.

– Nie powiem mu czegoś takiego.

– Ralph... – zaczął Gold.

– Musiałem, Bruce – przerwał mu przeproszającym tonem Ralph. – Kiedy Prezydent każe mi próbować, muszę przynajmniej zadzwonić, nie uważasz? Tym razem nie chodzi o sekretarza stanu.

– A o co?

– On pisze scenariusz.

– Ja też.

– I ja – przyznał Ralph.

– Nie mam żadnych dojsć, jeśli chodzi o scenariusze – oświadczył Gold. – Powiedz mu, żeby wziął sobie dobrego agenta i postarał się zawrzeć umowę na opcję.

– On nie lubi zawierania umów – stwierdził Ralph. – Czy to Belle odbierała telefon? Jeśli tak, to ucałuj ją ode mnie.

– A ty ode mnie Almę.

– Którą Almę? – spytał Ralph. Gold skrzywił się z irytacją.

– Almę żonę i Almę narzeczoną. O ile pamiętam, obie, ta, z którą jesteś żonaty, i ta, z którą jesteś zaręczony, mają na imię Alma?

– O, Boże, Bruce, to już historia – powiedział Ralph z niezrównaną uprzejmością. – Ale rad jestem, że nie dowiedziałeś się jeszcze o Andrei. I mam nadzieję, że nie będziesz zły, kiedy się dowiesz.

– Andrea? – Gold zamarł i na chwilę odebrało mu mowę. Zapomniał, że nadal jest zaręczony z Andrea. – Kiedy o czym się dowiem?

– Że jesteśmy ze sobą – powiedział Ralph. – Ona i ja.

– Ze sobą? – spytał Gold. – W jakim sensie ze sobą? Co to znaczy „ze sobą”? W jaki sposób jesteście ze sobą?

– Jako kochankowie.

– Chcesz powiedzieć, że się pieprzycie?

– Och, to robimy od lat – powiedział Ralph.

– I nie przerwaliście nawet wtedy, kiedy byłem z nią zaręczony?

– Ale nigdy nie byliśmy ze sobą na przyjacielskiej stopie – wtrącił szybko Ralph. – I teraz, pewnego wieczoru odnaleźliśmy się i naprawdę zbliżyliśmy. Skomplementowała nas, Bruce, chyba, ciebie i mnie, chociaż nie jestem pewien, którego z nas, ani nawet, czy to rzeczywiście jest komplement. Powiedziała mi, że jestem jak złoto.

Gold czuł się jak *szmok*, kiedy po ostatnich modłach ostatniego dnia odszukał w końcu mogiłę matki i stwierdził, że każdy wyraz na nagrobku wryty jest po hebrajsku. Nie rozpoznawał ani jednego. To miejsce nie niosło Goldowi żadnego przesłania. Objął na chwilę ramieniem podniszczony kamienny monument i przytuliwszy go do siebie poczuł, że staje mu się trochę bliższy i cieplejszy. Zostawił na grobie kamyk.

Wracając po Belle, przejeżdżał Coney Island Avenue i na szkolnym boisku dostrzegł chłopców w jarmułkach grających w baseball. Zatrzymał się i wysiadł z samochodu, żeby popatrzeć. Sportowcy w mykach? Była to *jesziwa*, żydowska szkoła wyznaniowa. Część nastolatków nosiła pejsy, a niektóre z nich były blond. Gold uśmiechnął się. Bóg miał rację – nieugięty, przekorny lud. *Mojsze Kapojer*, wokół zima, a oni grają w baseball, podczas gdy cała reszta gra w football i koszykówkę.

Na boisku panował jakiś zastój. Chłopiec z pierwszej bazy stał plecami do pozostałych w pozie sugerującej lekkie zdenerwowanie. Miotacz boczył się o coś i zwlekał z rzuceniem piłki. Odbijający siedział w kucki z wyrazem braku zainteresowania na twarzy, wsparłszy łokcie o kolana, a policzek na dłoni. Nagle chwytający, muskularny, rudowłosy, piegowaty młodzieniec z pejsami i twarzą o rysach tak irlandzkich albo szkockich, że charakterystyczniej szych Gold chyba w życiu nie widział, machnął za złością na miotacza i wydarł się na niego słowami, które na chwilę wprawiły Golda w osłupienie i zwątpienie, czy dobrze usłyszał.

– *Warf!* – krzyknął. – No, *warf* ją! *Warf* tę pieprzoną piłkę!

Gold pojechał do Esther po Belle i razem wrócili do domu. Był winien książkę Pomoroyowi. Od czego by tu zacząć?

Spis treści

- I. Żydowskie doświadczenia
- II. Mój rok w Białym Domu
- III. Każda zmiana jest na gorsze
- IV. Nic nie wychodzi tak, jak to zaplanowano
- V. Edukacja i prawda, czyli prawda w edukacji
- VI. Urazisz się w stopę
- VII. Zaprosz Żyda do Białego Domu (a uczynisz go swoim niewolnikiem)
- VIII. Nie tworzymy społeczeństwa, czyli szkoda na nas soli.